BARD POLSKI

Własność
Zofii Napiórkowskiej

BARD POLSKI

ALBUM POETÓW POLSKICH

ZEBRAŁ
BOLESŁAW
KOREYWO

1909 * SKŁAD GŁÓWNY w KSIĘGARNI
LEONA IDZIKOWSKIEGO w KIJOWIE.

CZCIONKAMI DRUKARNI „PIOTR BARSKI" KIJÓW,
KRESZCZATIK, 40.

Dumni z bogactwa piśmiennictwa naszego, z którego nieprzebrane skarby czerpać nam dano, pragniemy dziś obdarzyć tym przednim a mocodajnym pokarmem duchowym te warstwy społeczeństwa, które dotychczas były albo wcale pozbawione tego pokarmu, lub też tylko zdaleka przysłuchiwać się mogły akordom lutni polskiej.

Zaznaczono niedawno, iż utwory wydawane przez poszczególnych autorów „są znane jedynie szczupłemu gronu miłośników" i „nie mają prawie żadnego pokupu"...

Czyliż rzeczywiście tłómaczyć to należy tem, iż społeczeństwo nasze pod wpływem pozytywizmu zobojętniało dla poezyi ojczystej?

Pragniemy dziś zwolnić społeczeństwo nasze od tego zarzutu—a przynajmniej zarzutu tego nie uogólniać — i, szukając przyczyn tego rzekomego zobojętnienia gdzieindziej, uderzyć się w piersi wyznając, że to my właśnie, autorowie-wydawcy i wydawcy, zawiniliśmy względem społeczeństwa, ponieważ wydawnictwa dotychczasowe, jakkolwiek piękne i ozdobne, były przeważnie zanadto kosztowne.

Często przeto, wbrew najszczerszym chęciom, większość czytelników nie była w stanie ich nabyć, ponieważ kupno książek połączone było z wydatkiem czasem wprost luksusowym dla nabywców.

Dziś pragniemy ten błąd naprawić, puszczając w świat książkę niniejszą, a umożliwiając nabycie jej wyznaczeniem możliwie nizkiej ceny.

Pozwalamy sobie twierdzić, iż antologia niniejsza jest najobszerniejszą ze wszystkich antologii polskich, wydanych dotychczas,

Zarówno ilość umieszczonego w tej książce materjału, jak też i część techniczna wydawnictwa niniej-

szego same przez się dowodzą, iż wydając ten zbiorek, nie osobisty zysk materjalny mieliśmy na celu, lecz że pragnęliśmy dać czytelnikowi możliwie obszerny przegląd polskich sił literackich, że pragnęliśmy choć w części przyczynić się do urzeczywistnienia marzenia naszego Wieszcza, którego gorącem pragnieniem było dożyć tej pociechy:

„Żeby te księgi zbłądziły pod strzechy"...

Nie chcemy przeceniać skutków naszej pracy, dołożyliśmy jednak wszelkich starań, aby to album pisarzy polskich uczynić dostępnem dla najszerszego grona czytelników.

Dodać musimy, iż, układając zbiorek niniejszy, skorzystaliśmy z warunków obecnych, gdy knebel przez czas tak długi dławiący wolność słowa został choć trochę uchylony, i zapoznajemy czytelników także z tymi utworami, które ze względu na dawne warunki prasowe pozostawały w ukryciu.

Wiemy, iż w wydawnictwie niniejszem są pewne luki, których zapełnienie winno być pożądane; na razie jednak niemożliwie było uniknąć pewnych braków, ze względu na rozmiar książki, którego rozszerzyć z wymienionych wyżej powodów nie byliśmy w stanie.

W najbliższej wszakże przyszłości, o ile wydawnictwo nasze zyska uznanie czytelników, dołożymy starań, aby wszelkie możliwe w niem braki usunąć i istniejące luki zapełnić.

B. K.



Adam Mickiewicz.

NOCLEG.

Pan Naczelnik nad Trockiem jeziorem,
Po kowgańskiej potyczce nocuje.
Strzelcy leżą na kępie taborem,
Jeden rany swe mchem opatruje;

Drugi strzelbę przeczyszcza, nabija,
Kaptur z brzozy na zamek nasuwa;
Ten wpół senny pod głowę płaszcz zwija...
I usnęli. Straż stoi, wódz czuwa.

On pod drzewem coś duma w pomroce,
Drzewo suche,—lecz miało owoce;
Najgłodniejszych ten owoc odstrasza;
Wiszą na niem dwie gruszki Judasza.

W górę szpiegi! Najemne to sługi:
Jeden Prusak, z nogami długiemi,
W białych, długich pończochach,—a drugi
Żyd, pejsami zamiata po ziemi.

Nie śpi wódz. Na kolanach broń trzyma,
Wzrokiem szuka pagórka znanego.

Ten za wodą: na wzgórku dom jego.
Dom w ciemności on żegna oczyma.

Wtem błysnęło nad wzgórkiem... Czy piorun?
Piorun u nas nie bije w tę porę:
„O Najświętsza! O Maryjo z Borun!
Ratuj ich! ratuj dzieci!.. Dom gore!"...

Gdzie jest patrol? Na konia! do dworu!
Wtem słuchają: łom trzeszczy, gwar ludzi,
I—„Kto idzie?!"—głos ozwał się z boru.
Patrol wraca i obóz się budzi.

„Wodzu! wielka dla ciebie żałoba"
Wraca patrol z wieściami Hljoba.
Jeden mówi: „zarznęli twą żonę",
Drugi mówi: „twe dzieci spalone".

Lecz porwali dowódcę Moskali.
„Kto on?"—„Francuz, niestary, przystojny,
I w moskiewskiej on służbie wsie pali,
Za pieniądze lud siecze niezbrojny!"

Wódz, jak gdyby rażony od gromu,
Na dom patrzał i milczał i słuchał.
Z okien wszystkich żar sypał się z domu,
Z oczu wodza straszniejszy żar buchał.

I w obozie zbudzonym, zdumiałym,
Było głuche milczenie i zgroza.
Milczał wódz, jako broń przed wystrzałem,
Na dom patrzał i krzyknął: „powroza!"

Przyskoczyły dwa katy, roskoły,
Stryczek mieli gotowy do sznura,
Zakasali rękawy za poły,
I oddarli mu kołnierz z mundura.

Wtem ktoś łeci:—„Kto idzie?"—„Lud z Bogiem
Nasze hasło: poznajcie wiarusa!"
Zrzuca płaszcz... Ach! to mundur Krakusa,
Biały surdut z czerwonym wyłogiem.

„Zbił Skrzynecki, zbił na łeb, na szyję,
Zbił pod Wawrem: Rozena, Gejsmara,

Nabrał jeńców i dział co niemiara,
Idzie w Litwę... Skrzynecki niech żyje!"

Krzyczał żołnierz i śmiał się i szlochał...
Ach! Kto miłej Ojczyzny nie kochał,
Biedny, łzami nie płakał takiemi!..
A Naczelnik? On leży na ziemi.

Leżał krzyżem i długo się modlił.
Wstał i rzekł do Francuza:—„Idż wolny!
Precz od nóg mych, byś nóg mych nie podlił:
Jam dziś karać nikogo niezdolny!"

A. Mickiewicz.

DANAIDY.

Płci piękna! Gdzie wiek złoty, gdy za polne kwiaty,
Za haftowane kłosem majowe sukienki,
Kupowano panieńskie serduszka i wdzięki,
Gdy do lubej gołębia posyłano w swaty!
Dzisiaj wieki są tańsze a droższe zapłaty.
Ta, której serce daję, żąda mojej ręki;
Ta, którą opiewałem, pyta, czym bogaty.
Danaidy! Rzucałem w bezdeń wasze chęci,
Daru, pieśni i we łzach roztopioną dusze.
Dziś, z hojnego jam skąpy, z czułego szyderca.
A choć mnie dotąd jeszcze nadobna twarz nęci,
Choć jeszcze was opiewać i obdarzać muszę:
Lecz dawniej wszystko dałbym, dziś wszystko—prócz serca.

A. Mickiewicz.

Z POZA KULIS.

I.

DWÓCH OJCÓW.

Teatr był pełny...
Sztukę po raz pierwszy grano
I sztuka padła strasznie—nie z autora winy...
Bohaterem był aktor, z talentu jedyny,
Lecz psuł, jakby z umysłu swą rolę.—
Sykano...
Kurtyna spadła wreszcie, a w tej samej chwili
Na scenę blady, drżący wpadł autor spieniony—
Dyszał gniewem, jak wulkan, a twarz miał Gor-
gony,
Reżyser umknął, inni w kąty się pokryli.
Straszny poeta z miną zjawił się zbójecką
Przed aktorem, co nędznym był mordercą dzieła;
Po malowanych licach świeża łza płynęła...
Wstrzymał go gestem:
— Panie... umarło mi dziecko.

M. Gawalewicz.





A. Asnyk.

PIEŚŃ NIEWOLNIKA.

Na zrębie skał niewolnik stoi
I patrzy w siną toń—
Muzyką fal swą duszę poi,
Na lutni wspiera dłoń.

Jak wolny ptak od więzów cieśni,
Myśl w mroczną leci dal—
A z piersi głos potężnej pieśni
Wraz z szumem płynie fal.

On włożył w pieśń tę duszę całą,
Milionów łzy i ból...
A morze dalej pieśń tę grało...
Aż ją usłyszał król...

I rzecze doń: „O, niewolniku!
Dla kogo wznosisz śpiew,
Wśród szumu fal, wśród burzy ryku,
Wśród śmiechu białych mew?

Nadchodzi noc—gdy słońce zajdzie,
Na zrębie groźnych skał,

Gdzie twoja pieśń słuchacza znajdzie,
Coby ci poklask dał?

W pałacu mym tysiączne blaski
I cudnych dziewic rój—
Tam zbierzesz plon monarszej łaski,
Tam uczczą rapsod twój.

Tam twoja pieśń uznanie spotka
Wawrzynu złoty liść,
Tam sława, cześć i rozkosz słodka...
Chciej tylko za mną iść.“

A na to rzekł niewolnik hardy:
„Nie dla was jest mój śpiew!
Bo moja pieśn jest pełna wzgardy
I zemstą pali krew.

Ma lutnia dziś nie zabrzmi dźwiękiem,
Co budzi słodki szał,
Odgłosem klątw i kajdan brzękiem
Mój spiew by tylko brzmiał.

Więc zostaw mnie tu na tej skale—
A mojej ludni ton
Prześcignie wiatr i morską falę—
Za morze pójdzie on!

Powróci znów na ojców ziemię,
Gdzie cięży ręka twa...
I zbudzi lud, co dotąd drzemie,
Śpiącego zbudzi lwa!“

A. Asnyk.



JA CIEBIE KOCHAM!

Ja ciebie kocham! ach te słowa
Tak dziwnie w mojem sercu brzmią,
Miałażby wrócić wiosna nowa
I zbudzić kwiaty, co w niem spią?
Miałbym w miłości cud uwierzyć,
Jak Łazarz z grobu mego wstać?
Młodzienczy, dawny kształt odświeżyć,
Z rąk twoich nowe życie brać?

Ja ciebie kocham! czyż być może?
Czy mnie nie zwodzi złudzeń moc?
Ach nie! bo jasną widzę zorzę
I pierzchającą widzę noc!
I wszystko we mnie inne, świeże,
Zwątpienia w sercu stopniał lód,
I znowu pragnę—kocham—wierzę—
Wierzę w miłości wieczny cud!

Ja ciebie kocham! świat się zmienia,
Zakwita szczęściem od tych słów,
I tak jak w pierwszych dniach stworzenia
Przybiera ślubną szatę znów!
A dusza skrzydła znów dostaje,
Już jei nie ściga ziemski żal—
I w elizejskie leci gaje
I tonie pośród światła fal!

A. Asnyk.

Ł Z Y.

Są krwawe łzy, płynące pod wioskową strzechą;
Bóg liczy je i waży—świat nic o nich nie wie
I tylko czasem w czułych serc kunsztownym śpiewie
Zabłąka się przelotem skarg prostaczych echo.

Łzy nędzy i ucisku—lecz niech hojna ręka
Z tych zacnych, smutnych twarzy łagodnie je zetrze,
Znikają wnet bez śladu, jak rosa, co wsięka
W urodzajne zagony na majowym wietrze.

Są inne—o nie także nie pytaj u świata,
Bo usmiech je wesoły przed widzem osłania—
To rosa, która z życiem z tej ziemi ulata,

A każda z łez tych serce jako głaz przygniata
I kładzie na nie piętno wolnego konania...
To ciche łzy—zawodu i rozczarowania.

Czesław

SYRENY.

Morze, zielone morze w niezmiernej przestrzeni,
A nad niem księżyc mleczny
w błękitnej przezroczy;
Świetlisty nurt za nurtem z daleka się toczy
Śnieżny pianą, iskrzący błyskami promieni...

Od czarnych skał ku niebu
wionął śpiew syreni—
Leżą na głazach, w księżyc wbiwszy łzawe oczy,
Na pierś dziewczęcą woda spada im z warkoczy,
Od bioder łuska rybia tęczowo się mieni.

Śpiewają. I pieśń leci, omdlewa i gnie się
Dziwna, smętna, cudowna, podobna ich ciałom:
Na dnie mórz urodzona w koralowym lesie...

— Nagle jedna wskazała poza skalny załom:
Żagiel, w dali,
na mętnym, srebrnym widnokresie—
Śpiewają... Żagiel płynie... płynie wprost—
ku skałom!

L. Rydel.



Juljusz Słowacki.

TESTAMENT.

Żyłem z wami, cierpiałem i płakałem z wami;
Nigdy mi, kto szlachetny, nie był obojętny:
Dziś was rzucam i dalej idę w cień—z duchami—
A jak gdyby tu szczęście było—idę smętny.

Nie zostawiłem tutaj żadnego dziedzica,
Ani dla mojej lutni, ani dla imienia:
Imię moje tak przeszło, jako błyskawica
I będzie jak dźwięk pusty trwać przez pokolenia.

Lecz wy, coście mię znali, w podaniach przekażcie,
Żem ja dla prawdy sterał moje lata młode,
A póki okręt walczył, siedziałem na maszcie,
A gdy tonął, z okrętem poszedłem pod wodę...

Ale kiedyś—o smętnych losach zadumany
Mojej biednej ojczyzny—przyzna, kto szlachetny,

Że płaszcz na moim duchu był nie wyżebrany,
Lecz świetnościami dawnych moich przodków świetny.

Niech przyjaciele moi w nocy się zgromadzą
I biedne serce moje spalą w aloesie,
I tej, która mi dała to serce, oddadzą,—
Tak się matkom wypłaca świat, gdy proch odniesie...

Niech przyjaciele moi siedzą przy puharze
I zapiją mój pogrzeb—oraz własną biedę.
Jeżeli będę duchem, to się im pokażę
Jeśli Bóg nie uwolni od męki, nie przyjdę...

Lecz zaklinam—niech żywi nie tracą nadziei
I przed narodem niosą oświaty kaganiec;
A kiedy trzeba, na śmierć idą po kolei,
Jak kamienie, przez Boga rzucane na szaniec!..

Co do mnie—ja zostawiam maleńką tu drużbę
Tych, co mogli pokochać serce moje dumne;
Znać, że srogą spełniłem, twardą Bożą służbę
I zgodziłem się tu mieć—niepłakaną trumnę.

Kto drugi tak bez świata oklasków się zgodzi
Iść?... taką obojętność, jak ja, mieć dla świata?
Być sternikiem duchami napełnionej łodzi,
I tak cicho odlecieć, jak duch, gdy odlata?

Jednak zostanie po mnie ta siła fatalna,
Co mi żywemu na nic... tylko czoło zdobi;
Lecz po śmierci was będzie gniotła niewidzialna,
Aż was, zjadacze chleba—w aniołów przerobi.

J. Słowacki.



SMUTNO MI, BOŻE!

Smutno mi, Boże! Dla mnie na zachodzie
Rozlałeś tęczę blasków promienistą;
Przede mną gasisz w lazurowej wodzie
Gwiazdę ognistą.
Choć mi tak niebo Ty złocisz i morze,
Smutno mi, Boże!

Jak puste kłosy z podniesioną głową
Stoję rozkoszy próżen i dosytu;
Dla obcych ludzi mam twarz jednakową
Ciszę błękitu.
Ale przed Tobą głąb serca otworzę,
Smutno mi, Boże!

Jako na matki odejście się żali
Mała dziecina, tak ja płaczu blizki,
Patrząc na słońce, co mi rzuca z fali
Ostatnie błyski,
Choć wiem, że jutro błyśnie nowe zorze,
Smutno mi, Boże!

Dzisiaj, na wielkiem morzu obląkany
Sto mil od brzegu i sto mil przed brzegiem,
Spotkałem lotne w powietrzu bociany
Długim szeregiem,
Żem je znał kiedyś na polskim ugorze,
Smutno mi, Boże!

Żem często dumał nad mogiłą ludzi,
Żem nie znał prawie rodzinnego domu,
Żem był jak pielgrzym, co się w drodze trudzi
Przy blaskach gromu,
Że nie wiem, gdzie się w mogiłę położę,
Smutno mi, Boże!

Ty będziesz widział moje białe kości,
W straż nie oddane kolumnowym czołom,
Alem jest człowiek, jako co zazdrości
Mogił... popiołom.
Więc że nieznane gotujesz mi łoże,
Smutno mi, Boże!

Kazano w kraju niewinnej dziecinie
Modlić stę za mnie codzień, a ja przecie
Miem, że mój okręt nie do kraju płynie,
Płynąc po świecie.
Więc że modlitwa dziecka nic nie może,
Smutno mi, Boże!

Na tęczę blasków, którą tak ogromnie
Anieli Twoi w niebie rozpostarli,
Nowi gdzieś ludzie w sto lat będą po mnie
Patrzący, marli...
Nim się przed moją nicością ukorzę,
Smutno mi, Boże!

J. Słowacki.

SUMIENIE.

Rzuciłem jedną dziewkę, bom wszystkie rozkosze
Już wyssał z niej, a oto ta druga mą żądzę
Zażegła i ją w swoje prowadzę wrzeciądze
I jej pocałunkami krzyk sumienia spłoszę...

Bo wczoraj, gdym tkał sobie weselne okrycie
Z ostatniej pozostałej mi przędzy konopnej,
Wpadła tamta, wzgardzona, w bladości okropnej
I wszystkie na warsztacie mym stargała nicie...

Wściekły, zabiłem dziewkę, z jej złotych warkoczy
Utkałem sobie szatę i w niej dziś przy uczcie
Weselnej siedzę... Kto mi przypomniał jej oczy!!?
Kto dusi mnie?! Na Boga! Szatę ze mnie zwłóczcie!..

Włókna szaty ożyły! Każdy włos, jak żmija,
Ściska się wkoło szyi mojej!—Jak pętlica!..
Tyciąc żmij wkoło mego ciała się owija!..
Każdy włos martwy mści się! Śmierć! Śmierć trupiolica!

Z. Staff.

Z cyklu „M O Z A J K A“.

PRZESYT.

Czy ty wiesz, dziecię, co to przesyt znaczy.
Że lekkomyślnie igrasz wielkiem słowem?
Czy ty wiesz, dziecię, ile w tem rozpaczy
Na chłód się skarżyć pod słońcem lipcowem?
Rzucać się w ogień i nie czuć, że pali,
Kłaść lód na piersi i nie czuć, że ziębi,
Bez celu płynąć, jako liść po fali,
Tonąć bez żalu i wypływć z głębi
Z obojętnością zawsze jednakową?

Zaklęciem było twe niebaczne słowo
I straszne widmo wywołało nagle...
Wierzaj mi, dziecię, nawet dla okrętu,
Mniej straszny wicher, co rozdziera żagle,
Mniej straszna przepaść morskiego odmętu,
Niż cisza—kiedy wkoło się pokładą
Fale i powstać chcą, ale nie mogą.
A ludzie na się poglądają z trwogą,
I dnia zaledwie doczekawszy końca,
Znów przez noc całą wyglądają słońca,
Sądząc, iż ranek rychlej morzem wstrzęsie
I zawiedzeni znów czekają zmroku...

Wiesz ty co przesyt? Ani łza na rzęsie,
Ani też błyska żaden promień w oku;
Nawet wspomnienia nie mają uroku
Zewsząd byś uciekł jak z pustego domu.
Gdzie wszyscy twoi najdrożsi pomarli;
Do serca nie dasz przystępu nikomu,
Bo cała ludzkość w oczach twych się karli,
Bo gardzisz światem i przeklinasz życie,
Drażni cię nawet to, że serca bicie
Wciąż jeszcze słyszysz, drażni widok ludzi,
Bo choć się kryjesz z tem i łudzisz siebie,
Nawet ich smutek zazdrość w tobie budzi.
Zaś śmiech ich boli—jakby nad twą trumną
Ktoś parsknął śmiechem i zelżył twą dumną

Duszę—lecz ty sam na własnym pogrzebie
Wybuchasz śmiechem... Czy ty znasz tę chwilę,
Gdy szczeście skarby wszystkie się roztrwonią,
Gdy pragnąć czegoś już się serce lęka,
Bo się rozkoszy zmarnowało tyle,
Cdy raz ostatni jeszcze sięgasz po nią,
A wyciągnięta opada ci ręka?
Czy znasz tę chwilę straszniejszą sto razy,
Gdy po raz pierwszy wyrzekniesz; „kochałem!“
Gdy chciałbyś sztucznym odurzać się szałem,
A zamierają na ustach wyrazy?
Gdy dałbyś życie, by ci mogło zdać się
Przez chwilę, że ty kochasz po dawnemu,
Gdy pragniesz kochać—a nie wiedzieć czemu
Chciałbyś bezmyślnie tylko śmiać się... śmiać się?...
Aż wreszcie wszystkie ustaną pragnienia
I powiesz sobie: teraz odejść pora...
I śmierć, spokojny symbol nieistnienia,
Do twych się kroków przywiąże jak zmora,
Nęcić cię zacznie tą cichą przystanią,
Gdzie duchy skrzydła złamane zwijają
I pierwszą chwilę wypoczynku mają,
Gdzie ciernie w kwiatach ukryte nie ranią;
Będzie przytomnie czuwać na uboczu,
Aż nie podniósłszy nawet na świat oczu,
Bez żalu, trwogi, szczęścia i rozpaczy,
W odwiecznej nocy zmrok odejdziesz na nią — —
Gzy wieszty, dziecię, co to przesyt znaczy?

C. Jankowski.





Or-Ot. (A. Oppman).

D E M O N Y.

I.

Ja go wydrę słonecznej krainie,
Nim zabłyśnie w świetlanym gwiazd wieńcu,
Będę ciało szarpała w dziecinie,
Będę ducha szarpała w młodzieńcu.
Pod naporem żarłocznych mych szponów
Wzniosłych marzeń potarga się przędza,
Ja go wydrę z słonecznych regionów—
Ja potężna! Ja wielka! Ja nędza!

Zdrój porywów olbrzymich wychłepcę
Trosk codziennych zwycięskim pochodem,
I do ziemi go wstydem przydepcę,
Ja go spodlę i złamię go głodem.
Mózg mu wyżrę i krew mu wypiję,
Tak jak pisklę w uścisku go zduszę—
I zabiję! zabiję! zabiję
Jego ciało, i serce, i duszę!

II.

A gdy krwawej się oprze tej męce,
Pełen dumy, i wzgardy, i siły,
Ja piekielnym swym czarem go znęcę
Wrzącą lawą napełnię mu żyły.
Ciał drgających oślepią go błyski,
Mózg płomienne rozżarzą mu słowa,
Aż go porwę w zabójcze uściski,
Ja namiętność! Ja orgii królowa!

Gdy krew młoda powodzią w nim wzbierze,
Gdy się furya w nim ocknie szalona,
On w rozżarte zamieni się zwierzę,
Opleciony w bachantek ramiona.
W piersi żądz mu ohydnych dam żmiję,
Błotem życia splugawię i skruszę—
I zabiję! zabiję! zabiję
Jego ciało, i serce, i duszę!

III.

On nie pójdzie na skalne krawędzie,
W blaskach słońca potężne snuć dzieła,
I anielskość swą zgwałci i będzie
Jako gwiazda, co w błoto runęła.
Gdy zatęskni za niebios ojczyzną,
Wąż cynizmu zadusi wspomnienia;
Ja kipiącą go zwalczę trucizną—
Ja alkohol! Ja demon zniszczenia!

Gdy wpierw zgryzoł odbiorę go hydrze,
Widm czarownych gdy zwabię obliczem,
Nic go z wściekłych mych szponów nie wydrze,
Mojej grozie nie oprze się niczem.
Myśl, że ginie, w nerw każdy mu wpiję,
Rzucę w czaszkę szaleństwa katusze—
I zabiję! zabiję! zabiję
Jego ciało, i serce, i duszę!..

Or-Ot. (A. Oppman.)



KRÓL SIĘ BAWI.

Słoneczną aleją idzie król Staś,
A przy nim cudna dama:
— „O pani! swych oczu płomienie zgaś,
Bo spłonę ja od nich, twój sługa, twój paź!
„Bella!“ zostaniesz sama!“

Uśmiecha się buzia najmilszej z dam,
Znudzona odrobinę:
— „O królu ten pożar wzbudzasz ty sam!
Odbicie twych oczu w źrenicach swych mam!
Ty płoniesz... Ja, ach! ginę!“

Za królem dyskretnie wytworny dwór,
Opodal zwolna kroczy;
Ktoś paszkwil zanucił... ktoś podał wtór...
Ktoś szepnął z krezowców: „Ot, świeży znów dur!“
Panie spuszczają oczy...
Rozpustny szambelan dworak i bard,
Jak motyl wśród dam fruwa.
O grzeszkach, miłostkach, paple jak z kart,
A w przerwach, paryski kalembur i żart,
Rozśmiesza i zatruwa.

W ustronnej altance bawi się król,
Z jedwabnych słówek siatka:
— „O piękna! cudnego chcesz kwiatka z pól,
Co skarby da tobie, ukoi łzy, ból...
Król pójdzie szukać kwiatka!“

A ona:—„I czemuż daleko tam,
Zdobywać kwiat przebojem?
Ten kwiatek masz tutaj! O, znam go, znam!
Zań życie, o! królu! w ofierze ci dam!
Ten kwiatek—w sercu twojem!“

Jak barwne kolibry, dworaków ćma,
Snuje się między drzewy...
— „Och, kocham!“ „Na długo?“ „A ty?“ „A ja?“

Dopóki trwa rozkosz, dopóki czar trwa!..“
— „Okrutna!“ „Coż to? gniewy?“

„Co? uścisk? przy wszystkich?“ „Choć całus“
„Crzech!
Niech książę się poprawi!“
I w parku srebrzysty zadzwonił smiech,
Wśród faunów kamiennych w tysiącu brzmi
ech...
Pst!.. Cicho: Król się bawi!..

Or-Ot. (A. Oppman.)

VENUS VULGIVAGA.

Światła płoną na ulicach miasta;
Tłum próżniaków, jak rzeka się wzmaga,
A wśród niego gałgankami szasta
Wyuzdana Venus vulgivaga.
Z każdą chwilą bezczelność jej wzrasta,
Słodka, ckliwa, paląca jak zgaga:
Tu zaszydzi, tam cię błotem schlasta—
Błotem pieszczot—Venus vulgivaga.

Idź! posłuchaj wabiącego słowa!
Niech ci łono skalane otworzy,
Niech twe oko zaćmi pierś jej naga!

Trądem dusza okryje się zdrowa,
W sercu ogień ugasi ci boży
Jednem tchnieniem Venus vulgivaga.

J. Kasprowicz.



St. Wyspiański.

Z POEMATU „BOLESŁAW ŚMIAŁY".

Na krakowskim zamku wesele.
1. Królów-brat i król młody
biorą żony w kościele
i świecą krzyżem Gody.
Hej królewicu młody,
zaliś ty nie zdradzony,
Królów brat chce korony:
Śmierć legowisko ściele:
na krakowskim zamku wesele.

2. Paniątko, żonka miła
krasami się spłoniła:
Hej królewicu młody
nasycisz się urody,
jak będzie z tobą żyła.
Ty w dziewczynę wpatrzony,
nie widzisz, żeś zdradzony:
królów-brat chce korony,

Śmierć legowisko ściele,
na krakowskim zamku wesele.

3. Nie pij ty z tego kruża,
złego miałeś cześnika,
królów-brat czoło schmurza
po tobie dziwno patrzy,
rumiany raz, to bladszy;
gdzież twoi są drużbowie,
że nie śpiewają w kole —?
Rękę warzy przy czole, —
Czyli znak umówiony, —
Gwar czynią dworzanowie;...
Ty w dziewczynę wpatrzony,
chcesz, by ona wprzód piła;
nie wiesz, jakoś zdradzony;
królów-brat chce korony,
Śmierć puhary pełniła
Śmierć legowisko ściele.
Strzeż się synu orlika,
na krakowskim zamku wesele.

4. „Pij słodki miód, ty miła,
byś ze mną długo żyła;
milszaś mi nad korony.
Miłość puhar pełniła,
już legowisko ściele,
pamiętasz, jakoś śniła,
na krakowskim zamku wesele.

5. Cóżto, jakby lektwarze,
męty były w puharze,
i dreszcz mię słodki bierze — —?
Daj usta moja miła,
cóżeś się pochyliła
cóż bladość na twej twarze — —?
Miłość puhar pełniła,
Miłość łoże nam ściele,
takaś rumienna była,
jak nam grały organy w kościele.
6. Cóż dreszcz mię dziwny bierze,
męty były w puharze...

Daj usta moja miła,
już nie widzę twej twarze,
biel oczy przesłoniła;
daj usta moja miła,
złego miałem cześnika,
męty były w puharze,
Smierć puhary pełniła,
Śmierć legowisko ściele;
bądż zdrowa moja miła,
oto padam zdradzony, — —
królów-brat chce korony, — —
korona dla mnie była.
Śmierć trucizną poiła,
na krakowskim zamku wesele...

S. Wyspiański.

DO MEGO PRZYJACIELA LEONA ST...

Gdy przyjdzie mi ten świat porzucić,
na jakąż nutę będę nucić
melodyę zgonu mą wyprawną?
Rzuciłem przecież go już dawno. .

Już dawno się przestałem smucić
o rzeczy miłe, mnie stracone.
Miałyżby smutki jeszcze wrócić,
kraść, co już dawno ukradzione?

Przecież już dawno się wyzbyłem
marzeń o utraconym raju.
Żyję, by zwało się, że żyłem...
nad jakąś rzeką, w jakimś kraju...

Nad jakąś rzeką, w jakiemś mieście,
gdzie ślubowałem ślub niewieście,
gdzie dom stworzyłem jej i sobie
z myślą o jednym wspólnym grobie.

A na tym grobie, wspólnym domie,
niechże mi wichr gałązki łomie,
gałązki zeschłe, zwiędłe, kruche,
w jesienną, deszczną zawieruchę.

Tak samo będę słuchał w grobie
jak deszcz po świecie pluszcze sobie,—
jak słucham deszczu za tą ścianą,—
i wiem, że znów się zbudzę rano.

Niechże mi rano słońce świeci,
niech świeci jasno, mocno grzeje.
Nad grób niech moje przyjdą dzieci
i niech się jedno z nich zaśmieje.

S. Wyspiański.



* * *

Bądź zdrowa! (jak dziwnie brzmi dzwon!)
Bądź zdrowa! (lecą liście z drzewa...)
Bądź zdrowa! (miłość jest jak zgon...)
Badź zdrowa! (wiatr złowrogi śpiewa...)
— J u ż n i g d y!—
Rwie serce Twój płacz!
— W y d a r ł s i ę z p i e r s i n i e s p o d z i a-
n i e,
— ż e g n a m C i ę—t r z e b a—i T y B o ż e-
r a c z—
— l i t o ś c i!..— —
W konie!.. Chryste Panie.

T. Miciński.





W. Syrokomla.

POCZTYLJON.

CAWĘDA GMINNA.

— Tu piją i gwarzą, ty jeden w tej wrzawie,
Wyglądasz jak jeniec w niewoli;—
Weź czarkę, weź lulkę, siądź tutaj na ławie;
I powiedz co tobie tak boli?

Ni dzwonek, ni trąbka, ni kraśne dziewczęta,
Nie mogą rozerwać twej nudy;
Dwa lata tu żyjesz, a nikt nie pamięta
Ażebyś był wesół jak wprzódy.

—„O! bo też mi gorzko, bo smutno mi wszędzie,
Nie miło na świecie, nie miło;
Daj czarkę! przy czarce odważniej mi będzie,—
Posłuchaj co mi się zdarzyło:

Gdym przystał na pocztę, zbyt jeszczem był młody
Lecz dusza dość miała swej mocy;
Nie znało się wprawdzie wygody, swobody,
Nie było ni święta, ni nocy.

Od ranka do zmroku, od zmroku do ranka:
Woziłem pakiety, i pany,—
Dostałem złotówkę; o! wtedy hulanka,
Wesoły, i syt i pijany!

Zwodziłem dziewczęta, skarbiłem przyjaciół,
Z pisarzem, jak z równym, i kwita;
I konie mię znały, jak gwizdnął, jak zaciął,—
Rwą moje siwaki z kopyta.

Wesoło wieźć pocztę! zatrąbię na moście:
Tu kogoś się spędzi, tam spotka,
Tu wiozę panicza, tu młode imoście,
O! wtedy pewniutka dwózłótka!

Lecz serce me jednej oddałem dziewczynie,—
Mieszkała w wioseczce o milę,
Bywało wracając nigdy się nie minie,
Choć krótką przepędzę z nią chwilę.

Raz woła mię pisarz, w północnej cóś porze,
Budzę się natychmiast, przychodzę,—
A była to zima, mróz tęgi na dworze,
Zawieja, sumioty na drodze.

—„Powieziesz sztafetę!"— Oj licho przywiodło!—
Tak sobie odchodząc mruczałem.
Za pakiet, za trąbkę, za konia, za siodło,
I w moment puściłem się czwałem.—

A tutaj wiatr świszcze, śnieg kręci i ciemno,
A przytem okrutne bezdroże;
Dwa słupy wiorstowe mignęły przede mną,
Podjeżdżam pod trzeci—o Boże!

Wśród wichru poświstów, głos z płaczem zmię-
szany,
W bok drogi gdzieś woła pomocy;
Myśl pierwsza—pomogę! ktoś pewno zbłąkany,
Brnie w śniegu i zginie wśród nocy.

Zwróciłem już konia—wtem jakby mi zda się
Ktoś szepnął: „a tobież co potem?

„Ej lepiej godzinkę zyskawszy na czasie,
„Odwiedzić twą dziewę z powrotem.“

Strach serce ogarnął, zaledwiem mógł dyszeć,
Pot zamarzł kroplami nad czołem;
Jam w trąbkę uderzył, by jęków nie słyszeć,
I dalej siwego zaciąłem.

Wracałem o świcie—trzy wiorsty od domu,
Strach znowu ogarnął mię skryty;
Duch zamarł, a serce szepcąc pokryjomu,
Stukało jak dzwonek rozbity.

Przy słupie koń czmychnął—zjeżyła się grzywa—
Na drodze, pod płachtą powiewną,
Pod warstwą sumiotu—kobieta nieżywa,
Skostniała, bezwładna jak drewno.

Strząsnąłem płat śniegu na białéj jéj szacie,
I trupa wywlokłem na drogę;
Otarłem śnieg z lica—to była... ach! bracie,
Daj czarkę, dokończyć nie mogę...

W. Syrokomla.



MINOTAUR.

Śniłem sen dziwny: żeśmy klęczeli oboje
w kościelnym zmroczu lip—
a z rozsrebrzonych ołtarzy
sypał się kwiat — anielskich pełen twarzy
a na powietrzu brzęczą złote roje.

I klęczeliśmy przed sobą oboje
i usta nasze spoiły się łzami
i nie było już świata przed nami —
i tylko jedna świętość: serce Twoje.

Ponad borami
krwawiło się zorze
i słychać szum!
Tak chrzęszczą zbroje,
lub do księżyca wzbierające morze,
a my słuchając, klęczymy oboje.

Potem — uniósłszy mą dłoń —
z licem płomiennem Aryadny
wwiodłaś mię w grobów zamkniętych podwoje,
a w głębi huczał ten, co mrokiem władny
i pod kopyta zabrał serc oboje.

I po wykutej z bronzy wężownicy
przez gąszcza maków i modre powoje —
ciała nam złocił blask różanolicy
— to księżyc,
wschodząc — żegnał nas oboje.

I już na wieki — w kolumnowej sali —
pojrzałem w morskie lśniące oczy Twoje.
jakby mię w grobie ziemią osypali,
uczułem wiew, co gasił serc oboje.

Ale się jeszcze roztliło zarzewiem,
osamotnione w głębiach serce moje.
. . .Jeziora białym okryte modrzewiem
i gór dymiących napowietrzne zwoje.

Wir mię unosił do skalistej groty,
gdzie króle w złotych maskach i heroje;
przez loch w sklepieniu widzę gwiazd obroty
— błyska mi oczu fosforycznych dwoje,
a były drżące. jak noc przed obłędem,
Wicher w nich szalał, gniew i niepokoje.
Wbiłem miecz z rozpędem —
miedziana jękła pierś —
on błogosławił krwią swą
nas oboje:

— Ja
— duchy z głębin mroku

— wywiodłem, biorąc ból i wieczne znoje.
— Z gwiazd niedosiężnych
— umieram wyroku,
— aby rozpalić
— męką serc oboje.
— — — — — — — — — — —

Nad pustym błądzę brzegiem Acheronu,
gdzie z pęknięć
płyną law czerwonych zdroje.
I gwiazdom spiewam hymn
podobny dzwonu.
A w dzwon ten bije Śmierć.
Znów nas oboje—
Ja—
i Śmierć.

T. Miciński.

EVVIVA VITA!..

Niech żyje życie! niech gorze, jak słońce,
nam do ostatniej godziny wieczyście;
wszakżeśmy młodzi... serca w nas gorące
niech żyje życie, niech gorze, jak słońce;
a że czekamy dziś na świtu przyjście,
co gdzieś nam w dali, jak pożar rozkwita—
Evviva vita!..

Niech żyje życie! niechaj pieśń ta zginie,
co dziś jest jednem wołaniem tęsknoty—
nam dziś nie wolno płakać w tej godzinie,
niech żyje życie! niech pieśń trwogi zginie,
bo nam dziś pieśni trzeba, jako grzmoty,
w których zwycięska szałem moc ukryta—
Evviva vita!..

Niech żyje życie! ono, jak fale pożarne,
ku nam z dali się toczy i w pierś nam uderza:
dziś pieśni nam potrzeba, lecz pieśni-pancerza,
by nie poszły nam siły i moce na marne;
niech żyje życie! życie, jak słońce pożarne,
każdy w jego obliczu własną moc wyczyta—
Evviva vita!..

Pieśni gromów nam trzeba, co duszę namiętnie
pali szałem, czyn rodzi a nie daje klęski;
a śpiewając ją, będzie dzień zgonu zwycięski,
bo pieśń taka, zwycięstwo w swojem kryje tętnie—
mimo gwałt, z nią po laury sięgniem i namiętnie
krzykniem, gdy kto o okrzyk bojowy nas spyta;
„Evviva vita"!..

A. Dobrowolski.



O WŁOSACH.

Dotknąłem raz ustami włosów twych gdym chory,
Wynędzniały znużeniem, smutkiem i rozpaczą,
Mówił tobie jak w tęskne jesienne wieczory
Zgryzoty pod oknami memi ciągle płaczą.

A oto słońce wszystkie już wypiło słoty
I radością się w letnie płomieni wieczory,
Lecz pod memi oknami łkają wciąż zgryzoty,
Bom ustami tknął włosów twoich, gdym był chory.

K. Makuszyński.





A. Niemojewski.

W POCIĄGU.

Pożegnanie.

I.

Już dzwonek uderzył!—Ha, żegnaj, Warszawo!
Ostatnia łza błyska u powiek.
Trza lecieć w bój z życiem choć tęskno i łzawo—
Trza lecieć, ha, lecieć, wesoła Warszawo,
Rozwinął swe skrzydła ptak-człowiek!

Zaświstał nozdrzami nasz rumak, mgłą zieje,
Dym buchnął z komina szarawo.
Tam jeszcze tłum spieszy? Żegnajcie nadzieje!
Nasz pociąg nie czeka, spóźnionych wyśmieje...
Ruszamy—bądź zdrowa, Warszawo!

Żelazny bucefał skrą parska i leci,
Świat tańczy dokoła nas żwawo,
Dmą wichry, wagony jak szereg stuleci
Zdążają za smokiem, co huczy a leci
Wciąż naprzód, wesoła Warszawo!

Leć smoku żelazny! Po szynach grzmią koła,
Wian iskier oplata nas krwawo,
Dym-welon z wiatrami faluje u czoła,
Ho naprzód! ho naprzód! podziemny grzmot woła—
Bądź zdrowa, bądź zdrowa, Warszawo!

II.

Przystanek.

Stajemy... Dym bucha i tarza się nisko
Jak z krwawej ofiary Kaina.
Czy pociąg z szyn wypadł? Czy pękło kolisko?
Czy sygnał ostrzega że zator gdzie blizko?
Leć smoku! Cóż w miejscu cię trzyma?!

Leć smoku, grzmij piersią: wesele! wesele!
Ha, cóż to? Zgiełk słychać? Świst pary?
Zbryzgałeś krwią stopy i stajesz nieśmiele—
Tyś smoku przejechał kołami po ciele
Nieszczęsnej, zmiażdżonej ofiary...

Lud zbiega się zewsząd i ryczy jak burza
Przekleństwa miotając złowrogie.
Ha, smoku! Tyś głuchy! Dym z płuc się wynurza,
Drwisz z ofiar, na piersi twej pała krwi róża—
Hej w drogę, hej w drogę, hej w drogę!

Jak geniusz żelazny z obłoku koroną
I ślepiem czerwonem u czoła
Ty lecisz, ty świecisz i skrzydła w dal wioną—
A kogo napotka, obali twe łono,
Obali i rzuci pod koła!

Jak demon, krwi chciwy, łez chciwy, wciąż chciwy
Na skrzydłach skłębionej mkniesz pary,
Jak strzała z żelaznej puszczona cięciwy
Śród świstu w dal bieżysz po drodze burzliwej
Zmiatając brutalnie ofiary.

III.

Turystka.

Śród huku i świstu przy oknie zwieszona
Młodziutka turystka przystaje,

O szybę opiera swe wiotkie ramiona;
Zaduma na czole, westchnienie śród łona
A oczy—dwie głębie, dwa raje!

„Ach, pani, mgła siwa widnokrąg powleka,
„Myśl płocha grę marzeń poczyna!
„Pogwarzmy! Bieg zbliża z człowiekiem człowieka...
„Daleko podążasz? Przybywasz zdaleka?
Gdzie kraj twój, ziomkowie, rodzina?

„Mów, za czem przebiegasz świat z końca do końca
Śród życia złudnego poranka?
„Gdzie matka została? Czy łza jej paląca
„Pieścideł fantazyi dziewiczych nie zmąca?
„A najprzód—czy masz już kochanka?..“

Śród huku i świstu w pędzącym wagonie
O szyby śmiech dziki potrąca;
Przedemną z mgły postać, purpurą twarz płonie,
Namiętność z brwi strzela, faluje na łonie,
A oczy—to czarne dwa słońca!

Śród huku i świstu grzmią dołem koliska,
Świat w mglistej roztapia się dali..
Już oddech gorący w twarz powiał mi zblizka—
Śród huku i świstu dłon rękę mą ściska,
Na ustach szał mowy się pali:

„Daj ramię!.. Ty pytasz, gdzie matka? rodacy?
„Ty pytasz, gdzie świta cel drogi?
„Poeto!.. Leć ze mną, pomkniemy jak ptacy!
„W mej willi chleb z solą już czeka na tacy
„A rozkosz umai nam progi...

„W mej willi tam szumią pieniste puhary,
„Tajemną muzyką brzmią drzewa,
„Powoje oplotły wysmukłe filary—
„Na puchach kwiecistych pod cieniem kotary
„Sen-demon skrzydłami żar zwiewa...

„Codziennie tłum służby tka nowe mi szaty,
„Tłum wierny, śród dymu i potu,—
„Codziennie do uczty w wian splata mi kwiaty

„Codziennie po skarby w podziemne mknie światy
„Śród dymu, śród młotów łoskotu..

„Daj rękę! Uśniemy w upojeń godzinie
„O jutra nie dbając zagadkę..
„Gdzie kraj mój? Tam kraj mój, gdzie złota nurt płynie!
„Rodzina? Ja wrogów mam tylko w rodzinie!
„A matka? Zabiłam swą matkę!..

„Bo matką mi Przeszłość i w trumnie już leży
„A wieko naciska ma stopa!
„O jutro ja nie dbam! W „dziś“ tylko się wierzy
‚Na skrzydłach geniuszu, w żelaznej odzieży —
‘‚Leć ze mną—ja jestem Europa!“

IV.

Bieg tryumfalny.

Jak chmury ieniwie po niebie się wloką!
Jak gwiazdy ciemnawo dziś swiecą!
Jak hucznie my lecim!—Mgłą zaszło znów oko
I z głębi mej piersi westchnąłem głęboko:
Europo, ty złota wietrznico!

Westchnienie me wichrów unosi gromada
Nad głuchą mazurską ziemicą,
I kiedy po szynach rwie pociąg-nomada,
Za refren do grzmiącej kół pieśni układa:
Europo, ty błędna wietrznico!

Z gry wichrów, z kół grzmotu wre zwrotka tytania
I z dymem przez komin ulata.
Żelazny wąż-pociąg straż granic rozgania,
To pomnik skrzydlaty narodów zrównania,
Szyn wstęgą opasał pierś świata.

Bieg dumny, olbrzymi, bez granic, bez brzegu,
Ogłusza nas swoją zawieją.
Lecz spojrzmy za okno wagonu śród biegu
A może tam widma w złowieszczym szeregu
Nas w pędzie szalonym owieją.

Mijamy sznur chałup nad lichą wioszczyną:
Nim pociąg w dal umknie kół stopą,

Przez dachy dziurawe, splecione wikliną,
Wiatr śwista i głosy zmieszane w noc płyną:
Cóż dałaś nam, dumna Europo!

Wpadamy w las czarny, budzimy sen kniei
A z cieniów z latarki źrenicą
Wyrasta gmin-upiór żebrzący nadziei,
Zabiega nam drogę i wyje z kolei:
Europo, ty wielka zwodnico!

Europo! Tryumfem wiek oplótł twe skronie,
Zdobywców wiek siły, wiek złota...
Ha, niechaj tam ludzkość noc czarna pochłonie,
Ty z armią zdobywców ulatasz w wagonie
I próżno gmin klątwy w dal miota!

V.

U celu.

Gdy pociąg-huragan żelazną wiał drogą
Dmąc żarem przez komin ponuro,
Wtem sygnał piszczałki odezwał się wrogo,
Konduktor zbladł, skoczył i cofnął się z trwogą,
Kurz sypnął, owinął nas chmurą.

Grom huknął straszliwy, płomienie strzeliły,
Jak gdyby świat pękał z łoskotem.
Smok wleciał na smoka, zmierzyły swe siły
I spięte runęły—a jeszcze dymiły
Ich paszcze iskrami i grzmotem.

Śród trzasku i zgrzytu jak z piekieł komina
Słup ogniów i głowni wytryska.
Dym zawiał, chór jęków do koła się wszczyna...
To koniec tryumfu!.. Spojrzałem—ruina—
Dymiące zgliszczami zwaliska!

Dwa smoki w śmiertelnym uścisku dyszały,
Strzaskane, zmiażdżone dwa smoki!
Wy dumne olbrzymy! Nie porwą was szały!
Już skrzydła stalowe ciąć wichry przestały,
Wy dumne kultury proroki!

Dniem, nocą, śród znoju i przekleństw tysiące
Wam kuły te cielska olbrzymie,
Witały dnia słońce, żegnały dnia słońce,
Dźwigając swe młoty w bezkońce, w bezkońce —
A teraz już śpicie w zgliszcz dymie?!...

Hej smoki! Wiek cały ze światem w weselu
Tak szalał wasz taniec wzdłuż globu!
Po tylu zdobyczach, ofiarach tak wielu,
Wy, dumne potwory, stajecie u celu,
U celu pielgrzymki do grobu!

I z wami ta garstka, co na kark wasz siadła,
Śniąc tryumf żelaznej kultury,
By gonić po ziemi swe chciwe widziadła—
Dziś w gruzy rozpadła, w sen śmierci zapadła,
Sen grozy, sen zgasłej natury...

Lecz w dali świat żyje i huczy i goni
Za marą następnych stuleci.
Ha, cóż stąd, że garstka runęła do toni?!
Świat-pociąg grzmi naprzód z gwiazd wieńcem u skroni,
Aż kiedyś z szyn swoich wyleci!

A. Niemojewski.

CHRYSTE, O CHRYSTE!

Z barłogu mego, z czarnych nędz otchłani,
Do Ciebie wołam z krwawym serca płaczem,
Jak ci żeglarze wichrami chłostani
I jak pielgrzymi w zbłąkaniu tułaczem,
Z głębi mej duszy w przestwory gwiaździste
Do Ciebie wołam krwawym serca płaczem:
Chryste, o Chryste!

I choć przesytem zmącone aż do dna,
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,

Jak ta spragniona rosy lilia wodna,
Co łodygami grzęznąc w mętnem bagnie,
Twarz tęskną zwraca na zorze ogniste—
Serce ku Tobie drży i Ciebie pragnie,
Chryste, o Chryste!

Krom Ciebie, niebo i ziemia mi zbrzydły,
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce;
Więc, jak ptak błędny z podartemi skrzydły,
Do nóg Twych padłszy, duch mój się trzepoce
I wznosi na Cię oczy bolem szkliste.
Ty jeden koisz smutki dusz sieroce,
Chryste, o Chryste!

Usta do stóp Twych przebitych przyłożę,
Słodki Twych oczu spokój mię ogarnie—
Znękany jestem:—w nadchmurne przestworze
Rwałem się myślą i spadałem marnie,
Ścigałem ziemskich złud ogniki mgliste...
Słodki twych oczu spokój mnie ogarnie,
Chryste, o Chryste!

Chwytam się Ciebie rękoma drżącemi,
Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych!
Prochem jest ziemia, a jam prochem ziemi,
Lecz mnie nie strząsaj z bieli szat swych śnieżnych—
Stwórz we wnętrznościach moich serce czyste,
Nie daj mi zginąć w ciemnościach bezbrzeżnych,
Chryste, o Chryste!

Jam kwiat więdnący na życia łodydze,
Weź mnie do Siebie, bom już pójść stąd gotów:
Dość mi obłędów, które wkoło widzę.
Dość mi już własnych upadków i wzlotów...
Weź mię na ciszy łono wiekuiste,
Weź mię do siebie, bom już iść stąd gotów,
Chryste, o Chryste!

L. Rydel.



Z NOCNYCH GWARÓW.

— „Czyżby to był świt, matulu,
Czyżby to był świt?
Czarna noc zagląda w okno,
Straszy wichru zgrzyt.
A tam słychać tentent koni,
Jakby z łąki już
Powracali nocleżnicy
Z wieścią rannych zórz.
Słychać głosy, zda się—swoje,
Wołają u wrót:—
Gaście ognie, pójdźcie w pole,
Już bieleje wschód!—
A tu noc zagląda w okno,
Straszy wichru zgrzyt...
Czyżby to był świt, matulu?
Czyżby to był świt?“

Wyszła matka na próg chaty,
Na zmurszały próg;
Wypatruje... nasłuchuje
Echa z pól i dróg,
I wróciła.—„Jacyś ludzie
Chodzą tu po wsi,
Powiadają, że za borem
Pono zorza lśni.
A tu ciemno, wiatru tylko
Słychać jęk i zgrzyt.
Nie! to nie jest świt, dziecino,
Nie! to nie jest świt.“

I. Baliński.

EVVIVA L'ARTE!

Evviva l'arte! Człowiek zginąć musi—
Cóż, kto pieniędzy nie ma, jest paryasem,
Nędza porywa za gardło i dusi...
Zginąć, to zginąć, jak pies, a tymczasem,
Choć życie nasze splunięcia nie warte:
Evviva l'arte!

Evviva l'arte! Niechaj pasie brzuchy
Nędzny filistrów naród! My artyści,
My, którym często na chleb braknie suchy,
My, do jesiennych tak podobni liści,
I tak wykrzykniem: Gdy wszystko nic warte,
Evviva l'arte!

Evviva l'arte! Duma naszym bogiem,
Sława nam słońcem, nam, królom bez ziemi!
Możemy z głodu skonać gdzieś pod progiem,
Ale jak orły z skrzydły złamanemi,
Więc naprzód! Cóż jest prócz sławy coś warte?
Evviva l'arte!

Evviva l'arte! W piersiach naszych płoną
Ognie przez Boga samego włożone:
Więc patrzym na tłum z głową podniesioną
Laurów za złotą nie damy koronę,
I chociaż życie nasze nic nie warte:
Evviva l'arte!

K. Przerwa-Tetmajer.

ŚWIATŁO.

I czemuż człowiek w czyste lazury
Tak tęskny podnosi wzrok?
On-by i życie chciał mieć bez chmury!
W zmroku wieczności pojąć nie może!

Smutnymi braćmi są: czas i zmrok,—
Światłość i wieczność, to siostry boże!

W swej niewinności dzieciątko pływa,
Jakoby w świetle księżyca,
W sercu młodzieńca burza straszliwa
Przelata jak błyskawica.

Mąż w gorejącej czynu potędze
W południe zmienia swych marzeń rano,
Bo czyn jest słońcem zasługi

A starzec milczy w boleści długiej...
Jeszcze przed wieki w klasztornej księdze,
Boleść jest światłem nazwaną.

A gdy i szczęścia zapadnie się tron,
I zgasną nawet boleści,
Najpotężniejszą światłość nam obwieści
Pochodnia w kraje przekonania: zgon.

I tak więc światłość nieskończona wszędzie,
Wiarą, mądrością, miłością, nadzieją,
Nawet w ciemnościach była jest i będzie.

Tylko ciemności jej nie rozumieją...

Deotyma.





W. Pol.

CICHO A CICHO.

To stara cerkiew!—może rówiennica
Peczerskiej Ławry, bo dziwnie zakonna,
I w koło mury potężnie obronna.
Na starej baszcie zawisła dzwonnica,
Na pięknym wzgórzu najeżyła krzyże...
Poważna rzeka stopy góry liże.
Stare ją dęby obsiadły do koła,
A srebrny dzwonek na modlitwę woła...

Od wieków widzę rozwarta tu brama,
Jakby czekała dobrych wieści posła...
Kula kumienna na wpół w ziemię wrosła
Straż tutaj trzyma, jeszcze tylko sama.
W starych strzelnicach kwitną polne róże,
A na wyłomie leżą działa duże...
Jedno znać pękło z ostatniego strzału,
A w drugiem zabił ktoś gwóźdź do zapału...
I w jednem usłał na samym wylocie,
Ptaszek swe gniazdo—w drugiem mrówek krocie...

Już na cmentarzu sterczą dwie mogiły
Tuż za wyłomem.—więc wiem kogo skryły,
Kie y piołunem tak porosły sobie—
Nie darmoć piołun to rośnie na grobie:
Piołun—to hasło gorzkiego żywota,
Piołun na febrę zachwala prostota,
A tutaj rośnie—choć tylko dąb stary,
Pamięta jeszcze rzezie i Tatary...

Na kropielnice do wody święconej,
Widzę tu stary moździerz obrócony...
A co zniszczenie i zagładę niosło,
To panu Bogu na poczciwe wzrosło:
Po nad moździerzem wisi na uboczu,
Obraz Marji złocisty, uroczy,
I w tym ikonie widać sądy Boże,
Bo u stóp Marji zawieszone noże.

Z rzezi tatarskiej—razem z temi kwiaty,
Co je lud znosi Pani na objaty...
A i zwycięskie i to zwyciężone,
Może się uciec tutaj pod obronę—
Choć z różną prośbą—razem czy nie razem,
Bo nie przepuści Bog nikomu płazem.

Cicho a cicho—i głucho a głucho...
Brzęk tylko pszczoły uderza o ucho.
Legli hetmani, legli wojownicy...
I krew zakrzepła; szcześli najezdnicy...
I pozostała po nich tylko wzmianka,
Ale Najświętsza korony hetmanka,
Jak hetmaniła tak światu hetmani,
I bierze kwiaty i modlitwy w dani.

Pan Bóg na pokój zamienił tu wojnę...
I wszystko ciche i wszystko spokojne...
Mrowie i piołun każdy rok rozmnaża—
I wielka cisza starego cmentarza.

W. Pol.

GRÓB WYGNAŃCA NA SYBERYI.

Cicha, bez granic, śnieżna równina,
Drżącem księżyca światłem oblana;
Wśród niej się czerni jak kropla sina,
Mogiła z śniegu owiana.

Żadnego serca grób ten nie wzruszy,
Nigdy nie dojrzy go ludzkie oko;
Jedynym świadkiem tej wiecznej głuszy:
Księżyc sunący wysoko.

Lecz oto gwiazda nad grobem płonie,
Śląc wszędzie światło z swojego łona,
Siejąc promienie przez niebios tonie,
Jak gdyby krzyża ramiona.

Jasny krag światła nad grób promieni,
Wabiąc tę ziemię w niebo, ku sobie;
A widny z całej świata przestrzeni,
Krzyż, na męczeńskim tym grobie!

Z skał wystawione piramidy runą,
A słowo imion w niepamięci zaśnie,
I pokolenia w mogiłę się zsuną:
Nim krzyż ten zniknie, nim ta gwiazda zgaśnie!

L. Chrzanowski.



DROGOWSKAZY.

Zbyt wiele nocy śniłem odkrywcze wyprawy
Wśród czterech nienawistnych ścian ziemskiego domu:
Roiłem brzeg daleki nieznany nikomu,
A łkałem, gdym się ze snu obudził dla jawy...

Rzuciłem nędznej izby próg, poszedłem głazy
Zaklinać, pytać drzewa każdego o drogę
I już w dom wracać nie chcę i wrócić nie mogę,
Bo w każdej rzeczy czuję tajne drogowskazy.

Ścigałem złote słońce spokojne niezmiennie,
Biegłem za wichrem, chmurą, by na drogi końcu
Przestać wierzyć obłokom i gwiazdom i słońcu,
Bo wiodą w świat! Och, wiecznie w świat! Zawsze,
codziennie!

Zbrzydziłem przewodników i biegłem szalony
Niedeptanemi drogi i nieraz na ciemnej
Ścieżce, nocą, drogowskaz wyrastał tajemny,
Któremu rozstaj ręce rozpierał w dwie strony.

Wyczerpany—z nadzieją pod sterczącem drewnem
Usypiałem... Lecz noc mi gotowała zdradę...
A gdym o brzasku czoło ze snu dźwigał blade,
Wyłem z rozpaczy w świetle świtania niepewnem!..

Bo wyciosany z wierzby słup głodną odnogę
Korzeni puścił nocą w ziemię i ssał soki
I—nim świt—liściem szumiał i w krąg pod obłoki
Tysiącem rąk wystrzelił i zmylił mi drogę!..

Nędzny zwiastun, przewodnik do jasnej oddali,
Który się mógł na pustce przyjąć tak odległej
Od celu! Żary dłonie me gniewne zażegły
I podły pień spróchniały spłonął w ognia fali!

Obłęd mnie gnał pjanego rozpaczy nawałem,
Oślep na śmierć pędziłem zdradzany sto razy,
Lecz kiedym ujrzał w dali nowe drogowskazy.
Nadzieja znowu żyła i znowu ufałem!

Ramiona słupów oczom mym drogę tyczyły...
Zbierałem sił ostatki znużeniem mdlejący,

Aż mi drogę drogowskaz zabiegł. wskazujący
Ścieżkę sprzeczną tej, którą me stopy przebyły...

Wracałem wypełniając obłudne rozkazy,
Lecz by znów zajść na miejsce wędrówki pierwotne!
Słup słupowi odsyła mnie w drogi powrotne...
I nigdy wyjść nie mogę poza drogowskazy!!..

Bluźnię im i złorzeczę. Wtedy one czarne
Ramiona opuszczają, klnąc ból swych przeznaczeń,
Już nie wskazując drogi, tak krzyże zrozpaczeń,
Sniące dróg zapomnianych milczenie cmentarne...

Potem idą, jak mnichy, ciemnymi pochody,
Tańcem umarłym łączą się w obłędne koło,
Pocałunki złud kłamnych kładą na me czoło
I majaczą długimi w bezkres korowody...

Wołają przebaczenia za omamień złudy— —
A tam w górze, nad tańcem drogowskaźnych znaków,
Płyną z źrenicą w słońcu klucze wolnych ptaków
Spokojną, jasną drogą w chmur i nieba cudy...

L. Staff.

CIERPLIWOŚĆ.

Znosiłem jak anioł cierpliwie,
Ból wszelki o ile był... cudzy;
A teraz ogromnie się dziwię,
Że mogę mój znosić jak drudzy...

L. Rydel.

SKARGI.

Stworzyłem sobie sam Gehennę!...
Analizując duszę własną,
W kraj nocy wszedłem, gdzie promienne
Słodkiej nadziei gwiazdy gasną...

Dziś mi porywy górne studzi
Świadomcść kłamstwa w każdym celu...
Śmieję się w oczy, słysząc ludzi,
Którzy mi mówią: „przyjacielu"...

Serce się moje głucho zżyma,
Kiedy kochanków szept usłyszę—
Wiem, że miłości żadnej niema,
Tylko ułudne są haszysze...

Wiem, że gra zmysłów i krwi fala
Obraz rojony w mózgu stwarza,
Lecz się uczucie nie skrysztala
W opal, co tęczy blask powtarza...

Wiem, że jest kłamstwo w tem zaklęciu,
Które powiada! „już na wieki"!
I naiwnemu śnić dziecięciu
Pozwala Eden niedaleki...

I czyliż warto żyć dla złudzeń
I, podejmując walkę z losem,
Brać na się brzemię tych utrudzeń,
Które się pustym stają kłosem?..

Wszakże się wszystko w niebyt stoczy,
W nierozwidnioną noc bez końca,
Bo skoro moje zgasną oczy—
Wraz z niemi zgaśnie i blask słońca...

Z. Dębicki.



TRĄBY W DNIEPRZE.

Stał obóz polski stała Ruś w taborze,
A między nimi Bugu święte łoże.

Rusin jedwabne rozpinał namioty,
Pawołoczemi opończmi czerwienił;
Srebrne tam szable i złocone groty.
Obóz Rusinów jak połoz się mienił.

Pod gołem niebem, w kożuchu baranim
Lach obok konia: szczyt i zbroja na nim—
Twardy ich żywot, jak żywot pokuty,
Chłop, koń i puklerz z jednego ukuty.

W dzień pierwszy głazy miotali kamienne,
W dzień wtóry strzały miotali kalenne;
W dzień trzeci z brzegu Błud obelgi miota
Na króla Lachów.

— Ej ty tuczny wieprze!
Azać Bug przebrnąć nie bierze ochota,
Kiedy się kusisz wody napić w Dnieprze?
Azać żal sadła na ruskie pazury?—
Na tu, na wieprzu! ryknie Ruś, jak tury.

A Błud, czarownik, stroił strachy lepsze:
Zaklął Peruna i wszystkie Kumiry,
Bug w mgłach rozkopił, wiatry podniósł cztery;
Rzucił zwierciadło—i woda po pasy;
Igłę na rolę—wstały w okrąg lasy;
Kamień na stepy — i góry na stepie.
Trafiajże Lachu, choćbyś miał sto slepie.

— Źle z nami, wiara! czart nas wziął do koła.
I k' kopijniku król: „Hejno! zawoła,
Włócznia Maurycego i szabla anioła,
Krzyż pański, imię Chryste i Maryja!"
Ciął szablą w zmory, kopią mgłę przebija—
Jak sen o świcie pierzchły precz tumany;
Znów świeci słońce, i Bug płynie szklany.

— Bogarodzico! wiara wpław, koń łodzią—
Pierwszy król skoczył, a za nim czereda,
Aż rzeka na brzeg bryznęła powodzią,
Tylu w bród poszło. Ruscy popłoch trąbią,
Strach im do szyków i oręży nie da!
Lachy na karku siedzą, kolą, rąbią;
Z martwych do Bugu krew wali się rzeką—
Chorągwie w piasku; z ciał wstała mogiła;
Pycha butnego w piasek się wtłoczyła,
Pycha Błudowa. A gdzie Błud?—daleko
Wyprzedza wiatry— —

Kniaziu Jarosławie!
Klasnąłeś w ręce po krwawej rozprawie,
Samoczwór szlakiem pędzisz do Kijewa.
Brance, namioty, skot, sobole, kuny,
Padły zdobyczą; z gródow biją łuny;
Ba, Kijewowi on pożar dogrzewa,
I sam Nowogród: Gorze mnie! zaśpiewa.

Tam, czy to zorza na dachy upadła?
Czy góra złota siedzi śród zwierciadła?
Pytają Lachy.—To Kijew—gór trójca
Czterysta cerkiew dźwiga, pasem z głazu
Biodra mil siedmiu okręca; do razu
Wytrąbi ze sto tysięcy mołojca.
A Lachy na to; „Na głazy i bramy,
Mamy buksztele i tarany mamy;
Na sto tysięcy tuły pełne grotu
Szable toczone, rumaki do lotu.“

Stadami kawek czernieją dzwonnice;
Wilk zadnieprzański wyje korowodem—
Dadzibóg datkiem nie darzy, a głodem—
Wybija wnuków. Sokół zuzulice
Porzucił młode. Synu Włodzimierza!
W mur Nowogrodu niesie cię łódź chyża
Od siostr i żony!—A gdzie dzwon wiecowy—
Za gockie brzegi tyś pociec gotowy!

Uniż się grodzie! pas się twój rozkował,
Pożar złociste stropy pozdejmował;

Zgasłeś—Bolesław konia w skok wypuszcza,
Oburącz mieczem w bramę ciął ze złota:
Miecz się wyszczerbił, padły na wznak wrota;
Na twarz bojary, na twarz czarna tłuszcza.

— Chrobryś pan, chrobry! mir, mir ruskiej ziemi!
Chleb, sól i kości świętych!—Pawołoką
Szlak ci wymościm; dzwony zofijskimi
Odzwonim sławę. Ośm dziewic, jak oko,
Siόstr Włodzimierza z oprawą, twym plonem.
Stolec Ruryka podeprzem wysoko,
Szeroko stopnie wybijem pokłonem.
Cześć tobie ninie, Chrobry po wsze czasy!—

I szedł król, za nim oszczepów szły lasy,
W chram świętej Zofii. Pieśń Bogarodzica
Wstrzęsła sklep cerkwi; ostrzele i lica
Pokorą pyłu przed ołtarz się miotły:
A wszystkie dzwony dzonią, huczą kotły.

Żer, żer sokoły! Król dzieli zdobyczą.
Jezdny czy drabant, brał proporce, tuły,
Opończe; resztę grzywnami doliczą.
Skarbiec cerkiewny słał do kapituły
Gnieźnieńskiej, kędy święty Wojciech w grobie.
Sam król nic nie brał, tylko dziewkę młodą
Z branek książęcych rad podobał sobie,
I wiódł do łoża. Brańcom rozciął łyka,
Syny bojarów puszcza na swobodę,
A sobie wybrał Błuda czarownika.
— Nie byłoć Błudzie bojować językiem!
Snać go pan w łaźni ochwoszcze winnikiem,
I da mu ścierkę.—Bies wie, czy nie gorzej,
Może rozerwą końmi na rozdroży?—
Tak przebąkali, dwaj: ciura z łucznikiem;
Tak po Kijewie. Krzywym tropią torem—
Król wyżej buja, niż Diw z białozorem.

— Co mi za tuman?—Czy to turów stado
Hasa na błoniu? czy to hufce jadą?

Co mi tam ciemno na Dniepru błękicie—
Czy wodni goście? Wstał-że Igor stary
Zbierać nosady na latyńskie cary?
Czy po raz wtóry Ruś pogańską chrzcicie?
— Ni Ruś to chrzcimy, ni z Igorem płyną;
Jeno król Lachów ze zbrojną drużyną
Wjechał na zalew dnieprowy w półkręże.
— Tu kres!—grzmiał piersią—tu kres! rykną męże.
Tu słup żelazny!—Gdzie koń wrył kopyty,
Koń Bolesława, słup żelazny wbity."

Na środek rzeki łódź wygnały wiosła;
Błud płynął w łodzi; cisza się podniosła,
Dziw będzie. Z łodzi wielkie trąby cztery
Dźwignięto, jako słupy chramu w Retrze,
I zatopiono razem w Dniepru wiry.
Podwodną pieśnią zagrało powietrze;
Taką czcił bojar pieśnią bohatyry,
Gdy wieszczym palcem bił o struny żywe.
Rusałki pieśń tę po szuwarach wtórzą,
A białą pianę chwyciwszy za grzywę
Na czarne morze pławią się; a z burzą
I wendska Odra i morze Waregów,
Pieśnią tą grały gwoli lackich brzegów;
Sam Lach, a nie kto, tę gędźbę rozumie.
Lud ją podziwiał, a król rzekł:—Hej, kumie
Błudzie! rzeka gra darmo, żeru głodna.—
I wnet z kamieniem Błud pornął aż do dna!
Błuda bies porwał. Stoi słup, a rzeka
Chrobrego sławą gra z wieka do wieka.

L. Siemieński.



G. Daniłowski.

PIOSENKA.

Raz, gdym śpiewał piosenki płomienne,
Kiedym śpiewał młodzieńcom swe pieśni,
I myślałem, że dusze ich senne
Rozbudziłem, odarłem je z pleśni,
Serce w piersiach zadrgało mi żywo...
Wtem rzekł jeden: No, chodźmy na piwo!..
Zaśpiewałem dziwczynie, o zmroku,
Wyszeptałem jej swoje marzenie,
A gdym blaski zobaczył w jej oku,
Fale w piersiach i w twarzy płomienie,
Rwałem serce, zmieniałem w słów kwiaty
Wtem spytała: Czy pan jest żonaty?
Więc śpiewałem piosenki me własne,
Zaśpiewałem je słońcu o świcie,
I słuchało mnie słońce to jasne,
I słuchały mnie chmury w błękicie,
A głosowi wtórował wiatr świeży...
Słońce kocham... nie wierzę młodzieży.

A gdym nocy zaśpiewał uroczej,
Kiedym nocy zaśpiewał tej cichej,
To słuchała mnie noc i gwiazd oczy,
I słuchały mnie kwiatów kielichy,
I mgły sine, wiszące w dolinie...
Dziś noc kocham, nie wierzę dziewczynie!
A gdym ziemi zaśpiewał tej łzawej,
To słuchała mnie ziemia ta święta;
I przycichły motyle śród trawy,
I przycichły na drzewach ptaszęta;
Wtórowały mi ziemi tej groby...
I dziś kocham tę ziemię żałoby!
I dziś kocham ja słońce to złote,
I noc kocham, i gwiazdy promienne,
I pieśń kocham, i pieśni tęsknotę,
Kocham niebo i chmury te senne,
Kocham ptaki i kwiatów powoje...
Dla nich płyńcie piosenki—wy, moje!
Dla nich, dla nich ma piosnka niech dźwięczy.
A strój pieśni mej będzie bogaty
Bo pożyczę jej blasków od tęczy,
Barwy dadzą piosence mej kwiaty,
A rytm pieśni da szara ptaszyna...
Więc płyń piosnko—ty, moja jedyna!
Płyń piosenko! i rośnij na sile,
A płyń piękna i żywa, jak rzeka!
I nie tylko cię kwiaty, motyle,
Lecz i serce ukocha człowieka...
Co? człowieka?! Dlaczegóż to słowo!
Odtrącone powraca na nowo!
Tak! bo chociaż bardzo mi jest droga
Noc marząca w gwiazd złotej ulewie,
Smutna ziemia i słońca pożoga,
I tęsknota, zaklęta w słów śpiewie,
I lot ptaków, i kwiatów kobierce...
Lecz najdroższe mi ludzkie jest serce!

G. Daniłowski.

STŁUM TĘ CHĘĆ ŻYCIA!

O serce biedne, o zdeptane serce!
Po co tak rwiesz się do dalszego bytu?
Czyli-ż nie lepiej w zawodów rozterce
Rzucić na zawsze jesienne kobierce
Łez i przekwitu.

Czyli-ż nie lepiej raz zginąć jak liście,
Które wiatr—patrzaj!—ścina z tego drzewa,
Niżeli czekać tak na wiosny przyjście,
Co tobie, serce! nie zaiśni ogniście
I nie zaśpiewa?
Czy strach ci próżni, co za grobem zieje?
Czy cię przeraża, ach! to nic bezdenne,
Gdzie świt swych brzasków srebrzystych nie leje
Gdzie się pragnienia kończą i nadzieje,
Te widma senne?!

Stłum tę chęć życia! Nie różni się niczem
Od tamtych bezdni pustka wokół ciebie;
Tylko że tutaj pali cię swym zniczem
Ułudna gwiazda, drżąca na zwodniczem
Pożądań niebie...

J. Kasprowicz.



JUDASZ.

Gdzie puści oczy,
Tam krew się toczy,
Tam krzyż się dźwiga wzwyż:
Biała jak płótno
Twarz patrzy smutno,
Krwią żywą cieknie krzyż.

Ucieka z krzykiem...
Za przedawczykiem
Zawarł się święty grób!
Pot płynie z skroni:
Goni go! goni
Ten krwawy, czarny słup.

W puszczę ucieka,
Kędy od wieka
Nie słychać ludzkich tchnień:
Ha! stój szalony!
W krzyż okrwawiony
Zmienia się każdy pień!

Więc między skały
Mknie, oszalały,
Chce skoczyć w jar—i drży:
W przepaści głębi
Splot mgły się kłębi:
Wyrasta krzyż z tej mgły!

Nigdzie spocznienia,
Ni odetchnienia;
Nigdzie! na mgnienie mgnień!
Przed sobą, w sobie,
W życiu i w grobie
Krzyż widzi—i ów dzień!

Ów dzień gasnący
W zorzy krwawiącej,
Ogrójec owian mgłą,
I twarz w żałości,
I wzrok miłości,
Gdy zbirom wydał Go!

Bez odpocznienia
Do dni skończenia,
Judaszu, karę masz:
Nic, tylko ony
Krzyż okrwawiony
I ta przesmutna twarz!..

Or-Ot.

HAJDUK.

(Zdarzenie prawdziwe wojewody Potockiego).

Wicher wyje, wśród zawiei,
Lecą sanki w szybkim biegu,
Droga błędna bez kolei,
Przysypana zaspą śniegu.

Rącza czwórka dziarsko pędzi,
Jak w zawody z wiatrem mroźnym,
Hajduk piersi swej nie szczędzi,
Nagli konie głosem groźnym.

W saniach stary wojewoda
Krasną córkę szubą kryje;
A wojewodzianka młoda
Z cicha szepce litanije.

„Dobrej myśli bądź mi panno!
Nie poniesie szwanku zdrowie.
Z taką czwórką, z taką sanną,
Wkrótce staniemy w Daszowie.
Strach mej córce nie do twarzy
Nie bądź mi tak drżącą, bladą.
Wstydź się!—może ci się marzy,
Głodnych wilków liczne stado?

Niechaj mi się zjawi który!
Nigdy strzelba ma nie zdradza
Wreszcie blisko już futory,
I gęstwina się przerzadza."—

A wtem z boku wśród zamieci
Zaiskrzyły wilka oczy
Za nim drugi, za nim trzeci,
Z przodu, z tyłu, z lasu skoczy.

I ku saniom stado całe
W susach pędzi, zębem zgrzyta,
Rozdziera paszcze zgłodniałe:
Wojewoda za broń chwyta.

— „Hej! hej! hajduk! popuść lica
    Panno płacz nas nie obroni!“—
Strzelił—i wściekła wilczyca
    Pada przed kopyta koni.

Wilki ścierwo na kawały
    Szarpiąc wstrzymały się nieco,
A konie dziko zarżały,
    I znów naprzód dziarsko lecą.

— „Panie my ich nie odgonim,
    Hajduk rzecze, jedną bronią,
Panny naszej nie obronim,
    Słyszysz jak za nami gonią?

Byłeś ojcem dla sieroty,
    Wykarmiłeś go z powicia
Niech wywdzięczy te szczodroty
    Poświęceniem swego życia!

Dość za tę przysługę zyska
    Jeśli Panów Bóg ocali!
O! już wilki wyją zbliska
    Lecz i futor widać w dali.“—

Chwyta strzelbę, z sani zsiada,
    Wojewodzie lic podaje,
Bieży wprost do wilków stada
    I na środku drogi staje.

Wojewoda łamie dłonie
    Ale bronić go nie zdoła,
Do futoru nagli konie
    I na pomoc ludzi woła.

Lecz za późno, z ludzi zgrają
    Ku obronie szybko bieży,
Już wilki w las uciekają:
    Rozszarpany hajduk leży.

Henryk hr. Potocki.

JAN KAZIMIERZ.

Śpiew historyczny.

I.

Pod smutną gwiazdą Kazimierz się rodził:
Za niego we krwi Ukraińskie niwy,
Za niego spisek sąsiadów nachodził
Kraj nieszczęśliwy.

II.

Nasza to chciwość i nieludzkie kary
Zburzyły naród Kozaków waleczny,
Chytry Chmielnicki, połączon z Tatary,
Mścił się bezpieczny.

III.

Nie starła plamy Pilawców, Batowa,
Pod Beresteczkiem pamiętna wygrana,
Ni się pomściła młódź, walczyć gotowa,
Śmierci hetmana.

IV.

Wtenczas się na nas zapalił gniew Boski:
Moskal litewskie krainy wojuje,
A godzien przekleństw niecny Radziejowski
Szwedów zwołuje.

V.

I Brandeburczyk nie pomny na mańskie,
Wkracza z Rakoczym z niewiarą zuchwałą,
Rzekłbyś, że dawniej tak przemożne państwo
Już zginąć miało.

VI.

Lecz Jan Kazimierz wśród ciężkiej przygody
Okazał umysł odważny i stały;
Ani go klęski, rycerstwa niezgody,
Ugiąć zdołały.

VII.

Choć król, jak żołnierz, i walczył i ścigał,
Przez trzy dni toczył boje pod Warszawą,
Uległ fortunie, lecz się zawsze wzdrygał
Okryć niesławą.

VIII.

Pod nim Czarnecki, mąż nieustraszony,
Wszędzie jak piorun błyskał i uderzał,
Ni męstwu jego ocean zburzony
Kresu zamierzał.

IX.

Rewera Moskwę, a Jerzy[1]) z Szreniawy,
Przeważnie walczył Szwedy i Kozaki,
Odzyskał Prusy wiodąc pełen sławy,
Zwycięskie znaki.

X.

Z nieprzyjacielem, zewsząd powstającym,
Nieraz, gdy nawał śniegu lasy chyli
Wśród srogiej zimy, pod niebem iskrzącem,
Nasi walczyli.

XI.

Przez lat dwadzieścia w wojnach z najezdcami
Król ten odzyskał kraje utracone;
Wtenczas umyślił, złamany trudami,
Złożyć koronę.

XII.

Zwoływa na sejm naród zjednoczony;
Tam płacz powszechny gdy mu głos przerywa,
Do ludu swego, sam żalem ściśniony
Tak się odzywa:

XIII.

„Już to ostatnia godzina dochodzi,
„Gdzie mnie, zgiętemu ciagiem długiej pracy,

---

[1]) Lubomirski.

„Sytemu wieku, rozstać się przychodzi
„Z wami Polacy.

XIV.

„To berło przodków, tę świetną koronę,
„Wszystko, co świat ten tak chlubnem uznaje,
„Król wasz i ojciec, dzieci ulubione,
„Dziś wam oddaje.

XV.

„Wspomnijcie, żem ja w czasach nieszczęśliwych
„Najpierwszy z wami w nieprzyjaciół godził,
„I żem ja z pola bojów zapalczywych
„Ostatni schodził.

XVI.

„Karzcie swawolę, jeśli nie zechcecie,
„Tyle jej smutnych doznawszy przykładów,
„Bodajbym nie zgadł, ale się staniecie
„Łupem sąsiadów.

XVII.

„Żegnam was, dzieci! zaklinam ze łzami
„Na pamięć przodków, na moją siwiznę,
„Brońcie orężem, wspierajcie radami
„Lubą ojczyznę.

XVIII.

„Gdziekolwiek przyjdzie dni mych kresu dożyć,
„Skończyć gorycze, ciężkie niepokoje,
„Błagam was, raczcie w grobie przodków złożyć
„Popioły moje".

J. U. Niemcewicz.



GDYBYM...

Gdybym ze srebra powstał, mógłbym się tem smucić,
Że w proch i glinę ziemi mam się zaś obrócić,
Mógłbym, nakrywszy głowę, ze skargą siąść w progu,
Przeciw śmierci głos podnieść i przeciwko Bogu.

I gdybym z złota powstał, mógłbym mieć za zmianę,
Że w popiół się rozsypię i prochem się stanę.
Że zgasną moje blaski i jasność się zetrze,
Kiedy rosa mię zgzyzie i zczeznę na wietrze.

Alem ja z prochu tego, z tej wzięty jest ziemi,
Dokąd się zaś powrócę za laty mojemi,
Po co mi skargi szerzyć, że stanę się pyłem?
Do domu mego wrócę i będę czem byłem.

M. Konopnicka.

CENTAUR I KOBIETA.

Gwiazdy bledną. Powiewnym oparem nakryta
Równina w dal się ciągnie gładka, nieskończona
Aż gdzieś, kędy—jak rzeka ognisto czerwona—
Pod zielonawem niebem krwawa pręga świta.

Cisza. Nagle po rosie zagrzmiały kopyta,
Głośny jęk się rozlega i bez echa kona.
Grzbiet koński we mgle miga i białe ramiona
I płowa struga włosów na wietrze rozwita.

Ponad tą jasną głową i tem śnieżnem ciałem,
Koło którego śniade ramię się oplata,
Chyli się inna głowa ciemna i brodata:

To centaur, co kobietę w objęciu zuchwałem
Nagą, mdlejącą niesie rozhukanym cwałem—
...Nikną w mgłach... tętent cichnie...
lecą na kraj świata...

L. Rydel.



M. Konopnicka.

Z CYKLU „NA PALECIE".

Na obczyźnie.

Taką mi wioskę wymaluj w dolinie,
Od zbóż wesołą, a od jodeł smutną,
Niechaj się cała chowa w jarzębinie,
Niech na jej łąkach siwe leży płótno,
Niech przez staw ciche rzucają się tęcze,
Rozbita skrzelka, co tryska z wód głębi,
Niech nad nią chmurka trzpioce się, gołębi,
I puchy kwietne, i nitki pajęcze....
I w takież skiby głębokie puść rolę,
I daj po bruzdach te maczki jaskrawe,
I w sznur wyciągnij nad drogą topole,
I mgłę rzuć srebrną na łąki, na trawę...
I niech tak idą rozgłośno po łanie,
Dzwonki jałowiec i z biczów trzaskanie,
Niechaj tak wierzby dumają u strugi,
Cień przedzachodni rzucając i długi,
I taką cichą błękitność daj wkoło,
I pełne gwarów powietrze zrób ptaszych,
I taki tuman na gór połóż czoło,
A tylko ludzi zrób—naszych.

M. Konopnicka

WOLNY NAJMITA.

Wązką ścieżyną, co wije się wstęgą
Między pólkami jęczmienia i żyta,
Szedł blady, nędzną odziany siermięgą,
Wolny najmita.

I nigdy wyraz nie był dalszym treści,
Jak w zestawieniu takiem urągliwem;
Nigdy nie było tak głuchej boleści
W jestestwie żywem.

Rok ten był ciężki: ulewa smagała
Srebrnym swym biczem wiosenne zasiewy
I ziemia we łzach zaledwo wydała
Słomę i plewy.

Z chaty, za którą zaległy podatki,
Wygnany nędzarz nie żegnał nikogo,
Tylko garść ziemi zawiązał do szmatki
I poszedł drogą.

W powietrzu ciche zawisły błękity,
Echo fujarki z pod lasu świt wita,
Stanął i otarł łzę połą swej świty
Wolny najmita.

Wolny, bo z więzów, jakimi go przykuł
Rodzinny zagon, gdzie pot ronił krwawy
Już go rozwiązał bezduszny artykuł
Twardej ustawy.

Wolny, bo nie miał dać już dzisiaj komu
Świeżego siana, pokosu u żłoba;
Wolny, bo rzucić mógł dach swego domu,
Gdy się podoba...

Wolny, bo nic mu nie cięży na świecie,
Kosa ta chyba, co zwisła z ramienia,
I nędzny łachman sukmany na grzbiecie
I ból istnienia.

Wolny, bo jego ostatni sierota,
Co z głodu opuchł na wiosnę, nie żyje...

Pies nawet stary pozostał u płota
I zcicha wyje.

Wolny!—wszak może iść, albo spoczywać,
Albo kląć z grzytem stłumionej rozpaczy;
Może oszaleć, i płakać, i śpiewać—
Bóg mu przebaczy.

Może zastygnąć, jak szrony, o chłodu,
Bić głową w ziemię, jak czynią szaleni,
Od wschodu słońca, do słońca zachodu
Nic się nie zmieni.

Ubogi zagon u nędznej twej chatki,
I mokrą łączkę, i mszary, i wrzosy
Obsadzi „urząd... podatki! podatki!
Ty idż do kosy!

Idź, idź! opłatę do kasy wnieść trzeba,
Choć jedno ziarno wydadzą trzy kłosy,
I choć nie zaznasz przez rok cały chleba...
Idź, idź do kosy!

Czegoż on stoi? wrzak wolny, jak ptacy?...
Chce—niechaj żyje, a chce—niech umiera
Czy się utopi, czy chwyci się pracy,
Nikt się nie spiera.

I choćby garścią rwał włosy na głowie,
Nikt się, co robi, jak żyje, nie spyta...
Choćby padł trupem, nikt słówka nie powie...
Wolny najmita!

M. Konopnicka.



PONTIUS PILATUS.

„Umywam ręce“... och, łatwo powiedzieć,
Gdy się tak siedzi na miękkim fotelu,
Gdzie dobrze drzemać (jeszcze lepiej siedzieć!)...
Znamy was takich—znamy—bardzo wielu!

Umywasz ręce?... kiedy dzika tłuszcza
Trzyma w objęciach swoich męczennika—
Gdy pogróżkami usta mu zamyka
I przyjść do słowa nawet nie dopuszcza?

Umywasz ręce?.... gdy jednym wyrazem
Ty mógłbyś jagnię wyrwać z tego stada?
Niewinne!.... Patrzaj!.... Jaka twarz ta blada!
Jaka w niej słodycz i poczciwość razem!

Ten człek.... on....w czemże mógł zgrzeszyć,
Piłacie?
Chciał między ciemnych wznieść światła po-
chodnię?
Pragnął, by ludzkość szła zacnie i godnie
W swym, pożyczanym z nieba, majestacie?

Zacz nie wiesz tego, sędzio cezarowy,
Jak podłość p o d ł y c h nienawidzi cnoty?
Jakim jest gościem r o z u m śród głupoty
Na tej tu naszej glebie adamowej?

Pioruny nieszczęść walą w nią od wieka—
Krew po niej płynie wielkiemi rzekami—
A głupcy zawsze mądrego człowięka,
Co chce ich uczyć, na krzyż wloką sami!

Umywasz ręce.... śród rabinów zgrai,
Z których co jeden to lepszy idjota?
Piasek w łbie twardym! a cała pierś—z błota!
A czerń, złożona z chciwców i szachrai!

Myślisz ty, sędzio, że-ś już przeto czysty,
Gdy, mogąc razem być g ł u p i m z głupimi,
Z podłymi—podłym.... ty-ś tylko na ziemi
Stał się nam wzorem.... m i e r n o ś c i wie-
czystej!

Myślisz, że m i e r n o ś ć czemś lepszem od...
z b r o d n i?
Że wolno słabym być tam, gdzie potrzeba
Być s i l n y m temu, komu dały nieba
W ł a d z ę—by Prawda i Prawo szły od niej?

Nie myśl tak! Krew ta, z którejś otarł ręce,
Ślad swój zostawi do skończenia świata—
I zawsze, w wielkiej Chrystusowej męce,
Kat twarz mieć będzie... P o n c j u s z a
P i ł a t a!

B. Aspis.

WYWŁASZCZONY.

Idzie Piasta syn w pole w grubej swej sukmanie,
Puszcza lemiesz świecący w równe bruzdy po łanie,
Czysta nuta skowrończa rzeźko bije w obłoki,
Chłop jej basem wtóruje z pełnej piersi szerokiej:
Hej danaż moja! dana!
Hej ziemio ty kochana!
Rodzona, własna, moja,
Skarbona i ostoja!
Hej łanie, bujny łanie,
Ty moje królowanie,
Mój łan—mój cały świat:
Na niego setki lat
Praojców płynął znój,
Jak dzisiaj płynie mój.
Hej ziemio, jasna Pani!
Niczyi my poddani,
Jam na mych śmieciach pan,
Mój tron—rodzinny łan!
Bóg dzielił ręką własną,
Aby nie było ciasno:

Skowronkom przestwór nieba,
A nam—ojczysta gleba!
Cyt, cyt chłopie! czy słyszysz? but podzwania ostrogą,
Po twym łanie rodzonym ciężką stąpa ktoś nogą...
Synu Piasta! z twej pieśni ktoś szyderczo się śmieje,
Ktoś pchnął pięścią krzyżacką wstecz o tysiąc lat dzieje
I zawrzasnął:
— *Got* jestem! jestem *Gunther i Hagen!*
Mam moc czyim chcę chlebem naładować mój *Magen!*
Prawo—dym, cień i piana, słuszność tam jest— gdzie siła,
Światowładna Germania z miecza żyje—jak żyła,
A ty, marny robaku, polski chłopie w sukmanie,
Masz jej oddać twą ziemię! *Got* rzekł— i tak się stanie!
Chłop ujął kij do ręki,
Precz idzie ze swej roli,
Lecz krzepko ścisnął szczęki,
Nie widać—jak go boli.

Źrenicą patrzy suchą—
I tylko warknął głucho
Głos—jak pękniętej struny:
— Siarczysteż was pioruny
Niech obrachują z nami!
A my zaś wciąż ci sami
Wytrwali i zacięci,
Wciąż w sercach nam się święci
Taż miłość—też nadzieje...
Czas przyjdzie—rozednieje!
Powstanie palec Boży
I krzywdom kres położy!
A wam niedoczekanie,
By byli z nas Germanie,
Bo żadne z nas tortury
Nie zedrą polskiej skóry
Nie wydrą co ojczyste,—
Tak nam dopomóż, Chryste!...

J. Terpiłowska.

PRZED ŚWITEM.

Cóż mi się stało?.. Osmętniał duch.
Jest mi, jak dziecku, co mlecza puch
Wiosną w troskliwej dzierżyło dłoni.
Kiedy mu zdmuchną go usta czyje,
Oswobodzony puch w słońcu goni,
Badyl bezduszny zostaje w dłoni,
Całą słoneczność wziął z sobą puch!
I żałość w sercu dziecięcia bije,
Bezradnie szuka wokoło, czyje
Usta zdmuchnęły srebrzysty puch?

Cóż mi zostało?.. Osmętniał duch,
Zagasło światło i zniknął czar!

Zagasła łuna na szatach mar...
Tak je śledziłam pełna tęsknoty
Szeroko oczy mając otwarte!
I tak tęskniłam, że ich czar złoty,
Odwiał daleko dech mej tęsknoty!
Zszarzała zgasła słoneczność mar!
Dzisiaj spojrzenia nawet nie warte,
Choć przyjdą patrzeć w oczy otwarte...
Zagasła łuna świetlana mar!

Zagasło światło i zniknął czar:
Tak gwiazdy gasną gdy przyjść ma wschód.
Wokoło taka pustka i chłód,
A serce martwe, ciężkie, jak kamień,
Dusza omdlewa nieść go nie może...
Czyż mu tak drogim był świat omamień,
Że obojętne teraz, jak kamień?
Czyż go odrętwia ten trupi chłód?
O duszo, duszo, nieśmy je w zorze!
Lecz dusza serca dźwignąć nie może...
Od pustki wieje grobowy chłód...

Gwiazdy pogasły—to przyjść ma wschód!

K. Saryusz Zaleska.

DOBROĆ.

Tak mało na świecie dobroci,
A tyle jej światu potrzeba!
Nią życie jak słońcem się złoci,
Nią ziemia się zbliża do nieba.

Potęga jej w sercu poczęta
Nie mija bezpłodnie i marnie:
Sieroty i polne ptaszęta
Litośnie pod skrzydła swe garnie.

Aż leśne ptarzyny oswoi
Że same do rąk się jej zlecą
I serca najdziksze roztroi,
Że same dobrocią zaświecą...

L. Rydel.

SNY.

Pójdę na ciche pola, na kwitnące sady,
Gdzie grają w śnie południa złote hymny pszczelne,
Gdzie źródła młodych marzeń biją nieśmiertelne
I moich snów dziecięcych czuwa anioł blady...

Pójdę pod białe, słońcem roześmiane chaty,
Gdzie śnią urokiem ziela wybujałe grzędy—
Gdzie święte tajemnicze kwitnienia obrzędy
Mąci szałem radości ptactwa huf skrzydlaty...

Tam w cienistej zaciszy, patrząc w bujne plony,
Z dziadem o siwych włosach, które wiatr mu pieści,
Siędę—śnieżną rozkoszą kwiecia upojony—

I długich będę słuchał jego opowieści;
W duszy mej barwną rzeszą zjawią się ogromne
Widzenia dawnych czasów... I może zapomnę...

J. Jedlicz.



K. Ujejski.

POD ZIEMIĘ!

Pod ziemię! pod ziemię! daleko od ludzi,
O, byle cichego gdzie schronu!
Ich śmiech mnie tak razi, ich głos mnie tak trudzi,
Jak pobrzęk grobnego podzwonu.

Próg domu nabiłbym ostremi kolcami,
I lwa bym umieścił przed progiem,
Bym raz już sam został z mojemi myślami,
Z mojemi myślami i z Bogiem.

By nikt mi gadkami codziennych wydarzeń
Nikt myślą, zbrukaną, jałową,
Nie psował świecących obrazów mych marzeń,
Gdy dumam z schyloną w dłoń głową.

I chciałbym mieć grodziec z twardego granitu
By nie miał ni okien, ni wchodu!
Miast dachu, niech widzę sklepienia błękitu
I wierzchy drzew kwietnych ogrodu.

Powojem niech do mnie wspinają się róże,
Orłowie po niebie niech lecą,
Niech czasem pioruny płomienią się w chmurze,
W noc cichą niech gwiazdy mi świecą.

I byłbym szczęśliwy daleki od wrzasków,
	Od śmiechów cynicznych motłochu,
Daleki od podłych zawiści niesnasków,
	Kto głębiej zanurzył skroń w prochu.

I byłbym szczęśliwy, lecz niech was nie widzę,
	Odgrodźmy się morzem dalekiem—
Gdy wglądnę w pierś waszą, gniewam się i wstydzę
Że byłem zrodzony człowiekiem!

Nieznany, gdy błądzę w waszym mrowim tłumie
	Nie wita mnie żaden duch bratni—
A mnie się wydaje w mej wzgardzie a dumie,
	Żem z bożych śpiewaków—ostatni.

Otoczcież mnie takim pokojem i ciszą,
	Bym słyszał, jak duchy pokrewne
Wieszczemi się skrzydły nad ziemią kołyszą
	I w żale rozwodzą się śpiewne.

A gdy nikt nie wyjdzie naprzeciw mych dążeń
	Mnie ciszy nie szukać daleko—
Pod ręką jest ziemia głęboka na sążeń
	I drewna kawałek na wieko!

K. Ujejski



CZARNY SZAL.

I wy mnie pytacie z pijanym hałasem,
Co znaczy ten rdzawy mój kindżał za pasem?
Co znaczy, żem czarnym obwiązał się szalem,
Gdzie zdawna krwi krople zastygły koralem?

I wy mnie pytacie? Ha dobrze, Serbowie!
Lecz wprzódy niech wino zaszumi w mej głowie,
Niech pieśni lirników do reszty mnie zgłuszą,
Bym treści słów moich nie pojął sam duszą.
Więc żywo, lirniku, po strunach puść palce,

Z pełnymi kielichy przystąpcie służalce,
Niech jeden mi głowę podeprze wezgłowiem;
A teraz słuchajcie, Serbowie, co powiem.

I pieni się puhar i lira już gędzie—
Ach, dotąd ja widzę jej piersi łabędzie,
I dotąd mi pachnie zwój czarnych warkoczy,
Pod którym gwiazdami świeciły jej oczy!

Na zamku ją miałem—a byłem ja młody
I lgnąłem tak do niej jak czajka do wody
I milszą mi była nad pamięci czynu,
Żem sztandar zatykał na murach Semlinu.

I milszą mi była niż koń mój cisawy,
Towarzysz wyprawy i wspólnik mej sławy,
I milszą mi była.... gdzież puhar mój złoty?
Czy wina zabrakło?—Przez piekło i grzmoty!

Trzy beczki z piwnicy wytoczcie hajducy...
O biali śpiewacy! Bojana prawnucy!
Dlaczegóż pieśń wasza z ust klątwę wystrasza?—
Ach! ona tem była, czem dla mnie pieśń wasza.

I miała w swem oku ta dziewica grecka
Powagę królowej i niewinność dziecka,
Toż przy niej wszelakiej pozbyłem się pychy
I byłem, jak dziecko pobożny i cichy.

I próżno pod oknem rżał kon mój bojowy,
Jam z białej jej piersi nie podniósł już głowy;
I próżno miecz do mnie migotał ze ściany
Jam dłoni nie zerwał od szyi kochanej.

Bo ja ją tęczowem otoczyłem kołem,
A ona mi była mym stróżem-aniołem;
Bo ja ją z haremu uniosłem pod burką,
A ona mi była... ha, była jaszczurką!

I dotąd po szyi, po piersi pełzała,
Dopokąd mi serca nie wygryzła z ciała,
Więc z drugim... ha, piekło!—krew grać mi zaczyna
Kindżała i wroga!—kindżała—lub wina!
Raz sprosił na ucztę mnie towarzysz broni,

Na ucztę weselną—więc jadę w sto koni,
A w zamku, co hardo Dunajem potrąca,
Zostało sług kilka i Ona—płacząca.

I Ona, co czarnym osłonięta szalem,
Na baszcie się wiała tęsknotą i żalem,
Jak sztandar żałobny nad miastem wymarłem...
Więc skryłem oblicze i konia poparłem.

Lecz gdym się z bratami za stołem rozłożył,
To we mnie nanowo burzliwy duch ożył;
Minęło dni wiele—przy śpiewie i winie,
Jam marzył o bojach, a mniej o dziewczynie.

Do nocy nasz okrzyk rozlegał się echem—
Wtem stary mój sługa nadleciał z pośpiechem
I szepnął mi słowo i jedno i drugie...
Jak wściekły skoczyłem i zabiłem sługę!...

I zbiegłem w podwórze i dopadłem konia;
Świat mglił się przedemną—a lasy i błonia
Migały w mem oku zjawiskiem znikomem
Nim gwiazdy pobladły—stanąłem przed domem.

Kolanem i pięścią wybiłem podwoje—
Widzicie!—tam w kącie—tam było ich dwoje,
Tam było ich dwoje splecionych uściskiem...
Ha! jam ich rozerwał kindżała połyskiem!

I zdarłem z jej czoła żałobną zasłonę,
I, milcząc, ścierałem nią ostrze zbroczone—
I przeszła noc krwawa—gdy dawnym zwyczajem
Świt spłonął—dwa trupy płynęły Dunajem.

Więc wy mnie pytacie z pijanym hałasem,
Co znaczy ten rdzawy mój kindżał za pasem?
Co znaczy, żem czarnym obwiązał się szalem,
Gdzie zdawna krwi krople zastygły koralem?
To ona... Hajdo!... odsłania swe łono
I wabi ku sobie... ach, w oczach czerwono!
Krew falą się wznosi... jak w onej tam nocy—
Zaczekaj... już idę... druhowie... pomocy!!

K. Ujejski

TŁOMACZENIE
MARSZU POGRZEBOWEGO SZOPENA.

Tyle dzwonów! Gdzie te dzwony? Czy w mej głowie huczą?
Kędy idą rojc księży z taką pieśnią kruczą?
Tu przede mną o dwa kroki czarny wóz się toczy—
Jak mi ciemno! ten wóz czarny ściemnił moje oczy.

Gdzieś w powietrzu—krzyż jaśnieje, migają pochodnie,
A prowadzą mnie pod ręce—idę tak wygodnie,
Same prawie się podnoszą zadrętwiałe nogi—
Dobrze, dobrze, że mnie wiodą—nie znam żadnej drogi.

Idę, płynę niby śniący, bez myśli, bez woli.
Tylko w głowie, tylko w sercu coś mnie strasznie boli.
Coś zatapia w nich swe szpony—krzywe, ostre szpony,
A tu ciągle biją dzwony, a tu kraczą wrony...

Ha! muzykę jakąś słyszę—pięknie grają, pięknie...
Żar mam w oczach, a po twarzy coś zimnego cieknie—
Patrzą na mnie, ale zbliżyć nikt się nie odważa,
Musi coś być w mojej twarzy, co ludzi przeraża.

A wóz ciągną cztery konie okryte żałobą,
A mnie ciągnie jakaś siła, wlecze mię za sobą...
Wielki Boże! toż ta trumna wysuwa się ku mnie!
Tam zagadka mego bytu—w tej trumnie, w tej trumnie!..

Na atłasie, piękna, cicha,
Ręce trzyma w krzyż,
Przez sen do mnie się uśmiecha—
Oh! ty już nie śnisz!

Oh! nie czujesz ty już woni
Z wieńca białych róż—
Całowaniem twojej skroni
Nie zbudzę cię już!

Nie wiesz nawet, że za tobą
Idę, blady trup,

Że prowadzą cię z żałobą,
Że prowadzą w grób!

Była słodka i anielska,
I kochała mnie
Jak piosenka jaka sielska
Płynęły nam dnie.

I jam przy niej był bez grzechu
I anielskość miał,
Bo z jej oczu, z jej uśmiechu
Jam sakrament brał.

Była dla mnie jak natchnienie
Geniuszu i cnót,
Wiodło mnie jej szat jaśnienie
Do niebieskich wrót.

Na toż ciebie biedna matka
Wydała na świat,
I jam kochał do ostatka,
Bym cię w trumnę kładł.

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze? Boże! Boże!
Co ja pocznę tu?!

Gdzież zawiodło mię na końcu.
Po przebyciu prób?
W czarną otchłań szedłem w słońcu!
Przez nadzieję w grób!

Takież moje ślubne łoże?
I ja w takim dniu
Żyję jeszcze?—Boże! Boże!
Co ja pocznę tu?!

Wzięli trumnę na ramiona, ponieśli ją spiesznie,
Mnie zatrzymać chcą przemocą—ha! ha! to pociesznie!
Precz mi z drogi, głupi tłumie, bo będzie nieszczę-
ście—
Młody jestem, wściekły jestem i mam silne pięście!

Ja mam jeden do niej prawo—precz z drogi ciekawi!
Czarne mrowie! tylko równy niech mi opór stawi—

Mego bólu żadna z waszych piersi nie pomieści;
I pierzchnęli—a ja idę, wielki król boleści!

Pośród gwaru, podziwienia, śród hałasu dzwonu,
Oto zbliżam się do trumny—do mojego tronu!
Ty grabarzu, na tym kopcu wsparty na łopacie,
By takiego pogrześć króla, ile chcesz mój bracie?

O zakop mnie, a głęboko—tak mi źle na świecie!
Cięższej niźli twoja ziemia, powietrze mię gniecie...
Precz z kropidłem! i święcona woda ją poplami—
Ja tu jeden mam kapłaństwo—pokropię ją łzami!

Z pod habitu zakonnego wysuwa się ręka
Jakaś jasna, jakaś mocna! duch mój przed nią klęka.
Dotknęła mię! a ja padam podcięty jak kosą...
I wzięli mię i ponieśli—gdzie oni mnie niosą?

K. Ujejski.



ŚMIEJ SIĘ, PAJACU!

Śmiej się, pajacu, świat lubi śmiech pusty,
Lubi, gdy dzwonki u twej czapki brzęczą,
Śmiej się, pajacu, wybladłemi usty,
Lśnij szat swych tęczą.
Śmiej się, choć z ócz twych boleść niewymowna
Tryska i płoszy twą wesołość butną,
Śmiej się, pajacu, człeku z twarzą klowna,
Lecz z duszą smutną.

Czemu-ś śmiech przerwał, czemu stoisz niemy?
Czemu ci w oczach zgasły życia blaski?
Śmiej się, pajacu, zbądź się dawnej tremy,
Słyszysz oklaski?
Czy nie chcesz nadal tłumów być uciechą?
Czy w duszę żałość wpełzła ci zdradziecka?
Śmiej się, jak niegdyś pod wsi swojej strzechą—
Tym śmiechem dziecka.

Smutnyś, wspominasz lata swe wiośniane,
Wspominasz drogie swe ojczyste strony,
Gdzie ojciec gładził włosy twoje lniane,
Starzec zgarbiony.
Wszystko to żywe staje ci w pamięci,
I serce rwie się z głębi twego łona,
Śmiej się! Nie możesz łza się w oku kręci,
I śmiech twój kona?..

Lecz precz, precz odpędź wspomnień świat umarły
I stań wesoły na cyrkowym placu,
Baw nadal ludzkie zgromadzone karły,
Śmiej się, pajacu!
Za to kwiat ręka rzuci ci przyjazna,
Niewieścia ręka tkliwym, miękkim ruchem...
Śmiej się, pajacu, człeku z twarzą błazna,
Lecz z smutnym duchem.

S. J. Kozłowski.



ŻYCIE.

Jest słowo—tajemnicze, jak pałac zaklęty,
Olśniewające blaskiem jak świętość ołtarza,
Powikłane jak węża nieuchwytne skręty
Okropne, jak sen zbrodniarza,—

Potężne, jak zaklęcie w ustach czarodzieja,
Ścięte na drodze myśli, jak skalne urwisko,
Niezgłębione jak rozpacz, wabne jak nadzieja,
Chwiejne, jak śpiew nad kołyską.—

Dzień w dzień rozraniające i gojące ranę—
Ryte na dnie pogardy, lub na chwały szczycie,
Badane jak przyroda—jak Bóg niezbadane.—
Tem słowem nad słowa: życie.

Deotyma (J. Łuszczewska).



K. Przerwa-Tetmajer.

SALOMON I SULAMITKA.

S u l a m i t k a.

Twe oczy, jak pochodnie gorą, od których noc się rozpłomienia.

S a l o m o n.

Wśród rzęs twe oko jak jezioro, które nadwodny gaj ocienia.

S u l a m i t k a.

Twe usta są jak wiśni grona purpurą malowane ciemną.

S a l o m o n.

Ust twoich róża rozchylona motyle nęci ponademną.

S u l a m i t k a.

Pierś twa, jak brama, kędy woje wroga łoskotem trwożą stali.

Salomon.

Jak dwa gołębie piersi twoje, co na śnieżystej siedzą hali.

Sulamitka.

Twe słowa jak najsłodsze miody, jako szum cedrów twoja mowa.

Salomon.

Jak dźwięczny szelest górskiej wody, jak zapach myrry twoje słowa.

Sulamitka.

Jak płomień podczas nocy mroźnej, tyś pożądany mnie i drogi.

Salomon.

Jak łódź do brzegu z fali groźnej, spieszę, o luba, w twoje progi.

Sulamitka.

Pierś twą chcę czuć na mojem łonie, w uściski pochwyć mię palące.

Salomon.

Zstokrotnić chciałbym moje dłonie i ust i źrenic mieć tysiące.

Sulamitka.

Ramiona twoje mnie unoszą, jak róża od gorąca mdleję.

Salomon.

Poję się twego tchu rozkoszą, jak palma w piaskach, gdy wiatr wieje.

Sulamitka.

Obłok zasłania me źrenice, w otchłań upadam, w głębię ciemną...

Salomon.

W oczach mych skrzą się błyskawice, ziemia zapada się podemną...

Sulamitka.

O łuby! szczęścia to godzina, nad wszystkie życia chwile święta.

Salomon.

O luba! chwila to jedyna, gdy się o śmierci nie pamięta.

Sulamitka.

Mądrem i pięknem będzie dziecię, którem poczęła w tej godzinie.

Salomon.

Jak w pączku często kona kwiecie, w łonie niech twojem dziecko zginie.

Sulamitka.

Od zgrozy ciało me drętwieje — — przecz słowu dałeś wyjść strasznemu?

Salomon.

Li tylko to, co nie istnieje, o luba, nie podlega złemu.

K. Przerwa-Tetmajer.

Z WIERSZY DO MEGO SYNKA.

Synku mój mały! Obcobrzmiące
nazwisko będziesz nosił—
wiedz, że Twój dziad na polskiej łące
trawę krwią swoją zrosił,
że tej krwi kropla na twe czoło

wieczystym padła znakiem,
że, z nazwy Niemiec, szablą gołą
zatwierdził się Polakiem!

Ułański mundur, chłopcze drogi,
może i tobie szyją,
może szlifują ci ostrogi,
i kitę czaka wiją?
Kto wie?.. Może pod mury Gdańska
poskoczą polskie konie
i nasza rodna pieśń ułańska
poleci po szwadronie...

„Jak wspaniała nasza postać
jak się w słońcu błyszczy stal!
Koń rwie ziemię, nie chce dostać,
pójdziesz koniu, pójdziesz w dal!.. *)

Gdy cię wychowam na ułana
bez lęku i bez skazy:
nie będzie służba zmarnowana,
a wiedz, że my dwa razy
za nasze obcobrzmiące imię
kochać kraj musimy więcej—
i przyjdzie stanąć w armat dymie:
dwakroć nam trza goręcej!

I pomnij, jakimkolwiek chodzi
los twego życia szlakiem:
że każdy wraz się tutaj rodzi
człowiekiem i Polakiem
i że to dwie są święte rzeczy
o sile apostolskiej:
piękny i dobry duch człowieczy
w gorącej piersi polskiej!

W każdą potrzebę i przygodę
niech się twe myśli kraszą
tem dumnem hasłem: za swobodę!
za naszą— i za waszą!

---

*) Pieśń Józefa Tetmajera, śpiewana w kawaleryi w 30 31 roku.

I pod ułańskie twe ostrogi
z piersiami przebitemi
niech runą kraju twego wrogi
i wrogi jutra ziemi!

. . . .

. . . .

K. Przerwa-Tetmajer.

PRZEKLEŃSTWO ŁZOM.

Przekleństwo łzom, które się próżno leją,
Gdy burza wre dokoła
I huczy grom,
Gdy trzeba trwać z odwagą i nadzieją
I nie uginać czoła—
Przekleństwo łzom!

Przekleństwo snom, które się próżno marzą,
Gdy spłonął dach nad głową
I runął dom,
Gdy trzeba wstać i ze spokojną twarzą
Budować gmach na nowo—
Przekleństwo snom!

Przeklęta jest—po trzykroć jest przeklęta
Ta małoduszność blada,
Co znosi srom
I sama lot własnego ducha pęta
I w trwodze więzy wkłada
Swym łzom i snom.

L. Rydel.

STRZELEC.

Sonet.

Widziałem, jak dzień cały, pośród letniej spieki,
Błąkał się strzelec młody. Stanął nad strumieniem,
Długo poglądął wkoło i rzecze z westchnieniem:
„Chcę ją widzieć, nim kraj ten opuszczę na wieki“;

„Chcę widzieć niewidziany“. Wtem leci z za rzeki
Konna łowczyni, strojna Diany odzieniem;
Wstrzymuje konia, staje, zwraca się wejrzeniem:
Zapewne jechał za nią towarzysz daleki.

Strzelec cofnął się, zadrżał, i oczy Kaima
Zataczając po drodze, gorzko się uśmiechał,
Drżącą ręką broń nabił, dąsa się i zżyma,

Odszedł nieco, jakoby swej myśli zaniechał.
Wtem dojrzał mgłę kurzawy, wzniesioną dłoń trzyma,
Bierze na cel, mgła bliżej—lecz nikt nie nadjechał.

A. Mickiewicz.



NA PRZEŁOMIE.

Kędy iść?—niewiem... tak ciemno dokoła...
Szatani słyszę chichot i ryk spiży...
Tyle pobudek gra, ust tyle woła,
Na drodze pełno kurhanów i krzyży.

Niewiem, gdzie iść mi!.. Chaos—zamieszanie...—
Coś się w ciemnościach zapadło z łoskotem — —
Starego świata wadliwe wiązanie
Prysło pod nowych uczuć ciężkim młotem.

. . . .

—„W drogę! Czas nagli! Wszak wiesz: stać nie wolno...
Znużony jesteś—powiadasz?—Nic z tego!..

Spoczynek jeszcze daleko!.. Mozolną
Dano ci drogę—wiem—lecz idź! dni biegą...

„Idź wciąż! a losu swego nie przeklinaj!..
Niedługo wstanie świt... patrz, jutrznia wschodzi...
I srebrnym blaskiem opromienia Synaj,
Tonący w złotych błyskawic powodzi.

„Idź wciąż!...“ Głos zamilkł. Idę... U nóg chlupa
Krew, kwią zbroczone mam u stóp sandały—
(Boże! Coś mnie za nogi chwyta...)—Trupa
Nadepnąłem... Żył—żył jeszcze...—skostniały!—

Walka wre—idę... Śmierć w łunach pożogi...
Struchlałe niebo drży zbroczone krwawo — —
Tłum z piedestałów strącił stare bogi
I depce świętych ksiąg zbutwiałe prawo.

—„Naprzód! Słyszycie śpiew?..—to dnieć zaczyna—
To Chrystus—bracia—narodził się drugi—
Chrystus, co przyszedł zbawić Maryi Syna
I przekląć Jego znikczemniałe sługi...

Hej! do szeregów!.. Ten świat stary, słaby
Rozbić w puch! spalić! grunt po nim zaorać
Pod nowych pojęć plon— —uwolnić raby—
I przestać z głupią bezsiłą się porać.

. . . .

„Wszystko, co nosi na sobie złe piętno
Wczorajszych pojęć—ledz musi! Co mami,
A nie jest Prawdą—zginie! Nowe tętno
Budzi się w sercach... Bracia! Świt przed nami!...“

Idę — — —

. . . .

H. Wroński.

NIE TAK!—NIE TAM!

Miał jeno kawał sukmany
I silne dłonie—
Pracował nieraz o głodzie,
Rąbał drwa w lesie—pasł konie,
Gdy księżyc świecił rumiany,
Na ziemi sypiał wznak,
Nie tak, jak pany—
Nie tak!

Obsiewał nie swoje łany,
Orał nie swoje—
A wczesnym rankim brał kosę,
A nocką bydląt gnał troje
Na zarośnięte kurhany—
Szedł z długim batem sam...
Nie tam, gdzie pany,
Nie tam!

A gdy włos biedą stargany
Błysnął siwizną;
Gdy chude barki się zgięły,
Na żebry ruszaj, starzyzno!..
I szedł przed siebie, jak gnany,
Z obwisłem skrzydłem ptak—
Nie tak, jak pany,
Nie tak!

Wsunął w żebracze łachmany
Wychudłe członki,
Umarł na progu kościelnym,
Gdy w niebie grały skowronki...
Nic mu już smutki, nic rany!
Do rajskich poszedł bram—
Nie tam, gdzie pany,
Nie tam!

K. Gliński.



J. Kasprowicz.

CHŁOPSKA DOLA.

Ona usnęła... Dziś słońce tak piekło,
        Że wszystkie trawy pomiędzy ścierniskiem
Nawpół powiędły i kurzem powlekłą
        Skroń swoją kryły przed słonecznym błyskiem.
Wiązaniem żyta zajęci żniwiarze
        Poszli wypocząć środ cieni mędeli
I ogorzałe przysłonili twarze,
                Weseli,
Gdy siły praca nadmierna im wzięła,
Że choć z południa odetchną na chwilę—
                Ona usnęła.

* * *

Mąż ukochany spoczywa w mogile
        Drugie już żniwo, a od syna dzieli
Ziemi ją tyle, ach! i wody tyle,
        Że okiem ludzkiem nie zmierzysz topieli.
Kto wie, czy wróci? czy zamknie jej oczy?
        Wczoraj mu talar posłała ostatni:
Dziś i za morzem przybysze roboczy
                Nie płatni!..

Pot jej wystąpił i boleść ją zdjęła,
Rzuciła wiązkę i siadła pod snopkiem
I tak usnęła.

* * *

Ciężka to dola zawisła nad chłopkiem,
Cięższa nad wdową, gdy jej nikt nie bratni.
Krwawym z dnia na dzień żywić się zarobkiem
I tak wciąż dyszeć, jak ryba śród matni.
Dawniej to jeszcze kawał własnej schedy
I kęs własnego posiadała chleba.
Lecz pogrzeb męża—toć przecie, choć z biedy,
Grześć trzeba:
Duszaby nigdy bez świec nie spoczęła,
Bez pokropienia i bez pieśni świętej—
Ona usnęła.

* * *

O Chryste Panie! o Ty niepojęty!
Który przychylasz swoim dzieciom nieba!
Tu ciężkie snopy, a tam łan pocięty
Leży pokosem—bogactw pełna gleba,
A jednak ludzie, jak bedłki, padają
Głodem zmęczeni... Ty jednych, o Boże,
Stroisz w korale, a drudzy dźwigają
Obroże.
Jednym to dajesz, co drugim ujęła,
Ojcze, Twa ręka... Lecz któż Cię odgadnie?—
Ona usnęła...

* * *

Została chata... Bóg wie, jak wypadnie,
Jakie biednemu gotuje się łoże,
Świat wobec biednych postępuje zdradnie:
Już może jutro, lub jeszcze dziś może
Przyjdą z urzędu i na drzwiach chałupy
Za czynsz przylepią znaczki urzędowe
I nie zostawią ani śmieci kupy,
By głowę
Skłonić stroskaną... W lód się myśl jej ścięła
Na smutne jutro, na jutro lodowe,
Lecz dziś—usnęła.

J. Kasprowicz.

W ROZBOLAŁEGO SERCA ŻYWĄ KSIĘGĘ.

W rozbolałego serca żywą księgę
Zapisz na zawsze słowa takiej treści:
Jak ruda w ogniu znajduje potęgę
Oczyszczającą, tak człowiek w boleści.

Nie! tam, gdzie tęcza wielkich żądz swą wstęgę
Snuje błękitną, gdzie na suknię cześci
I chwały zmienisz powszednią siermięgę,
Wznosi się dusza na skrzydłach boleści:

Gdy więc na grzbiecie twoim los zaznaczy
Krwawe swe ślady, los, co się nie pieści
Z człekiem, wszak nawet zrodzonym w boleści:
Ty nie otwieraj wnętrza dla rozpaczy,
W której się ducha osłabienie mieści,
Tylko błogosław! błogosław boleści!...

J. Kasprowicz.



Z CZARNEJ PRZESZŁOŚCI.

Strasznie mi duszę zmordowały katy,
Zżarły mię czarną mego ludu klęską,
Mrozem pobiły pacholęctwa kwiaty,
Słotą zasnuły moją wiosnę męską.

A gdy mi potem nastał wiek dojrzały,
Dzika szaruga miotała mną wściekle,—
Aż zwalczon padłem—osłabły, zbolały,
Przez czarne sępy dziobany zaciekle.

Później... gdy z omdleń ocknęło się ramię,—
Gdy wstać z niemocy pragnąłem, z bezcześci,—
Na okrucieństwa rozpięto mię tramie
I octem krwawej pojono bolesci.

Me biedne ciało spowite w powrozy,
I tram na wzgórza ustawiano żwirze,
Bym mógł ogarnąć w obłąkaniu zgrozy
Wszystkie morderstwa, katusze i krzyże.

* * *

Na wzgórzu stałem...—łąki, zbożne łany,
Chałupy nizkie,—stawy, strugi, rzeki...
Jezior źrenice, szumne borów ściany...—
Obszar rozległy,—hej, obszar daleki...

A wszędzie, wszędzie, kędy dojrzeć można,
Upiorna, krwawa wizya nad polami—
Krzyżem się chwieje, jak mara przydrożna,
Przestrachem mrozi i dziwnością mami.

I wszędzie ramion okrwawionych dwoje,
I wszędzie skronie omdlałe bezwładnie,
I stóp przebitych rubinowe zdroje,
I ostrza włóczni kąsające zdradnie...

Na wzgórzu stałem... znękane ramiona
Prężyłem darmo,—walczyłem bezpłodnie,
A serce czuło, że stygnie, że kona,
Że żegna ziemę, oprawców i zbrodnie.

Więc duch mój upadł w rozpaczy otchłanie
I pojął straszną wysiłków daremność,
I nocnych ptaków złowieszcze krakanie
I horyzontów beznadziejną ciemność.

* * *

Ach!... gdy przypomnę, jak niedawno jeszcze
U progu stałem zagłady śmiertelnej,—
Trzęsą mię niemej okropności dreszcze
I znowu mary katują piekielne.

I nieraz jeszcze uwierzyć nie mogę,
Że tamto przeszło, że inne przychodzi,
Że wszyscy w lepszą żeglujemy drogę,
Ku wyspom słońca, na wolności łodzi.

I nieraz jeszcze zdaje mi się cudem,
Że oto żyję, pożądam i dążę,
Że walczę razem z męczenników ludem,
Że koło słońca razem wiarą krążę.

E. Milewski.



W PROSEKTORYUM.

Sala wielka i chłodna. Okna lśnią wysoko
Śmigłe, wązkie, ostrymi sklepione łukami,—
Szyby w ołów oprawne. Jasne słońca oko,
Błądząc długo pomiędzy winem i bluszczami,
Padło wreszcie do środka. Złote, drżące płaty
Rzuca wkoło niepewne; cofnąć by się chciało,
Wrócić znowu pomiędzy drzewa, zieleń, kwiaty
Bo tak strasznie tu wewnątrz, że słońce zadrżało.

Wszędzie stoły i trupy. Zimne, nagie ciała,
Usta strasznie rozwarte i rozwarte oczy:
Słońce piersi dotyka—pierś twarda, jak skała,
Pojrzy w oko—i krzepnie jak w lodu przezroczy,
Włosa szuka—lecz w czaszce gładko wygolonej
Siebie tylko zoczyło,—zlękło się zwierciadła,
Więc co prędzej w obłoków skryło się zasłony
I posępność znów większa w chłodną salę wpadła.

Ale trupy nie same. Pośród ciał i kości
Mnóstwo młodych, żyjących, gdyby kruków stada,
Zwłoki zewsząd otacza. Bez cienia litości
Zgraja noże błyszczące w nagie ciała wkłada,
Dziewic łona otwiera, starcom czaszki łupie,—
Serca, mózgi bezczelnie na zewnątrz dobywa.
Uczuć, myśli siedliska dziś w bezładnej kupie
Gnijąc leżą na ziemi i pył je okrywa.

Ciała w grobach złożone, spokojne i blade,
Urok śmierci otacza; pełne majestatu

Zakrywają przed widzem śmiertelną szkaradę,—
Budząc cześć i zadumę, wierzyć każą światu,
Że za grobem jest jakaś tajemna kraina:
Te zaś w prochu zhańbione i ciała i kości
Przestrach tylko wzbudzają i człowiek wspomina
Mimowoli o czarnej i wiecznej nicości...

Pocóż lotem bić w gwiazdy, na co życia wiry,
Na co piękność i szczęście i rozum i sława,
I co z pieśni, co z dźwięku rozżalonej liry,
Po co szaleć i cierpieć, na co praca krwawa,
Na co myśli, co ssają krew, gdyby wampiry:
Jeśli końcem istnienia zgnilizna plugawa,
Jeśli śmierć nas przemieni w marną garstkę błota,
Jeśli wieczność—niestety—tylko bajka złota?

J. Żuławski.

SZYDERSTWO FALI.

Burzą okręt schwycony. Srebrny maszt strzaskany,
żagle jedwabne w strzępach, pękł ster hebanowy.
Wgryza się cielsko wody w malowane ściany,
młotami fal drugoce korab purpurowy.

Hej! budowałem okręt całe życie młode
i ukradłem ze skarbców wielu dlan wyprawę
a teraz kradnie otchłań dzieł moich urodę,
rabuje dumne piękno i wyśnioną sławę.

Odbiegli towarzysze. Pokład opuścili,
na zwinnych, lotnych łodziach do brzegu pomknęli,
tam im się z drzewa życia bujna gałąź chyli,
tam z brudu walk obmyją się w słonecznej bieli.

W oploty lepkich, chytrych polipów wilgotne
stopy mi już okręca wód odmęt żarłoczny
Na ruiny spoglądam okrętu samotne.

Puste. Mewa krzyknęła z chmur kopuły mrocznej,
jakby o pomoc dla mnie. Nie dolecisz ptaku.
Nikt krzyku nie usłyszy. Już fala się zbliża
nowa, jak wieża z głazów w srebrnych pian szy-
szaku.
Zmiażdży mnie w proch. Już goni potworna i chyża.

Któż do mojego boku przypadł krwią gorącą?
Kogo nie przeraziło zniszczenia pustkowie?
Dziewczyna do mej piersi tuli nagość drżącą,
co utraciła cnotę gdzieś w przydrożnym rowie.

Ku igraszce ją sługom na mój okręt wzięto.
Precz ją odpycham. Wody niebotyczna skała
już mi wisi nad głową. Sam jestem z przeklętą.
Ona nóg mi się czepia strachem oszalała.

Grom!
I ryk tryumfu i morskich-gardzieli.
W przepaść zmiótł opuszczonych grzmiący orkan fali.
A we wirze skłębionym pochmurnych topieli
zjaśniał krzyż w dół lecący, z pereł i z opali,

członków białych dziewczyny, na którym przybity
żelaznym wód oplotem samotnik, pan łodzi.
Hej gnają fale, w niebo wzniósłszy śnieżne szczyty
dalej w bezmiar.
A mewa wciąż krzykiem zawodzi.

J. German.

BÓL.

Ból ciągłem echem wstrząsa ponure me wnętrze
I swem czarnem zaklęciem wskrzesza straszne zmory;
Znów widzę mych nadziei zważone ugory,
Na nich me spragnień mrące marzenia najświętsze.

Jak grom, gdy na dnie morza drzemiące potwory
Cucąc, czerwonym blaskiem na powierzchnię nęci,
Tak krzyk bólu wywiabia z lochów mej pamięci.
W mrokach oddawna śpiące pamiątek upiory.

W mej duszy, tej na poły zwalonej katedrze,
Wszędzie sterczą ponure mych dążeń grobowce—
A puhacz smutnych przeczuć zawodzi swe jęki.

I gdy nagle myśl jasna ciemności rozedrze,
Z pod pleśni przez pajęczyn rozsnute pokrowce
Widzę—szyderczo śmierci uśmiechnięte szczęki.—

S. Barącz.

TWÓRCY.

W marzenia świat gdyś zbłądził raz,
W ten czarodziejski wonny las,
Gdzie śpiącą się królewnę budzi,—
Nie wracaj już pomiędzy ludzi,
Pod grobu raczej skryj się głaz!

Po arabeskach greckich waz
Płaz przemknie ci, ślad ujrzysz skaz...
O, precz! (za-ż wiesz, co bardziej łudzi?)
W marzenia świat!

Tyś dał, coś miał. Tyś krasę kras
Z bezkresów stargnął w przestrzeń, czas,
Dał kształt, którego kał nie zbrudzi,
Tchnął żar, że mróz go nie wystudzi.
Tyś ducha pchnął, co gasł śród mas,
W marzenia świat!

Miriam.





Miriam (Z. Przesmycki)

ŚWIĘTY OGIEŃ.

(Pani El. Orzeszkowej).

Ubogi z głazów ołtarz ich pośród olbrzymich stał menhirów,
A śpiew ich smętny miał za wtór oceanowych łoskot wirów.

Z zielonych swych, szumiących puszcz przynieśli tu nad mórz odmęty,
Praojców wiarę w głębi serc—i niegasnący ogień święty.
Gdy padł ostatni czczony dąb, liściastą swą powiawszy szatą,
Odeszli precz, bo oczy ich nie mogły dłużej patrzeć na to,
Jak dawnych bóstw skrzydlaty rój w dal gdzieś odpływał widm orszakiem,
A lud pokornie chylił skroń przed nowej wiary obcym znakiem.
W najdalszy, cichy kraju kąt unieśli swe najdroższe skarby

I, pielęgnując święty żar, między skalnemi żyli garby.
Wierzyli tak, iż żadna moc nie mogła złamać tej ich
wiary:
Że przyjdzie dzień, gdy w łonach puszcz odżyje
znów świat bogów stary,
Gnomy i elfy w dziuplach drzew, straszne w pieczarach gór olbrzymy,
Że znów zaszumi dębów gaj, w niebo się objat
wzbiją dymy,
I lud porzuci obce sny, ukocha znowu przeszłość
jasną—
Jeśli tak ognia będą strzedz, że święte żary nie
zagasną.
Bo w tem zarzewiu siła tkwi, pewniejsza wiele od
oręży
Co przerwie sen, oświeci błąd—nieufność, opór
przezwycięży;
Moc cicha w niem zaklęta śpi, moc święta ducha
wszego ludu,
Póki w niem jedna skra się tli, można z ufnością
czekać cudu.
Mijały dnie, szeregi lat. W skwarne południa, mgliste
noce
Druidów orszak czuwał wciąż nad świętym ogniem
na opoce.
Oblicza im poczerniłdym, zgrubiały dłonie od mozołów

Bo trzeba było nosić drwa—het—z oddalonych gór
wierzchołów.
Pot lał się z czół, z ócz krwawe łzy płynęły, w
bruzdy krając lice,
Gdy własną piersią święty żar trza było chronić w
nawałnicę.
Lecz mężnie trwali w pracy swej, wiara krzepiła ich,
że strzegą
Ogniska myśli, uczuć cnót, przyszłości całej ludu
swego.
Marzyli wciąż, że ujrzą dnie przeszłości się odradzające—
I widział wokół lud co noc ich ogień, jako krwawe
słońce.

Lecz przyszła chwila, kiedy stróż, co stał z kolei u ołtarza,
Krzyk trwogi wydał, że brak drew, a ogień święty się dożarza.
Druidów grono zbiegło się, aby usłyszeć wieść straszliwą.
Że nastrojony wrogo lud broni im z lasów brać paliwo.
Zgroza! Więc ogień zgasnąć ma? Ból im szalony zwysły miesza!
Nadzieja złudna była więc?—z rozpaczą szepce cała rzesza.
Lecz arcykapłan woła: Nie! Ta ostateczna klęska wieści,
Że już się zbliża koniec zła, i trudów naszych, i boleści.
Odwagi, bracia! Blizko świt! Aby nam zorza zajaśniała,
Wytrwania tylko kilka chwil! Paliwa brak?—A nasze ciała...
Jeden po drugim szli na stos, a każdy pośrod mąk konania
Pytał, czy z dali nie brzmi głos, głos odrodzenia, zmartwychwstania;
Czy już nie szumi dębów gaj, czy objat się nie wznoszą dymy,
Czy nie odżywa świat ich bóstw?... I w ogniu marli tak, olbrzymy.
Aż arcykapłan został sam... Widział męczeńską śmierć współbraci,
A nie miał dotąd żadnych wróżb, że ich ofiarę los odpłaci,
Że się marzony spełni cud. Jednak nie wahał się ni chwili
Może tam już się budzi lud? Może śmierć jego—los przesili?
I wstąpił na ofiarny głaz...

Miriam (Z. Przesmycki).

WIZYA.

Konwulsyjnie w przestrzeń wyciągnięte ręce,
W nieukoju wiecznym, w pragnień wiecznej męce,
Widziadłem olbrzymiem, kędy zwrócę oczy,
Wieją w nieskończoność powietrznej przezroczy,
Mrocząc blaski wschodów, zachodów rumieńce.
Cień z nich czarny pada na starce, młodzieńce,
Na wieńce dziewicze, na cchocze żeńce,
Na glob, co się wiecznie—dokąd? dokąd?—toczy
Konwulsyjnie...
Te błagalne ręce, te ręce—szaleńce,
Prężące się wiecznie ku szczęścia jutrzence,
Co snać nie zabłyśnie na niebios roztoczy!
„Nigdy!“ „Wiecznie!“ „Nigdy!“—serce krwią się broczy,
Jakby je polipy zgniotły sturamieńce
Konwulsyjnie...

Miriam.



PIEŚŃ SAMOTNIKA.

W potężnej klatce, w pętach, lew zraniony drzemie,
Nie targa łańcuchami, z rykiem już nie skacze;
W samotnej piersi, już nie skarżąc się na ziemię,
Zranione serce śni i krwią serdeczną płacze...
Lew, serce smutne—krewne duchy dwa:
Nie budźcie serca, bo zbudzicie lwa!

Lew wstrząsa grzywą, wstanie z jeszcze większą siłą,
Jak na pustyni, gdzie znał wielu lwów pokrewnych;
Zabije serce znowu, jak w młodości biło
Wśród bliźnich serc potężnych i jak burza gniewnych.
Bo lwu i sercu duchów bratnich trza...
Nie budźcie serca, bo zbudzicie lwa!

Lew skruszy klatkę, pójdzie skonać w wielkiej puszczy,
I pojrzy w niebo, tocząc z piersi krwi ostatki.
Tęsknemu sercu pośród obłudników tłuszczy
Tak duszno, jak w żelaznem upowiciu klatki,
Lwiej śmierci żąda, lwia mu wolność gra..
Nie budźcie serca, bo zbudzicie lwa!

Świsnęły strzał podstępnych zcicha mknące groty,
Lew zjeżył grzywę, stawi wrogom czoło harde;
Potężne serce, wulkan ognia i tęsknoty,
Szyderczej śmieszków zgrai ciska w twarz pogardę.
Lwią dumę tylko takie serce zna...
Nie budźcie serca, bo zbudzicie lwa!

Ostatni raz już lew uderza w łos olbrzymi,
Pustynia drży, budzą się bracia lwy—rówieśni;
Samotne serce, jak ofiarny ołtarz, dymi,
Zbudziło świat, ostatnie sercem nucąc pieśni.
Bo lew i serce—krewne duchy dwa:
Nie budźcie serca, bo zbudzicie lwa!

J. S. Wierzbicki.

NĘDZA.

Duszo młodzieńcza, jeśli uczuć siła
Nad poziom życia unosić cię będzie;
Jeśli cię marzeń kraina zwabiła,
A myśl fantazyi złotą nitkę przędzie:
Gdy ci na świecie błogo i uroczo,
Zapał ciemne mgły doświadczeń rozpędza:
Pomnij, że ciebie cierniska otoczą,
Że od natchnienia silniejszą jest—nędza!

Genjuszu biedny, w gorącem twem łonie
Spoczywa iskra boskiego natchnienia,
Dzisiejszość laurem uwieńcza twe skronie.

Wyzłaca głoski twojego imienia:
I przyszłe wieki podziwiać cię będą.
Lecz sława twoja to pajęcza przędza,
Na dumnem czole chmury trosk osiędą.
Bo i od sławy silniejszą jest—nędza!

Ołtarz natchnienia pokryje kir wrogi,
Gmach świetnych myśli skruszy się w zwaliska,
Sławę twą rzucisz przechodniom pod nogi,
By od twojego stronili ogniska!
Głód w tobie z cnotą straszną walkę stoczy,
W pierś się twą wpije wszech występków jędza
A śmierć moralnie zajrzy w twoje oczy,
Bo i od cnoty silniejsza jest—nędza!

J. Laskarys.

Z CHWIL CZARNYCH.

W ruinach stoją twych marzeń świątynie,
Rzeczywistości duch twój dźwiga pęta,
Pieśń twa, jak gdyby przekleństwem dotknięta,
Jak ptak bezdomny, siada na ruinie.

Jak ptak, gdy wróg mu zabierze pisklęta,
Z piersią rozdartą ku błękitom płynie,
Tak myśl twa dąży w nieszczęścia godzinie
Tam, gdzie młodości twej kraina święta.

I ty wciąż patrzysz na sztandar żałoby,
Na stygmat śmierci widoczny dokoła,
Na krzyże czarne, na posępne groby...

A jednak w mękach nie uchylasz czoła,
I duch twój, bólem łamany Nioby,
Wpatrzony w błękit—Excelsior!—woła.

J. Nitowski.

ŚMIERĆ CZARNIECKIEGO.

W Sokołówce, przed chatą u proga,
Pachołkowie i ludu czerń mnoga;
Stoi stępak u żłobu powolny,
A w świetlicy leży Hetman polny.
Hetman głowę pochylił na łoże,
Krzepkiem ciałem już władnąć nie może,
Złożył ręce jakby do modlitwy,
Ale wojak ciągle marzył bitwy.
To o Szwedach odmawia pacierze,
To Stawiszczan rozhukanych bierze.
A przy świetle gromnicy, ksiądz cichy,
Świętym krzyżem maże ziemskie grzechy;
Prosi Boga w pokorze i skrusze,
By do raju przyjął starca duszę;
A lud słowa powtarza kapłana:
—„Sługę Twego—zbaw Panie, Stefana!“

Zarżał stępak u żłobu powolny,
Wzniósł na łożu głowę Hetman polny,
Bielmem zaszłe roztworzył źrenice,
I popatrzył na smutną gromnicę;
Witał księdza—jak ze snu powstały,
I znów słuchał jak rży jego biały.

—Wprowadźcie go!—skinął na husarzy.
I wnet biały po izbie się waży,
Na pierś starca kładzie łeb swój suchy,
(A obadwaj biali jak dwa duchy).

Śmiał się hetman jak dzieciak szczęśliwy,
Tuląc ręce między śniegi grzywy:
—„O mój biały!..“ A biały, spokojnie
Zda się z panem rozmawiał o wojnie;
Raz po razu to czerepem ruszy,
Aż starcowi jakoś tęskno w duszy,
Wzniósł buławę, spojrzał w koło groźno
I rzekł.—„Królu! dałeś ją za późno!“

Potem opadł na łoże bez siły;
Znowu rzesze pacierze mówiły,

Znowu stępak u żłobu powolny,
A w świetlicy leży Hetman polny...
Pan kijowski nie daje rozkazów;
Twardych z ust swych nie ciska wyrazów;
Ani rżeniem rozbudzi go siwy:
Bo wódz wielki już leży nieżywy!

A twarz jego szlachetna, uczciwa,
Jeszcze jakimś postrachem przeszywa;
Jeszcze z śmiercią nawet walczy samą,
I szeroką odzywa się szramą:
Jam nie z soli, ani z roli,
Ale z tego co mnie boli!

A. Czajkowski.

DO ŚMIERCI.

Przybliż się, blada, przybliż się, cicha!
Odsłoń twe lica spokojem piękne!
Ludzkość cię cała z trwogą odpycha—
Ja się nie zlęknę!

Chociaż nie wierzę, by twoja ręka
Do złotych niebios wiodła podwoi,
Wierzę, że w grobie ból już nie nęka—
Ciszą się koi.

Wierzę, że losu wsciekłość bezsilna
Do walk daremnych tam już nie zbudzi,
I że cieplejszą ziemia mogilna
Od... serca ludzi!

M. Bartusówna.



W. Gomulicki.

MUSISZ KOCHAĆ.

Próżno, śląc w niebo oczy i westchnienia,
Aniołom tęskną użalasz się mową,
Próżno, upadłszy na pierś Chrystusową,
Całujesz ręce i stopy z kamienia;
Próżno, gdy płyną kadzidła i hymny,
Chcesz z niemi sercem ulecieć wysoko;
Próżno na chmurach wieszasz błędne oko,
Próżno, płonąca, kamień ściskasz zimny—
Ani przy modłach krótkie wniebowzięcia,
Ani cię zbawią podobłoczne loty:
Lilija w noc letnią rzuca płaszcz swój złoty,
Dziewica rzuca białe sny dziecięcia.
A taka siła w tym bożym wyroku,
Że jej przełamać nikt z ludzi nie zdoła;
Gwiazdy wprzód strąca z dziewiczego czoła
Potem strąconym każe płonąć w oku.
I nie otwarcie walczy, lecz zdradziecko,
I kiedy schodzi, nie wstrzymać jej w locie;
Przyjście jej dusza czuje po tęsknocie,
Przez nią w człowieka olbrzymieje dziecko.

Choćbyś tytanów myśli miała dumne,
I tę moc, która śmiertelnego trwoży,
Bezsilna padniesz, kiedy wyrok boży
Każe ci wybrać: miłość albo trumnę.
Pocóż na licach ta Pallady maska?
Pocóż na sercu ten puklerz ze stali?
Jeśli pierś z drzewa, namiętność ją spali,
A jeśli z głazu—roztrzaska!

W. Gomulicki.

ŚLEPY.

Pod krzyżem usiadł ślepiec,
Skargami echa budzi:
— „Wspomóżcie! bom zaprawdę
Najnieszczęśliwszy z ludzi!

W pomroce tonę wiecznej
Co duszę mi zalała;
Obcym jest dla mnie bliźni,
Obcą przyroda cała.

Jako liszka w oprzędzie,
Duch mój gnuśnie wciąż drzemie—
Ciemność skryła mi niebo,
Ciemność skryła mi ziemię.

Nie znam słońca i planet,
Drogi nie znam przed sobą,
I nie wiem, co mnie czeka
Poza dzisiejszą dobą!“...

Każdy słucha narzekań
Z sercem współczuć gotowem;
Ten datkiem go wspomaga,
Temten poczciwem słowem...

Ale znalazł się jeden,
Co odmówił wszystkiego...
— „I któż z nas - rzecze—więcej
Wie i widzi od niego?!“...

W. Gomulicki.

CHRYSTUS CHORYCH.

I.

Jest w chorych dziwny urok więdnącego ziela,
Stroju klombów cmentarnych, gdy się jesień smęci.
Chorzy, starcy-młodzieńce, ci asceci święci,
Co przyszli na dzień smutku po szczęściu wesela.

Ci Chrystusi szpitalni, jakby z krzyża zdjęci,
Którym płomień gorączki chory mózg spopiela,
Czekający na przyjście Zgonu-przyjaciela
Z wstrętem bytu i szarej, codziennej pamięci.

Zapatrzonym w szpitalnych pował ornamenty
Śnią się łąki zielone, pełne traw i mięty,
W woni, w blasku palącym lipcowych obłoków.

I zda im się, że idą po leki nieznane
Na swych szczudłach oparci—przez leśną polanę
Do słonecznych uzdrowień cudownych potoków.

II.

Znam ja ciszę pokoi, w których chorzy leżą,
I żaluzyj u okien tajemniczość białą.
Tam Krew moja najświętsza i boskie me Ciało
Jest schorzałym nędzarzom Ostatnią Wieczerzą.

Te piersi wyżłobione, które Ból przygniata,
Te oblicza, utkane z opłatkowej bieli,
Dobrą dłonią podejmę z szpitalnej pościeli,
By zakwitły na łąkach miesięcznego świata.

Znam ja trwogę schorzałych i nieraz z źrenicy
Umiem bezmiar nicości wyczytać, jak z karty.
Bo te widma wybiegły z mej duszy rozdartej—

Bo ci chorzy powstali z mych myśli ciemnicy
Niemą, wieczną pogardą trawionych katuszy
Beznadziejni i smutni, jak głębie ich duszy!

J. Pietrzycki.

NA POLACH KARTAGI.

Stoję na polach milczących Kartagi,
Wciśniętych między dwie zatoki morskie:
Szmat potargany, zdziczały i nagi,
Po których przeszły pęki rózg liktorskie.

Odkryte doły, zaklęśnięte jamy
Bezkształtne wnętrza ukrywają zwalisk;
Po polach leżą strzaskane odłamy
I bezimienne szczątki wykopalisk.

Gdzieniegdzie mignie znienacka w pobliżu
Twarz ludzka w pośród odsłonionych ruin,
W framudze cegieł, jak posąg ze spiżu
Stoi poważny Arab lub Beduin.

Posępna plemion zginionych kotlina,
Ściegiem zielonych haftowana grządek,
Ostrym trójkątem ku morzu się wspina
I w górujący wystrzela przylądek.

Na jego stoku coś bieli się niby,
Wieńcem zieleni przepasane w kółko,
To białe, nizkie Arabów siedziby
I groby świętych z okragłą kopułką.

Szeroko płaskie kaktusów łodygi
W koło lepianek tworzą płot kolczasty;
Wśród nich aloes lub krzywy pień figi
Wznosi ramiona nad piasek i chwasty.

Przed lepiankami zasiedli na ziemi
Piękni linjami i wyrazem chłopcy
O śniadych twarzach, oczyma czarnemi
Patrzą zdumieni, gdy nadchodzi obcy.

Słońce ku morzu zaszło gorejące,
A przez kaktusów dzikie żywopłoty
Wybiegły naraz promieni tysiące,
Przedarł się pożar czerwony i złoty.

To za skal szczytem wybuchając w dole,
Odbity w górze przez chmur ciemne wstęgi,

Ogniem swym objął kartagińskie pole
Coraz to szersze zataczając kręgi.

A mnie się zdało, że przede mną płonie
Olbrzymie miasto—gdzie wre bój zajadły.
I widzę mieczem uzbrojone dłonie,
I stosy trupów, które w walce padły.

Goreją, gmachy, świątynie, portyki,
A orły rzymskie ulatają górą:
Wzniosły się dumnie ponad zamęt dziki
I świecą łuny ognistej purpurą.

Tłum zrozpaczonych niewiast prosto leci,
Gdzie w żarach krwawe topnieją bożyszcza,
Rzucają w płomień skarby swe i dzieci
I same skaczą w walące się zgliszcza.

Męże polegli—niema już narodu,
Jeźdźcy tratują nikczemnego zbiega,
A nad gruzami zburzonego grodu,
Rzymskie: „Vae victis!“ głośno się rozlega.

A. Asnyk.

ZWYCIĘZCA HIPPODROMU.

Pędzim. Pył mglisty zrywa się w krąg świata,
Jak dym gdy buchnął wiatr w zgliszcze,—
Tunika wzdęta furcząc w tył ulata,
W rozchwianych włosach wiatr świszcze.

Ha! Lecę pierwszy,—inni, w błysk pioruna
Tuż za mną, szał mnie pochwyca...
W drżącej się dłoni pręży lejc jak struna,
Bicz śmiga jak błyskawica.

W oczach się mroczy, w uszach szum. O moje
Wichro-kopyte bieguny!
Feba słoneczny owies wam! wód zdroje
Płynące srebrem w blask Luny!

Pięć wołów w cześć twą, jak stanę przy kresie,
Herkulu możny półboże!
Dziesięć! Dwadzieścia! Dwieście! Herkulesie
Spiesz! Bo zapóźno być może!..

O! tam, w tunice z śniegu, czarnobrewa
Ściga mię wzrokiem Neera.
Zarumieniona, rąbkiem z mgły powiewa
Serce jej w piersi zamiera.

O słodka Wenus! Bogi wielowładne!
Och! wy mię wspomódz zechcecie!
O Ceusie! Ceusie! Niechaj trupem padnę,
Bylebym upadł przy mecie!

Och! ten—tuż za mną—pędzi znakomicie,—
On mnie dosięgnie—przeniesie...
O wichry moje! toż w miejscu stoicie?
O Ceusie! O Herkulesie!

Dopędza—w równi prawie już... O Bogi!
Toż wy mię odstępujecie?
Stój!—Stój!—Zawadzi... Trzask!.. Och! cios był srogi.
Ha! alem upadł przy mecie!..

O! wstać nie mogę.. Krew—ból... Sprząg wichrowy
Ostatki wozu w dal miota...
Gońcie je—w winie skąpać je! Podkowy
Z szczerego ulać im złota!

Ha! co? jam pierwszy—prawda? Śmiech mię szczery,
Gdy w tył pamięcią pogonię...
Co? tylko żebra?—Co? i tylko cztery?—
Dawajcie wieniec na skronie...

O, piękna moja! wstrzymaj łzy niewieście.
To co na skroni mej było,
To może spocząć u twych stóp, a wreszcie
Choćby nad moją mogiłą.

F. Faleński.

MEWIE...

Słyszałem, jak w szmer morza wpadały mew płacze.
Aby razem z nim nucić jakąś pieśń półsenną,
Widziałem, jak szły fale błędne i tułacze,
Ściskając brzeg kamienny pieszczotą bezdenną—
I każde zgięcie fali i każdy krzyk mewy
W mem sercu wszystkie stare budziły rozpacze
I biegły moje myśli, jak fale tułacze
I łkały wszystkie stare, stworzone w łzach śpiewy!
Z bezkresu i w bezkresy przedemną szły fale
Głębokie a mistyczne, jak życia wylewy—
I tak, jak dusza skargę—tak wciskał płacz mewy
W odwieczne morza szumy, odwieczne swe żale!
Zapomnieć, o zapomnieć! Niech świat Oceanid,
Świat fali i odmętu pogrąży mnie w ciszę
I do snu niech swym rytmem spokojnym kołysze,
Aż serce śniąc, powoli zamieni się w granit!
Lecz wiem ja, że i wteby fal miękkich aksamit
Pieszczotą swą przypomni pieszczone w łzach śpiewy
I tak, jak w głębi pustyń woła szczyt piramid—
Tak będzie w tym granicie wciąż wołał płacz mewy!

W. Gozdawa-Godlewski.

WOLA.

Ja—skalny dziki ptak—mych szponów grotem
Rozdzieram burzom pierś—jak błyskawicą—
Na strzępy chmury drę spojrzeniem krwawozłotem—
Na wielki wzywam bój ja grozę sinolicą.

Bo wzgardę szczytów znam, co drzemią w srebrze,
Bom zwalczył widma snów w zamczysku starem,
Ja—słucham, jak z za krat o wolność nieba żebrze
Tęsknoty-branki płacz zamkniętej w duszy harem.

Lodowców jasny grom—lawiny szały
Na klęski wiodę w dół sztandarem lotów,

Lub w granitową turń zasiądę skamieniały,
Bym był na pierwszy krzyk do walki z wichrem
gotów.

Jam—silny—czułem wciąż dwóch jezior żądze—
Przed wieki rozbił je mój głaz przełęczą,
Czekały na mnie tak, czy ku nim nie zabłądzę
W ulewie, bym je mógł uścisnąć jedną tęczą.—

Aż cyklon rzucił mną w pomroczny parów,
Gdym wiedział, że już kres! W bazaltów złomie
Twarz Losu nad mgłą pian, nad głębią wiecznych warów
Tam sny mych przeczuć drżą w podziemnych wód
malstromie.

W ostatnim wzbił się lot—zwyż—na otchłanie—
Już tylko w dole gdzieś lśni wirów szmaragd...
I gdym w zenicie stał w mych skrzydeł huraganie
Ja—skalny, dziki ptak runąłem w toń katarakt.

K. Wroczyński.

* * *

Chłop na łany wyszedł z kosą... istna śmierć!
Istny szkielet, chylący się pośród zbóż...
Stanął... patrzy... kiwa głową: „Któż wie, któż,
Czyli z korca wysianego zbiorę ćwierć“...

„Nie usiecze... owies mały... liche źdźbła“—
Prasnął kosą, aże brzękła—rzucił sierp:
„Dał ci Pan Bóg marne życie... a ty cierp!“
Zęby zaciął—na powieki trysła łza...

I potoczył łzawem okiem w ciemną dal:
„Przyjdzie zczeznąć... Ha, no darmo! To i cóż?
„O mnie mniejsza—ino dzieci... dzieci żal!..“

I do serca pchał się gwałtem dziwny lęk—
I poleciał niesłyszany, cichy jęk
Po ugorach i po szarych łanach zbóż...

Wł. Orkan (Smreczyński).

PERŁA.

Witaj mi, życie—królu! A uśmiechnijże się,
Twój błazen ci się kłania.—Kapryśną go dłonią
W przepaść zepchnąłeś—wrócił.—Znów dzwonki
zadzwonią,
Więcej:—perłę ci drogą w podarunku niesie.

Tak ciężka, że grzbiet pod nią omdlewa i gnie się.
Krwawo zdobyta!—Twory dziwaczne jej bronią.
Dojrzysz, wnet ją tarczami złotemi osłonią,
Tańczą, śpiewają, zwodzą, jak w zaklętym lesie.

Różne noszą imiona: piękno, zapał, wiara...
Nie przeliczę!.. Któż zresztą spamięta to mnóstwo?—
Wytępiłem!—i dumny pochwyciłem bóstwo,

Perłę mą—Obojętność... Lecz odtąd mnie mara
Duszy ogłuchłej dręczy... Los mi dał zwycięstwo,
A dzisiaj—o, mój królu!—przeklinam swe męstwo!

M. Zbrowski.



SYZYF.

Od wieków brzemię swe, jak prawo bytu,
Wytacza z ciemnych głębin na wyżyny,
Gdzie płonie gwiazda słońca u zenitu.
Od wieków musi wracać się w głębiny,
Po skałę ciągle strącaną ze szczytu
Przez gniewnych bogów słonecznej krainy.

W oczach ma przepaść niezgłębioną skargi,
W posępnej twarzy pomnik swoich dziei,
Spiekłe, milczeniem swem wymowne wargi,
Bary zgniecione trudem lat kolei;
Z ponurym losem nie idzie w zatargi,
Bo stracił nawet nadzieję nadziei.

Gdzie tylko ziemię porył swem brzemieniem
I polał potem—tam głuche pustynie
Zawrzały życia dziejowym strumieniem;
Porosły łany na dzikiej krainie,
Runęły puszcze z prawiekowym cieniem
I wstały grody, pałace, świątynie.

I z jego potu wzrosło plemię tłumne
Podbiło ziemię—wstrzymało bieg słońca.
Prometeuszów plemię harde, dumne!
On—głaz swój w górę wytacza bez końca,
Rachując wieki kładące się w trumnę
I groby wolnych pokoleń tysiąca.

F. Nowicki.



NUREK.

Szuka pereł, w toń skoczył, zwarły się fal wrota,
Tam rekin nie wytrzebi żeglarza mogiły,
Lecz on ma pierś trytona!—Wysiłkiem lwiej siły
Chwycił na dnie, wypłynął... To była garść błota!

Odetchnął. W górze słońce lśni w strumieniach złota,
On wraca na dno. Fale grzbiety nad nim zbiły;
Bój toczy z własną piersią, palce w muł się wpiły,
Szuka—za nim śmierć pełza... Tu cmentarz żywota!

Ha, tchu znowu nie stało!—Z morza postać blada
Wypływa, chmyta oddech, bez sił się szamota...
Cóż to? Znów się zanurza w obłędzie pośpiechu?

Rzekłbyś—to wieszcz, co wiecznie w ciąb narodu spada,
A chcąc cząstkę najlepszą wydobyć z pod błota,
Wypływa, lecz jak tryton, tylko dla oddechu!

A. Niemojewski



T. Lenartowicz.

STABAT MATER.

Wiatr w przelocie skonał chyżym,
Przeniknęła ziemię zgroza,
Krzyż na skale, a pod krzyżem
Stabat mater dolorosa.

Żadnych słów i żadnych głosów,
Krew z korony bożej spływa;
Wobec Boga i niebiosów
Stała Matka boleściwa.

Na konania patrząc bole,
Rany, pręgi od powroza,
Na łzy oczu, cierń na czole,
Stabat mater dolorosa.

Konająca od współmęki,
Przyjmująca śmierć za żywa,
Cierń i gwoździe bożej ręki,
Stała Matka boleściwa.

Jak raniona szybkim strzałem,
Deszczem łzy wylewa brzoza,

Z takiem sercem przebolałem,
Stabat mater dolorosa.

Czując męki w piersi wzdętej,
Jak się życie w łzy rozpływa,
Łza przepada w uśmiech święty,
Stała Matka boleściwa.

Jak świat wielki opuszczona,
Gdy ją zdjęła życia zgroza
Przerażona, że Bóg kona,
Stabat mater dolorosa.

Z wysokości więc boleści,
Która ludzkie gładzi grzechy,
Na jęk trwogi, żal niewieści,
Jeszcze promień spadł pociechy.

—Nie zostawię cię sierotą,
Ukochana do ostatka,
O! niewiasto, Syn Twój oto,
Janie! oto Twoja Matka!—

O! pociecho, jakżeś sroga,
O radości z sercem sprzeczne!
Za człowieka oddać Boga,
Za doczesne oddać wieczne!

—O! Maryo nie gardź nami,
Patrząc na łzę, co nam ścieka,
Że częstokroć mniej kochamy
Stwórcę Boga niż człowieka.

—Oczyść nas Twej szaty płótnem,
Jednym wiewem złotej poły,
Niech się kocham w życiu smutnem,
I w wieczności Twej wesołej.

A w dzień zgonu bolejąca,
Nim do wiecznych zejdę mroków,
Niech mi żal nie będzie słońca,
I powietrza i obłoków.

T. Lenartowicz.

HABDANK.

Na wysokim zasiadł tronie
O poręczach z białej kości,
Dumny Henryk w słusznem gronie
Swej cesarskiej wielmożności.
Toż gdy miejsca wzięli swoje
I biskupy i pisarze,
Poseł Lacki im pościąga
Te niemieckie butne twarze:
Acz z spokojem w progi wchodzi,
Dumnym wzrokiem orszak zmierzy,
Szabli imąc się—łuskową
Rękawicę w dłoni dzierży,
A na palcu drogi pierścień,
Aż się oczy Niemcom żarzą;
I już liczą wagę złota,
Na łakomstwa wagach ważą.—
Pokój z tym, kto trzyma zgodę,
Kto braterskie przyjmie ramię,
Z tym nietylko bój powściągnie,
Lecz się chlebem Lach rozłamie.
A kto nie, kto złości chowa,
Kto się jedna z jego wrogi,
Rękawicę mu łuskową
Rzuci rycerz Lach pod nogi—
Tak spełniwszy swe poselstwo
Rycerz polski wpośród stanie,
I położy dłoń na zbroję,
Wzrok w niemieckim utkwi panie.
Cesarz zasię przewielmożny,
Zakręciwszy w kołtun brodę,
Rzecze dumnie: nie na pokój,
A na wojnę męże wiodę.
Od Hercyńskich ciemnych lasów,
Po błękitny brzeg Italii,
Henryk cesarz, pan Germanów,
Znaczę liczbę swych wasali.
Dziś a jutro lackie łęgi,
Ziemię widną szumnych łanów

Po rzemienne w krwi popręgi,
Deptać będzie koń Germanów.—
I dorzuci słowo wzgardy,
I na knechty zbrojne skinie:
Oto moje w krąg namioty,
A to mojc złota skrzynie.—
Rzekł i w lot barczyste chłopy
Podnaszają skarbów wieka;
Aleć próżno podziwienia
Krzyku z ust wolnego czeka.
Poseł polski nie rzekł słowa,
Jeno gdy mu wróg urąga,
Łuskowaną swą rycerską
Rękawicę szybko ściąga
Prawiąc: Panie ty niemiecki,
Co wyrzekłeś, dość mi na tem;
Pokąd ziemi, pokąd słońca,
Lach nie będzie Niemcu bratem;
Oto Niemcy wam wyzwanie,—
Rękawica z brzękiem padła,
Aż połowie cnych Germanów
Z trwcgi w sercu krew się zsiadła.
Poczem poseł dłoń podniesie,
I do skrzyni pierścień miota
Rzekąc godnie: niechże złoto
Domieszywa się do złota;
Co zbyteczne Lechii starej,
Chciwość wasza niech zabierze,
Wolnym niech z ojczystych żelaz
Ukowają miecz płatnerze.—

T. Lenartowicz.



ŁAŃCUCH.

Czy słyszycie? młoty walą, tętni łoskot głuchy,
Tam na karki naszych braci kuje wróg łańcuchy,
Nowym ogniem rozgorzała piekielna kuźnica,
Smok germański, krwawą paszczą straszny żar podsyca.

. . . .

. . . .

Takaż ziemio starych Lechów przypadła ci dola?
Cudze chwasty zagłuszyły twoje żyzne pola!
Tam, nad Gopłem, kędy orzeł siadł na gnieździe biały,
Skąd żywotne chrztu krynice na kraj się rozlały,
Gdzie krzyż ręką apostolską na wieczność zatkwiony,
Cały naród szerokiemi ogarnął ramiony:
W kraj echitó.v, obcy przybysz groźną chmarą pędzi
I wydziera ojcowiznę synom, piędź po piędzi...
Gdzie tknąć stopą, jak potworny polip się rozrasta,
Depce hardo święte zgliszcza onej chaty Piasta,
Kędy Bożych posłanników kmieć nasz gościł miodem
Zaczem ujął w dłoń poczciwą berło nad narodem,
Owo berło, co w Chrobrego żelaznej prawicy,
Miało pomknąć pędem gromu, lotem błyskawicy,
Złączyć w jedność bratnie rody, pchnąć je w szlaki nowe,
Hen, od Warty do Powiśla, po łoże Dnieprowe!
Ziemio Piastów, nim smok paszczą z rąk cię polskich wydrze,
Złączmy siły, stawmy czoło tej piekielnej hydrze,
Kraj nasz długi i szeroki, acz w kęsy zszarpany,
Wszak falują złotym kłosem nasze bujne łany;
Kto nie może sypnąć garścią, niech da jedno ziarno,
W okup ziemi, niech poświęci tę siejbę ofiarną!
Wróg skrępował nasze barki potrójnym łańcuchem
Lecz co znaczą twarde pęta, gdyśmy wolni duchem!
Byle wola z wolą zgodna, serce z sercem w zgodzie,
Nie zaleją nas germańskie ni inne powodzie;
Te łańcuchy co nas wiążą twardy topór skruszy,
Lecz żar święty, co wybucha z głębi polskiej duszy,
On ma siłę tajemniczą, przemoc go nie złamie!
Hej! pierś z piersią, serce z sercem, do ramienia ramię.

Skujmy łańcuch wiecznotrwały, niech każde ogniwo,
Tchnie miłością i nadzieją i wiarą tchnie żywą:
Obok mężów niechaj stanie dziecko i niewiasta,
Taki łańcuch niech oplecie wkrąg dziedzinę Piasta.
Siła jego cudotwórcza moc piekielną zmoże!
Bracia moi! Do łańcucha! Dalej—w imię Boże!

S. Duchińska.



MARA.

Po tylu latach niewidzenia,
Ujrzałem ciebie znów—
I znów fatalnie się spłomienia
Najtkliwszy z moich snów.

I znów bym pragnął na zaklęcie,
Iść z tobą w dawny świat,
By podeptany tak zawzięcie,
Raz jeszcze podnieść kwiat...

A choć głos serca mi powiada:
Rzuć płochość—marę rzuć!
Trucizna w czarze tej i zdrada,
Śmiertelna na dnie chuć:

Do ust twych chciałbym tak zuchwale,
Na długi, słodki wczas,
Jak samobójca w cichym szale,
Ostatni przypaść raz—

I wypić wszystką czarę do dna,
Zakląwszy w chwilę wiek,
Byle mi śmierć z niej niezawodna,
Twych ust—jedyny lek!

J. Jankowski.

NOC NA GOPLE.

Wśród rodzinnych wód odmętu,
Śród ojczystych fal
Z rozbitego łódź okrętu
W ciemną płynę dal.

W ciemną płynę dal i z ciemną
Myślą dawnych strat.
Świat nade mną, świat pode mną,
Ale nie mój świat.

Tam gwiazd krocie, księżyc w chmurze,
A tu chłodny grób;
Trupy w dole—tajnie w górze
I ja żywy trup.

Ja trup żywy między niemi:
Gdzie ja płynę, gdzie?
Tu mnie boleść gnie ku ziemi,
Tam nadzieja rwie!

Gdziebądź płyniesz, wód sokole,
Łodzi moja płyń—
Jeśli ginąć, to w żywiole
Fal ojczystych giń!

Śród ojczystych fal żywiołu
Naprzód, naprzód leć!
A wy trupy wstajcie z dołu,
A ty gwiazdo świeć!

Wstajcie trupy i grobową
Gnajcie ku mnie woń,
Gwiazdo losów, nad mą głową
Promieniami płoń.

Gwiazda płonie—trupy wstały
Gdzieś z pod moich stóp—
Straszno, straszno, jak wspaniały
Ten przeszłości trup!

Wstał i patrzy—jeden drugi—
I w około mnie,

Tam łeb turzy—cep—maczugi,
A tu łapy lwie.

Jakie kształty, jakie barwy,
Krwią zbroczone w pas!
Precz ode mnie straszne larwy,
Nie poznaję was!

Precz ode mnie, bo mi serce
Zimny ściska mróz.
Zdejmcie ze mnie, staro-wierce,
Ten wzrok pełen gróz!

Zdejmcie, zdejmcie, a wy ku mnie
Posuwacie krok:
I tak gniewnie, i tak dumnie
Ten wasz szlecie wzrok!

Precz, precz, wołam, oh! daremnie—
Przedwieczności lwy,
Czego chcecie wy ode mnie,
Czego chcecie wy?

„Czego chcemy?—Stare Bogi
Dawnych chcemy sił!
Wróć nam, wróć nam czas ten błogi,
Gdzie lud czołem bił!

Co bił czołem, wznosił modły,
A dziś w głębi wód
Zgroza, zgroza!—ten gad podły,
To nasz cały lud!“
To lud cały?—śmielej, prędzej
Łódko moja leć!
Stare Bogi, Bogi w nędzy,
Gwiazdo moja świeć.

Słyszysz, słyszysz, jak tam gwarzą
W długim grobów snie?
Widzisz, jaką groźną twarzą
Napastują mnie!

Czego chcecie stare Bogi,
Trupie czego chcesz?

Stare Bogi, trupy z drogi!
Prędzej łódko, śpiesz.

Naprzód, naprzód! Bez ołtarzy,
Czem jest, stary Bóg?
A wy słabi a wy starzy,
Precz nam młodym z dróg!

Nie słuchają i tłumami
Prą naprzeciw fal—
Próżno, próżno, pokój z wami
I te łzy i żal.

Lecz daremnie przemódz chcecie
Straszny czasów prąd,
Potępieni na tym świecie
Przed odwieczny sąd.

Bez nadziei Bożku stary,
W niepamięci głąb!
A ty duchu nowej wiary
Zstąp ty na mnie, zstąp!

Zawołałem i jęk wielki
Powstał wkoło mnie—
I w grób Bogów dwie kropelki
Łzy rzuciłem dwie.

R. Berwiński.



SIEROCTWO.

Mówią, że postęp bogaci nas co wiek,
Bardzo mi to jest miło i przyjemnie;
Niestety! co dnia mniej cieszę się ze mnie,
Śmiertelny człowiek.

Cywilizacye dwie widzę ustawnie:
Jedna chce wszystko odkrywać na seryo,

Druga chce wszystko pokrywać zabawnie
Świetną liberyą.

Odkrywająca?—wciąż dąży do słońca:
„Czekajcie — mówi pokoleniom,—bowiem,
Gdy szereg odkryć swych spełnię do końca,
Coś i wam powiem!“

Zakrywająca?—cieszy znów inaczej.
Zdrój łez jej pokaż? ona odpowiada:
„Nie trzeba zważać na to, cóż to znaczy?
Deszcz może pada!“

Dwie takie błogie mając opiekunki,
Ludzkość w sieroctwie zniknęłaby głębokiem,
Gdyby glob nie był ramieniem piastunki,
Słońce—jej okiem!..

C. Norwid.

WĘDROWCY.

Przez ogród idą pełen cudnych kwiatów,
Na piersi twarze zadumane kłonią,
Nie upajają się czarowną wonią
Ani wieńcami stroją się szkarłatów.

Pojmują rozkosz barw i aromatów,
Nęci ich ona, lecz nie siegną po nią;
Chwytają ciernie pokrwawioną dłonią
I liczą ślady bolesnych stygmatów.

A przed bramami stanąwszy ogrodu,
Rzekną: „Otośmy, zaufani w słowie,
Drogę żywota przecierpieli całą,

Wściekłego naszych żądz nie sycąc głodu—
Otocz nas nagród obiecanych chwałą,
Panie!...“ Lecz jeśli nikt im nie odpowie?...

K. Przerwa-Tetrmajer.



L. Rydel.

PSYCHE.

Ze srebrnych gwiazd na ziemię pada nocna rosa,
Z ziemi w otchłań szafiru płynie ciche tchnienie
I z kwiatów rozmarzonych woń wieczorną żenie
I z wód lekką mgłę zbiera i niesie w niebiosa.

Na wzgórzu stanął księżyc i patrzy z ukosa
Przez aleję cyprysów, co nieporuszenie
Czernieją na tle nocy, jak wysmukłe cienie—
Pod cyprysami błądzi Psyche jasnowłosa.

Idzie lotna, niesiona skrzydłami motyla,
Co lśnią od złotych żyłek na perłowej błonce;
W jej ręku płomyk lampy różany migota—

Idzie i nad kwiatami przystaje co chwila:
Może wśród kropel rosy w kielicha osłonce
Szuka łez, które ludzka wylała tęsknota?...

L. Rydel.

Z „HANI“:

VIII.

Na kwitnącej, na jabłoni
Słowik dzwoni
Tak srebrzyście, tak miłośnie
O tej wiośnie,
O młodości, o kochaniu...
— Słyszysz, Haniu?

IX.

Wiatry zwiały
Ten kwiat biały
Z pachnącej jabłoni,
We mgle bladej
Stoją sady
I słowik nie dzwoni.

Później, wcześniej
Sen się prześni
I kochać przestanę...
— Pod powieką
Łzy mnie pieką
Łzy niewypłakane!

L. Rydel.



NASTRÓJ.

Na kwiatach połysk ros...
Tęsknota dzwoni
Tajemnej harfy dźwięk, co w serce trąca,

Śni mi się drżący głos...
Śni gąszcz kwitnąca
Śniegami wisien i jabłoni...

Śni mi się złoty sen:
W ustroni
Pieszczota dłoni twej mdlejąca...

I blady uśmiech ten...
I brzask miesiąca...
I senny połysk migotliwej toni...

Śni mi się jasny zdrój...
Śni pełen woni
Miód kwiatu szczęścia, co aż w otchłań strąca...

I pocałunek twój—
Ta rosa drżąca
Najświeższej róży Hesperyjskich błoni...

B. Adamowicz.

OTWÓRZ MI SWOJEJ DUSZY OGRODY KRYSZTALNE.

Otwórz mi duszy swojej kryształne ogrody,
Niech mię znowu owioną blaski księżycowe,
Niech na twoich kolanach zakołyszę głowę
I zatopię się duchem w marzeń korowody.

Tak mi smutno, jak gdybym stał nad brzegiem wody,
Której taflę trąciły deszczu łzy perłowe—
One chciały wydobyć zeń dźwięki echowe...
I zapadły się cicho w jej kryształne chłody...

Powiedz—może twa dusza jest tą głębią szklaną,
W której wszystkie pragnienia padną nie odczute
I tylko tam, jak błędne miraże, zostaną?

A może w duszy twojej są żary upalne,
Posągi myśli dumnej z meteorów kute?
...Otwórz mi swojej duszy ogrody kryształne.

Z. Gliński.

PIEŚŃ O KOSZULI.

W izbie mroźno, krzepną dłonie,
Słychać głuchy szum zamieci,
Bladem światłem lampka płonie,
Bladą twarzą dziewczę świeci.

Coraz bardziej pierś ostyga,
Coraz słabiej serce bije,
W pilnych palcach igła miga,
I wciąż szyje... szyje...szyje...

Zorza łuną tleje jasną,
Ona szyje do ostatka,
Tam, na niebie gwiazdy gasną,
Tu, na ziemi kona matka.

O miej ufność, matko biedna,
Pan Bóg wejrzy, łzy utuli!
Jeszcze tylko wstawka jedna
W batystowej tej koszuli!

Ot, już praca niedaleka,
Mocy Bożej ufać trzeba!
Ja ci, matko, kupię mleka,
I białego kupię chleba!

Cicho... cicho... ani jęku,
Słońce wschodzi, pomrok kona,
Igła szybko miga w ręku
I... koszula już skończona!

Och, radości tu niemało,
Aż weselsze serca bicie!
Ciszej, mała!... słońce wstało,
Lecz zagasło matki życie!

Dwie męczeńskie blade głowy
Anioł śmierci cicho tuli...
Za tę powieść batystowej
Pokłoniłem się koszuli.

W. Bełza.

MŁODEMU ARTYŚCIE.

N i e u ż y t e c z n a P r z e s t r o g a.

Ach! strzeż się! ach, strzeż się! ta czarnoksiężnica,
Co pieśnią rozmarza, co wdzięki zachwyca,
Już leci tu blizko, już gwiazdy przesłania,
Już serce wydziera, już duszę pochłania.

Ach! prędko, ach! prędko, relikwia do ręki!
Bo pieśni cię strują, bo porwą cię dźwięki,
Bo w wieczność daleką polecisz za niemi
Bez ojca na niebie, bez braci na ziemi.

Ach! śpiesz się, ach! śpiesz się! relikwia odczyni
Zły urok senliwych widziadeł władczyni.
Weź tylko, weź świętą, weź bardziej ci drogą,
Niż głosy jej zaklęć drogiemi być mogą,

I przyłóż, och przytul do piersi artysty
Dłoń szczerej przyjaźni, proch ziemi ojczystej,
Ukochaj coś wyższem nad sztukę kochaniem,
Zostaniesz się z nami, my z tobą zostaniem.

Ja wołam, ja wołam— artysta nie słucha,
Ta czarnoksiężnica spętała mu ducha,
I wzięła na skrzydła, szerokie, tęczowe,
I makiem snów wiecznych zwieńczyła mu głowę.

Już usnął—już wzleciał—już ku nam jedynie
Głos czarnoksiężnicy, nie jego głos płynie;
Toż cuda się dzieją, och! cuda wśród ludzi!
Ten głos go usennił—a nas tu on budzi.

Ten głos go roztęsknił—a nas tu pociesza,
Ten głos go zabija—a nas tu on wskrzesza,
Więc dalej, więc dalej, w muzykę zaklęty,
Leć duchu! tyś grzeszny sam sobie—nam święty.

Gabriella.

WIZYE.

I.

Mojej Matki zapłakane oczy
Patrzą na mnie z beznadziejną trwogą.
Słyszę głos jej, co we krwi broczy:
„Ja już nie mam na świecie nikogo“...

Przez otchłanie, przez góry i morza
Idzie za mną, jak echo tułacze.
Hen, na życia mojego bezdroża —
Idzie za mną, jak echo, i płacze...

Zdaje mi się czasami w noc ciemną
Że jest przy mnie, smutna, zapłakana,
Że pochyla się cicho nade mną
I już usnąć nie mogę do rana.

Jak szaleniec, w mrok wyciagam dłonie
I odpycham jej wizyę od siebie,
Tę twarz bladą w cierniowej koronie
Od gwiazd lśniącej, jak rój gwiazd na niebie.

II.

Co noc ktoś cicho nade mną łka
I woła mnie po imieniu,
Na twarzy czuję stalowy blask
Oczu, błyszczących gdzieś w cieniu...

W bólu i trwodze serce me drży,
Jak ptak śmiertelnie zraniony,
Duszę, zasnutą w wieczysty mrok,
Oświeca płomień czerwony.

Jak wąż oślizgły winie się wstręt
I syczy w każdem wspomnieniu;
Co noc ktoś cicho nade mną łka
I woła mnie po imieniu.

W. Perzyński.



PALMA PRZEKLĘTA.

Legenda Arabska.

Jest palma na stepie jedyna, zielona,—
Gdy pod nią wedrowiec spoczywa,
Wnet tchnieniem tajemnem łagodnie wzruszona,
Kołysze się zwolna i śpiewa.

Słuchajcie, słuchajcie! ach, było nas dwoje:
Brat, siostra u lubej rodziny,—
Nad niego nikt śmielej nie rzucał się w boje,
Nademnie nie było dziewczyny.

W obozie uśpionych podeszły nas wrogi,
Wpółsennych napadli,—wysiekli,—
Poległa rodzina,—mnie z krwawej pożogi
Porwali i w jassyr pewlekli.—

Niedługom tęskniła,—nie długom płakała
Rodziny i stepów swobody,
Bom giaura poznała,—bom giaura kochała,
Bo giaur był przecudnej urody!

Ach! jam zapomniała i giaura i wroga
W tym panu urodnej postaci,
I w jego objęciach wyrzekłam się Boga
W objęciach mordercy mych braci.

Raz w nocy na boje po cichu wymknęli—
I pusto w namiocie kochanka,
Jam była wpółsenna na jego pościeli
Przy słabym połysku kaganka.

Sen dziwne przedemną malował widziadła,
Ów obóz tak dobrze znajomy,—
I twarz mego brata, ponura, wybladła,
A oczy... ha! oczy,—to gromy!

Wyciągnął dłoń ku mnie,—ja zrywam się,
budzę,
Przejęta obawą tajemną,—
Ach to nie marzenie,—nie, ja się nie łudzę!
To brat mój! to brat mój przedemną!

Jak kindżał zatruty do głębi aż łona
Wzrok jego okropny przenika,—
I nagle mnie w silne pochwycił ramiona,
Dopada stepowca i znika.

Jak wicher, jak piorun, i leci i leci,
Aż oddech się w piersiach tamuje,
I minął dzień jeden i drugi i trzeci.
Koń zarżał—znać swoich już czuje.

O bracie! o bracie! miej litość nademną!
Wołałam pocichu ze drżeniem,—
Ha, żal ci kochanka? daremno! daremno!
Milcz, nie hańb mnie brata imieniem!

Już widać namioty, na tętent kopyta
Wybiegły, zdziwione gromady,
On nakrył mnie szatą, a z swymi się wita
I starszych przyzywa do rady.—

Wnet starsi z plemienia otoczą nas w koło.
Szron wieku posrebrza ich głowy,
On milczał przez chwilę,—aż znów podniósł czoło,
I temi odezwał się słowy:

„Gdy gniazdo orłowi wyrodek pokala,
To orzeł go z gniazda wyrzuca,
Lecz cóż arabowi Bóg czynić dozwala
Z wyrodkiem, co czystość zakłóca?

Miał arab rodzinę,—na gardłach rodziny
Nóż giaurów przytępił swe ostrze—
O! płakał młodzieniec po matce jedynej,
Po ojcu, najwięcej po siostrze!—

Bo on w tej dziewicy, arabskiej dziewicy
Chciał widzieć przyszłość niebianki.—
On czcił ją jak świętość Koranu tajnicy,
Jak boskiej zjawisko posłanki.

Raz w giaurów siedlisko w północnej wszedł dobie
I w namiot ich wodza się wciska,

A pusto w namiocie,—a cicho jak w grobie,
I smutnie kaganek połyska.

Przy blasku kaganka, ha! widać łożnica...
A na niej się zdała coś bieli,—
Zbliża się, o zgrozo!—ojcowie,—to lica!..
To siostra na giaura pościeli!

Gdy krew jej rodziny o pomstę ją wzywa
Gdy brat jej szaleje z tęsknoty,
Ta w wroga objęciach spokojna, szczęśliwa!
Z psem giaurem podziela pieszczoty!

Ha! oto ją macie!" i zerwał zasłonę,—
„Uświęćcież jej z giaurem małżeństwo!"
I wraz całe plemię nademną schylone
„Przekleństwo ci, woła, przekleństwo!

Żyj córko wyrodna! Żyj wiecznie zhańbiona
Dla drugich postrachu, przykładu!
Od wszystkich zbrzydzona, od wszystkich
wzgardzona,
Ha! nawet od zwierza i gadu!"

I wszyscy zniknęli, i wszystko przewiało
Jak widmo sennego marzenia,
Lecz w sercu, lecz w duszy, na wieki zostało
Przekleństwo całego plemienia.

I zrywam się z miejsca siłami wszystkiemi
By ukryć gdzie moje męczeństwo.
Daremnie! daremnie! tak ciąży ku ziemi,
Tak gniecie mnie braci przekleństwo!

A ziemia podemną tak huczy, tak gore,
Jak lawy eblisów potoku!
I słyszę głos ziemi: weź, weź tę potworę,
Ja nie chcę jej dźwigać, proroku!—

Wtem zawył huragan, nadzieja pogrzebu,—
Gdy na mnie zatrzymał wzrok hardy,
Osłupiał ze zgrozy i buchnął ku niebu
I minął z uśmiechem pogardy.—

Ha, słyszę, zgłodniały tam szakal się wścieka,
On skończy to moje męczeństwo!
Przyskoczył i zadrżał, ze wstrętem ucieka
I wzrokiem mi rzuca przekleństwo!

I sęp mię omija, i gadów gromada,
Tak brzydzą się dotknąć niegodnej;
I syczą żądłami: ha biada ci biada!
Przekleństwo arabce wyrodnej!

A ciało mi pali i głód i pragnienie!
A duszę mi pali zgryzota!
A niema lekarstwa na moje cierpienie,
Ni końca takiego żywota!

Bo wiecznie! ach wiecznie trwać mają katusze,
Bez przerwy od słońca do słońca!
Choć w palmę zaklęta, ja przecież czuć muszę
I czuję męczarnię bez końca!

A na tom jest palmą, by chłodem i cieniem
Wędrowców do siebie zapraszać,
I życia mojego okropnem wspomnieniem
Słabnących od zbrodni odstraszać.

Słuchajcie!—słuchajcie arabskie dziewice!
O strzeżcie się giaurów ponęty!
Pomnijcie na waszą wyrodną siostrzycę!
Pomnijcie o palmie przeklętej!

Słuchajcie mnie siostry i wiedźcie za młodu,
Że zbrodnią jest z giaurem małżeństwo,—
Że kiedyś staniecie przed sądem narodu,
A strachem jest jego przekleństwo!

K. Baliński.



J. Żuławski.

MODLITWA.

Nie wiem, gdzie jesteś i co-ś zacz o Boże!
nie wiem, czy prośba do Ciebie dopłynie,
czy, jak pieniądz w bezdenne upuszczony morze,
w próżni ponad gwiazdami zbłąka się i zginie.

Nie wiem, czy prosba do Ciebie dopłynie,
czy też Cię darmo szukając w obłoku,
w próżni ponad gwiazdami zbłąka się i zginie?...
jednak prośbę ślę w górę, a ślę ze łzą w oku.

Może Cię darmo szukając w obłoku,
choć tęsknym serca krzykiem ulżę sobie?
Oto prośbę ślę w górę, a ślę ze łzą w oku,
bo mi życie tu ciężkie i smutne jak w grobie!

Choć tęsknym serca krzykiem ulżę sobie
daj-że pociechy Istoto przedwieczna,
bo mi życie tu ciężkie i smutne jak w grobie,—
wszystkie światła pożarła mgły opona mleczna...

Daj-że pociechy Istoto przedwieczna,
daj mi spokoju wielkiego i ciszy;

wszystkie światła pożarła mgły opona mleczna,
rzuć więc także na duszę głuchy kaptur mniszy.

Daj mi spokoju wielkiego i ciszy!
Szczęście ukryłeś w gęstej chmurze czarnej,
rzuć więc także na duszę głuchy kaptur mniszy,
niech się nie rwie do walki bez zwycięstwa marnej.

Szczęście ukryłeś w gęstej chmurze czarnej,
zabij więc także żądzę szczęścia w sercu;
niech się nie rwie do walki bez zwycięstwa marnej,
gdy mu z szczęściem nie stanąć na ślubnym kobiercu.

Zabij więc także żądzą szczęścia w sercu,
bo jest zgorzkniałe i martwe i cudze,
gdy mu z szczęściem nie stanąć na ślubnym kobiercu,
ani wolno mu w światła, ukąpać się strudze!

Serce zgorzkniałe i martwe i cudze
nie wie, gdzie jesteś i co-ś zacz o Boże!
gdy nie wolno mu w światła ukąpać się strudze,
pragnie zginąć, jak pieniądz upuszczony w morze.

J. Żuławski.



STARY BÓG.

Jak lew na starym świecie się położył,
okrył go piersią, w błękit dumną głowę
podniósł i czekał...
Ponad nim się srożył
komet wir w węże spętany ogniowe,
a wyżej straszna ręka przeznaczenia
wisiała.
Niegdyś na rozkaz tej Pani
on świat swój stworzył i skroś nocy cienia
rozpalił gwiazdy, pochodnie otchłani
złote. I rządził już milion milionów

wieków tym światem, bezlitośnie, srogo,
gasząc niesforne słońca śród zagonów
nieba i zniszczeń codziennych pożogą
twarz swą malując krwawo. Drżały światy,
gdy znak swój straszny na niebie zapalił
i szedł — bóg młody — w piorunów szkarłaty
odziany, sądził i jak orkan walił
krnąbrne w toń śmierci.

I minęły wieki, —
świat się zestarzał i on wraz ze światem
starym się poczuł. Lat spienione rzeki
— krew w żyłach jego — wraz z źródłem bogatem
niegdyś, wysychać jęły i swe fale
coraz to wolniej toczyły kaskadą
ołowiu w otchłań lecąc ociężale.
A on, samotny bóg nad gwiazd plejadą,
wrogi współbogom, co na złote trony
wstąpili wczoraj, — władzą stuwiekową
dumny, w gasnących blaskach swej korony,
z senną, na piersi pochyloną głową
patrzył na gwiazdy, leniwym obrotem
wystygłe ciała kręcące w przestrzeni
i słońc ostatnich malowane złotem
ziemie, odarte z kwiatów i zieleni—
i dumał.

Wieki płynęły. I zda się —
każdy wiek węzłem był, co niebios pana
łączył ze światem... Gwiazdy zgasłe w czasie
w pamięci jego wschodziły; co rana
słońca trup czarny świecił w jego duchu
dawnym płomieniem i gwiaździste kręgi
grały pieśń życia, harmonii i ruchu,
pieśń jego chwały, szczęścia i potęgi,
przebrzmiałą dawno. — Świat, co niegdyś z trwogi
przeg nim drżał, teraz w godzinie dosytu
stał mu się blizki i jak dziecię drogi.
Wieki mijały.

Nagle skróś błękitu
zagrzmiał piorunny głos wszechwładnej Pani:
„Stary włodarzu! zdaj liczbę z powodzi
wieków i zamknij już księgę! W otchłani

nowe są światy i bogowie młodzi
na twoje miejsce!—Zniszcz twój światek mały
i ustąp z drogi!“

Drgnął bóg stary: Ona!
to jej grzmot mówi! — Słońca się zachwiały
i drży w posadach przestrzeń niezmierzona:
nadeszła chwila! — Czekał jej tak długo,
że już zapomniał, iż przyjść musi—groźna,
nieubłagana. Uczuł, że jest sługą,
nie panem. Odtąd będzie pustka mroźna
tu, gdzie on władał, który jutro—blady
cień boga—moc swą raz ostatni jeszcze
dziś wysiliwszy w tem dziele zagłady,
pójdzie w wieczności noc błądzić, gdzie deszcze
zgasłych gwiazd płaczą...

Ale któż się zdoła
oprzeć Jej woli?—Z drogi, stary boże!—
Wyciągnął rękę posłuszny i z czoła
zdjął grom ostatni...

Nie! on go nie może
rzucić na świat ten trupi, na swe dziecię,
jemu staremu tak dziś drogie sercu!—
Nie! On tych zwiędłych kwiatów gwiazd nie
[zgniecie,
na tym wybladłych błękitów kobiercu
szytym słońc złotem—nie wyryje gromem
słowa nicości!

A jeśli do szczętu
zgasła moc jego, który słońc ogromem
władał i z dzikich żywiołów zamętu
pieśń sobie stroił—jeśli mimo dzielność
boską od zguby świata nie obroni,—
jeśli skazany jest na nieśmiertelność
bez słońc i złotej korony u skroni
królewskich: raczej niech jej straszne ramię
świat druzgocące pośród gwiazd ogrojca
i jego, starca, razem z światem złamie
i unicestwi—jak Króla i Ojca
świata!

Jak lew się na świecie położył,

okrył go piersią, w błekit siwą głowę
podniósł i czekał...
Ponad nim się srożył
komet wir w węże splątany ogniowe,
a wyżej straszna ręka Przeznaczenia,
pełna piorunu, który niecierpliwy,
chwiał się, wisiała...

J. Żuławski.

ZŁUDZENIE.

Cicho tu, błogo!—gdy stanę u szczytu,
Czuję się lepszym, silniejszym na górach;
Pierś moja niby kowana z granitu
A czoło w chmurach.

Bóstwo mię poi prawd swoich szelestem,
Przed duszą widzę wszystkich tajni głębie
I z dumą kreślę me zuchwałe: jestem!
Na skały zrębie.

Mojej wielkości przed sobą nie taję,
W piersi mi biją jakieś tętna Boże;
Zda się, że mało mi już niedostaje
A światy stworzę!—

Cóż to? — tam w dole, gdzie strzecha ta nizka,
Jakiż to pyłek mozolnie się roi? —
Nie, to nie złuda, to ludzkie siedliska,
To bracia moi.

I serce do nich zabiło mi łzawie,
Z dumnych przed chwilą łza błysnęła powiek...
Ach, na tak wielkiej stał tylko podstawie
Pył marny — człowiek!

J. Kościelski.

BAJAZZO.

Rojno, tłumno, jak nabito,
Wszystko w targu, wszystko w swarze
Pieszo, wozem i karetą,
Pełno ludu na bazarze.

Huczą kramy, stajnie, domy,
Pogwar w każdym zakamarku;
Słowa niesie wiatr bez komy,
Sens zawiły na jarmarku.

Ten przedaje, ten nabywa,
Ten chce drogo, ten chce tanio;
Jakem poczciw! każdy śpiewa,
Wszyscy zacni, choć cyganią...

„Panowie i panie! najpiękniej prosimy
W tej budzie dość miejsca, w niej wszystkich
zmieścimy.
Dwa dytki niewiele, rozważcie to przecie,
Już tańszej zabawy nie znajdzie na świecie!“

Tak głosi Bajazzo siedzący na budzie,
I bębni i trąbi—już biegną i ludzie.
I wielki i mały dwa dytki już wtyka,
I w budzie prześliczna zagrzmiała muzyka.

Już małpa po linie wiezie małpę w wózku,
Już druga z bębenkiem tańczy po francusku,
Już niedźwiedź uczony przewraca koziołka,
W publice śmiech wielki od kółka do kółka!

Już Hancwurst wyskoczył z Marjandlą dokoła,
Już trzasł ją w policzek: harcop mu ucięła!—
Już krzyku nie wstrzymać, już brawa bez
miary,
Od śmiechu się kładzie i młody i stary!

Sam tylko Bajazzo, ta dusza publiki,
Coś dzisiaj nie swoim, nie dba na okrzyki.
„He, hola, Bajazzo!“ krzyknie majster z góry,
„Już śmiech się rozpasał, ty stoisz ponury?“

„Czyś chory, hultaju, czy gardło twe pości?
Rusz dowcip z kopyta, baw mi zaraz gości?“

„Hej, hejsa!“ podskoczy i krzyknął Bajazzo,
„Nieprawdaż, żem wesół i przydam się na co?“

Choć radość udawał, oko zaprzeczyło:
Jak zmarłe, strętwiałe, nie widząc patrzyło!
Daremnie na rozśmiech swe chęci wywierał!
Żart nie szedł mu z serca, na ustach umierał!

Zasłona zapadła—koniec widowisku;
Publika Bajazza wzywa po nazwisku.
Wychodzi i patrzy w swój kołpak spiczasty:
„Co powie?“ ciekawe najbardziej niewiasty.

Bo zawsze, gdy wyszedł, śmiech zewsząd za-
szumiał;
A teraz—jak gdyby trzech zliczyć nie umiał.
I cóż mu takiego, i cóż mu się stało?
Tu idzie, patrzajcie, jak idzie nieśmiało

Bajazzo śród widzów, dziećmi otoczony;
Czekają żarciku, jak ziarnka gawrony.
On kołpak ma w ręku, łzę z oka ociera,
I cicho, żałośnie, tak usta otwiera:

„O zacni panowie, łaskawi panicze,
„Ja żebrać nie umiem—ani sobie życzę—
„Lecz muszę, Bóg świadkiem, bo mam żonę
chorą,
„Ach! chce mnie opuścić i dzieci pięcioro!

„A łez niej—my biedni—nie ma nam pociechy!
„Tam ciężko złożona,—ja tu robię śmiechy...
„Przez litość, panowie, rzućcie groszy kilka,
„Już może zapóźno!“ to rzekłszy, umilka.

„Hej hola, Bajazzo! czy mam znijść do ciebie?
„Ty, widzę, chcesz pracy o żebranym chlebie;
„Czy śmiać się nie umiesz, chcesz mojej nauki?“
Tak woła ze sceny mistrz nadobnej sztuki.

„Hej, hejsa, wesoło! będą nowe zbytki,
„Kto chce je oglądać, niech daje dwa dytki;“
Tak wzywa Bajazzo—aż tu jednym razem
Wrzask budę przeleciał, on stanął jak głazem.

I jakaś dziewczynka łachmany otkana
Wprost bieży do niego, ściska mu kolana
I woła: „Ach, ojcze, nasza mama blada,
Chociaż ją wołamy, nic nie odpowiada!“

Tym gromem uderzon, jak piorunem w ciemię,
Kołpak z rąk wypuszcza, groszem sieje w ziemię,
W słup oczy stanęły, boleść serce zwarła,
Członkami wstrząsł strasznie i krzyknął: „Umarła!“

„Skończyłaś, Heleno!—Twoja wola, Boże!“
Cnwieje się—opiera—już ustać nie może—
„He, hola, Bajazzo, co ty dzisiaj broisz?
„Czy wróble chcesz srtraszyć, że jak bałwan stoisz?“

Tak mistrz sztuk nadobnych odezwie się z krzykiem,
I trzaska Bajazza z leciutka biczykiem.
Bajazzo się ocknął, i otarł pot z czoła,
„Hej, hejsa, wesoło!“ dziwnym głosem woła:

„Panowie i panie! najpiękniej prosimy!
„W tej budzie dość miejsca, wszyscy się zmieścimy!
„Trzy łokcie niewiele—tam pokój prawdziwy.“—
To mówiąc upada—„Ach ojcze!“... nieżywy!

Już w budzie ucichło—już scena w chałupie:
Na mierzwie, patrzajcie, trup leży przy trupie,
Ich wieńcem w około półnagie dziecięta,
Przeczuciem swej straty złożyły rączęta.
Na gwoździu kołpaczek, na nim oręż z gonty,
Przy ciele z dziatkami cztery puste kąty.
W świeczniku groszowa dogorywa świeca,
Z za pieca ciekawa wgląda uczennica.
Noc razem ze świerszczem pieśń głuchą śpiewała,
Publiki nie było, a małpa się śmiała.

J. N. Kamiński.

MY.

Z za mgły białej, co zmysły nam ciasno oplata
Jak cienka nić pajęcza muchę pochwyconą,
Czasem błyśnie coś znane, drogie jak twarz brata,
Czasem brzęknie jak gdyby harfę potrącono
Krajem sukni w przelocie, czasem także w mroku,
Jakiś kształt niewyraźny zadrży chwilę w oku.

Próżno wyciągać dłonie pełne kruszyn chleba
Do wędrownych jaskółek, polecą, porzucą,
Nawet okiem w przelocie na strawę nie rzucą.
Próżno czekać, aż zleci jasna gwiazda z nieba,
Albo serce dożyje chwili, której pragnie,
Albo aż się do myśli wszechświat cały nagnie.

A jednak całe, całe życie pewnych ludzi
Jest czekaniem i ciągłą za cudem tęsknicą.
Chodzą ślepi, z otwartą szeroko źrenicą,
I nocy mrok dopiero ich z uśpienia budzi—
I są jak somnambule trwożni i niesmiali,
Co na jakieś wołanie ze snu się zerwali.

Znam ich, to bracia moi po duchu i doli.
Skrwawionemi stopami bruk rzeczywistości
Depcą. Idąc, na ustach niosą pieśń miłości
Dla rzeczy, co nie kwitną tu, na czarnej roli,
Dla rzeczy nie dających się przywabić chlebem,
Dla rzeczy nie błyszczących pod tej ziemi niebem.

To ci, co się zrodzili o wieki zapóźno,
O tysiące mil długich zdala od ojczyzny.
To ci, co żyć jak inni kuszą się napróżno.
Ci, co świętych na piersiach znaków niosąc blizny
Pod ubraniem paryasów, kroczą wśród falangi
Obcych ludzi. My—wnuki Brahminów z nad Gangi.

F. Mirandolla (F. Pik).



DWIE TRUMNY.

Jest gdzieś w podziemiach głucha, jest kirowa nawa,
Kędy mdłe, nizkie światła rzucają kaganki
Zawieszone u stropu, jak gwiazdy,—gdzie mgława,
Szczera Pustka krętymi tuła się krużganki...

Chłód i trupia stęchlizna tchną z onych cmentarzy...
I rzędy majaczeją zakonnic — kolumny,
Z gromnicami stojące, jak duchy, na straży — —
Na posadzce kamiennej dwie czernią się trumny...

Przykryte długim kirem, zdobnym w srebrne lamy
Widnieją dwie te trumny ze krwawemi plamy—
Te trumny, w ktorych leżą ma Miłość i Wiara...

Dwie trumny te!... Nad niemi zaś trzymają wartę,
Jak śmierci ta wychudła, straszna, zimna mara—
Te skrzydła me wichrowe, krwawe, rozpostarte!....

W. Zalewski.



IRYSY.

Bladobłękitne irysy w mistycznym duszy ogrodzie
Pragnieniem pieszczot słonecznych drżą
Marzą o pyle słonecznym... marzą... marzą...
Że spłyną światła tęczowe powodzie
Śnią... hej śnią...
Bladobłękitne irysy...

A ty masz irysy w swych oczach dziewczyno,
Zawrotna w nich głębia i dal...
Irysy duszy subtelne marzą... marzą..
A jednak... z Twych oczu łzy spłyną...
Osłoni żal
Bladobłękitne irysy...

E. Bieder.



ALBATROS.

Czasami marynarze dla pustej zabawy
Chwytają albatrosy, wielkie morskie ptaki,
Co, niby towarzysze spokojni, mkną w szlaki
Gorzkich otchłani morza, które prują nawy.

Zaledwie je na pokład załoga poniosła,
A natychmiast te króle błękitu wspaniałe
Bezsilnie opuszczają swoje skrzydła białe
I ciągną je za sobą, jak drewniane wiosła.

Ten skrzydlak, jakże teraz na pokładzie nawy
Niezdarnie się porusza! Jak on śmieszny tobie,
Marynarzu, gdy fajkę twą glinianą dziobie
I na niepewnych nogach się chwieje kulawy!

Poeta jest podobny do tego chmur pana,
Który burze wyzywa, który drwi z łucznika;
Zaledwie gruntu ziemi stopą swą dotyka,
Wnet chodzić przeszkadzają mu skrzydła tytana.

K. Baudelaire.

OLIMPIA.

Kiedy my wszyscy, zapędzeni
W pozaświatowy kraj Hadesu,
Będziemy szli w królestwo cieni,
To rozkosz życia się przemieni
W tęsknotę wielką, żal bez kresu.

U Acherontu ciemnej fali
Musi być smutny pomrok siny,
Podziemny wiatr się głucho żali
Nad tymi, co poumierali
Idąc z helleńskiej zórz krainy.

I ten, co doznał królowania,
I ten, co zdobył chlubne palmy,
I ten, któremu śmierć zasłania
Niewieści wzór jego kochania—
Wszyscy na krótkość dni się żalmy!

Olimpia stoi w pełnej chwale:
Zeusowy chram ma w niebie czoło,
Na stopniowanym piedestale
Spogląda Nike w Jońskie fale
I szumi święty gaj wokoło.

Na lud posągów marmurowy
Gaj kładzie szafirowe cienie
I na atletów młode głowy
Daje swój czarny liść dębowy,
Zdobiący w setne pokolenie.

Grzmi jeszcze wieść przez całą ziemię
Że Alkimedon, syn Sfiona,
W zaszczytnym chodził dyademie—
I Blepsyadów stare plemię
Uwieńcza szósta już korona.

Gdy po zwycięstwie w walce pieszej
Wzięła go wczesna śmierć na własność,
Alkimedona cień się spieszy
Nim do podziemnej przejdzie rzeszy,
Obejść swój gród w miesięczną jasność.

I żegna grodu swego chwałę,
Stadyonu żegna chlubne szranki;
Między posągi błądząc białe,
Widzi raz jeszcze łzą nabrzmiałe,
Gwiaździste oczy swej kochanki.

Teraz mu w śmierci iść wierzeje
I dzielić losy mar tułacze?
Serdeczne rzucać swe nadzieje,
Gdy się pod niebem wszystko śmieje,
Kiedy w Hadesie wszystko płacze?

Olimpia leży w gruzach, szara,
W ciemnej zieleni dębów śpiąca,
Nie woła tu już żadna mara,—
Tylko daleki głos Pindara
Umarłe echa wspomnień trąca.

Kiedy my dzisiaj, ruin syny,
Nędznego życia dojdziem kresu,
Nie będzie nam już żal krainy
I brzmieć nie będą nasze czyny
W pozaświatowy kraj Hadesu.

Dla nas radosna olimpiada
We śpiże trąb już nie uderzy,
Nad nami nieba próżnia blada—
I nawet głośno pieśń nie gada
O zapomnianej czci rycerzy.

My pogrobowe pokolenie,
Którzyśmy dumnych dni nie znali,
My już za życia marne cienie,
Będziemy szli na zapomnienie
Do Acherontu ciemnej fali.

J. Weyssenhoff.

PIEŚŃ PRZY KAGANKU.

Już dawno trzecie kury odpiały,
Na dworze ciemno i słotno;
W lampce, migocąc, ogarek mały,
Oświetla izbę wilgotną.

Mroczno.... Cień długie rzuca zasłony,
Na ścianach woda ocieka;
W kącie pęk leży przetartej słomy:
Ach! to mieszkanie człowieka.

Pod oknem postać jakaś schylona
Nad płótnem, blada jak płótno...
Piosnka poczęta na ustach kona,
Strasznie, boleśnie i smutno.

W skostniałych palcach igła migota.
Źle patrzyć przez oczy łzawe...
Więc też powoli idzie robota,
A dni tak ciężkie i krwawe!

„O! prędzej, prędzej,—nitka się plącze,
A tu tak strasznie z tą nędzą,
Jeśli do jutra sukni nie skończę,
To mnie z tej izby wypędzą!"

„Lecz cóż mi jęki, cóż płacz pomoże,
Z oczami trzeba z ostrożna,
Robota pilna, nawet mój Boże,
Popłakać nad nią niemożna!"

„Snu ledwie parę godzin zostaje,
Do pracy budź się o świcie....
Aż serce pęka, aż pierś się kraje,
Takież mój Boże to życie!"

I znowu szyje pilna dziewczyna,
Jeno się miga robota,
I znowu jedna mija godzina,
Jutrzenka wschodzi już złota.

„Jeszcze ścieg jeden,—ręki dołożę,
Głowa na chwilę choć zaśnie,

Jeszcze ścieg jeden!... „A wtem, o Boże!
Ogarek u lampki gaśnie!

Jęknęła biedna—chce wstrzymać ręką,
Tchu w piersiach więcej nie stało!
. . . .
Słońce ciekawie patrzy w okienko,
Ale już dziewczę nie wstało.

W. Bełza.

NIEPOGODA.

Jakoś mi senno, smutno i nudno,
Na polach deszcz i mgły.
Kochać? boleśnie; zapomnieć? trudno,
A w sercu sny i sny!—

I nic nie widzę, świata ni ludzi,
Bo światem ja i ty!
I śnię szczęśliwy — ach, sen mnie budzi...
Na polach deszcz i mgły!

I patrzę w niebo — ni gwiazd, ni słońca,
Ni w mojem oku łzy,
A wszędzie tuman i mgła bez końca,
I mgła, gdzie ja i ty.

Na pola zejdzie słoneczko z nieba,
A dla nas zawsze łza!
Kochać? nie można; zapomnieć trzeba—
Na polach deszcz i mgła!

J. Zacharyasiewicz.



TRANSKRYPCYE Z HORACEGO.

I.

Widzisz, jak biało
    Na stromych skał szczycie,
Jak się Soracte
    Srebrzy na błękicie!
Śnieg z obarczonych
    Sypie się gałęzi,
Mróz chwycił rzeki
    I w lodach je więzi.

Dorzuć suchego
    Drewna do ogniska,
Niech syczy, bucha
    Płomieniem i pryska;
A masz gdzie wina
    Dobrego dzban stary,
Dobądź go z lochu
    I nalewaj czary!

II.

Resztę na bogów
    Zdaj; gdy skiną bogi
Po wszystkich ziemiach
    Wścieka się wiatr srogi,
A zechcą potem
    Świat ukoić ciszą,
Wiotkie cyprysy
    Już się nie kołyszą.

Wszystko na bogów
    Zdaj, nie pytaj losów.
Dopóki starość
    Nie ubieli włcsów,
Ciesz się radosną
    Chwilą, żyj nadzieją,
I kiedyś młody,
    Szalej, gdzie szaleją.

K. M. Górski.

W ZBROJOWNI.

W żelazie chodzili od stopy do głowy,
Ich konie w żelaznym okryciu
Na boje ich niosły, turnieje i łowy,
A strój ich był równy ich życiu.

Bo życie to było i twarde i krwawe,
A głośne jak bitew fanfary,
Do świętej szli ziemi po śmierć lub po sławę,
Pod krzyża białymi sztandary.

Na twierdze pogańskie po trupach się darli,
Zatknęli swój znak na wieżycy;
A kiedy spoczęli, to dłonie oparli
Na krwawych swych szabel głowicy.

A jeśli wracali w obronne swe dworce,
To z blizną na piersiach lub twarzy,
Ze złotym księżycem pogańskie proporce
U pańskich składali ołtarzy.

A jeśli klęczeli — to tylko w kościołach,
A jeśli się bali — to czarów.
Po wojnie przy wielkich dębowych swych stołach
Ze złotych pijali puharów.

* * *

Dziś mądre ich wnuki, co z czasów się śmieją,
Bojowym się znojem nie trudzą,
I jeżdżą wygodnie żelazną koleją
W kraj cudzy, gdy w swoim się znudzą.

I z nudów, gdy chwilę poświęcą muzeom,
To rzadkim tam dziwią się rzeczom,
Ogromnym puharom, pancerzom, trofeom
I ciężkim pradziadów swych mieczom.

A. Pajgert.

ŚLEPI GLADYATOROWIE.

Do Kolosseum dziś, zaledwie Feb wstał biały,
Kto jeno w Romie żyw, tłocząc się, pędem zmierza.
Roma wylega dziś wygrzać się w słońcu chwały,
Wilczyca siedmiu wzgórz dziś syte kły wyszczerza,
Dziś tylko poi węch, tylko pożera okiem...
Jak w jamie żywy łup, pod jej się szarpie bokiem.

„Niegdyś hekatomb wał z swych synów, za swe bogi
Roma musiała kłaść. O! przez Jowisza gromy!
Dziś się na chwały stos same mordują wrogi,
Przynosząc krwawy hołd z swych ciał w obliczu Romy.
Dziś każdy świata człek—to rzymski gladyator!“
Taki z areny głos wznosi do lóż orator.

I tak zamyka rzecz: „Jak pierwsze uczt wiwaty,
Wesoły ogień serc wzniecają przez Falerny,
Tak ku zabawie wam: dwa Sklawy czy Sarmaty,
Naoślep mieczem tnąc, otworzą serc cysterny.
Brat brata nie ma znać (tak Fatum chce) przed ciosem,
Więc niech pozdrowią cię, o boski! śmierci głosem!“

Natychmiast z różnych bram Charonów tłumne maski
Prowadzą braci dwóch, co we krwi się zabroczą;
Miecz trzyma każda dłoń, na oczach zaś przepaski.
W żelazną obręcz wnet spiętej dzidy tłoczą,
Merkur dotyka ciał palącem się żelazem,
I „Walczcie!“ krzyczy w głos, „albo zginiecie razem“.

Syknąwszy, skoczą wraz, miotając po arenie
Próżny za ciosem cios, co grzmot oklasków dwoi...
Powoli obręcz z dzid wciąż zwęża swe pierścienie...
Już zgrzyta miecz o miecz, już częściej krwią się poi...
Aż trafił brata skroń najślepszy z ślepych ciosów,
Fontanną trysła krew, wśród pełnych śmiechu głosów.

Raniony wydał jęk i legł na piasek biały,
Na głos ten zadrżał brat, opuścił rękę z bronią,
Drugą przepaskę zdarł z ócz, w których łzy już stały.
Przypadł do brata zwłok: ranę zasklepił dłonią,

Wargi przywarł do warg i tchu swego zapałem
Ożywić ducha chciał, co już nie władał ciałem.

Ta czuła scena łez znudziła cyrk krwiożerczy;
Ziewnął i wrzasnął: „Krwi!—Miękki tchórz to niewoli,
Na widok bratnich ran już w górę miecz nie sterczy,
Schwycił mu rękę kurcz! Niech więc jak dłoń Scewoli,
Spali ją ognia żar!“ I cały tłumu nawał
Lasem wzniesionych rąk—znak potępienia dawał.

I zaraz chwycił tłum zwycięzcę w łzach rozpaczy.
Stanął i oparł się, w stopach poczuł moc dębu;
Potem ramiona wzniósł i z czarnych je siepaczy
Otrząsnął drgnienie warg, jak z dzikich gadzin kłębu.
Wnet chwycił krótki miecz z braterskiej krwi szkarłatów,
I rozdarł krzykiem cyrk i rzucił się na katów.

Jeden z gromadą dzid zwycięsko się mozoli...
A cyrk wciąż śmierci krzyk i ręce wznosi obie.
„Na rozkaz Romy mrzeć nie chce on z dobrej woli;
Dla Romy życia dać nie ma za zaszczyt sobie?
To barbarzyniec Sklaw!“ Cyrk we czci nie oniemiał,
Bo nie uznawał już, czego w swej piersi nie miał.

„Kohorty!“ Pretor wrzasł, i liktorskiemi godły
Ku bramie daje znak; niebawem wbiegły tłumnie
Na poskramiacza zgraj, i z tyłu go przebodły.
Huknął oklasków grzmot — Sklaw się uśmiechnął dumnie...
Wzniesion na ostrzu dzid, powieki wpół zasunął,
I w najpyszniejszą z lóż krwawą z warg ślinę—splunął.

Był-to tryumfu znak i potępienia piętno!
Tak unicestwił Sklaw igrzysko krwi wszeteczne.
Potęga ludzkich sił budzi żywota tętno,
I nieśmiertelną jest przez odradzania wieczne,
A w co przechodzi moc, ziejąca śmierć w swych czynach—
O Kolosseum! mów, sterczące w rozwalinach!

Stefan z Opatówka.

UMILKNIJ SERCE.

Improwizacya.

Umilknij serce, ty gadzie przeklęty,
Co mi wciąż łono poisz trucizn jadem!
Milcz! bo twój odgłos światu niepojęty,
Bo dziś szaleństwem iść za twoim śladem —
A czuć olbrzymio, to dziś pusta mrzonka,
Co jako świetlik po grobach się błąka.

Gadzino wściekła! czemuż żar ten krwawy
Nie mogę w słowa rozpalone przelać?
I niemi cisnąć, jakby grom jaskrawy,
By je świat pojął i zechciał podzielać?
Nie! milcząc, karmię jadowitą żmiję —
I słuchać muszę, że o piersi bije.

O! gdybym mógł cię tygrysa szponami
Wyrwać z tej piersi i pokazać światu,
Jakimiś ty mnie poiło jadami...
..... A jednak!... ileż w tobie było kwiatu!
Ile uniesień! miłości!
Dość na tem! —
Serce! tyś moim i niebem i katem.

M. Romanowski.

SECESYA.

Szukacie nowych dla piękna wzorów,
Wy, poprawiacze natury!
Zamiast odmiennych prostoty tworów
Sztuczne tworzycie kontury...

Nie ten horyzont nowy odkrywa,
Kto na nieszczerość się sadzi.
W sztuce ta tylko droga prawdziwa,
Która do prawdy prowadzi.

A. Kraushar.



M. Gawalewicz.

ZNANE DZIEJE.

Rozstawiono placówki... noc zapadła wcześnie,
U ognisk cały obóz odpoczywa we śnie;
A na czatach, przy krzyżu, wśród smukłych topoli—
Stoi żołnierz i duma o wojackiej doli.

Jutro słotny dzień zejdzie, bo pod chmur zasłoną
Utonął księżyc cały i gwiazdy nie płoną;
Jedna tylko, żołnierza towarzyszka blada—
Czasami się do niego z poza chmur wykrada.
Niekiedy wiatr zajęczy i bez echa skona;—
Liść suchy zaszeleści, broń szczęknie trącona;
Lub z szeptem tajemniczym przemkną jakieś cienie—
To ront czaty odwiedza,—i znów noc, milczenie...

Pod krzyżem na placówce żołnierz tęskno marzy;
Zapomniał, że mu czuwać kazano na straży;
Wpatrzył się w dal, gdzie z okien czyjejś chaty błyska
Na tle nocy wesoły płomień u ogniska.

Smutno mu... bo on również gdzieś w dalekiej stronie
Ma chatę, w której także ciepły ogień płonie,

A w chacie żonę młodą, co tam u komina—
Płacze pewnie, kołysząc teraz do snu syna...
I narzeka, że wojna jest światu potrzebą;
A może w owej chwili, jak on, patrzy w niebo
I tej samej się gwiazdki pyta biedne serce—
Co za los mu przeznaczył Pan Bóg na żołnierce?

* * *

Ej, ty gwiazdo zdradliwa, lepiej cię nie badać,
Jeżeli masz z złą wróżbą do nas z nieba spadać.
Jutro zagrzmi zwycięstwem ta cisza złowroga—
Któż ciebie, smutna wróżko, strąca?... Palec Boga!

* * *

Nazajutrz bój się zaczął srogi i zacięty....
Wróg się cofnął!... wódz wrogów do niewoli wzięty!...
Dwa sztandary zdobyte!... z radości grzmią działa—
Tryumf!... wojna skończona!... zwycięstwo i chwała!...
Znowu ścichło; a tylko szeroka mogiła
U krzyża, na wczorajszej placówce przybyła;
Po żołnierzu, co w nocy pytał gwiazdkę złotą—
Została żona—wdową, a synek—sierotą....

M. Gawalewicz.

Z BALETU.

W muślinach i atłasie, w złotym szychu cała,
Jak brylantowy motyl po scenie fruwała,
Fałszywe jej klejnoty dodawały blasku—
Śliczną była, jak anioł na świętym obrazku.
A kiedy sztuczne słońce światłem ją oblało—
Zdawała się być gwiazdą, albo lilią białą,
I jako pani elfów z cudownem obliczem,
Zapomniała biedna, że w życiu jest... niczem,

Że wszechwładna królowa na scenie, w balecie—
Jest tylko córką praczki ubogiej na świecie
I kiedy zrzuci z siebie strój kąpany w złocie—
Musi wracać w łatanych bucikach po błocie,
I z ułudnych ją marzeń rychło głód ocuci,
Gdy do zimnej izdebki pod strychem powróci...

* * *

A kiedy zmruży oczy tańcem roziskrzone,
Zły duch pokuszeń przed nią odchyla zasłonę
I zda się jej, że świat jest teatralną salą,
W której się same słońca, jak kinkiety palą—
Pełno lóż dookoła, a jak sala długa,
W każdej hrabia lub gruby bankier na nią mruga
I wabi, jak Małgosię uśmiechem Mefista...
. . . .
Dziś uśnie jeszcze głodna, zmęczona i czysta.

M. Gawalewicz.



DZIEŃ DOBRY, NĘDZO!

...Kto we drzwi moje kołata?—
Dzień dobry, Nędzo! Nie strasznaś mi wcale.
Wejdź w próg mój ty—lodowata!
Wyprostowana, jak żołnierz na wale,
Przyjmuję ciebie, bezzębny szkielecie,
W twarz ci się śmiejąc... Patrz przecie!—

Nie dosyć?—Ha, postąp krokiem!
Dalej, upiorze ohydny, przeklęty!
Zabij nadzieję twym wzrokiem,
Rozszarp mi piersi szponami na szczęty,
Rozciągnij czarne skrzydła do ostatka
Nad łożem, gdzie kona—matka!

Wścieknij się! I cóż ci znaczy
Ta młodość moja i to życie moje?
Przecież nie! Ty mnie nie ujrzysz w rozpaczy
Upadającą! Ja—stoję!
Nad rumowiska, nad wichry, zamieci
Mych lat dwudziestu kwiat świeci.

Nie wydrzesz mi boskiej siły,
Co w sercu mojem płomieni się żywa!
I nie zatrzymasz u szczęścia mogiły,
W promiennym locie, który mnie porywa!
O, czarna ksieni, twe jady nie mogą
Zabić mnie! Idę mą drogą.

Patrz, co na świecie jest słońca,
Ile róż młodych pąki swe rozwija!
Słuchaj, jak piosnka dzwoniąca
Z gniazd skowronkowych ku niebu się wzbija...
Co wzlotów ducha w nadziemskie przestrzenie,
Jakie namiętne piór drżenie.

Wiedźmo ty blada, bezkrwista,
Której trupie oblicze chusta czarna kryje,
—Jam dziecko ludu! Ognista
Krew, nowa, świeża krew, w mych żyłach bije!
Depcę twe groźby! Depcę mroków troski!
W przyszłości lecę świt boski!

Za berło chwytam królewskie
Pracy, przed której tronem ludy kiedyś klękną!
Za natchnień światło niebieskie,
Za nieśmiertelnej sztuki wieczne piękno!
Uśmiech lazurów chwytam, wonie kwiatów,
Gwiazd pocałunki i światów!

Ty—mijasz, czarna władczyni,
Jako złowróżbna chmura, co blask kryje słońca,
A ziemia jasną się czyni,—
Z cierni—fijołków, tchnie woń czarująca...
—I ja zrywam twe pęta i wśród skrzydeł bicia,
Lecę—i śpiewam hymn życia!

Ada Negri (Przekład M. Konopnickiej).

ROZMOWA.

— Pójdź tu dziewczynko! — I ona bieży.
— Czy ty mię kochasz? — Kocham i mocno!
— Jak matkę, brata? — Inaczej, szczerzej:
Chciałabym tobie być tak pomocną
Ulżyć we wszystkiem i dzielić z tobą
Co mam, mieć będę i więcej jeszcze.
W nocy, gdy drzewo czasem szeleszcze,
I wiatr o szyby jęczy z żałobą,
Tęskno mi, przykro, smutno i ciemno,
Płaczę i myślę, żeś ty nie ze mną!

— Źle moje dziecię, to ciężkie grzechy!
— Ciężkie ty mówisz? Nie, ja nie wierzę;
Kiedy poranne mówię pacierze,
A nie za ciebie: nie mam pociechy.
Wieczorem, kiedy zbieram twe słowa,
I wszystkie sobie dziwnie tłomaczę:
Jam tak szczęśliwa, choć rzewnie płaczę,
Żebym tę chwilkę była gotowa
Zamienić w wieczność — i płakać wiecznie!

— Źle moje dziecię! Trzeba koniecznie
O innem myśleć: tak rozum każe,
Tak Pan Bóg każe! — — Ja kiedy marzę
O niebie czasem: tyś w oku zawsze!
Dawniej robiłam sobie wyrzuty,
Lecz rzekły do mnie głosy łaskawsze:
Póki masz serce, kochaj dopóty!

Zmilkliśmy nagle... Słońca nie było,
Wieczór nadchodził, w pokoju ciemno,
I tak mi było trwożnie i miło,
Taka odmiana we mnie i ze mną,
Że powtarzając: „źle moje dziecię“—
Ona że „kocha“ — wciąż — na przemiany:
Ręcem i usta całował przecie...
Byłem w dziewczynie już rozkochany!

S. Garczyński.

OD ZMIERZCHAJĄCEJ POZŁOTY ZACHODU...

Od zmierzchającej pozłoty zachodu
Milczące, nagie pordzewiały drzewa!..
Szklane powietrze dźwiękiem nie rozbrzmiewa,
I czerwienieje czysty błękit lodu!..

Chmurki zastygły. Ziemia—pełna chłodu,
A cisza—ziarna makowe rozsiewa!
Po szkle niebiosów tęcza się przelewa,
Niby zasłona anielskiego grodu!

Chwila—i spadnie tęczowa kurtyna,
Przedemną bogów wyrośnie kraina,
Zobaczę skarby, zagrzebane w niebie!..

Świat ten bezkresny, jak marzeń ogromy,
Będzie mi prawie blizki i znajomy,
Bom go czuł zawsze naokoło siebie!..

B. Leśmian.

DO MATKI POLKI.

O! matko Polko! gdy u syna twego
W źrenicach błyszczy geniuszu świetność;
Jeśli mu patrzy z czoła dziecinnego,
Dawnych Polaków duma i szlachetność;

Jeśli, rzuciwszy rówieśników grono,
Do starca bieży co mu dumy pieje;
Jeżeli słucha z głową pochyloną,
Kiedy mu przodków powiadają dzieje;

O! matko Polko! źle się syn twój bawi...
Klęknij przed Matki Bolesnej obrazem,
I na miecz patrzaj co Jej serce krwawi:
Takim wróg piersi twe przeszyje razem!

Bo choć w pokoju zakwitnie świat cały,
Choć się sprzymierzą rządy, ludy, zdania:

Syn twój wyzwany do boju bez chwały,
I do męczeństwa bez zmartwychpowstania!

Każże mu wcześnie w jaskinię samotną
Iść na dumanie, zalegać rogoże,
Oddychać parą zgniłą i wilgotną,
I z jadowitym gadem dzielić łoże.

Tam się nauczy pod ziemię kryć z gniewem,
I być jak otchłań w myśli niedościgły;
Mową truć z cicha, jak zgniłym wyziewem,
Pastać mieć skromną jako wąż wystygły.

Nasz Odkupiciel, dzieckiem w Nazarecie
Piastował krzyżyk, na którym świat zbawił:
O! matko Polko! jabym twcje dziecię,
Przyszłemi jego zabawkami bawił.

Wcześnie mu ręce okręcaj łańcuchem,
Do taczkowego każ zaprzęgać woza,
By przed katowskim nie zbladnął obuchem,
Ani się spłonił na widok powroza,

Bo on nie pójdzie, jak dawni rycerze
Utkwić zwycięski krzyż w Jerozolemie;
Albo jak świata nowego żoinierze
Na wolność orać, krwią polewać ziemię.

Wezwanie przyśle mu szpieg nieznajomy,
Walkę z nim stoczy sąd krzywoprzysiężny;
A placem boju będzie dół kryjomy,
A wyrok o nim wyda w róg potężny.

Zwyciężonemu, za pomnik grobowy
Zostaną suche drewna szubienicy,
Za całą sławę krótki płacz kobiecy
I długie, nocne rodaków rozmowy...

A. Mickiewicz.

MEMENTO.

Widziałem wcześnie potargane siły,
Dziewicze dusze, co nigdy nie marzą,
Widziałem serca, co nigdy nie biły,
Widziałem także dzieci z trupią twarzą...
Widziałem ducha pozłacane groby,
Co nawet pieśni nie znały żałoby;
Widziałem pustkę w sercu odrętwiałem
I myśli nicość bezdenną widziałem.

Więc duch mój pytał: gdzie młodości loty?
Gdzie jej pragnienia, gdzie marzeń świt złoty?
Gdzie jej potęgi piorunowe ramię?
Gdzie krzyk zapału, co nigdy nie kłamie?
Gdzie kwiaty wiosny, gdzie jej cudne wonie?
Gdzie niezrównanych czarów jej ponęty?
Gdzie krew młodzieńcza, która ogniem płonie?
Gdzie głos zachwytu, jak modlitwa swięty?

Ponuro, zimno i pusto dokoła...
Daremnie dusza-samotnica woła;
Na krzyk bolesny nikt jej nie odpowie
W prostem, serdecznem i gorącem słowie...
Cisza dokoła, obojętność głucha...
Cóż nam ozłoci nędzę życia biedną?
Za ile na tem targowisku ducha
Możnaby kupić żywe serce jedno?!

O duchy trupie! wy żyć nie umiecie!
Rozkoszy życia pierś odczuć nie zdoła!
Cóż wiekom przyszłym o sobie powiecie?
Czy osromione wskażecie im czoła?

Gonicie tylko szczęścia błędne mary,
Użycie, które zmysły wam przynoszą...
Śnicie bez marzeń, kochacie bez wiary...
Na widok złota pierś wam drga rozkoszą...
Nawet na wiedzy i sztuki biesiadę
Idziecie w strojnej sybaryty szacie...
Nie znoszą słońca czoła wasze blade,
I wielkich ducha zachwytów nie znacie.
Z piersią wystygłą, skalaną,

Młodości święte ukradliście miano...
Dziecięcym sercom, gdy się przy was skupią,
Niesiecie zimno i zgniliznę trupią.

Młodości! życia ty niegdyś strażnico!
Kapłanie prawdy! przyszłych dni proroku!
Rzucałaś w mroki gromów błyskawicą,
Kipiałaś życiem, jak piana potoku.
Wstań! niech się wzniesie dłoń twa archanielska!
Strąć niecne bogi! pozłacane cielska
Niech runą w gruzy!.. Przyszłe pokolenia
Wyrzekną na nie wyrok zatracenia.

A. Pilecki.

GDYM ŻYŁ BEZ CIEBIE, DUSZA ZIMNA BYŁA...

Gdym żył bez Ciebie, dusza zimna była,
Duch pełen pychy, serce nieczystości,
Jeden dzień nie był, Panie wszech wieczności,
By się Twą wolą ma myśl zabawiła.

Przyszła kaźń, trwoga przytomna się lżyła,
Strachu nie czyniąc we mnie, ni żałości,
Tak, iżbym kiedy chciał odstąpić złości,
Co zaślepiwszy w niewoli więziła.

Lecz z wnętrznych, świętych promieni znażony
Leżałem, mając za wodze i pany
Sprośną chęć, zwyczaj zły, głupią nadzieję.

Z wiecznych przybytków z strachem wywołany,
Byłem niebieskim zastępom wzgardzony,
Gniew Twój śmierć wwodził, precz i dziś truchleję.

S. Grabowiecki.

PIEROT.

Upudrowana gęba, zawadyacka mina,
Cały w bieli, pompony na nim kraśne duże—
Jak gdyby w miskę mleka wsypał świeże róże—
Powietrze piruetem wykrętnym przecina.

Nie wie, że jest ofiarą figlów Arlekina,
Więc namaszczony, dumny—jak doża w purpurze.
Lecz jakże nie ma nosa zadzierać ku górze,
Skoro mu ust swych chyli cudna Colombina.

Życie ludzkie—to także *comedia del'arte*,
I w niem na tytułową pcha się Pierot kartę,
A łatwego tryumfu oszukany chwilką,

Sądzi, że ten największy, kto ma giętkie kości,
Że on—to filar świata, ozdoba ludzkości,
I ani się domyśla, że jest błaznem tylko.

W. Kosiakiewicz.

MNISZKA.

Młoda mniszka w klasztornym rozkwieconym sadzie
Pod ciepłą falę słońca odsłoniła głowę
I kwitnących powojów pęki purpurowe,
Niby kielichy ognia, w krucze włosy kładzie.

Pręży młode ramiona w słonecznej spiekocie,
Odrzucając szerokie rękawy habitu,
I stoi pod gorącą kopułą błękitu,
Jak dziwny ptak, na słońcu skamieniały w locie.

Przez uchylone szyby gotyckich witraży
Spływają z głębi chóru głosy sióstr pokorne,
Zmieszane z wonią kwiatów, co schną u ołtarzy...

A w sadzie, w bujnym gąszczu splątanych powoi,
Zwieszających kielichy za mury klasztorne,
Pod spiekotą słoneczną młoda mniszka stoi.

B. Ostrowska.

AKT POKORY.

Nie wierzcie mi... ja kłamię wam...
Ja się rozpacznie rwę
Do raju bram..
Nostalgii czarną chmûrą
Nad morzem płynę łez—
Latami płynę sam...
I śmiercią złą, ponurą
Mrę...

Nie wierzcie mi... ja wam bezczelnie kłamię,
Gdy archanielskie skrzydła
I tytaniczne ramię
Wyciągam w śpiew...
Zaprawdę mówię wam—
To bohaterskie znamię—
Ta wrąca, pupurowo-złota krew—
To wizye, to mamidła,
To kłam!

Jam jest wasz brat—znękany, nędzny, chory...
Choć jasny wstęgą tęczy—
Choć zbrojny w Cherubinów miecze,
Bogaty jak kosmiczne mgły...
Jam brudny, nędzny, słaby, chory
Jak wy...

Jednako błądzim wszyscy—wszyscy
Jednako błądzą
Podniośli—piękni—mali—niscy...
Błędami, bólem, żądzą—
Jam wasz brat.

I tylko wszechmyśl, panująca we mnie,
Podnosi mnie nad wasze smutne czoła,
Jehowy daje moc. .
Co wam, wrzuconym w beznadziei ciemnie—
Skutym w bezwiednych błędów koła—
W dzień mroczny rozwidnia
Wiekuistą noc...

M. Komornicka.

W GODZINĘ ROZSTANIA.

Płaczesz?! Czyż warto o drobnostkę taką?
Błagasz na klęczkach?! To już chyba śmieszne!
Musim się rozstać. Co było—majaką!
Zresztą: śnić? kochać??—*—mazgajstwo ucieszne.

Powstań... Jak można... Popraw lepiej suknię...
A włosy również masz w strasznym nieładzie...
Jeszcze cię matka swarliwie ofuknie...
Zwykła to farsa w familijnem stadzie.

Nie słuchasz? Płaczesz? To zwyczaj kobiecy...
Wszak cię kochałem, nosiłem na rękach...
Wstań więc— —nie lubię komedyanckiej hecy!
Nie płacz... i ja się znam nieco na mękach...

Cierpienie sprawiasz mi taką rozpaczą...
Otrzyj oczęta— —pocieszysz się wkrótce...
Nie, nie... te słowa nic a nic nie znaczą...
Wierzaj, najlepsze mam myśli w pobudce...

Usiądź koło mnie. Drżysz trwożnie jak ptaszę...
Spazm głuchy wstrząsa twoją piersią cicho...
Tulisz się do mnie?! Pójdź, niechaj opaszę
Kibić twą jeszcze... A zresztą... niech licho!...

J. Huskowski.

DUSZA TŁUMU.

Jest potwór, który codzień mi w oczy zaglądа
I olbrzymie swe łapy na ramiona kładzie,
I zatapia mnie w włosów brunatnej kaskadzie,
I przyczaja się, tuli, drży i pieszczot żąda...

Pod moją drobną dłonią pierś potworna jęczy,
I widzę jak tęsknota rwie ten łeb kosmaty—
W żyłach gra mu szum lasów słyszany przed laty,
W ślepiach słońce zwrotników lśni kroplami tęczy...

On płacze!... Jednak jeszcze dziś tą czarną wargą
Żłopał chciwie krew ludzką, rwał czerwone mięso...
Teraz warga mu zwisła ciężka bólem, skargą.

Chrapy rozdął i skomli—łapy mu się trzęsą...
Przed oczami w mgle płyną palmy, piaski, morze,
I zmrok lasów... On tęskni... O—biedny po worze!..

S. Pieńkowski.



* * *

Łkają przeciągle dzwony nieszporne,
Prosząc o ciszę dla zmarłych dzielnic;
W mojej samotni, jakby z kadzielnic,
Snują się zwolna zmroki wieczorne.

Prosząc o ciszę dla zmarłych dzielnic,
Dziwna tęsknota łka w mojem łonie;
W mojej samotni, jakby z kadzielnic,
Mdlejących kwiatów snują się wonie.

Dziwna tęsknota łka w mojem łonie;
Słyszę pożegnań żałobne psalmy.
Mdlejących kwiatów snują się wonie,
Na trumnie więdną święcone palmy.

Słyszę pożegnan żałobne psalmy,
Oczy zasłania opona mglista,
Na trumnie więdną święcone palmy:
„Niech' światłość świeci jej wiekuista“.

Oczy przysłania opona mglista;
Kolana same gną się pokorne—
„Niech światłość świeci jej wiekuista“,
Łkają przeciągle dzwony wieczorne.

Ł. Brzozowski.

O! GDYBYŚ WIEDZIAŁ...

O! gdybyś wiedział, jak mało potrzeba,
By z pączka kwiat się wywinął wspaniały,
By z omglonego na świtaniu nieba
Złocistym deszczem padły słońca strzały,

By jednym skokiem znalazł się u mety,
Co się z pozoru niedościgłą zdaje!
Jak mało trzeba, by duszę poety
Zawieść w natchnienia nieśmiertelne kraje,

By przeistoczyć kobietę w anioła,
Aby z mężczyzny stworzyć bohatera,
By u bladego marzyciela czoła
Płomienna czynu zabłysła litera,

By posiąść szczęście i dawać je wzajem,
By niewiędnącym stroić skroń uplotem,
Jak mało trzeba, by świat stał się rajem...
O! gdybyś wiedział... Lecz ty nie wiesz o tem!

* * *

O! gdybyś wiedział, jak mało potrzeba,
By wdzięczną wiosnę w smutną zmienić jesień,
By zjałowiała najżyźniejsza gleba
I wyschło źródło najczystszych uniesień,

By marzeń tkankę potargać świetlaną,
W niewinnej piersi zbudzić zgubne chucie
I aby wiecznie jątrzącą się raną
Stało się jedno niebaczne ukłucie.

Jak mało trzeba, by w zwątpień topieli
Prastare prawdy zwalczył rój miraży,
By się znalazły pod stopą czcicieli
Bóstwa z wczorajszych zwleczone ołtarzy,

Aby w wierzącym zrodził się szyderca,
By zaczął pełzać ten, co wzbił się lotem;
Jak mało trzeba dla zabicia serca...
O! gdybyś wiedział... Lecz ty nie wiesz o tem!

H. J. Boguska. (Hajota)



N. Żmichowska. (Gabryella).

COBYM CI CHCIAŁA DAĆ?

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Pyszny pałac na mieszkanie,
Z kolumnami, kryształami,
Złocistemi wezgłowiami
I miękkimi kobiercami,
Pod twe drobne stopy.
Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Mały domek na mieszkanie,
Z okienkami zielonemi,
Z ławeczkami brzozowemi,
Z akacyami cienistemi,
Nad twe białe czoło.
Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Szafir z nieba na ubranie,
Promień z słońca na wianeczek,
Perły z rosy na sznureczek,
I z gwiazdeczki pierścioneczek
Na twą śliczną rękę.

Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Biały muślin na ubranie,
Wianek z habru upleciony,
Krzyż z olszynki wyrobiony,
I pierścionek poświęcony
W samej Częstochowie.
Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym ci dać, kochanie,
Na co tylko Boga stanie:
Wiarę niczem niewzruszoną,
Miłość nigdy niezdradzoną,
I szczęśliwość wymarzoną,
A trwałą na wieki.
Co jabym ci chciała dać?
Chciałabym i dać, kochanie,
Na co biednej ziemi stanie—
Śmiech próżności tego świata,
Pobłażanie za grzech brata,
I modlitwę co ulata
Ku niebu w złej doli.

N. Żmichowska (Gabryella).

TĘSKNOTA.

Tęsknię, ach! tęsknię w zimie za kwiateczkiem,
A gdy mam z wiosną kwiatków łąkę całą,
To jeszcze tęsknię za konwalią białą,
A przy konwalii za śniegu płateczkiem.

Tęsknię, ach! tęsknię do mojego brata,
A kiedym z bratem, to tęsknię do ciebie,
A kiedym z tobą, to do Boga w niebie,
A kiedym z Bogiem, znów tęsknię do świata.

I złe i dobre, i grzech mój i cnota,
I czego pragnę i czego się boję,
I myśli moje i modlitwy moje,
I życie całe—to tylko tęsknota.

N. Żmichowska. (Gabryella).

BÓJ PEREPIATOWY.

Kędy Dniepru huczy wał
I nadbrzeżne szumią bory—
Tam do walki krwawej skory
Dzielnych wijów hufiec stał.
Garstka orłów to stepowa!
Umie chmary kruków zmódz!
Silna dłoń i—silna głowa:
Kniaź Perepiat orłów wódz!

* * *

Ledwo słońce z poza wód
Wychyliło się jaskrawie
I zaczęło po murawie,
Pić porannej rosy chłód,—
Ledwie ptaków śpiewne chóry
Powitały dzienny brzask,
Wnet się rozległ krzyk ponury:
Połowieckiej hordy wrzask.

* * *

Połowiecki Hanie stój!..
Wnet drużyna Perepiata,
Jak piorunna, jak skrzydlata
W wściekły się rzuciła bój!—
Na nic chmary twoje Hanie!
Szkoda twoich Hanie sił!
Jeden za twych pięciu stanie
I was zetrze w proch i w pył!

* * *

Pod kopytem ziemia drży!
Chmury strzał zakryły słońce!
Tylko miecze krwią płynące
Świecą pośród ciemnej mgły!
Pierś do piersi—dłoń do dłoni!
Jak dwie chmury w czasie burz!
Młot o szable głośno dzwoni
Serce szuka ostry nóż.

*   *
*

A nad tłumem, jakby grom
Lśni jednego stal bułata
I głos wielki Perepiata
Grzmi: drużyno!—śmierć nie srom!
I jak śmierć on, gdzie się zwróci,
Wali wrogi do swych stóp—
A już ten się nie ocuci,
Kogo on powalił w grób!

*   *
*

Długo, długo wrzał ten bój!
Słonko wzniosło się wysoko
I zdumione swoje oko
W krwi płynącej nurza zdrój.
Wielka wzniosła się mogiła,
Trupem ją podnosił wróg,
Gdy kniaziowy zagrzmiał róg,
W znak że bitwa się skończyła

*   *
*

Połowiecki szczątek hord,
Jak wąż nogą rozdeptany,
W ciepłem błocie krwi rozlanej
Syczał, klnąc ów straszny mord.
A na wale świeżych trupów
Perepiata zagrzmiał głos:
Teraz, dzieci,—resztę łupów
Na ofiarny złóżmy stos!

*   *
*

Buchnął w górę czarny dym!
Na cześć bogom nieśmiertelnym,
Na cześć mężom naszym dzielnym,
Co polegli w boju tym.
Każdy spieszył, by w udziale
Coś od siebie bogom nieść,
A tłum cały brzmiał w zapale:
Perepiato!—tobie cześć!!

S. Grudziński.

BEZ MIŁOŚCI.

(Myśl z Teodora Storma).

Że ty mię kochasz prawdziwie szczerze,
        Wierzyłam dotąd, szalona,
Teraz znam ciebie, precz stąd, nie wierzę,
        Puść, już mię nie tul do łona.
Tyś myślał, żem ja dziewczyna pusta,
        Czci nie mam w duszy prostaczej,
Więc bez miłości całujesz me usta,
        Nie, tego Bóg nie przebaczy.

Klnę cię na Boga; puść, ja się boję,
        Puść mię z twej dłoni zaciekłej,
Anioł mój płacze, bo usta twoje
        Hańbę na moich wypiekły.
Idź, będziesz węża w sumieniu chował,
        Pan ci to w niebie zaznaczy,
Żeś bez miłości usta me całował,
        Ach, tego Bóg nie przebaczy.

Wiedz, pocałunek co z serca płynie,
        Jako modlitwa jest czysty,
Lecz bez miłości to grzech jedynie,
        Grzech ciężki, błąd wiekuisty.
Idź, idź, ach darmo—nic już przeszłości
        Ubiegłej nie przeinaczy,
Tyś mię całował w usta bez miłości,
        Niech grzech ten Bóg ci przebaczy.

B. Grabowski.

OBŁĄKANA.

Raz ją widziałem w babińcu;
Sztywnie klęczała u progu.
Posąg z pod dłuta Kanowy
Tak jeno modli się Bogu.

Miasto książeczki—w jej garści
Płótna strzęp bielał pomięty,
A ona doń się modliła
Jakby to obraz był święty,

W płócienku mały otworek
Od kuli—i rdza zczerniała;
Łzami gdy szmatka przesiąkła,
Krwią zaszła—zaszła krwią cała.

I tłum potrącał bez serca
Niemo klęczącą u progu;
Posąg z pod dłuta Kanowy
Tak jeno modli się Bogu.

Kamienna klęczy bez ruchu...
Więc w kruchcie szepnę do dziadka:
„Kto ona?“—Dziad machnął ręką,
Ochryple mrucząc:—„Waryatka“.—

A. Urbański.

TYLE ŻYCIA—ILE W PIEŚNI.

Gdzież to życie, co korytem
Lało się niezamąconem?
Gdzież ten zapał? czy już mitem?
Albo czemś nieokreślonem?

Dawniej było to inaczej;
Dziś nas budzi głos rozpaczy
Z snu martwoty, z wieków pleśni
„Tyle życia, ile w pieśni!“

A więc już zamarło życie?
A więc wyschło natchnień źródło?

Złego wzrasta moc obficie,
A uczucie już wychłódło,
Piekło zwątpień jak trupiarnia
Swym wyziewem nas ogarnia,
Niby sen to, a duch nie śni...
„Tyle życia, ile w pieśni!“

O! inaczej dawniej było,
Duch to dobrze popamięta,
Dawniej się ideę czciło,
Ona dla nas była święta;
Ona pchała lud do czynu,
Nie dla pochwał i wawrzynu,
Lecz by go wybawić z cieśni...
„Tyle życia ile w pieśni!“

Tyle życia, ile w czynie,
Tyle życia, ile w pracy!
Hasłem takiem to jedynie
Wydźwigali się rodacy,
A kto ich przeoczył cele,
Zginął nie zdziaławszy wiele—
Niech poświadczą to współcześni...
„Tyle życia, ile w pieśni!“

Pieśni święta! pieśni droga!
Serca ty przegłuszaj jęki,
Prowadź lud do walk na wroga
Jak Tyrteja mężne dźwięki,
Hydrę zniszcz zwątpienia krwawą
Twoim głosem, ojców sławą,
Niech się sen raz ucieleśni:
„Tyle życia, ile w pieśni!“

G. Kohn.

PÓJDZIEM WE DWOJE...

I.

Pójdziem we dwoje...
W ognistym zespole
Pomiędzy ciche dąbrowy i role,
Błonia i chaty, uliczki, zagumna...
Przy mem ramieniu kroczyć będziesz dumna.
Bo cię ubiorę w ugorów mych kwiaty,
Wietrzyk do ramion przypnę ci skrzydlaty,
Barwą mych sadów lica ci okraszę,
Na aureolę dam ci śnień powoje
Tak pójdziem razem w ciche gniazdko nasze—
Pójdziem we dwoje...

II.

Pójdziem we dwoje...
Spojeni w uścisku,
Ślady odnaleźć me drobne i bose,
Pozostawione na zblakłem ściernisku,
Łez mych pastuszych brylantową rosę
Pozbierać w drogą pamiątek skarbnicę,
Żyjące jeszcze dotąd bladolice
Echa mych piosnek wyczuć z boru głuszy—
Pójdziemy szukać tam dawnej mej duszy,
Co, jak pył kwietny, gubiła powoli
Cząsteczki drobne, co, jak pajęczyna,
Wysnuła kłębek swój na zielska roli,
Tkając materyę obłoczną mięciuchną,
Ciepłą, jak troska dla dziecka matczyna!
Pójdziem tam z sobą, jasna moja druchno,
Odnaleźć skarby i pamiątki moje—
Pójdziem we dwoje...

III.

Pójdziem we dwoje...
Patrz ponad parowem
Chatka, jak gniazdko uczepione ptasie...
Wokół się wije lśnieniem szmaragdowem
Bór, niedaleko chłopię trzodę pasie

I tęskną dumkę na fujarce kwili—
I ja tak ongiś... Ach jak owej chwili
Żal! Szkoda wspomnień!...
Potok w dzikim jarze
Mruczy jak żebrak modlitwę przed drzwiami...
Pójdziem we dwoje, nie śledzeni, sami
Na skalnych szczytach budować ołtarze
I palić ognie bóstwom cisz i czaru...
Czasem wypełznie ku nam z głębi jaru
Całun z mgieł rannych i tchnień niw uwity
I przed chatczyną naszą się rozścieli
Skrzydłami orła, by nas wznieść w błękity
I w chmur pierzastych kąpać nas topieli
I w drżących świateł obodziać nas zwoje—
Pójdziem we dwoje!...

IV.

Pójdziem we dwoje....
Na brzegu urwiska
Wiatr brzóz płaczących rozwiane warkocze
Pieszczącą dłonią prostuje i czesze...
Wokół się piętrzą zarośla urocze,
A w nich się ptasząt rozśpiewały rzesze,
Tam ongiś dziewczę, dzisiaj mi z nazwiska
Nawet nieznane, w ramionach mych drżało...
Dziewiczą duszę jego śnieżno-białą
Jak kwiat wiśniowy, wonną, rozkochaną
Ssałem przez usta drżące, koralowe,
Rozkosz w swą duszę wdychałem różaną
Aż do omdlenia... Wchodziliśmy w nowe,
Nieznane sercom dziewiczym świątynie...
Pójdziem tam wyczuć z leśnego zakątka
Woń tych całunków—droga to pamiątka...
A ty przebaczysz i mnie i dziewczynie
I wspomnień moich w pierś swą wciągniesz zdroje...
Pójdziem we dwoje!..

V.

Pójdziem we dwoje—
w blask...

U szczytu stoga
Usypanego królowi w sukmanie,
Ognistą kulę snów moich wywieszę
I rzucę refleks między mnogie rzesze
Refleks tak jarki, jak ongiś w zaranie
Wstające słońce z twórczej ręki Boga,
Taki szlak jasny wzdłuż wiosek wyściclę
Że, zda się, chaty w jeden płomień stopi
I mrokom groźnym zadławi gardziele...
I będziesz patrzeć, jak stubarwną wstęgą
Pomaszerują wzdłuż wąwozów chłopi,
Kędyś z brutalną zetrzeć się potęgą...
Tyle ich, tyle!... Zda się, że z bezdeni
Otchłani nić się w nieskończoność przędzie...
Pochód otwarli barczyści Górale...
Gunie ich białe, jak skrzydła łabędzie,
Spływają z ramion... Dziarscy, niezmęczeni
Idą.. Odważnie, dumnie wznoszą głowy,
W wyżynach kędyś wzrok ich tkwi zuchwale—
Wiatr halny grywa im marsz narodowy,
A miast sztandaru ponad nimi górą
Orłów gromada ciągnie z wyżyn turni...

. . . .

Słyszysz?... gromami lęk w obłokach dzwoni!...

. . . .

Za Góralami groźni i pochmurni,
W szarej odzieży, jak ziemia ponurą
Ciągną się linią... Poznaję!... To oni,
To nasi blizcy... z nad Dniestru i Buga...
Z kresów... ci, którzy tak niedawno spali,
Noc ich niemocy trzymała zadługa...
Hejże, siermiężna braci, dalej, dalej!
Z trwogą na twoje zbudzenie czekano...

. . . .

Idą... patrz!... Idą... ciągną się bez końca
W dal jasnych świtów—w dal wiosen jutrznianą...
Do zórz płomiennych... do blasków... do słońca!
Więc teraz...

Z nimi na tryumf i boje—
Pójdziem we dwoje!...

K. Króliński. (Jan Denes).

BIAŁE RÓŻE.

Martwe — bez życia i woni,
Z drżących wypadły mi dłoni
Dwie białe róże...
Piersią ból wstrząsnął okrutny
I zbiegły po twarzy smutnej
Dwie łzy... łzy duże...

Na kwiat upadły zeschnięty,
Jak rannej rosy dyamenty
O bladym świcie...
Czyż jednak łza ta... łza krwawa
Co pierś paliła jak lawa,
Wróci im życie?

Jak przez mgły srebrnej tumany,
Pamiętam smutek rozlany
Na lic marmurze?
Ach! płomień objął ją całą
Kiedym jej wręczył nieśmiało
Dwie białe róże...

Jak te królowe ogrodu,
Tonące w blaskach zachodu,
W łuny purpurze,
Płonąc zwróciła się ku mnie
I odepchnęła tak dumnie
Te białe róże.

Dziś one nieraz w noc ciemną
Żalą się na nią przedemną,
Skargi zanoszą:
Chciały pić rosę z jej oczu,
Na piersi jej, lub w warkoczu
Konać z rozkoszą...

W toń źrenic patrząc błękitną,
One by śniły, że kwitną
W niebios lazurze;
A tak schły wolno... schły z żalu,
Że nie tkną ust jej koralu —
Ach, biedne róże!..

Martwe — bez życia i woni
Z drżących wypadły mi dłoni
Dwie białe róże...
Piersią ból wstrząsnął okrutny
I zbiegły po twarzy smutnej
Dwie łzy... łzy duże...

W. Nawrocki.

BEZ TYTUŁU.

I.

Nie sądź, że miłość moja spoczęła już w grobie;
Nie sądź że czas już rzucił na przeszłość zasłonę,
Że choć jedno spojrzenie ślę nie w twoją stronę
I że jest chociaż jedna myśl ma nie o tobie!..
Ty żyjesz w mojem sercu, jak wonna roślina,
Wśrod dziennych trosk życiowych i wśród marzeń nocy,
I gdyby kochać więcej było w ludzkiej mocy,—
To jabym cię tak kochał... o moja jedyna.
Cóż z tego, że na ziemi dotąd jeszcze żyję?!...
Dziwną litość nademną ma ten los — macocha —
Kiedy z ust twych, kalino, słodyczy nie piję,

Kiedy mi ludzie mówią żeś zmienna i płocha!
Cóż mi z tego, że serce jeszcze we mnie bije,
Gdy wszystko szepce w koło: „nie kocha!... nie kocha!“...

II.

Gdybym w marmur tchnął oddech, silniejszy sto razy,
Niźli wichry jesienne i burz huragany,
Gdybym w marmur tchnął oddech, z dna duszy wydany,
To zadrgałyby życiem nieruchome głazy!...
I gdybym bryłę lodu na sercu położył,
Gdzie niczem niezgaszony, wielki ogień płonie,
I gdybym bryłę lodu położył na łonie,
Lód by stopniał pod żarem, jak głaz tchnieniem ożył!
Ty jedna, strojna w marzeń roźnobarwne wstęgi,
Kwiecistą idąc drogą, z dumnych najdumniejsza,
Niechcesz słyszeć mych zaklęć drwisz, z mojej przysięgi,
I nic cię nie ożywia, nic chłodu nie zmniejsza!
Ty jedna, co nie czujesz miłości potęgi,
Więcej martwa, niż marmur, i niż lód zimniejsza!...

III.

Więc uciekam od ciebie!... Niech się cieszą ludzie,
Że zacne ich starania uwieńczone skutkiem...
Niech się cieszą!... Tak mało uciech w życiu krótkiem!
Niech zmęczone języki odpoczną po trudzie...
Cóż to dla świata znaczy, że zwykłym porządkiem
Rozłączył dwoje ludzi, serc przygłuszył bicie?
Że z tych dwojga jednemu może złamał życie?
Trzeba się przecież zawsze kierować rozsądkiem!
Idżmy naprzód!... ty inną i ja inną drogą.
Rozsądek, jak pochodnia, niech nam zawsze świeci.
Strzeżmy się snów rozkosznych, miłość zdepczmy nogą,
I niechaj gmach marzenia w gruzy się rozleci!
A może los nam ześle tę pociechę błogą,
Że rozsądniejsze od nas będą nasze—dzieci.

A. Orłowski.

DO MOICH DUM.

Wstańcie odgłosy z rodzinnej ziemi.
Otrząście grubą pleśń!
Czy pod mogiły śpicie dawnemi,
Czy błoń i cisza wiejska was niemi,
Czy w cieniach chowa,
Gaj i dąbrowa:
W jedną się zwiążcie pieśń!

Wstają: tu zwrotka wiekiem skażona,
Owdzie zmącona wieść;
Jak zdrój z czystego wytrysła łona,
Poiła wdziękiem długie plemiona;
Cicha i miła,
Do cnót budziła,
Wpajała ojców cześć!

Tam tęskne córy z mokrą powieką,
W piersi znamiona burz;
Owioń ich myśli błogo i lekko,
Szanuj ten smutek i łzy co cieką:
Cichym i czystym
Żalom ojczystym,
Ojczystą nutą wtórz!

Oto skrzydlaty rój przez zagony,
Długi zaściela kir;
Szumią i gwarzą kawki i wrony.
To naszem ciałem tłum wypasiony,
W radosnym chórze,
Zwiastuje burze,
I nowy wietrzy żyr.

Tam ruch i wrzawa kona w uboczy,
Ściany pokrywa mech:
Ciężko i dziko czas się tam toczy,
Wieczystym mrokiem przygasły oczy,
W łonie znędznionem,
Przewlekłym skonem,
Leniwy ślęczy duch.

Już, już znękany żywot rozplotę,
Wieczny powitam dzień:
Pieśni! zaludniaj więźnia samotę,
Roztaczaj nad nim skrzydła swe złote;
Niech w barwy tęczy,
Świat mu się wdzięczy,
Nim wiecznie wzleci zeń.

Tam, gdy w dziedziny zawitał nasze
Stary Jagiełłów krzew:
Medyckich gajów swobodne ptaszę,
Szle powitanie w gościa poddasze,
I w noc samotną,
Piersią szczebiotną,
Znany mu nuci śpiew.

Wiekiem stępione budzą się zmysły,
W dźwiękach utonął słuch;
Kwietny smug Niemna i wzgćrza Wisły,
Z wdziękiem Jadwigi w duszy zabłysły,
Na łono spływa,
Głowa sędziwa,
W niebo uleciał duch!

Wstańcie odgłosy z rodzinnej ziemi,
Otrząście grubą pleśń!
Czy pod mogiły śpicie dawnemi,
Czy błoń i wiejska cisza was niemi,
Czy w cieniach chowa,
Gaj i dąbrowa:
W jedną się zwiążcie pieśń!

A. Bielowski.

CAŁY ROMANS.

I.

. . . . O, ubóstwiona!
Twe imię: wieczna i wieczyście młoda...
Szepce jej wietrzyk, gdy pod lipą kona,
I może usta szepcą je: Przyroda!

O bóstwo moje!
Imię twe głosi piorunowa chmura
I wypisują je gwiazd srebrnych roje;
W noc cichą czytam na niebie: Natura!

Kochanko cicha!
Słuchaj, to echo przypada do łona,
Echo mych wyznań szepce ci i wzdycha:
Kochanko cicha, moja, ubóstwiona!...

II.

Pójdę ja przez te łany rodzące,
Złotych zbóż falą,
Gdzie krwią serdeczną maków tysiące
Ziemi twarz palą;

Gdzie woń od pola i łąk z nad rzeki
Bije do głowy,
Gdzie tak upaja srebrny, daleki
Głos skowronkowy.

Pójdę ja przez te lasy szumiące,
Podszyte mchami,
Gdzie z drzew, jak rosa, tak ciecze słońce
Złotemi łzami;

Gdzie się rozwartych miłośnie tłumy
Ramion kołysze;
Pójdę ja przez te echa i szumy
I leśną ciszę.

Pójdę i padnę w twoje ramiona,
Na mchów posłanie,
O słodka moja, o ubóstwiona!...
Moje kochanie!...

III.

. . . .

IV.

„Kocham cię“—Echo biegnie wśród zieleni,
Jak złota strzała, rzucona w rozpędzie:
Ślizga się w gąszczu, niby snop promieni,
Brzęczy, gdy muśnie o liści krawędzie—
Gra „kocham“ w lesie. Nagle—cisza głucha...
To echo zmilkło, przypadło i słucha.

Cicho... Nade mną rozpięte szeroko
Drzewa błękity i deszcz złota trzęsą,
Z głębi spogląda ciemne gąszczu oko,
Jasną paproci ocienione rzęsą.
Spadnie łza złota, błękitna, zielona,
I tonie w pośród mchów miękkiego łona.

Cicho... Drzew oto zadrżały konary,
Zamiotły błękit, szum poszedł po lesie.
W głębiach zbudziły się zaklęte czary...
Cyt, chyże echo odpowiedź mi niesie...
Las zmilkł... Mów teraz! O, wyraźnie słyszę
„Kocham“—I echo stopiło się w ciszę...

V.

Lecz nie zdradziło żadnej tajemnicy
Echo to słodkie niosąc mi wyznanie!
Zdrajcami byli inni powiernicy:
Kwiaty, zdobiące me leśne posłanie.

Swawolne dzwonki, aż po lesie brzmiało,
„Kocha cię, kocha“ dzwoniły w zawody;
Ba, przestraszyły tak borówkę małą,
Że zapłonione ukryła jagody...

A kiedy echo skonało w oddali,
Dzwonki się jeszcze lekko kołysały.
Widzę: jagoda borówki się pali,
Aż każdy listek zczerwienił się cały.

VI. VII.

. . . .

VIII.

Był zwyczaj ongi: Wenecya „czerwona“
Ślub zawierała z błękitami morza,
Które tuliła do marmurów łona.
Co rok z portyku purpurowy doża
Szedł i dziewicy dawał pierścień drogi;
Ta go rzucała do wód chłodnych łoża...
W noć ślubną, srebrną w oblubieńca progi
Szła ona, którą zwą lagun królową—
Fala jej perły rzucała pod nogi,
A księżyc lampę zapalał nad głową.

IX.

Ja, miast pierścienia, rzuciłem jej słowa
I oczy moje posłałem płonące.
„Kocham cię, kocham!.. Patrz, jak płonie głowa,
I serce płonie, jak gwiazda, jak słońce...
O pójdź, pójdź, droga!.. O pójdź w me ramiona,
Niechaj cię czuję tu na piersi zblizka.

Bądź mi, jak róża cudna, zapłoniona,
Bądź mi, jak gwiazda, co błyska...
Bądź mi kochanką, co w objęciu kona,
Co splotem ramion jak wężami ściska...
O słodka moja, o ty... ubóstwiona!

X.

I oczy moje rozbłysły w zieleni,
Zielona fala pochłonęła słowa.—
Zachód już morze liści w krąg rumieni,
Na mchach się kładzie zorza purpurowa.

Szum idzie głębią... zerwie się, to stanie...
Ścichł, szmaragdowe zadrżały podwoje.
— „O, idziesz do mnie, luba, na wezwanie!“
Głos szepce słodki, cichy:
— „Dziecię moje!“

E. Bogdanowicz (Bożydar).

LEKI.

Stoi chłopię—pobladło, jak chusta,
Bosą nogę gorąca krew broczy,
Kurczem drżące ściągnęły się usta,
Ale jasne, jak niebo, ma oczy;
Tylko czasem coś dziko w nich błyśnie,
Pot kroplisty wystąpi na skronie;
Dziecko pięści u serca zaciśnie,
I zduszony jęk kona mu w łonie.
Lecz po licu krwawe przeszły wary,
Złote włosy wiatr z czoła gdzieś żenie,
Bosy chłopak w koszuli swej szarej
Spojrzał niby gladjator w arenie.
Tak gladjator—w śmiertelnych zapasach
On się z bólem, strasznym wrogiem, łamie.
„Słuchaj, dziecię! są ziółka po lasach,
Zbawcza siła jest w kwiatów balsamie;
Ja ci z gaju kaliny przyniosę,
Macierzanki poszukam na łące,
I srebrzystą otrząsnę z niej rosę,
I listeczki przywinę wonіące.
Pod ich chłodem wnet ból się ukoi
I palący żar ognia złagodzi“...
„Mnie nie trzeba balsamu, co goi,
Mnie nie trzeba balsamu, co chłodzi,
Bo ja drzazgę w ranie mam głęboko,
A ból tylko krew w żyłach zapali,
I z tej spiekłej krwi mojej posoką
Złe na wrzącej wyrzucę precz fali!“
„Biedne dziecię! ból nieraz zabija,
Ból olbrzymów powala do trumny.“
Zadrżał chłopiec, łza w oku się zwija,
Ale nagle wzrok strzelił mu dumny.
„Nie! zawołał, to coś, co drga we mnie,
To nie w łzy mej, nie w krwi jest kropelce,
Anioł jakiś szepcze mi tajemnie,
Że siedliskiem żywota jest serce.
A to serce!... chodź, słuchaj, jak bije,
Jak potężnem tętnem mi uderza:
Ból gangreną póty nie zabije,

Póki w piersi jest życia moc świeża!“
Zamilkł chłopiec—wtarz zbladła, jak chusta,
Bosą nogę gorąca krew broczy,
Kurczem drżące ściągnęły się usta,
Ale jasne ku niebu wzniósł oczy.

M. Ilnicka.

PROŚBA MAJTKA.

„Lepiej raz przepaść w zaburzone fale
Niźli żyć gnijąc po trochu na skale“
Wyjątek z „*Giaura*“.

Cicho, tak sennie na morskiej przestrzeni
Śpią wiatry, śpi żagiel i majtek się leni.
Bo w ciszy krew stygnie, dłoń jego martwieje,
Dla niego tem burze, czem innym nadzieje.

Patrz, czoło pomarszczył, brwi gęste nasrożył,
Wzdął piersi, dłoń szorstką na sercu położył
I groźnym pojękiem zawołał: „Mój Boże!
Rozdmuchaj tę ciszę, rozhulaj to morze!“

„Czym przeto nie pragnął na ziemskim żyć
świecie,
Porzucił chudobę, i żonę i dziecię,
Bym usechł na maszcie, słuchając niedbale,

Jak lekko swawolne muskają się fale;
O nie! nie! ta cisza, ten spokój mię nurzy,
Kto majtek, ten żyje śród wichrów i burzy!“

B. Bielawski.



Z. Krasiński.

KOLOSEUM.

Tam, gdzie spokój i grób pychy
A nad grobem złota, drżąca
Wśród szafiru twarz, miesiąca,
I chrześcijański krzyż ten cichy,
Krzyż zwycięski! czemuż smętno,
I już na nim wieków piętno?
I gdy wokół fiołki rosną,
Maj powraca, gruz zieleni,
On—nie kwitnie z ruin wiosną?
Stoi czarno sam w przestrzeni!
Lecz nadchodzi czasu fala,
Co mu stopy pocałuje
I jak płomień, co przepala,
Z więzów stopy te rozkuje!
Głos na cyrku słyszan będzie!
I drżeć będą pjane z trwogi
Starożytnych ścian krawędzie!
W błyskawicach krzyż ten cały
Nagle wstanie jasnobiały!
Pan wierzącym,—a złowrogi,
Tym, co sercem w miłość skąpi;

Z marmurowych stopni zstąpi
I w anielskich gwiazd koronie
Wyjdzie z cyrku.—Idzie,—płonie,
Idzie—dawnej torem drogi
Deptać w Rzymie, Rzymu bogi!

I znów wzniesie się jęk bolu—
W Watykanie—w Kapitolu!
Lecz przebrzmi jęk
Na hymnu dźwięk!

. . . .
. . . .

Z. Krasiński.

DO KOBIETY.

Choć serca znęcisz skrawych ócz kryształem,
Lub je podeptasz czczej myśli suchością—
Nie będziesz jeszcze żywym ideałem,
Nie będziesz jeszcze niewieścią pięknością.

Skromność bez wiedzy, lub rumiane lice,
Również się dzisiaj na mało przydały:
Nie być—lecz wyrość musisz na dziewicę,
Przechodząc zwolna świat ten bólu cały.

A gdy z twych natchnień, i mąk, i łez mnóstwa,
Wybłyśnie w końcu święty promień Bóstwa
I twarz ci zleje światłem wiecznotrwałem;

Gdy na twem bladem, marmurowem czole
W wieniec się mocy splotą życia bole:
Wtedyś pięknością, wtedyś Ideałem!

Z. Krasiński.

WIECZNA.

Rozpasanych sabatów orgiastyczne kręgi,
tajemniczych bajader żądza nieśmiertelna
niczem mi wobec twojej kuszącej potęgi.
królewskiej mej fantazyi kochanko bezczelna.

Przyszłaś, kiedyś, w gorączce dziecinnych majaczeń,
eliksirem szatańskim poić spiekłe wargi
i w duszy nieskalanej — zarzewiem przeznaczeń
rozpaliłaś żywiołów odwieczne zatargi.

Wciąż nęcąca ku sobie i wciąż niedostępna,
jak rusałka, żeglarzom zjawiona nad skałą
— miłość, wstydem płonąca i miłość występna,
ciebie tylko, o boska, chciały zakląć w ciało.

Dzisiaj w prochu rzucony przed twą straszną łaską
gdy mi rozkosz obłędną mózg zalewa falą,
wiem, że nigdzie i wszędzie, że miłość jest maską,
za którą nieśmiertelne twe oczy się palą.

Niewolnikiem twym jestem, bo w jarzmo służalcze
zgięły mię twego piękna czary nieprzeparte;
z przenajświętszych antyfon hymny bałwochwalcze
tworzę, by się twe imię święciło Astarte.

Błogosławiona bądż mi, maro tajemnicza,
w jakiejkolwiek przychodzisz opętać mię zjawie,
— każdą iskrę, roztloną w żarach twego znicza,
— każda rozkosz i każdy kształt twój błogosławię.

Gdy przestrzenie powietrzne drżą w upalną ciszę,
na łące wydeptanej południcy nogą,
na złocistym rydwanie w tryumfalnej pysze
lecisz, błyszcząc, jak słońce szprych złotych pożogą.

Cały rozpęd rumaków, ujęty w twej ręce,
czuję w dreszczach mych pulsów; jak derwisz szalony,
rzucam się pod twe koła, a w konania męce
straszna rozkosz w krwi mojej zatapia swe szpony.

Czasem cicha przychodzisz, jak widmo z kurhanów,
przeczysta, jak marzenie, nim w kształty się wcieli,

oddech twój, jak muzyka, pod liśćmi bananów
— Pójdź... Znowu przestrzeń wszystkich gwiazd cię
dzieli.

Znowu ręce chwytają próżnię, znowu sporne
myśli, jak wężowisko, kłębią się ruszone;
językami płomyków pragnienia potworne
syczą, pełznąc i gasną, jak głownie zetlone.

Otom wydan na pastwę mej posępnej nędzy—
Noc idzie, co rozprzęga wszystkie spójnie ducha.
O, roztrącić się w nicość! skonać! byle prędzej!
Płaczu niema i Boga niema, który słucha.

Tam, w górze, jakieś światy konają nademną
i ostatnich się wspomnień załamują głosy—
Naraz promień światłości rozdarł otchłań ciemną,
jakby ręka anioła przedarła niebiosy.

Znowu czuję cię, boska; jesteś — jesteś przy mnie —
jak matka, na swe dziecię spoglądasz litośnie:
usta twe rozchylone w przenajświętszym hymnie,
w którym ból wszystkich wieków pali się miłośnie.

Moc wieczystych odrodzeń biorę z twojej ręki
a w piersiach cicha wiedza wstaje, nakształt słońca;
że przez błędne manowce rozkoszy i męki
wiedziesz mię ku otchłaniom początku i końca.

E. Leszczyński.

ŚWIAT I SERCA.

Stara matka nad synem jedynym płakała,
Że gardził cichą pracą i rwał się namiętnie
Do sztuki, co doń z wyżyn czarownie się śmiała;
A świat co?
Świat się na to patrzał obojętnie.

Idź—mówiła znękana—ja będę tu Boga
Prosić, by błogosławił doli twojej łzawej.
I on poszedł tam, gdzie się wiła z cierni droga;
A świat co?
Świat go pytał chcesz chleba, czy sławy?

I szaleniec się młody uśmiechnął weselnie,
I zawołał: ja przejdę przez piekło cierpienia,
Byle tylko me imię żyło nieśmiertelnie.
A świat co?
Dał mu oklask rękami z kamienia.

Lecz wkrótce dramat życia wysnuł się do końca,
Słabe siły stargała nędza i tęsknota
I kapłan sztuki zwolna gasł jak promień słońca.
A świat?
Wtedy ukazał mu szpitalne wrota.

I na białą zasłonę, co trupa skrywała
Rzucił z mową pochwalną koronę z wawrzynu!
A matka co? Liść jeden z niej łkając wyrwała
I rzekła: to zapłata za Ciebie mój synu!

Miron. (A. Michaux.)



KOBIETA.

Kobieta? puch marny! Kobieta? niebianka!...
Kobieta? to cacko! To raju mieszkanka!
To wietrzna istota! Serc ludzkich królowa!
To rodu ludzkiego... mniej ważna połowa!
Kobieta? A ja wam powiadam zaiste:
Gdy myśli porządnie i serce ma czyste,
Gdy od czczych uniesień i marzeń jest wolna,
Gdy szczerze dla drugich poświęcić się zdolna,
Gdy ziemię swą kocha uczuciem poczciwem,
Gdy myślą od pracy do Boga aż sięga,
Oh! wtedy kobieta jest świętem ogniwem,
Które ziemię z niebem sprzęga.

P. Kraków.

APIS.

Nie w dank za zasług dań bogatą
Niósł Apis bóstwa aureolę,
O nie, on świętym został zato,
Że—białą gwiazdę miał na czole!
Motłochu bogów szereg długi
Niech się tam cnotą opromienia.
On z pracy drwi i kpi z zasługi,
—Bo on jest bogiem z u r o d z e n i a!

Memfis, nad Nilem gród prastary,
Stolicą jest Apisa rodu,
Tu składa Egipt mu ofiary
I tu on cześć odbiera Wschodu.
Od złota, srebra i kamieni
Lśni pyszny gmach bydlęcej mości,
Purpurą Tyru się czerwieni
I dymem kłębi się wonności.

W tym gmachu przy złocistym żłobie
Dzień cały stoi byk spasiony,
I tylko czasem ryknie sobie,
Ogonem kręcąc na wsze strony.
A tłum kapłanów wznosi dłonie
I kornie schyla łyse czoła,
Wyrocznię widząc w tym ogonie
I w idyotycznym ryku woła.

Dziewice najkraśniejsze w świecie,
Te jego wygód są piastunki,
One mu najwonniejsze kwiecie
I najsmaczniejsze znoszą trunki.
A gdy już kwiaty zjadł do listka
I kości swe do snu układa,
Na palcach chodzi służba wszystka,
A biada, kto go zbudzi—biada!

Na rok, niestety, raz jedyny
Widzieć go mogą wiernych oczy,
A to, gdy w swoje urodziny
Z procesyą dumnie miastem kroczy.

A wtedy zachwyt wiernych serce
I radość poi nieustanna,
Pod nogi ścielą mu kobierce,
Niech żyje!—krzyczą i—hosanna!

Gdy wreszcie Miłość jego raczy
Opuścić padół ten niedoli,
To Egipt tonie w łzach rozpaczy
I brwi i głowy w smutku goli.
Więc balsamują święte ciało,
Więc grubo święte złocą rogi
I trumnę robią okazałą,
I szumne głoszą nekrologi.

Wkońcu po długiej modłów dobie
Do Serapeum niosą byka,
Składają w marmurowym grobie
I wielbią cnoty nieboszczyka.
A z grobu jeszcze na cię woła
Złocistych liter dumny napis:
— „Przechodniu, uchyl kornie czoła,
Tu leży—wielki, święty Apis!“

Trzydzieści wieków już nas dzieli
Od śmiesznej Faraonów ery,
Z bezmyślnych kpimy dziś czcicieli,
Co wołom hołd składali szczery.
A czyż wśród starć, doświadczeń wielu
Świat z głupstwa wybrnął już kaprysów?
Rzuć wkoło okiem, przyjacielu,
— T ł u m u dopatrzysz się Apisów!

F. Konarski.



Z CYKLU „WIOŚNIANKI".

Stoi chatka stoi,
Nieciosana, nizka,
Niby chłopska trumna
I niby kołyska...

Chodzą wiatry, chodzą
Od ściany do ściany,
Niby przez rękawy
Podartej sukmany...

* * *

Kwitną wokół, kwitną
Same rozmaryny...
Będzie ślubny wianek
Dla mojej dziewczyny...

Dzwonią głośno, dzwonią —
Wraca lud podpiły...
Pewnie już z wesela?...
Ej nie! to z mogiły.

* * *

Tam za wioską gaj... kurhany
Stoją w szereg długi,—
I gdzieniegdzie wystrugany
Krzyżyk jeden... drugi...

Bose dzieci tutaj chodzą,
Sieją niezabudki,—
Tu najświętsze łzy się rodzą
I najszczersze smutki...

* * *

Tam na wzgórku kościół biały,
Ze zgarbioną strzechą,—
Tu niejeden jęk nieśmiały
Odebrzmiał pociechą...

Tu lud wierzy: Pan Bóg schodzi...
Sądzi... patrzy... słucha...

Tu najczystsza myśl się rodzi
I najszczersza skrucha...

J. Korwin-Kuczyński.

„PRZYCHODZISZ DO MNIE...“

Przychodzisz do mnie cicha, załzawiona,
Przychodzisz świętą ukojeń godziną,
Padasz na serce, w stęsknione ramiona—
I tak nam chwile długie co noc płyną.

Na czoło twoje dłoń mą składam drżący,
Ściszam krwi tętna, ledwo pierś oddycha:
Dusza mi twoja, biały kwiat milczący,
Ufnie głąb swego roztwiera kielicha.

Niepamięć ułud życia senną falą
Niesie nas cicho na swój brzeg świetlany,
Dzień się powszedni mgieł zasuwa dalą,
Goją się wszystkie krwawe ducha rany.

Dłoń w dłoni społem—jak wtedy przed laty!—
Po jakiejś w słońcu zadumanej łące
I ziem żądz naszych zwiędłe depcąc kwiaty,
Dwie dusze bliźnie, wolne już, milczące;

Słów nam nie trzeba, nie trzeba spojrzenia,
Ni pocałunków płomiennej pieczęci;
Oto się tajną mocą w skroś milczenia
Cud w nas— najświętszy cud miłości święci.

Tak do mnie—wiesz ty o tem, Utracona?—
Przychodzisz świętą ukojeń godziną
Wieczność twą w moje zamykać ramiona—
I tak nam chwile długie co noc płyną.

Adam Łada. (Adam Cybulski).

„MANIBUS DATE LILIA PLENIS“.

Warga drży jeszcze, oko jeszcze pała —
Już mnie nie kochasz, jakeś mnie kochała.
I kiedy wołasz, w głosie twoim słyszę,
Jakby pustyni głuchą dal i ciszę...
I gdy miłosne powtarzasz mi słowa,
Wtórzy im jakiś dźwięk, jak pieśń grobowa.
Więc mi już żegnaj, bo nie mogę więcej
Cierpieć—a kochać nie umiem goręcej...
Wreszcie od bólów i żalów przecieka
Danaid wieczna urna, pierś człowieka.
Cóżeśmy winni, żeśmy tak niestrojni,
Zawsze spragnieni, zawsze niespokojni?
Cóżem ja winien, że gdy ci się śniło
O szczęściu wiecznem, aż gdzieś za mogiłą.
Jam nie mógł pojąć i kochać inaczej,
W żalu i w bólu, w szale i rozpaczy —
Cóżeś ty winna, żeś jest taka czysta,
Choć litosnemi łzami promienista?
Cóżem ja winien, że pieśni, co wiszą
Ponad gwiazd białych niezmąconą ciszą,
Ja nie pochwycę, że ich nie przestroję
Na strunę lutni, drżące struny moje?
Cóżem ja winiem, że błyskawic snopy
Błękitnych tobie nie padły pod stopy?
Przebacz, zapomnij. Ja miłość dla ciebie
Pod kielichami białych lilji grzebię.
Boś ty mi była wśród obcego świata
Gwiazdą, do której wieczorna pieśń wzlata
I wszystkie swoje bóle i tęsknoty
Tej siostrze w niebie opowiada złotej,
Boś ty mi dała w długich dniach boleści
Współczucie duszy miękkiej i niewieściej—
Aż potępieńcza znudziła cię praca
Rozpraszać troskę, która wiecznie wraca.

K. M. Górski.



S. Przybyszewski.

TĘSKNOTA.

Wokół Twej głowy wieniec zwiędłych kwiatów, gdyby korona czarnych słońc, a Twe oblicze płonie żałobą zastygłych gwiazd.

U nóg twych kona burza mego żywota, gasnącą falą oblewa Twe stopy chory płód mej duszy.—

Szaremi skrzydły okrąża Cię obłęd mych ciemnych przeznaczeń—kolebko Ty moja, grobie Ty mój!

Z czarnych mgławic mego początku wyrosłaś w chmurne nieb stropy, w słabej muszli perłowej mego bytu płyniesz w głuche bezkresy, Ty bolesna piękności, coś jest ponad wszechpięknością—

Tęsknoto Ty!

I czemu stałaś mi się grobem, czemuż płonące Twe pienia, któremi innych rwiesz w niepojęte krainy piękna kraczą w mej duszy złowrogie wróżby, a czerwone pochodnie, które innym stawiasz po drodze ku wzgórzu szczęścia, czemuż gromniczną żałobą obstawiły mi łoże?

Byłaś mej braci słowem Boga, co z Niczego światy wyrzuca, byłaś jej żebrem Adama, co święte cuda w sobie nosi, byłaś jej wiecznością i bezgraniczem potęgi—tylko w moją głowę wwierciłaś suche kolce cierniowego wieńca.—

Ty bolesna piękności—coś jest ponad wszechpięknością.

Tęsknoto Ty!

A przecież stało napisane, że moja dusza syta Twej boskiej siły, odrodzi od nowa w nowej potędze i piękności świat cały i wszechstworzenie.—

—Bo i jemu i mnie dany ten sam początek—

Stało napisane, że dusza moja będzie mocą Twojej wszechmocy, powietrzem, które wszechstworzenie nową rozkoszą upoi, obejmie wszechświaty, porozrywa pieczęcie ich tajemnic, a nad gwiazdami od jednej do drugiej rozpostrze się gdyby płaszcz królewski, a na nim spocznie Twój święty majestat Odkupienia.

I jeszcze stało napisane, że oddasz się w moc moją, dasz się ująć ślubną obręczą mego słowa, rozświetlisz mi dźwięki, co z pod mych rąk wypłyną, w słoneczne dale mych pól rodzinnych, roztętnisz barwy moje tą siłą i życiem, jakiem drga wiosna we wiecznych porodach.

Z poza ciemnych gór miałaś wzejść krwawem słońcem nad twem nowem królestwem i nigdy już nie zapadać, bo w nowem Twem królestwie słońce nie zapada.

Moją męką, moją Gehenną miałaś się odkupić na nową przyszłość na Nowy Zakon.

A otóż patrz? Tu króluje, jak Pan Zastępów Ja, Twoje odkupienie i piekło Twoje!

Patrz! Majestat mój opanował wszechbyty. Ja, Twoje ostatnie słowo, co nieskończoną i przepotężną ręką pisze w ciemnościach przyszłości czyn z Boga urodzony, czyn Nowego Testamentu, Czyn rozerwania wszelkich pieczęci.

Tu siedzę na mym tronie, i myślę, czemby Cię odkupić można.

A teraz widzę Cię!

Wokół Twej głowy wieniec tysiąca nagich błyskawic, burze lat tysiąca rozszarpały Twoje włosy i cała wieczność szczęścia i rozpaczy ludzkiej rozpasała się w Tobie. Płyniesz na tęczach rozszalałych mocy, a wola Twa gdyby otchłań kipiących sił.

Oddaj mi akord, coby objął twoją moc. Daj mi to wszechmocne słowo, daj mi to Stań się! pierwszego dnia, coby Cię wypowiedzieć mogło.

Ten akord, to słowo, co światy z ich torów postrąca, akord, co się jednem olbrzymiem słońcem, jedną olbrzymią pożogą słońca od jednego krańca do drugiego na niebie rozleje—och akord ten! och słowo to!

Silniej, bliżej, straszniej! Ha! Kto zna to słowo! kto zna ten akord?

Ja znam tę pieśń, Ja syn Twej burzy, Ja syn Twojej rozpaczy, Twoich wiecznych obłędów!

Daj mi tę nową pieśń—silniej, bliżej! Bliżej jeszcze.

Rozlej się na światów przestworza strugami krzyczących błyskawic, rozszalej się orkanem, co góry piasku pod niebo rzuca, rozpioruń się grozą Jehowy, gdy ze Synai swe gromy ciskał: Jam jest Pan Bóg Twój.

Już słyszę wściekłą wichrzycę skrzydeł tej pieśni, już kłębi się orkan jej mocy w moich żyłach, już prężę się, rosnę, wybiegam głową w niebo, już pękają fale, już przebłysk bezgranic, już oddech wieczności, już...

Daremnie! Zanikło!

Jak robak toczyłaś mój tron królewski, toczyłaś bezustannie, toczyłaś aż chwiać się począł, zadygotała na mej głowie królewska korona, a razem z mym tronem Cezarów runąłem na ziemię: strzępy i łachmany, to moja purpura...

Zimnym blaskiem zagasłych słońc więdnieje Twe oblicze, na twej głowie wieniec zwiędłych kwiatów, a w słabej muszli perłowej mej niemocy płyniesz w ciemną dal wiecznych cieni i bezsiły, Ty straszna piękności, co jest nad wszechpięknością.—

Tęsknoto Ty.

S. Przybyszewski.

PÓJDĘ JA TEDY...

... Pójdę ja tedy ową życia stroną
Z pod niebios moich żałobnego kiru,
Tam, gdzie przy drodze polne róże płoną
W powietrzu, pełnem ciszy i szafiru.

Pójdę ja tedy letnich gwiazd godziną
Na ścieżki wiejskie, pomiędzy opłotki,
Między zagrody, hen — przez łąkę siną
W bladoróżowe przetkaną stokrotki...

Pójdę za duszą, zgubioną przed laty,
Pójdę ku gwiazdom, gdy w zachodzie błyszczą;
Wielką, bezsenną tęsknotą skrzydlaty,
Błędny wizjoner snów, co się nie ziszczą...

A nad straconym w lazurowej głuszy,
Gdy noc się srebrnem marzeniem rozjaśni,
Zobaczę może widmo mojej duszy,
Wołające mnie do siebie — w kraj baśni.

A. Ćwikowski.

NIE WIŃ MIĘ...

Nie wiń mię — jam jaskółką samotną, zbłąkaną
W gotyckim, wielkim tumie bijącą skrzydłami
O sufit, co ją modrą barwą nieba mami
A straszy zimną, martwą, granitową ścianą.

O witraże, gdzie święte z białemi liliami
Chylą głowy w pokorze, poddaniu tęsknocie,
Ranię piersi w bezsilnie obłąkanym locie,
Łudząc się, że wysoko krążę, nad chmurami...

Nie wiń mię — ja mam duszę szaloną i młodą,
W którą mroki rzucono i ognia zarzewie,

Słodycze i trucizny, i dusza ma nie wie,
Czy ma być winnem gronem czy wilczą jagodą.

Nie wiń—smutku szatani w noc czarną powiodą
Dziecko światła, i w ciemni wprowadzą podwoje...
Widzisz—taka pokorna dziś przed tobą stoję—
O, nie wiń!

M. Czerkawska.

PŁACZ.

Rzekłem: niewieście nie dam serca,
Bowiem jej miłość drogi plącze,
Wolę wysysa, czyn uśmierca,
Myśli zabija rącze.

Rzekłem: zamknięte będą wrota
Przed tą co niszczy i zatraca—
Przeklętą będzie ta tęsknota,
Co ku niej oczy zwraca.

Pustka niech będzie przed nią głucha
I wieczny mrok i dróg zawiłość,
Aż ukrzyżuje noc jej ducha
I skona grzeszna miłość.

Lecz ona przyszła do mnie—zaczem
Już bezdrożami pędzę za nią—
W mrok, w dal—jak dziecko, pędzę z płaczem
Za tą okrutną Panią.

F. Gwiżdż.

Z CYKLU „W OGRODZIE“.

W haremie tęsknot samotna dziś błądzę,
Spragniona świeżych ust, krwi i gorąca,
Z pod kwiatów senną wygrzebałam rządzę
I patrzę smutnie w pobladłą twarz słońca.

Wieczór nadchodzi fioletową chmurą.
Nie patrzcie na mnie dziś oczy bratkowe.
Czemu oblewasz się wstydu purpurą,
Różo, i schylasz w dół królewską głowę?

Odwróć odemnie twarz, daturo blada,
Blade zdziwieniem narcyzowe twarze,
Noc idzie, noc... Nie patrzcie—noc zapada:
Dziś jeszcze zwalić chcę moje ołtarze..

Cicho—to smutny wieczór... Wzrok przesłania
Jakieś krwi morze i iskier migoty.
Napróżno tłumię rozpaczliwe łkania
Napróżno tłumię wielkie łzy tęsknoty.

Cicho—to smutny wieczór... drżące dłonie
Z niemem błaganiem wyciągam nad kwiaty...
Tęsknię... To smutny wieczór... Zachód płonie,
We łzach się łamią złota i szkarłaty.

To smutny wieczór... Z białego kielicha
Woń się wznosiła mgłą lekką, błękitną...
Wiesz,—kto raz w życiu tą wonią oddycha...
Prawda—te kwiaty dzisiaj już nie kwitną.

Wiesz—ten ostatni zmięłam własną dłonią,
Biały, przeczysty, cudny kwiat—wspomnienie...
Wiesz, kto raz w życiu oddychał tą wonią,
Nigdy już...—Cicho. Idą nocne cienie.

Z. Rygier-Nałkowska.



WYJĄTEK Z WIERSZA „DO LEGIONÓW“.

Co za widok wspaniały uderza me oczy!
Tam, gdzie Erydan nurty lazurowe toczy,
Gdzie Gallów z Germanami Ren dzieli szeroki,
I gdzie Tyber skrapiając Scypionów zwłoki,
Zazdrośny sławy Rzymu, w swem łonie głębokiem
Ukrywa twórcze dzieła przed najezdcy okiem,
I skąd niesyty niegdyś i sławy i danin,
Jednym berła — a drugim słał pęta Rzymianin,
Który dla swych widoków i wojennych trudów,
Nie znał innej granicy na pokorę ludów;
Gdzie potem, na Trajanów i Tytusów tronie,
Siadłszy święty rybołów w troistej koronie,
Ze schodów marmurowych, nakształt majestatu,
Dwa palce, zamiast berła pokazywał światu*);
Gdzie bystry Dunaj, świadek tylu krwawych bojów,
Niesie morzu daninę krajoróżnych zdrojów,
I gdzie Wulkan z swej paszczy czarną lawę ziewa;
Wszędzie sztandar zwycięski Sarmatów powiewa;
A wśród ojczystej mowy, stroju, obyczaju,
Zda mi się, że na łonie mego jestem kraju;
I nie prędzej to słodkie omamienie ginie,
Aż gdy wzrok mój po obcej zapuszczę krainie.

Liczbą zbrojnych przychodniów mieszkaniec zdziwiony,
Trwożnem okiem przebiega obce legijony;
Jakie ich przedsięwzięcie, jaki zamysł, bada,
Sam siebie zapytuje i sam odpowiada:
— Może umysł napadów albo zwycięstw chciwy,
Nowych wiedzie Attylów na Auzońskie niwy?—
Nie! To naród szlachetny, łagodny, spokojny,
Zawsze był mężny w boju, lecz nie szukał wojny.
— Może klima niewdzięczne, chciwość lub potrzeba,
Zagnały tych wędrowców pod te szczęsne nieba,
Gdzie ziemia, co rok płodna, nie znając odłogów,
Lubym niegdyś pobytem była ojca bogów? —
Nie! Zamożny i w niwy i stada i trzody,
Ten lud inne odziewał i żywił narody!

---

*) Urbi et orbi.

Gościnny, dzielił z obcym dostatek krajowcem,
Lubił wspierać przychodniów, sam nie był wędrowcem.
— Może smutne Pergamu rzuciwszy zwaliska,
Nowi jacy Trojanie szukają siedliska,
Chcąc na wzór Eneasza nowem państwem słynąć?—
Nie! Przyszli za kraj walczyć lub za niego zginąć!

. . . .

Brzeg Auzoński za mały na wasze był czyny,
Sława was w odleglejsze wzywała krainy;
Kędy ojce szukały winy odpuszczenia,
Ich dzieci szły na hasło Ojczyzny zbawienia.
Tam, okryty laurami na werońskiem polu,
Dzienne rozkazy Polak dawał z Kapitolu;
I gdzie bagna pontyńskie dech zabójczy zioną,
Wszędzie widziano ziemię krwią jego zbroczoną!
Walcząc mężnie na polach nowej Partenopy,
Utkwił sztandar Sarmacki na krańcach Europy.
Tam obiegłszy zwycięskim krokiem okolicę,
Zdobił w pamiątki męstwa niewdzięczną stolicę*).

Może kiedyś życzliwsze od swych ojców plemię,
Patrząc na sholdowane i ludy i ziemie,
Na zwycięskich w swym grodzie znaków skład bogaty:
Wspomni imię z wdzięcznością mężnego Sarmaty.

C. Godebski.

*) Generał Kniaziewicz złożył na uroczystem posiedzeniu Dyrektoryatu w Paryżu chorągwie neapolitańskie.



SZTURM DO OKOPU ODPARTY.

Warczą kule w powietrzu—śmigają granaty—
Jeden wpadł do okopu—kręci się i pęka—
Zamięszanie—tam kadłub—tu noga— tam ręka—
Tu ratują—tam z trupa krwawe ciągną szaty.

Na wale znów windują do góry armaty,
Pod śpiżu ciężarami ziemia gnie się miękka—
Zwindowali—nabili—i kanonier klęka
I celuje—on pomści krawawej mężnych straty.

Już lont swój zapalony drugi w ręku trzyma,
Przyłożył—strzelił—dym się zkłębił, wzniósł i znika,
Ale co za krzyk! wróg się do szturmu pomyka.

Śmierć lub odparcie—innej nadziei już nie ma.
Za broń!.kartacze w działa—śledzim go oczyma—
Ognia wszyscy!—wał urósł z trupów najezdnika.

S. Garczyński.

DO SMUTNYCH.

Czemu płaczecie?! czyż tu na tej ziemi
Doznali ludzie kiedyś lepszej doli?
Czyż wy myślicie, że łzami waszemi
Odpłynie od was to wszystko co boli?
Czy wy myślicie, że szczęśliwsi pono
Ci, krórym życie to uśmiechy daje?...
One przed światem są tylko osłoną,
Gdy w głębi serce im się z bólu kraje.
Ci co naprawdę w życiu nie cierpieli,
Nie zazdrość dla nich—lecz politowanie,
Bo łza oczyści i łza wyanieli...
Ci co nie płaczą, cóż z niemi się stanie?
Biada tym duszom, co tu nie płakały,
Uschną jak kwiaty, co rosy nie miały!

J. Podhorska.

NOCE.

I.

Ciche noce, rozpostarte
Wokół lekkim, mętnym puchem...
Słuchaj tylko: nieotarte
Łzy w powietrzu płaczą głuchem.

Ciche noce—ty na wartę
Grobów białym lecisz duchem
Przez Milczenia, rozpostarte
Wokół lekkim, mętnym puchem.

Ciche noce, obwiedzione
Załamanych rąk łańcuchem...
Przez Milczenie, rozpostarte
Poza świata drugą stronę,
Ty na świętą lecisz wartę
Krwawem sercem, białym duchem.

II.

Nie wiem, czy mi mówić wolno,
Bom Milczenie przysiągł Bogu
Krwią nabrzmiałą bryłą rolną
Ledz u jego świątyń progu.

O, mieć ręce cierniom głogu
Na łup dane i pokutę...
A mieć wargi stalą skute,
By ich nie dać Słowu-wrogu.

Dziwnie śmiele—dziwnie śmiele
Człek po świętych cisz kościele
Krzyczy swoje marne skargi,
Lepiej ręce rozpostarte
Słać na Milczeń wielkich wartę
I mieć stalą skute wargi.—

B. Butrymowicz.



DO POLEK.

Polki! czcią zdjęty—wasze-m wspomniał imię,
W niem jakiś urok czarodziejski władnie.
Nie zawsze dzieła zachwycą olbrzymie,
A cnoty wasze do łez wzruszą snadnie.

Otwórzmy księgę, niech ludzkości dzieje
Waszych dobrodziejstw wykryją nam drogi.
Niech stanie świadkiem sierota, ubogi—
I ten zwątpiony, co znów ma nadzieję.

Domowych czynów gdy spadnie zasłona—
Stanie dziewica, lub matka, lub żona,
A wszystkie—cnoty spełniają domowe.

Jesteście szczęściem, a nigdy żałobą.
Chlubą będziecie naszą i ozdobą,
Kochając wiarę praojców i mowę.

S. B.

MILCZĄCY LUDZIE.

Srebrne strzałki, rzucone na ciemne tapety
w zapełnionej lustrami weneckiemi sali...
pośród luster ze ścian się zwieszają kinkiety;
szereg lampek żarowych w barwnych szkłach się
pali.
U stropu kryształowy pająk elektryczny...
Na stole różne cacka:—smok: oczy z emalii,
głowa wilka...—i rycerz: miecz, usta z korali...
Obok figurki z bronzu roboty prześlicznej.

W klatce złota papuga na kółku się kręci...
W rogu sali ogromne weneckie zwierciadło,
w niem druga sala: rycerz—ów smok z głową wilczą
i papuga...
W fotelach grono gości siadło,
milcząc, patrzą na siebie, sztywni, uśmiechnięci:
Wszystko już przemyśleli i przeżyli—milczą...

J. Nawrocki.

JESZCZE...

Błękit i błękit nieba i fal... Złote runa
Chmurek wiszą w przestworzu. Na modrym krysztale
Wody iskrzy się srebro słońca. Jakie dale...
Czuć aromaty wiatru, wieczoru zwiastuna.

Schodzi słońce, błękitów król w purpury chwale:
Fiolet owiewa wzgórza, zachód krasna łuna,
Czerwienieje ogniście woda srebrnoruna,
Ciemnieją, w bronz kipiący zmieniają się fale.

Ostatnie blaski gasną na wodzie i niebie,
Noc. Wulkan tylko gore. W naturze drżą dreszcze,
Czarne morze skrwawione trwożnie się kolebie.

Wulkan wre. Kipią żary piekielne, złowieszcze;
Otchłań morska w pożarze! Swiat wyraz dał z siebie.
Kraso, grozo, potęgo, mało jeszcze! Jeszcze...

K. Lubecki.

GOŚĆ.

Szkolne zetknęło mię z nim życie,
Najlepszym zawsze był kolegą;
Odpisywałem pensa jego,
A podpowiadał—znakomicie.

Ileż to razy z ciężkiej biedy,
Gdy wszelka znikła już otucha,
On zręcznie wyratował drucha!
Ach! jak ja go kochałem wtedy!

I dzisiaj, przysiądz śmiało mogę,
Sympatyę równą żywię szczerze,
Tylko... że lęk mię pewien bierze,
Gdy mi ten człowiek wejdzie w drogę.

Grzeczność dlań wstrętna niesłychanie;
Naprzykład: rozumuje chytrze,
Że chociaż z błota nóg nie wytrze,
Posadzka w miejscu pozostanie.

Ledwie się zjawi, strach mną miota.
— Jak się masz?—witam go uprzejmie.
— Rozgość się!—Także coś... Nie zdejmie
Za nic na świecie paletota.

Że zaś przybywa niegolony,
Że jego kołnierz i manszety
Mogłyby świeższe być... Niestety!
Fakt, zapytajcie mojej żony.

Mniejsza i z tem; lecz gdy w rozmowie
Na temat kobiet zejdzie nagle,

Zuchwalstwo wtedy dmie mu żagle,
I siedzi afront w każdem słowie.

Bywa też czasem zbyt łaskawy,
Szkolne mi dzieje przypomina:
W opowieść—karcer, klęczki, trzcina,
I gorsze jeszcze wchodzą sprawy.

Przygryzam wąsy; żonce bowiem
Zataić chciałem te szczegóły...
Ach! potop jego wspomnień czuły,
Nieraz przypłacić muszę zdrowiem.

Zakończył wreszcie! Chwała Bogu!
Lecz lada słówko go podnieca:
— Ach! prawda, jeszcze jedna heca!
Oto zatrzymał się u progu!

I znów per longum et per latum,
Jakąś mi płochość wypomina,
Przeszło godziny pół,—godzina,
Znikło nareszcie moje fatum.

Na biurku praca rozpoczęta,
Błagalnie ku mnie patrzeć zda sie...
Siadam,—daremnie... po niewczasie...
Niech go tam wszystkie elementa!..

Z gniewem się w głowę skrobie sługa,
Gdy na posadzkę wzrok jej padnie:
— To błota nakładł mi szkaradnie,
Że się i rydlem nie dostruga!

Najmniejsza jeszcze rzecz z posadzką;
Ale co brzydki ów niecnota
Na mnie samego nakład błota,
Przez gadatliwość świętokradzką!...

Ach! drżę przed moją panią miłą,
I z trwogi mi się słowa mącą,
Kiedy zapyta z minką drwiącą:
— Przyznaj się, jak to, co to było?

S. Rossowski.

OAZA.

Woń, blask, motyle, jak nad kwiatów wazą!
Przez kryształowe przelewa się stropy
Słońce i sztuczną owłada oazą—
Wid czarodziejski, czy gaj antylopy?

Ciepło i tkliwie. Pierś wziewa haszysze,
Tu mię Bóg lodów gnębić nie ma prawa!
Tchnieniem zefiru trawa się kołysze,
A pod drzew stopy ściele się murawa.

Tam, z za pni śmigłych, srebrny zdrój kaskady
Zaklęty w półsen, gędzie tajemniczo
Swą melodyjną baśń Szecherezady.

I tak muzyką pieści rozemdlałą,
Że głos katuszy zamarł jej słodyczą,
A dzwonem wspomnień serce bić przestało...

C. Jellenta.

PRZECZUCIE...

Przeczucie pieszczot bije w serce żarem,
Łuną twarz moją powleka—
Krew mą zapala wizji pożarem—
Idę—kochanek mnie czeka...

Bledną mi lica, we krwi szumi fali
Dzikie wezwanie pieszczoty—
W oczach mi gorze, świat mi się pali—
Pragnień się wije tłum złoty...

Po zbladłej twarzy łza ścieka sperlona,
Chłoniesz ją cichy, pijany—
Drżę od rozkoszy w twój uścisk wtulona,
I śnię..
Dzień świta wiośniany...

Liliana.

Z CYKLU „MIŁOŚĆ“.

— Stój!.. za mną przepaść, klątwa i zniszczenie!
O moje czoło strzaskasz dumną głowę,
O moje piersi strzaskasz sny tęczowe...
Patrz—za mną błądzą ofiar moich cienie...

— Ktoś ty? mgieł czarnych złowrogie wyśnienie,
Kształty nieznane, tajemne i nowe?
O nie... ten uśmiech... piersi marmurowe...
Ktoś ty? kobieto?!..

— Jam złego nasienie...
Jam była, zanim słońce światłem trysło
I tęsknym splotem ogarnęło ziemię,
I barw tysiącem w tęczę się rozprysło...

Jam truła wiecznie sny przeczyste, ciche,
Przekleństwem było mej rozkoszy brzemię...
. . . .
Jam była, zanim się zrodziła Psyche...

T. Nalepiński.



POWĄZKI.

Jesienny, brudny, szary zmierzch. Już kona
Ostatnia światłość dzienna. Napojona
Mrokami nocy wstaje z mogił łona
Istot umarłych rozpacz nieskończona.

I straszna pustka przez te groby idzie
W śmierci szyderczej grozie i ohydzie,
W nagich piszczeli cynicznym bezwstydzie—
Do mego serca przez te groby idzie.

Jaką nam łuną winno goreć życie,
W jakich upojeń nurzać się błękicie,
Aby rozświetlić tę noc, która skrycie

Do nas przypełza i już niedaleka
Kopie swą otchłań!... Ale nam ucieka
Życie, jak sen, choć tylko śmierć nas czeka.

L. Bruner. (Jan Sten).



LEGENDA.

Kiedyś—dawno już temu—żył sobie rybak na świecie
Stary i biedny, biedny!.. Nic nie miał prócz wątłej sieci
I czółna... mieszkał sam jeden w chatce lichej u morza...
Często cierpiałby głód, gdyby nie łaska Boża—
Codzień w sieci znalazło się rybek przynajmniej tyle,
Że miał co jeść, a w niedzielę mógł odpocząć na chwilę...
Niegdyś ojcem on był—lecz siódmy już prawie rok minął,
Jak mu jedyny syn gdzieś na morzu bez wieści zginął.
Raz więc staruszek ten cały tydzień nie był na brzegu,
Bo też od kiedy żył, nie pamiętał wiatru takiego—
Wył dzień i noc... A tu i ryby nie stało i chleba...
Nie jadł już drugi dzień... Nareszcie Pan Bóg spojrzał z nieba
Na morze... Ucichł wiatr i piękna wróciła pogoda...
Rybak na brzeg... do czółna!.. przepadło!.. uniosła je woda!..
Biedny jak ściana zbladł i w rozpaczy załamał ręce...
Teraz już pewny głód i śmierć po długiej strasznej męce...
Więc jęknął: „Otóż Bóg wszystkiego mnie w życiu pozbawił,
Syna, chleba i sił... starość tylko i śmierć zostawił!“
Mówiąc to, wziął kamyczek—i sam nie wiedząc co robi

Uderzył go i rozbił—aż patrzy: siedzi tam sobie
Muszka drobna jak mak... Wtem zjawia się mu anioł w bieli,
I słyszy cudny głos, jak śpiew najpiękniejszy w kościele:
„Jeżeli Bóg nie zapomni muszki drobnej w kamyczku,
„Gdzie jej nie dojdzie nic, nawet słońce w jasnym promyczku,
„To nie zapomni on i o tobie... Ufajże Jemu,
„Módl się i wierz!“ I zniknął... Polały się łzy biednemu,
Westchnął, pobożnie kląkł... gorąco pomodlił się Bogu...
Skończył... do domu czas... Zbliża się... patrzy... syn w progu.

Ł. Sowiński.

SZEKSPIR.

Stary orle poezyi, coś głową zuchwałą
Trącił gwiazd—gdzie wieszcz żaden dzisiaj nie dolata,
Coś z dzieł swych stawił pomnik dla podziwu świata,
Boś poznał serce ludzi, jak Fidjasz ich ciało:

Tyś, ni jak Dant, sięgając za olbrzymią chwałą,
Trudnem badaniem sztuki młode oddał lata,
Ni jak Bajron żeglował po przestworach świata,
Gdzie mu słońce Italii i Grecyi jaśniało;

Tyś sobie wszystko winien— z myśli twych chaosu,
Jako Mojżesz ze skały—tyś wylał te rzeki
Z poezyi, których fale popłyną przez wieki!

Tyś z własnej piersi dobył potężnego głosu,
Którego echo brzmiące harmonijną burzą
Najdalsze pokolenia na klęczkach powtórzą.

K. Gaszyński.

NIEULĘKNIONY.

Słońce wstało łzą krwawą ziane mając lice,
I niebo czarne groźną wróży nawałnicę.
Na wozie wiatrów obłok od północy płynie,
A chmur seciny, jego nieznużeni gońce,
W ciemne zasłony kryją zakrwawicne słońce,
I resztę światła niebios wydarły dolinie.

Na górach, które siwe wierzchołki wyniosły
Nad świata burze i pogody świata,
Wiry śniegów żeglują powietrznemi wiosły,
Jak powiewna skał dzikich wzlatująca szata.

Strzeliły gromy; śmierci oblane płomieniem
Niebo, gniewne na ziemię obróciło oczy,
Człowiek, ów dumny robak, uklęknął ze drżeniem
I wzrok nieśmiały po niebiosach toczy.

Lecz był jeden, co gardził światem i zniszczeniem,
Nięzlekłem okiem patrząc w pioruny i burze.
Ten poszedł, stanął na wysokiej górze
I świat powolnem obwinął wejrzeniem.

Trzeba go było widzieć!—Nad burze i gromy
Wzniósł wzrok posępny, groźny, nieruchomy.
Kiedy bił piorun on nie zmrużył oka,
A kiedy błyskawicą niebo się rozdarło
I zajaśniała przestrzeń bezdenna, głęboka—
On powolnie źrenicę wiodąc obumarłą,
Wzrok przenikliwy zatopił w niebie
Jakby przed śmiercią, za życia jeszcze
Chciał tam upatrzyć miejsce dla siebie.

Warknęły burze, lunęły deszcze,
Stał nieruchomy i śmiech szatana
Usta mu krzywił zsiniałe.
Niebo się nad nim trzaskało całe,
Ziemia się chwiała ogniem oblana,
On stał jak posąg, nie drżał, nie jęknął,
Przed gniewem bożym nie klęknął.

Ucichły burze i już zdaleka
Chmur czarnych wojsko ucieka,

I słonce jakby w poranku,
Błysło w obłoczków pozłacanych wianku...

On spojrzał znowu wokoło,
Ścisnął usta, zmarszczył czoło,
Pytał się nieba czy koniec burzy,
Czy się więcej nie zachmurzy?

Czy już po wszystkiem? Potrząsnął głową,
        Spojrzał na ziemię, na ludzi, domy,
Drzewa zielone, skał szatę płową,
        Spojrzał i stał nieruchomy.

Rzucił wzrok niżej—przepaść milcząca,
        Łakome paszcze rozwija,
I potok szumiąc z góry się strąca,
        Czarna go bezdnia wypija.

Długo tak, długo, błędny wzrok toczył,
        Dołem po ziemi, górą po niebie,
Wtem spojrzał w siebie—przeląkł się siebie,
        Zadrżał i w przepaść skoczył!

J. I. Kraszewski.

MAM WIARĘ.

Mam wiarę, mam, że zduszę Ból, co jęczy
Wśród czarnej nocy serca człowieczego,
Rozpalę w niem promiennej blaski tęczy
I wzniosę cisz pogodną pieśń do niego.

Mam wiarę, mam, że smutne ludzkie twarze
Rozjaśnię rannem tchnieniem duszy mojej,
Wwiodę mój lud przed jasne gdzieś ołtarze,
Gdzie łzy obeschną, ból serc się ukoi.

Mam wiarę, mam, że złamię ludzką nędzę,
Bo o tem mi marzenia w snach mówiły,
Że ujrzę lud mój w szczęściu i potędze—
Marzenia me, o siły wam, o siły!

K. Woyczyński.



A. E. Odyniec.

BRANKA LITWINA.

B a l l a d a.

„No, no! Laszko dość jęku!
Nie płacz, nie mdlej w mym ręku,
Wszyscy na koń już wsiedli,
Wszyscy brańców powiedli,
Jaż mam z tobą czas trwonić,
Bym ich nie mógł dogonić?
Czy cię zabić, bym z bitwy
Z niczem wrócił do Litwy?

„Nie, nie! prosisz daremno,
Żywa musisz iść ze mną.
Dalej! śmiało! siądź w podle
Na słomianem mem siodle!
Bystry koń mój ze Żmudzi,
Swym cię biegiem nie strudzi;
A przed wiatrem na łonie,
Wilczą burką osłonię.

„Dalej, sercem ochoczem!
Nie masz płakać tu po czem.
Patrz, twój piękny dwór biały
W ogniach stoi już cały.
A ów Laszek twój młody,
Co na koniu w zawody
Chciał cię unieść przedemną,
Chciał obronić daremno,
Wierz mi, w zimnym swym grobie
Nie zatęskni po tobie.

„Patrz-no, patrz-no! jak zbladła!
Jak nieżywa upadła.
Żal jej brać mię zaczyna,
Taka piękna dziewczyna!

No, przyjdź tylko do siebie,
Sam dbać będę o ciebie.
Ponad brzegiem Zejmiany,
Mam ja zamek drewniany,
Pełne grunta, i pełny
Spichrz kądzieli i wełny.

„Tam nie będzie ci smutno:
Przez dzień będziesz tkać płótno,
Wieczór w gronie swych dziewek
Przędząc, słuchać ich śpiewek.
A jak syn mój jedyny,
Wróci z pruskiej krainy,
Któż wie, gdy cię polubi,
Może nawet zaślubi.

„Mało równych mu w Litwie,
I na ucztach i w bitwie.
Nie dziewczyna, nie gaszek,
Jak ów piękny twój Laszek.
Wzrost jak dębu wyniosły,
Cały czarno zarosły,
Wzrok jak gdyby Perkuna,
Błyska ogniem pioruna,
A niech zginę, gdy kłamię!
W ręku sztabę rozłamie.

Ho! już płakać przestała!
Ogniem płonie twarz cała;
Czy dziękujesz, czy prosisz!
Że tak w niebo wzrok wznosisz?

Zkąd z tak nagłym pośpiechem
Siadasz na koń z uśmiechem?
„No, no, przytul się do mnie,
Zarzuć ręce koło mnie,
Tak, tak,—teraz już mogę,
Ptakiem puścić się w drogę.

Zkądże znowu to drżenie?
Co tak patrzysz w płomienie?
Cóż że jedziem koło nich?
Wszak nie wepchnę cię do nich.

„Ha, ha, stój, stój, zuchwała!
Z konia mi się zerwała;
Lecz nie ujdziesz pogoni,
Lub cię strzała dogoni!

„Ale gdzie ją strach zienie?
Czekaj, nie leć w płomienie!
Przez Perkuna nic tobie
Za to złego nie zrobię!

Ani słucha, szalona!
Leci wzniosłszy ramiona,—
Prędzej koniu, już blisko
Spiesz, nim wskoczy w ognisko!

Spiesz!—lecz gdzież się podziała?
Ha! to suknia jej biała,
W pośród gruzów zwalonych
Miga w ogniach czerwonych!

„Jakem Litwin, dziewczyna
Warta była Litwina.
Spaliła się,—a szkoda!
Była piękna i młoda".—

A. E. Odyniec.

KWIATY HELIOGABALA.

(Marmurowa sala—na niskich purpurowych sofach leżą biesiadnicy z złotymi puharami w ręku; wieńce płoną im na skroniach, a bukiety u piersi).

Róże na skroniach—w ręku puhary,
Tyryjskie łóżka pod nami!
Niech nam Dyoniz panuje stary
A Wenus poi wdziękami!

Zeusowi zagasł piorun w prawicy,
Mars poszedł w żołd kupidyna,
Cerber zjadł zęby!.. Hej niewolnicy!
Nuże!—Nalejcie nam wina!

Dawno umarła już republika
Ze swoją grozą i cnotą!..
Dziś każdy wesół—każdy wykrzyka:
Ewoe! Wino i złoto!

Boski nam Varius rządzi łaskawie,
Puzony zmilkły wojenne,
I dziś łowimy w hucznej zabawie
Pieśni i wonie wiosenne!

Grecy nam pieśnią oddają chwały,
Róże nam kwitną u łona,
Wino się pieni, jak nurt o skały,
W czeluściach gardła nam skona.

Krasne dziewczęta na naszem łonie
Dają pić z siebie nektary,
Więc górą wino i kwietne skronie,
Wenus i Bachus nasz stary!

(Sufit się roztwiera i zaczynają spadać kwiaty.)

Cóż to? sklepienia złote arkady
Rozwarły swoje wierzchołki?..
Spadają kwiatów tęczowe grady...
Jaśminy—róże—fiołki...

Na nasze nędzne łona i twarze
Wonne spadają równianki...

Myśmy niegodni, boski Cezarze.
Łaskawej tej niespodzianki!

Wonią zasiałeś całe powietrze
Dla swoich wiernych poddanych—
I więzy na nas kładziesz najletsze
Z fiołków i kwiatów różanych!

Jowisz bez braku sypie na ziemię
I złe i dobre swe dary:
Słońca promienie—piorunów brzemię—
Piołunny jad i nektary!

Człowiek się ciesząc łaskawym darem
Goni za łatwą zdobyczą—
To też się rzadko poi nektarem—
A częściej poi goryczą!

Cezarze, tyś jest większy niż Jowisz,
Ty z boskich darów wiośnianych,
Co najlepszego tylko ułowisz,
Tem karmisz swoich poddanych!

Więc na kolana!—Za tyle łaski
Pochylmy głowy i twarze,
I czołem złote zmiatając piaski,
Wołajmy: Żyj nam, Cezarze!

(Kwiatów spada coraz więcej.)

Ciągle przez otwór w złotej powale
Kwiatowe leją się deszcze!
Lilii śniegi—róży korale—
O! Jeszcze kwiatów—o jeszcze!

Dosyć już, dosyć! Wonne równianki,
Już napełniły pół sali...
Pełno narcyzów, róż, macierzanki,
Jaśminów, rezed, konwalji!..

Całe powietrze w woń się zmieniło—
Brak nam tchu—bledną nam twarze...
Dosyć już kwiatów... nadto nam miło...
O!.. Dosyć... dosyć, Cezarze!

Zanadtoś łaskaw... Twa niespodzianka
Zanadto wielka... Bassianie!
Dusi nas każda kwiatów równianka...
Wkrótce tchu w piersiach nie stanie!..

Cóż to? Przez otwór w złotej powale
Wciąż kwiatów leją się deszcze,
Lilji śniegi, róży korale...
I jeszcze... jeszcze .. i jeszcze...

Zapach jak kamień piersi nam tłoczy—
Ogniem wulkanią się skronie—
Mgła jakaś czarna zasuwa oczy...
Oddechu!.. Kwiaty!.. Ha!.. Wonie!...

Zęby nam strachem przedśmiertnym dzwonią,
Oh! Jak okropne skonanie!
Tyran... nas zabił—kwiatem i wonią...
Oh!.. Bądź przeklęty... tyranie!..

B. Czerwieński.

CICHA.

Ty nie tul do ust ręki mojej,
Bo nie wiesz, ile ta pieszczota
Goryczą serce moje poi,
Jaki żal duszą moją miota.

Dla ciebie zwyczaj to bez treści,
Który wypełniasz obojętnie,
Lecz co innego w nim się mieści
Dla mnie, co kocham cię namiętnie.

Lecz kryć się z tem i milczeć muszę,
Bo wyrok świata na niemotę
Nas skazał, choć nam dano dusze
Zdolne czuć miłość i tęsknotę.

Ty nie wiesz, wzrok twój nie dostrzega,
Ani zrozumieć jesteś w stanie,

Jak tęskno oko me wybiega,
Źrenicy twojej na spotkanie.

Że niby więzień, co z za kraty
W smudze lazuru tonie okiem.
I na nią składa marzeń światy,
Ja żyję tylko twym widokiem;

Że głos twój na me serce działa,
Jak najpiękniejszej ton piosenki,
I że tak bardzo, takbym chciała
Przycisnąć usta do twej ręki.

I żal mię bierze, iż wam życie
Wszystkie puhary hojnie chyli,
Nawet to, czego nie cenicie,
Jak towarzyski ten przywilej.

Komu się pienią ust kielichy,
Niech bierze całus ust płonących;
Całunek ręki, to hołd cichy
Serc beznadziejnych i tęskniących.

Więc go zostawcie nam, w mogiły
Niosącym uczuć tajemnicę,
Niby kosztowne kruszcu bryły,
Skryte w głąb ziemi gdzieś w ciemnice.

Tym kwiatom którym los zazdrosny,
Nie dał rozkwitać w blaskach słońca,
Dajcie choć jeden powiew wiosny,
Choć jeden srebrny błysk miesiąca.

Więc nie nieś do ust mojej ręki
I niech się serce nie rozżala,
Niech głosu twego drogie dźwięki
Pieszczą me ucho tylko zdala.

Ja się przed ludźmi zdradzić boję,
Bo nuż mi kiedy łzy z ócz trysną
I mimowoli usta moje
Do ręki twojej się przycisną.

Adam M skl.

BALLADA JAKICH WIELE.

Miało raz serce zstąpić w grób,
W głęboki, i na zawsze,
Bo po szeregu krwawych prób
Nadeszły nań nąjkrwawsze.

A ukochało ono świat,
Zwłaszcza zaś inne serca,
Jakich trucizna ludzkich zdrad
Tak łatwo nie uśmierca!

Każde bo czuciem trwałem tli,
Gdy kocha, to—bez drwinek:
Wraz z zmarłem idzie w ciężkie dni,
Na wieczny odpoczynek.

Gdy więc to serce skrzepło już,
Serc innych cały szereg
Wnet uwił smutne wieńce z róż
I z żalów, i rozterek.

I do cmentarza szedł on bram,
W rozpaczy i żałobie,
By, łez wylawszy resztę tam,
W tym samym spocząć grobie.

Lecz już po drodze jął się rwać
Ten łańcuch serc tak długi,
Choć była tam serdeczna brać
I wierne jego sługi.

I było dużo dużo dziew,
Lejących łez niemało,
Dla których serce własną krew
Po kropli w pieśń zlewało.

Nad niemi, niby srebrna mgła,
Lśniła dusz czystych białość,
W których zaklęciu wiecznie trwa
I miłość serc, i stałość.

I tak się zrywał łańcuch ten—
Bo cóż się dziś nie zrywa?

Spadało wolno w przeszłość hen,
Po dwa, po trzy ogniwa.

Aż gdy, rzucając serce w dół,
Ktoś obcy klął złowrogo
Nad grobem, gdzie nić pająk snuł,
Nie było już nikogo.

Wówczas to serce drgnęło znów,
Bolem, co ze snów budzi,
I smutne poszło w świat bez snów,
Samotnem żyć wśród ludzi...

J. Waśniewski.

GDY UMRĘ.

Gdy umrę, chciałbym czuć, że w poprzek czarnej trumny
Twoje się włosy blond rzuciły falą w pył;
Że uśmiech twoich ust, ten uśmiech taki dumny,
Me imię szepcząc, zgasł, purpurę w żalu skrył.

Złotych od kwiatu lip, rozchwianych nad mogiłą,
Woń pszczelną chciałbym czuć, gęstwiny słyszeć szum...
Niechby ci wszystko to, co w sercu mojem było,
Powtórzył liści szmer do najtęskniejszej z dum.

A gdy w wieczorny zmierzch, od zórz do grobu darni
Przez łąki legnie szlak, od srebrnych białych ros,
Niechby ci wyraz ten, co w niemych ust męczarni
Na wargach moich drżał, z za światów przyniósł głos.
Niechby mnie senną mgłą, w miesięczną noc przeczystą
Ku tobie cicho zwiał omdlały wiatru prąd;
Niechby mnie w szumie lip rozkoszą jedwabistą
Zapachniał jeszcze raz twych złotych włosów blond.

M. M. Poznański.

O WRZEŚNI.

Tam od Gniezna i od Warty
Biją głosy w świat otwarty,
Biją głosy, ziemia jęczy:
— Prusak dzieci polskie męczy!

Za ten pacierz w własnej mowie,
Co ją zdali nam ojcowie,
Co go nas uczyły matki,
— Prusak męczy polskie dziatki!

Wstał na gnieździe Orzeł biały,
Pióra mu się w blask rozwiały...
Gdzieś do Boga z skargą leci...
— Prusak męczy polskie dzieci!

Zbudziły się prochy Piasta,
Wstał król, berło mu urasta,
Skroń w koronie jasnej świeci,
Bronić idzie polskie dzieci...

— Zwołajcie mi moje Rady,
Niechaj spieszą do gromady!
Zwołajcie mi moich kmieci,
— Prusak męczy polskie dzieci!

Wstancie sioła! Wstańcie grody!
Ruszcie z brzegów Gopła wody!
Bijcie dzwony od Kruszwicy,
Skroś Piastowej mej ziemicy!

Bijcie dzwony, bijcie serca,
Niech drży Prusak przeniewierca,
Niech po świecie krzyk wasz leci:
— Prusak męczy polskie dzieci!

Niechaj wiara moja stanie,
Niech się skrzyknie zawołanie,
Wici niechaj lud zanieci...
— Prusak męczy polskie dzieci...

Jan Sawa.



PALINGENEZA.

Przeminęły ostateczne
Tysiąc wieczne dni słoneczne.
Gorejąca—kula słońca
Zatraciła złoty żar.
Cały wszechświat życiem gwarny
W jakiś pomrok zapadł czarny,
Wszech-ogrojec planetarny
Zlodowaciał—zastygł—zmarł.

Jako w puszczy—w noc—szkielety,
Wokół słońca mkną planety
W wirze głuchej—zawieruchy
W nieskończony wieczny mrok.
Nie zawyją żadne gromy,
Kiedy w przestwór niewidomy
Płyną martwych ciał ogromy:
Zgasł lazurów jasny wzrok.

Wiekuista noc zapadła
Na błękitu fal zwierciadła—
Całunowa—bezczuciowa—
Ostateczna padła noc.
Żadna gwiazda nie lśni złota,

Żaden promień nie migota,
Nie drga żaden dech żywota:
Bytu przemian znikła moc.

Znikły tęcze—zorze—świty,
I zapadły ziemskie byty
W grób żywiołów—w proch popiołów—
W bezpotomny—nędzny pył.
Wysechł jezior błękit srebrny,
Zamilkł lasów szum gędziebny,
Zamilkł ptaków chór podniebny,
Zamilkł bój duchowych sił.

Gdzie są wyspy—lądy—morza,
Szczyty górskie—rzeczne łoża,
Gdzie są bory—gdzie potwory,
Które żyły wśród ich puszcz?
Gdzie świetlane duchów wzroki,
Gdzie są mędrce a proroki,
Gdzie Synaju szczyt wysoki,
Gdzie ognisty Boga kuszcz?

Gdzie są duchy te potężne,
Co sięgały w niebosiężne,
Nieujęte - w cień zaklęte
Tajemnicy wiecznej mgły?
Gdzie są te Prometeusze,
Męczenników wielkie dusze—
Prawd nie syte geniusze,
Co po gromy szły jak lwy?

Gdzie jutrzenki są majowe,
Usta dziewic purpurowe?
Gdzie uśmiechy—win kielichy,
Pocałunków słodki czar?
Marmurowe kolumnady,
Gdzie posągi? gdzie Iliady?
Trubadurów gdzie ballady?
Szczebiotliwej dziatwy gwar?

Nicość! Było ludzkie plemię.
Ale dość już! Opuść ziemię.
Podnieś czoło—spójrz wokoło
W hebanowych planet krąg.

W te oślepłe spójrz etery,
Zgasł błękitny wzrok Wenery
I księżyce Zeusa cztery—
I szkarłaty Marsa łąk.

Jak grobowa płynie urna
Trójpierścienny krąg Saturna
I księżyce—i mgławice
Ukrainnych planet dwóch.
Wirem płyną sarkofagi,
Gdzie śpi czasów szkielet nagi,
W noc okropnej Równowagi,
Która powstrzymuje ruch.

Jeszcze mgnienie tysiącletnie
Równowaga ruchy przetnie:
Lodowate—bezskrzydlate
Płyną cienie próżnych skrzyń.
Idzie noc Najuroczystsza,
Gdy wielkiego Zegarmistsza
Głos przemieni byt na zgliszcza,
Gdy zawoła światu: Zgiń!

Były niegdyś na tych światach
Wielkie ruchy w dawnych latach,
Co się rwały—w ideały,
W tajemnicy wieczną mgłę
Więc proroki—bohatyry
I kapłany śpiewnej liry,
Wielkie Danty i Szekspiry:
Dziś ich dusze—gdzie są—gdzie?

Nieśmiertelne bóstwa pyły,
Czyż się w nicość obróciły
W bezżywotny—bezpowrotny
Mogilniany—czarny głaz?
Czyli śpią ukryte ninie
W tajemniczej dusz krainie,
Jako pszczoła śpi w bursztynie,
By się zrodzić jeszcze raz?

Dalej—dalej w świat bez końca:
Za tem słońcem—inne słońca,

Ogniów żyły—planet bryły—
Dziś mogiły: wszędy grób.
W nieskończonej niebios dali
Kilka gwiazd się jeszcze pali,
Ale wokół naszej fali
Cały świat—jak jeden trup!

Takie straszne na mnie padło
Zagrobowych dni widziadło.
W tej przestrzeni—wiecznych cieni
Stałem—jak nicestwa pył.
Jako wichry mkną Eony
A w nich w przestwór niezmierzony
Niezmierzony—nieskończony
Zwolna idą cienie brył.

Świat—jak martwych ciał kopalnia.
Ruch się zwalnia—zwalnia—zwalnia:
Równowaga—byt przemaga,
Staje—staje... Ustał ruch.
Jako we krwi pulsów bicie,
W ostatecznych minut zgrzycie
Ostateczne zgasło życie,
Ostateczny zamarł duch.

Śmierci—śmierci! czyliż w tobie
Cel—i nigdyż na tym grobie
Nad popioły—już anioły
Nie uderzą w życia dzwon?
Chwila-wiek: zgasły bryły,
I zawisły tam gdzie były!—
Paraliżu głuchej siły
Nigdyż nie poruszy On?
. . . .

Naraz—naraz wśród przestworzy
Słychać jakiś dreszcz, co tworzy—
Jakieś tchnienie—jakieś drżenie,
Pełne świeżych wiatru wiań.
I ogromny piorunowy,
Niby nowy hymn odmowy,
Zabrzmiał wielki głos Jehowy:

„Stań się, świecie, większy stań“!

. . . .

A. Lange.

Z GWIAZDAMI CZUJĄC...

Z gwiazdami czując i z nocą zeswatan,
Spoglądam w duszy swej głębię tajemną —
I próżno patrzę gdzie Bóg, a gdzie Szatan —
Kto walczy przeciw mnie, a kto zaś ze mną.

Więc walczyć nie chcę, bo wierzyć przestałem
W zwycięstwa sławę i w dzień odrodzenia;
Dopiero śmierć swym potężnym chorałem
Uderzy w pierś mą, co zda się z kamienia,

Bo nic już teraz obudzić nie zdolna
W jej wnętrzu — pragnień, uczucia, tęsknoty,
Już nic z niej dźwięku wydobyć nie może...

Co było we mnie kiedyś jasne, wolne,
Zakułem w łańcuch błazeńskiej pustoty —
I sił już nie mam by sił pragnąć — Boże!

Mrok, co w słonecznej rozkocha się tcni,
I wiosna za mrozem tęskniąca —
Wicher, co z jękiem za ciszą wciąż goni,
I zima, co pragnie gorąca —
Człowiek, co swojem kochaniem dać może
Ból tylko i bezmiar niedoli —
Są jak te chmury, co lecąc w przestworze,
W podartej kochają się roli.

S. Gawiński.

Z KRWAWYCH DNI.

(Komuna paryska, w maju 1871 r).

Patrz, to Paryż! Przekleństwo cisnęły nań losy,
Na ulicach wre walka szalona, zaciekła,
Z zastępami żołdaków bije się tłum bosy,
Rozwścieklone kobiety z rozwianemi włosy
        Biegają, jak furye z piekła.
Wszędzie rzeź i pożoga, mord, krew, jęk i wycie,
Brat w piersi brata topi ostrze zbójczej stali,
Matki tym śmierć zadają, którym dały życie,
A wróg, stojąc zdaleka, uśmiecha się skrycie
Z tych „ludzi czy też szakali?“.
Gmachy kilkowiekowe walą się na skronie
Starców, którzy już kilka pokoleń przeżyli,
Przeszłość się zamieniła w pochodnie i płonie,
Krwawo czerwonym blaskiem jaśniejąc przy zgonie
        Tych, co jej pożar wzniecili.
Gdzieniegdzie już zwycięstwo wojska nad ulicą
Ogłoszono zatknięciem „prawowitych“ znaków,
„Porządek“ zapanował nad całą dzielnicą,
Gdzieniegdziej jeszcze walka, jeszcze nawałnicą
        Napływa krew na żołdaków.
Na przedmieściach „legalna“ wzięła górę siła—
Ujętych z bronią w koło ustawiono duże,
Oficer po jednemu pod mur ich wysyła
Jeniec staje, broń pali i bezkształtna bryła
        Wali się w krwawą kałużę.
Już wszyscy—sta ich były,—odbyli swą kolej,
Jest tylko młode chłopię w podartej koszuli.
„Ktoś ty?“ spytał dowódca. „Wzięty do niewoli!“
„Jesteś wolny—nie twojej lituję się doli,
Lecz żal mi prochu i kuli“.
„Nie chcę—krzyknęło chłopię. Niech zginę, jak inni,
Kiedym walczył, jak oni i jak oni wzięty;
Jeślim winny, wiek młody mnie nie uniewinni
A jeśli ci, co tu polegli, niewinni,
Dlaczegoż ja mam być wyjęty?
Jeżeli jaką łaskę okazać mi chcecie—
Mam przy sobie zegarek i trochę pieniędzy,

Mam matkę, którą kocham nad wszystko na świecie,—
Pozwólcie mi to zanieść tej biednej kobiecie,
A potem wrócić coprędzej."
Poszedł. Krwawi oprawcy zostali pod ścianą.
Oficer pod wąsami zamruczył: „Nie wróci...
Gdyby jednakże wrócił... Ano,
To byłby znak widoczny, że go wychowano
Nie dla nas—dla rewolucyi!"
Wrócił... Stanął pod ścianą i dumnem wejrzeniem
Wezwał oprawców swoich do krwawej roboty.
Oficer krzyknął: „Strzelać" z pewnem w głosie drże-
niem,
Żołnierze niewolniczo za jego skinieniem
Podnieśli w górę szaspoty.
Śmierć spojrzała na dziecko wzrokiem luf dwunastu
I ołowiem nań z tyluż plunęło gardzieli...
Upadł... Żołnierze poszli... Rząd ogłosił miastu,
Że już buntowniczego niema więcej chwastu,
Że niema już wichrzycieli!
Niema ich... Czas zagoi wkrótce ranę świeżą,
A za lat kilkanaście znajdziemy sensatów,
Co z trójnoga swej wiedzy rzekną, że nie wierzą,
Iż Francya takich dzieci mogła być macierzą,
I matką tak nędznych katów!

W. Sabowski.



SMUTNO MI PANIE.

Smutno mi Panie na tej nędznej ziemi!
Odarty z siły, pociech i swobody,
Przebijam nieba oczyma łzawemi,
Czy tam weselszej nie znajdę gospody?
Bo tu, gdzie zwrócę oko me lub ucho,
Wszędy pustynię napotykam głuchą;

Bo przez ubiegłe od młodości lata,
O klucz do szczęścia pytałem u świata,
Lecz świat na moje nie odrzekł pytanie.
Aż potargawszy w ciężkim trudzie siły,
Gdy drżącą stopą dotykam mogiły:
Smutno mi, smutno o Panie!

Minęła wiosna wśród rajskich uniesień,
Lato swym skwarem znękało pielgrzyma,
Przeszła bez żniwa życia mego jesień,
I dziś mordercza przyciska mię zima.
Czyż sny młodości i złote nadzieje,
Zanim z nich burza wonny kwiat obwieje,
Po długiem życiu, choćby raz przed zgonem,
I najskromniejszym nie pocieszą plonem?
Czy w Twojem słowie święte zaufanie,
Z którem wychodzim w drogę życia śliską,
Wyjdzie wierzącym na urągowisko?
Smutno mi, smutno o Panie!

Dałeś mi serce i trochę zdolności,
Rychłom ku cnocie ramiona wytężył,
Zwiodłem walk mnóstwo z hydrą przeciwności,
Opierałem się—alem nie zwyciężył.
Próżno, młodzieńczym uniesion zapałem,
Echa mym czuciom wśród ludzi szukałem!
Próżno przez życia wzburzone bałwany,
Brnąłem sam jeden i niezrozumiany.
Są, którym zdolność, przyjaźń lub kochanie,
Snują nić złotą i w dojrzałych latach...
Lecz pocóż marzyć o powiędłych kwiatach?
Smutno mi, smutno o Panie!

Dar pieśni brzmiących jest potężnym darem:
To balsam z niebios na ludzkości rany;
Lecz ołowianym dar ten jest ciężarem,
Gdy śpiew o głuche rozbija się ściany.
Inny czas—innych śpiewaków powołał...
Ci, do serc których spiew ten trafić zdołał,
Stargani w krwawych a płonnych wysiłach,
Już od lat wielu drzemią po mogiłach.

Tak, z lutni wziętej pod dni mej zaranie,
Z lutni, w bolesnych rozstrojonej jękach,
Co się dziś w moich potrzaskała rękach,
Zwracam ci drzazgi, o Panie!

— Cóż to? cud stał się! Rozprysłe kawały
Lutni, moc jakaś w dziwne kształty klei.
Nieznane dźwięki z jej głębi zabrzmiały:
Słyszę hymn wiary, miłości, nadziei!
Jakaż potęga życiem ją natchnęła?
Dźwięcz lutni! wyższe opiewając dzieła,
I ogłoś światu boskie panowanie!
Pod wpływem blasku cudotwórczej tęczy,
Niech głos twój gromi, pociesza lub jęczy.
A ty skończ pieśń tę, o Panie!

F. Wężyk.

ARTYSTA DO KOBIETY.

Harfą mi jesteś! Pod mojem zaklęciem
Rozbrzmiewasz hymnu złotostrunnem brzmieniem,
I jesteś cała harmonii wcieleniem
I pieśni żywem źródłem i poczęciem.

Moc mam nad tobą! Mej ręki dotknięciem
Z pięknej cię czynię nieśmiertelnie piękną,
Że oto duchy szlachetne uklękną
W kornym zachwycie przed twem wniebowzięciem.

I wiedz: Czyś mi demonem, czy aniołem,
Kwiatem lotosu, czy cysterną szału,
Gdzie pragnień mnie i tęsknot ciągnie siła—

O pani ma i niewolnico społem!
Ja cię na ołtarz wznoszę ideału
I spalam własne serce, abyś żyła!

L. Szczepański.

DRZEM SOBIE DUSZO.

Drzem sobie duszo! Co ci do tego,
Że tam myśl czyjaś po niebie lata,
Że ktoś ciekawy początku swego,
Ze starych grobów kurze obmiata;
Woła do życia umarłych ludzi,
Jądro granitu myślą przewierci,
Wszystko obnaży, wszystko obudzi:
I z tego wróży—życie po śmierci!

Życie po śmierci? Drzem sobie duszo!
Czyż być to może, czego już niema?
Kiedy raz umrzesz — już cię nie wzruszą,
Łagodność Abla, ni złość Kaima.
Bo śmierć po życiu i śmierć przed życiem,
A między nimi maligny chwila:
To wszystko serca nazwano biciem,
To życiem zowią człeka — motyla!

Drzem sobie duszo! Co cię ma budzić
Oko dziewicy miłe, układne!
Trzebaż się palić — by potem studzić,
W dłoń szczerą chwytać dłonie obłudne?
Drzem sobie duszo!... Tybyś nie śpiąca
Spłonęła ogniem, od zimna skrzepła;
Tyś sama w sobie jasna, gorąca,
Tobie nie trzeba zimna ni ciepła!

Ty sobie możesz stworzyć co zechcesz:
Mar fantastycznych osnuć się wiankiem;
Ty, gdy przyrodę myślą połechcesz,
Milej ci, niż dziewicy z kochankiem.
Co ci do tego, że tam grom pali,
Że jesień wichrzy, lub śniegi pruszą?
Ty na promykach, zapachów fali,
W pieluchach marzeń — drzem sobie duszo!

E. Wasilewski.





M. Bałucki.

DLA CHLEBA.

Góralu! czy ci nie żal
Odchodzić od stron ojczystych?...
Świerkowych lasów i hal,
I tych potoków srebrzystych,
Góralu! czy ci nie żal?...

Góral na lasy spoziera,
I łzy rękawem obciera
I rzekł:—„Ha, darmo, kiej trzeba!
Dla chleba panie, dla chleba".

Góralu! wróć się do hal,
W chacie zostali ojcowie,
Gdy od nich pójdziesz w dal,
Co z niemi stanie się – kto wie?...
Czyż ci starych nie żal?...

A góral jak dziecko w głos płacze:
„Och może już ich nie zobaczę.
Ha, darmo paniczu, kiej trzeba!
Dla chleba panie, dla chleba“.

Góralu! nie odchodź, oj nie!
Na wzgórku u męki boskiej
Tam płacze dziewczę twe,
Uschnie z tęsknoty i troski,
Gdy pójdziesz—nie odchodź, nie!

On zwiesił głowę i wzdycha:
—„Oj dolaż moja, dola“—rzekł zcicha
„I dziewkę porzucić trzeba
Dla chleba panie, dla chleba“.

I poszedł z grabkami i kosą,
W guńce starganej i boso,
Precz poszedł w doliny—w dal,
Góralu! żal mi cię, żal.

M. Bałucki.



NIE W PORĘ.

Raz byłem u niej—z kotkiem na ręce
Siedziała w oknie, w białej sukience,
I paluszkami drażniła kotka
Pieszczotka.

W około twarzy dziewczęcia białej,
Zarumienionej, loczki się chwiały
I uśmiechały się oczka czarne,
Figlarne.

Siedzę—i czekam godzinę całą,
By dziewczę z kotkiem igrać przestało,
I pogadało kilka słów ze mną—
Daremno.

Ani mnie widzi, ani mnie słyszy—
Kotek jej rączki chwyta jak myszy,
Czasem zadrapnie—ona to woli,
Choć boli.

Więc rzekłem sobie: jeszcze zawcześnie
Pukać w serduszko co leży we śnie;
I unikałem dzieweczki białej
Rok cały.

Kiedym powrócił—znów w tym pokoju,
Przy tem okienku pełnem powoju
Bluszczów—siedziała moja pieszczotka
Bez kotka.

Lecz czegoś dziwnie zmienioną była,
Oczy ku ziemi wstydnie spuściła,
I zrumieniła się jak jabłuszko
Po uszko.

Byłem pewniutki, że z mej przyczyny—
Wtem wiatr firanek ruszył muśliny,
I zobaczyłem sprawcę rumieńca
Młodzieńca.

I znów panienka, jako przed rokiem,
Choć siedzę, czekam, nie rzuci okiem:
Lecz już nie kotek tym razem winny...
Kto inny.

Kto inny śpiące zbudził serduszko,
I szepcze teraz miłośnie w uszko.—
Ha, szkoda! Późno przyszedłem trocha—
Już kocha!

M. Bałucki.



FATUM.

Zbudził mię i iść kazał... Nie wiem, kto on taki—
Czasem, choć go mym oczom gęsta mgła zacienia,
Myślę, że on ogarnia gwiazd koliste szlaki
Ogromnem swojem skrzydłem z wichru i z płomienia
I że tylko on jeden dokąd zechce lata,
Dzierżąc w żelaznej dłoni zrąb całego świata.

Zbudził mię i iść kazał... Jeszcze mi pod rzęsą
Resztki snu się czaiły. Jako na wiatr zdane
Drzewa strwożonym liściem kołyszą i trzęsą,
Tak się trząsłem i oczy otwierałem szklane
I nie śmiałem go pytać, dlaczego i po co·
Zbudził mię i napełnił trwogą i niemocą?

A on mię wiódł i stawił na leśnej rubieży
Śród borów nieprzejrzanych. Skały wkrąg i drzewa,
Na omszałych wykrotach wilgotny mrok leży
I żaden świeższy podmuch puszcz tych nie przewiewa
I żaden promień słońca nie wpada złociście
Przez rozpięte w dach czarny czarne, smutne liście.

„Oto ścieżki dni waszych! Krwawo tu i mroczno—
„Lecz jest w głuchym ostępie czarowna polana,
„Kędy ci, co ją znajdą, wytchną i wypoczną.
„Lecz jest góra blaskami słońca bramowa a,
„A na niej dla piastunów tęsknoty i żalu
„Cudowny z tęcz i złota gród świętego Gralu“.

„Oto, com wam zgotował! lecz jeśli zobaczę,
„Że z gęstwiny na światło wychylił się który,
„Wtedy Gryfy, posłuszne mej woli siepacze,
„Cisnę na was, a łap ich żelazne pazury
„Kości wasze rozwloką i na wiatr rozsieją!“

. . . .

Tak mnie zbudził i kazał iść i iść tą knieją.

M. Szukiewicz.



POWRÓT WIOSNY.

Słońce się z mglistych otrząsa chmur.
Z dolin i gór —
Zimowe, śnieżne spada okrycie,
Jasnym połyskiem srebrzą się wody,
W łonie przyrody,
Wre życie.

I znów na ziemię powraca raj.
Pola i gaj
Napełnia nuta jakaś radosna,
Kwiat swe tulące zrzuca osłonki,
Wonią tchną łąki:
To wiosna!

Skowronek wzbił się w powietrzny szlak;
Miły to ptak —
Gdy na skrzydełkach zawieszon, śpiewa,
I cały urok rozkwitłej wiosny
W swój śpiew miłosny —
Przelewa.

O! gdyby serce mogło tak żyć,
Tak słodko śnić...
Z uwiędłych marzeń, z uczuć zawodu,
Po burzach życia znów się ocucić,
Kochać i nucić —
Jak z młodu!

G. Zieliński.

POZWÓL SIĘ SPODZIEWAĆ.

Zbił grad na łanie całą żniw nadzieję,
Niema i kłosa na niwie żniwiarzy,
Cóż czyni rolnik? na nowo ją sieje
I przyszłość lepszą znów marzy!

O nie broń, nie broń urojeń mych pola,
        Ziarnem nadziei obsiewać!
Wzrosła ku niebu już Polski niedola:
        Pozwól się, pozwól spodziewać!

Zasnął sierota po cierniu boleści,
Roi nadzieję, matki swej życzenia;
Z młodą się myślą promyk szczęścia pieści,
Senne mu złoci marzenia.
Czy chcesz z omamień wypędzić go kraju,
        Czy chcesz sen zloty rozsiewać?
Nie budź go, przebóg! nie wypędzaj z raju,
        Pozwól się, pozwól spodziewać!
Spartański szkielet przebił lat tysiące,
Zbudził się, powstał, odział blaskiem chwały,
A prochy polskie, jeszcze tak gorące,
Już żeby ożyć nie miały?
Będą je, będą, wszystkie syny dzielne,
        Ogniem serc swoich rozgrzewać;
Błyszczą z popiołów iskry nieśmiertelne:
        Pozwól się, pozwól spodziewać!

Jeszcze Bóg dobry dawnych zdolny cudów
Jęk Go nasz w górnej krainie dolata;
Słychać jak huczy wielka burza ludów,
Wre, grzmi, tętni wulkan świata.
Kończą już, kończą tych law groźne wary
        Na piorun zemsty dojrzewać;
Nie, nie zawodzi niebo silnej wiary:
        Pozwól się, pozwól spodziewać!

Pozwól się patrzeć w gwiazdę marzeń tkliwych,
W kwiaty nadziei grób Polski przybierać:
Nadzieja wsparciem, życiem nieszczęśliwych,
O! nie dajmy jej umierać!
Póty lud żyje, póki nie przestaje,
        Pieśni nadziei swej śpiewać;
Nią się on zbudzi, przez nią zmartwychwstaje:
        Pozwól się, pozwól spodziewać!

F. Morawski.

Z CYKLU: „PROSEKTORYUM“.

Dzwoniąca cisza... Lamp gazowych sine smugi
Na rząd trupów ohydnych ospale się kładą...
W mrocznym cieniu śmierć patrzy z za każdej framugi
I strach twarz swą wychyla przerażoną, bladą...

Skostniałe ciała... na nich krwi zakrzepłej strugi...
Obrzękłe członki z barwą metalową, śniadą...
Kurczowo zwarte pięście... włos zwichrzony, długi...
A niemoc osłupienia nad całą gromadą.

W zapadłych oczodołach mrozem szkliste oczy...
Bezdeń niema przez sine rozwiera się usta...
A czerw w głębi swą pracę rozpoczął i toczy...

Czerw drąży... Cisza wkoło... Czas ponuro kroczy...
W tem zdala okrzyk wdarł się—jakaś śpiewka pusta
Z młodej piersi w tę ciszę śmiertelną się tłoczy...

Z. Mostowski.

MORZE.

I. Południe.

...W przejasną dal,
Gdzie niema nic, prócz miękkich fal,
Fal cichych, sennych fal,
        Płynie mój duch,
        Jak lotny puch,
        Po srebrnej wód głębinie.
Utkwiwszy oczy w niebieskich chmur
Z piór białych tkany szlak,
Duch mój, marząc, się kołysze,
Jak wsłuchany w letnią ciszę
Topoli drżący liść.
I śni, że oto może iść
Za czarny złom uśpionych fal,
W błękitną, kryształową dal...

II. Zachód.

Schylone nad Zachodem słońce gorejące
Rzuciło krwawe blaski—i nagle, czerwone
Jak miedź, sponęły obszary wód.
Szary mrok, co na fale kładł się tryumfalnie,
W dal nieskończoną pierzchnął i za czarną
Tam horyzontu ukrył się oponą.
Łuną pożarną
Słońce zatliło słoną pianę fal
I rozsypane chmury na zenicie,
Całe przestworze,
Bezdenne głębie nieba i wód
W krwawe sztandary się otuliły,
W zorze płomienne...
I duch mój wziąwszy skrzydła purpurowe,
Już się do lotu zrywa tam, gdzie nowe
Światło, gdzie żywa tryumfów pochodnia,
Gdzie w złotych iskrach złote słońce błyszczy,
Jak głownia zwycięstw, gasnąca wśród zgliszczy.

III. Noc.

Huk wód, gdy o skalne roztrącą się zręby,
Z wichru poświstem na urwiska pędzi
I kona w głuchym szumie. Wiatr w twarz mi ciska
Ciemność starganą i podartą w kłęby.
Wilgotne jak rosa,
Od łez, któremi niewidzialne płaczą
Duchy nadmorskie, smagane rozpaczą
I bezlitosnym bólem.
Niebo ogromne, czarne, nieskończone
Jak gdyby trumny odchylone wieko,
Już się na ziemię zasuwało zwolna.
Daleki
Łoskot fal grzmiał jak młot,
Którym trumien przytwierdzają ćwieki.

I duch mój zbawień czekając daremnie
Drży przeraźliwie i, patrząc w te ciemnie,
Zwija się, czołga i wypełza ze mnie.

L. Bruner (Jan Sten).

MODLITWA.

Kiedy Helijasz, podany gonitwie
Upadł na puszczy, wołając:
„O dosyć Panie! Oto już nie mogę,
Weź duszę moją, skończ już moją trwogę!“
Zemdlał boleścią. Lecz Anioł mu rzecze:
„Jeszcześ nie odbył pracy swej, człowiecze“.
I dał mu pokarm na drogę.

Jeśli i ze mną, niegodnym, o Panie;
Taka jest wola Twoja? Niech się stanie,
Niechaj Ci jeszcze zły sługa Twój służy:
Tylko umocnij kroki drżące chore,
Tylko mi zeszlij na pokarm w podróży:
Cierpliwość, miłość, pokorę.

S. Witwicki.

NA PROGU.

Jak braciom, co po długich niewidzenia latach
Padli sobie w objęcia, od łez rwie się mowa,
Tak nam, gdy stajem w waszych poddaszach i chatach,
Niełatwo przed wzruszeniem serca, przyjść do słowa.
Gdzieśmy od was odbiegli?... gdzieście wy zostali?...
Czemu nie razem, w górę, poszła nasza droga?
Czemu my dzisiaj—wielcy?—a wy, czemu—mali?
Kto z nas za to odpowie przed sądem u Boga?
O bracia! jeśli sobie przebaczyć co mamy,
Zróbmy to zaraz, dzisiaj! dość żalów, dość kłótni...
Otwórzcie nam ramiona! to my—was szukamy,
Bośmy może winniejsi... ach! i bardziej smutni!

M. Konopnicka.

W PĘTACH.

Dalilo moja!... W uściskach twych płonę
I na pierś twoją chylę głowę złotą...
— Niechaj mię ręce twe błogosławione,
Jak lniane sznury niewoli oplotą...
A chociaż zdradne dostrzegam nożyce,
Nie będę bronił swej królewskiej mocy:
Sprzedam ci duszę, korną niewolnicę.
Za kwiat płomienny miłości i nocy...

Na oczy moje padło bielmo szału...
— Żegnajcie bujne, stargane kędziory!..
Z ramion mych krzepkość uchodzi pomału...
Pijany jestem pragnieniem i chory. .
Słodka woń nardu nozdrza me rozdyma,
Rozchyla wargi, twarz bladością znaczy...
— Jeśli pierś moja tę rozkosz wytrzyma,,
Jutro wróg hańbę Samsona obaczy...

Jutro skrwawione jamy oczodołów
Bezczelny pachoł piaskiem mi zasypie...
— Lecz nim źrenice wykapie mi ołów,
Pragnę się upić na swej własnej stypie!....
Ust twoich pragnę najpełniejszej czary...
— Poraz ostatni, Dalilo, bądź szczodra:
Niech z pod szkarłatnej błysną mi kotary
Twe śnieżne piersi i toczone biodra!...

Och, rozkosz, rozkcsz... Chłodne alabastry
Owionąć żarem ostatniego tchnienia....
— W lwiej się paszczęce złocą miodu plastry...
— Ośla się szczęka w miecz zagłady zmienia...
— Tryumf... potęga!... sny moje prześnione!...
Pęta niewoli na wieki mnie gniotą...
Dalilo moja!... W twych uściskach płonę
I na pierś twoją chylę głowę złotą...

L. Rygier.



POZWÓL MI MÓWIĆ...

Pozwól mi mówić...
Bo gdy mówię do cię,
To każde słowo zmieniam w pocałunek!
Każdą myśl w lubej zanurzam pieszczocie,
Do miękkich włosów, jak do złotych strunek,
Przylegam dźwiękiem, dzwonię o pierś białą
I, z każdą zgłoską mam cię więcej... całą;

Pozwól mi mówić!
Daj rozkosz mówienia!
Pozwól, niech słowa wrzącej krwi wytryskiem
Twego śnieżnego dotkną się ramienia,
Po twej kibici przepełzną uściskiem,
Do ust przypadną, chłonąc czar niewieści
I, nie skalawszy, sięgną... do bezcześci!

Pozwól mi mówić...
A zaklnę w me słowa
Serce i duszę! byty i niebyty!
Będzie w nich grała szału baśń tęczowa!
Rozkosz rozkoszy! zachwytów zachwyty!
I jawa ziemi! i złudzeń podniebie!
Ale mi trzeba je mówić do... ciebie!

K. Laskowski (El).

KUMA TROSKA.

Ognisko gaśnie—w izbie szare mroki
Snują się zwolna, jak mary cmentarne
I na mem czole ręce kładą czarne:
— „Poszły marzenia twe, chłopcze, na marne,
W świat ten szeroki!“

„Chłód je tam zmroził—deszcze zmyły barwy,
Gromy i burze szarpały,
I po kałużach wichry rozwiały,
I dziś dla ciebie, chłopcze, zostały
Ich larwy...“

— Kto tam kołatką do drzwi mych kołacze?
Gość! rzecz niezwykła w biednej chacie mojej!
Bo oto teraz u drzwi moich stoi
I płacze...

Ach! to ty! trosko!—Cóż za próg mej chaty
Przygnało ciebie o tak późnej porze?
Wicher i słota na dworze,
A ty wędrujesz nieboże
Przez światy?

Siadaj na zydlu i odpocznij nieco.
Pogwarzym z sobą—wszak my stare druhy.
A oto do nas, jak duchy,
Wplątane w wichrów podmuchy,
Wspomnienia lecą.

Słyszysz, jak biją skrzyłami czarnemi
W okna!—jak ze mnie szyderczo się śmieją,
A głos ich leci z zawieją:
„Nie pieść swej duszy nadzieją
Na ziemi!“

— Ot! głupstwo wszystko— po co myśleć o tem,
Co już umarło i więcej nie wskrześnie?
Po co znów duszę rozkrwawiać boleśnie?
— A jednak... jednak umarło zbyt wcześnie
Za pierwszym wzlotem...

...Tak!... mniejsza o to...—Która to godzina?
...Północ?—jak czas ten wlecze się powoli!...

Prawda, to głupie gdy wbrew naszej woli
Dusza się w piersiach targnie i zaboli
I... łkać zaczyna!

...I... łka!... Przemglone, ledwo majaczące
Idą sny moje, okryte w łachmany
Strzępów królewskich.—Ukazują rany,
Które im życia żłobiły kajdany,
Rany krwawiące.

Widzę ich oczy, szklane oczy trupie,
Z niemym wyrzutem zapatrzone we mnie...
Jaka w nich skarga!... Daremnie!... Daremnie!...
Ja nic nie mogę...—Powracajcie w ciemnie!
...Jakie to...

Stoję! W zroszone wzrok utkwiwszy szyby,
Śród chłosty deszczu, śród wichrów smagania...
Słyszysz, jak piersi wstrząsają im łkania?—
Tak stoją... stoją nieraz do świtania...
Gdyby... och gdyby...

„Nie! ja ich widzieć nie mogę... nie mogę,
Ni uciec od nich - wszak te trupy żyją!
Gonią gdzie pójdą i krew moją piją,
I mózg mi szarpią, i w serce mi biją,
Jak dzwon na trwogę.

Zimno tu u mnie!... Ostatnie polano
Dorzuć do ognia—prędzej!—Mniejsza o nie!
Tyle spłonęło, niech i ono spłonie.
Patrz!—już się pali i kładzie na skronie
Obręcz świetlaną.

To moja glorya!—Patrz! patrz, jak się pali,
Jakie syczenie wydaje złowieszcze,
Jakie płomienne wstrząsają niem dreszcze!
Dmuchaj!... tak!... dobrze!... Jeszcze!... jeszcze!.. jeszcze!...
Dalej!... no!... dalej!...

Do biesiadnego siądziem później stołu,
Ucztować będziem! Co dusza zamarzy,

Wszystko się znajdzie. Sprosim tych nędzarzy—
Będzie... wesoło!... Tli się... ledwo żarzy...
Już... garść... popiołu,

...Wszak tego chciałaś! Dzieło dokonane—
Możesz już odejść, pielgrzymkę zaczętą
Kończyć i w ludziach ich zabijać święto...
...Idź!...
— „Tyś mnie ogrzał, przytulił zziębniętą:
Z tobą zostanę!“

M. Tatarkiewicz.



PAMIĘTASZ, JAM CIĘ PROSIŁ...

Pamiętasz, jam cię prosił byś mi w drogę dała
Jaki krzyżyk—relikwię, talizman uroczy—
Coby mię wiódł do słońca—a ty, moja biała,
Uboga—nic nie miałaś—jeno jasne oczy.

Oczy twoje! dziś dla mnie zbawienia potrzebą,
Odpowiedzią, gdy wątpię, słońcem mego ducha,
Niebo się w nich przegląda; ja patrzę w to niebo,
Aż ujrzę sen Jakubów i noc pierzchnie głucha,

Aż ujrzę odrodzony—w blaskach zorzy nowej,
Oczy twoje znów twarzy oddane liliowej
I w krwawych ranku ogniach postać twoją białą.

O, zlituj się—pozostaw te światła mej duszy,
Bo jak blask, gdy odlata, suchą gałąź kruszy,
Tak mój duch, odlatując—strzaska moje ciało.

W. Ordon.



GŁÓD.

W chłopskiej chacie głód usiadł przy stole,
Żółte zęby wyszczerzył i zgrzyta...
Wszystkie ziarna wygrzebał w stodole—
Niemasz w spichrzu pszenicy ni żyta!
A w gospodzie głód siedzi przy stole.

Siedzi głuchy na ludzką niedolę,
W oczy patrzy i patrzy i pyta—
Czemu bydła nie wygnano w pole,
Wszak na dworze już biały dzień świta,
Już dzień biały patrzy na niedolę...

Izba pusta... Na sosnowym stole
Stoi trumna z białych desek zbita—
W trumnie chłopskie spoczywa pacholę.

Zółte ręce i twarz nieumyta—
Wielka żałość zastygła na czole,
A przy stole głód siedzi i zgrzyta.

E. **Słoński.**

DO TRUPA.

Leżysz zabity i ja też zabity,
Ty strzałą śmierci, ja strzałą miłości;
Ty krwi, ja w sobie nie mam rumianości,
Ty jawne świece, ja mam płomień skryty;

Tyś na twarz suknem żałobnem nakryty,
Ja-m zawarł zmysły w okropnej ciemności;
Ty masz związane ręce, ja wolności
Zbywszy, mam rozum łańcuchem powity.

Ty jednak milczysz, a mój język kwili,
Ty nic nie czujesz, ja cierpię ból srodze;
Ty jak lód, a ja-m w piekielnej śrzeżodze:

Ty się rozsypiesz prochem w małej chwili;
Ja się nie mogę, stawszy się żywiołem
Wiecznym mych ogniów, rozsypać popiołem.

J. A. Morsztyn.



PIES.

Ja miałem kiedyś swoją budę, lecz w nocy raz głuszący huk,
Obudził mię obuchem w głowę i rozszalała masa wód
Na moje wpadła legowisko, i darmo prężył się mój trud!
Daremniem się z żywiołem wściekłym o swoją budę gryzł i mógł!
Zatopił mi ją! a mnie porwał i z rykiem tryumfalnych trąb
Zwyciężonego niósł na barach i z mych wysiłków marnych drwił,
I oszołomion dzikim pędem, zgnębiony, zabaczyłem sił
I zdałem mu się, nawpół czując, jak niesie mię na straszną głąb!
Na morze rzucił mnie! na morze, co jak pustynia leży w krąg,
I myśli, żem się tych obszarów bezkresnych, pustych morza zląkł.
Że będę, łeb ku niebu tężąc, z wściekłości i rozpaczy wył;
Nie będę wył! Na żywioł morza, co taki groźny w koło legł,
Mam—pies potężny—morze mocy, huczące burzą skroś mych żył!
Mnie stanie tchu! i łap mi stanie! i mój jest niewiadomy brzeg!

J. Ruffer.

BYŁEŚ MI DAWNIEJ BOŻYSZCZEM...

Byłeś mi dawniej bożyszczem, o tłumie!
Wiarę mą trawił twój żołądek wraży!
Dziś moja miłość już zgiąć się nie umie
Na stopniach twoich bezbożnych ołtarzy.

Dziś z resztką siły poszedłem w bluźnierce,
Ma dłoń słabnąca dziś twój bałwan kruszy
Krwawy Molochu, coś pożarł me serce,
Jak wampir wyssał drogi szpik mej duszy!

Królu w łachmanach, siedzący na tronie,
Z którego zdarto bisior i złocenia!
Ogniem zawiści twoje oko płonie,
Chciwość twe usta w wstrętną paszczę zmienia.

Wytrzeszczasz straszne bazyliszka oczy,
Albo je chytrze przysłaniasz obłudą,
Wabiąc zwierzynę, która we krwi broczy
Pod twym pazurem, pod twą ręką chudą.

Żer w twe koryto ciągłe znoszą wieki,
Wnętrzności swoje rzucają-ć pod nogi,
Ty, od nasyceń wieczyście daleki,
Wściekłyś z pragnienia,—jak żbik, z głodu-ś srogi.

Myśli, uczucia, prorocze ekstazy,
Czystość poświęceń, rycerskie porywy,
Modły zachwytne, dyscyplinne razy,
Krwi stygmatycznej święty strumień żywy—

Gwoździe, co sine przebijają ręce,
Ciernie, co kłują blado-żółte skronie—
Wszystko to ginie w twej potwornej szczęce,
Wszystko to brzuch twój w swoich bezdniach chłonie.

Przywlokłeś ku mnie swe nogi żebracze,
Bose, zziębnięte w śnieżystej wichurze,
I dusza moja już litością płacze,
I już ci cały, jak pachołek, służę...

Przyszedłeś ku mnie, ty płazie człowieczy,
Z odgniotem jarzma na schylonym grzbiecie,

I już ma dusza ciemiężcom złorzeczy,
Już w twej obronie bicz rzemienny plecie...

Przyszedłeś ku mnie, dzierżycielu pięści,
I pokazując nabrzmiałe ramiona—
„Glob się z tej mocy rozpadnie na części,
Swiat zła—krzyknąłeś—pod tym gromem skona!“

Jak nie uwierzyć w żelazne ryskale,
Co w pył wiekowe opoki rozkruszą?!
I bałwochwalcze już kadzidła palę
Tobie, o tłumie, żeś owładł mą duszą!

Widzę: olbrzymie szeregi się zbiegły—
Skórzane mają u pasa fartuchy...
Tylcami młotów walą w świątyń cegły,
Przestwór wypełnia huk i łoskot głuchy!...

Widzę: centaury przebiegają ziemię,
Miast łuków, dzierżą płomienne pochodnie!
Kopyta w iskrach!... Gdzież ta siła drzemie,
Co łun powstrzyma rozszalałą zbrodnie?

Są w twojej piersi wulkaniczne ognie!
Ale stracony, kto się od nich zajmie!
Serce swe spali, duszę swoją pognie,
Jak ćma, tak spłonie w twym służalczym najmie.

To jest konieczność: padł orząc twe łany,
Ty go przygnieciesz swem cielskiem kosmatem,
Brutalny zwierzu! Ty, bożku miedziany,
uniesz na niego całym swoim—światem...

A sam na pulchnej od popiołów roli,
Na którą padło to przekleństwo boże,
Będziesz już brzuch swój wypasał dowoli,
Nienasycony, sługębny potworze!

Ty wrogu ducha! stopami z ołowiu
Zdeptałeś kwiaty, które dłoń posiała
Bożego siewcy: na zwiędłem pustkowiu
Straszny dla duchów stawiasz ogrom ciała!

Gdzieś dawnych bożnic sburzył fundamenty,
Tam nowy kościół dla ciebie powstanie,

O nieskalany! o boski! o święty!
O ty mocarzu! królu i kapłanie!

Jest wielki ołtarz! cały złotem błyszczy!
Na nim twe ścierwo rozpiera się tłuste,
Między pierwszemi najpierwsze z bożyszczy,
Na swych kolanach pieszczące Rozpustę!

Długo tak będziesz cesarzył, o krwawy,
Dziki Molochu, coś pożarł me serce?
Aż śród piekielnej obedrą cię wrzawy
Jadła i picia spragnieni odzierce.

Żebrak cię zwali, zziębnięty i bosy,
Ten, co swą nędzą aż do łez poruszy!
Sługa jarzemny rozstrzygnie twe losy,
Wampirze, ssący drogi szpik mej duszy!

Dzierżyciel pięści w twoją pierś uderzy,
Na karku twoim swą stopę położy,
Zdrajco, coś ze mnie zdarł zbroję szermierzy,
Więżąc mnie w swojej dławiącej obroży!...

J. Kasprowicz.

MAGDALENA.

Drobną stopą zdeptawszy syryjskie purpury,
Słuchała nieruchoma, przegięta niedbale,
Owych pieśni śpiewanych ku jej ciała chwale
W świetlicy obwiedzionej kwiecianemi sznury.

Lecz z jej oczu, jak tygrys, co ukrył pazury,
Już dziki szał, przyczajon, zrywał się zuchwale,
I ust zniżał dyszące wilgotne korale
I rozpalał łaknących ramion jej marmury.

I blada pod złoconych warkoczy płomieniem,
Z piersi, z bioder, szat więzy zerwała i kwiaty...
. . . .

Lecz nagle przez jutrzniane różowe poświaty,
W jej rozwarte od trwogi i lęku źrenice,
Jak mistyczny krąg światła wejrzy blade lice,
Krwawe skronie owite cierni obramieniem.

K. Zawistowska.



TYLE CHWIL ZGASŁO...

Tyle chwil zgasło, wszystkie z niebios rodem —
W których Bóg sercu spełnić dał marzenia. .
Czemuż ta jedna wciąż się wypłomienia
Z mózgu, wciąż błyska okiem wiecznie młodem?

Chwila, gdy mi się wydarłaś z ramienia,
Dziewczyno, mlekiem płynąca i miodem!
Chwila—jak wulkan wrzący duszy spodem—
Wściekła od wstydu, zemsty, rozżalenia!

Czy mogłem wiedzieć, że ten żal utraty
Wyskrzydli z serca taki blask bogaty?
Tylem zapomniał ust sycących miody—

A niezdobyta zmysłów twych ponęta
W ranie pamięci wzrasta wciąż! Zaklęta
Perła przedziwnej, wyszukanej wody— — —

M. Wikszemski.





J. I. Kraszewski.

HYMN BOLEŚCI.

Boleści! witam ciebie, zstępująca z nieba,
Matko czynu, surowa dla ludów mistrzyni;
Posłanko Boża, dłoń ta z powszedniego chleba
Pokarm duszy wyciska, chleb niebieski czyni.
Sercom wielkim tyś matką,—mleka twego trzeba,
By wyrósł niem pojony wielki mąż wśród gminu,
Wieszcz do chwały, bohater do wieńców wawrzynu.

Idziesz królową—siedm koron na twej skroni,
W jednej rózgę, a palmę w drugiej niosąc dłoni.
Na tobie szaty z ognia, czerni i purpury,
Za tobą idzie orszak służebnic ponury;
Z pod nóg, kędy się stopy dotkniesz kamiennemi,
Strumień krwi i łez strumień wytryska na ziemi;
Wichry cię poprzedzają, śmierć dogania blada,
Nad głową chmury sępów, kruków czarnych stada,
A gdzie płaszcz twój przesunie po kwiecistym łanie,
Cmentarz, pustkowie tylko, jęk i narzekanie,

Z tobą wojsko sług twoich, tłumy nieprzebrane,
Obelgi i potwarze z sakwy kłamstw pełnemi,
Smutek czarny, trud czoło potem niesie zlane,
Rozpacz się i zwątpienie tarzają po ziemi,
Ucisk, co sznury dźwiga na ramionach twarde,
Pośmiewisko za rękę wiodące pogardę.

Jak przed burzą ucieka zlękła ptaków rzesza,
Wszystko przed tobą pierzcha, rozbija sie, miesza;
Chór jęków cię poprzedza, hymn żałoby goni,
Nic przed tobą nie skryje i nikt nie zasłoni,
Nie rozbroi pokora, pycha nie zwycięży
Od Boga danej siły i Boskich oręży.
Tłumy pierzchają trwożne, lecz zapaśnik stoi,
Pierś nastawił bezbronną, choć ją płomień pali;
Co męczeństwo rozedrze to wytrwanie goi,
Bo ciało ma żelazne i duszę ze stali;
Wzniósł czoło, które potem krwawym się oblało,
Upadł—męstwa starczyło, lecz już mąk nie stało.

Taką światy nawiedza w zesłania godzinie,
Taką w spokoju nagle na człowieka spada,
Wsród ciszy nocnej ojca porywa rodzinie,
Dotknie—i w stypę gwarna zmienia się biesiada,
A nikt nie wie, gdy przyjdzie, nie wie kiedy minie,
Jak Damoklesa oręż zwieszona nad głową,
Truje wiosny poranek, spoczynek starości,
Błogo sercom—nim szatę przywdziały godową,
Już zimny całun okrył garstkę białych kości,
I wieniec róż przekwitnął w koronę cierniową.

W powietrzu nią oddychasz; nią cię poją wody,
Rośniesz w niej, radość każda z jej kroplą się miesza,
Obok ciebie zasiada na żywota gody,
W ślad cię goniąc, do grobu za tobą pośpiesza,
Niema dla niej spoczynku, przeciw niej zagrody.

Biada temu, kto w szczęściu usypia spokojny,
Kto zaufał swej gwieździe i nie czuwa z trwogą:
Puhar wesela wyschły, kielich cierpień hojny,
Długie są dnie pokuty, a krótkie, gdy błogo;
Szermierzu! na strażnicy trwaj w odwagę zbrojny.

J. I. Kraszewski.

DUSZA KOBIETY *).

Widziałem duszę kobiety wielką,
Leżała u niebios proga;
I była tylko rosy kropelką,
Przed oczyma Boga.

Widziałem duszę mędrca niepojętą,
Leżącą u niebios proga;
I była perłą na wpół rozciętą —
W oczach Boga.

Królów i panów dusze widziałem,
Gdy dumne w niebo leciały:
Lecz były tylko proszkiem tak małym,
Jak świat ich z nieba był mały.

Lecz była dusza: dusza kobiety,
Ta wieniec cierpień niosła u czoła;
Była większa od duszy mędrca i poety,
Była tak wielka, jak dusza Anioła!

J. I. Kraszewski.



POD TWĄ OBRONĘ...

Pod Przenajświętszą Twą obronę,
I pod troskliwą Twoją pieczę,
Składam dziś serce swe zmęczone,
Z którego krew rubinem ciecze,
I całą duszę młodocianą
Składam Ci, jako swoje wiano.

Jam jeszcze młody, bardzo młody
Jednak do walki brak mi siły.
Zmogły mnie burze i zawody
I wieczne klęski mnie znużyły

---

*) Wiersz ten jest epilogiem fantazyi dramatycznej „Szatan i kobieta“.

I ciągłe smutki, niepokoje,
Przeżarły młode piersi moje.

Szedłem ciernistą życia drogą,
Pełen nadziei, pełen wiary,
I nie skrzywdziłem tu nikogo—
Może zaświadczyć bór mój stary,
Co mi nad głową nieraz szumiał,
On jeden, jeden mnie rozumiał.

Kochałem ludzi i świat cały
Miłością szczerą, niekłamaną—
I cóż mi w zamian losy dały?...
Za miłość serce mi oplwano,
Za dobroć bito mnie rózgami,
Me ciało krwawa rana plami.

Walczyłem z sobą bardzo długo,
Chcąc stłumić w sobie wszystkie skargi,
A łzy mi ciekły srebrną strugą,
A z bolu mi bielały wargi,
Lecz nie żaliłem się nikomu,
Bom wolał płakać pokryjomu.

Przed ludźmi zawsze miałem oczy,
Pełne spokoju i słodyczy—
I nikt nie widział, że mnie toczy
Czerw rezygnacyi i goryczy
I nikt nie słyszał, jak śród nocy
Ku gwiazdom słałem głos sierocy.

Walczyłem długo—całe lata
Znosiłem wszystko w niemej skrusze,
Lecz dziś mnie taki ból przygniata,
Że już doprawdy spocząć muszę,
Bo,—gdyby liście z drzew zerwane,
Padnę—i nigdy już nie wstanę.

O Matko święta i Jedyna—
Ja już nie mogę walczyć dłużej
Przyjm pod opiekę Twego syna,
Który tu z ziemskiej wypił kruży
Wszystkie rozpacze, całą mękę—
O, Matko, podaj mi Swą rękę!

Z. Różycki.

LIRNIK.

Wśród drogi,
Śmiertelne dwa wrogi
W drzemiącym się boru spotkali:
Skoczyli
Z rumaków, zrzucili
I pancerz i szyszak ze stali;
Natarli na siebie jak wściekłe dwa lwy—
I sieką mieczami aż sypią się skry.

I była
Zaciekłość i siła,
I zręcznosć jednaka ich w boju;
Zbroczona
Krwią, pierś ich zdyszona,
I czoła krwi pełne i znoju;
I pół dnia szczęk mieczów rozlega się w borze,
A jeden drugiego przełamać nie może.

I drogą,
Odziany ubogo,
Szedł lirnik i w struny uderzy;
I dziką
Zawtórzy muzyką,
Strasznemu bojowi rycerzy;
Z pod ręki mu tonów wytryska kaskada,
A w takt jej burzliwy, za ciosem cios spada.

Jak w burzy,
Gdy słońce wynurzy,
Z chmur kłębów twarz jasną, wspaniałą;
Z niw, z łąki,
Wzlatują skowronki,
Hymn niebios rozlega się chwałą:
Mistrz-lirnik tak burzę akordów uśmierzył,
I z liry wspaniały hymn męski uderzył.

I toczy
Z powagą, uroczej
Cudownej harmonii strumienie:

I wpływa
Do duszy, porywa
Za sobą i myśli i tchnienie;
Dwaj wrogi nie czują jak sama ich ręka,
Poważnie w takt hymnu i bije i szczęka.

Wtem—jękiem,
Straszliwym rozdźwiękiem
Czarodziej hymn święty zamąca;
Do głębi
Rozdziera, i ziębi
I na dno przepaści aż strąca;
To zda się z piekielnych otchłani wykrzyka,
Rozpaczą, boleścią, zgryzotą grzesznika.

I chwiały
Się miecze, w struchlałej
Szermierzy zaciekłych prawicy;
A dźwięki,
Z pod starca znów ręki
Tryskają jak z żywej krynicy...
I płyną i szumią,—że zda się, anieli
Cudowny miłości chór z nieba zapieli.

Czar dumy,
Owładnął drzew szumy,
Zawtórzył tak las harmonijnie;
Wód zdroje
I wdzięczne pszczół roje,
I wiatr co nad lasem tam płynie,
I cały świat życia, w krynicy zaklętej,
Do pieśni lirnika przelewa się swiętej.

Jak lody,
W słonecznej pogody
Topnieją gorącym promieniu;
Tak kona,
Topnieje, szalona
Zaciekłość i zemsta w tem pieniu:
I wrogie dwa miecze, iskrami przed chwilą
Sypiące, bezwładne ku ziemi się chylą.

Przez lica,
Łez długa krynica
Śmiertelnym się wrogom stoczyła;
Spojrzeli
Na starca, zdumieli:
Tak pieśni owładła ich siła,
Że miecze skruszyli—i wzajem na piersi
Upadli w uścisku jak druhy najszczersi.

—„Gęślarzu!
Ty cudów mocarzu,
Przez jakich zesłanyś ty bogów,
Weź konie,
I złoto i bronie,
Żeś w braci przemienił nas wrogów!
O! starcze, lirniku, za pieśń twą to mało,
Co tylko zapragniesz: dziedzinę bierz całą!“—

—„Słuchajcie,
Zapłatę schowajcie,
Mnie dosyć uścisku jest ręki;
Pan słońca
I światów bez końca,
Darował mi z nieba te dźwięki.
Zapłaty nie biorę—bo stokroć przeklęty,
Kto Bogiem frymarczy, sprzedając dar święty!

Ot, z ziemi
Rękami waszemi
Miecz jeden podniosę skruszony;
Anioła
Gdy głos mię powoła,
Przed boskie bym stawił się trony:
Pan spyta—jak darów użyłem śpiewaka?
Miecz złaman pokażę i szatę żebraka!“

K. Brzozowski.

ZACHÓD SŁOŃCA.

Niby raniony w skrzydło ptak złocistopióry,
Powoli spada słońce—i fala promieni,
Snopem piór zakrwawionych tryskając, czerwieni
Jaśniejące błękitem obłoków kontury.

Tuż pod niem ziemia—pyłek śród tworów natury.
Martwem okiem spojrzało na morze zieleni,
Owinęło się płaszczem szarzejących cieni
I zakryło płonącą twarz woalem chmury...

O słońce! ile dreszczem przejmującej grozy
Dla mnie w twem pożegnaniu i agonii zgrzycie,
W gorejącej koronie twej apoteozy,

W modlitwie, którą szepcesz spieczonemi usty,
W twej niemocy... I śmiech aż porywa mnie pusty,
Gdy pomyślę o ranku i jutrzennym świcie!...

W. Sterling.



AFRODYTA.

O nie wydrą ci, madonno grecka,
Nad tym biednym światem panowania!
Odtrąć starca, co uśmiechem dziecka
Twarz wykrzywia, do stóp twych się słania
I miłości słowa śmie dźwięk pusty
W twarz ci rzucać plugawemi usty!

Ty go odtrąć! Czyliż już w twem pięknie
Niema bóstwa, co czcić siebie każe?
Czy przed tobą nikt już nie uklęknie,
Złotych cielców odbiegłszy ołtarze,
Szlachetnego spragniony zachwytu
W czasach żądz poziomych i przesytu?

O odstąpcie wy daleko od niej,
Wy, co w sług jej stroicie się pierze!
Wy, co „piękna“ oglądać niegodni,
Afrodytę chcecie uczcić—w heterze,
Wy, co burzę krwi i bezwstyd nagi
Chcecie płaszczem osłonić powagi!

Czyście kiedy w myślach ją widzieli
Pod Hellady niebem ugwieździonem,
Hor i Charyt witaną pokłonem,
Wychodzącą na brzeg z wód topieli,
Taką piękną—że ta ziemia cała
Zda się z piękna jej swą piękność brała?

Czy ją kiedy przed oczami macie
Równą bogom, na ołtarzach czczoną?
Nagą—ale w piękna majestacie,
U stóp z wieńcem mirtów, z róż koroną
I w przepasce tej, przed którą męże
Na znak hołdu schylali oręże?

Nie!—nie dla was ona z morskiej piany
Wyszła w krasie nieziemskiej urody—
Dla was tylko Bachus rozpasany
Wciąż gromadzi nowe korowody...

Tłum go wszędzie okrzykami wita:
„Patrzcie—oto władca świata idzie!
Ta bachantka w boskim swym bezwstydzie,
Patrzcie—oto nasza Afrodyta!“

Czesław (C. Jankowski).



NA ECHO DZWONU.

Co to za gwar poważny? Boże, co ja słyszę?
Dzwonią stąd o dwie mile na Zdrowaś Maryja,
Echo świątecznej śpiży w chmurach się kołysze
I wilgotne wieczorne powietrze rozbija.

Aż wnętrze mojej piersi jak puste naczynie
Odbija cały odgłos z powagą i mocą;
Znać, że święcone echo, bo do serca płynie,
Serce drgnęło modlitwą, w oku łzy migocą.

Boże! kiedyś poświęcił i dał rozgłos chyży
Echom twardych metali, żelaza i śpiży,
Poświęć mojego ducha i piosnkę mej duszy!

A dozwól, niech brzemienna tony święconemi
Rozpłynie, jak huk dzwonu po szerokiej ziemi,
I serca moich bliźnich ku cnocie poruszy!

L. Kondratowicz (W. Syrokomla).



SEN.

Widziałem przez sen, jak zbity i tłumny
Wielki lud bladych i posępnych twarzy
Na zgiętych barkach do nowych ołtarzy
Niósł złomy skalne—nowych prawd kolumny.

Gmach się podnosił, na niebne szedł wierzchy—
Z ciemnego potu, łez i bolu morza
Szła zrumieniona nadzieją już zorza,
Niewolnych świtów rozpraszając zmierzchy...

A kiedy gmach mocą stanął tajemną,
Tysiące ludu z płaczem w proch upadło,
Modląc się cicho krwi modlitwą ciemną...

I zdało mi się, że przez łez zwierciadło
Bolem schylonej, znędzniałej gromady
Bóg się ukazał—w łzach cały i blady.

A. Schröder.



RÓŻE.

Sadźmy przyjacielu róże!
Długo jeszcze, długo światu,
Szumieć będą śnieżne burze,
Sadźmy je przyszłemu latu.

My, odbici z niw rodzinnych,
Może ich nie ujrzym kwiatu;
A więc sadźmy je dla innych,
Szczęśliwszemu sadźmy światu.

Jakże los nasz piękny, wzniosły!
Gdzie idziemy—same głogi;
Gdzieśmy przeszli—róże wzrosły;
Więc nie schodźmy z naszej drogi!

Idźmy, szczepmy, — gdy to znuży,
Świat wiecznego wypocznienia,
Da nam milszy kwiat od róży:
Łzy wdzięczności i wspomnienia.

S. Goszczyński.

ORZEŁ.

Wzrok mu się rozwulkanił—skrzydła do lotu rozwinął,
Zawisł na niebie—niby czarna gwiazda,
Leciał do słońca—od matki—od gniazda,
Szarzał—nicestwiał i w lazurach zginął...
A na niebie błękitna cisza położyła
Kryształowe ramiona i słońca promienie
Chciwie łowiła...
Patrzałem tęskno w niebieskie przestrzenie,
Czyli nie dojrzę go gdzie—wśród zamieci
Pyłków złocistych... Zniknął mi z przed oczu...
Leć orle! Szczęśliw kto do słońca leci,
Kto w lazurowem kąpie się przezroczu,
Kto do boskiego podniosłszy się lotu,
Dla niebios ziemię rzucił—bez powrotu!...
Smutno spojrzałem jeszcze raz w błękity...
Góż to za plama na słonecznem złocie?
Słyszę szum skrzydeł — dzioba ostre zgrzyty...
Widzę go... Spada... pióra roni w locie...
Upadł... i chciwie swą piersią szeroką
Czerpał powietrze—zamglone miał oko,
Skrzydłem bił ziemię i szponą skrwawioną
Darł miękką trawę i własne swe łono...

Ja: Orle! Skąd rozpacz twa i straszne męki?
Leciałeś w słońca ogniste topiele,
Lazur w przejrzyste cię ubrał sukienki,
Wichrom zabiłeś szpony w wiotkiem ciele...
I wichry jękiem z pokorą uznały,
Żeś ty ich panem... Słoneczne promienie,
Gdyś na nie spojrzał, zmieniły się w cienie
I w niebo z tęskną skargą uleciały!
Czemuż powracasz z powietrznej żeglugi,
Z rozpaczą w oku, a boleścią w duszy?
Czyż wolisz ziemię, niż niebieskie smugi,
A niż zefiry wiatr, co śniegiem pruszy?
Powiedz, o srebrny!
Orzeł: Słuchaj! Wzleciałem... Z dołu mi się zdało,
Że pierś słoneczne ogrzeje mi ciało,
Że złoty promień, kiedy padnie zbliska

W oczu mych mgłami zasute ogniska,
Mgły porozcina, i że puch mój biały
Blaskiem rozzłoci, że me czarne szpony
W dyjamentowe roztopi kryształy...
Lecz się zawiodłem... Oh! byłem szalony!
Wzniosłem się chyżo po nad Karpat złomy,
Spojrzałem na dół... Świat znikał znikomy,
Czerniał i malał, więc na pożegnanie
Rzuciłem ziemi szydercze krakanie!
Białych gołębi posrebrzane sznury,
Co skrzydłem jasne krajały lazury,
Na głos mój spadły, by pod ludzkim dachem,
Z białością swoją skryć się i przestrachem...
Dla czego drżycie, niewinne istoty?
Niczem puch srebrny, gdy mam promień złoty!
Glob mi z ócz zniknął, czułem w całem ciele,
Nieopisaną rozkosz, niebiańskie wesele,
Pod sobą miałem lazurowe fale,
Nad sobą słońca ogniste opale!
Pod tchnieniem słońca skrzepło moje ciało,
Elastyczności i siły nabrało,
Z ócz mi zniknęły czarne mgieł tumany,
Pióra ubrały się w haft pozłacany—
I dobrze było mi tam w środku nieba...
Zachciałem wyżej, poleciałem wyżej,
Jakaś mię wnętrzna goniła potrzeba
Prosto do słońca, co raz wyżej... wyżej...
Ha! jakież zimno przejęło me kości,
Choć byłem bliżej, niż przedtem, promienia!
Wzrok mi cślepnął od wielkiej jasności,
Pośrodku niebios cichego sklepienia
Byłem sam jeden, bez żadnej podpory,
A przestrzeń była zimną i ponurą...
Tchu mi zabrakło—lot zwolniłem skory.
Gwiazdy, co milcząc przeleciały góry,
Patrzały na mnie smutno i ciekawie,
Wiatr huczał groźnie, chwiał mną na wsze strony—
Sił mi zabrakło. Zbolały, zmęczony,
Bez tchu, bez czucia, bez życia już prawie
Spadłem na ziemię... Wy nie rozumiecie,
Jaki to ciężar straszny piersi gniecie,

Jaka to rozpacz, jaka boleść żrąca,
Kiedy kto leci do ogniska słońca,
Kiedy już Boga samego jest blisko,
A potem spadnie tak, jak przedtem, nisko,
Z piersią skrwawioną, rozdartą, zbolałą.
Gdy się nie dojdzie tam—gdzie się dojść chciało!—
Jakie to straszne, niepojęte bole,
Gdy złotych marzeń cudne, bujne kwiecie
Zmienia się nagle w osty i kąkole...
Oh! jak to boli—wy tego nie wiecie!
Pytasz mię, czemu pierś moja rozbita
Szalonem łkaniem burzy się i zgrzyta,
Czemu me oko mgłami się oblekło,
Czemu me serce od jadu się wściekło,
Pytasz mię jeszcze czemum zrozpaczony?..
Ja sam się karzę—że byłem szalony!..

*

Smutno mi było... Leżał jak nieżywy,
Krew mu buchała z piersi wielką strugą,
Z łona wydawał jęk ostry, chrapliwy,
Jak gdyby konał... Leżał długo, długo,
Jak martwy... Nagle podniósł się z mozołą,
Oddychał ciężko—przychodził do siebie..
Wzleciał—zakreślił skrzydłem wielkie koło—
Wzbił się—za chwilę już płynął po niebie...
I zniknął w sinej przestrzeni bez końca...
„Orle! gdzie lecisz?"—
— „Gdzie? Lecę do słońca!"

B. Czerwieński.



SCEPTYCYZM.

Sceptycyzm chodzi między ludzi
I ziarna smutku sieje,
Zwątpienie gorzkie w sercach budzi,
Zabija w nich nadzieję.

Ramiona ubrał w czarną togę,
Na nogach ma sandały...
Wyszedłszy z Grecyi w długą drogę,
Świat zwolna obszedł cały.

Kiedy do mojej przybył chaty,
Do duszy wdarł się młodej—
Zrywałem w życiu jeszcze kwiaty
I z nich sączyłem miody...

W godzinę duchów, późną porą,
Wszedł do mnie o północy
I ledwie wyrzekł słów kilkoro—
Już byłem w jego mocy...

Owionął mnie wnet smutek szary,
Duszę zmroziły chłody,
Ujrzałem piołun na dnie czary,
Gdzie dotąd były miody...

I zapytałem się, dla czego
I pocom jest na świecie?
W rozpaczy odtąd dni me biegą,
Zwątpienie pierś mi gniecie...

A starzec poszedł sobie dalej,
Ubrany w czarną togę...
Gdzie stanie, ołtarz jakiś zwali
I znowu idzie w drogę...

I tak obchodzi całą ziemię
I szczęście ludzkie burzy,
Nie spocznie nigdy, nie zadrzemie
I—nigdy się nie znuży..

Z. Dębicki.

DO PANIEJ.

Imię twe, pani! które rad mianuję,
Najdziesz w mych rymiech często napisane,
A kiedy będzie od ludzi czytane,
Masz przed inszemi, jeśli ja co czuję.

Bych cię z drogiego marmoru postawił,
Bych cię dał ulać i z szczerego złota,
(Czego uroda i twa godna cnota)
Jeszczebych cię czci trwałej nie nabawił.

I mauzolea i egipskie grody
Ostatniej śmierci próżne być nie mogą;
Albo je ogień, albo nagłe wody,

Albo je lata zazdrościwe zmogą
Sława z dowcipu sama wiecznie stoi,
Ta gwałtu nie zna, ta się lat nie boi.

J. Kochanowski.



NIE WYDRZECIE!...

Myśmy prawie wrośli w ziemię
Od lemiesza do pałasza!
Wszystko szczęście, wszystko brzemię
To ta polska ziemia nasza!
Ona matką od zarania,
Ona zbroją przez stulecie!,..
I dziś tego ukochania
Nawet z życiem nie wydrzecie!

Myśmy wszyscy z Piasta sochy
Szli tą ziemią krwią i potem!
Nam te skiby, szare prochy
Ponad zorze, tkane złotem!

Nam w tych prochach: chleb... piosenki...
Przeszłe... przyszłe... starzec... dziecię!...
I tych prochów z naszej ręki
Po wiek wieków nie wydrzecie!

Nam w tych prochach... wszystkie echa!
Wszystkie barwy, wszystkie tony!
Stary hetman się uśmiecha...
Zygmuntowe biją dzwony!
Kościuszkowska świtka biała...
Książe-junak na dzianecie!
Blaski... chmury... bole... chwała!
Nie wydrzecie! nie wydrzecie!

Nam w tych prochach... dziadów kości!
I mogiła przy mogile!
I sto tęczy z dni wolności!
I łez tyle, i łez tyle!
Dąbrowskiego gra pobudka...
Kona czwartak przy bagnecie...
I . . . . . . cicha grudka...
Nie wydrzecie! nie wydrzecie!

Nie wydrzecie z serc i dłoni!
Jak ta ziemia wszerz i długa!
Póki jeden pacierz dzwoni!
Póki jeden chłop u pługa!
Póki jedna polska matka!
Póki jedno polskie dziecię!
Bronić będziem do ostatka...
Nie wydrzecie! nie wydrzecie!

K. Laskowski.



JESIENIĄ.

Park drzemie... drzewa, jak schorzałe twarze
Zewsząd zwiędłymi rumieńcami świecą...
Z szelestem szklanym liście zwiędłe lecą,
Patrząc na niebo, co umierać każe...

O! gdzieś na gwiazdach wicher łka rozpacznie
Wskrzeszając zmarłe, zapomniane głosy...
Już brzozy-płaczki rozpuściły włosy
—Wkrótce się obrzęd pogrzebowy zacznie.

Pomiędzy bagna mętne zardzewiałe
Ścieżki, jak widma przypadłszy do ziemi,
W pomroku ręce wyciągają białe.

Aż w końcu dwiema liniami jasnemi
W krzyża potworne wyrosły ramiona.
— Chodźmy stąd... cicho... w tej chwili ktoś kona...

H. Zbierzchowski



STATEK.

...W miejscu, gdzie morze wżarło się w skał ramę,
Przy samym brzegu zobaczyli plamę
Jasną, jak róży zawinięty płatek
Na tle zielonej, przywiędłej murawy.
Ktoś szepnął: „mewy", a ktoś krzyknął: „statek!"
I tłum w dół spłynął, niby potok lawy.

Tak—to był statek mały, rodzaj barki.
Znać było z kształtów wdzięcznych, że go wznieśli
Tacy pieśniarze i takie pieśniarki,
Co w duszy mają doskonalsze miary,
Niżli gruntwaga i cal w ręku cieśli.

Wgłębiony w środku nakształt wielkiej czary,
Zgrabny i mocny budynek szkieletu,

Zbity misternie, jak forma sonetu,
Jak sonet zwięzły był i niezbyt ciężki.

Przód—ścięty ostro, jak w wierszu rym męski;
Po bokach rzędem w przerwach jednej mety
Sterczały równe niby strofki, wiosła;
Postawa masztów prosta i wyniosła
Strzelała w niebo, jak myśli poety;
Po masztach wężem zwieszały się liny,
A każda lina, jak zwrotka tercyny,
Była spleciona potrójnem wędzidłem. :
Żagle w spokojnym, miarowym rozwiewie,
Jak śpiewne rytmy, kołysząc swem skrzydłem,
Bujały barkę—pieśń, zaklętą w drzewie.
Jak tytuł pieśni, na maszcie u góry
Igrała w słońcu bandera z purpury.

. . . .

G. Daniłowski.

MOJE MARZENIA.

Gdyby mi rzeczywistość płynęła tak mile,
Jak miłe są sny moje i moje marzenia;
Nie chciałbym uciech raju, nie chciałbym zbawienia,
Tyle w nich czuję szczęścia i rozkoszy tyle.

Gdyby tak smutne były rzeczywiste chwile,
Jak smutne są sny moje i moje marzenia,
Wolałbym cierpieć rany piekieł udręczenia:
Tyle w nich okropności i męczarni tyle.

A marzenia to świat mój, to świetna nić złota,
Co mi obwiła serce i umysł stroskany:
One barwią tło ciemne mojego żywota,

Kwiat wonny z ostrym cierniem plotąc naprzemiany,
W nich żyję z niemi wiecznie w sercu swojem noszę
I piekieł srogie męki—i niebios rozkosze.

A. Pług.

Z DYSONANSÓW.

Pobiegłem sam w daleki świat,
Nikt mi nie podał dłoni,
Majowych snów uroczy kwiat
Na bladej uwiądł skroni.
I szedłem w dal, stłumiwszy ból,
Ścieżyną, słaną głogiem,
Pić cudną woń rodzinnych pól
I skarżyć się... przed Bogiem...

Nie zmienił Bóg, wszechmocny pan,
Cierniami tkanej doli,
Jak dawniej krew wypływa z ran,
Jak dawniej serce boli.
Więc padłem w łzach do ludzkich stóp,
O uścisk prosząc bratni,
Pobladła skroń: tłum wskazał grób
„Z szalonych—tyś ostatni.“

Chwycił mnie świat w objęcia swe,
W żelazne okuł pęta
I nowe wciąż rozkosze śle
I o mnie, ach! pamięta.
A jednak choć w upojeń mgle
Z otchłani ciemnej kału,
W tęsknoty łzach duch mój się rwie
Do krain ideału...

Na niebios tle zgasł płomień zórz,
Załośniej ptaszę śpiewa,
Pozmrażał chłód sukienki róż.
Ustroił śniegiem drzewa.
I kryje się w ponury mrok
Świetlanych snów kraina,
Potoki łez zalały wzrok;
Upadnę!—czyja wina?

Or-Ot. (A. Oppman).



A. hr. Fredro.

WEREDYK.

Powiedział ktoś, nie wiem kto, ale słowa święte,
Że gdyby wszystkie prawdy miał w garści zamknięte,
Nie chciałby jej otworzyć.—Przeciwne ma cele,
Co nazwę weredyka otrzymał w udziele,
Co zewsząd sieje wieści niedościgłe ziarnka.
Weredyk moi państwo, dziwna to poczwarka:
Jest w nim coś z osy, jeża, pawia i papugi,
Jego głos zawsze cichy a języczek długi;
Namiętnie śpiewa prawdę, lub co prawdą mniema,
Ale nigdy przyjemnie; na to głosu niema.
Przeciwnie, to co drażni, to co boli, lubi,
A zwłaszcza bezwzględnością nad wszystko się
chlubi:
—„Powiedziałem mu prawdę, aż mu poszło w pięty!"
Cały też jego rozum w tych piętach ujęty.
Ale owa ta prawda, tak ostra, tak tęga,
Czyliż plotki a czasem oszczerstwa nie sięga?
Weredyk się nie wzruszy; jakie bądź tam skutki,
Obowiązek przyjaźni: prawda bez ogródki!
Weredyk zawsze staje w przyjaźni ornacie,

Czyli zwiastuje klęskę czy płacze po stracie,
Nie lęka się wyjawić najdotkliwszych wieści,
Zagłębia zimną sondę w samo dno boleści,
Ani się zastanowi, czy potem go stanie
Na kropelkę balsamu przy otwartej ranie?
Choćby trochę ułudy, choć trochę nadziei,
Gdzie słońce już nie grzeje na życia kolei;
Choćby tylko snu trochę niezmokłego łzami,
Gdzie kto na zgliszczach szczęścia zadrzymie czasami.
Dlaczego? na co? po co? te tysiączne groty
Niewczesnej trwogi... żalu... daremnej tęsknoty?
Na to jest tylko jedno słowo odpowiedzi:
Że w każdym weredyku jakiś dyabeł siedzi,
Co w swej pychy rozkosznej pluszcząc się kąpieli,
Mniemanych swych przyjaciół swym ukropem dzieli.
Od takich prawdolubnych świdrów w każdej porze
I w każdem stanowisku, uchowaj nas Boże!

A. hr. Fredro.



JAWNOGRZESZNICA.

O bracia moi, zbożne dusze,
Coście przyjęli wiary chrzest,
W cześć Bogu, ludziom ku otusze,
Oto opowieść dla was jest.

...Więc wzrosła piękna nad pięknemi,
Jak krzew oliwny ponad chwast,
I była perłą Judzkiej ziemi,
Jak Jeruzalem perłą miast.

I miała wdzięków siłę wielką,
Jako jest silny ziemski grzech,
A była mężów kusicielką
A była zgubą niewiast wszech.

I kiedy w miasto wyszła ona,
Rozkwitła niby rajski kwiat,
Promieniem słońca ozłocona.
Strojna w szkarłatnych zwoje szat.

To wraz wołali Judzkie męże:
„Otwórzcie w oścież wrota bram!
„Królestwo jej się w oczach lęże,
„Królowo Sabba witaj nam.

. . . .

A wówczas w całej judzkiej ziemi
Szła między ludźmi dobra wieść,
Jako jest człowiek przed innemi,
Któremu naród winien cześć.

Jako On czysty Bożą chwałą
Pomiędzy ziemski zstąpił kał,
I miał sukienkę śnieżnie białą
I śnieżnie białe serce miał.

A więc mówili ludzie sobie,
Że od Jehowy człek ów dan,
Że choć w ubogim zrodzon żłobie,
Całemu światu jest on Pan,

I było życie jego czyste
I lgnął do niego lud wszelki
A kto rzekł z wiarą: „Wspomóż Chryste!"
Ten już zbawiony w wieków wiek.

. . . .

. . . .

Złote się wino rzeką lało.
I gmach się cały kwieciem słał,
I trwała uczta przez noc całą.
I przez dzień cały wzrastał szał.

Płonęły oczów czarnych błyski,
W piersiach namiętny kipiał war,
Wężowe plotły się uściski,
Z ust upojenia płynął czar.

A kiedy ona puhar wzniesie,
Gdy jej czarowny dzwoni śpiew,

To silniej w sercach szał ozwie się,
To szybciej w żyłach krąży krew,

I wszystko ku niej lgnie w zapędy
I woła: „Łaską nas swą darz!“
Kędy jest człowiek, Bóg jest kędy,
Co nie upadnie przed nią w twarz?

. . . .

A przez pustynię lud gromadą
Zdala w nieznaną dążąc dal,
Jako gołąbków białe stado
Pośród piaszczystych kroczy fal.

Przed nimi idzie człek ów Boży,
Co ma zło wszędzie z ziemi zmódz,
Więc któż się cofnie, któż zatrwoży,
Gdy przodem idzie święty wódz?

On z maluczkiemi żyje społem
I do ubogich puka wrót...
A wszakże przed Nim Jan bił czołem,
Jan, który mowę, miał jak grzmot.

. . . .

Kędy kolumna po kolumnie
Kamienny szczytów dźwiga strój,
Poprzed podsienie wyszedł tłumnie
Pijany biesiadników rój.

A ona wiodąc wszystkich woła:
„Kędyż jest święty prorok wasz?
„Kędyż on? Niech mu stawię czoła,
„Niechaj mu twarzą stanę w twarz“.

I dźwięk na gędźbie silny czyni,
I rzuca przed się liście róż...
I widzi jako od pustyni
Orszak pątników blizki już.

„Stójcie—zawoła—waszą panią
„Jam dzisiaj! za mną wam już iść!
„Stójcie!“
I Chrystus spojrzał na nią.
Ona zadrżała jakby liść.
Złamana zgrozą, wstydem blada,

Z piersią nabiegłą, falą łkań
Chwieje się, chyli i upada
W proch...
I rzekł do niej Chrystus: „Wstań!“

W. Szymanowski.

ROLNICTWO.

Matko ziemio! trudów drogą
Twa warownia się odmyka
Dla wszystkich:
lecz dla nikogo
Tak hojnie, jak dla rolnika.

* * *

Kto szuka srebra, topazów,
Musi pożegnać świat życia;
Już on w labiryncie głazów
Nie oddycha ranną rosą,
Nie słyszy serc drogich bicia.
—Śmierć i noc mu skarb przyniosą.

* * *

—Rolnik słyszy pieśń skowronka,
Dzieli rodzinne pieszczoty,
Z piosnką w łonie
Pije wonie,
Co mu niesie kwiatów krasa;
Na odgłos wiejskiego dzwonu
Staje u niebios przysionka;
Na wezwanie skrzypków hasa;
—A jednak blask jego plonu,
Zaćmi kruszce i klejnoty.

* * *

Tu z obszarów koniczyny,
Zbierasz w pełną dłoń rubiny;

Tu trawa Tymoteusza
Grunt brukuje malakitem;

Tam rola srebrzy się żytem,
Jakby wyrosła z Olkusza;

Niby śpiewak jasnowłosy
Owies, szmerem chabry zbudza;

W majestacie kukurudza
Pnie się pod złotymi trzosy:

Strojna w bisior, jak królowa,
Pszenica nad niemi włada...

Rzekłbyś, że to jakaś blada
Gwiazda albo białogłowa.

Pióro kościelnych pisarzy,
Wielbi wdzięk Boga-Rodzicy;
A chcąc skreślić blask Jej twarzy,
Równa ją z blaskiem pszenicy.

* * *

—Poezyja buja po smugu,
Co się rozzłaca i kwieci;
To też od wieków, poeci
Lirę wspierali na pługu.

W sercach, Hezyjod i Wirgili,
Miłość rolnictwa szczepili;

W naszych sercach tkwi, zasiana
Wdzięczną pieśnią Kajetana.

* * *

Piękniej lśni makówka hoża,
Niż Cejlonu tuberozy;
Obfitsza skarbnica zboża,
Niźli podziemia Potozy.

* * *

Czyż zbawi brylantów waga,
Lub pył Ofirskich wybrzeży,
Jeżeli głodowa plaga,
W szarańcze skrzydła uderzy?

* * *

Pragnieniem życia ciśniony
Człowiek, za pożywne plony
Oddaje skarby i prawa;
—Przed powabem soczewicy
Zniknęła duma Ezawa.

* * *

Bób, którego się przed wieki
Zrzekli Pitagorejczycy,
Przy radzie, rzucały Greki
W urnę gdzie liczono głosy.
—Ileż razy jego ziarno
Rozstrzygało ludów losy!

* * *

Zamyślony twórca szachów
Wzgardził blaskiem złotych gmachów,
I satrapijami ludnemi;
Żądał tylko ziarn pszenicy,
Zdwajanych na szachownicy;
A na tę nagrodę marną,
Nie starczyłby obszar ziemi!

* * *

Wojowniczy rolnik Romy,
Co od Cerery pośpiesza
Z Belloną rozsiewać gromy,
Nad białe kurulne trony,
Nad rydwan z laurów spleciony
Woli powrót do lemiesza.

* * *

Patronie pól Izydorze!
Tyś pług kochał, więc w twem czole

Wyorały dłonie boże
Skibę światła:—aureolę.

* * *

Nawet pół-bóg, co stanowi
Prawa w krajach porcelany,
Czuły hołd składa pługowi,
Gdy w święto wiosny, sam orze.

* * *

Lecz nikt w rolnictwa obronie,
Tak nie lśnił słońcem opieki,
Jak bartnik koronowany,
Co pług postawił przy tronie.

O Piaście! potężny micie,
Ty streszczasz narodu życie!
—Piasty królują przez wieki,
Polska przy nich głodu nie zna,
A ostatni królem chłopków!
Kaźmierzu! ty orłom Gniezna
Usłałeś gniazdo ze snopków.

* * *

Z wieńcem kłosów, z krzyżem w ręku
Polsko! matko wojowników,
Polsko! chlubna z dziewic wdzięku!
Polsko! tyś rajem rolników!

* * *

Smętne, koczujące plemię,
Niszcząc, dąży błędną drogą;
Kraj co im wywalczy zbroja
Żywi ich;—ale nie mogą
Rzec o żadnej ziemi:—„moja!“

* * *

Naród kupiecki, bez żalu
Rzuca swych praojców ziemię;
Tam jego kraj, gdzie go wabi
Woń wanilii, żar koralu,
Lub pieszczony zwój jedwabi.

* * *

Tylko ludy, co złożyły
Byt, nadzieję, w wiośnie żyznej;
Tylko ten, co przodków grzebie,
Obok swej przyszłej mogiły;
Ten tylko ziemi swej broni,
Bo już sercem przyrósł do niej.

O święte rolnictwo!—z ciebie
Wykwita miłość ojczyzny.

Deotyma (J. Łuszczewska).



DARY ŻYCIA.

...Wstrętna wiedźma z woskową, sfałdowaną twarzą,
Zaśmiawszy się ohydnie usty bezzębnemi,
Wytrząsnęła przedemną wszystko złoto ziemi,
Wszystkie skarby, o jakich dziewczęta w snach marzą...

Zaczem raj Mahometa pod jej kaczą nogą
Gdyby sezam się rozwarł... Podziwiałem chłodno
Girlandy nagich hurys, hordę pieszczot głodną.
Której czarne eunuchy utulić nie mogą...

Roztaczała przedemną przepychy przyrody,
Smętek fjordów norweskich, szkarłatne zachody,
Na alpejskich lodowcach.. Lecz wszystko napróżno!

Pogardziłem zmysłowych rozkoszy jałmużną,
Jakie za mękę życia wiedźma wzamian daje,
Nieskończenie piękniejsze pieszcząc w duszy raje...

W. Wolski.



OPŁATEK WIGILIJNY.

Łamię się z Wami dziś opłatkiem białym,
Wy wszyscy moi, dalecy, czy blizcy:
Wy. co za błędnej gwiazdy ideałem
Po świecieście się rozproszyli całym.
Wy, co pijecie z rzek lodowych zdroi,
Ducha nie dając pod troski nawałem,
Wy wierni, mocni, wytrwali — wy wszyscy,
Których rząd jasny przed wzrokiem mi stoi;
Związani ze mną węzłem wiecznie trwałym,
Z wami się łamię dziś opłatkiem białym.

I z wami, którzy w życia ciężkim trudzie
Orzecie ziemi naszej zagon twardy,
Czystego serca i uczynków ludzie,
W których duch mieszka na podłość za hardy,
Wy, co grodzicie się murem pogardy
Od tego, co jest pełzania zakałem;
W żadnego błota niestarzani brudzie,
Którym Bóg za to da dziś sen o cudzie:
Ukaże niebo z jego blaskiem całym,
Z wami się łamię dziś opłatkiem białym.

Z wszystkimi, których nieskalane dłonie,
Z wszystkimi, których postacie niezgięte,
Przez to, co kocha w własnem mojem łonie,
I w każdej ludzkiej piersi jest mi święte,
Dla Chrystusowej gwiazdy, co dziś płonie,
Dla Boga, który w ludzkości się rodzi,
Gdy duchy ludzkie idą wniebowzięte,
Dla tego, co nam w nędz i trosk powodzi
Zostaje jasnem, czystem i wspaniałem,
Łamię się z wami dziś opłatkiem białym.

M. Ilnicka.





PIEŚN JESIENNA.

Wkrótce nas chłód ogarnie wraz z mrokiem zimowym
Żegnaj żywa jasności zbyt krótkiego lata!
Słyszę już jak w podwórzach z łoskotem grobowym
Drzewo na bruk zrzucane posępnie kołata.

I w pierś mą wniknie zima, gniew, nienawiść wście-
kła.
Dreszcz. groza, przymus pracę czyniący niemiłą,
I jak słońce, gdy zajdzie w biegunowe piekła,
Serce me będzie tylko zmarzłą krasną bryłą.

I drżę za każdą więzią, co o bruk uderza;
Stuk głuchy, jak klecących rusztowanie młotów.
Umysł mój jest jak w gruzy padająca wieża
Pod ciosami taranu nieustannych grzmotów.

I pod dźwięk tych łoskotów monotonnych piesień,
Roję, iż się gdzieś trumna zabija z pośpiechem...
Dla kogo? wczoraj było lato; dzisiaj jesień!
A stuk ten dzwoni odjazd tajemniczem echem.

Lubię ócz twych podłużnych zielonawe błyski,
Miła ma, lecz dziś żółć mi wszystko truje, pali;

Dziś oddałbym ognisko , alkowę, uściski,
Miłość twą za błysk słońca, skrzący na mórz fali.

A jednak, czułe serce, kochaj mnie; bądź matką,
Nawet gdy cię niewdzięczność, gdy złość ma ugodzi;
Kochanko, siostro, miej tę słodycz nikłą, rzadką
Świetnej jesieni albo słońca, gdy zachodzi.

Nie na długo! grób czeka, grób chciwie ziejący!
Pozwól mi złożyć skronie na kolana twoje;
Niech po upałach lata i ogniach płaczący
Słodkim, żółtawym blaskiem jesieni się poję.

K. Baudelaire (przełożyli A. M-ski i A. Lange.)

POŻEGNANIE KOCHANKI.

Żegnajmy się, o luba! sprzeczne wiatry wieją,
Nadchodzi chwila, w której wiecznie się rozstaniem.
Już odtąd dzień tęsknotą, długa noc niespaniem
W zegarze naszych losów będą bić koleją

Zdziczeją nasze myśli, serca spustoszeją,
Stępią się blaski spojrzeń próżnem wyglądaniem,
Przygasną ust płomienie mary całowaniem—
Pożegnajmy się, luba, z sobą i nadzieją!

Nie—przestań, przestań płakać! Mam jeszcze sposoby,
Z moich słów, z twego łkania piosenkę złożymy.
Skoro zechcesz mię ujrzeć, zanuć płaczu rymy:

Choćbym grobów był więźniem, muszą pękać groby.
Co ja gadam, szalony? Marzę, jak z choroby?
Tem lepiej, że się tracąc, i rozum tracimy.

S. Goszczyński.



ZNUŻENIE SZATANA.

Na toni, gdzie w dal mglistą ludzkości łódź płynie,
Czasem opada złego rozszalała fala
I tylko z gniewnym mrukiem, jak zwierz, się prze-
wala.
A łódź szybuje równiej przez morskie głębinie.
Wnet mniejszym żarem zieją żądz piekielnych paszcze,
I chylą węże pokus syczące swe głowy
I rdzawe nienawiści kruszeją okowy
I zsuwają się pychy purpurowe płaszcze.

Przyczaja się pełznąca zbrodni karawana,
Bledną łuny pożarów, zarzewia pożogi,
Na żer lecących kruków cichnie wrzask złowrogi...
To przerwa w wiecznej walce,—znużenie Szatana!

Przymknąwszy czarnych skrzydeł olbrzymie powieki
Oto w mrokach chaosu siadł na skały zrębie,
I ukrył harde czoło w szpony rąk jastrzębie
I zamarł.—Któż odgadnie: na mig, czy na wieki?

Kto zgadnie? Milczy chaos i mrok i otchłanie...
A już kędyś wysoko rozpierzchły się chmury,
Błysnęło szczęścia słońce; radośnemi chóry
Kędyś dobra i prawdy wieszczą już nastanie.

Nagle szyderczym śmiechem wzdrygnęły się skały,
Jęknął chaos pod stopą, co znów go przygniata,
Błyskawica przeczenia mignęła wśród świata
I grom runął!... To demon porwał się zuchwały.

A na ziemi łzy krwawe znowu się polały,
A na ziemi za gardło znów brat chwycił brata.

I. Baliński.



PRZYPOWIEŚĆ WSCHODNIA.

Do Mahometa, jako przystoi,
Ze czcią przystąpił młodzian nieśmiały:
—„Pomarli—rzecze—rodzice moi.
Chciej mię pouczyć, czy nie ustały
Me obowiązki względem nich wszelkie?“

— „O nie! zostały cztery i wielkie:
Do Boga modły wznosić za niemi;
Długi ich wiernie spłacić na ziemi;
We czci zachować co szanowali:
Strzedz od ruiny co zbudowali!“

R. Zmorski.

ZEGARY.

Ludzie—istne zegary. Rozmaicie chodzą:
Są, co pilnują drogi od mistrza osnutej,
W porę biją godziny i znaczą minuty,
I oblicze swe z dźwiękiem harmonijnie godzą.

Są znowu, co postępem leniwym zawodzą,
Mierzą czas, jak żyd łokciem swój towar nadpsuty,
I znów takie co mają przyśpieszone rzuty,
I niedojrzałą przyszłość w obecności rodzą.

Lecz ze wszystkich najgorsze są takie zegary,
Co inaczej wskazują, a biją inaczej.
Człowiek ścisłość lubiący, głowę sobie łamie,

Radby, słuchając dźwięków, skłonić się do wiary,
To znowu na cyferblat patrzy, i w rozpaczy
Nie wie, czy młotek zwodzi, czy wskazówka kłamie.

J. Paszkowski.

FRAGMENT.

Błogosławiony po stokroć niech będzie,
Ktokolwiek idzie w imię dobrej sprawy!
Kto światło rzuca na ziemi krawędzie,
Kto ster umacnia u rozbitej nawy,
Kto w burzy czasów, wśród walk krwawych znoju,
Podejmie sztandar pracy i pokoju.

Błogosławiony, kto w sił swoich pocie,
Kruszy przesądów zastarzałych kraty,
I tym, co toną w odwiecznej ciemnocie,
Wnosi jak bóstwo iskierkę oświaty!
Błogosławiony, bo z tej iskry Bożej,
Rozbłyśnie światło, co ludziom dzień stworzy!

Ktokolwiek będzie z Wschodu czy Zachodu,
Bratem go swoim nazwie ludzkość cała,
Bowiem nie w imię jednego narodu,
Lecz w imię całej ludzkości on działa,
I błogosławion ten lud i kraina,
Co go przygarną jak brata i syna.

Biada narodom, co swoje proroki
Chłostą szyderstwa ścigają niegodnie;
Biada tej glebie, co ma grunt z opoki,
Na który deszcze padają bezpłodnie!
Bo głos proroka przebrzmi przez pustynię,
Bo deszcz po skale bez śladu przepłynie.

Błogosławieni! którzy światło niosą
Oblani wschodu słonecznym szkarłatem!
Świat uznojone czoło krwawą rosą
Pochyli przed ich cichym majestatem;
I gdy się ciemność wszędzie rozzuchwali,
Od ich promienia nowy świat zapali!

W. Bełza.

HEAUTONTIMOROUMENOS.

Bez nienawiści i bezgniewny,
Jak rzeźnik będę niósł ci razy,
Jak Mojżesz, gdy bił w skalne głazy!
Aż łez cierpienia zdrój ulewny,
        Aby orzeźwić mą pustynię,
        Z pod powiek twoich się wyleje.
        Żądza ma gnana przez nadzieję,
        Na słonych twoich łzach popłynie.
Jak chyża łódź po morskim szlaku,
I w sercu mem, gdy je ukoję,
Brzmieć będą drogie łkania twoje,
Jak bęben gdy gra do ataku!
        Nie jestem—że fałszywym tonem
        W harmonji świata zgodnie brzmiący,
        Dzięki Ironji tej gryzącej,
        Co gryząc wstrząsa mojem łonem?
W mym głosie tętnią jej gorycze,
Krew moja jest jej jadem czarnym,
Jam lustrem jędzy tej poczwarnem,
W którem przegląda swe oblicze!
        Bom ja jest raną i bułatem,
        Zniewagą i zelżonym społem,
        Członkami i kruszącem kołem,
        Jam jest ofiarą i jej katem!
Upiór pierś własną ssący wrogo,
Jam jest z tych wielkich opuszczonych,
Na śmiech wieczysty potępionych,
A którzy śmiać się już nie mogą!

K. Baudelaire (przełożyli A. M-ski i A. Lange).





B. Zaleski.

ŻEBY.

Żeby to mnie! żeby owo!
Żeby tak, lub tak się wiodło!“
Człowiek żeby ma za godło;
Żeby pierwsze nasze słowo.
Żeby tacy byli bliźnie!
Żeby tak, lub tak w ojczyźnie.
Żeby żona! żeby domek!
Żeby—żeby znów potomek!
Wciąż niepokój dzwoni z łona:
Insze, insze znów potrzeby,
Liczba zer, a nieskończona,
Niż chwil w życiu więcej—żeby;
Człowiek tu na ziemi gości.
Żeby! zawsze czegoś trzeba.
Och! Przestrzeni—i wieczności!
Ojcowskiego domu—nieba!
Człowiek, żeby już nie powie,
Gdy ożyje tam—duchowie.

B. Zaleski.

BOŻE NARODZENIE.

Bezbrzeżne czasu obiedwie otchłanie,
Początku—otchłań, ku otchłani końca,
Grzmiały od wschodu do zachodu słońca,
W nocy, jak we dnie grzmiały: „Ojcze Panie!
Kiedyż Twój święty Duch znijdzie na ziemię,
Rodziców grzesznych rozradować plemię?

Jęk przeraźliwy, rozciągły, sierocy,
Przez wieki wieków nawoływał Ducha;
Drżał w sercu ludzkiem, a nie szedł do ucha:
Wieść jeno cichą chwytali prorocy,
Zwycięzcy ciała, postem wynękani,
Z puszcz pobrzmiewali za jękiem otchłani:

„Raduj się ziemio! hosanna! hosanna!
Pan Odkupiciel—Emanuel idzie.
Nasienie Boże w Jakubie! Dawidzie!
Niepokalana, Przenajświętsza Panna,
Ewa Królowa, nastąpi na węża!
Słowo stało się ciałem i zwycięża!

Błogosławionaś zaprawdę Niewiasto,
Między niewiasty jaśniejąca wieńcem:
Albowiem święty Duch Twym oblubieńcem!
Drobne Betlejem niepośledenieś miasto,
Między miastami! Ujrzysz wielkie rzeczy:
Bowiem mieszkańcem twoim Syn człowieczy!

Uderzmyż czołem grodów uczestnicy!
Świętych proroków iszczą się nam słowa:
Syn Boży z nami; wieść Gabryelowa,
Oto ów Owoc Żywota Dziewicy;
Lilija biała, wonna Betlejemu,
Służy Dzieciątku i Panu swojemu!

I Ojciec z Nieba świeci rószczką cudów,
Wielka rumieńcem zapłoniona Zorza,
Zwiastuje blaskiem na wszech ziem przestworza,
Że się narodził Pan wieków i ludów:
Stolica jego niepyszna lepianka;
Król krolów w żłobku— i na garści sianka,

Spieszą pod jasnej przewodnictwem zorzy,
Sercem, skłonieni ku najczystszej Wierze:
Lud ubożuchny, prostacy, pasterze;
I śpieszą zdala pokłonić się skorzy,
Z mirrą i złotem—żyjący duchowie,
Trzej święci mędrcy, jako Trzej Królowie.

Gotuje Herod wyrok swój zbrodniczy,
Złość stu kolcami wskróś duszy mu bodzie:
Spełnienie proroctw! Nowy król w narodzie!
Gdzieś—jakieś Dziecko—co go wydziedziczy!
Kłyczastą brodę targa i szaleje.
Pustoszą jego katy Galileję.

Słychać głos w Rhamie. Straszny jęk niewieści
Najdalszy kraju odbija zakątek,
Pomordowanych swoich niewiniątek
Żałują matki w niezmiernej boleści,
We dnie i w nocy z mokremi oczyma,
Niepocieszone, przeto że ich nie ma.

Ojciec bluźniącym dobrodziejstwo czyni,
Pieści na łonie rówieśników Syna!
„Prostujcie ścieżki".—Jan już upomina;
Poprzednik mistrza tęskni ku pustyni.
Mistrz z matką swoją, daleko na chwili
Czeka—aż pomrą—którzy nań godzili.

Obiedwie czasu bezbrzeżne otchłanie,
Jako rozjęte po modlitwie ręce,
Klaszczą ku sobie roznośniej w podzięce:
Tysiąc pokoleń woła: Ojcze! Panie!
W Synu my Twoim radujem się wielce.
Niech nas obdzieli krwią swą po kropelce!

„Arka wypada z domu Izraela"
Synowie jęcząc błądzą rozproszeni;
Czcicielów sobie Pan wzbudza z kamieni,
Któryż z narodów upodoba wiela,
Kędy sercami, usty i pokłony,
Aż do dnia Sądu—będzie uwielbiony?

B. Zaleski.

DZIEŃ DOBRY.

Dzień dobry! Podnieś oczy! niech się słońce dziwi
Zobaczywszy dwie gwiazdy niezgaszone świtem!
Spojrzyj. Niebo wysoko, a są nieszczęśliwi,
Których serca po ziemi gonią za błękitem!

Spojrzyj... Patrz! Gdzie promienie złocistych warkoczy
Myśl moja smutna leci... klęka... łzami prószy!
Spojrzyj! inaczej powiem, że masz gwiazdy—oczy,
A noc ponurą, ciemną, noc w piersiach i duszy!

K. Laskowski (El).

RĘKA W MŁOCARNI.

Toczą się pasy, zgrzytają kół zęby...
Nie spoczywając, choć pot rosi czoło,
        Pieją najmici wesoło.

Wtem krzyk szalony, okropny krzyk dziki,
Ryk rozdartego w leśnej kniei zwierza
        Nagle w powietrze uderza...

Porwana w tryby młocarni się kręci
Skrwawiona ręka,—o, dolo przeklęta!—
        Kobieca ręka ucięta.

Toczą się pasy, zgrzytają kół zęby,
Lecz raźną pieśnią już głosy najmitów
        Nie brzmią, wśród trzasku i zgrzytów.

Z potem zmieszane po twarzach łzy płyną...
Grzmi motor, huczy młocarnia parowa,
        Głusząc westchnienia i słowa.

A między tryby kręci się i kręci
Skrwawiona ręka,—o, dolo przeklęta!—
        Kobieca ręka ucięta.

A. Negri (przekład M. Konopnickiej).

DZIEWCZĘ POLSKIE.

„Panowie bracia! dalej na konie!
Daleko mamy pohasać;
Tam w owej stronie, gdzie łuna płonie,
Tam, tam będziemy popasać!“

Na konie wskoczą, sztandar roztoczą,
Wesoło trąbka zadzwoni;
Rumaki spięli, bramę minęli,
A na ich czele on goni.

Pędzą bez drogi, miną rozłogi,
Miną i stepy i pola,
Aż gdzie dokoła plądruje sioła
Zawolczyk, czartów swawola.

„Hej, bracia wiara! męstwo i wiara!
Odwaga bracia! Bóg z nami!“
Furknęły piki, runęły szyki,
I już się sieką z wrogami!

Ho! ho! gdzie nasza zafurknie pika,
Próżno się bronisz psi synie!
Hartowna pika, w krwi najezdnika
Łupieżcy serca nie minie!

Znajcie zuchwali grom polskiej stali!
Już ich wysiekli i lecą,
Aż gdzie za siołem tańczą półkołem.
Gdzie półmiesiące się świecą!

„Hej bracia wiara! męstwo i wiara!
Odwaga bracia! Bóg z nami!“
Zgęszczą się szyki, zafurkną piki,
I już się sieką z wrogami.

„Wiara, wesoło!“ wpadli na czoło,
I już na karkach im siedzą;
Szyki złamali, w trąbkę zagrali,
Tatarzy, gdzie ujść, nie wiedzą.

Tam, tam, na prawo, mknie Tatar żwawo,
Przy nim na siodle dziewczyna;

„Hej, za mną dzieci!“ kordem zaświeci,
„To moja córka jedyna!“

Ten żwawo goni, ów żwawo stroni;
Lecz przed Zawolcem Dniestr płynie,
Wstrzymał się w biegu, stanął u brzegu,
Spiął konia—już na głębinie.

Dziewczę się zrywa i Boga wzywa,
I pchnie Tatara na tonie;
Konia zwróciła, na brzeg wskoczyła,
I już u ojca na łonie!

L. Jabłonowski.



GORĄCZKA.*

Żółta szata ją kryje; wargi ma spieczone,
krwawy wypiek na licach i oddech zatruty;
w oku obłęd się pali; pot ją zrasza suty;
mak i zwiędły heljotrop tworzą jej koronę.

Kurczowo prężąc palce przybliża się do mnie:
woń jej wieńca mnie dusi, jej oddech mię piecze,
wzrok jej myśli me miesza i zmieszane wlecze
w otchłań jakąś gorącą a mglistą ogromnie...

Już mnie chwyta w ramiona i dziko namiętnie,
ssać zaczyna krew z żył mych.—dech mi w piersiach tłumi;
ciężar jej mię przygniata; czuję w każdem tętnie

jej truciznę; bezsilny obłęd mnie napada;
ogień żre me wnętrzności; w uszach dzwoni, szumi,
w oczach ćmi się—a ona z czaszki mózg wyjada!

J. Żuławski.



KOŁEK BRONOWY.

Z pod Saragossy wojak stęskniony,
Wraca powitać ojczyste strony:
Darł się jak tygrys, rąbał jak mistrze,
Toż za to dźwiga pustki w tornistrze,
Na grzbiecie mundur skiereszowany,
Na piersi krzyżyk, pod nim dwie rany,
Na czole szramę i kulkę w biodrze:
Ot, los wojaka obdarzył szczodrze!

Wraca radośnie lecz coś niesporo...
I choć sękatą zbrojny podporą,
Z czasu do czasu syknięciem wyzna,
Że ta lub owa dolega blizna,
Że kiedy w biodrze hiszpańska kula,
Trudno udawać biegaczów króla.

Syknie i wolniej omija łany,
Chyba gdzie zoczy kościółek znany,
Starą dzwonnicę, pochyłą wieżę,
Albo znajome sioło dostrzeże,
Wstrzyma się chwilę, bije mu serce,
Już zapomina i o żołnierce,
I że dolega noga przebita...
Tylko ze łzami te pola wita,
Co swem powietrzem, co wonią swoją,
Ciała i ducha boleści goją.

Stanie, poduma, Boga pochwali
I pokrzepiony wędruje dalej.

Słońce zachodzi, noc niedaleko,
Rodzinna strzecha za siódmą rzeką,
Jeszcze do domu niemało drogi,
A już do reszty ustają nogi;
Trzeba posiłku, spoczynku trzeba,
W tornistrze niema kawałka chleba.
Ale w pobliżu bieleje wioska:
Po nad chatami Opatrzność Boska,
W chacie mieszkają dobrzy ludziska,
Toć nie odmówią mu przytuliska!

A choć i takich spotkać się zdarzy,
Co odprawiają z niczem nędzarzy,
Przemyślny wiarus spokojny o to:
Trafić do serca jego robotą,
Przyjaznem słówkiem, żartem na dobie,
Niewinną psotą zjedna je sobie,
I choć na wstępie zagrożon klęską,
Zawsze w ostatku wyjdzie zwycięsko.
Umiał się przedrzeć przez Pireneje,
Toż mu nie łatwo tracić nadzieję.

Więc trochę prędzej naprzód się zbliża,
Aż na rozdrożu, około krzyża,
Odkrywszy głowę jak wszyscy wierni,
Spostrzegł na ziemi, że się coś czerni,

Zwykle co w myśli, to przed oczyma,
Chleb u głodnego pierwszeństwo trzyma,
Toż wojak, sądząc, że łaska nieba
Zsyła mu w porę krajankę chleba,
Schylił się żwawo... lecz zawiedziony,
Pochwycił w rękę—kołek od brony.

Posmutniał biedny... Ha! myśli sobie,
Toćże i z tego użytek zrobię,
Chleb byłby lepszy, już to rzecz pewna,
Ależ go upiec trudno bez drewna:
I to się przyda, pod chleb podpali,
Więc do tornistra—i ruszył dalej.

Doszedł do wioski, do pierwszej chaty,
Prosi o nocleg wiarus wąsaty,
Ale na wstępie, coś gospodyni,
Niezbyt pocieszną nadzieję czyni,
Coś jej nie wzrusza stary kaleka,
Na ciężkie czasy przed nim narzeka,
Bolesnym skargom rozpuszcza wodze:
Jak mąż daremnie pracuje srodze,
Jak się i ona krwawo mozoli,
Jednak nie zdoła przemódz niedoli.
Aż zakończyła w sposób najgładszy:
„Panie żołnierzu, niech Bóg opatrzy!“

Ale się żołnierz ułudzić nie da.
Pozna gdzie dobrze, pozna gdzie bieda.
Spojrzał po izbie i jakoś wcale
Nie mógł uwierzyć w udane żale;
A suty ogień co grzał z kominka,
A przy tym ogniu garnek i rynka,
A z rynki zapach głodnemu miły,
Kłamstwo gosposi całkiem zdradziły.

—„Ha! rzecze zatem: kiedy w komorze
Strudzony kąta znaleść nie może,
Toż go obdarzcie wytchnienia chwilką,
Dajcie u ognia ogrzać się tylko,
Więcej nie żądam, bo na złe czasy,
Noszę w tornistrze własne zapasy.
Siedzi w nim sztuczka! W skorym zapędzie
Przyporządziwszy, rosół z niej będzie!“
I raz powziąwszy koncept do głowy,
Wyjął z tornistra—kołek bronowy.

— „O święty Jezu! to z każdej strony
Wygląda jakby kołek od brony,
I z tego rosół?“
— „Czekajcie matko!
Jak się opłucze, oskrobie gładko,
Trochę posoli, trochę opieprzy,
To i w Hiszpanii nie bywał lepszy!“

Więc gospodynię ciekawość zdjęła,
A zmyślny wiarus, dalej do dzieła!
Aż mu z pośpiechu ręce się trzęsą:
Płucze, żyłuje niby to mięso,
Nalewa wodą, do ognia stawia,
I jeszcze bardziej ją zaciekawia.

Po chwili w garnku burzy się, pieni...
Żołnierz tymczasem szuka w kieszeni,
Szuka w tornistrze, aż mimowoli,
Gosposia pyta;—Czego brak?“
— „Soli!“
— „No, bieda ciężka, słowo nie płoche,
Ależ znów soli znajdzie się trochę“.
I miarka soli wleciała w wrzątek;

Żołnierz pomyślał: nie zły początek!
Więc po przestanku, przebiegła sztuka,
Znowu w tornistrze szuka i szuka.
— „Czegóż wam braknie?„
— „At, nic! widzicie,
Różnie się rosół jada w Madrycie;
Raz z kartoflami jedzą z ochotą,
Niekiedy z grochem, lub kluski gniotą.
Ale że kluski zajęciem straszą,
Więc w Saragossie najlepszy z kaszą“.

— "A to jak u nas... jeno nam bieda
Nawet od święta rosołu nie da!
Nie pomnę smaku, pustki w komorze,
No, aleć kaszy znajdzie się może“.

I zabawiwszy wcale nie długo,
Wsypała garstkę jedną i grugą,
Aż żołnierzysko pokręsił wąsa,
I znów warząchwią kołek potrząsa;
Miesza przyprawę w tę i w tę stronę,
Wreszcie rzekł:— „Szkoda, że nie kraszone!
Na Pirenejach sposób jedyny,
Dodawać smalcu albo słoniny,
Lecz w Pampelonie ta moda zgasła:
Jak nie ma szperki, dodają masła“.

—„Oj! biedaż, bieda! ciężkie to czasy!
U nas się rosół je bez okrasy,
Ale że krówkę mamy w oborze,
Toć krzynę masła wynajdę może“.
I wynalazła!... Aż żołnierzysko
Zasalutował przed pełną miską!
Okrasił owoc ciężkich obrotów
I rzekł:— „Bóg zapłać, rosół już gotów!“

Gosposia patrzy... — „O! Matko nasza!
Dyć że ten rosół rychtyg jak kasza,
Jeno że trochę pachnie żywicą!...“

— „Żołnierze chętnie takim się sycą!
Tylko widzicie, że w stronach owych
Czasem nam brakło kołków bronowych!“

J. Chęciński.

NARODZINY WIOSNY.

Gdy pierwszy nastał dzień wschodzącej wiosny młodej,
Najpierwszy zbudził się śpiący na dnie bóg wody,
I powstał z chłodnych leż i głową kędzierzawą
Uderzył w lód, co legł na rzece lśniącą ławą,
I rozpękł z hukiem lód i z prądem kry się suną,
A w słońcu suszył bóg swą głowę krętoruną.—
A gdy goręcej blask słoneczny padł na gaje,
Bogini wonnych ziół z pościeli miękkiej wstaje,
I rozpuściła włos, co aż do ziemi spływa,
I naga polem szła bogini złotogrzywa,
A kędy pola tknie jej włos, tam wnet się trawy
Zielona puści ruń i szczaw zielono-rdzawy.—
Owiana ciepłem zórz, wiosennych tchem powiewów,
Pieszczona wonią sfer, z różanych wyszła krzewów
I uśmiechnęła się do złcistego słońca
Bogini, córa nieb, kwiatami władająca.
W złocisty szafir ócz objęła świat miłośnie,
A kędy spojrzy, kwiat prześliczny wnet wyrośnie
I wkoło lilji, róż, narcyzów kwitnie mnóstwo,
A wśród nich słońcu śle uśmiechy jasne bóstwo.—
I powstał lasów bóg, strząsł zwiędłe liście z głowy,
I z świeżych sobie wnet splótł liści wian dębowy,
I rozkołysał drzew gałęzie i konary,
I słuchał — — płynął hymn, hymn uroczysty, stary,
I długo słuchał bóg w powadze i zadumie
Odwiecznych baśni w tym rozkołysanych szumie.—
Brodatych Faunów huf i śnieżne nimfy społem .
Za ręce wziąwszy się, pląsają nadzy kołem,
Na łące, kędy blask od słońca złoty pada —
Przy cudnej wiatru grze tam pląsa bóstw gromada,
Świat pachnie, lśni się w krąg i jakaś moc miłosna
Lubieżnie pieści go... Rodząca wstała wiosna.

K. Przerwa-Tetmajer.

PORÓWNANIE.

Zadęło wichurą, powiało!
Tumany śnieżne w krąg płyną...
I zima rozściela pierś białą,
      Białą, jak twoja, dziewczyno!

Z srebrzonym wianuszkiem u czoła
Objęła w uścisk dal siną...
I mroźno i zimno dokoła,
      Jak przy twych piersiach, dziewczyno!

K. Laskowski (El).

SAM NA SAM.

Tu... sama z tobą, z tobą! Daj, o, daj mi
Wypłakać na swem sercu wszystkie łkania,
Od tylu, tylu lat wezbrane w piersi
Wszystkie tajone smutki, pożądania...

      Potrzeba mi płaczu!

Na twojem łonie bijącem, o, daj mi,
Daj ukryć, wesprzeć me skronie znużone,
Jak kryje głowę ptak trwożny pod skrzydło,
Jak róża wspiera zbyt pełną koronę...

      Potrzeba mi spokoju!

Do twego czoła młodego—o, daj mi
Przycisnąć usta płomienne i drżące!
Daj, niechaj szepną tobie jedno słowo,
Słowo szalone i upajające..

      —Potrzeba mi—miłości!

A. Negri (przekład M. Konopnickiej).

CO MÓWI TRUMNA?

Ach! wy myślicie, że gdy we mnie gości
Trup zabitego niewinnie człowieka,
Tom zaraz pełna urazy i złości?
Że w moich deskach zajadle coś szczeka
I wyje głosem zgłodniałych szakali,
Byście zabójców na żer mi oddali?

Ach, wy myślicie, że gdy bladą zgrają
Czarny mój ołtarz otoczą morderce,
To się na trupie rany otwierają
I krwi fontannę rzuca jego serce?
Że przez ran usta trup krzyczy zjadliwie:
„Nie spocznę póki zabójca mój żywie!"

Zbliżcie się—patrzcie, jakam nieruchoma!
Me ciało—drewno; mój gość—lód i kamień...
Ze złożonemi na piersiach rękoma
Leży trup próżny życiowych omamień,
I jest jak pusty dom, z kartą, co wieści:
„Gospodarz wyszedł i przepadł bez wieści..."

Nie przepadł—żyje! Lecz mieszka wysoko,
Skąd ziemski zamęt niewidny mu zgoła;
Na rzeczy wieczne zwrócone ma oko,
Swych krzywd pamiętać i mścić się nie zdoła.
W męczeńskiej glorji odziany promienie,
Błaga dla katów swych o przebaczenie.

Ani się zżyma, ani o co żali,
Ciche, bezpieczne znalazł we mnie łoże...
Lecz wy! będziecież tak spokojnie spali,
Gdy was dziś, jutro, na sen wieczny złożę,
I gdy on wówczas, w biel śmierci przybrany,
Przed wami stanie i—wskaże swe rany?...

W. Gomulicki.

Z POEMATU „LAS“.

Z każdym dniem las mię większym otacza urokiem
I staje się piękniejszym, droższym w każdej dobie,
Zachwyca ciszą, szumem, gęstwiny swej mrokiem...
Lesie! jam duszą całą rozkochał się w tobie!

Ja kocham was, szanowne szczątki naszych borów,
Sosny nasze, jawory, graby, brzozy, dęby!...
Witam was! nim padniecie pod ostrzem toporów,
Nim wandalizm pił swoich w was zapuści zęby!

Nim was komin fabryczny w swej paszczy pogrzebie,
O, lesie mój rodzinny! niech dziś witam ciebie,
Niech twą krasą, urokiem nasycę źrenicę...

Skarbie nasz! naród z ciebie możny był i dumny;
Mieliśmy z darów twoich kolebki i trumny,
Ciepło—chaty—świątynie—ha!... i szubienice!...

W. Wysocki.

ZROZUMIAŁA.

Siedzi panna w Łazienkowskim parku
I, ziewając, czuły romans czyta;
Puls jej bije. równo jak w zegarku,
Bo myśl książki jeszcze dla niej skryta.

Wszystko w słońcu płonie i rozkwita,
Pełno życia w każdym zakamarku;
Wśród gęstwiny naga Afrodyta
Wabi Bacha o klasycznym karku.

Panna książkę przymknęła i marzy:
W jakim celu świąteczność ta cała?
I co znaczą zachwyty pisarzy?

Nagle wzrok jej spotkał bogów ciała...
Blask rumieńca miga na jej twarzy,
Ręką serce ciśnie... Zrozumiała!

W. Gomulicki.



PRZEBUDZENIE.

Wiesz—to piorun mię zbudził, gdy senna i biała
Oczekiwałam w ciszy, gdy zmęczona, drżąca,
Spalonemi wargami przyzywałam słońca...
To błyskawica padła w serce—i skonała.

Wiesz, ja skarżę się dzisiaj, bo on mnie nie słucha,
Bo mi tak strasznie smutno po słońca zachodzie
Znowu chodzę po kwiatach umarłych w ogrodzie—
Słyszysz ty!—ja się boję... taka pustka głucha.

Wiesz—jak ptak jestem dzisiaj skostniała, zmęczona—
Długo biłam skrzydłami w skały granitowe,
Dziś—własną krwią pijana—ściskam chorą głowę
I dyszę nieprzytomnie, jak ptak, kiedy kona.

Doprawdy—ja sił nie mam... Wzrokiem obłąkańca
Patrzę—w samo dno duszy, trwogą oszalała—
Nie płacz—ja sama będę za chwilę się śmiała,
Tylko jeszcze nie teraz—i pójdę do tańca...

Tylko jeszcze nie teraz... Wiesz—ta myśl paląca,
Ten szał bólu i trwogi, ta pustka wokoło...
Nie płacz... Widzisz, już kończę. Jak ja, podnieść czoło,
Z ust zetrzeć krew i pianę—i śmiać się do słońca.

L. Rygier Nałkowska.

ZACHOWAJ SŁOWO...

Zachowaj słowo cierpliwości moje:
Jam ten, co wilki i jastrzębie poję,
A patrzę, jako rwą jagnięta w dwoje...

Ten, co ujmuje ginącym od głodu,
A mnoży skarby możnego od rodu
I przeciw słabym umacnia mur grodu...

Ten, co niziny zatapia wylewem,
Co płód niedoszły powala wraz z drzewem,
Co groby karmi żywota posiewem...

Jam ten, co patrzy bez błysku i gromu
Na znieważony cichego próg domu,
Na głowy zwiędłe wśród krzywdy i sromu...

Jam ten, co słońcem ozłaca blask mieczy,
Co kłamiącemu moc Bożą—nie przeczy...
— A niech się uczy ze mnie syn człowieczy!

M. Konopnicka.

HELLAS.

Patrz! Ateny przed tobą—dalej Teb zwaliska,
Metropolia Korynny—dzisiaj—gród żałoby,
A tam w dali nad morzem stromych gór urwiska,
To Oeta—Termopyle! trzystu Spartan groby.

Milczy głuchy Maraton... w Jowisza świątynię
Piorun bije bezkarnie—wszak to głaz wiekowy,
Już się z jego głębiny piorun nie wywinie,
Zadrży olbrzym spróchniały i brzęknie okowy,

Grecyo! matko natchnienia, dziś biedny wędrowiec
Błądzi okiem zamglonem i szuka olbrzyma,
Z twojej sławy wiekowej został się—grobowiec.

Wzrok dziejów nad nim tylko dzisiaj się zatrzyma.
Gdzież twe syny Hellado?—pytam się odpowiedz,
Głuche w koło milczenie... Hellady już niema...

A. Kraushar.

GERO NA LACHACH.

Z chaty do chaty leci wieść
Zachodni wiatr ją począł nieść,
Płacze nią w polach—w możny dwór,
Bije nią jako piorun z chmur,
Przeraża panów, rycerzy, kmieci—
Zatrważa starców, matki, dzieci;
Pomordowanych książąt wdowy
Ze snu takiemi budzi słowy;

— O! płaczcie wdowy; płakać czas,
Niema już komu bronić was!
Niema już komu bronić grodu,
Ni kmiecej strzechy, ni narodu.—
Mężowie wasi, wasi kochani,
W domu Gerona pomordowani.
I zapłakały wdowy wraz:
„Niema już komu bronić nas!"

A mężny Gero syna do się zwie,
„Sygfrydzie, rzecze, młody ty mój lwie,
Trzoda bez stróża łupami dla zwierza,
Naród bez wodza łupem dla rycerza,
Wybiłem wodzów z nadodrzańskich stron—
Waleczny synu—pójdźmy zbierać plon!"
Tak wyrzekł Gero, i na ławie siada,
Lecz Sygfryd stoi i nie odpowiada.

Więc Gero znowu: „Nasz cesarz i Pan,
Znany z potęgi a i z łaski znan;
Lecz pańska łaska, to szalony koń,
Dziś mu ta miłą, jutro owa błoń.
Dobrze, gdy pomny Pan swojej czeladzi,
Lepiej, gdy sługa sam o sobie radzi.

— „Dziś ja margrafem, Otto możny król;
Dla mnież to niema na królestwo pól?
Otto po Łabę—moje państwo dalej—
Synu! Sygfrydzie, będziem królowali,
Prześcigniem całą Ottonową moc,
Zbierz lud, na Sławian wyruszymy w noc".

A Sygfryd rzecze: „Ojcze, Bóg ukarze;
Pomordowanych śniły mi się twarze,
Śniły się w nocy w strasznym, wieszczym śnie.
Ojcze, ty zgubisz i siebie, i mnie!“

Lecz Gero powstał, zmarszczył czarną brew,
I rzecze groźno: „Myślałem, żeś lew,
A ciebie widzę trwoży jasna stal—
Młodej ci żony i uścisków żal“.
Więc poszedł Sygfryd zbierać lud do wojny,
A Geron usiadł i dumał spokojny.

A gdy na zamek spadła noc,
Stanęła rzędem grafa moc.
Stanęła licznie po rozkazie,
Od stóp do głowy w żelazie
I rżą rumaki, biedz gotowe,
Tylko graf Sygfryd spuścił głowę.
W oknie go płacze żona młoda,
Szkoda mu żony, lat mu szkoda.

Lecz Gero skinął—skoczą wraz,
Od setnych kopyt zagrzmiał głaz,
Od okna biała
Chustka powiała,
Powiała może ostatni raz.
I lecą, palą grody, wsie,
Do grafa kolan lud się gnie,
A którzy klękną, już nie powstają;
Mężów Gerona knechty ścinają,
Dziatwę i żony gonią w plon,
Tak graf buduje sobie tron.

A gdy już w Odrę mieli skoczyć wpław:
„Sygfrydzie, synu, rzecze dumny graf—
Coś tak posępny—czego stronisz mnie?“.
„Pomordowanych znów widziałem w śnie“.

„Ha—ha! to dobrze—dobrześ synu śnił,
Jutro Lach będzie u nóg mi się wił“.
A Sygfryd rzecze: „Ojcze, Bóg ukarze,
Pomordowani mieli groźne twarze“.

Lecz graf nie słucha. Spiął się pod nim koń—
Pognai przez pola, skoczył w modrą toń —
Szeregi za nim śród spienionych fal.
Dobili brzegu. Gero wznosi stal
I woła: "Synu! jutro z Lachem boje—
Jutro królestwo oddam w ręce twoje".

Rozbili obóz; zaszła cicha noc—
Graf się zadumał, waży swoją moc.
Sygfryd obchodzi obozowe straże,
Radby zapomnieć pościnanych twarze
I usnąć radby, lecz się lęka śnić.
Usnęli...

Rankiem zorzy złota nić
Obiegła mgłami zaciemniony wschód
I budzi obóz u odrzańskich wód.
„Synu—graf rzecze—czego patrzysz w dal?"
„Patrzę jak w zorzy błyszczy Lachów stal!".
„Gdzie? pokaż! wzrok mroczy się od snu".
„Patrzaj mój Ojcze zbliżają się tu".
„Na koń! graf krzyknął—Lachów książę sam
Do kolan dzisiaj pokłoni się nam!"

I stają męże, Gero stawia szyki,
Z borów wychodzą lackie wojowniki,
Oblani zorzą wznoszą jasną broń:
Piękny—dorodny każdy mąż i koń.
Mieszko ich wiedzie na hufy Gerona—
Przy Mieszku z orłem chorągiew czerwona.

„Naprzód Sygfrydzie! niedługi tu trud!"
Zawołał Gero—i już zwarł się lud.
Skruszyli kopie, miecze chwycą wraz,
W tarcze i w hełmy wiodą, silny raz,
Skruszyli miecze, chwycą za topory;
Szczęk się rozlega przez pola i bory.
„Ojcze Geronie, ciężka z Lachem gra—
Dzielnie Lach walczy—twarde ramię ma".
„Tem większa sława dla nas synu mój,
Koronę da nam ten rycerski bój!"
I poskoczyli do boju ochoczo,
Pewni, że z Lachów wszystką krew wytoczą.

I znowu rzecze Sygfryd: „Tu nam kres!“
„Nie—nie mój synu, Lacha weźmie bies“,
I znowu walczą, lecz wtem pęka szyk—
„Sława Mieszkowi!“ Lachy wznieśli krzyk
I tną Germanów toporami wkoło:
Gero i Sygfryd jeszcze stawią czoło.

Lecz wtem: „Sygfrydzie!“ jęknął graf i zbladł—
Pod ciosem Mieszka młody Sygfryd padł.
Padł z rozłupaną wpół toporem głową
I oblał się krwi strugą purpurową.
O! grafie, jakaż boleść ciebie zgina?
Innej purpury chciałeś ty dla syna...

I w drżące ręce syna chwycił graf—
Skoczył do Odry—przebywa ją wpław:
Za nim rycerstwo, knechty skaczą w toń,
Resztę tnie w polu sroga Lachów broń.
Tak się skończyła wyprawa Gerona,
Tak go minęły sława i korona.

A kiedy wrócił, zbroję z siebie zdjął,
Odział się kutą, kij do ręki wziął,
I szedł w pielgrzymkę, jak uczynił ślub—
Potem dla syna wymurował grób,
I wraz z synową klękał na tym grobie,
I płakał rzewnie i złorzeczył sobie.

M. Romanowski.



POZYTYWIZM.

Za ludzkich pojęć, blizką, tuż granicą,
Nieskończoności ścielą się pomroki.
Plac w nich do guseł dojrzawszy szeroki,
Wiara je swoją wybrała dzielnicą,
I my dziś w buncie, za wiedzy pochodnią,
Przywłaszczycielkę spychamy z jej tronów,
Niechaj w upiory ciemne się nie płodnią,
Skończył się wiek zabobonów.

Lecz twój zwycięzca, o praojców wiaro!
Tryumfom własnym sprostać nie podoła,
On ciebie tracąc, stracił wszystko zgoła,
Kat nad zgnębioną chyli się ofiarą,
Obcy słodyczom nadziei, ufności—
Niezdolny z musem walczyć przeznaczenia;
Żądny duch jego, co chwila z nicości,
Nad przepaść wraca zwątpienia.

I. S. Chamiec.

DZWON.

Rozkołysany dzwon cudnej roboty
Chwiał się w powietrzu, a w słońca promieniu
Błyskał, choć z bronzu, jak gdyby był złoty,
A na spiż czerniał, gdy znalazł się w cieniu;
Niezmordowanie powtarzał obroty;
Podziw się szerzył wśród patrzących ludzi,
Że dzwon tak wielki, a jednak nie budzi
Żadnych porywów, marzen, ni tęsknoty.
Próżno słuch prężą: w powietrzu się trzyma
Jeno wark głuchy, zresztą żadna nuta
Skłóconej sfery dźwiękiem nie przewierca.
—Co to jest?—Czemu nie słychać olbrzyma?
Lśniąca powłoka misternie wykuta
Była, lecz wewnątrz brakowało serca.

G. Daniłowski.

NA CZEŚĆ KOPERNIKA.

Mojżesz, lud chroniąc od niewoli zgonu,
Sam, głowa ludu, po niebios orędzie
Dotarł—do stopni Przedwiecznego tronu...
I dał nam poznać Boga, jako Sędzię.

Chrystus, przebywszy ludzkich cierpień drogi
Z padołu świata, z boleści ogrojca
Wstąpił do niebios, jak w domowe progi,
I w Bogu wskazał wspólnego nam Ojca.

Kopernik, żeglarz słonecznych szkarłatów!
W potędze myśli, niby w lotnej chmurce
Duchem się przeniósł do pracowni światów...
I tam oglądał Boga, jako Stwórcę.

Kolumbie niebios! Za twoim przewodem
Człowiek umysłem w nieskończoność wzlata...
Przeczuwa wspólność z wszechświatów narodem
I już się nie ma za pana wszechświata.

Już mu pokłonów nie bije na niebie
Słońce z gwiazdami przez złudne obroty,
Już odtąd więcej nie ubóstwi siebie.
Tyś go otrzeźwił z zawrotów ciemnoty.

Przestrzeniom światów sam Bóg się użalił
I zatlił słońce, gdy noc była głucha..
Tyś drugie słońce wszechczasom zapalił
Na zaciemnionym widnokręgu ducha...

Stało się światło! Stąd usty wdzięcznemi
Cześć ci największa dziś rozbrzmiewa wszędzie:
Bo ludzkość czuje, że odtąd na ziemi
Już nigdy ciemno nie będzie.

Stefan z Opatówka.



TRZY ŁODZIE.

Trzy białe łodzie płyną
Umarłych wód głębiną
Gdzieś w nieprzejrzanej mgle.

Z nich pierwsza pod namiotem
Z purpury—wiosłem złotem
Z fal krzesze skrę po skrze.

A druga zwolna, smutno,
Swych skrzydeł czerń pokutną
Po szklistem wlecze tle.

A trzecią fala niosła
Bez żagla i bez wiosła
Na wir co w mrokach wre.

W tej pierwszej miłość moja,
W tej drugiej zemsta moja;
W tej trzeciej serce me— — —

S. Wyrzykowski.

KTO WOLNOŚĆ RAZ POKOCHA.

(Piosenka).

Kolombinę, Spilettę Pierotkę
Na progu męskich lat,
Jako Sławę, Bogactwo i Wolność,
Poznałem, wchodząc w świat.

Nie znęciły mnie złote cekiny,
Ni brylantowe skry,
Do tej trzeciej, białej dziewczyny
Junackie serce drży.

Nie jednego, ach! w życiu to spotka,
Że wiatr mu w oczy dmie...
Najmilszą z nich była Pierotka,
Lecz ta nie chciała mnie.

Dziewczyno słodka a płocha,
Co z serc zabierasz łup,
Kto wolność raz pokocha,
Ten wieczny czyni ślub!

Choć chowasz się za kraty,
Pierzchasz od bram do bram,
Gdzie błyśnie kraj twej szaty—
Ja zawsze będę tam.

A gdy padnę przed twym terenem
Na śnieg, co w słońcu lśni,
Obdarzę cię dyademem
Z rubinów własnej krwi.

Aksel (I. Baliński).



DAREMNE ŻALE.

Daremne żale—próżny trud,
Bezsilne złorzeczenia!
Przeżytych kształtów żaden cud
Nie wróci do istnienia.

Świat wam nie odda idąc wstecz
Zniknionych mar szeregu—
Nie zdoła ogień ani miecz
Powstrzymać myśli w biegu.

Trzeba z żywymi naprzód iść
Po życie sięgać nowe...
A nie w uwiędłych laurów liść
Z uporem stroić głowę.

Wy nie cofniecie życia fal!
Nic skargi nie pomogą—
Bezsilne gniewy, próżny żal!
Świat pójdzie swoją drogą.

El...Y (Asnyk).



L. Staff.

UCIECZKA.

Po com ja pytał ciągle? Byłem sobie wrogiem!..
Niegdyś, tęskniąc wśród nocy za ciszy wezgłowiem,
Drżałem obawą trwożną, czy, kiedy za progiem
Śmierci stanę, o prawdzie pragnionej się dowiem...

A dziś mi blada mara niesie rozwiązanie!...
O, zamykajcie okna i drzwi na sto rygli!...
Po co ja na swą zgubę rzucałem pytanie!...
Teraz mnie w mej siedzibie wrogowie dościgli!...

Otoczcie dom mój rowem, usypcie okopy!
Wydzieram sobie oczy, by nie widzieć mary!
Przebóg! Pod oknem cichy krok zdradzieckiej stopy...
Biję w mur skronią, aby zgłuszyć słuch na gwary!...

Kto mnie dotyka dłonią lodową?!... Kto wrota
Wyłamał?! Nic nie słyszę... mrok cięży ołowiem!...
Przywiążcie głaz do szyi... Skoczę... Tam martwota
W głębi wody... A jeśli... tam o tem się... dowiem...

L. Staff.

NIENAZWANY.

Na gruzach starych bożnic wzniosłem wśród rozwalin
Omszałych posąg Boga... Szorstkie i chropawe
Ma kształty, lecz go trudy uświęciły krwawe,
Wklęte w oplatający go krzak dzikich malin.

A biała dusza moja przyszła w złote rano
— Kapłanka utopiona snem w wiecznej zagadce—
Czcić Boga, w którym sobie podobała władcę,
Święcąc mu swych dziewiczych splotów złote wiano.

Lecz miano Pana mego me głębie milczące
Zakryły mrokiem tajni... Nie obudzę dzwonów,
By imię Jego wkuły jękiem spiżu w słońce!

Bowiem jedyne, godne Wielkich Bogów imię,
To życie ich wyznawców i waga ich plonów—
O, życie moje! Bądź mi święte i olbrzymie!

L. Staff.



PRAWDA.

Śmiałem się za kochanki swej idąc pogrzebem,
A płakałem, jarmarcznych błaznów widząc skoki...
Zabiłem dziecko, które darzyło mnie chlebem,
A zbójcy umknąć z kaźni pomogłem głębokiej...

Wśród strasznej nocy blady zgasiłem kaganek,
Chcąc poznać tajnie, które kryje mroków głusza,
A zaświeciłem świecę w jasny złoty ranek,
Bo samej siebie znaleźć nie mogła ma dusza...

A wyście mnie szaleńcem nazwali i w chacie
Zamknęli ciemnej, ręce włożywszy w okowy...
O, czemuż mi szalonym być nie dozwalacie?...
Wszakże ja nie złorzeczę nikomu że zdrowy...

Tajnia życia wam inne, jak mnie, słowa zwierza,
Lecz ludzi wszystkich... Mnie ni wam swojej prawdziwej
Treści nie zdradza... Czemuż więc wasz gniew uderza
Szaleństwo moje? Wszakżem ja zdrowym nie krzywy...

L. Staff.

L W Y.

W menażeryi lwy były, lwy płowe, ogromne,
Grzywy jak wicher miały, oczy jak pioruny,
Każdy krok był jak postrach jawiącej się łuny,
A od niewoli były napół nieprzytomne.

Godzinami leżące bez ruchu, snadź biegły
W swe olbrzymie pustynie, nad swe wielkie rzeki,
Wspominały swe piaski płomienne od spieki
I widnokrąg błękitu bezmiernie rozległy.

Wspominały te noce, gdy księżyc czerwony,
Jak krew, świecił na niebie; gdy powietrze parne
Zdało się od błyskawic i gromów ciężarne,
A ich ryki huczały w przestrzeni, jak dzwony,

Wspominały świtania pełne świeżej rosy,
Kiedy po nocnych łowach rzucały się w trawę
Od walk całe dyszące, rozżarte i krwawe,
I zlizywały wolno z łap swe straszne ciosy.

Co dnia pogromca wchodził do klatki dwa razy
Przy grzmocie bębnów, pisku muzyki i brzęku!
Obręcz z płonącą smołą i bat trzymał w ręku—
Na grzbiet lwów poczynały, jak deszcz, padać razy.

Przez podstawioną obręcz, opalając grzywy,
Bite, szalone z bólu, ogłuszone wrzawą,
Ciskający iskrami taniec swój straszliwy
Przed gawiedzi nikczemną odprawiały ławą...

O lwy!...

K. Przerwa-Tetmajer.

O! ŻEBY CHOCIAŻ JEDNĄ...

O! żeby chociaż jedną bratnią zbawić duszę,
To warto żyć na ziemi, na tej łez dolinie,
I znosić tu męczarnie i cierpieć katusze
W bolów krainie.

O! warto iść przez życie tak ciężkie i ciemne,
I błąkać się w chaosie tych zdradliwych przędzy,
Lub zejść w te straszne, brudne czeluście podziemne,
W siedlisko nędzy...
O! warto całe życie przegnić wśród cierpienia,
O! warto całe życie nie mieć blasku słońca,
By dźwignąć jakąś duszę z przepaści zwątpienia
W szczęście bez końca.

Tak! Warto ze krwi serca światu dać daninę,
I do ostatniej kropli wysączyć ją całą;
Wziąść w zamian duszę ludzką, choć jedną, jedyną,
Maluczką... małą...

J. Podhorska.

PRZEKLĘCI.

14. I będą mówić Lewitowie i rzeką do wszech mężów Izraelskich głosem wyniosłym:
Deuteronomium roz. XXVII.

Przeklęty! kto widział wielkie dzieła boże
A pokłon oddaje w służebnej pokorze,
Nie Bogu na niebie, lecz cielcu złotemu.
—I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty kto mężem a swemu bliźniemu,
Za urząd, za strawę, za lepsze jedzenie
Zaprzeda swą wolność i swoje sumienie.
—I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! kto z głupim pogląda uśmiechem
I gnuśny roskoszą w bezczynności leży,
Gdy jego sąsiada wróg chytry grabieży.
—I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty! ktokolwiek z ojczystego drzewa
Rwał słodkie owoce, a cierpkie odrzuci,
Kto duszę od wspólnych utrapień odwróci.
—I wyrzekł lud wszystek: Amen.

Przeklęty, przeklęty, kto światło zbawienia
Zwątpieniem, niewiarą jak mgłami zacienia,
I wodzi swój naród w manowców zakręty.
—I wyrzekł lud wszystek: Amen.

K. Ujejski.

NIE NA DZIEŃ JEDEN.

Nie na dzień jeden siejesz swoje ziarno,
Ale na jutra czas nieurodzony.
Więc bez wytchnienia kraj tę ziemię czarną,
By od twych pługów garbate zagony,
Zagrzmiały pieśnią zbóż złocistych gwarną.

Choć nieraz wichry i susze wygarną
Tym krwawym potem wydobyte plony:
Wytrwała praca twa nie będzie marną:
Nie na dzien jeden!

Natura kocha swoją pieśń cmentarną,
Niby małżonka pieści akwilony:
Od gniewu Djany giną Akteony;
Strasznie jest zwalczać moc elementarną:
Lecz siej, pomimo grad i suszę skwarną,
Nie na dzień jeden!

A. Lange.

GRABARZ.

Gawęda.

W kościele trumna—słychać organy—
I śpiew szpitalnych nędzarzy;
A przy kościele grabarz wpół-pjany
Wsparł się na rydlu, i gwarzy:

„Poczciwy rydel!... służy mi godnie.
Kopie tu żwirek i kopie;
Raz... dwa... trzy... cztery... przez dwa tygodnie
Dwie jamy pańskie, dwie chłopie.

„I teraz umarł ktoś od waszeci,
Tak mu sądzono—i basta!
Zostawił żonę, zostawił dzieci,
O biedna... biedna niewiasta!...

„Co tam niewiasta? póki odwyknie,
Płacze, i mówi pacierze,
Potem... filozof... jak człowiek łyknie,
To zdrowiej te rzeczy bierze.

„Naprzykład... ktoś tam schodzi ze świata—
Grabarz mu jamę otworzy;
Mniej jednym człekiem... zdaje się strata,
A może zresztą niezgorzej!?

„Człowiek stworzenie Boskie rozumne,
Już go nie pogrześć jak bydło;
Szpital za dzwony, stolarz za trumnę,
Za lampy, świece, kadzidło,

„Ksiądz za msze święte, psalmy pokutne,
Grabarz, że kopiąc się trudzi,—
Każdy grosz weźmie... śmierć—prawo smutne,
A z niej pożytek dla ludzi!?

„Jeden cóś traci... to drugi zyska;
Bo wszyscy—Boża drużyna,
A tam pod ziemią... trupie kościska
Gniją—zwyczajnie jak glina.

„Na trupie dziecka wąż się obwije,
Mędrcom—szczur wlezie do ucha,
I gniazdo złoży, i mózg mu wyje,
W piersiach dziewicy—ropucha.

„E! łzy się kręcą... lecz niema rady,
Nie tylko człeka, co z duszą,
Lecz Pan Bóg stworzył płazy i gady,
I onež przecie jeść muszą.

„A potem z trupa korzysta bliźni,
Bo zgnije trumna i koście,
„A od zgnilizny grunt się użyźni,
I bujniej trawa poroście.

„Czyż tylko trawa?—na złego grobie
Rosną pokrzywy i chwasty,
A dobry człowiek wyda po sobie
Jagódkę, kwiatek krzewiasty;

„Lub piękne drzewko wyskoczy hożo,—
Więc idzie korzyść koleją,
Czasem tak bywa... cmentarz zaorzą,
A na nim żyto posieją.

„I kupa kłosów urośnie z ziarnka,
Och! jak to słodko i ładnie!
Na piersiach ojca, córka żniwiarka
Mendel zbożowy nakładnie.

„To cóż, że cielsko zjedzą robaki?
Kiedy grób chleba przymnaża,
Boże mój, Boże! gdyby zgon taki
Naprzykład... dla mnie nędzarza!

„Na chwałę Twoją niech idzie Panie!
Com ja wycierpiał za młodu,
Teraz na starość w zdartej sukmanie,
Ginę od głodu i chłodu.

„Wczora tak słodko, tak miłosiernie,
Cieszył mię Pleban Dobrodziej:
Że za łzy moje, za moje ciernie
Pan Bóg mię niebem nagrodzi.

„Chcesz mię nagrodzić Ojcze światłości?
Będę zapłacon obfito:—
Niech z moich kości, dla potomności
Wyrośnie kwiatek lub żyto.“

W. Syrokomla.



SĄD.

Chciałbym widzieć ten dzień, w krórym umrze świat,
Gdy ziemia, martwa bryła lodu, spadnie na słońce,
Kiedy ogniem czerwonym gwiazdy zapalą się śpiące
I czas będzie się w trumnę z promieni kładł.

Ten wielki, święty dzień, w którym Neron bóg
Spojrzy na pożar swej Romy i rozkaże
Pójść hufcom archanielskim na najdalsze cmentarze
Z krzykiem zmartwychwstania w planet płonących stóg.

Widzę go... widzę .. Oto usiadł na królewskim tronie,
O słońce oparł stopy, na łzy i skargi głuchy,
Z kamiennym chłodem w oczach, z piekącym bólem w łonie...
Przed nim w krwawej łunie pożaru tłumią się duchy,
Słychać aniołów płacz i szatanów bluźniercze śmiechy.
On sądzi: Ludzkie łzy dławią mu serce żałobą.
Smutny—przebacza najcięższe i najkrwawsze grzechy
I z goryczą uśmiecha się do siebie nad sobą.

W. Perzyński.



TANTAL.

Niegdyś w pragnienia wieczystego męce,
Na wskróś palony żary piekielnemi,
Napróżno swoje wyciągałem ręce
Po owoc, który uciekał przed niemi,
I próżno usta swe na fali kładłem,
Goniąc za wiecznie kłamliwem widziadłem.

We mnie i za mną wrzało całe piekło,
Na pastwę mękom wydając mnie nowym.
Pierś moją, bólem trawioną i spiekłą,
Erynnye biczem krwawiły wężowym,
I urągały mi te mściwe duchy,
Patrząc na mojej wściekłości wybuchy.

A ja naówczas ciągle pożerany
Żądzami, które w nieskończoność rosły,
Byłem jak ogniem ziejące wuikany,
Na przekór losom groźny i wyniosły,
I jakaś wielka tytaniczna siła
W wnętrznościach moich skrępowana tkwiła.

Więc choć bóstw łaski wzywałem w mej kaźni,
To prośba moja do podziemnych grzmotów
Była podobną—i sam bez bojaźni,
Przeciw ich woli stanąć byłem gotów,
Bom czuł, że w gniewnej ducha zawierusze
I więzy moje i świat cały skruszę.

Teraz bogowie próśb mych wysłuchali,
I mąk wieczystych zdjęli ciężar ze mnie,
Pierś się już moja płomieniem nie pali
I nie pożądam niczego daremnie,—
I nic nie pragnę, za niczem nie gonię,
Lecz obojętnie patrzę w wieków tonie...

Dzisiaj piekielne mnie się nie śnią rzeczy,
Z moich udręczeń nikt się nie natrząsa,
Głos Eumenid już mi nie złorzeczy,
I bicz wężowy serca mi nie kąsa:
Ucichły jęki, zagasły płomienie,
I martwe tylko nastało milczenie.

A oto w takiem odrętwieniu głuchem,
W którem mnie żadna boleść nie dosięga,
Wraz z żądz straconych burzą i rozruchem,
Cała się moja rozpierzchła potęga,
I dziś minionych męczarni żałuję,
Gdyż się nędzniejszym—niźli przedtem czuję.

Wróćcie mi zatem nieśmiertelne bogi!
Grozę mych piekieł i straszliwe kary,
Wróćcie mi widok Erynnii złowrogi
I niezgaszone pragnienia pożary!
Niech się rwie Tytan ze swego łańcucha,
Niech pragnie, cierpi—lecz niechaj wybucha.

El...Y (Asnyk).

PO DRODZE TEJ...

Po drodze tej bez końca
Chodziliśmy we troje:
— Ten jasny promień słońca,
I ja, i — serce moje.

Ja byłam wędrownicą
W krainę marzeń złotą,
A słońce — dnia źrenicą,
A serce me — sierotą.

I szliśmy w ludzkim tłumie...
— Słoneczny promień — w złocie,
A za nim ja — w zadumie,
A serce me — w tęsknocie.

I przywiał wiatr obłoki,
Co promień słońca skryły...
Ja — poszłam w świat szeroki,
A serce — do mogiły,

M. Konopnicka.



NIE SZUKAJ SZCZĘŚCIA.

Nie szukaj szczęścia, to złudzenie
To próżny trud...
Jedyne szczęście—znieczulenie
I serca chłód.
Pragnienia wzniosłe!.. śmiej się z tego!
To mrzonki mózgu schorzałego,
To próżny trud.

Lecz miłość, wiara, poświęcenie?
W tem szczęście tkwi...
To pustych dźwięków połączenie,
To pięknie brzmi.
Gdy chcesz zwycięzcą być w szermierce
Życia, to najpierw rozszarp serce—
W tem szczęście tkwi.

Co widzę—płaczesz? tęskno tobie?
O znam to, znam!
Nim serce swe złożyłem w grobie
Płakałem sam...
I ja o szczęściu niegdyś śniłem,
I ja kochałem i marzyłem,
O znam to, znam...

Gdy błazen uśmiech szpeci łzami—
Z areny precz!

A myśmy Stwórcy wszak błaznami
Nad nami miecz,
Nad nami miecz, miecz sprawiedliwy...
Nad szczęściem płaczesz, nieszczęśliwy?
Z areny precz!..

B. Koreywo.

WÓDZ MÓWI.

„Chwili przełomu—mówił—myśmy dzieci;
Lecz także grzechów ojców spadkobierce:
Żądza użycia, nabytek stuleci,
W głąb duszy wrosła, plami nasze serce!“

„Z gruntu krzywdami przesiąkłej wysepki
Od urodzenia piliśmy bezwiednie
Jad samolubstwa, a w puchach kolebki
Grzechy śmiertelne były nam powszednie“.

„Lecz dziś, zatlona iskra w sumień próchnie
Wznieca w nas ognie święte, bo ofiarne;
Trza ją rozdmuchać, niech pożarem buchnie,
Ogarnie dusze, przetrawi w nich męty,
I serca nasze od trucizny czarne
Na przeźroczyste przetopi dyamenty!“

„Więc za mną, w górę! Niechaj dusza czerstwa
W jędrnem powietrzu z suchot się wyzwoli,
Niech się do wyżyn dźwignie bohaterstwa,
Lotów zawrotnych niechaj dozna szału
I posłannictwo swe spełniając godnie,
Zejdzie w promiennej światła aureoli
Na padół płaczu—gwiazdą ideału
Zapalać ludzi, jak żywe pochodnie!“

„Patrzcie w tę przepaść, gdzie dum mgła się wierci.
Gdzie czysty potok w tęczowych łez pyle

Tłucze pierś srebrną o kamienie twarde,
Bo, może, kiedyś i nam z widmem śmierci
Przyjdzie się szarpać w ciemnicy mogile,
Więc przywykajmy mieć dla niej pogardę!“

„Patrzcie na orła, co swych skrzydeł końcem
Przemaga falę powietrza upartą
I leci w niebo witać się ze słońcem
Źrenicą jasną, dumną, bo otwartą!
Nam, jak ten orzeł, żyć i walczyć trzeba:
Całym rozmachem wewnętrznej potęgi
Łamać przeszkody i wyniosłym duchem
Porwać za sobą świat w słoneczne kręgi,
A serca ludzkie otwierać dla nieba!“

G. Daniłowski

JEDNEGO SERCA! TAK MAŁO!...

Jednego serca! tak mało! tak mało!
Jednego serca trzeba mi na ziemi!
Coby przy mojem miłością zadrżało,
A byłbym cichym pomiędzy cichemi.

Jednych ust trzeba! skądbym wieczność całą
Pił napój szczęścia ustami mojemi,
I oczu dwoje, gdziebym patrzał śmiało,
Widząc się świętym pomiędzy świętemi.

Jednego serca i rąk białych dwoje!
Coby mi oczy zasłoniły moje,
Bym zasnął słodko, marząc o aniele,

Który mnie niesie w objęciach do nieba...
Jednego serca! tak mało mi trzeba,
A jednak widzę, że żądam—zawiele.

El...y (Asnyk).

ZNIECHĘCENIE.

Zszedł jesienny wieczór chmurny w szarej mgły spowiciu,
Chłodny wicher łka podzwonne wiosennemu życiu,
Z kąta pustej mojej celi, otulonej w cienie,
Pełza ku mnie widmo blade: znam je: Zniechęcenie!

Ach! na wszystkich ścieżkach życia mara ta mnie ściga!
Na jej widok mózg truchleje, trwożnie duch się wzdryga,
Wola słabnie, serce gaśnie, ciąży myśl, jak ołów.
Ta, co wprzódy wylatała do słońc, do aniołów.

Na mych piersiach widmo siada zimne, tchnące trumną,
I usypia moją duszę gorącą i dumną,
I leniwym, sennym głosem szepce sercu memu
Straszne słowa, trupie słowa: „Dla kogo“ i „Czemu?“

Ach! i tonę i zapadam w czarną noc bez końca:
Wszystko nicość, wszystko marność, ni promyka słońca,
Ja, com orlim czuł się duchem, chciał przyświecać światom,
Wiem, czem jestem, widzę siebie... nikły, lichy atom.

Zakreślony łańcuch zdarzeń idzie nieprzerwanie,
To co było—być musiało, co się stać ma—stanie.
Próżno serce, próżno ducha walką rwać codzienną,
Wszystko płynie swą koleją wytkniętą, niezmienną.

Tłum jednostką, a jednostka losowy skazaniec,
Od kolebki pcha ją fatum, aż po życia kraniec.
Ta, co działa—musi działać, parta wyższą władzą,
Póki ciało—szmat podarty—grobowi oddadzą.

Nikt wyroków nie odmieni, nikt ich nie odwoła,
Temu dano pierś szatana, temu pierś anioła.
Obaj oni jednakowi zostaną na wieczność,
Obaj równi i niewinni... matką ich—konieczność!

I tyś, prochu, sądził siebie wyjętym z pod prawa?
Tyś odtrącać chciał od ludzi to, co los im dawa!
Tyś chciał wieść ich na wyżyny... tam... na świat otwarty,
Sam niewolnik, praw odwiecznych fatalizmem party!

Stokroć prędzej strzeli kwiatem zwiędłe, liche zielsko,
Nim w ponurą pierś szatańską tchniesz duszę anielską!
Stokroć prędzej drobna muszka skruszy złom granitu,
Nim odmienisz choć na chwilę bieg ludzkiego bytu.

Snu pożądaj! Zapomnienia! Snu i ciszy głuchej!
Duch twój w letarg niech zapadnie jak umarłych duchy!
Siebie żałuj! Do ludzkiego co tobie motłochu!
Chcesz ich szczęścia? Strąć świat w nicość! Prochu! Nędzny prochu!

Na mych piersiach widmo czuwa zimne, tchnące trumną,
I usypia moją duszę gorącą i dumną.
Ach! i tonę i zapadam w czarną noc bez końca—
Wszystko nicość! Wszystko marność! Ni promyka słońca!

Or-ot. (A. Oppman).



ZAWIERUCHA.

Noc. Na dworze szaleje śnieżna zawierucha,
wiatr białemi rózgami szyby okien chłosta,
nudna, wciąż powtarzana, nieskończona prosta
nuta, śnieżnej zawiei wdziera się do ucha.

Naraz głos obłąkanej jakiejś pieśni dzikiej
zahuczy wśród zawiei i głucho zadudni
wśród drewnianych cembrowań niedalekiej studni—
w dal poniosło się echo piekielnej muzyki...

Biała mara znienacka pod oknem zahuka
i cichemi stopami po śniegu zadrepce,
obchodząc dom wokoło, nieustannie szepce
i dłonią, pełną śniegu, do okien zastuka.
Chwilę czeka—a potem ramą okna rusza,
ku jasnym szybom domu wspina się i zcicha
głosem, pełnym boleści, skarży się i wzdycha...

W głębi domu zamknięta odpowie jej dusza,
która w wichru poświście poznała głos ducha—
gotuje się na drogę, coś ze sobą gada
i licząc chwile trwogi, szybko się spowiada...
Noc. Za oknem szaleje śnieżna zawierucha...

J. Nawrocki.



CÓRKA CERERY.

Przez miedzę, która podobna do szlaków
Różnych kolorów, między złotym kłosem
Tyś szła, owieczka, białością i losem
Podobna owcy śród kłosów i maków.

Wtem Pluton ogniem wylatując z krzaków,
Porwał cię w ręce i uniósł do piekła,
Córko Cerery—a tyś nic nie rzekła:
Weselił cię gwałt i wrzask nocnych ptaków.

Jakaż cię teraz cudotwórcza siła
Porwie i znowu cudownie przemieni
W córkę świecącą kłosów i promieni,

Kiedyś ty piekłu jak miesiąc świeciła?
I tam, gdzie ludzie jadem są żywieni,
Tyś nie umarła—lecz jadła i żyła.

J. Słowacki.

DO LIRYKÓW DZISIEJSZYCH.

Potęgi! prawdy! życia!—
Promiennych myśli! serca bicia!
Natchnienia, co do czynów budzi!
        Natury!—ludzi!
Nie innej pieśni świat dziś żąda;
A na tych, którzy wiecznie kwilą,
Marzenia kołysani chwilą...
O lirycy! już nikt się nie ogląda.

Napróżno w roztkliwionej piersi
Stawiacie ołtarzyki drobne,
Wiankami polnych ziół ozdobne...
O najrzewniejsi i najszczersi:
Przestańcie wyśpiewywać luźnie
Bezmyślne egotyczne dumy;
A wejdźcie w pracy gminnej kuźnie,
Śpiewajcie to co czują tłumy...
Lub milczcie! bo nie dla was jutra brzaski,
Nie dla was wiek... nie dla was ciżb oklaski...
        Nie dla was nawet raj poety—
        Miłością wrząca pierś kobiety!

L. Sowiński.



ULICZNIK.

Kiedy go widzę, jak błotnistą drogą
Brudny a śliczny się zwija,—
Łachman na grzbiecie, na wiatr goła szyja,
Pół boso, ani dbając tam o kogo;

Jak między wozy, nagością swą widny,
W zdartych porciętach się kręci;
Jak w psy kamienie ciska bez pamięci.
Już złodziej, srogi już, i już bezwstydny;—

Gdy widzę, jak się śmieje i weseli,
Biedny kwiatuszek cierniska,
I gdy pomyślę, że dom bez ogniska.
Matka w fabryce, a ojciec—zbój w celi:

Jakiś mi przestrach tłumi serca bicie,
I pytam: Co będzie z ciebie?
Ty, co bez światła na ziemi i niebie,
Głodny, obdarty idziesz tak wprost w życie?

Za lat dwadzieścia—czem będzie słowiczek,
Co dziś tak śpiewa, nieboże?
Siewcą zepsucia, oraczem, czy może
Łotrem dojrzałym na stryczek?

Uczciwą bluzę będziesz miał na grzbiecie,
Czy galerniczą obrożę?
Warsztat, więzienie, czy szpitalne łoże
Zbliży nas znowu, o dziecię?

I zaraz biedz chcę na uliczne błoto,
I objąć chłopię w ramiona,
Do serca tuląc, co w smutku mi kona,
Z śmiertelną trwogą, z bolesną pieszczotą.

Pocałunkami chcę okryć mojemi
Pierś jego, usta już zmięte,
I szeptać słowa stłumione i święte,
Siostrzanym głosem, z oczyma łzawemi:

—I jam tak dziko rosła, w nędzy, w brudzie,
I jam cierniska jest kwiatem...
I moją matkę sługą zwali ludzie,
I ja znam boleść, Dziecię, tyś mi bratem!

A. Negri (przekład M. Konopnickiej).



STAROŚĆ DUCHA.

W każdych ustach żal młodości,
W każdem sercu chęć jej zwrotu,
Pory szczęścia i miłości,
Ognia myśli, ducha lotu.

Lecz czyż słońce południowe
Mniej ogniste niż u wschodu?
Czyż gdy do snu skłania głowę,
Mniej ma blasku i obwodu?

A duch światło, co nie gaśnie,
Promień słońca przedwiecznego,
Miałby stygnąć przez to właśnie,
Że ogniska bliższy swego?

Miałby stanąć razem z ciałem,
On! którego cel na ziemi:
Wzróść i zmódz się z życiem całem,
By się zrównać z niebieskiemi?

O! kto w młodych dniach zapału,
Prawdy pańskiej słów usłucha,
Serca nie da w służbę ciału,
W świata wiarę pojmie ducha;

Duch takiego nie starzeje.
I gdy ciało, plewa marna,
Kruszy się w proch i niszczeje,—
Rośnie w niebo jak cedr z ziarna.

A. E. Odyniec.



ROZMOWA.

Szliśmy aleją wzdłuż ogrodu,
Zrywał się chłodny wiatr od wschodu,
Konało słońce w pełnym blasku,
Cień na wilgotnym kładł się piasku
U stóp jesionów, chmur gromady
W dal przebiegały lazur blady,
Z drzew opadały zwiędłe liście...
Rzekłem ja do niej uroczyście:
— „Pani!...“
I szliśmy milcząc dalej
Czułem, że skroń się moja pali.
Że twarz potoki krwi zalały,
Żem jak osina drżący cały,
Że się w źrenicach łza przecieka...
Stanowcza chwila była blizka;
Więc wzrok mój znowu spoczął na niej,
I powtórzyłem zwolna:— „Pani!...“
I szliśmy dalej w zamyśleniu.
Zachód przygasał w oddaleniu.
Wschodziły gwiazdy na niebiosa,
W krąg rozsiewała perły rosa,
Wiatr z pól zamglonych między drzewy,
Coraz chłodniejsze słał powiewy.
W lekką chusteczkę otulona:
— „Chodźmy do domu“...—rzekła ona.

Odważny tylko swego dopnie!
Gdyśmy na ganku weszli stopnie,
— „Pani!... — szepnąłem pocichutku.
Lecz ona, widząc jak się żarzy
Wzrok mój, i bladość widząc w twarzy,
Wyryte na niej męki piekła:
— „Dobranoc!...“ — smętnym głosem rzekła.

Czesław (C. Jankowski).



Wł. L. Anczyc.

DRAPIEŻNE PTASZĘ.

Figlarka, pustotka
To groźna, to słodka,
Drapieżna ptaszyna—
Dziewczyna.

Żartuje, pustuje,
Choć kolnie—nie czuje
I wbija na szpilki
Motylki.

To smutna, to płocha,
Czy kocha?—nie kocha?
Któż od niej się dowie?
Nie powie!

Niewinna jak dziecię,
A straszną jest przecie,
Czy sprzyja? nie sprzyja?
Zabija!

Czy lubi? nie lubi?..
Bezwiednie cię zgubi,
Bez myśli zgruchota—
Niecnota!

Bo śliczna, bo cudna,
Bo wdzięczna, bo złudna,
W pierś rzuca zarzewie—
Choć nie wie.

Wesoła—a tkliwa,
Marząca—a żywa,
A wzrok ma uroczy—
Ach! oczy!

Promienne jak zorze,
Głębokie jak morze,
A tęskne... jak pienia—
Wspomnienia.

Jej główka jak święta,
W krąg blasków ujęta,
A włoski, a szyjka—
Ach! żmijka!

Gdy wdzięcznie szczebioce,
Takie to urocze,
Że wieczność z nią całą
Być—mało.

Milutka pieszczotka,
To drapie jak kotka,
To okiem nagrodzi—
A zwodzi!

Gdy śmieszkiem zczaruje,
Gdy łezką cię struje,
O któż ci pomoże—
Nieboże!

Więc lecą ofiary
I młody i stary
Bo któż się obroni
Jej broni.

Miej litość dziewczyno!
Gdy wszyscy wyginą,
Cóż ci się zostanie—.
Tyranie!

Wł. L. Anczyc.



ZAĆMIENIE SŁOŃCA.

Podczas Boju starożytnych.

W bój ruszyły zastępy. Męże, wozy, konie
Zbite w kłąb; strzały warczą, krew się w słońcu toczy;
Lwy spuszczone do skoku przymrużają oczy,
Pędzą, wznosząc trąb kłody rozhukane słonie.

Nagle spełzł błękit niebios, tylko jak krew płynie
Słońce, wciąż bardziej krwawą posoką się broczy,
Jak bryła węgla zgasło, i noc wszystko mroczy.
Przez chwilę, cisza zgrozy po tym słońca skonie,—

I krzyk z piersi tysiąców, straszliwe lwów ryki,
Huk, trzask, zamęt, skrzyp wozów, szczęk broni w popłochu,
Jęczy rozpacz w ciemnościach i strach zgrzyta blady.

Mrok upada; w krwi widać stratowane szyki,
Tam pierzcha grzmiące morze zbitych ciał w mgłach prochu,
Tu z oczyma w słup—zbladłych stoją wojsk gromady.

S. Barącz.

SIOSTRY.

Idą siostry, idą siostry trzy—
Jedna w białych dłoniach niesie łzy...

Druga, krocząc w mroku ciemnych drzew,
W swoich białych dłoniach niesie krew.

Trzecia w ciszy błędny stawia krok,
W swoich białych dłoniach niesie mrok.

Idą siostry w zmierzchu ciemnych drzew.
W ciszę spływa mrok i łzy i krew.

Idą, idą, idą siostry trzy,
Dziwne, dziwne, dziwne jako sny...

J. Jedlicz Kapuścieński.



RABI ELEAZAR.

Rabi umierał. Sokratesa wzorem
żonę i dzieci od łoża boleści
odprawił, niechcąc, by go płacz niewieści
raził, natrętnie w uchu brzmiąc mu chorem;

Sam za to płakał. Przyjaciel jedyny,
wierny towarzysz u chorego głowy
siedział sam jeden, milczący, surowy
i słuchał łkania. —— Mijały godziny...

O co łkasz?—spytał wreszcie—żal ci dzieci,
żony, czy życia?—czy słońca, co świeci?
czy ból twe ciało, czy grzech gnębi duszę?—

Mów! może boleść twoja się osłabi,
gdy mi ją wyznasz. —— Nie! zajęczał rabi,
płaczę, bom piękny, a umierać muszę!

J. Żuławski.

W UPOJENIU.

Już miesiąc cały trwa to upojenie,
Ten szał, co z serca pędzi krew do twarzy,
I w oczach złote zapala płomienie
I szkarłatnemi wargami się żarzy
I w taki nadmiar szczęścia wprawia ciało,
Że drży, jakby się z duszą rozstać miało...

Obłęd bachiczny—grzeszny, boski, dziki,
Co bunt podnosi przeciwko naturze,
Bo te namiętne, nieprzytomne krzyki
I te zrodzone ze krwi wrzącej burze
Mówią, że lepiej spłonąć raz w wybuchu,
Niż się przez wieczność tlić w sennym bezruchu.

Miesiąc—niewiele... Jednak kto policzy
Wszystkie w nim chwile, jak krople w potoku,
Upajającej tak pełne słodyczy,
Jako jagoda rzeźwiącego soku;
W jeden różaniec kto ziarna te zmieści,
Pozna jak wiele w nich może być treści.

O złote ranki! o srebrne wieczory!
Maj—bzy kwitnące—księżyc—jęk słowika...
W dzień świat się stroi w tęczowe kolory,
A nocą płynie powietrzem muzyka,
Niby stłumione harf eolskich granie,
Niby fal szepty, niby całowanie...

Odblask ich szczęścia wszystko opromienia...
Warszawa?—eden! Wisła?—pas błękitu!
Łazienki?—prolog do wni bowstąpienia!
Nawet widnokrąg miejski w porze świtu,
Osnuty mgłami, brudny, szary, dymny
Z piersi pochwalne dobywa im hymny.

Oddani sobie ufnie, bez podziału,
Poczucie bytów oddzielnych stracili.
Ten sam duch służy dwoistemu ciału,
I w jedność stapia je w płomiennej chwili.
Prąd ich rozkoszny wstrząsa równocześnie
I żyją w ciągłych zachwytach, jak we śnie.

Czasem mu ona z objęć się wyrywa
I drżąc, jak w lesie zbłąkane pastuszę,
„Lękam się ciebie—szepce, ledwie żywa—
Bo w pocałunkach wypijasz mi duszę;
W uściskach twoich gdzieś w zaświaty płynę,
Mdleję, zamieram, roztapiam się, ginę...“

Lecz zwykle nie trwa obawa ta długo,
Znów mu na własność oddaje się cała;
Jest mu kochanką, niewolnicą, sługą,
Ofiarę czyni z duszy swej i ciała:
„Chcę zginąć—woła—w piekle albo w niebie,
Ale chcę zginąć z tobą i przez ciebie!...“

. . . .

W. Gomulicki.

RADA PIĘKNEJ.

Jeśli cię chwała z wdzięków napuszy,
Ja ci poradzę co zrób.
Patrz na się nagą, i myśl: bez duszy,
To moje ciało jest—trup:

W całun obwite, w trumnie zabite,
W ciemny zarzucą je loch:
Pleśń je otoczy, robak roztoczy,
Zostanie szkielet i proch.—

Lecz dusza, dusza! która jest w tobie,
Ta nieśmiertelna jak Bóg,
Co ją z miłością woła ku Sobie,
I Swoich naucza dróg!—

O jej dbaj piękność! aby gdy stanie
Na Pański w Niebie sąd,
Nie zawołało straszne wołanie:
„Skażona! precz idź stąd!“

A. E. Odyniec.

ZE WSPOMNIEŃ.

I.

Stare, spróchniałe ściany, deszczem wbite w ziemię
Jedna w tył się wygina, druga się zatacza,
Pada prawie i skomli, jak skarga żebracza.
Dach na dwoje pęknięty, jak rozbite ciemię.

Mech szary tkwi w szczelinach. Upadły na ziemię
Szczątki opuszczonego, bocianiego gniazda...
Dawno zgasnąć musiała tego miejsca gwiazda...
Cicho... wiatr się zarył w szary mech i drzemie.

I tylko najeżony, z obłąkanym wzrokiem,
Chudy, czarny jak widmo—kot po dachu chodzi,
Błyszcząc zdala, w ciemności fosforycznem okiem.
Tak w pustyni mej duszy cień, co był nadzieją,
Włóczy się jak kot wierny, i cichy jak złodziej,
A w oczach mu ostatnie połyski jaśnieją.

II.

Bardzo kochałem ten wzgórek samotny
I te czarne szpalery, co w puszyste ramy
Ujmują tę zaklęsłą, piaszczystą równinę.

Siedziałem nieraz długo i śniłem, że płynę
Gdzieś wysoko, nad słońce, aż gdzieś u stóp Brahmy
By wzrokiem chaos świata pochwycić zawrotny.

I śniłem, że te jęki i te szumy w dole
To szmery harmonijne jakiejś wielkiej rzeki,
Co do stworzenia świata w cel płynie daleki,
Że to konieczne dzwona w wszechistnienia kole;

I już nic nie cierpiałem i tylko jej pieśni
I tym dalekim szmerom otworzyłem serce,

I zapalał się jakiś ogień po iskierce
I oczyszczał mą duszę z szarej cierpień pleśni.

Zbudziłem się... Po równinie blask stalowy brodził
I z po za gór dalekich—biały księżyc wschodził...

F. Mirandolla (F. Pik).

BURZA.

Zmroczało. Zawarczały chmur ciężarnych kłęby,
Zadygotał strop niebios pod błyskawic zgrzytem— —
Ryk piorunu zatargał wylękłym błękitem
I miażdżył nieugiętych skał potworne zręby.

Wichr zerwał się jak wściekły—i ciężkiem kopytem
Tratował zgięte kłosy, łamał stare dęby,
Pazurami z strzech zdzierał poszycia... gryzł!—zęby
Zatapiał w cielskach kurzaw, wstrząsał rzek korytem,

Szarpał lasów okiście...— —Wtem z błękitów czoła
Lunęły nagle deszczu ciężkie, bujne włosy—
Grom wciąż walił po gromie—i dudnił, jak koła

Armat po zeschłym moście... aż zcichł. Zmięte kłosy
Odetchnęły—deszcz umilkł... Tylko w dali cyple
Płonęły od błyskawic i grom grał ochryple.

H. Wroński.

APOSTROFA.

Czuwajcie, prochu tej ziemi synowie!
Jako mgła biała pod księżyczne nowie,
Tęsknota wieczna wstaje oto z wnętrza
I w Himalaje obłoczne się spiętrza.
Serca i myśli przeczuć zbiega mrowie.

Mgnienie snadź:—Tajń się w żywem wcieli słowie,
Lecz kto je wyda, nikt dzisiaj nie powie!
Któż wie, gdzie dusza rodzi się gorętsza?
Czuwajcie!

W mrok zmysłów oczy wytrzeszczacie sowie,
Gdzie brzask objawień, drzemiecie jałowie,
A doba mija od błyskawic prędsza:
Byście, gdy chwila nadejdzie najświętsza,
Nie byli jako głaz gnijący w rowie,
Czuwajcie!

Miriam (Z. Przesmycki).

MÓJ ŚMIECH.

Kiedy się śmieję w bezmyślnych gronie
Niepomny bólu, co serce toczy,
Takie bezdenne, jak morskie tonie,
Utkwione we mnie spostrzegam oczy.

W czary tych źrenic wierzę niezłomnie,
Rzewny ich smutek hardość mą skrusza,
Z tych oczu serce przemawia do mnie,
Z tych oczu do mnie przemawia dusza.

Za śmiech mój pusty, co dźwięczy kłamnie,
Palą mnie wstydu żarzące głownie,
Bo te źrenice patrzą się na mnie
Tak jakoś tęskno—a tak wymownie.

Dla mnie jak zgłoski są ich promienie,
Niedostrzegalne błyski ich chwytam,
Widzę w tych oczach smutne zdziwienie,
Płynący z serca wyrzut w nich czytam.

Pod ich spojrzeniem rumieńcem płonę,
Kłamany śmiech mój zda mi się grzechem—
I ty się śmiejesz, mówią mi one,
Śmiejesz się pustym, bezmyślnym śmiechem.

Tak rychło duch twój z snów wyprzytomniał,
Tak krótko tęsknił po złotej dobie,
Czyś już przebolał, czyś już zapomniał,
Czy młode serce usnęło w tobie?

O drogie oczy! Czyliż nie wiecie,
Że ból prawdziwy w sercu się tai,
O, drogie oczy! wszak pieśni dziecię,
Łez nie okaże w obliczu zgrai.

Choć pierś mi wspomnień rwie ból okrutny,
Z ust śmiech mi płynie pusty a szumny,
Śmiać się prawdziwie—na tom zbyt smutny,
Płakać otwarcie—na tom zbyt dumny.

Tam, w mojem sercu, jak pod mogiłą
Leżą, pierś paląc, łzy me ogromne.

O, drogie oczy! tego, co było,
Jam nie zapomniał i nie zapomnę!

I nigdy w piersi mojej bezedna
Nie zajrzy tłumu oko ciekawe,
Dla ludzi śmiech mam—ty tylko jedna
Możesz w tym śmiechu łzy odczuć krwawe!

Or-Ot (A. Oppman)



MASKARADA.

Ach, daj mi maskę, daj maskę łajdaka,
Gdy oni w maskach wielkich charakterów,
W maskach proroków, w maskach bohaterów
Tumanią naród, że wkoło nich skaka!

I moja mowa niech nie będzie taka,
Jak apostolstwo społecznych szulerów;
Śród tych świetności śród tych pionierów,
Wolę twarz zbója i łachman żebraka!

Huczy, szaleje nasz karnawał stary,
Patrz, wszędzie święte, szanowne maszkary—
Wódz ich tu spojrzał z przerażenia blady...

Gniewasz się wodzu? Chcesz, zedrzyjmy maski!
Lękasz się? Prawda, powstałyby wrzaski
I musiałbyś dać—nura z maskarady!

A. Niemojewski.





BAŚŃ.

Słyszałem cudną baśń...
Nie zeszło słońce jeszcze,
W porannych białych mgłach tęsknoty drżały dreszcze.
Blady już wstawał świt. Jak harf dalekich granie
Słów tajemniczych szło po falach ciche łkanie.

Słyszałem cudną baśń...
Wyśniona gdzieś wśród mroków
Smętna płynęła pieśń w błękitną dal obłoków:
„Nad upojenia szał, nad zachwycenia wzloty
Jest Rezygnacyi moc, wieczystej czar tęsknoty“...

Słyszałem cudną baśń...
Nie zeszło słońce jeszcze,
W porannych białych mgłach tęsknoty drgały dreszcze.
Różami spłonął świt. Jak harf dalekich granie
Na falach konać szło słów tajemniczych łkanie.

Słyszałem cudną baśń...
Zabłysło słońce złote,
W jasny zmieniło dzień porannych mgieł tęsknotę,
W dyamentowych skrach białe stanęły kwiaty:
Słoneczno było znów, jak dawniej, jak przed laty!

Słyszałem cudną baśń...
Ledwo pamiętam słowa,
Znowu powrócił maj, wróciła wiosna nowa,
I znowu w duszy mej na nowo płoną dreszcze...
To była cudna baśń i to był przedświt jeszcze.

A. Łada (A. Cybulski).

PRZEZ BURZE I MGŁY.

Na niebie wysoko drży gwiazda polarna,
A dołem wre morze, szaleje toń czarna.
Za gwiazdą na łodzi
Marynarz ster wodzi.
Mgły nisko opadły, po falach wiatr brodzi
I morskie proroctwa mu grzmi.

—O, nie patrz, żeglarzu, za gwiazdą niebiosów—
Tam na dnie drży gwiazda polarna twych losów!
I w fali całunie .
Ty uśniesz, jak w trunie.
I próżno po morzu szalona łódź sunie
Dziedzictwem odmętów i mgły!—

I burze podniosły wód całun wydęty,
I z szumem się zwarły nad majtkiem odmęty...
Ni żagla, ni łodzi,
Po falach wiatr brodzi—
O, drżyjcie, żeglarze! Stąd męstwo uchodzi,
Wre przestwór i klęski wam grzmi...

Lecz dążą z przystani szaleni żeglarze
Za druhem, za śladem pienistym w fal gwarze—
Bo w głębi topieli
Trup lica weseli,
Bo w szumie odmętów głos jego słyszeli:
„Ho! śmiało przez burze i mgły“

A. Niemojewski.

MORS.

Gdyby zamykał rachunki życiowe
Grób, byłby życia ostatnim rozdziałem;
Lecz on załatwia ich ledwie połowę,
Resztę w zmieszaniu rzucając niedbałem...
Ludzkość więc szuka pewnego sposobu
Wyjścia z powikłań—z tamtej strony grobu.

Natura nic nam o tem *x* nie rzekła,
Trudno je także rozwiązać rozumem—
Człowiek wciąż jednak tworzy nieba, piekła,
Zapełnia pola elizejskie tłumem,
Ufny że znajdzie, gdy się tam dostanie,
Wszystkich doczesnych węzłów rozplątanie.

I cała nasza istność przedgrobowa
Jest tylko krótkim, ulotnym prologiem
Do sztuki, która w ciemnościach się chowa...
Jako nędzarze stoimy pod progiem,
Wstępu nam szaniec drzwi zamkniętych broni—
Klucz zaś śmierć trzyma w szkieletowej dłoni.

Straszna odźwierna milczy tajemniczo
I szczęki szydnym wykrzywia uśmiechem—
A lwy zgłodniałe, gdy po skałach ryczą,
Morze, gdy jęczy grzmotowym oddechem,
Wulkan, gdy z hukiem wyrzuca kamienie,
Mniej są okropne, niźli to—milczenie.

Więc tłukąc czołem w tę zaporę z głazu,
Kiedy już nazbyt niepewność dokuczy,
Niejeden woli rzucić się odrazu
W otchłań, co falą rozkiełznaną huczy,
Niźli zagadką dręczyć ducha wściekłą,
Co poza drzwiami: nicość, raj, czy piekło?

Niejeden gotów jęknąć z udręczenia,
Gdy mu już myśli zaciążą ołowiem:
—„Przybądź i skrusz mnie, posłanko zniszczenia!
Niech raz już słowa zagadki się dowiem!
Padnę, lecz krzyk mój nie zginie bez echa...“
. . . .
A śmierć wciąż milczy i wciąż się uśmiecha.

W. Gomulicki.



ROZDŹWIĘKI.

Ramiona mi opadły i bez woli
Na senną falę kładę się, z słodyczą
W duszy... Opętań wichry nie skowyczą
W mózgu mym więcej, ani pierś mnie boli,
I nie chcę wiedzieć, skąd i po co
Przyszedłem na świat czarną nocą...

Dosyć walczyłem... skrzydło dziś zbarczone,
I krwią ociekłe nie wzniesie mię w górę—
Niechaj tam lecą orły srebrnopióre,
Co u czół mają z błyskawic koronę,
I moc w swych piersiach i tęsknotę
Za krajem, gdzie są gwiazdy złote.

Moje marzenia dziś się roztopiły
W ciszę błękitną i w szemranie fali...
Wszystko mi jedno, czy się słońce pali
Całą jasnością rozognionej bryły,
Czy tli się tylko, jak kaganiec—
Dosyć... Nie pójdę już na szaniec...

Z. Dębicki.

Z CYKLU: „MŁODE LATA".

I.

Światła mi daj, chociażby od piorunów!
I pieśni daj—od gromów bicia!
Rozkoszy daj—w zachwytach lub rozpuście!
A duszę zniszcz—za więcej życia!

X,

Kiedy się z tobą żegnam i odchodzę
Z tą głuchą pustką, co nam w sercach drzemie,
Zda mi się nieraz, żem tu, na mej drodze
Potrącił szczęście. Jak mu jest na imię,

Nie wiem, i w jakie kształty się skrysztali.
I tęsknię za niem, a odchodzę dalej.
Tylko mi usta jakiś ogień pali,
Jak gdyby wyznań nierzuccne słowa
Chciały na wargach rozpaczliwie szlochać,
Jak gdyby nagle zbudziła się nowa
Okrutna żądza: ocknąć się i kochać.

L. Bruner (J. Sten)

WZYWACIE BOGA!...

Wzywacie Boga w każdem dziele!
W waszych krzyżackich ustach... Bóg!
Wy... Bcga? Wy wywłaszczyciele!
Wy najfałszywsi z Bożych sług!

Wy... z Bogiem? wy?... Faryzeusze!
Na rozpacz matek, krzywdy łup!
Na chłostę dzieci i katusze!
Na krew, co tryska wam z pod stóp?

Wy z Bogiem? Z krzyżem przed wiekami
Szliście w Grunwaldu krwawy smug
Ale Bóg wtedy nie był z wami,
I dziś nie będzie z wami Bóg!

Nie będzie Ten, co jesł Miłością,
Nie będzie Ten, co Prawdą zwan!—
Jak na Psiem Polu waszym kościom
I dzisiaj w poprzek stanie Pan!

I dziś—w obronie tej ziemicy,
Co ją Piastowy orał pług,
Przeciw wam—z gromem Łyskawicy!
Przeciw wam... z nami pójdzie Bóg!

K. Łaskowski (El).

DUMA O SAMUELU KORECKIM.

Wśród czarnej wieży grobowych podziemi
Dumał mąż groźny, próżen trosk i trwogi:
Czy się też jeszcze kiedy z ojczystemi
Zobaczy progi?

W trzynastu bitwach, grzmieniem niesłychanem
Drętwił dzicz, stare grabiąc jej zabory...
Cóż kiedy nie mógł z sędziwym hetmanem
Ledz u Cecory.

Raz z ośmiόset braćmi w krąg go obegnano,
Pięć dni go siekli groźni najezdnicy,
Aż zdradą wzięty, poszedł w plen z strzaskaną
Szablą w prawicy.

Kto ci rozkazał—spytał sułtan dumnie—
W kraj mój z żołnierstwem wkraczać rozhukanem?
—Nikt—odrzekł Samuel—sam tak chciałem. U mnie
Jam tylko panem!

—Widzę, żeś mężny; wolno idź do domu,
Jeśli uchylisz przed prorokiem czoła...
—Wiedz, że Korecki nigdy się nikomu
Kłaniać nie zdoła.

Wściekły od gniewu, sułtan wraz rozkaże
W najpodziemniejsze wtrącić go warownie:
Lecz wkrótce więzień omyliwszy straże
Uszedł cudownie.

Najświętszą Pannę uczciwszy w Lorecie,
Wrócił do swoich, istny syn światłości,
Gość z poza świata, co choć rad, a przecie
Nie długo gości.

Wkrótce... Cecora!.. wstrząsł się, i o dziwo!
Zadrżał mąż groźny!.. On, dźwigając pęto,
Widział jak głowę hetmana sędziwą
Na włóczń zatknięto.

Tyle krwi przeżył klęsk i hańby tyle!
Raz wtóry żywcem pchnięty w łono ziemi,

Niechby już wreszcie grób był znalazł, byle
Pomiędzy swemi...

Tak, na żelaznej ręce wsparłszy głowę,
Dumał. Noc była. Wicher rozszalały
Ryczące wściekle głębie Bosforowe
Grzmocił o skały.

Wśród szpar drzwi więźnia skąd te mdławe
brzaski?
Chrzęsły wrzeciądze.—Kto tam?—Czausz sułtana
Wchodzi zwiastując, że mu z jego łaski
Wolność jest dana.

Samuel z zadumy podniósł lica blade:
To co rzekł zwiastun, snadź złe jakieś knowa...
Wzrok wrył mu w oczy i wyczytał zdradę,
Lecz nie rzekł słowa.

Wstał—stąpił krokiem—alić tuż u proga
W padalcze skręty stryczka więź zelżywa
Szyi mu sięga. Zbladł i boleść sroga,
Pierś mu przeszywa.

Westchnął, krew wszystką, w mężne serce zbierze:
—Boże mych ojców!—rzekł cichemi modły,
Nie daj, by ginąc, krzyżowe rycerze
Mieli zgon podły!

A wtem mu w krzepkich członkach lew zachrzęści,
Drgnął—spadły więzy. W siepaczy gromadzie,
Pierwszego z brzegu ściąwszy młotem pięści,
Trupem go kładzie.

Zdobył nóż—siecze. Próżno ku pobudce
Zwiększa sie zgraja. Samuel nie zna trwogi,
Dwunastu było, wszystkich sobie wkrótce
Zwalił pod nogi.

Przypadli drudzy, złość w nich jadem wzbiera,
Żelazne drągi garść rozwściekła imie,
I z rykiem runą na kark bohatera
Czernie olbrzymie.

On walczy. Gdy mu z zdruzgotanej dłoni
Nóż wypadł—barki przyparłszy do ściany
Szarpie zębami, piętami się broni
Mocarz krwią zlany.

Wzrok mgią mu zaszedł—on jeszcze zwycięża.
Padł wreszcie, mając głowę roztrzaskaną...
Tylko żelazem, żelaznego męża
Przemódz zdołano!

Tak legł złamany, ale nie ugięty...
Noc była, przycichł wicher rozszalały,
Rozkołysane Bosforu odmęty
Ciężko dyszały.

Jakibądź Panie zgon nas przed Twe progi
Pchnąć ma, czy sławny, czy z ręki zdradzieckiej
Daj nam ku niemu iść, jak szedł bez trwogi
Samuel Korecki.

F. Faleński.



Z ŁANU.

Fragment.

I.

Idę rankiem po roli, szarej naszej roli,
Niedawno jeszcze w słońcu świat,
A już się ktoś schylony nad pługiem mozoli;
Wiatr śpiewa: brat!

To stary niw tych oracz, słowiański kmieć prawy,
Co już od tylu setek lat
Sieje na łanie ziarno, a z nim pot swój krwawy,
A on—mój brat.

O znam ja twoje gniazda, ludu mój rodzony,
Znam jady, które sączy gad
W twą pierś—i męt przez długi ucisk naniesiony
Znam—bom twój brat.

Tyś mi, chłopie, nie święty, ani idyliczny
Znam każdy z błędów twych i wad,
Lecz zło i dobro twoje, to mój skarb dziedziczny,
Boś ty mój brat.

Nie umiem głośno płakać nad twoją niedolą,
Nad mrokiem twoich głów i chat;
Lecz wszystkie rany twoje mą własną pierś bolą,
Boś ty mój brat.

II.

Ze zgiętemi przez wiek bary,
W płaszczu pełnym łat,
Chodzi z „króbką“ Nuchim stary,
Chodzi tyle lat.

Deszcz, czy grad, czy zawierucha,
Idzie stary dziad,
A mnie szepce ktoś do ucha:
To mój brat!

Mówią, że jest brudny, szkodny,
Do szacherki chwat;
Ależ biedny, ależ głodny,
Ależ brat!

Mówią: „obcy ród i plemię“,
Lecz przez wieki kładł
Lud ten kości w naszą ziemię,
Więc dziś—brat.

Chciałbym doń wyciągnąć ręce,
Razem dążyć rad
Gdzieś ku nowych słońc jutrzence
Jak druh—brat.

A. M—ski.

TRUBADUREM BYĆ?

Trubadurem być? u pańskich—
u bankierskich stawać bram?
W duszy, którą Bóg wykąpał
w swych płomieniach, gasić wstyd
Za trzos złota? za kwiat róży
z białej ręki strojnych dam,
Od gorących łon odpięty?
Za lokajów miękki byt?

Co? w pochlebstwa płynne rytmy
krew serdeczną zmieniać nam?
Łaskotliwie piać ballady?
baczyć trwożnie, aby zgrzyt
Z rozstrojonych oburzeniem
harf nie trysnął? aby kłam
Mógł zasypiać w ciepłych łożach,
syt rozkoszy, chleba syt?
Trubadurem być? wysławiać
głębie życia, gdzie jest cieśń
Zgniłych grobów? wielbić orły,
gdzie się puszy ciężki paw?
U drzwi skarbców spustoszałych
stawiać uczuć swoich straż?

Nie! rozpusty nie podniesie
ku miłości nasza pieśń!
Nie! bezprawiu nie da szali
sprawiedliwych, boskich praw!
Nie! obłudy nie przystroi
w szczerej wiary słodką twarz.

J. Kasprowicz.



J. U. Niemcewicz.

ZYGMUNT III.

I.

Król Stefan nie żył; tron osierocony
Zamojski jeden podpierał,
A w bezkrólewiu duch niezgód tłumiony,
Zajadłość swoją wywierał:
Zborowscy karmiąc zemsty osobiste,
Burzyli pokój i prawa ojczyste.

II.

Z niezmiernym ludem na pole wybrania,
Z okropnymi ciągną krzyki,
Prymas krwi bratniej bojąc się rozlania,
Dąży między zbrojne szyki;
Woła: „Ach! dokąd wściekłość was uwodzi,
„Niech Polak w piersi Polaka nie godzi".

III.

Po ciężkich bojach, po trudach niezmiernych
        Naród Zygmunta uwieńczył,
Lecz tylu ofiar, tylu usług wiernych,
        Nigdy Zygmunt nie odwdzięczył;
Wśród świetnych zdarzeń nie przestawał błądzić,
Był dobrym, mężnym, lecz nie umiał rządzić.

IV.

Napróżno Polak mocarstwa podbija,
        Toczy bitwy niezliczone,
Próżno chorągwie wśród Moskwy rozwija
. . . .
Świat się nad polską odwagą zadumiał,
Lecz Zygmunt z zwycięstw korzystać nie umiał.

V.

Dziedziczną Szwedów utracił koronę,
        Moskiewskiej zajrzał synowi,
Niezdolnym rządem umysły wzburzone,
        Przyniosły klęski krajowi,
Zebrzydowskiego duma wyuzdana,
Broń świętokradzką podnosi na pana.

VI.

Z dzielnym Żółkiewskim już Chodkiewicz śmiały
        Zwycięstwo Szwedom wyrywa,
Ciągnie, by mocą wesprzeć tron zachwiały
        I do Guzowa przybywa;
Tam Zygmunt z wojskiem w poczcie swych hetmanów,
Spotyka tłumne hufce rokoszanów.

VII.

Już w czystych błoniach tej nowej Farsali
        Stanęły szyki braterskie,
Gotowe sobie ostrzem krwawej stali
        Zadawać ciosy morderskie:
Gdzie spojrzysz, jedne i szyki i bronie,
Też same Orły, też same Pogonie.

VIII.

Ten widok zapał zawziętych hamuje,
I nie w jednym łzy wyciska,
Lecz cóż położy tamę wściekłej dumie?
Zebrzydowski mieczem błyska,
„Idźmy! o bracia—woła do skupionych —
„Mścić się krzywd naszych i swobód zgwałconych".

IX.

Już duch niezgody wionął jad piekielny
W obłąkane wodza hordy,
Z obu stron w dniu tym walczył naród dzielny,
Z obu stron okropne mordy;
Król przemógł, w polu krwią polską zbroczonem,
Płakał zwycięzca nad wojskiem zwalczonem.

X.

Choć niekorzystne, pełne jednak chwały
Były czasy Zygmuntowe:
Pamiętnych wodzów orszak okazały,
Skarga słynie przez wymowę,
A Lew Sapieha nad wszystkich powstawa,
Miecz w jednem ręku, w drugiem dzierżąc prawa.

J. U. Niemcewicz.

DEMON.

Piekłem swych źrenic spopielasz mi duszę,
Ust pocałunkiem mówisz mi o niebie...
Chcę nienawidzieć, a kochać cię muszę,
Pragnąc przeklinać—modlę się do ciebie.
Z twej winy wszystkie przechodzę katusze,
Z twej winy ginę w rozpaczy Erebie—
Chcę nienawidzieć, a kochać cię muszę,
Pragnąc przeklinać—modlę się do ciebie...

Z twych oczu do mnie idzie prąd tajemny,
Co krew zamienia w lawę roztopioną,

Myśl moją strąca w chaos szaleństw ciemny
I paszczą żądzy wyżera mi łono.
Wiem, żem jest wtedy lichy i nikczemny
Że rozpasaniem zmysły moje płoną,
Gdy mnie twych oczu wzburzy prąd tajemny,
Co krew przemienia w lawę roztopioną.

Tyś obniżyła górne moje loty,
Ty mnie zatruwasz swoich żądz oddechem—
Jednak cię żegnam cichą łzą tęsknoty,
Jednak serdecznym witam cię uśmiechem.
I pragnę, pragnę dzikiej twej pieszczoty,
Twych słów namiętnych chcę się poić echem,
Choć obniżyłaś górne moje loty,
Choć mnie zatruwasz swoich żądz oddechem.

Gdy mnie porywasz w nagie swe ramiona,
Gdy czuję drżenia piersi twej gorącej,
Duch mój zamiera i myśl moja kona,
Do mózgu bije fala krwi kipiącej.
Chciałbym cię zdusić, jak wąż Laokona;
Chciałbym gryźć ciało, jak tygrys łaknący,
Gdy mnie porywasz w nagie swe ramiona,
Gdy czuję drżenie piersi twej gorącej.

Tyś potargała mojej lutni struny,
Tyś uciszyła tęskne pieśni moje;
I na me niebo cisnęłaś pioruny
I wypaliłaś natchnień moich zd-oje.
Na bladej skroni wstydu mając łuny,
Oto przed tobą, demonie mój stoję,
Coś potargała lutni mojej struny,
Coś uciszyła tęskne pieśni moje.

Wiem, że z pod twego nie wydrę się czaru,
Nieubłagany kacie i demonie,
Że wciąż pić będę z twoich ust puharu,
Mózg mieć szalony i tętniące skronie,
Póki od młodej krwi mojej pożaru
Duch nie omdleje i serce nie spłonie.—
Wiem, że z pod twego nie wydrę się czaru,
Nieubłagany kacie i demonie.

Or—Ot (A. Oppman).

WYZWANIE.

O, świecie mieszczańskich świętoszków, karmiony
Słodyczą i cyfr i łakotek!
O, świecie opasły, co liczysz miliony,
O, świecie zalotnic, dewotek!—

O, świecie, narkozą strawionej kobiety,
Co na mszy z kochankiem się schodzi,
O, świecie cudzołóztw i sztucznej podniety,
Gdzie wiosny nie czują i młodzi,—

I tyż-to, o, nizki, kłamliwy, a srogi,
Chcesz zakryć mi słońca blask złoty?
I tyż-to, pigmeju, zrodzony do trwogi,
Chcesz skrzydeł wyłamać mi loty—

Ty ziewasz—ja śpiewam; ty w bagnie—ja w locie;
Ty kłamstwo i jad masz,—ja wzgardę,
Żar natchnień unosi me pieśni, me harde,—
Ty w własnem pogrążasz się błocie.

O, świecie ty gęsi i gadów ty, świecie!
Przeklinam cię, nędzny, bez woli!
I z wzrokiem utkwionym w gwiaździste zamiecie
Ulatam naprzeciw mej doli!

Ulatam bezbronna i światła spragniona—
Ty pełzniesz sceptyczny i stary...
Tem głośniej pieśń wieszcza wybucha mi z łona,
Im mniej masz miłości i wiary!

Idź dalej swą drogą i złotem zwodniczem
Wyzłacaj swe ślady i brudy!
Ja wrzących słów moich uderzam cię biczem,—
O, świecie ty fałszu, obłudy!

A. Negri (przekład M. Konopnickiej).



JUTRZENKA.

Gawęda z sobą.

Widzę, mospanie, jutrznię różową,
I kiwam głową!
Porwał śmiech pusty, komedya szczera
Serce rozdziera!
Jam stary wróbel, i nie dziś przecie
Żyję na świecie!
I wiele, wiele w życiu mem całem,
Jutrzni widziałem.

Na jasnem niebie, na ciemnej ziemi,
Z barwy złotemi,
Lub w siedmiorakich kolorach tęczy
Jutrznia się wdzięczy;
I wiele rzeczy dobrych przyrzeka,
Chcąc zdurzyć człeka.
Ej! to zalotna tylko niewiasta,
Kłamie i basta!

Młodzian mię cieszy, żeśmy w tej chwili
Biedę przebyli,
„Wkrótce nie będzie, zobaczysz, dziadu,
Nędzy ni śladu!“
Znów obietnice, znowu nadzieje,
Serce się śmieje,
Ale ich czekać kolej tak długa...
Najniższy sługa!

Już zawstydzona przeszłość surowa,
W ziemię się chowa.
Przyszłość przychodzi w tęczowej szacie,
Wierz, panie bracie!
Dla zbolałego serca osłoda
Jutrzenka młoda,
Lecz jasne słońce ze swą opieką
Jeszcze daleko!

Ha! znam ja tęczę... pogodę wróży,
Wierzą niektórzy!

Chociaż nad górą ściele się nizko
Czarne chmurzysko.
A jak się wróci chmura burzliwa
(Co często bywa),
Grzmotem zahuczy, deszczem zaleje,
Ot i nadzieje!

A tu wyraźnie kalendarz pisze:
„Mieć będziem ciszę“—
Błogosławiony, kto dziś ma wiarę
We wróżby stare!
Co to!.. nie tylko bredzą bezkarnie
Nasze drukarnie,
I w Berdyczowie kalendarz, słyszę,
Androny pisze.

Ej dolaż moja! przyszło się dosyć
W życiu przenosić!
Słońca mi trzeba, i powiem szczerze:
Gwiazdom nie wierzę...
Niech sobie widzą niewinne dusze
Na wierzbie grusze,
Niech sobie zefir przebiega błonie,
Ja go nie gonię!

W. Syrokomla.



CO MI NADA, CO POMOŻE CUDZA ZIEMIA...

Co mi nada, co pomoże
Cudza ziemia, cudze morze,
Kiedy moja dusza cała
Tam przyrosła, tam została,
Gdzie mój stary próg!

Co mi nada piękno cudze,
Gdy w niem tęsknię, gdy w niem nudzę,

Kiedy serce moje płacze
I ku chacie swej kołacze,
Z tych dalekich dróg!

Obejdź lądy, opłyń wody,
Nie odtęsknisz swej zagrody,
Nie wydumasz zadumania,
Co ci stary dom przesłania,
Stary pszczelny ul...

Oczy tylko patrzą twoje
W cudze niebo, w cudze zdroje,
Ale dusza ci z wyrajów
Drży do łąk tych, do tych gajów,
Do zroszonych pól...

W marmurowych chodzisz grodach
Utęskniony po tych wodach,
Po tych wodach, co tam cieką
Strugą modrą i daleką
Het, przez łężny szlak...

Wskroś palm wiania słyszysz bicie
Skowronkowych piórek w życie,
I uciekasz w cztery ściany
Śpiewać, dumać naprzemiany,
Co tam, gdzie, i jak...

M. Konopnicka.

SPOWIEDŹ.

W obliczu gwiazd milczących dusza moja klęka
I pobladłemi usty, którym tchu nie starczy,
Wyznaje winy swoje: „Posłuch niedowiarczy
Podszeptom wielkich czynów dawała ma ręka.

Wichrom gwiazd i błyskawic grzmiącym i potężnym,
W których blasku tłoczącej nocy całun pęka

Wrogiem była ma gnuśność... Złamana poręka
Przysiąg moich na wierność myślom wniebosiężnym"...

I milknie zrozpaczona... Bo choć chce ozdrowieć
Oczyszczeniem się z winy na skruchy ołtarzu,
Przeraża ją ogromem przewiny ta spowiedź...

I nie wie zawieszona na zwątpień krawędzi,
Czy, jeśli skruchę w sobie—obudzi—zbrodniarzu,
Potrafi przebaczenie znaleść w sobie—Sędzi.

L. Staff.

NUDA.

Nudą godzin powszednich chory mózg się płaszczy,
Ni to w sennej piosence puste oktaw tony...
Czcza apatya poranku po nocy hulaszczej
Lubieżnemi mą Duszę objęła ramiony...

Jak biesiadnik, co rzuca kielich, bo wywarów
Pełen gorzkich— z ust swych brudną pianę sączy,
Wstrzymałem na obroży mózg mój niegdyś rączy,
Nie ciekawy już nowych omamień, ni czarów...
Milkną wonie—i dźwięki drżą w sennej agonii...
Pozostały z ziół leki wyblakłe i mętne...
Oczy moje, jak lustro, dziwnie obojętne
Na wszystko, co zoczywszy, odbija w swej toni...

I jest w mych myślach taka harmonia Upadku
I taki bezmiar Smutku, żem jest, jak skróś fali
Żeglarz, co wsparłszy dłonie niedbale na statku,
Jedno tylko śni w duszy:— „Nie płynąć już dalej!..

J. Pietrzycki.

OJCIEC.

Dziecko moje blednie, w oczach gaśnie,
Z kolan matki już nie schodzi prawie.
W nocy żona gdy na chwilę zaśnie,
Sam, jak umiem, chore dziecko bawię.

Pochylony siedzę nad kołyską:
„Tylko nie płacz, bo mama usłyszy!“
Dzwonek tuż pod ręką—woda blisko.
Może zaśnie?... mówię coraz ciszej.

Wtem on ku mnie wyciąga rączęta.
Patrzę gdzie też jego oczki biegą:
Pił przed chwilą? lampa przysłonięta?
Wiem, chce, czegoś—ale nie wiem czego?

Biedny dzieciak! czegoś chciał odęmnie,
A ja, którym wiedzę zgłębił całą,
Głowę sobie łamałem daremnie,
I nie zgadłem... czego dziecko chciało!

Usnął znowu, a mnie łza gorąca,
Gość nieznany, spłynęła po twarzy.
Wszędzie głucha cisza, noc bez końca,
Wkoło widma mogił i grabarzy...

Och, przebyłem w życiu mąk niemało,
I łzy nigdy nie znałem niewieściej,
Alem takiej nie przeczuł boleści—
Po co niebo mi to dziecię dało?!

Niechby raczej mnie Bóg bezlitośny
Na najcięższe z losem rzucił boje!...
I z mej piersi jęk się wydarł głośny—
Obudziłem chore dziecko moje!

Czesław (C. Jankowski).



FRAGMENT.

A gdy z młodością nadchodzi rozłąka,
Gdy z drzewa wiosny opadają kwiaty,
Duch jak kometa w bezmiarach się błąka,
Pragnie raz jeszcze rój marzeń skrzydlaty
Potrącić skrzydłem strzaskanem przedwcześnie,
Ku gwiazdom wznieść się na jawie—lub we śnie.

Więc rozgwieździoną, cichą, jasną nocą,
Skąpany w blaskach srebrzystych księżyca,
Leci gdzie nocy pochodnie migocą,
Jak brylantowa leci błyskawica,
Której szlak znaczy złocista orbita,
A nieskończoność swem tchnieniem ją wita.

Ach, z takich wyżyn spojrzawszy na ziemię,
Widzisz, że ona jest jak czarna truna,
Co—przystrojona w kir—od wieków drzemie,
I ożywczego nie pragnie pioruna.
Któryby błysnął płomieniem czerwonym,
Spadł i ostatni raz wstrząsnął jej łonem.

Prometeusza ród wygasł przed wieki,
Iskry wszechbytu nie wydarł Zeusowi,

Więc przed ludzkością świt jeszcze daleki,
A półbogowie nie przychodzą nowi,
Coby na Olimp zwrócili dłoń hardą,
Aby zwyciężyć, albo—zabić wzgardą!

Prometeusze, Herakle, tytany!
Przeszła, nie wróci już epoka wasza—
Strzaskał się puhar po brzegi nalany,
Nektarem bogów pełna mętów czasza
Spragnionych tłumów dzisiaj nie napoi,
Co u przyszłości cisną się podwoi...

W. Bukowiński (Selim).

WASZA WINA!

Hej! dajecie nam hasła i każecie z wiarą
w bój iść życia, nie zlęknąć się, ni upaść w walce,
a my idziem na oślep, młode zagorzalce!
walczyć za to, co złudą jest tylko i marą!

Ale wkrótce broń pęka, rdzą zgryziona starą,
a my stajem bezbronni, bledniem, gryziem palce
zrozpaczeni— —wy winni! co gliny kawalce
miast granitu nam dali! My tylko ofiarą!

Czemuż zatem nas klniecie, gdy fałszywe bóstwa
depcem mściwi i wściekli, lub gdy błądzim w cieniu,
bagien widząc ogniki nawet w gwiazd promieniu?-

Póki fałsz nam dajecie, mary i oszustwa
miasto prawdy, choć gorzkiej—grzechów naszych
mnóstwa
ciążyć będą, o mistrze! na waszem sumieniu!

J. Żuławski.

DO BUDUAROWEJ BACHANTKI.

Chrystus kupczących wygnał ze swego kościoła,
A ciebie któż wypędzi z domowego koła?...
Z przybytku matek naszych,—których cnoty chwała
Od wieków tylu ziemi naszej przyświecała!

* * *

Przed światem—tyś koroną rodzinnego drzewa,
Kapłanką cichej strzechy, co skrzydłem anioła
Osłania ją przed burzą i sercem ogrzewa...
O! zdejm dyjadem fałszywy z wytartego czoła!
Gdy ogień namiętności pierś twoją pożera,
Pokaż, żeś nie kapłanka czysta, lecz hetera!

* * *

Płaszczem cnoty rodzinnej kryjąc pierś skalaną,
Skradłaś matki narodu i kapłanki miano!
Na tron, który kobiecie wieki zbudowały,
Wstępujesz, zdobiąc czoło wieńcem czci i chwały.

* * *

Kiedy w szale miłosnym samotna sierota
Upadnie raz niebacznie na drodze żywota,
A później, przyodziawszy Magdaleny szaty,
Głosem cichej pokory błaga przebaczenia,
Ze wzgardą ją odpycha świat—cnotą bogaty
I strąca w przepaść hańby rękami z kamienia.

* * *

A ty, w błocie rozkoszy spędziwszy wiek młody,
Tchnieniem żądzy nieprawej, namiętnego żaru,
Bezkarnie plamisz świętość rodzinnej zagrody,
Bo hańbę twą skrywają cienie buduaru.

* * *

Tamta czystsza, bo własną tylko szatę plami
I świętych praw rodzinnych nie depce nogami,
A winę jej oddawna łzy żalu obmyły;
Tamta czystsza, bo nędza stargała jej siły,

U stóp krzyża pokuty upadła zemdlona,
I nikt nie spojrzał nawet, że w rozpaczy kona!...

* * *

A ty... w wspaniałej szacie bogactwa i cześci,
Za rozkosz jednej chwili sprzedasz wstyd niewieści,
Sprzedasz honor małżonka i cnotę swych dzieci!
I w sercu twem uczucia iskra nie zaświeci!
Ty nie znasz, co łzy gorzkie, co pług ciężkiej doli,
Chrztem cierpienia ni razu nie obmyłaś duszy;
Nie znasz nędzy oblicza, ni głodu katuszy,
Ciebie serce zamarłe nigdy nie zaboli!
Nie znasz głosu miłości, głosu przebaczenia,
Tyś głazem, nie człowiekiem, kobieto z kamienia!

* * *

I wiecznie jaśnieć będziesz cnót wzniosłych szkarła-
tem,
W wieńcu chwały i zbrojna poświęceniem cichem,
W skrytości plamiąc usta rozpusty kielichem,
W buduarze bachantka—bogini przed światem!

* * *

A gdy do dna wychylisz już czarę rozpusty,
I świat żądnej bachantce już nic dać nie zdoła,
Wdziawszy szaty pokutne—w postaci anioła,
Będziesz Bogu kłamała obłudnemi usty!

A. Pilecki.

REZYGNACYA.

Nieszczęśliwy, kto próżno o wzajemność woła;
Nieszczęśliwszy jest, kogo próżne serce nudzi:
Lecz ten u mnie ze wszystkich nieszczęśliwszy ludzi,
Kto nie kocha—że kochał, zapomnieć nie zdoła.

Widząc jaskrawe oczy i bezwstydne czoła,
Pamiątkami zatruwa rozkosz, co go łudzi;
A jeśli wdzięk i cnota czucie w nim obudzi,
Nie śmie z przekwitłem sercem iść do stóp anioła.

Albo drugimi gardzi, albo siebie wini;
Minie ziemiankę, z drogi ustąpi bogini,
A na obiedwie patrząc, żegna się z nadzieją;

I serce ma podobne do dawnej świątyni,
Spustoszałej niepogód i czasów koleją,
Gdzie bóstwo nie chce mieszkać, a ludzie nie śmieją.

A. Mickiewicz.



WIZYA.

Widziałem siebie w czarnej granitowej trumnie,
Którą jasność piorunu tragicznie oświeca...
W sinem świetle błyskawic skąpane me lica
Uśmiechają się zimno, szyderczo i dumnie...

W głowach trumny dopala się czarna gromnica
I szatana twarz smutna pochyla się ku mnie,
Bezdennemi oczami widząca rozumnie
Moją trupią zieloność wyznawcy księżyca...

Szatan przykrył mnie czarnem granitowem wiekiem,
Dźwignął trumnę na ciemne atletyczne bary
I z trudnością przy gromów huczeniu dalekiem

Poniósł ciężar z ołowiu w zamglony świt szary,
Zapłakawszy łzą krwawą nad strasznym człowiekiem,
Ze sfinksowym uśmiechem idącym na mary...

W. Wolski.

ZARĘCZONA.

Rzekł jej:—„I góry, i morza, i rzeki
Muszą rozdzielić ust naszych płomienie...
O, myśl ty o mnie, gdy będę daleki!

O, czekaj ty mnie! Nigdy zapomnienie
Serca mi nie tknie zimną ręką kata:
Rozdmucha tylko miłość—oddalenie!“

Czekała. Szły dnie, szły miesiące, lata,
Długie, lodowe lata tej odwłoki
Szły bez promienia, uśmiechu, bez kwiata

W dziewiczych włosach jej. Aż gdy uroki
Wiosny z jej lica, jak róże, opadły,
Gdy utraciły piór lotność jej kroki.

Gdy zmarszczka wyszła na profil jej zbladły,
Jak skaza deszczem w marmurze zorana,
Zjawił się nagle, jakby z nieba spadły.

Lecz pocałunków lawa się wezbrana
Nie zbiegła... brakło szału, upojenia...
On—w niewolnicę patrzał, ona—w pana,

I utonęły w sobie dwa spojrzenia
Miłości żądne, która już umarła,
I jak od gromu padły uderzenia...

A między nimi—przepaść się otwarła.

A. Negri (przekład M. Konopnickiej).





J. Kochanowski.

TREN VI.

Ucieszna moja śpiewaczko, Safo *) słowieńska!
Na którą nietylko moja cząstka ziemieńska,
Ale i lutnia dziedzicznem prawem spaść miała,
Tęś nadzieję już po sobie okazała,
Nowe piosnki sobie tworząc, nie zamykając
Ustek nigdy, ale cały dzień prześpiewając.
Jako więc lichy słowiczek w krzaku zielonym
Całą noc prześpiewa gardłkiem swym ucieszonym.
Prędkoś mi nazbyt umilkła, nagle cię sroga
Śmierć spłoszyła, moja wdzięczna szczebiotka droga!
Nie nasyciłaś mych uszu swemi piosnkami—
I tę trochę teraz płacę sowicie łzami:
A tyś ani umierając śpiewać przestała,
Lecz matkę ucałowawszy, takeś żegnała:

*) Safo, słynna poetka grecka z V-go wieku przed Chr.

„Już ja tobie, moja matko! służyć nie będę,
Ani za twym wdzięcznym stołem miejsca zasiędę,
Przydzie mi klucze położyć, samej precz jechać,
Domu rodziców swych miłych wiecznie zaniechać".
To, i czego żal ojcowski nie da serdeczny
Przypominać więcej, był jej głos ostateczny;
A matce, słysząc żegnanie tak żałośliwe,
Dobre serce, że od żalu zostało żywe.

J. Kochanowski.



M Ę K A.

„Pusto... Czemu nie przyszedł, kto strudzon i prag-
nie?
Ułomków z pięciu chlebów już sprzątnięte kosze...
Tknięty bezwładem odszedł... wziął na bary nosze...
Czy dziś Pascha?... Oddalcie to płaczące jagnię...

Pożywajcie... To moja krew, a to me ciało...
O, nie módz znużonemu umrzeć w ciszy!... Prochu
Bezsilny!.. O, konanie wśród wrzasków motłochu!..
Kur zapiał... Jak głos rani... Gdzie Piotr? Czasu
mało...

Przebaczam winy łotrom i wszetecznej dziewce...
Patrz! Zbiry lśniące ostrza wtykają na drzewce...
Więc już?.. Jam gotów... Wiedźcie mnie: Pobladłeś
Janie?

Matko... Otrzyj mi czoło... Zciszcie zgrai krzyki....
Uczniu mój... rozsypujesz w ucieczce srebrniki...
Trzeba... A moc wytrwania słabnie... Ojcze... Panie..."

L. Staff.



SZAROTKA.

Granią, gdzie błądzi tylko stopa wiatru lotna,
Ku szarotce błyszczącej wśród turni szeregu,
Jak zmarzła gwiazda, puchem otulona śniegu—
Wspina się ludzka postać śmiała i obrotna.

Ptasia droga prowadzi do skalnych ścian brzegu,
Tam gdzie pełza ten góral—droga bezpowrotna!
Czy go ciągnie w tę drogę szarotka samotna?
Czy dla niej życie swoje chce powstrzymać w biegu?

On grosz za nią dostanie!... trwożnym ruchem kota
Wspiął się... zwisnął w powietrzu... kładzie rękę na niej...
Zerwał!.. zamknął nad kwiatem palce—śmierci wrota.

Czemuż nagle zbladł, patrząc zejścia w dół po grani?
Ha!.. nie można zejść na dół, nie zbywszy żywota!
Odwróć oczy... rozegra się dramat otchłani...

F. Nowicki.

CO POCZNIE?

Wśród nocy—własne oczy jej świeciły
Zgrozy pochodnią...
Biegła, bo ustać nie miałaby siły
Pod swoją zbrodnią...
Od wichru myśli, na głowie jej wstały
Zburzone włosy...
Biegla—jak gdyby poświsty ją gnały,
W śnieg srebrny, świeży.
Aż tam, gdzie śpiący, synek jej bieluchny
Pod murem leży...
Gdzież biegnie?—pójdzież zapytać się rosy,
Czy go wyżywi?
Czy też rwać pocznie stargane swe włosy
Jak nieszczęśliwi!

Czy pójdzie nocy tej błagać, by cieniem
Czoło jej skryła?
Żeby jej ziemia rzuconym kamieniem
Nie znieważyła?
Czy pójdzie w lasy bić głową o sosny,
Gdzie pustka głucha?
Czy stanie nagle—i w głosik żałosny,
Drżąc, się zasłucha?

Czy pójdzie w góry, co stopy jej krwawić
Zębami poczną?
Czy wróci blada, by dziecię swe zbawić
Przed dolą mroczną?
Czy, jak zdeptane stokrocie na łące,
Ugnie swe czoło?
Czy wbije oczy, jak noże płonące,
W ciżbę wesołą?
Czy krzykiem pójdzie rozbudzić potęgi,
Co drzemią senne?
Czy w twarz, z policzkiem, odrzuci przysięgi
Zdrady płomienne?
Czy stanie tutaj, pod niebios pręgierzem,
W błyskawic wstydzie?
Czy pójdzie los swój podzielić ze zwierzem
I żyć w ohydzie?

Czy, załamawszy ręce, jak Nijobe
Tu skamienieje,
I stać tak będzie, aż wieku chorobę
Wyleczą dzieje?
Czy jak drzewina, co robak ją stoczy,
Padnie wśród drogi,
Aż w prochu zdepczą blask płowych warkoczy
Przechodniów nogi?
Czy prawodawcom ukaże się we śnie,
Jak widmo drżące,
I zbudzi sennych, wołając boleśnie:
„Jest nas tysiące!“
Czy pod mur wróci—i porwie na ręce
Swego chłopczyka?
Czy zacznie szarpać to ciałko dziecięce,
Jak lwica dzika?

Czy pójdzie prośić jasnego miesiąca
O srebrny rąbek,
By cieplej miała dziecinka jej drżąca,
Biały gołątek?
Czy pójdzie prosić gwiazd, żeby go strzegły,
Bo matki niema?
Czy zaklnie cienie, by za nią nie biegły,
Jak anatema?
Czy poda piersi raz jeszcze przed świtem
Dziecku u łona?
Czy krzyk natury zagłuszy swym zgrzytem,
Padnie i skona?....

* * *

O myślicielu! co pocznie ta matka?
To drobne dziecię?
Milczysz—jak ciemną jest życia zagadka!
Ileż łez w świecie?

M. Konopnicka.



A KIEDY Z DRZEW...

A kiedy z drzew polecą liście,
Kiedy się niebo w krąg osmęci,
A mgły zaleją świat rzęsiście
I wszystko zgaśnie w niepamięci...
Ty nie mów nic...

A kiedy liście z drzew polecą,
I dusze nasze w puch omota
Królowa smutnych dusz—Tęsknota,
I w oczach nam się łzy zaświecą...
Ty nie mów nic...

A kiedy w chór zapłaczą drzewa,
A kiedy blade przyjdą noce

Zawodzić smutną pieśn tułaczą,
I coś się nagle w nas zgruchoce...
Ty nie mów nic...

A kiedy w chór zapłaczą drzewa,
Kiedy się nagle wszytko zmroczy,
I pieśń ostatnia się prześpiewa—
Ty patrz mi długo... długo w oczy...
I nie mów nic...

E. Bieder.

O PRZYJDŹ, JESIENIĄ...

O przyjdź, jesienią,—
Wdziej szatę lekką, białą, zwiewną,
Pajęczą;
Rzuć na hebanowe twoje włosy
Perły rosy
Lśniące zimnych barw
Tęczą.

O przyjdź, jesienią—
Owiana skargą tęskną, rzewną
Żórawi,
W dal płynących szarą niebios tonią,
Tchnącą wonią
Kwiatów, które mróz krwawi.

O przyjdź, jesienią—
W chwilę zmierzchu senną, niepewną—
I dłonie
Twe przejrzyste, miękkie, woniejące
Na cierpiące
Połóż mi skronie—
O śmierci..

S. Brzozowski.

Z POEMATU: „NA WYSPIE“.

Stwórca, wywiódłszy z mrocznych sił chaosu
Pierwiastek ducha, pomieszał pospołu
Wszystko na ziemi—i zdjął z niej swe palce.
Odtąd duch, pragnąc zyskać władzę losu,
Z instynktów ciemnią, z ślepotą żywiołu
Walczy i wciąż się doskonali w walce.

I gdy tak szala dziejowa się zważa,
Każde ogniwo nowych walk łańcucha
Bierze początek na tych szczytach ducha,
Gdzie się konieczność w wolność przeobraża.

A czasem światu w otchłaniach eterów
Nieskończoności bijące zegary
Uderzą w groźne i złowrogie nuty:
Ludzkość lży wówczas własnych bohaterów,
Plwa na ołtarze zapału i wiary
I, niby więzień do taczki przykuty,
W rydwany losu ślepego się wprzęga.
Łańcuch przeznaczeń tak się mocno spina
I sił brutalnych tak wzrasta potęga,
Że duch zgnębiony, zdaje się, umiera...
Lecz jest to tylko przełomu godzina,
Znak, że dla świata wschodzi nowa era.
Bo, gdy tchu braknie i wszystko zawodzi,
I rozpacz chwyta i niema nadziei,
A sploty więzów Fatalność zaciska,—
Duch w udręczeniu nagle płomień rodzi,
Rzuca nazewnątrz w postaci Idei
I wznieca światu wolności ogniska.

G. Daniłowski.

GDY MNIE OGARNIA ZMROK.

Gdy mnie ogarnia zmrok, co dusze człecze
Tak natarczywie aż do ziemi tłoczy,
Śpieszą nademną zbawczą spełniać pieczę
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

I zło, uchodząc, poza sobą wlecze
Tabor swych smutków i w nicość się toczy,
Tak je spłoszyły jak cherubów miecze,
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

I znów oczyszczon i znowu ochoczy
Do tego życia które mi zmieniły
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy.

Tulę do piersi ten mój skarb uroczy,
Ach! i całuję, pełen nowej siły,
Twe jasne, ciche, twe głębokie oczy!

J. Kasprowicz.

SZUM DRZEW.

Przypłynął ku mnie cichy, przytłumiony—
Jęk, wszczęty w sosnach, na krawędzi boru,
I wnet ogarnął wszystkich drzew korony,
Spowite w ciszy letniego wieczoru.

I las tajemnych dźwięków miliony,
Rozpełzających się w głębie przestworu,
Jął wydobywać z swej piersi zielonej—
Zbyt późne echa przedwiecznego chóru.

I moją duszę, jakby była drzewem
Pełnem konarów, liściastych gałęzi,
Szum ten głęboki w dziwne wprawiał drżenie:

Nim się spostrzegłem, z cielesnej uwięzi
Rwie się i płynie, w ślad za sosen śpiewem,
Gdzieś w bezgraniczne, nieznane przestrzenie.

J. Kasprowicz.

POWRÓT.

Tyle nie byłem lat
W tej ciszy, w tej ustroni...

Szeroki zbiegłem świat,
Lądami idąc przez bezdroża,
Wichrem przez bezdnie gnany morza,
A dziś mi w uszach dzwoni
Wieczorna cisza tej ustroni—
Kolebka pierwszych moich snów...

Wróciłem więc i jestem znów...
Tak samo świerszcz na łące dzwoni,
Tak samo kwiaty pachną wkoło,
Tylko—smutniejsze moje czoło,
Tylko—już niema moich snów...

Wróciłem więc i jestem znów
W tej ciszy, w tej ustroni,
Tak samo prószy mi na głowę
Różowy kwiat jabłoni,
Tak samo w uszach dzwoni
Ta cisza, której mowę
Z dziecinnych pomnę lat...

Szeroki zbiegłem świat— —
Wróciłem dziś i jestem znów
W tej ciszy, w tej ustroni—
Tylko już niema moich snów,
Tylko mi w rękach uwiądł kwiat
Najcudowniejszej woni—
Tylko—straciłem wiarę w życie
I płynę na rozbicie— —

. . . .

Szeroki zbiegłem świat...

Z. Dębicki.

OGRÓD ZAKLĘTY.

Tak mi mówili aniołowie,
Co znają prawdę, skrytą w słowie,
Że tam, gdzie wisząc nad przestrzenią,
Brzegi wieczności się zielenią,
Przedarłszy czasu mdłe osłony,
Wzgórzami tęsknot otoczony,
Zakwita ogród niezbadany,
Zaczarowany, obłąkany—
Zaczarowany skonem zorzy
I obłąkany mgłą bezdroży!

Więc, wizyą skrzydeł spromieniony,
Szedłem w cudowne owe strony,
Poprzez stężałych snów urwiska,
Przez dawnych bytów uroczyska,
I nieraz w dzikiej swej podróży
Spotkałem widma bladych róży,
I mary lilji, co w przestworze
Na widziadlanem tkwią jeziorze.
I spotykałem wśród rozdołów
Omszone zwłoki tych aniołów,
Których Bóg strącił w te bezdenie
Za potępieńcze serc płomienie...
I spotykałem senne kraje,
Gdzie wszystko mgłą i mgłą się staje,
Gdzie się kołysze w mgieł odmęcie
Dziwaczny okręt przy okręcie,
A melancholii słodkie fale
Przez ich pokłady mkną niedbale
I w bezpowrotne płyną dale!...

Aż wreszcie, depcząc pierś obłoku,
Jakiegoś Boga mając w oku,
Z duszą na wschodzie i zachodzie,
Stanąłem blady w tym ogrodzie!
Tam każde drzewo jest zaklęte,
Tam są topole wniebowzięte
Kaskady drętwe, w snach skąpane,
Mocą obłędów sfałdowane,
I takich jezior tonie sine,

Że straszno spojrzeć w ich głębinę,
Że straszno spojrzeć w ich zwierciadła.
By twarz ci nagle nie pobladła,
Gdy ujrzysz skryte w nich widziadła.
Pod jednem drzewem niezbadanem,
Zaczarowanem, obłąkanem,
Gdzie każdy liść od marzeń kona,
Nawpół stworzona, wpół wyśniona,
Królewna cudna odpoczywa!
Z skroni jej warkocz wonny spływa,
Spływa i wpływa w alej głębie,
Zwisa na każdej skały zrębie,
Po wszystkich ścieżkach tak się ściele,
Jak czarodziejskie jakieś ziele,
A w górze—srebrem pałająca,
Niewyczerpana głąb' miesiąca!

Mów mi, królewno moja blada,
W jaki się mrok twój sen zapada?
I z jakich stron twych oczu dale?
I z jakich mórz twych warg korale?
I z jakich piekieł twe warkocze,
Po których drżący teraz kroczę?
I mów mi, w jaką wiodą stronę
Warkocze twoje nieskończone—
Bo mię na wiek, na wiek już cały
Warkocze twoje opętały!

Ach! idźcie wszyscy, idźcie ze mną,
Ku niej—w krainę ponadziemną,
Lecz nie pytajcie mnie (o Boże!
I któż mnie spytać o to może!)
Gdzie jest ten ogród, gdzie te światy,
Do których wszystkie tęsknią kwiaty,
I wszystkie dusze snem ozdobne,
Co są do kwiatów tak podobne!
I skąd ta powieść moja rzewna?
I czem jest cudna ta królewna?
Bo, choć mi serce rozpłomienia,
Już nie pamiętam jej imienia!
I choć mi zawsze taka blizka,
Już nie pamiętam jej nazwiska!

Lecz wiem, że ogród ten istnieje,
Że tai straszne jakieś dzieje,
Ach! dzieje straszne, niezbadane,
Zaczarowane, obłąkane—
Bo mi mówili aniołowie,
Co znają prawdę, skrytą w słowie,
Że tam, gdzie wisząc nad przestrzenią,
Brzegi wieczności się zielenią,
Przedarłszy czasu mdłe osłony,
Wzgórzami tęsknot otoczony,
Zakwita ogród niezbadany,
Zaczarowany, obłąkany!
Zaczarowany skonem zorzy
I obłąkany mgłą bezdroży!

B. Leśmian. (Lesman).



KRZYŻ.

Poranne, złote rozjaśniło słońce
Starego muru ścianę poczerniałą—
I kurcz bolesny, zda się, wstrząsnął ciało,
Na krzyżu w męce krwawej zwisające.

Dołem lud mrowi się. Idą tysiące
Paść oczy śmierci tej okropną chwałą
I jako kłosy pod wichru nawałą
W proch biją czołem tłumy truchlejące..

O słońce! Wiecznież przed ludu oczami
Krwią broczyć będzie postać umęczona
Z skronią świetlaną, co w bólu się zniża?

Bóg, co krwawymi przesłania cieniami
Słońce, i kona—wiecznie, wiecznie kona!
Synu Człowieka! zstąp z krzyża, zstąp z krzyża!

L. Szczepański.

UKOCHANI PRZEZ BOGÓW UMIERAJĄ MŁODO.

Skoszonaś, biała lilio, kwitnąca przeczyście,
Wprzód, zanim skwarne lato zwarzyło twe liście:
W majestacie dziewictwa i w kapłanek bieli
Wziętaś, kędy niebiescy królują anieli.

Rzeczywistość, co serca brylantowe kruszy,
Żadnego listka złudzeń nie strząsła z twej duszy;
Na życie twoje nie padł łez gorących ołów,
I sen, zaczęty z ludźmi, kończysz wśród aniołów.

Samolubne to jęki, co za tobą płyną!
Cóż że się rychło z ziemską rozstałaś dziedziną.
Cóż, że ci zgon niewczesny lata przeciął młode,
Gdyś młodość wiekuistą posiadła w nagrodę!

Przez urnę przebłyskuje ofiarnicze płomię,
Przez ciebie blask poezyi przeświecał widomie;
Wiązka twoich promieni jest nam dziś ozdobą,
Choć urna i ognisko zagrzebane z tobą,

Czoło twoje gwiaździste ozdabia korona,
Bo przez śmierć i przez młodość jesteś uświęcona;
Patrząc na cię, któż z grecką nie rzeknie pogodą:
„Ukochani przez bogów umierają młodo!“

W. Gomulicki.

TOPOLA.

Przy cmentarzu nad rzeką, jak warta,
Stróżująca zapadłym mogiłom,
Piorunami topola rozdarta
Przeciwstawia niszczącym burz siłom
Moc trwania.

A gdy szara godzina uderzy,
Za cmentarny przechyla się parów,

Nad grobami uśpionych rycerzy,
I zadaje szelestem konarów
Pytania.

Wówczas każdy grób wzdryga się darnią
I z łoskotem się głębiej zawala.
Bo je pyta swą całą męczarnią
I tym gromem, co wciąż się zapala
W pniu czarnym.

* * *

Milczy cmentarz posępny i głuchy;
Jeden wicher w nim ciszę zamąca,
Co topoli rozdartej pień suchy
Swym szalonym podmuchem potrąca
I zgina.

I z wściekłością gałęzie obrywa,
I unosi daleko na pole;
A topola tak jęczy, jak żywa,
I boleścią wiekową swą dolę
Przeklina.

Pod nią rzeka spieniona i mętna
W mgły oparach się wije, jak w dymie,
Słychać westchnień ogromnych jej tętna
I kłębiące się w piersiach olbrzymie
Jej wiry.

A nad wszystkiem się zwiesza żałośnie
Noc i, niby samotna dziewczyna,
Co tka szychem całuny na krośnie,
W mroczne niebo pozłotę gwiazd wpina,
Jak w kiry.

G. Daniłowski.





ORLICA.

Orkan ciągnie—i skrzydłem piorunowem zmiata
Górom czoła i w przepaść miota głazów deszcze;
W burzy, z łupem chwyconym w krwawych szponów
kleszcze,
Chmur żeglarka, orlica, przez góry przelata.

W gnieździe czeka ją rzesza piskląt nieskrzydlata,
Głodna, od wczoraj pewnie nie karmiona jeszcze,
Prędzej! za nic te wichry i gromy złowieszcze,
Naprzód! za nic ta burza, co grzmi koniec świata!

Kraje piersią prąd wichrów—wtłacza sił ostatki
W matki skrzydła—hej prędzej! już ją turnie skryły..,
Doleciała!... tam gniazdo—tam jej głodne dziatki.

Jakież krzyki z jej gardła w pustyni się wzbiły!
Tam grom rozmiażdżył gniazdo z dziećmi orlej matki...
Nie słuchaj!... ten krzyk ptasi lodem ścina żyły...

F. Nowicki.

MODLITWA.

...A daj nam, Boże, mocy, żebyśmy wśród drogi
Nie padli kędyś z gardłem wyschniętem, jak karły,
Iżby nam skwarne wichry mózgu nie wyżarły
I nie porwały ciała o ciernie i głogi...

A i nie dopuść, Boże, żeby w nasze progi
Mógł się wślizgnąć przeszłości krwawy cień zamarły,
Iżby nogi proch drożny na chwilę otarły,
Iżby błędne ogniki były dla nas bogi...

A daj nam, Boże, hartu, iżbyśmy puginał
Utopić mogli w piersi rodzonego syna,
Gdyby się pod ciężarem swym nadto uginał...

I spraw, iżby kleszczami nas, jako hamulec,
Wstrzymywała od nędzy ducha ojców wina,
Iżby nam trupem padnąć przyszło, a nie uledz...

J. Żuławski.

CZARNE OCZY.

W czarnych twych oczu przeczystem spojrzeniu
kąpię swą duszę dziką i zmęczoną—
i taka błoga cisza tchnie w me łono,
jakbym w letejskim skąpał się strumieniu.

Gdzieś tam na świecie w gromach ryczą burze
i krew szlachetnych serc użyźnia niwy...
Rży wiatroskrzydły koń mój niecierpliwy:
koniu! leć z Bogiem!—senne oczy mrużę...

Pójcie mnie, święte zapomnień krynice!
Świećcie mi, jasne dziecięce źrenice!
Blask wasz w mej duszy nowe siły nieci,

i gdy znów rumak mój z wichrem nadleci,
pójdę w bój życia, jak szaleniec mężny,
jak lew rozżarty i jak grom potężny!

J. Żuławski.

S E N.

Widziałem serca stargane bolem,
W kałużach—ogień Prometejowy,
Zboże zgłuszone podłym kąkolem—
I psy liżące swoje okowy...

Widziałem burzy złote łyskania,
A po nich ciemność straszną, złowrogą—
Słyszałem ptasząt tęskne śpiewania,
Które nie miały spiewać dla kogo...

Gladyatorów widziałem tłumy,
Jak szli z uśmiechem na krwawe piaski,
Konali z dzikiem uczuciem dumy,
By głupich tłumów zyskać oklaski.

Widziałem głodnych nędzarzy krocie,
Jak zaciskali kurczowo ręce,
Grożąc lichwiarzom, co się po złocie
Tarzali—ofiar dworując męce...

Widziałem—niskie bito pokłony
Przed złotym cielcem: w obrzydłym prochu,
Czołgał się przed nim lud upodlony
Wołając: „Tyś nam bogiem—Molochu!“

Widziałem wielkich uczonych trony—
Wspaniałe, wzniosłe, w nadziemskiej chwale,
Świat powagami zwał ich uczony,
Chociaż rozumu nie mieli wcale...

Widziałem możnych mocarzów ziemi—
Co jak słoneczne, wielkie ogniska,
Zdala jaśnieli barwy złotemi,
A byli czarni i mali z bliska...

Widziałem tłuste—wielkie augury,
(O których nie chcą nic wiedzieć Bogi!)
Widziałem... w błocie zasług purpury,
A po świątnicach chwasty i głogi...

Widziałem... Dosyć, dosyć już przecie,
Czas tę cytatę skończyć niemiłą...

Lecz się nie trwóżcie!... Alboż nie wiecie,
Że mi to wszystko tylko się śniło?

Że krocie głodnych nędzarzów jęczą
Pod nielitosną, pogańską siłą,
Że świat okuty złotą obręczą,
To mi się śniło! To mi się śniło!

Że niekochanych i niepłakanych
Za życia radzi skryćby mogiłą,
Żem widział głupców patentowanych,
To mi się śniło! To mi się śniło!

Że nie to wielkie, co zdala świeci,
Żem znalazł błoto w czarach złoconych,
Że augurowie ludy, jak dzieci,
Wodzą na paskach, choć poświęconych,

Że się na górze podłość rozpiera,
A zielsko chramy prawdy pokryło,
Że... et caetera... że et caetera...
To mi się śniło! To mi się śniło!..

. . . .

Choć sen ten miałem rok temu prawie,
Wciąż mię te mary trapią złowieszcze,
I chociaż trzeźwo chodzę na jawie,
Wciąż mi się zdaje, że ja śpię jeszcze!..

B. Czerwieński.



GŁOS WOŁAJĄCY NA PUSZCZY.

Czasami doleci z burzą
Do uszu bezmyślnej tłuszczy,
Do wodzów, co kłamstwu służą,
Głos wołający na puszczy.

Grozą przenika ich serca;
Niejeden porzuca łoże,
Drży jak schwytany morderca,
Lecz przestróg pojąć nie może.

Niezrozumiałym jest dźwiękiem
Głos wołający w pustyni,
Śpią dalej na łożu miękkiem...
I nikt pokuty nie czyni.

A. Asnyk. (El...y).

LIST.

Niczego tobie dusza nie pamięta.
W sny się zasnuła, zbłąkała w pustkowiu,
Pod niebem głuchem, jak tarcza z ołowiu,
We własną mękę jak w płomień zamknięta.

Już jej tęsknota nigdy nie opęta
Mieć ciebie jasną na złotem wezgłowiu,
W skrach gwiezdnych drżącą—jak fala w sitowiu,
Gdy zalśni we śnie wichrem ogarnięta.— —

A cierpię, że się bez ciebie nie może
Rozpętać dusza jak ogień skrzydlaty,
Każdej swej myśli przelśnić w cud i w zorzę—

Cierpię i pytam, patrząc nieprzytomnie
Na ciemne morze idące w zaświaty,
Czy łódź nadpływa—i czy płynie po mnie?

S. Wyrzykowski.

TĘSKNOTA.

Ej! dajcież mi kute sanie!
Czwórkę siwych! bicz krakowski!
A nim zorza ranna wstanie,
Wpadnę wichrem do swej wioski!
Będę strzelał! będę hukał!
I dawnego szczęścia szukał!
Jeno... nie wiem, gdzie jest ono...
Bom *zabaczył* od tęsknicy.
Czy pod sosną pochyloną?
Czy u stoku? u krynicy?
Czy w chałupie pod kominem?
Czyli w sercu Marysinem?
Jeno... nie wiem, gdzie jest ono...
Bom zatopił pamięć łzami.
Czy pod brzózką operloną
Nad wiejskiemi mogiłkami?
Czy u krzyża nad rozłogiem?
Czy za swoich ludzi progiem?

*

Ej! dajcież mi kute sanie!
Pod dzwonkami!.. Jezu słodki!..
A nim słonko z za gór wstanie,
Wpadnę wichrem przez opłotki!
Będę strzelał! będę hukał!
Choćbym szczęścia... nie odszukał!
Choćbym szczęścia nie dogonił...
Pocwałuję przez zawieję,
Gołą piersią będę dzwonił!
W kurnym dymie ją ogrzeję,
A co z bicza się zamierzę!—
To i sercem w takt uderzę!
Choćbym szczęścia nie odnalazł...
Bom... przepomniał, kędy gości...
Stanę chwilkę wedle balas,
Gdziem się bawiał z maleńkości—
I powitam rodne strony:
„Niechże będzie pochwalony!“

*

Ej! użyczcież choć *sanicy*!
Pary szkapiąt... bo nie wstrzymać!
Wicher hula po śnieżycy—
Gotów drogi pozadymać—
Gotów zaspą świat zasłonić!
A mnie trzeba szczęścia gonić!
A mnie trzeba do mej wioski,
Między chaty! popod strzechy!
Przed obrazik „Częstochowskiej"—
Po *krztę* raju! skrę pociechy!
Do granicznych trzeba kopcy—
Gdzie poznają, żem nie obcy.
Gdzie poznają ci z podstrzesza—
Żem od sochy, im rodzony,
Że się głębiej od lemiesza
Wryłem duszą w pól zagony.
Że mi każden proch tu miły—
Od kołyski do mogiły!

K. Laskowski.



TĘSKNA.

Z nastaniem wiosny zakwitł bez;
Czekałam cię stęskniona,
W oczach mi drżały krople łez,
Serce się rwało z łona!

Lecz czas wszystkiemu znaczy kres,
I wiosna uleciała...
Nie było cię—przekwitnął bez,
Tęsknota pozostała.

Ja śniłam znów, że róży woń
Przynęty ma niezłomne,
Że o twą pierś mą oprę skroń
I tęsknic mych zapomnę.

Lecz przekwitł jaśmin—bledną już
Szkarłaty róż jaskrawsze...
Nie było cię w godzinie róż,
Ja kocham, tęsknię zawsze.

I przyjdzie jesień, zżółknie liść,
Wiatr jęknie, kwiaty posną;
Czyliż-byś wówczas ty miał przyjść,
Jeśliś nie przyszedł wiosną?

Na ziemię zimny padnie szron
I resztki życia zwarzy;
Lecz serce me, choć blizki skon,
O tobie zawsze marzy.

A. M—ski.



ŚWIT.

Świt niedaleko—a miasto uśpione...
Martwość i bezruch.. Oddechy niczyje
Nie mącą ciszy... I zegar nie bije,
Godziny idą długie, nieskończone...

Lękliwe Nędze, w zaułki wtulone,
Mrokiem swe chude owijają szyje.
Widzę... Niedola pod murem się kryje
I w dłonie chowa oczy załzawione.

Ból się przyczaił, przyczołgał po ziemi
Pod okno moje i, jak ludzie niemi,
Nic nie rzekł—spojrzał tylko okiem szklanem.

I w oku, które już płakać nie może,
Ujrzałem wielkie, nieskończone morze
Łez...
Miasto życiem budziło się rannem.

W. Orkan (F. Smreczyński).

NAD GRUZAMI.

Ha, myśliciele!.. Wy walić umiecie
Prawdy, co wczoraj niewzruszone były;
Dziś się w bezkształtne rozpadają bryły;
Jutro wieść o nich już zaginie w świecie!

Biada stworzeniu, co pod dachem kruchym
Stawiało skarby swoje i ogniska,
Wierząc stuletniej potędze zamczyska,
Które się jutro z jękiem zwali głuchym!

Biada gołębim tam u szczytu gniazdom!
W proch jutro padną razem z wieżą dumną,
Razem z złoconą krzyżową kolumną,
Co wczoraj blaskiem urągała gwiazdom!

Aby żyć można bez wiecznego strachu
Katem być trzeba pod powierzchnią ziemi,
Oślepnąć, chodzić drogami czarnemi,
I słońca nie znać, ani świątyń gmachu!

Ha! albo orłem! wzbić się ponad wieże
I z góry patrzeć na zniszczenia ślady,
Na konające pośród gruzów gady,
I konające wśród gruzów rycerze!

Bez odpoczynku i bez pokrzepienia,
Tak się pod niebem orlim ważyć lotem
I gardzić świątyń walących się grzmotem,
I gardzić ziemią, co wiecznie się zmienia!

A kiedy w skrzydłach nie stanie już mocy
Orzeł samotny, który żył bez gniazda,
Upadnie z nieba, jak strącona gwiazda,
Na łono gruzów, zapomnień i nocy...

J. Żuławski.



ROZCZAROWANIE.

Kto mi wróci wiarę w ludzi,
W ideały wyższe wiarę?
Kto zwątpiałe serce zbudzi,
Dawniej ufne ponad miarę?

Kto odwróci trucizn czarę,
Co swym jadem myśl nam brudzi?
Kto rozpaczy spłoszy marę?
Kto mi wróci wiarę w ludzi?

Żyć nie mogę w tej rozterce,
Milczeć już nie będę dumnie:
Śmierci, wołam, o zstąp ku mnie!

Daj nadzieję choć w iskierce,
Jedno bowiem czuje serce,
Że mu lepiej będzie w trumnie!

J. Górska.

ANANKE.

Gwiazdy wydały nademną sąd:
—wieczną jest ciemność, wieczny jest błąd.
—Ty budowniku nadgwiezdnych wież
—będziesz się tułał, jak dziki zwierz,
—zapadnie każdy pod tobą ląd—
—wśród ognia zmarzniesz—stlisz się jak lont.

A gwiazdom odparł królewski duch:
wam przeznaczono okrężny ruch,
mojej wolności dowodem błąd,
serce me dźwiga w głębinach ląd.
Poszumy płaczą mogilnych drzew,
lecz w barce życia płynie mój śpiew.
Ja budowniczy nadgwiezdnych miast
szydzę z rozpaczy gasnących gwiazd.

T. Miciński.



K. Gliński.

PIEŚŃ SZCZĘŚCIA.

Chcecie, bym śpiewał?—może nawet chcecie,
Żebym uderzył w ton pieśni wesoły?
Ach! tak rozkosznie, tak dobrze na świecie,
Ziemia—raj prawie, ludzie—pół-anioły,
Sklep lazurowy nad nami rozbity—
Tylko się unieść i lecieć w błękity.

Gdzie rzucisz okiem, poprzez niw kobierce,
Widzisz motyli gon wśród tęcz powodzi—
Gdzie serce zwrócisz—uderzy ci w serce
Ta pieśń swobodna, którą szczęście rodzi.
Westchnieniem wznosi pierś, potrąca duszę,
Że choćbym nie chciał śmiać się, śmiać się muszę!

Tak! pełną piersią, pełną oddycham dziś z wami—
Szszęśliwy jestem—i nic mi nie trzeba;
Czego zapragnę, wnet los dobry da mi,
Choćbym zażądał złotej gwazdy z nieba,
Choćby szalone przyszło mi pragnienie
Na kołowrotku zwijać z gwiazd promienie.

Rozkosznie cicho!.. Żaden grom, ni burza
Snów czarodziejskich z powiek mi nie spędza—

Kwiaty i kwiaty!.. Woń róż mnie odurza,
Czarownych marzeń rozsnuwa się przędza,
Splata się w wieńce złote, w świateł koło,
Brzmi pieśnią rajską... och, jak mi wesoło!

Zbliża się wielka rocznica narodzin: .
Przedwieczne Słowo żywem ciałem stanie—
I patrzcie! patrzcie! za niewiele godzin
Z anielskim chlebem spłynie pojednanie
Tych, którzy w sercu gniew zawzięty mieli,—
I od Wigilii wstaną już—anieli!

Do pląsów za mną!.. Zbliża się rocznica,
Przed którą w sercach nie rodzi się trwoga.
Płomieniem wielkim rozjaśnijmy lica,
Wznieśmy puhary i pijmy w cześć Boga,
Który zapalił gwiazd jasnych promienie,
Na ziemię zstąpił i przyniósł zbawienie!

Ach, z wigilijną ową gwiazdą złotą
Ileż radości w domy nasze spłynie!
Zbierzem się wszyscy—i dłonie się splotą
W uścisk braterski, czar serca owinie—
I, niosąc cichą modlitwę do nieba,
Powiemy Bogu: „Nam już nic nie trzeba!..“

Zbierzem się wszyscy—my i nasze sługi—
I zamienimy z sobą życzeń krocie:
Daj, Boże! taki rok doczekać drugi,
W tej ciszy świętej, w marzeń szczerem złocie,
Wśród róż, snów, czarów!.. Daj nam, Panie Boże!
Przy morzu łask tych, drugie takie morze.

Rocznica święta! w ten dzień uroczysty
Żadna ku niebu nie popłynie skarga,
Z niczyich oczu nie padnie rzęsisty
Deszcz nagłem łkaniem, sercem nie zatarga
Ból żaden... o, nie!—w tej wielkiej godzinie
Hymn dziękczynienia do Boga popłynie:

Za dobro wszelkie, które tak obficie
Złotym promieniem zlał pod nasze strzechy—

Za to rozkoszne, pełne kwiatów życie,
Za nieustanny jeden zdrój pociechy,
Za obietnicę... po naszym pogrzebie,
Szczęścia wiecznego i królestwa w niebie!

K. Gliński.

STRASZNA BAJKA.

ze wspomnień dziecinnych.

—Hej—nianiu!... już zmierzchy
Padają na wierzchy
Lipowych naszych drzew...
Praw bajki, starucho,
Nuć do snu na ucho...
Niech brzmi twój cichy śpiew.

—A o czem mam prawić?
Co śpiewać, czem bawić?
Już wszystkie piosnki wiesz!
Zaklęta królewna,
To bajka za rzewna,
Dziś pewnie innej chcesz?

Tak nianiu... mnie trzeba
Szelestu, chmur z nieba,
Z piorunów pieśń mi zwij!..
Niech burza przeleci,
Ogniami zaświeci,
Grcmami błyśnie żmij!

—Duch wszelki!.. Co tobie?
Ja tego nie zrobię,—
Lękam się grzmotu burz;
Ja wolę kochanku,
W powieści swej wianku
Sto złotych ujrzeć róż.

—Nie! pieśni tej nie chcę,
Bo pieści, bo łechce,
Aż serce mdleje mi.
Ja lubię pogodę,
Lecz chętniej wzrok wiodę
Po niebie, które grzmi.

Tak ślicznie, gdy nocą
Pioruny migocą
Na czarnem łonie chmur;
Gdy błyski ogniste,
Płomienne, to krwiste,
Plączą się w długi sznur!

Czy nie znasz ty bajki,
Gdzie wichry dmą grajki,
Probują dębów moc?
—Znam, dziecko, nie jedną,
Lecz ustka ci zbledną,
Niedobrze przejdzie noc.

Tak, zuchu mój mały,
Ty będziesz drżeć cały,
Serduszkiem trwożnie bić,
Gdy bajka, co spłynie
W tak późnej godzinie,
Zwije się w czarną nić.

—Mów, nianiu—mów prędko!
Ja uchem jak wędką
Będę ją chwytał wciąż.
Wszak nianiu, ja muszę
Wojacką mieć duszę,
Wszak z dziecka rośnie mąż.

Jeżeli się strwożę,
To główkę położę,
Zakryję oczy tak!..
Ty zmilkniesz w pół baśni:
Ten strach ci wyjaśni,
Że ze mnie trwożny ptak.

—Więc słuchaj... „Daleko,
Za górą, za rzeką—

Nie dojść ci, zuchu, tam!—
Wśród uschłych powoi,
Posępny gmach stoi,
Sto wież ma i sto bram.

Na murach mchy rosną
Czy zimą, czy wiosną,
I niebo wiecznie w mgłach;
Na basztach zamczyska
Straż dzierżą wężyska,
A wewnątrz mieszka strach.

Kto wejdzie do środka
Wnet widmo go spotka
U gmachu siódmych drzwi...
Wzrok mgłą ma owiany,
Na piersi trzy rany,
A w ręku czarę krwi.

O! trzeba być zuchem,
By za tym iść duchem
I twarzą patrzeć w twarz—
I spełnić z rąk mary
Krwi świeżej pół czary
I przy niej trzymać straż!

A wiedz ty, gdy ona
Wyciągnie ramiona,
Do piersi weźmie swej:
Szał ciebie ogarnie!
W pierś własną męczarnie
I bóle weźmiesz jej.

I pójdziesz na męki,
Żeś dotknął tej ręki,
Gdzie ostrza cierni tkwią—
I z Bogiem się skłócisz,
Lecz jej już nie rzucisz,
I w piekło pójdziesz z nią!

A w koło zamczyska
Coś jęczy, grzmi, błyska,
Szatański krąży tan—

I dzwonią w łańcuchy,
Zwyczajnie złe duchy,
Mieszkańce pustych ścian.

A mara na przedzie
Wciąż dalej cię wiedzie
W ciemności głuchą toń—
Pochyla się—biadnie,
I ręce swe kładnie
Na pierś twą, czoło— skroń...“

...Krzyk nagły z dziecięcej
Padł piersi... Na ręce
Piastunki runął zuch.
Zerwała się niania,
Sen—widmo odgania,
Lecz stoi mara—duch!

Nad dzieckiem schylona
Wyciąga ramiona,
Unosi krwawą dłoń—
Pochyla się—bladnie...
I ręce swe kładnie
Na pierś mu—czoło—skroń!....

K. Gliński.

BEZ BOGA.

Bez Boga duch się wlecze mój
Przeznaczeń swoich szlakiem,
Po ziemi ciągnie skrzydła swe,
Choć niegdyś bujał ptakiem...

Zwichnęła jego lotów moc
Nieznana mu potęga,
Co w nienawistne jarzmo swe
Swobodne duchy wprzęga...

Zwichnęła jego lotów moc
Bolesna tajemnica:
Że szczęście krócej stokroć trwa,
Niżeli błyskawica...

Bez Boga duch się wlecze mój
Po smutnych szlakach ziemi,
I znikomości ziemskiej proch
Skrzydłami zmiata swemi...

Z. Dębicki.



SZKODA.

Szkoda kwiatów, które więdną
W ustroni—
I nikt nie zna ich barw świeżych,
Woni...
Szkoda pereł, które leżą
W mórz toni;
Szkoda uczuć, które młodość
Roztrwoni.
Szkoda marzeń, co się w ciemność
Rozproszą;
Szkoda ofiar, które nie są
Rozkoszą.
Szkoda pragnień, co nie mogą
Wybuchać;
Szkoda piosnek, których niema
Kto słuchać.
Szkoda męstwa, gdy nie przyjdzie,
Do starcia;
I serc szkoda, co nie mają
Oparcia!

A. Asnyk (El...y).

POTWÓR.

Tam hala nad szybem, jak klatka u góry,
A w klatce śpi potwór sfinksowy.
Za ścianą grzmi węgiel, wrą głosy, drżą mury,
Przed sfinksem uśpionym cień staje ponury
I w rękę pręt bierze stalowy.

Potworny kot cicho tam leży na bloku,
Kark liną szybową owity.
Śpi teraz bezduszny, skłębiony w pomroku,
Za chwilę się zbudzi, gotowy do skoku,
I w paszczy zatrzeszczą kłów zgrzyty.

Cień drasnął go prętem... Kot wstaje, kark kłębi,
Przebiera tłokami, szaleje,
Rozwija się lina, mknie szala do głębi.
Kot parą zaryczał... Ha, ryk ten krew ziębi!
Kot cichnie, już słabnie, już mdleje.

I znowu to cielsko bezduszne śród hali
Potwornie się kłębi na bloku.
Za ścianą grzmią wózki. Ha, idźmy tam dalej,
Skąd czarne dyamenty kot dźwignął na szali,
Gdzie państwo bogactwa i mroku!

Ta otchłań... Czy brama do piekieł czeluści?
Zgrzytnęły żelazne zapory,
Nim oko swój promień do głębi zapuści,
Już lecim, już lecim w głąb czarnych czeluści,
W głąb niosą maszyny-potwory!

Kaganiec jak gwiazda u bladej drży skroni,
Jak głucho, jak czarno, jak wrogo!
W głąb lecim i lecim a głębię mrok słoni...
Czy brakło na ziemi dla ludzi już błoni,
Czy tam się pomieścić nie mogą?

I lecim w głąb ziemi... Kaganiec ścian trąca
A w koło brzmi cicho głos rzewny:
„Ty chciwy człowieku! Czy nie żal ci słońca?
„Czy wrócisz"?.. Któż pyta!.. My lecim bez końca,
Jak Ludzkość... na szali niepewnej!

A. Niemojewski.

ŻEM KOCHAŁ CISZĘ...

Żem kochał ciszę i wieczorne cienie,
I zapomniane przeszłości cmentarze,
Kościołów wiejskich senne rozmodlenie,
Botticellowskich bladych Madonn twarze:
Żem kochał wielką cichych serc prostotę
I głośne w głębi niemych dusz milczenie,
Pól zaśnieżonych bezmierną tęsknotę,
Nocy wiosennych jasne ukojenie;
Żem nieraz stawał i słuchał, jak idzie
Czas, który przyszłość w swojej ciszy kryje,
Żem po spodlonych ludzkich serc ohydzie
Szedł, jako fala, która złoto myje,
Żem był jak kwiaty jesienią więdnące,
Jako wędrowne na dolinach ptaki.
Żem nieraz w oczach mając łzy palące,
Duchem biegł w blade znicestwienia szlaki;
Żem cierpiał bardzo, ale nie przeklinał,
Zem bardzo kochał, choć serca pogardą,
Żem głowy nigdy przed kłamstwem nie zginał,
I duszę cichą w sobie miał, lecz hardą—
Mam w sobie pokój dzisiaj i milczenie,
I w oczach sennych ciche upojenie,
I cichą bardzo i słodką tęsknotę,
A we snach moich jedno słońce—złote
I jedną miłość płomienną w przeźroczach:
Bezmierne jedno szczęście—w Twoich oczach!.

A. Łada (A. Cybulski).

WIECZNY REFREN.

Nie, nie zginęła!... Słuchaj, z starej wieży,
Co krzyżem niebu rzuca się w ramiona,
Płacz melodyjny srebrnych dzwonów bieży,
To płacze ona... ona... ona...

W podwojach grodów, pod słomianą strzechą,
Lub w modrzewiowym pełnym Boga dworze,
Jak jęk żałosne po niej chodzi echo
I leci w zorze... w zorze... w zorze...

W żalisku starem, w sennej borów ciszy,
Na tym szumiącym falą kłosów łanie,
Twe ucho skargi jej bezbrzeżne słyszy,
Jak matki łkanie... łkanie... łkanie...

Nad kołyskami staje w snów pomroce,
Nad głowy starców chyli się tułacze,
Rodowe budzi z niepamięci moce
I w sercach płacze... płacze... płacze...

J. S. Wierzbicki.

SZARĄ GODZINĄ...

Szarą godziną, myśli jak mrok szare,
Wypełzną z mózgu... wstęgą zimną, siną,
Serce wkrąg w uścisk wężowy owiną
I wszystkie rany w niem rozjątrzą stare,
Zwarzą nadzieję i zagłuszą wiarę
Szarą godziną.

Jak nad pogodną zwieszone równiną
Chmury wkrąg błękit zasępią w chwil parę,
Tak one wnoszą we mnie jadu czarę,
Szarą godziną.

Nad miarę-m kochał,—to jest moją winą
I cierpieć za to muszę dziś nad miarę,
Całą moc ducha złożyć na ofiarę
I truć się codzień tą myślą jedyną,
Szarą godziną.

W. Nawrocki.



K. Zawisłowska.

MAGDALENA.

O! nie patrz na mnie! Jam pełna lęku...
Z amforą wonnych olei w ręku,
Idę pomazać Twe stopy znojne:
Niosę im nardu wonie upojne,
Żar pocałunków i łez mych strugi,
I klęcząc, warkocz rozplatam długi,
I z stóp Twych kornie biorę na włosy,
Łez moich zdroje i oliw rosy.
O! nie patrz na mnie! Długom czekała,
Długo płomienna byłam i biała...
Lecz teraz odwróć te słodkie oczy,
Bo trąd występku ciało mi toczy...
W proch mi skroń zetrzyj stopy białemi,
Bom najgrzeszniejsza między grzesznemi...
Bom jako owa oblubienica,
Co w snach już widząc miłego lica,
W przededniu jasnym dnia godowego,
Zbiegłszy z wyżyny pałacu swego,
Na żer służalczym pachołom dała
Królewską krasę swojego ciała...

Lecz nie odtrącaj! Jam Twoje ręce
W snach widywała i w przeczuć męce,

I drżąc w brutalnych ramion oplocie,
Duszę miewałam w łzach i tęsknocie,
I w skrach ogniowych, w szału purpurze,
Jak gołąb byłam o białem piórze!

Wiem,—przyjdą inne... Już się wybiela
Straż najprzedniejsza cór Izraela,
I niosą kwiatów barwiste snopy,
Pod Twe tułacze, wędrowne stopy.
Idą ku Tobie w zwartym szeregu,
Idą ku Tobie w róż białych śniegu...
Nie mnie iść z niemi!... Po wieczne czasy
Popiołem zsypię raj mojej krasy,
I w ślad stóp Twoich pójdę pokutna
Jako służebna, cicha i smutna!...
Nie mnie iść z niemi!... Twoje źrenice
Godowych dziewic zrumienią lice,
I Twoje dłonie spoczną litośnie
Na ich liliowej, rozkwitłej wiośnie...

O! Rabbi, Rabbi! ja w prochu leżę,
I z tobą pójdę i w Ciebie wierzę,
I kładę usta i włosy moje
Pod opylonych stóp Twoich znoje!
O! Rabbi, Rabbi!...

„Wstań od stóp moich! Zmazan grzech ciała,
Boś nieskończenie umiłowała,
I odtąd będziesz z śniegu i woni,
Ów kwiat, na dziewic wybranych skroni!
Idź!... i oleje pochowaj wonne,
Na namaszczenie dla mnie pozgonne".—

K. Zawistowska.



Z POEMATU: „EROS! EROS! EROS!“

. . . .

Drgnąłem...

Przy duszy, co okaleczona
Świeżo, jak ostrzem kłującego szydła,
Z wstydu już mdlała,—nagle-m uczuł skrzydła
I w niej żar, jaki, ach zna tylko... ona!

Krew w mózg mi poszła...
Szum!.. Wrzenie!..
Zacząłem
Szukać instynktem wkoło siebie pióra...
„Siło!“ krzyknąłem... że zda się, natura
Cała zadźwiękła „Siło!“ ze mną społem.

„Siło!“...
I zdało mi się, że na niebie
Słońce, co szło już w toń morza, stanęło
I, widząc, że się jakieś dobre dzieło
Poczyna,—nowy blask wydało z siebie.

„Odwieczna! śliczna! najdroższa! najpierwsza
„Najokazalsza z tego, co istnieje!
„Niech Twym tchem na mnie choć tyle powieje,
„Bym-ć hołd jak trzeba złożył z tego wiersza.

„Tyś bowiem tem jest, tem wiecznie, o Siło,
„Czemu się pean jedynie należy
„Od człeka!.. Bóstwo, co ciebie stworzyło,
„Twem urodzeniem własną wielkość mierzy.

„Ach, bo z Twoich lic
„Bije cudu blask...
„Tyś jest czyn!.. Tyś byt!..
„I bez Twoich łask
„Życie tu jest nic,
„Jest myt!
„I tu, i w wieczności jest myt!
„Przez Cię my znosim rózgi
„Mierności złych—
„Przez Cię my nasze mózgi
„Na pychy szych

„I głupstwa śmiech
„I mędrków krzyk
„Cynizmu dech
„I dusz zazdrosnych syk,
„Czynimy odpornymi...
„Żyjem—działamy
„I pogardę mamy
„Dla przeszkód, co stają nam w drodze...
„Przeszkody?—Owszem!.. Kto z Tobą—pięść w górę!
„Tu pałaców wrota,
„Gdzie ludzka Niecnota
„Na puchu łabędzim
„Z piór ukradzionych się pieści,—
„Bijem, kołaczem,
„Krwią ciosy znaczym.
„Aż w drzwiach tych wytłuczem dziurę,
„Aż zbrodnię z jej pysznej kryjówki wypędzim
„I na rozłodze
„Zostawim dzikiej, bez głosu i wieści,
„W pustkowiu, co kurzem i gruzem się dymi!
„Siło! Ty-ś krew
„Przywódców i mistrzów tej ziemi...
„Tyś Izajaszów gniew,
„Co Izraela strzałami swojemi
„Do cnotliwszego gnał życia.
„Gdy Mojżesz na Synai,
„Od Boga wziąwszy Zakonu tablicę,
„Rozbił ją z klątwą przed obliczem zgrai,
„Wznoszącej sprośnym bałwanom świątnice,—
„Ty-ś winą tego... rozbicia!
„Ty-ś Chrystusowi na Oliwnej Górze,
„Choć krzyż męczeński on już widział zdala,
„Kazała miłość dla swych katów głosić;
„Ty-ś Hussom—w ogniu—gdy jęcząc w torturze
„Widzieli rękę, co stos ich podpala,—
„Kazała nad nią łzy litości rosić!
„Bo-ś Ty mędrców łza—
„I proroków grom—
„Hussów śród płomieni Ty-ś śpiew!
„Kto bez Ciebie,—ma
„Hańbę i srom;

„Kto z Tobą,—gdy go nawet piekło gna
„W sam narzut plugastwa—i chwastu—i plew:
„Przytułku dom!

„Siło! Ty-ś cichym spokojem z żelaza
„I wzgardą cną,
„Gdy w niewinnego, z ust gnuśnych, obraza
„Bryzga pianą swą...
„Ty ponad tłumy wynosisz Bismarki
„Na ludów szczęście—nieszczęście—
„W młotów obuchy drżące zmieniasz pięście,
„Podnosisz w górę schylone w dół karki
„I... harde zniżasz k' ziemi—jeszcze częściej!

„Siło! dla dziewic Ty-ś jest wstydu listkiem,
„Małym, a trwałym—jak stal.
„Cierpiącym dajesz do ich cierpień hart—
„Odważnym dajesz do ich przedwzięć moc—
„Ty-ś dzień... Ty-ś noc!
Ty-ś Bóg! Ty-ś czart!
„Państwem Twem wieków niezmierzona dal!
„Ty-ś piekłem! Ty-ś niebem! Ty-ś wszystkiem!“

B. Aspis.

TYM—CO ODCHODZĄ...

Poszli dziś ludzie w bór gromadą,
Błyskało w słońcu siekier ostrze,
Walą o kłody... Na ziem kładą
Co polotniejsze i co prostsze.
Jeno ostaną chrusty—karły,
Co trwożne w jarach się przyparły...
Zaszumią liście,—i z łoskotem
Padną wieczyste społem dęby,
I leżeć będą tak pokotem,
Jakby wichr poszedł przez poręby...
Straszno to, będzie ostać chrustem
Jutro nad polem gołem, pustem...

Pług przejdzie jutro i rozorze
Pokoleń drzewnych truchłe igły,
Gdy chwiać się będzie na ugorze
Nasiennik jeden rosły... śmigły;
Nie rość mu tęskniąc za swym borem
Lepiej ledz razem pod toporem...

. . . .

Tak, gdy z nas starszych wiek połamie,
Straszno nam burzy stawić czoło!
Nie módz o ramię wesprzyć ramię,
Mogiły jeno widzieć w koło,
I patrzeć w pustkę dni pobladłą,
Gdzie co najdroższe się zapadło...

. . . .

I. Pilecka.



CUDA MIŁOŚCI.

Przebóg! jak żyję, serca już nie mając?
Nie żyjąc, jako ogień w sobie czuję?
Jeśli tym ogniem sam się w sobie truję,
Czemuż go pieszczę, tak się w nim kochając?

Tak w płaczu żyję, wśród ognia pałając,
Czemu wysuszyć ogniem nie probuję
Płaczu? Czemu jak z ogniem postępuję,
Że go nie gaszę, w płaczu opływając?

Ponieważ wszystkie w oczach u dziewczyny
Pociechy, czemuż muszę od nich stronić?
Czemuż zaś na te narażam się oczy?

Cuda te czyni miłość, jej to czyny,
Którym ktoby chciał rozumem się bronić,
Tym prędzej w sidło z rozumem swym wskoczy.

J. A. Morsztyn.

KRWAWY STRUMIEŃ.

Przez dziki, obumarły step mego żywota,
Przez wszystkie dni jeden się strumień krwawy wije...
W cieniach przyleśnych błyszczy, jak srebrzyste żmije,
W słońcu zaś wyłyskuje się, jak taśma złota.
Oczyma nurtu, jako wąż, ofiary mota...
I wszystko, czego dotknie swym ziewem—zabije,
I wszystko, co z nad brzegu wychyli swą szyję,
Połknie... Jedyna stawać tu może Martwota.

A urok jego ciągnie... rwie oczy ku sobie.
Nieraz też, za straconą ofiarą—w żałobie
Dusza staje i limbą nad brzegiem się chwieje...

Widzi, w nurcie toczone, łzy... kwiaty... pamiątki...
Topielce... blade widma... snów najdroższych szczątki..
Patrzy długo—i z grozy przeraźnej martwieje.

Wł. Orkan (F. Smreczyński).

SCLAVUS SALTANS.

Maro swych gości po uczcie prowadzi,
Gdzie zakupieni wczoraj niewolnicy
Na zgniłej słomie, wpółnadzy i bladzi,
Wypoczywają zamknięci w piwnicy,
Maro—to znawca! on swoje obole
Wie na co wydać, krwi dobrej zna cenę:
Jak Amor każde u niego pacholę,
A mąż—gladyator! choć dzisiaj w arenę!
Ot, pierwszy: Numid, nabytek wspaniały!
Tors, jakby z bronzu, a włos jak lwie grzywy,
Rzut oka, zda się, przekuć można w strzały,
Nerwy drgające wyciągnąć w cięciwy!

Przepyszny towar! Gdy Maro go nogą
Kopnął, wołając: „Wstań, bydlę!“ twarz dzika
Spłonęła jakąś ognistą pożogą
I ryknął wściekle: Nie budź niewolnika!“
Co za głos! wstrząsła się podziemna cisza,
Lentulus w strachu zgubił wienec róży...
Wielcy bogowie!.. Na brodę Jowisza,
Zda się, jak gdyby wołał; „Nie budź burzy!“
Słychać, jak kędyś powstaje bezładnie
Pomsta, co kiedyś nad światem zapadnie...
Warczącą przepaść zgrozy słychać zdala...
Drżyjcie! to Romę niewolnik obala!
Oto powstają wraz z klątwy tej echem
Gromy strasznego stuleciom wybuchu...
Goście pobledli, a Maro z uśmiechem
Rzekł: „Przez Herkula, wszak on na łańcuchu!“
Lecz biesiadnicy cofali się żywo.
Maro ich tedy ku innej wiódł stronie,
Gdzie jak łuk zgięty w ruszną linię krzywą
Stał Grek młodzieńczy, ukrywszy twarz w dłonie,
I płakał. Biada, kto płacze w niewoli!
Łza, jak rdza, męską moc ducha przejada.
Kto w więzach słabnie, jest godzien swej doli...
Rozpaczającym niewolnikom—biada!
On rodzinnego nie ujrzy już nieba,
Ni na igrzysku nie chwyci w lot dzidy,
Rzuconej ręką gibkiego efeba...
Łańcuch rwą tylko lwy, albo Numidy!
Łzy—to zbyt wiele, i łzy—to zbyt mało.
Goście milczeli; z zapałem artysty
Wskazywał Maro, jak piękne to ciało
Określa kontur pogodny i czysty.
Wtem z boku nuta wesoła dolata...
To „sclavus saltans“, Słowianin pół-dziki;
Wszędy mu dobrze—i wszędy mu chata,
Byle miał pląsy i trochę muzyki.
Z młodzieńczej wierzby naciąwszy gałęzi,
Uczynił sobie grające narzędzie,
Skacząc, zapomniał, że łańcuch go więzi...
—Och! niewolnikiem ten był, jest i—będzie!

M. Konopnicka.

SERCE.

Tętni serce i szepcze zawsze jedno—jedno!..
O, serce!..
Czemu tyś jest jak lutnia z wrażliwemi struny,
Na których uczuć zawsze rozbrzmiewa muzyka,
Co tak całą istotę upaja, przenika,
Że aż na lica moje wywołuje łuny?..
Przestań ty już rozdrażniać moją duszę biedną,
O, serce!..*
Tętni serce i szepcze zawsze jedno-jedno!..
O, serce!..
Czemu żalą się zawsze twej tęsknoty głody,
Jak wodospad co wiecznie swe rozperla, skargi?
Czemu nie zmilkniesz, serce, kiedy milczą wargi?..
Czemu cię nie ukoi czar górskiej przyrody?
Czemu sny twe płomienne nie zgasną, nie zbledną,
O, serce!..
Tętni serce i szepcze zawse jedno—jedno!..

J. Górska.

NASZE SZTANDARY.

Nasze sztandary z Panną Przeczystą,
Na śmierć tysięcy patrzyły,
Co marli z wiarą w jutrznię złocistą
I w zmartwychwstanie z mogiły.

Nasze sztandary w bój krwawy wiodła
Moc, której kule nie straszą:
Na wielkie, swięte podniosłe godła:
„Za waszą wolność i naszą!"

Or.-Ot. (A. Oppman).

NIEDOLA.

Dziś, u wezgłowia, była mi zjawiona
Wśród mroków pola
Szydercza postać z sztyletem u łona,
Z błyskiem w źrenicy. Struchlałam. A ona,
—„Jam jest Niedola!

„Już cię nie rzucę, o, trwożne ty dziecię,
Póki pierś dycha...
Aż w śmierć, aż w nicość, przez głogi i kwiecie
Pójdę za tobą, gdzie los cię pomiecie!“
—Precz!—jękłam z cicha.

A ona szeptem tuż u mojej głowy:
—„Tak stoi w górze!
Blady kwiat jesteś i kwiat cyprysowy,
Kwiat śniegu, grobu, kwiat grzechu niezdrowy...
—Tak stoi w górze!“

Porwę się, krzycząc:—Ja chcę mojej wiosny!
Chcę mego prawa!
Chcę upojenia dreszcz uczuć miłosny!
Geniusz i słońce—to świat mój radosny...
—Precz maro krwawa!

A ona: „Temu, kto cierpi i tworzy,
Sława jest tylko wzajemną.
W bólu najwyższy lot bierze ptak boży...
Kto noc przewalczy, zwycięża o zorzy.“—
Rzekłam:—Bądź ze mną!

A. Negri (przekład M. Konopnickiej).





W. Perzyński.

ROZMOWA.

Pójdź, dziewczę, siądź mi na kolana,
Nagie ręce zarzuć mi na szyję...
Pieść mię, całuj, patrz, już ledwo żyję,
Nic nie nęci mnie i w nic nie wierzę,
Po otchłaniach bezsłonecznych błądzę,
A żyć pragnę... ratuj mię, kochana...
Pieść mię, całuj, rób co chcesz, a szczerze,
Z całej duszy... jeszcze mam pieniądze.

Co? Ty dziwisz się, żem taki młody?
Może... może... lecz już wyschło serce,
Tak nieznacznie, iskrę po iskierce
Przytłumiałem w niem... nie z własnej woli...
Mniejsza o to... Dzisiaj dusza pusta,
jeśli szuka, to letejskiej wody...
Nie rozumiesz? Co tam!.. to tak boli...
Lepiej pieść mię.. wessij mi się w usta.

Wiesz co!... bawmy się, szepcz mi do ucha,
Że ty jesteś tą moją wyśnioną
W snach słonecznych, kochanką czy żoną,
Potem szepcz, że mię kochasz nad życie

I pytaj się, czemum taki smutny,
Żeśmy sami, że nikt nas nie słucha,
Mów i mowę przeplataj obficie
Pieszczotami, a będę rozrzutny...

O tak... przytul się do mnie... tak... mocno..
Więc tyś moją już duszą i ciałem...
Przez lat tyle wszędzie cię szukałem
We łzach, w trwodze, ból krwawił mi łono,
Zdało mi się, że przejdę przez życie...
O daj spokój... zapomnij, żeś nocną
Heroiną, ja chcę mieć wyśnioną
I wyśnionej zapłacę sowicie...

No pójdź, wróć się, siądź mi na kolana,
Nagie ręce zarzuć mi na szyję...
Pieść mię, całuj, patrz, już ledwo żyję,
Nic nie nęci mnie i w nic nie wierzę...
Po otchłaniach bezsłonecznych błądzę,
A żyć pragnę... Ratuj mię, kochana,
Pieść, gryź, całuj, rób co chcesz, a szczerze,
Z całej duszy... jeszcze mam pieniądze.

W. Perzyński.



NAZAJUTRZ.

Jak ciemno... Która to godzina? Boże..
Jak mnie dziś głowa boli... Znów przeklęty
Deszcz pada... Jestem, jakby z krzyża zdjęty;
W żyłach mam ołów i żółć... całe morze...

Trzeba wstać... Jak mi smutno, jak ponuro...
Ktoś gdzieś wygrywa gamy... Niech go piekło
Razem z muzyką porwie. Coś uciekło
Z mej duszy... Coś, co w niej było purpurą.

W uszach mi nagle walc zatańczył. Słyszę
Pijane krzyki i śmiech, brzęk szkła, czuję
Palący zapach włosów... Walc wiruje.
Umilkł i dusza zagłębia się w ciszę...

Trzeba wstać—kiedyś po srebrzystej łące
Szedłem nad rzeką... las szumiał daleki
Pachniało zboże, świeżość szła od rzeki,
Świeciło złote rozkochane słońce...

W. Perzyński.

PLEIN-AIR.

Leżę na stogu siana upojony ciszą.
Błękit mię obezwładnił, ogarnęła senność,
Oczym zasłonił dłonią i w nieba bezdenność
Patrzę, kędy się srebrne obłoki kołyszą..

Marzę... W sercu, jak w księdze, myśli zgłoski piszą
Coraz inne—rozwiewną barw, obrazów zmienność...
Poi mię łąk aromat i słońca promienność,
Wzrok we mgły się obleka, piersi zwolna dyszą...

Tak gorąco, tak cicho... Gdy w dal niebieskawą
Spojrzę, dostrzegam, zda się fal powietrznych drżenie
Wiatr drzemie gdzieś w przestworzu, nie szeleści trawą.

Nie gra na harfie z liści jego skrzydeł tchnienie.
Senno, cicho,.. uroczo... Zatęsknię-ż za wrzawą
Życia, czując na sobie wieczności spojrzenie?

W. Perzyński.

SZUMIĄ POLA...

Szumią, szumią cicho pola,
I falują się zbóż łany,
Tęskną dumką brzmi niedola
I dumają, śnią kurhany...

Nad stepami duch ulata,
Tuli pola w skrzydła białe,
Płyną, płyną długie lata,
I niewoli wiek już cały!...

Lecą dziwne jakieś pieśni,
Jakieś głosy z mogił wstają,
Śnim, że więzy z nas spadają...
Że my zdarli oków cieśni!...

A duch płynie nad stepami,
On ma długie, białe szaty,
I osnuwa pola mgłami,
I w łzy srebne stroi kwiaty...

Duch odwraca w przeszłość oczy,
Smutek wieje z jego czoła,
I rozwiewa się dokoła,
Łzami ludziom serca mroczy...

A hen... za nim, leci złota
Baśń prześniona,—myt wolności!
Lecą barwne sny młodości...
. . . .
Ktoś ty duchu?... kto?... Tęsknota!

Z. Ułaszynówna.



MEDZNUM I LEILA.

Nikt szaleństw takich—powiem panstwu szczerze—
Ani nie spełnił ich tyle,
Co Medznum, który, w dziwnie srogiej mierze
Kochał swą boską Leilę.

O niej sam z sobą gadał w głos na jawie,
I przez sen także w namiocie.
O niej, lecące brzmiały mu żurawie,
W nią, z nim, patrzały gwiazd krocie,

Jej imię zdrój mu szeptał, w drżącej ciemni
Palm, które w słońcu drzemały—
Wiatr mu niósł od niej woń... lecz najprzyjemniej,
O niej gwarzyły z nim skały.

Bo tam usłużne echo miał, i ono
Wciąż potakując mu kwili:
— Ach! ze wszystkiego, co gdzie kiedy czczono,
Cóż zrówna boskiej Leili?—

Gdy wspomniał wreszcie: jak jest mdła i słaba,
Choć nikt jej krzywdy nie czyni—
Skoczywszy na grzbiet czystej krwi Araba,
Poleciał w piaski pustyni,

I tam gwiżdżące płosząc uragany,
Pędził na karku złamanie
Aż go i skręcił.—Młodzian ów narwany
Waleczny był niesłychanie—

Wiec gdy się Kalif, iż on zginął, dowie,
Pomstą zatrząsłszy się wilczą,
Naradę zwołał. Zeszli się Szejkowie,
Brodami trzęsą i milczą.

A on złorzeczy krwawej serca nędzy!
Lecz razem, nie bity w ciemię,
Leilę boską widzieć chce co prędzej,
By mieć ją w swoim haremie.

Skoro zaś ona przed nim się stawiła,
Ten, gdy jej wdzięki rozglądnie,

Rzekł nie zbyt grzecznie:—Moja panno miła,
Toć żeś ty brzydka porządnie.

I tyś się, słyszę zwała niezrównaną?
— Jam się tak sama nie zwała.
— Aleś zcierpiała: by cię Boską zwano.
Znam was. W tem moc wasza cała:

Że buzie macie jak pytlowe sito,
U rąk pazurki zaś gryfie.—
A ona na to, nie chcąc być pobitą:
— O niezbyt grzeczny Kalifie!

Dopuść, iż krótkich słów ci treść wypalę
W twarz—a twe oczy sokole,
Nie paznogciami słabych rąk mych, ale
Niezbitą prawdą wykolę.

Medznum bogaczem był, bo swe kochanie
Dał jednej, z myślą o niebie,
Ty zaś nędzarzem jesteś, gdyż, mój panie,
W każdej z nas, kochasz sam siebie.

On wierzył we mnie, jak w nadziemskie życie—
Ty mię zaś sprawdzasz ciekawie.
On mię oglądał w marzeń swych zachwycie,
A ty mię widzisz na jawie.

Więc mi też oto nie jest dziwnem wcale:
Że gardzisz memi ponęty—
Boś ty nie Medznum, w swej miłości szale,
Ślepotą błogą dotknięty.

F. Faleński.

ZNASZ TY TE CICHE...

Znasz ty te ciche, jesienne dnie czyste.
Srebrnych pajęczyn zasnute tkaniną—
Dnie, co jak duchy przychodzą i giną,
Wlokąc za sobą tęsknoty wieczyste.

Znasz ty te świty spłakane i mgliste,
Kiedy nad senną, znużoną krainą:
Modlitwy liści opadłych w świat płyną:
„Zmiłuj się, Boże... Nie karaj nas, Chryste“...

Sny upowite zadumą i ciszą
Kędyś w przestrzenie się blade kołyszą—
Gdzieś na rozstaju łka Dola bezdomna—
Jęczy jej skarga bolesna, ogromna...
W takie jesienne dnie ciche, spokojne,
Smierć na świat kładzie swe dłonie ukojne.

S. Gawiński.

CMENTARZ.

Twardo posnęli i nie wyjdą w pole—
Choć dzwonią sierpy wśród złotej kurzawy.
A dziewki idąc wśród zbożowej ławy,
Wian dożynkowy przynoszą na czole.

Wsunęli w krzyżów trójramiennych pole.
Wśród jagód krasy, miętą wonnej trawy—
Gdzie gwiezdnooki kwitnie mlecz złotawy
I pachną kwiaty w cmentarnianym dole,

Krasną opończę i pojat czerwony—
Włożono gazdom na ostatnie święto.
Nad niemi trawy pachną rutą—miętą—
Dymy się z chałup wloką na zagony.
I patrzy na nich poprzez Carskie Wrota
Bogarodzica bizantyjska—złota.

K. Zawistowska.

DZWON.

Dzwon poruszono. Wielki, spiżowy,
Rozlał w przestrzeni łzawe swe tony!
Nikt słuchać nie chciał olbrzyma mowy,
Głuszyły jego weselne dzwony!

Precz, precz z nieszczęścia strasznym zwiastunem,
Co nam niedolę i śmierć dziś wróży!
Oto zgon krwawym świeci piorunem
I leci z groźnym poświstem burzy...

Precz z śmierci dzwonem! zagłuszyć bicie!
Zatrzymać serce w lotnym rozpędzie!
A wróci znowu radość i życie,
A ludzkość wolna, szczęśliwa będzie!

I biły, grały dzwoneczki, dzwony,
I niosły życie głusząc olbrzyma,
Lecz śmierć nadeszła, przerwała tony,
A dzwon umarłych w świecie prym trzyma.

. . . .

Z. Ułaszynówna.



POZWÓL SIĘ SPODZIEWAĆ.

Zbił grad na łanie całą żniw nadzieję,
Niema i kłosa na niwie żniwiarzy,
Cóż czyni rolnik? na nowo ją sieje
I przyszłość lepszą znów marzy!
O nie broń, nie broń urojeń mych pola
Ziarnem nadziei obsiewać!
Wzrosła ku niebu już Polski niedola:
Pozwól się, pozwól spodziewać!

Zasnął sierota po cierniu boleści,
Roi nadzieję, matki swej życzenia,

Z młodą się myślą promyk szczęścia pieści,
Senne mu złoci marzenia,
Czy chcesz z omamień wypędzić go kraju,
Czy chcesz sen złoty rozsiewać?
Nie budź go, przebóg! nie wypędzaj z raju,
Pozwól się, pozwól spodziewać!

Spartański szkielet przebił lat tysiące,
Zbudził się, powstał, odział blaskiem chwały,
A prochy polskie, jeszcze tak gorące,
Jużżeby ożyć nie miały?
Będą je, będą, wszystkie syny dzielne,
Ogniem serc swoich rozgrzewać;
Błyszczą z popiołów iskry nieśmiertelne:
Pozwól się, pozwól spodziewać!

Jeszcze Bóg dobry dawnych zdolny cudów,
Jęk go nasz w górnej krainie dolata;
Słychać jak huczy wielka burza ludów,
Wre, grzmi, tętni wulkan świata.
Kończą już, konczą tych law groźne wary
Na piorun zemsty dojrzewać;
Nie, nie zawodzi niebo silnej wiary:
Pozwól się, pozwól spodziewać!

Pozwól się patrzeć w gwiazdę marzeń tkliwych,
W kwiaty nadziei grób Polski przybierać;
Nadzieją wsparciem, życiem nieszczęśliwych,
O! nie dajmy jej umierać!
Póty lud żyje, póki nie przestaje,
Pieśni nadziei swej śpiewać;
Nią się on zbudzi, przez nią zmartwychwstaje:
Pozwól się pozwól spodziewać!

F. Morawski.

WESTCHNIENIE ZA POLSKĘ.

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jako zżętemu kłosowi na łanie
Ziarno skradziono, na proch słomę starto,
I wiejąc na wiatr, wołano po świecie:
Przeklęta ziemia, rodzi tylko śmiecie,
Troszczyć się o nią nie warto!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jako łotrowi, co na rusztowanie
Wskazan, policzek, imię na przekleństwo,
Ciało oddają na miecza męczeństwo,
Popioły wicher rozmiata!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Jakbyśmy wpadli w piekielne otchłanie;
Słysząc ich,—słońce świeci tu inaczej,
I ludzi niema, tylko dzika tłuszcza,
I kraju niema, tylko ciemna puszcza,
Wyjąca rykiem rozpaczy!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
I tyś Jobowi na wypróbowanie
Brał syny, zboża wybijał i stada;
Lecz nasze próby wprost idą od ludzi,
Przeto litości ich nic już nie wzbudzi,
Biada sądzonym, o! biada!

Wszystko nam ludzie odjęli, o Panie!
Zostało jedno Twoje zmiłowanie,
A to coś więcej od bluźnierstw i krzyku...
Bo kiedy zechcesz zwrócić na nas oko,
Ile dziś nizko, o tyle wysoko,
Staniem w narodów świeczniku!

L. Siemieński.



W. Orkan (F. Smreczyński).

Z TEJ SMUTNEJ ZIEMI...

Na łąki, pola i ugory skalne
Białością spływa cisza południowa;
Ciepłe od skrzydeł roznosi powiewy,
Po drzewach wiesza ramiona upalne
I w cienie jodeł skroń gorącą chowa.
Znieruchomiały jałowce i krzewy,
Ucichły stare, szeleszczące osty,
Trawy bez szeptów rosną—zda się: czują
Tę białą ciszę idącą po ziemi...
Jeno pajęcze muszki owdzie snują
Szarą nić życia—i wiszące mosty
Na wiatr z mozolnie powikłanej przędzy
Kładąc, nie wiedzą, że jutro czy prędzej
Deszcz je zatopi może razem z niemi.

Na łąki, pola i tłoki skaliste
Płynie za ciszą spokój nieprzerwany,
Jakieś od mogił milczenie wieczyste,
Żałość błękitna, żal w niej zakochany
I dziwnie rzewne jakieś zadumanie.
Idą po ziemi i na każdym [illegible]

Siadają spocząć jak spoczywa starość
Na grobach dawnych... Gdzie spojrzeć przed siebie,
Nic—jeno martwa i milcząca szarość,
Nic—jeno pustka wielka, nieskończona,
Z oczodołami utkwionymi w niebie.
Nic nie zamąci głuszy. Czasem wrona
Zakracze, kiedy nad tą ziemią leci
W kraj, gdzie i ptactwu dłużej słonce świeci.

Na łąki, pola i puste zagony
Płyną za białą południową ciszą
Umarłe pieśni... Ludzie ich nie słyszą,
Nie wiedzą o nich... a przedziwne tony
Grają po trawach, szeleszczą po zbożu,
Jak pieszczotliwy szept dziecka przy łożu
Umierającej matki... Gdzie dolecą,
Tam łzy, po liściach spadając, zaświecą,
I lekkie w ziemi skryją się westchnienia.
Skon południowej ciszy... Zimne drżenia
Przechodzą polem... Kołyszą się liście
Traw, i włosiste pochyla się zboże,
Jakby odczuło skądś dalekie przyjście
I włosy chciało słać pod stopy Boże...

Wśród łanów sennych i sennych ugorów,
Wśród tej bezmiernej pustki i bezkresnej—
Jakby dalekich zaświatów zjawisko,
Nakształt mgły wiotkiej, zwiewnej, bezcielesnej,
W otęczy sino-błękitnych kolorów
Przepływającej ponad ziemią nizko—
Widnieje w słońcu przeźroczyście biała
Postać Chrystusa... Ramionami swemi
Piersi przyciska, jakby z mogił wstała
I niezakrzepłe miała w sercu rany.
Jak nędzarz świata, który na tej ziemi
Nie ma i kąta, gdzieby głowę skłonił—
Tak Syn człowieczy schodzi na kurhany,
Na groby, które pył wieku osłonił,
Na tę krainę łez i wiecznych cieni,
Krainę smutną brzóz, jodeł i sosen,
Gdzie głód się rodzi i owies zieleni,
A ludzie dawno zapomnieli wiosen.

Schodzi na pustki, ugory i niże,
Z wielką białością południowej ciszy,
Z wiecznym spokojem dusz, niosących krzyże,
Z umarłą pieśnią, której nikt nie słyszy.

I po tej ziemi idzie przez pustkowie
Martwe w dal jakąś nieskończenie wielką,
Za którą leży mrok... Na złotej głowie
Łza Matki jego zastygła kropelką
I błyszczy w słońcu, jak na tęczy rosa.
Włosy wiatr mąci... Od każdego włosa
Smugi się złote na ramionach kładą;
Bladoróżowe z nich padają zorze
Na twarz bolesną, wychudłą i bladą
I rozświetlają, jak słońce, gdy złoci
Białe, na liściach rozwieszone płótno.
Oczy anielskie, z których błyszczy morze
Łez i jezioro nadludzkiej dobroci—
Patrzą w bezkresną dal bezmiernie smutno...

Rzędem jałowce zasępione siedzą
Iośniedziałe zboże się kołysze,
Gdy Syn człowieczy, znędzniały i bosy,
Wśród głuchej pustki idzie wązką miedzą.
Wstają ku Niemu wiatrów towarzysze:
Łzawa Niedola, rozpuściwszy włosy,
Jak siny obłok przez powietrze leci;
Wychudła Nędza wlecze się po tłoku
I z niemą prośbą wyciąga swą szyję;
Ból się w jałowcach poza cienie kryje,
Lecz jęk zalata hen i ogień świeci,
Jak fosforyczne próchno, w jego oku.
A ciemna Rozpacz z wiatrem się szamoce
I ręce łamie nad głową i wyje,
Jak zawierucha pól w zaduszne noce.

Za odchodzącym w dal wołają: „Chryste!"
I wyciągają w przestrzeń swe ramiona,
Tam—gdzie mgławice kręcą się wieczyste,
Gdzie się poczyna Pustka nieskończona!..

Wł. Orkan. (F. Smreczyński).

CIEŃ.

Najsmutniejsze wspomnienia niech nie zmartwych-
wstają!
Bracia moi szli w drogę, więc poszedłem z nimi...
Nocą cien mnie nawiedza posępny olbrzymi...
Pomnę... Sam wtedy duch był, co nie szedł ze zgrają...

Ze spojrzeń, które-m w szary odmęt życia rzucił,
Tysiące poszły w niwecz próżno i daremnie...
On raz spojrzał otchłannem, ciemnem okiem we mnie...
To był rozkaz! Jam dotąd zeń się nie ocucił...

Stchórzyłem!... Moja wina... Szedłem—bo szły tłumy...
Dzisiaj wstyd mi wzrok przybił ku ziemi przeklętej...
On poszedł sam—przeczysty, wyniosły i święty,
Ja idę ze schylonem czołem.. bo bez dumy...

W noce przewlekłe, których blask lampy nie skraca,
Gdy deszcz po zmokłych liściach płacz skarg swoich
wiesza.
Czuję pustkę swej drogi... Szedłem—bo szła rzesza...
Najsmutniejsze ze wspomnień niech nigdy nie wraca...

L. Staff.

WIERZBA PŁACZĄCA

O wierzbo płacząca nad ciemną topielą,
Twe włosy zielone do wody się ścielą,
I smętnie swe wiotkie opuszczasz ramiona,
W toń groźną, bezdenną ustawnie wpatrzona...

I czegoż ty wierzbo tak szukasz w tej głębi?
Czyż nurt cię nie trwoży, chłód fali nie ziębi?
Tyś chyba w niej swoje pogrzebła nadzieje,
Lecz one nie wskrzesną, choć serce boleje—
O, wierzbo!

J. Górska.

WŚRÓD RUIN.

Niegdyś tu chram stał... Dziś dawno w gruz padła
Wysmukła nawa i sklepień wiązadła.
Wyrwane z zawias walają się wrota.
Odarto z ozdób witraże i przęsła,
Najskrytsze skarbce chciwa dłoń przetrzęsła.

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

Zmierzch tu posępny i cisza złowroga.
W ołtarzach śladu nie zostało Boga.
Pająk w cyboryum szare siatki mota.
Chrystus rzucony pośród stosów śmieci
Wpiętemi w ciernie koralami swieci—

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

Z wież, gdzie grom dzwonił ostatnie podzwonne,
Nie rozszlochają się w modły stutonne,
Gaszące ogień w spiżu lane *vota*
I nie polecą w jasne jak skowronki
Nad kochankami świegotać wśród łąki—

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

Czasami tylko, gdy wiatr się tu wedrze,
Zepsuty organ budzi się w katedrze,
Wzdycha i rzęzi i dziko łomota.
A wtedy wszystek mrok ku niebu wyje
Okropne jakieś: „Elejson Kyrie!"—

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

Czasami księżyc przez murów szczeliny
Wśliźnie się martwy, lodowaty, siny;
Czasami puhacz skrzydłem załopota;
Czasem odkruszą się rzeźby obramień,
Posadzki jękną i zadudni kamień—

W kryptach mej duszy płonie lampa złota,

A jednak, jednak! tam, kędyś pod ziemią,
Gdzie dziwnie drogie prochy cicho drzemią,
Ostatkiem oliw i ogarkiem knota

Wieczna ampułka pod zwaloną nawą
Wbita u sklepień dogorywa mgławo—

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

Dniem jasnym płonie, ciemną płonie nocą,
Sama nie wiedząc: dla kogo i poco?
A taka świętość w jej ogniu migota,
Jakby kto w cieniu tych piwnic i pował
Młodość i miłość i szczęście pochował. .

W kryptach mej duszy płonie lampa złota.

M. Szukiewicz (F. Cypryan).



DEOTYMIE.

Żeś niosła sztandar nieskalanie
Zamarłych w chwale świętych dni,
Żeś dała w pieśni ukochanie
Tego, co w duszy polskiej śni—
Żeś wskazywała doli szarej,
Jak z dumą krzyż Golgoty nieść—
Cześć Ci kapłanko wielkiej wiary!
Cześć Tobie, Polko!—Cześć!...

Wsłuchana w orlich skrzydeł szumy
W odgłosy surm, śród mieczów lśnień,
Snułaś przeszłości cudne dumy!
Wierząc w przyszłości jasnej dzień.
Więc, dopełniwszy swej ofiary,
Gdy dziś odchodzisz w grobu pleśń,
Niech polskie orły i sztandary
Szumią ci do snu wieczną pieśń.

J. Ostroróg.

PRZERWANA PIEŚŃ.

(B a l l a d i n a).

Weselnych gwarem uczt królewski kipi dwór.
Zą żonę księciu dał król najpiękniejszą z cór.
„Hej, tam który! Za kąty
Pójrz z narożnej komnaty,
Kto tam przez swawolę
Brządka lutnią na dole,
Czyj mącić ucztę nam śmie nieproszony wtór!“

A panna młoda tuż przed dworzan śpieszy tłum:
„To ojcze las tak gra, to drzew pod wiatrem szum!“
„Przebóg, słuch mię nie myli,
Tam, pod wieżą ktoś kwili,
Ha!... toć kurant mi znany!...
Czekaj, paziu cacany,
Dam ja ci godną treść do tkliwszych jeszcze dum!“

Z miejsca porwie się... biegnie...
I z krużganku się przegnie
I—w dół ciśnie czekanem...
Słowem nagle urwanem
Skonała w jęku pieśń.—W najdalszych głębiach kniej

Drgnął głuchym jękiem las, drgnął echem pieśni tej.
Z łkających, hen, gdzieś ech, zbłąkanych w szmerze drzew,
Wnet ptaszą bożych chór wziął skargi te w swój śpiew
I kochanków rozmowie
Wtórzy niemi w dąbrowie.
Gdy usłyszą ów śpiew, nagły przejmie ich strach.
Miłośny milknie szept i rozpływa się—w łzach,
I—rozpływa się—w łzach...

Czesław (C. Jankowski).

WSZYSTKO MI JEDNO.

Nie pytam co mnie czeka—nie dbam, dokąd płynę,
Gnany siłą przeznaczeń ślepą i bezwiedną—
Za mną wybrzeża wspomnień, przedemną mgły sine,
Płynę i wszystko mi jedno...

Przeżyłem, przekochałem lata moje młode,
Sny moje, jako róże więdniejące bledną,
Czasem je sam obrywam i rzucam na wodę,
Niech giną—wszystko mi jedno!

I brzegi coraz dalej i róż w mojej dłoni
Coraz mniej—a mgły gęste na okół nie rzedną
I nigdzie, nigdzie lądu na bezmiernej toni
Płynę i wszystko mi jedno.

A jednak tyle pragnień, żądz i marzeń tyle
I tyle tęsknot wstrząsa piersią moją biedną—
Chcę szczęścia, chcę miłości—dzień... godzinę... chwilę...
Niechaj czarę upojeń jednym tchem wychylę—
A potem—wszystko mi jedno!

L. Rydel.

Z CYKLU: IRREDENTA:

Trupie pole.

Noc ciemna i wietrzna, lecz księżyc z za chmury
Wychylił zamglone swe czoło
I światłem sinawem kraj oblał ponury,
Zapadłe pustkowia, gdzie pochód kultury
Swe słupy ustawił w około.

Na słupach tych czarne widnieją tablice...
Spoglądam: znak śmierci bieleje!

Głów trupich rząd groźny zapadłą ziemicę
Otoczył i wytknął dla żywych granicę,
Te godła—kultury trofeje!

Stój!... Nie idź za słupy!... Tam ziemia się chwieje,
Za skarby się pomści wydarte!...
Patrz! Jakaż tam rzeka posępnie czernieje?
To ciągnie tłum ludzki!... Gdzie łuna jaśnieje,
Na nocną podąża on wartę.

Z łun w dali strzelają kominy olbrzymy
Jak maszty korsarskich okrętów,
Jak czarne bandery tak wiją się dymy,
I groźnie w dal płyną dymiące olbrzymy
Po morzu społecznych zamętów.

Tam nawa kopalni śród świateł lśni w dali.
Spiesz tłumie! Już huczą sygnały!
Ta nawa na giełdach popłynie wbrew fali,
Miliony przywozi, więc dalej, no dalej,
Spiesz tłumie! Miliony wezwały!

Tłum toczy się, wpływa w dziedzińca obszary
Dym ściele się nisko po piasku,
Wrą grzmoty sortownic, drży dziki świst pary
I ludzie dokoła latają jak mary
Śród piekła zamętu i wrzasku.

Spiesz tłumie! Świat w dali chce życia, chce ciepła!
Spiesz tłumie! grzmią głosy z głębiny...
Tam ludzkość na świecie od chłodu pół skrzepła!
Spiesz tłumie! grzmią wichry... tam ludzkość chce ciepła!
Spiesz tłumie! chichoczą maszyny...

A. Niemojewski.



NIE MARZ I NIE ŚNIJ!

O nie marz dziewczę! Marzenia gasną,
Jak te gwiazdeczki drżące w błękicie,
Które się rodzą w każdą noc jasną,
A mrą o świcie!

O nie śnij dziewczę! Sny się rozwieją,
Bo sny są krótką zapomnień chwilką...
A życie, zwykłych losów koleją,
Da ci łzy tylko!

J. Pignan.



PATRZ—OTO IDZIE ŻYCIE.

Patrz—oto idzie życie, kwiaty łamie,
W serca rzuca żal,
Więc uchodź!... Księżyc śmieje się do fal,
A gwiazdy ronią łzy...

Patrz -oto serce moje z tęsknot kona
Jak kwiat, co ginie,
Daj mi twe usta! Jak sen życie minie,
Jak wiosna, białe bzy...

W te złote twoje oplączesz mię włosy...
Gdzie sen rozkoszy...
Zapomnij o tem, że szczęście się płoszy
Przez bólu gorzkie łzy...

Woń bzów przecudna otoczy nas wkoło,
Snem kwiatów uśniemy,
Daj usta twoje! Razem w dal pójdziemy,
A szczęście-śmierć, nam dadzą białe bzy...

S. Margulec.



L. Blumenthal (Leo Belmont).

NA MARGINESIE.

Na najstraszniejszą skazano nędzę
Dumnego ducha, co w górę rwie się:
Los mnie zapisał w życiowej księdze
Na marginesie.

Gdy swym porywom chcę czynić zadość,
Coś mnie odpycha zuchwałym gestem,
Usuwa na bok i w próżnię niesie:
Tam, gdzie ból wielki, gdzie wielka radość,—
Nigdy śród tekstu, lecz zawsze jestem—
Na marginesie.

Pomnę, raz jeden żywiłem wiarę,
Że nad młodzieńców góruję rojem,
Gdy ona, uczuć biorąc ofiarę,
Słodkich mi słówek rzuciła parę,—
Lecz się rozstałem prędko z spokojem
I przy mym zwykłym stanąłem kresie:
Bo zapisała mnie w sercu swojem—
Na marginesie.

Parnas mnie wabił, szedłem pod górę,
O listku lauru marząc gorąco...
A wiem, że w skalną upadnę dziurę,
Gdzieś w zapomnienia przepaść milczącą,—
Albo mi krytyk wysmaga skórę,
Na ostrzu stalki w przyszłość poniesie
I w księgę sławy wpisze mnie drwiąco
Na marginesie.

Oto mi dola: schodzić na stronę,
Lub nieść bezpłodnie swej pracy skrzętność...
Z drzewa nadziei listki strącone,
Złamane serce, plany zniszczone,
I spopielona na nic namiętność...
Lekceważenie i obojętność,
Prześladujące w życiowym lesie...
I jedna przystań—miejsce wzgardzone
Na marginesie.

Więc będąc jeszcze woli swej panem,
Śród takiej troski przeszedłbym oto
Sam za margines życia z ochotą:
Śmierć-by mi była złem pożądanem!
Lecz samobójców grób pod parkanem...
Na całą wieczność jużbyś, grabarzu,
Kazał mi zostać przy zwykłym kresie:
Musiałbym leżeć tam na cmentarzu—
Na marginesie.

L. Blumenthal (Leo Belmont).



HELOTKA.

I.

Na ziemię spada wieczorny zmrok
I ciszę rozsiewa słodką;
Pójdź bliżej, podnieś wstydliwy wzrok,
Sługo sług moich, helotko!

Mirtowy dyadem na skronie włóż,
Osyp się kwieciem, dziewczyno;
Weź lutnię w ręce—niech z wonią róż
Miłosne dźwięki popłyną.

Już wino szumi, już tony drżą,
Namiętnym wezbrane krzykiem,
O, niewolnico! tyś panią mą,
Jam dzisiaj twym niewolnikiem!

Precz z twą tuniką! będziemy śnić,
Miłosne chłonąc słodycze,
O, piękna, z ust twych chcę rozkosz pić,
Całować piersi dziewicze!

II.

Noc szybko mija... Dziewczę, dość już,
Od warg twych odchylam usta;
Na mojej skroni zwiądł wianek róż
I—patrz—amfora już pusta.

Za chwilę słońce z Tajgetu skał
Nocne ciemności wypłoszy,
Czas się nam rozstać, by w szale ciał
Nie zmienić w przesyt rozkoszy.

Lecz cóż to, dziewczę, chwiejesz się, drżysz
I toczysz źrenicą błędną:
O pocałunkach czy jeszcze śnisz?
Czy żal ci kwiatów, co więdną?

Na Zeusa! W dłoni twej błysnął nóż!
Wzrok płonie, jak ślepie lwicy!
Precz! dam ci wolność! Precz! Nie patrz już!..
Hej! Do mnie tu, niewolnicy!

III.

Cisza... Niewolnik, co zginał kark
Dzień cały—drzemie ogłuchły,
A ona stoi, aż z drżących warg
Namiętne słowa wybuchły:

IV.

„O, Spartańczyku, czyś sądził ty,
Że miłość mnie ci oddała,
Gdy, dzieląc z tobą plugawe sny,
W twoich objęciach jam drżała?

Że niewolnica z najmłodszych lat,
W hańbiących kajdanach wzrosła,
Tobie swych uczuć wiosenny kwiat
W należnym hołdzie przyniosła?
O nie! zrodzona, by w pętach żyć,
Wśród niewolniczych namiotów,
Chcę rwać twe ciało i krew twą pić,
Za moich braci helotów!

Rozkosz i wino rzuciły cię
W sennej niemocy ramiona...
. . . .
Zeus męską siłę dał dzisiaj mnie,
Próżno się miotasz! . . . .
. . . . Ha! kona!..

V.

A ja?—skalana! Więc śmiercią swą
Stratę czystości okupię,
Lecz umrę, myślą, szczęśliwa tą,
Że konam—na jego trupie!..

Or-Ot (A. Oppman).



BLADEJ DZIEWCZYNIE.

Twej wątłej twarzy piękno chore, anemiczne,
Śni o znużeniu twojej krwi bladej, omdlałej,
Która leniwem tętnem fali ociężałej
Ożywia twe wysmukłe członki seraficzne.

Tyś jest spłowiałym blaskiem spopielałej chmury,
Zwietrzałą wonią, którą, tchną spełzłe kobierce..
Za skąpo w alabaster wsączono purpury,
W drętwym snem wycieńczone, niedokrewne serce.

Dla ciebie, Piękna moja, hoduję winnicę,
Gdzie ciepło słońca w gronach dojrzałych sok słodzi,
Podlewam ją mą własną krwią, kiedy dzień wschodzi
I dla ciebie przeznaczam swych trudów krwawicę.

Przyjdź! Soki z gron wycisnę i tobie, Jedyna,
Zgotuję złotą kąpiel, byś moc zdrowia ssała
Spragnioną, nagą skórą dziewiczego ciała,
I byś ożyła słodkim ogniem mego wina!

L. Staff.

SKONAŁ ZA CIEBIE BÓG...

Skonał za ciebie Bóg—i skonał w tobie..
Swiatu—trzeciego dnia błysło zaranie.
Na twego serca nie zabłyśnie grobie
I w twojej piersi Bóg nie zmartwychwstanie!
Skonał za ciebie Bóg i skonał—w tobie.

Wzgardziłeś wiarą prostaczego ludu,
Tyś się z nim rozstał przed świątyni progiem
I oto, bogacz wiedzy,—żebrzesz... cudu,
By choć na chwilę jeszcze był twym Bogiem
Ten, który żyje dla prostaczków ludu!

C. Jankowski (Czesław).

NA ANIOŁ PAŃSKI.

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony!...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

W wieczornym mroku, we mgle szarej,
Idzie przez łąki i moczary,
Po trzęsawiskach i rozłogach,
Po zapomnianych dawno drogach,
Zaduma polna, osmętnica...
Idzie po polach, smutek sieje,
Jako szron biały do księżyca...
Na wód topiele i rozchwieje,
Na omroczone śpiące gaje,
Cień, zasępienie od niej wieje,
Włóczą się za nią żal, tęsknica...
Hen, na cmentarzu ciemnym staje,
Na grób dziewczyny młodej siada,
W świat się od grobu patrzy blada...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Na wodę ciche cienie schodzą,
Tumany się po wydmach wodzą.
A rzeka szemrze, płynie w mrokach,
Płynie i płynie coraz dalej...
A coś w niej wzdycha, coś zawodzi,
Coś się w niej skarży, coś tak żali...
Płynie i płynie, aż gdzieś ginie,
Traci się, w górach i w obłokach,
I już nie wraca nigdy fala,
Co taka smutna stąd odchodzi...
Przepada kędyś w mórz głębinie
I już nie wraca nigdy zdala...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...

Szare się dymy wolno wleką
Nad ciemne dachy, kryte słomą.
Wleką się, snują gdzieś daleko,
Zawisną chwilę nieruchomo
I giną w pustem gdzieś przestworzu...
Może za rzeczną płynąc falą,
Polecą kędyś aż ku morzu...
A mrok się rozpościera dalą
I coraz szerzej idzie, szerzej,
I coraz cięższy, gęstszy leży,
Zatopił lasy, zalał góry,
Pochłonął ziemię do rubieży,
Na niebie oparł się ponury...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...
Na Anioł Pański biją dzwony,
W niebiosach kędyś głos ich kona...
Idzie samotna dusza polem,
Idzie ze swojem złem i bolem,
Po zbożnym łanie i po lesie,
Wszędy zło swoje, swój ból niesie,
I swoją dolę klnie tułaczą,
I swoje losy klnie straszliwe,
Z ogromną skargą i rozpaczą
Przez zasępioną idzie niwę...
Idzie, jak widmo potępione,
Gwiżdże koło niej wiatr i tańczy—
W którą się kolwiek zwróci stronę,
Wszędzie gościniec jej wygnańczy— —
Nigdzie tu miejsca niema dla niej,
Niema spoczynku, ni przystani...
Idzie przez pola umęczona,
Łamiąc nad głową swą ramiona...

Na Anioł Pański biją dzwony,
Niech będzie Marya pozdrowiona,
Niech będzie Chrystus pozdrowiony...

K. Przerwa-Tetmajer.

Z MOTYWÓW BOECKLINOWSKICH.

WYSPA UMARŁYCH.

Jest kraj posępny na kresach istnienia,
Gdzie myśl się kończy, gdzie życie ustaje,—
Wyspa z białego ciosana kamienia
I strojna w czarne cyprysowe gaje;
Oprawna w szafir milczącego morza,
Strzegąca głębi tajemnych niebytu...
A nad nią—półmrok wieczorny—pół-zorza
Księżycowego, sinawego świtu.

Na progu wyspy, ku sobie zwrócone
Leżą dwa sfinksy, wykute w granicie,
Jakgdyby strzegły, by się tam, szalone,
W tajniki śmierci, nie przedarło życie...
Milczące fale o brzegi się wsparły,
Milcząco bluszcze na grobowcach wiszą...
I leży wyspa ludzkości umarłej—
Straszną, potężną przepojona ciszą...

Tylko chwilami przez milczące tonie
Łodzi się czarnej przesuwa widziadło;
Siwy przewoźnik o wiosła wsparł dłonie,
Ale się morskie nie łamie zwierciadło,
Ani się głębia nieruchoma budzi...
I oto cicho u brzegu łódź staje,
Wychodzą cienie znicestwionych ludzi
I zwolna idą w cyprysowe gaje.

Idą milczące, idą pochylone
Cienie ofiary, i kata, i wrogów,—
I wszystkie w jedną skierowane stronę:
Do bezistnienia granitowych progów
Miłość, nienawiść, i dobro, i zbrodnia,
I żal, i krzywda, i szału płomienie
Zgasły, jak w morze rzucona pochodnia,
Pozostawiając jedynie—milczenie...

A cienie idą—nieziemskiej powagi
I ciszy pełne—do głębi dalekiej
Tam, gdzie wykute w skałach sarkofagi
Przybycia gości czekają przez wieki...
I oto znikły bezcielesne cienie,
I znowu pustka na wyspie straszliwa,
I znowu cicho przez głębin milczenie
Siwy przewoźnik umarłych nadpływa...

O wyspo Śmierci posępna i głucha
Skąpana w sinym niebytu przedświcie,
Jaki szaleniec, jaki mocarz ducha
Mógł tak zapomnieć, że istnieje życie,
Aby potęgą swojej strasznej siły
Stworzyć cię taką świątynią milczenia,
O jakiej duszom zmęczonym mówiły
Tylko szaleństwo i sny z przedwcielenia?...

Z. Moslewicz.



MÓW DO MNIE JESZCZE...

Mów do mnie jeszcze... Za taką rozmową
Tęskniłem lata... Każde twoje słowo
Słodkie w mem sercu wywołuje dreszcze — —
Mów do mnie jeszcze...

Mów do mnie jeszcze... Ludzie nas nie słyszą,
Słowa twe dziwnie poją i kołyszą,
Jak kwiatem, każdem słowem twem się pieszczę— —
Mów do mnie jeszcze...

K. Przerwa-Tetmajer.



VITA BREVIS.

Życie krótkie—a przecie nazbyt jeszcze długie.
Kto z żywych nie zatęsknił choć raz za mogiłą?
Jeżeli nam sądzone jeszcze życie drugie,
Bodajby albo lepszem, albo krótszem było!

Życie krótkie... dłuższego poco życzyć sobie?
Trochę wina, co w czarze szumi dla przynęty,
Jednym haustem w młodzieńczej wypija się dobie,
A na resztę żywota pozostają—męty.

Życie krótkie—z wymiarów tylko, lecz nie z treści.
Zlicz wszystkie rzuty serca, co rozsadza łono,
Zmierz otchłań bólu, jaka w minucie się zmieści,
A pewnie drogę życia nazwiesz—nieskończoną.

Życie krótkie... Dzięk temu, kto je zrobił takiem,
Męczony z upragnieniem wita śmierci dreszcze,
Co mu są końca tortur nieomylnym znakiem.
Życie krótkie... O, czemuż nie jest krótszem jeszcze!

W. Gomulicki.



A. Lange.

Z CYKLU: „PRZEKLEŃSTWO“.

Bo przekleństwo jest rykiem lwa, który za kratą
Gromami swego gardła jak orkan wybucha:
Drży dozorca, bo krata zdaje mu się krucha,
A lew mu rozjuszony—grozi życia stratą!

Przekleństwo jest kołyską świadomości ducha,
Co poznał, że nad mrokiem jego świeci lato:
Jest pobudką bojową, jest bojową czatą,
I jest ostrzem dla miecza—i rdzą dla łańcucha.

Jest trucizną, sztyletem, ogniem. Jest mogiłą,
Gdzie duchy mroków legną na wieki. Jest siłą,
Co do nowego życia przywołuje truny.

Jest hymnem, jest modlitwą do tych potęg wiecznych,
Co, zepchnięte zazdrośnie z wyżyn nadsłonecznych,
Wydzierają z niebiosów bogom—ich pioruny!

A. Lange.

ŻYCIA OGROMNE MORZE...

Życia ogromne morze grzmi przedemną,
A ja na brzegu stoję zadumany,
Lękam się nawet spojrzeć na bałwany,
Oczy mam tylko w dal utkwione ciemną.

Łódź na mnie czeka... Wrą żywiołów boje,
Głosem trytonów wzywając w cdmęty.
A ja się wiosła nie imam: przeklęty,
Samotny żeglarz, bez odwagi stoję,

Pół sen, pół jawa—oto dzień żywota,
Pędzon na żwirach pustego wybrzeża,
O które fala daremnie uderza,
Daremnie z hukiem srebrne piany miota.

Pancerne statki wyruszyły w drogę:
Warczą ich koła, z paszcz buchają dymy
Płyną po głębiach jak ptaki-olbrzymy,
Precz poza sobą zostawiwszy trwogę.

A ja, w dal mając zatopione oczy,
Na jawie przędę z mgieł obrazy senne,
By okryć niemi to morze bezdenne,
Co z takim szumem swoją wieczność toczy.

Na karku tylko dreszcz mi usiadł blady
I rwie mą przędzę bezlitośną dłonią:
Chwila, a w chmurach pioruny zadzwonią,
Mego wybrzeża wstrząsną się posady.

Chwila, a orkan porwie swe obroże,
Z nóg i z rąk swoich ciężkie pęta zrzuci
I w zaślepieniu szaleństwa wywróci
Z granic kotliny rozszalałe morze.

Cały ten ogrom z łożyska wyważy:
Ku niebu wzdmie się ta pierś Lewiatana,
By, płomieniami błyskawicy zlana,
Opadnąć z jękiem tonących żeglarzy...

Topi się ołów, przetwarza! Z łoskotem,
Z trzaskiem ı sykiem już się woda pali!
Błogosławiony, kto ginie w tej fali,
W walk żywiołowych rozognieniu złotem.

Błogosławiony, kto pochwycił wiosło
I jak bohater puścił się w swej łodzi
Na wichr, co nad nim dziką pieśń zawodzi,
Na toń, co pod nim w dziki szał urosła!

Błogosławiony, kto z swej ludzkiej duszy
Umie wykrzesać pokrewieństwo burzy,
Swe błyskawice w głębinach zanurzy,
Swojemi grzmoty przestworza poruszy!

Zalewasz brzeg mój, rozhukany wirze?
Piekielna mściwość twe skrzydła rozpędza?
Zalej go! zalej! wszak na nim śni nędza,
Co swoje własne, gnuśne stopy liże!...

Zalej go! zalej! z ciałem Prometeja
W piarg się rozpadły zębate opoki!
Wybrzeże piasek zasypał głęboki:
By stężał w turnię, znikła już nadzieja!

Zalej go! zalej! ten mój brzeg przeklęty,
Bezpłodny, pusty i jak rozpacz nagi:
Więzi mnie na nim trwożny brak odwagi,
Gdy w krąg żeglarze spieszą na odmęty,

O niema łódko, a przecież wymowę
Strasznych demonów mająca!... O wiosło,
Coś się ze ziemi, jak gigant, podniosło
I idziesz na mnie, na senną mą głowę!

Falo, wiodąca wciąż ze sobą wojnę!
Śmiałe, po falach wciąż krążące statki!
Żagle, rozwiane niby kwiecia płatki!
Maszty, w flag tysiąc różnobarwnych strojne!

Życia ty morze, tak grzmiące przedemną,
Gdy ja, na brzegu stojąc zadumany,
Lękam się nawet spojrzeć na bałwany
I wzrok mam tylko w dal utkwiony ciemną—

Gdy ja, w dal mając zatopione oczy,
Na jawie przędę z mgieł obrazy senne,
By okryć niemi to morze bezdenne,
Co z takim szumem swoją wieczność toczy.

J. Kasprowicz.

NIE WARTO...

Nie warto marzyć! Snów już i marzeń bezczynnych
w twardego życia walce zamarła epoka:
ludzkość, syta już bajań i kwileń dziecinnych,
innego żąda śpiewu, innego proroka!

Nie warto marzyć! Dzisiaj liryczną już pieśnią
nie wzruszysz serca, w duszy nie wzniecisz pło-
mienia:
umilkli trubadurzy,—starą rdzawe pleśnią
strzaskawszy lutnie, martwe urwali pół-pienia...

Nie warto... Jeśli czasem nieśmiała piosenka
przypomni nutę starą, zdziwieni słuchacze
nie pojmą dźwięku, szydząc nad piewcą boleją...

Nie warto...: Wiem to dobrze—a jednak gdy ręka
uderzy w struny, lutnia mi kwili i płacze,
miłości piosnki stare dla ciebie się sieją!..

J. Żuławski.

SERCE POETY.

Serce poety—to arfa Eola....
Wciąż wicher życia trąca o jej struny,
Radość i smutek, szczęście i niedola,
I pieśń zachwytu, i zwątpień pioruny,
I hymn radośny i pogrzebu dzwony,
Wszystko się zlewa w harmonijne tony;
Na lutni wieszcza jedną pieśń natchnioną
Anioł harmonii bez końca wygrywa!—
Choć wicher życia, siłą niezwalcz ną,
Wszystkie z kolei jej struny pozrywa,
Jedna zostanie i wciąż dźwięczeć będzie,
W szczęściu, w niedoli i zawsze i wszędzie.

S. Grudziński.

WIECZORNE SNY.

I.

Czy ty zatęsknisz, gdy po ciężkiej pracy
Wracasz do pustki, do swojego domu,
A nikt kochany na odgłos twych kroków
Na próg nie bieży, witać niema komu?
I kiedy troska powszednia codzienna,
Ciężkim kamieniem piersi ci przywali,
Nikt ci nie powie: „Ciężar podziel ze mną,
O! ukochany, bądź mężnym, idź dalej“.
Czy ty zatęsknisz?

Czy ty zatęsknisz—kiedy podłość ludzi
Straszną goryczą usta twe napoi,
A nikt nie szepnie: „Ja kocham cię zawsze!
O wszystkiem wątpiąc, wierz miłości mojej“.
Czy ty zatęsknisz, że szczebiot dziecięcy,
Ni śmiech kobiety nigdy nie ożywi
Ścian twojej chaty wesołym rozgwarem,
Coby ci mówił: „My z tobą szczęśliwi!“
Czy ty zatęsknisz?

Czy ty zatęsknisz, czy w oczach ci stanie,
Ze jest na świecie pokrewna ci dusza,
Krwią, sercem, duchem bezgranicznie twoja,
A którą przecież los zdala stać zmusza;
Że ona ręce ściąga przez otchłanie,
Rwąc się ku tobie sercem i oczyma,
Zdolna czuć, myśleć, działać—a bezsilna,
Bo przez tę otchłań żadnej drogi niema?
Czy ty zatęsknisz?

II.

Wiesz, jak ja marzę w kwietniowe wieczory,
Gdy już umilknie gawiedź hałaśliwa,
Co odurzała mię za dziennej pory
I gdy się dusza w błękity wyrywa?

Oto klon pęka—zielono-żółtawe
Sypią się kwiaty—a czeremchy srebrne

W świetle księżyca stoją kędzierzawe
I ślą mej piersi balsamy leczebne.

Rzechot żab,—z lasu słychać ptastwa wrzawę,
Łagodny wietrzyk po drzew wierzchach pląsa
I na świeżuchną zieloną murawę
Krople łez rosy z gałęzi otrząsa.

Tak dusza moja otrząsa ból wszelki
Na jedną krótką marzenia godzinę
I pod dotknięciem wiosny-wskrzesicielki
Odpływa w widzeń młodości krainę.

Leżąc pod oknem, piję wonie kwiatów
I uchem łowię ptaszęce szczebioty;
Pierś drży i czeka—czy z nieba bławatów
Ma zejść tu ku mnie jaki Cherub złoty?

Cicho! szmer kroków... jak mi serce bije...
Ty na pierś moją chylisz się znużony,
A ja uściskiem otaczam twą szyję,
Utęsknionemi ogarniam ramiony.

O, jak mi dobrze! słuchaj—pierś nie boli
I żadna gorycz serca mi nie truje;
Nikomu lepszej nie zazdroszczę doli,
Kiedy mię uścisk do twej piersi kuje.

Słyszysz! jak zgodnie krew nam w żyłach tętni,
Łącząc swój akord do hymnu przyrody?
Do ust mych usta twe przytul namiętniej—
Świat dziś tak piękny, kochający, młody...

Ja zapominam mojej ciężkiej troski,
Ty—że są burze i trudów ciężary,
Ukryci w ciszy naszej głuchej wioski,
Pod błękitnemi niebiosów kotary;

Myśmy dziś sami lepsi, odmłodniali,
Jakby nam wskrzesnął dzień wiosny młodzieńczej,
Dawniejszy zapał w sercach nam się pali,
A czoła myśli aureola wieńczy.

Wszystko, co piękne, dobre i szlachetne,
Co nam pochłonął smutny życia cmentarz,
Dziś przyodziewa dawne szaty świetne,
Jak za dni dawnych, dalekich—pamiętasz?..

Czyli mię kochasz? Ja nie pytam o to—
I ty nawzajem nie zadasz pytania;
Znużonych życia trudem i tęsknotą,
Chwila obecna całkiem nas pochłania.

Wiemy, że zima trwa długie półrocze,
Że jesień mrozi serca i krzewiny,
Ale też życie ma swe dni urocze,—
Za lata bólu—upojeń godziny.

Na mojej piersi głowa twoja senna,
Uspokojona, tak słabo się tuli,
A cisza niebios, gwiazdami promienna,
Pod skrzydła swoje garnie nas najczulej.

Przyroda nie zna, co praw ludzkich pęta,
Jak ten świat cały, my dla niej—jej twory,
Którym z miłością wznosi dłoń jej święta
Puhar upojeń w wiosenne wieczory...

III.

Piękny sen! Prawda? lecz ja znam piękniejszy,
Sen więdnącego lilii kielicha...
Dotknij mi ręki—puls coraz wolniejszy;
Złóż dłoń na piersi, pierś słabiej oddycha...

Dziwnym zamętem ogarnięte zmysły
Mącą się, mdleją z niebytem się ważą;
Zda się, że z ramion jakieś więzy prysły,
A tak mi dobrze pod twej piersi strażą!

Nie trwóż się o mnie, nie drgnij, tak pozostań;
Słyszysz? młodości pieśń przepływa echem?
Ach, tyle bywa ciężkich z życiem rozstań,
A tak nie często ktoś kona z uśmiechem!

Niech mię raz jeszcze ramię twe okoli,
Gdy tajni grobu zasłonę rozdzieram;

Jam tak szczęśliwa—mnie nic, nic nie boli...
Na ustach twoich tchem kwiatu zamieram...

IV.

O, błogo marzyć w wieczory wiośniane,
Konać, jak tony zabłąkanej pieśni,
Gdzieś w nieskończoność na dźwięki rozchwiane,
Lecz, gdy się zbudzisz, kiedy sen się prześni,

Gdy nad ogniskiem, coć w piersi wybucha,
Nieugaszonym ofiarnym tym zniczem,
Wydaje wyrok moc Przeznaczeń głucha:
„Tytanie marzeń, w życiu jesteś niczem!"

O! straszną bywa godzina przebudzeń,
Niby dzwon jakiejś pogrzebowej wieści,
Co cię odziera ze wszystkich twych złudzeń,
Że już nie z marzeń mrzesz—ale z boleści.

A. M...ski.



PRZEZ MGŁY JESIENNE.

Słyszysz? Jesienny deszcz o szyby dzwoni...
Dusza zapada w jakieś półomdlenie— —
Przed nią szarzeją nagich pól przestrzenie,
Mgła się podnosi z cichych jezior toni...

Po uroczyskach błądzą smutne cienie,
Wiatr zwiędłe liście po alejach goni,
Deszcz monotonnie o szyby wciąż dzwoni,
Z piersi się ciche dobywa westchnienie.

Pamiętasz? Pokój... Lampa... Stół szeroki...
Deszcz monotonnie o szyby wciąż dzwoni,
A my nad księgą—skroń blizko przy skroni,
A w sercach jasność i spokój głęboki...

Z. Dębicki.

POBUDKA.

Do czynu! hej! do czynu:
Pobudkę Miłość gra...
Wstań nowych haseł synu:
Niech pierzcha fałszu ćma!
Skalpel chwytaj lekarzu,
Mędrcze, za pióro bierz!
Z krzyżem, co lśni w ołtarzu,
Na bój, kapłanie, spiesz!
Nikt broni nie odpasze
Aż ofiar padnie dość—
Niech giną wrogi nasze:
Nędza, choroba, złość!

Ławą na tego smoka,
Co się ciemnotą zwie!
Choć popłynie posoka,
Niech każdy żga i rwie!
Skruszmy bałwana z lodu,
Co drży u naszych bram:
Niech szczeznie widmo głodu!
Niech nie wygraża nam!
Tu epidemia blada
Przyczaja się jak zbój—
W łeb ją! niechaj przepada!
A z nią mar czarnych rój!

W zdrętwioną bólem ziemię
Sfinks szpony ostre wbił,
I cielska jego brzemię
Kradnie jej resztę sił.
Sfinks zna zagadkę bytu
I śmierci tajnię zna—
Czemuż paszcza z granitu
W milczeniu martwem trwa?
Hej! gromem niech nań spada
Skalpel, pióro i miecz;
Dopóki nie zagada,
Kol go i kraj i siecz!

Innych walk nam nie trzeba!
Nie trzeba krwi i łez!
Tej ciężkiej karze nieba
Raz już połóżmy kres:
Fatum z twarzą straszliwą
Oto nasz wspólny wróg;
Zduśmy tę hydrę mściwą,
Jaśniej nam błyśnie Bóg.
Ludzkości! na bój bratni
Nie tracić tcbie sił!
Czyż chcesz, by później w matni
Czart z twej niemocy drwił?

O pokoju marzenie
Nim wyśni się jak sen,
Przedtem przez walk płomienie
Przebrnąć świat musi ten.
Lecz walka nowa, śmiała
Z innych się toczy kart:
Tu armią—ludzkość cała,
Wrogami—noc i czart.
Wszyscy, ilu nas w świecie,
Huf złóżmy z dusz i ciał,
A wroga huf ten zgniecie
Bez mieczów, spis i dział!

Wieszczu! mędrcze! kapłanie!
Za pióro, skalpel, krzyż!
Niech armia murem stanie,
Ducha wzniesie na wyż!
Wstań, nowych haseł synu:
Niech pierzcha fałszu ćma;
Do czynu! hej, do czynu!
Połudkę Miłość gra.

W. Gomulicki.





W. Wysocki.

Z POEMATU: BOCIAN.

KOCHAM POGODNĄ NUDNĄ JESIEŃ NASZĄ...

Kocham pogodną nudną jesień naszą,
Jesień rumianą, dostatnią, obfitą,
Która na łąkach stawia sterty z paszą
I sypie na zasiek pszenicę i żyto!

Lubię tę wielką zadumę w naturze
Nad dopełnionem posłannictwem swojem,
Gotową wichry zimowe i burze
Spotkać odważnie, z poważnym spokojem,

Lubię jej rosy rzęsne i mgły senne
I te pól rżyska milczące, przestrzenne
I ciche, w skibach leżące ugory.

I ową w lesie jakąś ciszę błogą
I spadłych liści cichy szmer pod nogą
Jakby szepczących mi: „memento mori!..“

Stali wśród łąki, wziąwszy się za ręce;
On—smukły młodzian w mundurze ułana,
Ona w pasterce i białej sukience,
Jak śnieżny narcyz obok tulipana.

Jesienne słońce, które już się chyli,
Na ich postacie kładło blask różowy,
Rój złotych muszek i barwnych motyli,
Jak aureola otaczał ich głowy.

I balsamiczny zapach ziół i siana
Oblewał falą dziewczę i młodziana,
Którzy spokoju dziwną błogość czuli,

Choć on na twarzy przejrzystej i bladej
Nosił cierpienia niedawnego ślady
I lewą ręką wspierał się na kuli.

W. Wysocki.

N I E!

Nie, nie! Wątpliwość w duszę się wkrada,
Z pod nóg usuwa się grunt;
Myśl protest stawi, duch woła: zdrada!
I serce podnosi bunt.

Nie, nie!.. tak dłużej czyliż być może?
Zawszeż noc, obłęd i kłam?
Zawszeż przesądów dźwigać obrożę,
Która w kark wrosła już nam?

Zawszeż ofiarą będziem omamień,
Gnuśniejąc w tradycyj śnie,
I nieruchomie pleśnieć jak kamień,
Leżący na bagna dnie?

Zawszeż dawniejsze czcić ideały,
Co dobre dla przeszłych lat—
Dzisiaj jak łachman stary, zbutwiały
Świecą dziurami swych szmat?

Szanowne szczątki, drogie mogiły,
Zostawmy bluszczom i rdzom:
Darmo ten traci i czas i siły,
Kto z trumien stawiać chce dom!

Przebrzmiałe hasła minionej pory
Już nie rozjaśnią nam dróg:
Nam nowa jutrznia! nam inne tory!
Niech inny prowadzi nas Bóg!...

Na morzu życia pełnymi żagli
Okręty narodów mkną;
Nasza łodź stoi—nic nas nie nagli
Zatkać dziurawe jej dno.

Na bok schylona korweta nasza
W nadbrzeżny ugrzęzła muł,
Wiatr strzępy żagli zwisłych rozprasza,
I maszty runęły w dół.

Jak skorupiaki my się przyssali
Do spodu, który już zgnił,
A gdy nas czasem wstrząśnie ruch fali,
Śnimy, że płyniem—co sił.

Dokąd-że zawiódł nas okręt stary?
Gdzie przystań nasza i kres?
Wiekowych złudzeń ślepe ofiary
Nie widzim lądu od łez...

Nie, nie! dość tego! dość tej martwoty!
Załogo! se snu się zbudź!
Precz nawa stara!.. hej, do roboty!
Hej! nową zbudujmy łódź!

W. Wysocki.

SOSNA.

Rodzinnych lasów moich ozdobo,
O! sosno! palmo północy!
Czemu ty szumisz taką żałobą,
Szumisz i we dnie i w nocy?
Postać korynckiej wzięłaś kolumny
I czołem wsparłaś niebiosy...
Hymny ci nuci chór ptasząt tłumny
A wiatry czeszą twe włosy.
Nad głową twoją wspaniałe nieba
Cudnym zawisły namiotem!
U nóg twych legła piaszczysta gleba,
Jak dywan przetkany złotem!
A ty wciąż nutą szemrzesz żałośną,
W której się skarga zawiera:
Że cię niedługo, rodzinna sosno,
Niemiecka zetnie siekiera...
Lubię ja słuchać twych szumów jęki,
Choć smutek w duszę mą tłoczą,
Lubię na kształtów twych patrzeć wdzięki,
Chociaż łzy oczy me mroczą...
W zachwyt mię wprawia twoja uroda,
W zadumę—szumy twe głuche,
I nieraz myślę; jaka to szkoda,
Że twe gałązki tak kruche!
I że tak jakoś wysoko rosną...
O, gdyby rosły inaczej—
Możnaby na nich, ojczysta sosno,
Zawiesić twoich siepaczy!...

W. Wysocki.



CZYŚCIE SŁYSZAŁY OBLUBIEŃCA MEGO?...

Czyście słyszały oblubieńca mego?
Kiedy on westchnie, płacze skała głucha...
Kiedy przemówi, narody się zbiegą;
Kiedy zaśpiewa, Bóg z rozkoszą słucha.

Czy znacie imię oblubieńca mego?
To święte imię, wśród istot łańcucha
Wiąże człowieka do pierwszego ducha;
W księdze tajemnic, to imię Omegą.

To imię żaglem, w który czyny stroim,
By się unosić nad przyszłości morzem.
To imię pierwsze po imieniu bożem!

Podziw wasz rośnie... już w zachwyt go zmienię...
Słuchajcie, siostry: oblubieńcem moim
Jest duch niebieski, duch duchów: Natchnienie.

Deotyma (J. Łuszczewska).

HEJ! ROZISKRZONE WY SNY...

Hej! roziskrzone wy sny moje młode!
Górne marzenia rozwichrzonej piersi,
Skąpane w jaśni słonecznej pogodę,
Hej myśli moje! druhowie najszczersi!

Pragnienia lotu, aż za chmur krawędzie,
Którego słońce, gwiazdy się przerażą
I, osłupiałe w swym zawrotnym pędzie,
Zawisną w miejscu, z bladą, zgasłą twarzą—

Hej! dziś już niema was przy mnie, ni we mnie,
I tylko szarość wlecze się w mej duszy,
I tylko pustka tłoczy mię tajemnie...

I ginie przeszłość w tej niemej pomroce,
Jak mgłą zdławione echa leśnej głuszy
W jesienne, deszczem rozełkane noce...

S. Gawiński.

TERMINUS.

Dzień i noc, w wichrach, mgłach i gołoledzi,
Wśród was na miedzy ja stoję —
Byście w pamięci mieli dwaj sąsiedzi:
Że tu jest jego, tam twoje.

I mam dwie twarze, bym w dwie strony snadnie
Naglądać mógł w jednym czasie,
Bo tak chcę: — każdy niech u siebie władnie,
A od cudzego mu zasię.

I wiedzcie przeto wszyscy sercem prości:
Że, gardząc gwiazd życiem błogiem,
Wolałem, jako ludzkiej stróż własności,
Tu skamieniałym być Bogiem.—

Tak (mniej oględnie Olimp swój rzuciwszy)
Mową z granitu ciosaną
Wszem w obec prawił z Bogów najuczciwszy—
Terminus było mu miano.

Wtem przyszli tacy, którzy jak najszczerzej
Nie w Boga lecz w siebie wierzą,
I rzekli:—Wszystko wszystkim się należy—
Przeto jest własność kradzieżą.

Więc i ty precz stąd! boś zawalidroga
Praw, których wygląd się zmienia,
Ani też dłuzej chciej udawać Boga—
Gdyś tylko bałwan z kamienia.—

To skoro rzekli, stróż ów granitowy,
Gdy mu obuchem w kark dano,
Padł i u nóg swych ujrzał mózg swej głowy—
Terminus było mu miano.

Ach, moi drodzy! z ciężką ja tęsknotą
Wiecznie żałować go będę!
Ni zasług nie brał, ani wiedział, co to
Zadatek wziąć lub kolędę.

Ani się w święto, ani przy niedzieli
Nie upił niespodziewanie.

Aniście z dziećmi żywić go musieli,
Ani mu dawać mieszkanie.

Choć znów—bywało—tenże coraz śmielej
W nieswoje sprawy nos wtyka:
W biura bankierskie, w dwór obywateli,
W sklep kupca i rzemieślnika.

Mówiono w obec tej ciosowej bryły,
Kornymi czcząc ją pokłony:
Zrobię co, przyjdę—jak mi Bóg ten miły—
Lub oddam w dzień oznaczony.

Niejeden dotąd z żalem to wspomina—
Lecz ja tych uczuć nie dzielę.
Słusznie dziś nikt z nas nie dba o Termina—
Czyż my bałwanów czciciele?—

F. Faleński.

CIERPIENIE—TO BURZA...

Cierpienie to burza, co ku ziemi
Nachyla czoła dumne;
Kędy skrzydłami powieje czarnemi,
Łez i krwi biorąc połów,
Tam jednych kładzie w trumnę,
Innych przemienia w aniołów.
Pod burzy tej oddechem,
Mrze kwiatów bezsilna gromada.
I drzewo każde upada,
Słabości dotknięte grzechem.
Ale huragan naprożno w gniewie
O hołdy olbrzymów woła—
Nie ugną przed nim czoła
Ludzie-dęby i ludzie-modrzewie!

Cierpienie to płomień, co oczyszcza,
Gdzie przejdzie falą olbrzymią
Tam sterczą, ponure zgliszcza
I stosy ofiarne dymią,
Żar jego w popiół kruszy
Każdą namiętność szaloną
I każdy chwast, co w duszy
Brzydką zakwita koroną.
Lecz chociaż ogniście płoną
Niszczące jego żary.
Nie spalą tego, co wśród zgliszczy
Niepokalanie wciąż błyszczy
Złoto genijuszu i złoto wiary!

W. Gomulicki.

LUBIĘ TEN SZAŁ.

Lubię ten szał, co zmysły rwie,
Co dusze rwie
Rzuca w objęcia;
Co w skrach wybucha—
Lubię ten szał wniebowzięcia.

Lubię ten lot za światów kres,
Niepamięć łez
I przyszłych kaźni;
Ten czar złudzenia,
Co życie zmienia
W wyśniony kraj wyobraźni.

I lubię tych, co iść na zgon
Bez drżenia łon,
Bez łez są zdolni;
Co na świat z hardą
Patrzą pogardą—
Co giną dumni i wolni.

E. Leszczyński.

RZEKA.

Poniewierani, maluczcy, mizerni
I wiecznie zgięci pod brzemieniem trudu—
Oto siermiężna twa dziatwa, mój ludu,
Ludu, co nosisz miano „podłej czerni“
Miano „pospólstwa, chłopstwa lub motłochu“
I który ledwie śmie czołgać się w prochu.
Jesteś z milionów złożoną gromadą,
Którą los jednym okrywa łachmanem;
Tyś nieświadomym mocy swej tytanem,
Na którym wszyscy ciężary swe kładą
I każdy, kładąc, sądzi w dobrej wierze,
Że mu masz służyć jako juczne zwierzę.
Każdy narzuca tobie swoją pieczę
I w barwy swoje i godła obleka
I chce kierować tobą—lecz jak rzeka,
Która odwiecznem korytem swem ciecze
Chociaż jej stawią tamy w poprzek łoża,
Ona wciąż płynie do swojego morza.
Płynie spokojnie... Lecz czasem głębiny
Jej się zawichrzą i toń się zamąca,
Wtedy wychodzi z brzegów groźna, grzmiąca,
Rwie prądem groble, zrzuca z karku młyny,
A porząc nurtem ziemię grozą zdjętą,
Wyżłabia na niej straszliwe „memento“...
Rzeko ludowa! znamy cię z oblicza,
Znamy powierzchnię twoją szarą gładką,
Ale twe głębie są dotąd zagadką
I niezbadana twa toń tajemnicza:
Któż zna twe prądy i moc, co w nich skryta,
I jakie skarby masz na dnie koryta?
Bóg wielkie skarby złożył tam, zaiste,
Bo nieraz z głębin przypadkowa fala
Wyniosła perłę na brzeg, lecz my zdala
Mijali twoje wybrzeże błotniste,
Nie chcąc dotykać tej perły rękami
W obawie, że nam rękawiczki splami...
Ludu mój! moja rodzinna ty rzeko!
Błogosławione przeczyste twe fale!
W posusze naszej, w utrapień upale

Płyń nam, rozlewaj szeroko, daleko;
Gdzie życie słabnie, ogarnia martwota,
Tam woda twoja—to woda żywota.
Rzeko ludowa zawszeż nasze błonie
Będą twojemi wodami żywione,
Czy też skierujesz bieg twój w inną stronę,
Gdzie ciebie morze niemieckie pochłonie,
A twoje źródła wsiąkną w suche piaski,
Próżno czekając mojżeszowej laski?!..

W. Wysocki.



I CO MI Z TEGO?...

I co mi z tego, żem w dni mych godzinie
kosztował słodycz, i przeżuł ból gorzki—
że moja młodość bystrą rzeką-płynie,
żem miewał różne świątnice i bożki.
Co mi, żem życia łakomy—rad chłonął
trujące leki i zbawcze trucizny—
żem chciał by popiół mi Zniczem rozpłonął,
żem jątrzyć lubił gojące się blizny.
I co mi z tego, że zawsze mię nęcił
brzeg w dali siny, szczyt skalny zawrotny—
żem na swych skrzydłach tryumfy swe święcił
jako ów Ikar, co zginął samotny.
I co mi z tego, że kruszę swe serce
na drobne bóle i krótkie natchnienia—
i że się miotam w bezmyślnej rozterce,
i że mię trawi ból wieczny istnienia.
Kiedy ja nigdy, ach nigdy nie byłem
miłości wielkiej i ognistej winny—
bo na rozstajnych gdzieś drogach zgubiłem
talizman serca—mój klejnot rodzinny!

M. Kudelka.



T. Miciński.

BOJAN.

Patrz, mój synu—kry płyną wśród bezbrzeżnej rzeki—
nad nią drzewa z gałęzi obcięte—kaleki.
Patrz, mój synu—nie wody szumią, lecz pacierze—
nie kry płyną—lecz z sztandarów obdarci rycerze.
Nie kamienie—ale maski tam grabarzy—
nie jodłowych lasów drżenie—
lecz śpiew budzonych pod ziemią cmentarzy.
Nie sierpy dzwonią—ale noże—
nie mgły czernią—ale się wali na nas czarne morze.

Nie myśl, że Bóg nas rzucił wśród powodzi,
jako szczenięta. Przy Tobie dwa duchy dziewicze—
jedna Cię umarłego położy na znicze,
a druga Cię, jak matka na nowo odrodzi.

Jest Bóg maluczkich i tryumfatorów—
Bóg tajemnic nad niebem Twej duszy
i Bóg trzeci—okropny—Bóg pozorów
i On hufcem najedzie i pod kopytami skruszy.

Ja stary umrę—a umarli rządzą
w ogrojcach życia, jako pasieczniki—

ptaki nie mają dróg—lecz nie błądzą—
dusza ma własne gwiazdy i tajniki—
a teraz idź, witeziu.

T. Miciński.

LUCIFER.

Jam ciemny jest wśród wichrów płomień boży,
lecący z jękiem w dal—jak głuchy dzwon północny
ja w mrokach gór zapalam czerwień zorzy
iskrą mych bolów, gwiazdą mej bezmocy.

Ja komet król—a duch się we mnie wichrzy
jak pył pustyni w zwiewną piramidę—
ja piorun burz—a od grobowca cichszy
mogił swych kryję trupiość i ohydę.

Ja otchłań tęcz—a płakałbym nad sobą,
jak zimny wiatr na zwiędłych stawu trzcinach.
Jam blask wulkanów—a w błotnych nizinach
idę, jak pogrzeb, z nudą i żałobą.

Na harfach morze gra—kłębi się rajów pożoga—
i słońce—mój wróg słońce! Wschodzi, wielbiąc Boga.

T. Miciński.



ROZSTANIE.

Odejdź ode mnie—nie kocham ciebie!..
...(tak się dziś smutnie kołyszą wrzosy
i taki blady księżyc na niebi)..
Odejdź ode mnie—nie kocham ciebie!..
(tak dziwnie głuche dziś nasze głosy)...
Odejdź ode mnie—nie kocham ciebie...
...(zmalały dzisiaj dwa nasze duchy,
i kąkol rośnie na naszej glebie)...
Odejdź ode mnie—nie kocham ciebie...
...(dziś już miłości dajesz okruchy)..
Odejdź ode mnie—nie kocham ciebie...
...(przed nami stoi szczęścia mogiła,
w której swą miłość każde z nas grzebie)...
Odejdź ode mnie—nie kocham ciebie...
...(w duszy się miota słaba bezsiła)...
Odejdź ode mnie—nie kocham ciebie...
...(tęsknota siadła na progu chaty—
gwiazdy nie błyszczą dzisiaj na niebie)...
Odejdź ode mnie—nie kocham ciebie!...
...(czarny się zbliża Anioł Zatraty)...

Z. Stankiewicz.

NUREK.

Ból, niby nurek, pogrąża się w ciemnie
Tajników duszy, dłonią bezlitośną
Szuka tam skarbów i nieraz daremnie:
Zdobywa ledwie skargi muszlę głośną.

Lecz znów się rzuca w najgłębsze odmęty
I póty szarpie dno duszy wytrwale,
Aż gdy go na wierzch łez wyniosą fale,
Ma w krwawych dłoniach perły i dyamenty.

G. Daniłowski.

Z „DIES IRAE“.

I.

Czas stanął. Śmierć skończyła już dzieło zniszczenia
i otarłszy krew skrzepłą z swej paszczęki wilczej,
nad zgliszczami i gruzem usiadła i milczy—
po raz pierwszy bezczynna od świata stworzenia.

Chmury czarne, nad ziemią zawieszone nizko,
wpół-zgasłego już słońca blask miedziano-rdzawy
oczerwienia brzegami. Wokół trupów ławy,
pustać straszna, bezdrzewna i krwawe bagnisko.

Morza—sine, potworne, uśpione olbrzymy—
odbijają w swej głębi w krew ubrane chmury
i ostatnich zgliszcz wolno pełzające dymy.

Śmierć zwycięzka, zdziwiona, że już nic nie żyje,
przestraszona swem dziełem—schowała pazury
wzniosła w niebo paszczękę i jak szakal wyje.

J. Żuławski.



PRZED SĄDEM.

Drobny, wychudły, z oczyma jasnemi,
W których łzy wielkie i srebrne wzbierały
I gasły w rzęsach spuszczonych ku ziemi,
Blady, jak nędza, a tak jeszcze mały,
Że mógł rozpłakać się i wołać: „Matko!“
Gdyby miał matkę; i mógł stroić psoty,
I pocałunków żądać i pieszczoty.
I spać na piersiach ojca; a tak drżący,
Jak ptak wyjęty z gniazda, i już mrący,
Wiejski sierota stał w sądzie przed kratką.

Przy winowajcy nie było nikogo...
I któżby bronił dziecięcia nędzarzy?
Chyba te wielkie dwie łzy, co po twarzy
Leciały jakąś pełną iskier drogą;
Chyba dzieciństwo, nędz pełne sieroty.
I chyba tylko promyczek ten złoty,
Co mu przez okno upadał na głowę,
Jakby Bóg gładził włosy jego płowe.

Wszedł sędzia, spojrzał i rzekł: „Gdzie rodzice?"
„Nieznani"—odrzekł pan pisarz z powagą.
Chłopiec wzniósł zgasłe, błękitne źrenice
I ściągnął świtkę na pierś swoją nagą,
Jak gdyby nagle, od jednego słowa,
Zjęło go zimno i pustka grobowa...
Sędzia zadumał się, pochylił czoła
I spytał znowu: „Czy w wiosce jest szkoła?"
— „Nie".—Pisarz zwykle chmurny był w urzędzie,
Przytem pytanie było jakoś dziwne...
Wahał się chwilę, czy właściwem będzie
Odpowiedź chłopca pisać w protokóle.
Więc wyprostował palce swoje sztywne
I bębnił zlekka po szarej bibule.

A sędzia patrzył na drżącą dziecinę,
Na ręce nagie, wychudłe i sine,
Na pierś zapadłą i nędzne łachmany,
Na blask tych oczu zmącony i szklany,
Gdzie przecież mogły odbić się niebiosy;
Na drobną główkę, gdzie myśl, głucho śpiąca,
Nie znała światła innego, prócz słońca,
I innych wrażeń ożywczych, prócz rosy.

I dziwnym cieniem zaszło mu oblicze,
I w piersi uczuł drżenie tajemnicze,
Jakby ta sala pusta była tronem,
Na którym przyszłość z czołem zachmurzonem
Zasiada, pełna klęsk i spustoszenia...
I jakiemś grzmiącem i ogromnem słowem
Oblicza plony na polu jałowem,
Przed sąd wzywając całe pokolenia...
I widział, jak szły gęste, ciemne tłumy

I tamowały ruch globu w błękicie...
I spostrzegł, pełny trwogi i zadumy,
Że były chmurą ogromną o świcie,
Przez którą przebić nie mogło się słońce,
I zmierzch nad ziemią trwał przez lat tysiące...
Widział, że tłum ten—to siła, stracona,
Dla wielkich celów i dążeń ludzkości.
I czytał w groźnem spojrzeniu przyszłości,
Że chce rachunku z miliona...
I ujrzał nagle, że wydziedziczeni
Za społeczeństwa swego cierpią winy;
I przerażony—posłyszał w przestrzeni
Sądy nad sprawą chłopczyny...
Niechże was Chrystus—głos mówił—rozsądzi,
Kto więcej winien: czy ten nieświadomy,
Co drogi nie zna i w ciemnościach błądzi?
Czy wy, co grube spisujecie tomy
Karnej ustawy, a nie dbacie o to,
By uczyć dziecię, które jest sierotą...
Niechże was Chrystus sądzi!
Lecz krzyż czarny
Stał nieruchomy i cichy na stole,
Jako milczące wobec łez ołtarze...
A sędzia powstał, i szedł gdzie pacholę
Blade czekało na wyrok surowy,
I dotknął ręką jego płowej głowy,
I rzekł: „Pójdź, dziecię! ja cię uczyć każę!“

M. Konopnicka.





K. Makuszyński.

EWA U JABŁONI.

Wąż prawi:

Oto jestem przemożny i władnący Bogu:
Ja patrzyłem w twarz bożą... Spojrzyj! oto jestem,
Wypełznąłem z pod krzewu ciernistego głogu
Między kwiecie jabłonne, które drży z szelestem.

Z rozkoszy drży, iż czuje rozkosz mego splotu.
Urodzony w tworzenia żądzy rodzicielskiej,
Jam jest żądny! Płomienny jestem i anielski,
Chociaże anielskiego przepomniałem lotu.

Myśl twoja jest anielska i śni moje sploty...
Myśl twoja pełznie śladem mym w jabłonne kwiecie...
Jam jest górny, jam widział słoneczne zawroty...

Spójrz!.. na drodze mam kwiaty... pierś je moja gniecie,
Bym wpełzł na piersi twoje, piersi-gołębice...
Spójrz na mnie: Jam samemu Bogu spojrzał w lice.

II.

Jeśli spojrzysz niewiasto, ujrzysz jak się prężę
I jako tęcza wstaje w splotów moich zgięciu

Czy nie wiesz, iżem słońcu równy był w poczęciu,
Iżem w pył z gwiazd złocisty ubrał ciało węże?!

Kiedym pełzał wśród kwiatów, kradłem, złodziej boży
Wszystkie ognie, którymi płoną rajskie zioła,
Z śladów bożych jasności zbierałem u czoła,
Bym był jasny jak ongi, gdym był na obroży.

Jam jest, którym skrzydłami gasił gwiazdy złote,
Kiedy zdały się jaśniej lśnić niż skrzydła moje.
Jam jest, którym początek widział w łun pożodze.

Jam jest, którym w piór szumie wiódł anielskie roje,
Burzyć w pysze niezmiernej bożych rąk robotę.
Jam jest,—i oto pełzać chcę przy twojej nodze.

III.

Zali nie wzniesiesz oczu?!.. Ściągnij swoje dłonie...
Tknij się mnie...—jam jest rozkosz płomienna, wieczysta!
Tknij się mnie... zadrżysz jeno, lecz ostaniesz czysta,
Zbądź trwogi! jam jest rozkosz... zbliż się pod jabłonie.

O, rozkosz! pochwalona rozkosz!.. Ściągnij ręce!
Dyamenty mych oczu kryją krwi szkarłaty...
Dyamenty mych oczu skradłem z bożej szaty,
Przetom boży... Pójdź ku mnie! poznasz rozkosz w męce.

Rozmiłowana w tobie stopy lizeć lwica!
Pójdź ku drzewu, niewiasto: Oto w rajskiej ziemi
Ty jesteś najpiękniejsza słońc oblubienica;

Tyś jest kość Adamowa,—on jest obraz boży...
Zechcesz,—będziesz przewodzić hufy anielskiemi...
Pójdź ku drzewu i legnij na kwietnej podłoży!..

IV.

Zbliż się... nie tknę puharu pełnego po brzegi!
Niewiasto!—przyjaźń tobie, przyjaźń tobie ze mną.
Zbliż się... ja tobie powiem wielką rzecz tajemną,
Zbliż się iżby nas boże nie słyszały szpiegi.

U nóg bożych pełzając w czas tworzenia burzy,
Chwytałem myślą myśli bożej błyskawice.
Zbliż się... ja ci otworzę jego tajemnice,
Kwiecie kryje... nie dojrzy żaden z jego stróży.

Bóg moc swoją tajemną skrył w tworzenia ziarnie,
I w łonie twojem ukrył tworzenia rozkosze,
Na straży skarbów onych postawił męczarnie.

Żywot nosisz w swem łonie, jak ja żądzę noszę...
Rozgorzej!... będziesz Bogu równa... ściągnij ramię...
Idź... rzeknij Adamowi... Adamie!... Adamie!..

K. Makuszyński.

PIJAŃSTWO.

Od słońca spieki zmarły wszystkie me winnice,
A z cmentarza nie spłynie strugą wino złote.
Rozpędziłem satyry wszystkie i dziewice,
Których miłość jest z wina, w dom sprosiłem cnotę.

I z rozpaczy już wszystkie wypiłem—rozpacze,
Wszystką gorycz, żółć wszystką i jad złości lichy,
A gdy trunku mi braknie, to z wściekłości płaczę,
I zbieram jak w łzawnicę—łzy w rżnięte kielichy.

A gdy już zacznie płynąć krew z mych oczu zdroja,
I gdy wszystkie straszliwe już wypiję trunki,
Śmierć błyśnie z dna kielicha, bowiem, piękna moja!
Będę pił jad najgorszy: z ust twych pocałunki.

K. Makuszyński.

W NOC GWIAZD.

W noc gwiazd dumałem sam... W noc gwiazd—w tej
chwili
Nie było pieśni w ustach mych. Lecz niby—
Jako gdy marząc, ponad płynne szyby
Wód zwierciadlanych duch sie twój pochyli,—
Nie wiesz już wreszcie, czy to cień twój, czyli
Ty sam w zwierciedle,—samotny, dumałem...
Wieczorne zorze wzeszły, ponad stawem
Lisć osiczyny szeptał drżeniem łzawem,
I cienie wszystkich, których w życiu całem
Kochałem kiedy,
W mgle sennej grały wkoło mnie...
Wszystko—co moje!... Och! gdy dziś to wspomnię,
Jeszcze mnie szczęście wskroś łez mojej biedy.
Ci co już zmarli—w mgle jak w zmierzchłej bieli
Łzawe wspomnienie—tych, co zapomnieli,
Innych—myśl o mnie, lub modlitwa tkliwa—
Cichy szept wiał mi do duszy...
Och!—pomyślałem sobie:—Pan mię wzywa!
Wkrótce, by wzlecić, duch mój więzy skruszy,
(O bądź nademną zmiłowanie Boże!)
Wkrótce tę głowę w grobie ojców złożę,
Nie żal mi będzie z świata w wieczność ciemną,
Gdy wszyscy moi wraz ze mną.
Chwała bądź Panu!..
Dumałem samotnie...
Gwiazda wieczoru zaszła,—ponad stawem
Liść osiczyny szeptał drżeniem łzawem...
To zcichnie głucho, to znowu szeleśnie.
Z gwiazd ta lub owa, zmierzchnie lub migotnie—
I tę tkań światła, co błyska lub blednie,
Smug błędnych kłębów lekką mgłą przesłoni.
A w mgle tej sinej, pół zewnątrz, pół na dnie,
Cienie mych drogich, wkoło mnie dłoń w dłoni,
Unosiły się gromadnie,
Niby pół jawa—pół we śnie.—
Potem, jak motyl, zbywszy barw ułudy,
Obwiany wichrem, obmiotany burzą
Przeżyłem dużo, przetęskniłem dużo,

I znów dumałem samotny wprzógy.
Gwiazda wieczoru wzeszła,—ponad stawem
Liść osiczyny szeptał drżeniem łzawem...
W noc gwiazd to było znów. W noc gwiazd—w tej chwili
Nie było pieśni w ustach mych. Lecz niby
Jako, gdy marząc, ponad błędne szyby
Wód zwierciadlanych, duch się twój pochyli—
Że sam już nie wiesz, czy to ty, czy nie ty...
Wszystko jak wtedy... Tylko że—że ze mną
Nie było więcej nikogo.
O święte cienie! gdzieście wy?... Niestety!
Daremno wołać! daremno!
Gdzież wieczór ziemski, coby zdołał znowu
Złączyć tych wszystkich, co zmarli w głąb duszy?

Kamień grobowy, gdy go śnieg przypruszy,
Miną go obcy, swoi znajść nie mogą,
Ni łzom on rzewnym, ni modlitwy słowu.
Łąk pajęczynę—sukienkę cieniuchną—
Deszcz błotem skala, wichry w cierń rozdmuchną,
Cierń w szmaty podrze, w źdźbła potnie
Och! a jaż biedny?... syn słońca i tęczy,
Głaz grobu zwierzchu, w środku duch pajęczy!
Bądź wola Pańska!...—
Dumałem samotnie,
Gwiazda wieczoru zaszła,—ponad stawem
Liść osiczyny szeptał drżeniem łzawem...
A ja dumałem grobem i żałobą
I byłem tylko sam z sobą.

F. Faleński.



Z TEMATÓW LUDOWYCH.

Próżno ty się miotasz w polu
Wichuro,
Próżno ludzi straszysz pieśnią
Ponurą
Przyjdzie wiosna, wonne kwiaty
Rozsieje,
Porozprasza wszystkie smutne
Zawieje.

Przyjdzie wiosna, uśmiechnięta
Królewna,
Jak sen piękna, niby anioł
Powiewna,
Spojrzy na świat błękitnemi
Oczyma
I wnet pierzchnie czarownica,
Zła zima...

Przyleciały już bociany
Wróżbity.
Zajaśniały rozchmurzone
Błękity,
Płyną polem jakieś wonie
Wiośniane,
Wstają ze snu ludzkie serca
Stroskane...

Więc napróżno ty się miotasz
Wichuro,
Próżno ludzi straszysz pieśnią
Ponurą,
Nie zatrwoży ich twój lament
Żałosny,
Oni czują, ze już bliski
Dzień wiosny...

Or-Ot (A. Oppman).



D—Mol. (M. Wolska).

ŚNIŁO MI SIĘ...

Śmiło mi się, co nigdy wyśnić się nie może,
Przyszło do mnie snu cieniem, co prawdą nie było:
Szczęście mi się wiosenne pod jesień przyśniło,
Jak ostatni, słoneczny promień na ugorze!

Śniło mi się, że młodzi jesteśmy oboje,
Że Maj stoi nad nami w białych drzew rozkwicie,
Że wciąż jeszcze cię kocham na śmierć i na życie—
Śniły mi się na ustach chłodne usta twoje...

Kwiat opadał z czeremszyn, śliw, jabłoni, wiśni,
Padał cicho—i śnieżnym osnuwał nas puchem,
Śniło mi się, żeś znowu czystym, wolnym duchem,
Śniło mi się, co nigdy w życiu się nie wyśni...

Jak ów mrący, ostatni promień na ugorze,
Zgasło wszystko... Naokół dzienna jasność biała.
Śmierć mnie przez sen chłodnemi usty całowała...
Śniło mi się, co nigdy wyśnić się nie może..

D-Mol (M. Wolska.)

SZATAN.

I.

Długo ze sobą walczył on daremnie,
by wprządz się między uskrzydlone karły,
które się wszelkich pożądań wyparły,
z trwogą w chaosu spoglądając ciemnie.

Lecz bunt wrzał w piersi na poły umarłej!..
—Stwórco!—wybuchnął—ja od Ciebie nie mniej
praw mam do światła! Niewolnicze ze mnie
spadły okowy; wątpienia je zżarły!

Odtąd ciemności jest wszechwładnym panem.
Tron swój zbudował na kolumnach mgławic,
i na sztandarze wypisał: nienawidź!
A, gdy usłyszy w echu roztarganem,
rajskie „hosanna"! jego piękna twarz ma
wyraz radości, iż się pozbył jarzma!

II.

Wsparłszy na chmurach swe potężne dłonie,
skrzydły gęstemi ścmiwszy twarz księżyca,
Spojrzeniem, w którem blask wzgardy prześwieca,
szatan glob objął. Ziemia w mroku tonie.

—Śpi—zachychotał—stara zalotnica,
ufna, że w światów gwiaździstym miljonie
jej grób nicości nigdy nie pochłonie,
bo czuwa nad nią wszechmocna źrenica!

Wiatruj! Pędź w przestrzeń! Tysiąc świtów spłonie,
miljard promieni ozłoci twe lica—
przyjdzie dzień jednak: uderzy w twe skronie
moja potężna niszcząca prawica
i padniesz w nicość, jak zimna mgławica!...
Przyjdzie ta chwila!... chciej pamiętać o niej!

T. Pudłowski.



WERNYHORA.

Stanął na cichym przeszłości, kurhanie,
A wkoło krwawe rozlały się łuny,
A wkoło drżały jęki, stepów łkanie!

Nad Polską zwisły klęsk straszne pioruny,
Więc w dal spoglądał, azali nie błyska
Świt, co śmiertelne rozerwie całuny!

Stanął olbrzymi nad pobojowiska!
Wieszcze, natchnione podniósł w górę lica.
I w przyszłość mroczną, śmiałą myślą ciska!...

Patrzy!... tam świeci w mrokach błyskawica!
Słońce powstaje! drżą śmierci całuny!
Jawi się przed nim Jutra Tajemnica!...

Z. Ułaszynówna.

SIELANKA.

Już słońce na zachód pochyla swą skroń
I czołem się nurza w mgieł fali.
Malutka, milutka, ty podaj mi dłoń,
My teraz będziemy ślub brali!

Las-kościół organem zaszumiał przez liść,
Tłum cieniów gromadzi się w dali,
Noc babka kościelna za chwilę ma przyjść
I gwiazdy na niebie zapali.

Wiatr lasu zakrystyan omiata z drzew pył
I ołtarz ubiera we wieńce,
Już księżyc ksiądz proboszcz, staruszek bez sił,
Podąża, by związać nam ręce,

Spogląda na niebo, gdzie biały drży ptak,
I komże obłoku przywdziewa,
Skowronek-ministrant do ślubu dał znak,
Chorałem ozwały się drzewa.

„Ty kochasz?“ wietrzany zapytał się głos,
Wnet echa sąsiadki dokoła
Chwytają odpowiedź... Ha szczęsny padł los,
Z uznaniem się chylą drzew czoła.

A kwiaty wonieją, a hymnem brzmi las.
Pójdź luba, na święto miłości!
Orkiestra słowików swem pieniem czci nas,
A w koło się zbiera tłum gości.

Na czele orszaku dąb praszczur, śród chmur
Drżą gwiazdy, a księżyc dobrodziej
Za zdrowie by wypił, zagląda więc w bór,
Uśmiecha sie, zerka, podchodzi.

Mgły wiotkie rusałki śród pląsów mkną w dal,
Przygrywa muzyka dąbrowy,
Pan młody z swą panią opuscić chce bal,
Do ślubnej podążyć alkowy...

Malutka, milutka, ty rękę mi daj,
Wspaniałeż to było wesele!
Pałacem zieleni otacza nas maj
I ciepłe nam łoże z mchu ściele.

W namiętnych uściskach prześnimy nasz sen,
Nim ranek swym chłodem go spłoszy,
Nim cudna sielanka zamieni się w tren,
A w gorycz kropelka rozkoszy.

Nim życie nas zbudzi do łez
I ciernie przymiesza do kwiatów,
Nim sami powiemy przebiegłszy znów kres,
Że była z nas para warjatów!

A. Niemojewski.



NA KRÓLEWSKIEM JEZIORZE.

Po Królewskiem jeziorze samotny płynąłem.
Łódka, pędzona wiosłem, chyżo naprzód biegła,
Wokół lasów i urwisk pustynia rozległa,
Podemną bezdeń wody, granity nad czołem.

Czarna bezdenna woda wiatrem kołysana,
Dziko szemrze i jęczy. Skalne krzesanice
Wpadają w nią i toną, rwąc w odmęt źrenice,
Które odtrąca twarda, prostopadła ściana.

Dziwna, ponura czarność tej ogromnej wody,
A ponademną, w bezmiar wyniesiona szczytem,
Góra śniegu, pochmurnym owiana błękitem.
Pochylona, olbrzymia—Bogu z nieba schody.

W wązkim skalnym zakręcie łódź wstrzymuję:
głusza...
Taka cisza, jak gdyby nie było istnienia...
Las, góry, woda, śniegi i bezbrzeż milczenia...
Czy to jezioro? Czy to moja własna dusza?

Jestemż? Czylim w otchłanie wpłynął własnej
duszy?!
Jakie góry olbrzymie... Jaki las samotny...
Jaka gra chmur i słońca w wyżynie zawrotnej...
A wszystko w jakiejż wielkiej pogrążone głuszy..

Dusza ludzka zjawiona w całej pełni swojej!
Nieznana mi, tajemna— —patrzę się w podziwie...
Jaka ogromna! Jaka bezdenna straszliwie!
Jak w głąb się zlewa... W niebie jak wysoko stoi!

Jestże to dusza moja? ludzka? w ludzkiem ciele?
Tyle załomów, kotlin, szczytów? przestrzeń taka?!
Jestże to dusza ludzka, z tą duszą jednaka,
Która się mieści w domu, w rynku i kościele?!

O nie! Oto zjawisko cudowne, olbrzymie!
Potworne swą wielkością, straszliwe swą siłą!
Tysiąc wieków ją z warstew tysiąca tworzyło
To dusza ludzka? ludzka? Te turnie w chmur
dymie?

Ha! Ozwijże się głosem godnym swojej mocy
Duszo ludzka, ty dumna, ty wielka, ty górna!
Otwarta... słońcu; cicha... jak popiołów urna;
Wielka... jak świat; tajemna... jak las o północy.

Stoję przed tobą, jako przed olbrzymim tumem,
W który lękam się wstąpić— —zginę tam, przepadnę...
Mózg mój wstecz się potoczył, zmysły me bezwładne...
Milcz na Boga! Zabiłabyś słów swoich szumem!

Jeden On z tobą może mówić, słuchać ciebie,
O duszo ludzka w prawdzie i w jawie widziana...
Za wielkaś! Otchłań w tobie, otchłań nieprzejrzana,
Mieszcząca wszystko, co jest na ziemi i w niebie.

K. Przerwa-Tetmajer.

SKARBY.

Jak skąpiec, który mienie swoje chowa
I bóstwu swemu składa na objaty,
To dusza. Skarb ma dziwny i bogaty:
Niewymówione nigdy, święte słowa.

I jest skarbnica złotopurpurowa,
Jedwabiem kryta, wśród ciemnej komnaty,
Jak muszle, szumią tam, pachną, jak kwiaty
Niewymówione nigdy, święte słowa...

A gdy nadchodzi Święto duszy: oto
Perły, rubiny płoną, jak pożoga—
I te, co były, jak myśl piorunowa,

I te, co były pełne snu i Boga,
I te, co były męką i tęsknotą—
Skarby nadludzkie—zamilczane słowa!

W. Sterling.



W. Bukowiński (Selim).

PRZYCHODZI CZASEM TAKI DZIEŃ...

Przychodzi czasem taki dzień,
        Przychodzi, bracia moi,
Że ten uparty smutku cień,
        Co przy mnie wiecznie stoi,
Olbrzymich skrzydeł swoich noc
        Nad głową mą rozpostrze
I łamiąc wszelką ducha moc,
        Zatapia w sercu ostrze.

I, ach! przychodzi taki czas,
        Przychodzi, siostry moje,
Że, jak łabędzie białe, wraz
        Pierzchają marzeń roje.
Zostaje straszny życia grób
        I nędz codziennych brzemię—
Bezdenna rozpacz do swych stóp
        Powala mnie na ziemię.

Ale zabłyśnie taki dzień,
        Zabłyśnie, bracia moi,

Że duch pod czarem świeżych tchnień
W nową się moc uzbroi,
Co dzisiaj we mnie pada już
I w pyle się szamota,
Ze skrzydeł swych otrząśnie kurz,
Gdy błyśnie jutrznia złota.

I, ach! nadejdzie taki czas,
Nadejdzie, siostry moje,
Że, jako burza, ścichną w nas
Te straszne ducha boje.
Co dziś wytwarza w sercach zgrzyt,
W harmonii przejdzie tchnienie,
Niech tylko znów perłowy świt
Ozłocą dnia promienie!..

W. Bukowiński. (Selim).



PSALM TĘSKNOTY.

O przyjdźcie wy wszystkie wonie i słodycze
z niebios czystych jak kryształ i ziemi
ujętej wiosną—
z pól ciepłem rozpromieniałych,
z ogrodów drżących czystemi godami
i z rozkwieconych jabłoni i grusz!
O przyjdźcie wszystkie i złączcie się w jeden
różany kwiat
pocałunku
ust świętych.

O zjaw mi się, zjaw się u szczytu
o Runowładna Pani,
Królewno z baśni śniona,
o zjaw się!—W ramiona

dziko w próżnię rozwarte
wsuń się, jak sen cichy, odwieczny,
który od początku był przy mnie,
aż wypełniła się chwila,
kiedy przed mocą mej duszy,
rozjadłej, szaloną tęsknotą,
znikły na zawsze
mgielne ułudy—
gdy silny, jarząco promienisty
wydobyłem Cię z powicia ćmy
Panią i Duszę,
Prawdę mą,
Światło
i Miłość!—

O zjaw mi się u szczytu Królewno,
w istnienie której nikt nie wierzy,
Królewno z bajek śniona:
przyjdź—w ramiona rozdarte żałośnie
wtul się—wiekuista słodyczy
i zostań przy mnie
na zawsze!

O niech mi się otworzą podwoje
Twoich pałaców—malowne, złote,
i niech mnie powitają oczy
pełne miłości
i cudu—Twoje...

I niech mnie cicho—radośnie
ramion Twych dwoje
tuli skrzydlato— — —
O szczęście moje—Królewno,
w istnienie której nikt nie wierzy!

Weź moją głowę zmęczoną
w niewinne, kwietne swe dłonie—
o weź moje serce zdręczone
w cudotworne—jaśniejące dłonie—
o weź mnie—Duszę utęsknioną
na lilijnem, nieskalanem łonie
złóż jak dziecię i jak pisklę chore,
i swych skrzydeł roztocz tęczę złotą.

a ust Twych rozchyliwszy róże
mów mi wielkie, święte tajemnice,
Runowładna, ukochana Pani
śniona z baśni, cudowna Królewno,
święte Tajnie, wobec których bledną
gwiazd promienie i słoneczne blaski.

Przez szeregi zaklętych swych komnat
do ostatniej prowadź mnie—świątyni,
kędy światło bije tajemnicze
kryształami wiekuistych słońc,
kędy kona świadomość i pamięć
wszystkich bólów, wszystkich nędz i łez—
gdzie z przed oczu naszych wszystko zniknie
i zostaniesz tylko Ty i ja—
jak strząśnięty z harfy jeden ton,
kędy dłonią pełną będziem pić
u wiecznego zródła świętych wód
i w jeden stopiemy się cud!

O zjaw się—o zjaw się u szczytu
Runowładna—ukochana Pani!

A. Gawiński.



DUCH MATKI.

(Z poem. „Tytan").

O matko moja! Jam pojął twe słowa,
Wybiegłem na świat jak orlę swobody,
Przedemną droga leżała cierniowa,
Burze, cierpienia i łzy i zawody,
Lecz jam z uśmiechem patrzał w przeszłość ciemną,
I dumne wichrom chciałem stawić czoło
I chociaż gromy wisiały nademną,
Z pieśnią na ustach biegłem w świat wesoło!

Chciałem przesądom wydać bój zacięty,
Wzniecić tam zapał—gdzie zwątpienie tkwiło,
Okowy ducha pokruszyć na szczęty
I podnieść ludzkość—ducha swego siłą....

Zapał był silny—silniejszem złudzenie,
Po krótkiej walce straciłem nadzieję,
Zgasły mej myśli palące promienie,
Zostały smutne zwątpienia koleje....
Lecz w tej bolesnej rozczarowań męce,
Kiedym z rozpaczą spoglądał do koła
I chciał już przekląć ułudy dziecięce...
Duch matki mojej zesłał mi anioła,
By wlał otuchę do myśli znękanej,
Miłość do życia na nowo rozniecił,
Zabliźnił duszy niezatarte rany
I jasną gwiazdą w drodze czynów świecił....

A. Kraushar.

Z CYKLU: „DLA RYMU“:

III.

A kiedy będziesz moją żoną,
Umiłowaną, poślubioną,
Wówczas się ogród nam otworzy,
Ogród świetlisty, pełen zorzy.

Rozwonią nam się kwietne sady,
Pachnąć nam będą winogrady,
I róże śliczne i powoje
Całować będą włosy twoje.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
Wśród złotych przymgleń i promieni,
Pójdziemy wolno alejami,
Pomiędzy drzewa cisi, sami.

Gałązki ku nam zwisać będą,
Narcyzy piąć się srebrną grzędą,
I padnie biały kwiat lipowy
Na rozkochane nasze głowy.

Ubiorę ciebię w błękit kwiatów,
Niezapominek i bławatów,
Ustroję ciebie w paproć młodą
I świat rozświetlę twą urodą.

Pójdziemy cisi, zamyśleni,
Wśród złotych przymgleń i promieni,
Pójdziemy w ogród pełen zorzy,
Kędy drzwi miłość nam otworzy.

K. Przerwa—Tetmajer.

Z „SYMFONII JESIENNEJ“:

Szara godzina.

Krótkiego dnia znużone, senne światło kona,
Krótkiego dnia, co z sobą nic nie przyniósł w dani,
Kroplą w zamierzchłej czasu gasnący otchłani,
Smutny jak rzecz bezcenna, swoja—a stracona...

Kończy się dzień dżdżu ciężkim umęczony płaczem,
Kończy się i w zmąconych odblaskach dogasa;
Na mokry błękit nieba wyszedł nów z za lasa...
Żal mi, choć nie wiem czemu, ani pomnę za czem.

Coś w piersi mej się skarży, jak pieśń niewygrana,
Coś, co słów się domaga dzień cały od rana,
Coś, co myśl moją przędzą osnuwa mozolną...

Nie wiem co to—lecz czuję że mnie gnie tęsknota,
Że się z tem dusza moja zmaga i szamota
I że mówić mi o tem niewolno—niewolno...

D-Mol (M. Wolska).



H. Zbierzchowski.

KAMIENNY BÓG.

W kamiennej, ciemnej grocie, z boleści skamieniały,
Przeżywam—bóg nieszczęsny—ostatnie dni żywota.
Poczęła mię myśl grecka i ludzkich dusz tęsknota,
Wyszedłem z dłoni mistrza świecący, nagi, biały.

A dziś mię więzi mokra, porosła mchami grota,
Żem jest od wody ślizki, spękany i zmurszały.
Przez pierś żelaznym drutem przybito mię do skały
U stóp mych gniją liście, w basenie pełnym błota.

Pamiętam raz—wiatr jęczał—wpatrzyłem się wybladły
W miesiąca krąg zielony, jak oko w mgłach rozwarte,
Gdy z hukiem—(o nieszczęście!) ramiona mi odpadły.

I odtąd konam wiecznie w powolnej, długiej męce,
O ciało me, wilgocią i pleśnią groty zżarte!
O ręce moje, biedne i zdruzgotane ręce!

H. Zbierzchowski.

Z POEMATU: OBŁĘD NIEBIESKI.

W głębokim okna wnęku
Stoi... księżycem odziany srebrzyście
W płaszcz, który cieniów zbruździły linijki,
Głowa po czoło w okryciu zawijki,
A na niej wieńcem laurowe liście.

I mówi mową, co nie przez kalectwo
Ucha—lecz w duszę bezpośrednio wlata:
„Przychodzę oto gość z tamtego świata,
Ażeby złożyć o prawdzie świadectwo.“

Błysnął źrenicą, jak żużel z brylanta,
A w orlej twarzy wyraz tak bolesny
I taki gorzki miał ten Bezcielesny,
Iżem poznała, że to był duch Danta.

We łzach do niego tak powiadam: „Duchu,
Czemuś do końca nie dowiódł uczynku,
I nie w dzień biały jawisz się na rynku,
Lecz samotnicy w miesięcznym rańtuchu?“

Rozkazująco podniósłszy oblicze,
Wstrzymał na ustach mych potok skrzydlaty
I rzekł, szkarłatne dwa mi dając kwiaty:
„Róże przynoszę ci z ogrodów *Bice*“.

Upadek blizki, gdy duch nad się wzrośnie
I szczęścia chwila, jak szkło w ogniu pęka—
Ledwie niebiański kwiat przyjęła ręka,
Duch mój się wstrząsnął, i było już po śnie!

* * *

Sen to, czy jawa?... ale na podłodze,
Po której koło świt zatoczył duże,
O dziw! dwie—widzę—szkarłatnicją róże,
Nie przywiędnięte na nocnej śreżodze—

A czym jest jawa?—a co jest sen?—wiem że?
W omdleniach mózgu może ten stan ducha,
Kiedy on przeczuć bezpośrednio słucha,
Któremi instynkt w jego łonie szemrze—

Instynkt—to może ten Absolut Świata,
Jest może eter—który wszystko łączy
Od gwiazd i duchów do roślinnych kłączy
W pierścień, po którym tok widzeń przelata?

Sen!?... a te róże z płomiennych ulistnień?....
Wiatr-że je przywiał z ziemskiego podhalu,
Czy z braterskiego Duch nademną żalu
Dał mi zadatek nieśmiertelnych istnień?!...

O któż mi powie?—Po włosowym moście,
Co nad otchłanią zawiesza nadzieję
Wiecznego „może"—duch mój się tak chwieje...
Możeć to byli Zagrobowi Goście?!...

M. Grossek.

TŁUM.

Spełnienia pragnień pożądamy wiecznie
W nieustającej za szczęściem pogoni:
Ono z oddali łudzi nas słonecznie,
Biegniem—i krwawy cierń zostaje w dłoni!

Stopy na śliskich kaleczą się zboczach,
Serce w czekaniu, jako dzwon uderza,
A wizya szczęścia stoi wciąż na oczach
I pierś krwawiącą—wiarą opancerza.

Czyliżby nigdy spełnić się nie miało
To, co jest życia treścią i istotą?
Czyliż pielgrzymkę odbędziemy całą
W gorzkiej tęsknocie za kometą złotą?

Nigdyż człowiecze nie wyrzeknie plemię:
„Oto mam wszystko, wedle pożądania!"
Nigdyż nie przyjdzie czas plonów zbierania
Czas żniwa duchów, idących przez ziemię?

Or-Ot (A. Oppman).

MYŚLI SAMOTNIKA.

III.

Szalałem! to nie słowo, to był czyn ogromny,
W którego glinę, rzeźbiarz życia, tchnąłem ducha,
I posąg trwał, młodości mojej wciąż przytomny,
I wiecznie lawą uczuć we spomnieniu bucha,
A mierząc w walce z losem czas na serca bicia
Zgubiłem?!... nie! znalazłem treść najlepszą życia.

I dziś, choć mojej skroni poślubiona chmura,
Lecz gdyby wróconemu z dawnych dni połowu
Oddano młodość górną dawne marzeń pióra,
Potężne wziąłbym loty... i szalałbym znowu!

XV.

Uwiłem sobie gniazdo, lecz na szczycie góry,
Skąd przestrzeń od zachodu aż na wschód obejmę,
I patrząc, jak powstają nowych zórz purpury,
Znużone z nieba oczy w śmierci chyba zdejmę...
Huragan mię wysmagał, przyszedł grom zdaleka
I tłukł w mą skałę, dniowa mię paliła spieka.

Mych wyżyn życie marnym nie dolata szumem,
Ptak z dołu nie dostanie mię wątłemi wióry:
Ziemskiego szczęścia próżen, nad zgiełkliwym tłumem
Umieram dumną śmiercią, lecz na szczycie góry.

J. S. Wierzbicki.



FRAGMENT.

Pozostawiła nam Matka w spuściźnie
Sztandar wśród bojów i wichur wytarty,
Niezapisane do ostatka karty...
Gorycz i wielką miłość ku ojczyźnie...
Szmat chłopskiej szaty, lśniącej by purpura
Pamiątkę czynów—białe orle pióra...

I oto legła wśród grzmotów łyskania
W grobową trumnę, gdzie się żywi kładą,
Zgnębiona nieszczęść i grzechów gromadą:
I nakazała wiekowe kajania...
I odtąd chmurne nasze są niebiosa
I poi niwy łez sierocych rosa...

Ale nie wieczna jest cierpień łzawica
I żywie jeszcze wielkie jutra tchnienie,
A ze snu grobów przyjdzie obudzenie,
Rumieńcem błysną blade trupa lica...
Kiełkują w głębi przyszłości nasiona:
Żadna moc ludzka—ducha nie pokona...

L. Radziejowski.



DYSKOBOL.

Tłum widzów. On spokojnym wzrokiem metę
mierzy— —
Wyprostował się, ramion wiązanie natężył,
Głowę wzniósł, stopy w ziemię wrył, nogi naprężył,
W ręce trzyma dysk krągły— —wstał pierwszy
z szermierzy.

Jeszcze chwila—kołysze dysk, zanim uderzy
Wysunął lewe ramię, biodra, zda się, zwężył,

Na prawej nodze całym ciężarem zaciężył—
Rzuci—i laur zdobędzie znów na skronie świeży.

Na jego marmurowe, nagie, smukłe ciało,
Oliwą namaszczone, złotawe, błyszczące:
Pada greckie, promienne, uśmiechnięte słońce.

Przegiął się—dysk w stalowych palców ścisnął kleszcze— —
Kobietom w białych piersiach serce bić przestało,
A boskie uda słodkie wstrzącają im dreszcze.

K. Przerwa-Tetmajer.



W RYBACKIEJ CHACIE.

Sen.

Boże! to burza!—błękit się cały
Skrył w czarne chmury; dalekim grzmotem
Zbudzone mewy z gniazd się porwały
I wicher fale tłucze z łoskotem
O puste brzegi.—Błysło!... tam w krwawem
Świetle mignęła łódź, na niej... Boże!
O pomoc woła mąż mój i łzawem
Spojrzeniem patrzy w dal—i nie może
Pochwycić steru, ni żagli zwinąć.

. . . .

Ha! bałwan leci na łódź i gna ją
Pod zgubną rafę, o nie daj zginąć
Panie! za ojcem Ciebie błagają
Matka i dziecię.

* * *

Bądź pochwalony
Cóż to! już śpicie?—no zbudź się ptaszę
Zaśpiewaj ojcu, on tak znużony...
To ty?...—wróciłeś o szczęście nasze!

Miron. (A. Michaux).

ROZKOSZ.

Promienne w swej piękności, nagie, drżące ciała,
Oplecione namiętnym, lubieżnym uściskiem,
Tarzają się wśród ciszy, co dźwięczy i pała
W upojeniu bezkresnem, znicestwienia blizkiem.

Duszę jasność zatapia jakaś krwawo-biała,
W nieskończoność rozlana świetlanem koliskiem,
Którą zmąca szał nagle, jak piorunna strzała,
W cienie nocy lecąca złotawym pociskiem.

Upaja krągłość piersi, biódr różowa białość,
Włosów woń, przegięć urok, kształtów doskonałość,
Rozkosz, co usta pali i oczy przymyka—

I omdlałość opada na piersi i łona—
Rozkosz zwolna przygasa, rozwiewa się, kona,
Jak milknąca w oddali lubieżna muzyka.

S. Wyrzykowski.

WEZWANIE.

Nie przychodź do mnie w jasny dzień,
W poranek róż majowy,
Nie przychodź do mnie w jasny dzień,
Bo ci na drogę padnie cień
Mej cichej smętnej głowy.

Ale przyjdź do mnie w chmurny czas,
W jesienne mroczne rano,
Ale przyjdź do mnie w chmurny czas,
Niech blade niebo skryje nas
W swą płachtę z mgły utkaną.

Nie przychodź do mnie w szczęścia dnie,
W jutrzenne życia zorze,
Nie przychodź do mnie w szczęścia dnie,

Gdy dłoń i serce kwiaty rwie,
A ust puharem—morze.

Ale przyjdź do mnie w zmierzch i w noc,
Gdy rosa pada chłodna,
Ale przyjdź do mnie w zmierzch i w noc,
Kiedy się życia wytli moc,
A dusza wyschnie do dna.

Ale przyjdź do mnie wpośród dum,
W rozmyślań wielką ciszę,
Ale przyjdź do mnie wpośród dum,
Gdzie czarnych sosen szmer i szum
Mogiłę mą kołysze.

M. Konopnicka.



RZEŹBIARZ.

Mistrz uczuł w swojej piersi dech nieskończoności
Potężnej, jak ocean, gdy się pianą zwełni.
Chciał wyrzucić z swej głębi moc życiowej pełn,
Której orkan wezbranej potęgi zazdrości.

I w głazie dłonie jego młodzieńca wykuły,
Który ludzi miał uczyć zwycięstw, dumy, chwały!
Posągu człon drgał każdy siłą napęczniały,
Szałem nadmiaru grały w nim wszystkie muskuły.

A ten, co pierwszy ujrzał boskość w mistrza tworze
Padł na twarz zatrwożony, szepcąc ciche modły:
„W proch przed tobą mocarze niech padną naj-
pierwsi“!

Mistrz zmarszczył brwi, odtrącił zgiętego w pokorze
I widząc, jak moc rzuca siew słabości podłej,
Młotem strzaskał posągu granitowe piersi!..

L. Staff.



Deotyma (J. Łuszczewska).

CEL MÓJ SIĘ ZAMGLIŁ...

Cel mój się zamglił... drżą stopy tułacze...
Wróć duchu! błyśnij choć z gromem we wzroku!
Grom gniewu zniosę,— zgaszę w łez potoku:
Lecz zapomnienie? o drżyj... czyż przebaczę?

Kto na świat patrzy bez natchnienia w oku,
Ten widzi tylko grzech, śmierć i rozpacze...
Dla mnie, dziś słońce podobne do zmroku.
Płakać nie mogę, a wszystko mi płacze.

Na toż me serce tylko tobie płonie,
Na toż tak trwożnie od róż ziemskich stronię,
Byś mnie uniósłszy zepchnął w pyłu plemię?

Otwórz mi, otwórz, by nie pękły wrota!...
Czy wiesz, jak dzikiem szaleństwem się miota
Kto był już w niebie i spadł znów na ziemię?...

Deotyma. (J. Łuszczewska).

SERCE.

I.

Żyjesz więc, serce?... Czemże były twe przysięgi,
Że nie przeżyjesz?—Nie drżyj,—imion nie wymienię...
Wszystko umarło... A ty?... Świątyni sklepienie...
Pająk zasnuł... Jak głucho!... A ty?... Szczyt potęgi?!...

Jakże ty żyjesz?... Milczysz?... Więc cię zaczerwienię
Tem „jak“, i rzucę nagie w torturowe kręgi,
I wydrę tajemnicę twoją... Mów!... Wspomnienie
Z trumny ruszę... Pamiątek wydobędę księgi!...

Drżysz... Przymuszę!... I skomlisz, ja pies... jak pies...
Chryste!
Więc nie zostało w tobie nawet cienia dumy,
Nawet chęci udania? Nie?... Ty, płomieniste,

Ty, niegdyś żądne walki, szydzące z rozbicia?
Niegdyś... Wszystko ulata, jak sen, wiatru szumy...
I tylko trwa bezwstydnie przyziemny pień życia...

II.

I znów przed tobą serce moje kładę,
Jak muszlę, pełną radosnego głosu,
Spojrzyj! Złowieszczy ptak mojego losu
Gniazdo w niej utkał—ust weselnych zdradę.

Jeśli nań ręce położysz, jak blade
Na rzecz pamiętną dwie gałązki wrzosu,
Jeśli posłuchasz, to może z chaosu
Szmerów—szmer jeden urośnie w kaskadę

Smutku i żalu. Może ci się wciśnie
W duszę i zmarszczkę wyrzeźbi na czole
Znak zamyślenia. Może na ust wiśnie

Popiół posypie. Może plamę cienia
Położy nad twych dróg obłędnem kole:
—Będzie to w muszli dźwięk twego imienia!

M. Zbrowski.

ALLEGRO.

O chciałbym ja pisać uśmiechem i łzą
Tej piosnki każde słowo!
Tak czuję wciąż jeszcze, jak usta twe drżą
Na ustach mych, królowo,
Tak czuję, że myśli twe blisko gdzieś są,
Że krążą nad mą głową.

Na świecie my dwoje: ja tylko i ty
I jedna miłość nasza,
Snów nawet miraże pierzchnęły jak mgły,
Gdy świt je porozprasza.
Królowo, a pocóż nam mary i sny,
Gdy wzeszła miłość nasza?

Ach, życia tak krótko wiosenny dzień trwa,
A pieśń to wiosny kwiat —
Ach całuj! kwiatami niech u stóp twych ja
Uścielę cały świat!
Ze pieśnią ust twoich żyć będzie czerń ta
Przez wiele, wiele lat...

Tyś piękna—jak piękną jest miłość, jest Bóg,
Jak myśl, co gwiazd dosięga....
O, gdybym słowami powiedzieć ci mógł,
Jak wielka to potęga!
Madonną ty moją—bo Pięknem jest Bóg,
Przed którym świat się korzy.

O powtórz, że wierzę, o powtórz ty mnie,
Że wierzę w miłość twoją!
Czy życiem uroczy sen taki się zwie?
Czy marzy świat cały, czy tylko ja śnię
Tak wierząc w miłość twoją?

Ja wierzę! Czy wiesz ty, co znaczy to słowo,
Co szczęście w sobie mieści
Dla serc konających pod łzą granitową
Zwątpienia i boleści?
Ty nawet nie pojmiesz jak jedno to słowo
Upaja, cieszy, pieści!

Słonecznym promienieniom wróciłaś ty moc,
Wróciłaś powab ziemi.
Patrz, życia mojego rozświetla się noc
Zorzami różowemi
I z cichym szelestem łamiących się fal
U stóp twych się kładą jej cienie, a w dal
Blask płynie po nad niemi.....

Z ustami na ustach tak skonać bym chciał
O miłości wiecznej mówiąc ci,
Owionięty pożarem twej krwi,
Z aniołem, co o niebie śni,
Demoniczny dzieląc szał!

. . . .

Ty mnie kochasz! Widzę cię—przez łzy,
Co mi błysły w oczach mimowoli—
Pochyliłaś się nademną ty.....
Oto widzę w oczach twych tę całą
Szczęścia cichą, świetlaną krainę:
Życia mękę serce przebolało.

Ja cię kocham!—kocham!...—Wiesz, tam w niebie
Aniołowie tym się słowem modlą....
Ja się modlę także: kocham ciebie!

C. Jankowski (Czesław).

WIR.

Krew gna nas w szał! Rzuć wiosła! Na głębokie wody
Łódź nas zagnała! Nie broń się błagań próżnicą!
Prośba dla tej topieli zbyt płytką kotwicą!
Zdradził cię wróg twój boski: czar twojej urody!

Rozbić się musisz! Piękność wodzi otchłaniami!...
Usta twe, jeśli milczą, to tylko kochaniem...
Usta twe myśleć zdolne jeno całowaniem...
Piękność niebezpieczeństwem jest... A myśmy sami...

Duszę pełną całunków masz nienarodzonych,
Co w twej piersi o ciepły marmur łona twego,
Jak ptaki, skrzydłem biją... Puść je! Niech wybiegą!
Jak pszczoły miód mi zbiorą z twych ust rozchylo-
nych.

Tyś piękna! Na nic wiosła! Dzierżysz je z nawyku...
Ręce twe przeciw wirom—to lilje najwiotsze...
Biały lęk twój w sen pada błogiego zaniku...
Pójdź w uścisk! Łódź twa pędzi w rozbicie najsłodsze.

L. Staff.



AVE VITA.

O, witaj mi, żywota wiekuiste wrzenie!
Witajcie ukwiecone młodości krużganki,
Witajcie, burze, cisze, zachody, poranki,
Witajcie, barwy, tony, słońc i gwiazd promienie.

O, pochwyć mię, Maelstromie, niech wir twój mię
żenie,
Gdzie sny, myśli tryskają, jako rakiet wianki,
Gdzie tłumy burz dziejowych, blaski z ócz kochanki
Spływają w jedne wzlotów i szałów płomienie!

Jako stające dęba rozhukane źrebce,
Serce wznosi mi piersi, rwie je, szarpie, depce
I orkanowem biciem: „w pęd! w dal! w życie!“ woła—

Wszystko woła! brzmi! dźwięczy!.. „Ave, ave vita!“
Płyńmy—i niechaj myśl nam nie zasępia czoła,
Czy łódź wróci z tryumfem, czy zginie rozbita.

Miriam. (Z. Przesmycki).

NIE WIERZ!

Nie wierz nigdy, o nie wierz, choćby ci mówiono,
że miłość, szczęście, wiara, to są dźwięki marne,—
nie wierz, że życie smutne tylko jest i czarne,
że cierpieniem jedynie tchnie człowiecze łono!

Nie wierz, że w zgliszczach gasną płomienie ofiarne,
a na ołtarz wystygły dżdże z wichrami wioną,
że uprosić nie można nic dłonią wzniesioną,
że zło światu króluje, ślepe i bezkarne!

Nie wierz, choćby sto razy mówili bluźnierce,
nie wierz, choćby twe własne tak mówiło serce,
choćby gorycz łez z oczu płynących mówiła,

choćby pierś twa spalona strasznym ducha głodem,
a stargana rozpaczą, przebita zawodem...
ty nie wierz—choćby nawet to i prawda była!

J. Żuławski.

ZAKWITŁY CIERNIE.

Zakwitły ciernie. Krzew bólu i męki
Stanął w śnieżystych bukietów swych puchu,
Od drgnięcia pierwszej skowrończej piosenki,
Od pól podmuchu.

Czarność się jego żałobna odziała
Kwiatem rozkoszy, utkanym misternie...
Gwiazda przy gwieździe drży lekka i biała...
Zakwitły ciernie.

Ale nad czołem schylonem w zadumie
Zawsze się wije ta gałąź kolczata,
Co z żadną wiosną zakwitnąć nie umie
Wielka, cierniowa korona wszechświata
Myśl, co kwiat życia tragicznie otrząsa
I nagich kolców żądłami mózg kąsa.

M. Konopnicka.



Z. Różycki.

RANEK.

Słońce tka na niebiosach jasne arabeski
I drży na sennych liściach pajęczyną złotą,
Zdala rozwiewnych chmurek płynie tłum niebieski,
W wonnem powietrzu sny się przecudowne plotą.

Cisza ukojna, święta, zawisła nad ziemią,
Tylko niekiedy zefir na skrzydłach anielich
Podniesie blade kwiaty, które jeszcze drzemią,
I do ust im nektaru chyli srebrny kielich.

A wtem z za widnokręgów płynie hymn stugłosy,
Ziemia drży w jakimś wielkim, obłędnym zachwycie,
Z wilgotnego rzeszota sypiąc perły rosy...

I zewsząd płynie jeden okrzyk: Życie!... Życie!...
A słonce swe ogniste rozczesawszy włosy,
Zawisło nieruchome, nieme na błękicie...

Z. Różycki.

ANIOŁ DZIEJOWY.

Z koroną błyskawic i lilji u czoła,
Owiany purpurą światłości,
Duch Boży zlatywał—i skrzydła anioła
Roztoczył nad dzieje ludzkości.

Wtem poczty chmur czarnych, drżąc trwogą i gniewem,
Zerwały się wstrzymać lot jego...
Lecz anioł zbawienia szat jasnych powiewem
Rozpędził chór Pana ciemnego.

Natenczas Przeklęty płomieniem i stalą
W pierś bluzgnął duchowi młodości...
Napróżno!... Archanioł oblany krwi falą
Piękniejszym się wydał ludzkości.

W rozpaczy złe duchy rozdarły pierś ziemi—
I wszystkie jej skarby kamienne
I złoto i srebro garściami brudnemi
Cisnęły w oblicze promienne.

On wzbił się—lecz w silne chwyciwszy ramiona
U tronu Bożego krzyż Panski,
Za chwilę znów zleci—i dzieła dokona
I hufiec rozgromi szatański.

L. Sowiński.

Z CYKLU „Z BOLEŚCI“.

Z piwnic.

Widziałem: izba była zapylona—ciemna,
Po izbie woń chodziła, grobowa, podziemna
I mknęła przez szczeliny, ustępując drżąca
Jękliwemu wichrowi i niteczce słońca.

W kąciku pościel nędzna -a na tej pościeli,
Kiedy wiatr owiał płachtę—trumienka się bieli;
W trumience leży dziecię—a na jego głowę
Kładzie się promyk słońca i wiedzie rozmowę,
Z duszyczką, co nad ciałem, tajemna się waży,
Przed trumną stoi matka!... Łzami się nie skarży
Wsłupione oczy milczą, tylko myśl bezsenna,
Bije się jak zwierz w klatce i bólem brzemienna
Łzami sączy na serce—aż zadrgało w łonie
I spytało; o żółtą świecę, co nie płonie
Przy trumnie—o kapłana—o krzyż poświęcony,
Co nie pójdą za grobem—o żałobne dzwony,
Co nie jękną—bo grosza na podzwonne nie ma!
A potem spytało—kto w ręku potrzyma
To maleńkie i w ziemię zaniesie cmentarną?
Pytało,aż rozpaczą zatrzęsło się czarną
I zbudziło stojącą! Więc wzięła na ręce
Noszone a nie ciężkie, maleńkie—w trumience
I poniosła—a za nią wyszedł promień złoty
I świecił jak gromnica! . . . .
. . . .
Widziałem: dołek w glinie był mały i wązki;
Wiatr strząsnął z białej brzozy dwie suche gałązki
I rzucił je w ten dołek;—na dno nie upadły,
Tylko się, niby trupy, na wodzie pokładły
Błotnistej, co mogiłki zalała połowę...
Widziałem: po nad wodą matka się schyliła
I klękła i oczyma wodę z grobu piła,
Piły, a były suche—aż gdy na jej rękę
Padł piasek, od grabarza, co zarył trumienkę,
Wzywała sądów Pańskich—potem zgrozą zbladła,
Potem chciała rwać ziemię, chwiała się i padła,
Potem piasek po czarnych sypał się warkoczach,
I nic już nie widziałem, bo... krew miałem w oczach.

W. Ordon (Szanser).

ARLEKINADA.

Purpurowych szkieł barwne mozaiki skrzą się,
Walc zawrotny w mosiężne uderzył trombony.
Jakichś wiewnych postaci wir płynie szalony,
Szat kolorem migoce, zanurza się w ponsie.

Baletnica... arlekin i miłość ich wieczna...
Zazdrość skrzypka, co w struny uderza do tańca...
Śmiech srebrzysty tyrrada rozkoszy posłańca...
Na świecącej posadzce uciecha serdeczna...

Ale w dźwiękach, niosących szalone widziadła,
Jakaś jedna łza głośna, łza gorzka się wkradła,
Dyssonansem melodyi wpadając żałośnie.

Może w blasków czerwonych ułudnej powodzi
I w tej fali, co sztucznym urokiem zawodzi,
Wstało tęskne wspomnienie—o szczęściu i wiośnie.

J. Pietrzycki.

WIERZBA PRZYDROŻNA.

Wierzba spróchniała, sękami pokryta
stoi nad drogą rozmokłą, błotnistą,
owiana przędzą subtelną, srebrzystą,
która z nabrzmiałych gałązek wykwita—

Wędrowca drżeniem konarów swych wita—
szumem żałosnym prowadzi w dal mglistą...
wita swym szmerem jutrzenkę złocistą,
która tak rzadko w pełni blasków świta...

I lata całe, jednostajne lata
stoi nad drogą, i schnie, i próchnieje,
i widzi całą beznadziejność świata...

I wie, że zgaśnie brzask, co teraz dnieje...
lecz stoi, czeka, wierzba rosochata,
żywy drogowskaz w śnieżyste zawieje...

E. Ligocki.

Z POEMATU: „PAN TADEUSZ“.

Natenczas Wojski chwycił na taśmie przypięty
Swój róg bawoli, długi, centkowany, kręty
Jak wąż boa; oburącz do ust go przycisnął,
Wzdął policzki jak banię; w oczach krwią zabłysnął,
Zasunął wpół powieki, wciągnął w głąb pół brzucha,
I do płuc wysłał z niego cały zapas ducha,
I zagrał. Róg jak wicher wirowatym dechem
Niesie w puszczę muzykę i podwaja echem.
Umilkli strzelcy, stali szczwacze zadziwieni
Mocą, czystością, dziwną harmoniją pieni.
Starzec cały kunszt, którym niegdyś w lasach słynął,
Jeszcze raz przed uszami myśliwców rozwinął;
Napełnił wnet, ożywił knieje i dąbrowy,
Jakby psiarnię w nie wpuścił i rozpoczął łowy.
Bo w graniu była łowów historyja krótka:
Zrazu odzew dźwięczący, rzeźki: to pobudka;
Potem jęki po jękach skomlą: to psów granie;
A gdzieniegdzie ton twardszy jak grzmot: to strzelanie.

Tu przerwał, lecz róg trzymał: wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Zadął znowu. Myślałbyś, że róg kształty zmieniał,
I że w ustach Wojskiego to grubiał, to cieniał,
Udając głosy zwierząt: to raz w wilczą szyję
Przeciągając się, długo, przeraźliwie wyje;
Znowu, jakby niedźwiedzie rozwarłszy się gardło,
Ryknął; potem beczenie żubra wiatr rozdarło.

Tu przerwał, lecz róg trzymał: wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało.
Wysłuchawszy rogowej arcydzieło sztuki,
Powtarzały je dęby dębom, bukom buki.

Dmie znowu: jakby w rogu grały setne rogi,
Słychać zmieszane wrzaski szczwania, gniewu, trwogi,
Strzelców, psiarni i zwierząt; aż Wojski do góry
Podniósł róg, i tryumfu hymn uderzył w chmury.

Tu przerwał, lecz róg trzymał: wszystkim się zdawało,
Że Wojski wciąż gra jeszcze, a to echo grało,
Ile drzew, tyle rogów znalazło się w boru,
Jedne drugim pieśń niosą, jak z chóru do chóru.
I szła muzyka coraz szersza, coraz, dalsza,
Coraz cichsza i coraz czystsza, doskonalsza,
Aż znikła gdzieś daleko, gdzieś na niebios progu!..

Wojski obiedwie ręce odjąwszy od rogu
Rozkrzyżował; róg opadł, na pasie rzemiennym
Chwiał się. Wojski z obliczem nabrzmiałem, promiennem,
Z oczyma wzniesionemi, stał jakby natchniony,
Łowiąc uchem ostatnie, znikające tony.
A tymczasem zagrzmiały tysiące oklasków,
Tysiące powinszowań i wiwatnych wrzasków.

A. Mickiewicz.

SMUTNA PIOSENKA.

Chociaż mi gwiazdy w twoich oczach płoną,
A w ustach róże takie wonne, świeże....
Chociaż przyrzekasz miłość mi szaloną—
Ja ci nie wierzę.

* * *

Nie pragnę czarów—tych syrenich czarów,
Chociaż je dajesz chętnie, może szczerze,
Ja jestem jednym ze spadłych Ikarów,
Zatem, nie wierzę.

* * *

Tak, czarodziejko!—ja nie mogę ciebie
Oszukać, że ci dam serce w ofierze.
Proszę cię nie płacz na moim pogrzebie
I łzom nie wierzę....

Miron (A. Michaux).



Stefan z Opatówka (S. Giller).

Z POEMATU: „JAN KOCHANOWSKI Z CZARNOLESIA".

Duchu przeczysty, przezacny, przedrogi!
Jako przed wieki orszak wieszczów mnogi
Wśród nas zbudziłeś dźwiękami swej lutni,
By wzniósł nam głowy, gdy będziemy smutni,
By głos z nas dobył, gdy się w piersiach zatnie,
By nam wciąż ręce łączył w węzły bratnie,
By serca nasze zachował bez zmazy,
By drogiej mowy strzegł od wszelkiej skazy:
Tak i na przyszłość... z polskich wieszczów gronem
Budź duszę pieśnią, wstrząsaj naszem łonem
I w cieniu błogim, pod skrzydły białemi,
Prowadź nas w górę z padołów tej ziemi!..
Bo tylko z wami, o, skrzydlaci wodze!
Polska wciąż kroczy po swej jasnej drodze..,
I tylko przy was, rozszalałej burzy
Zepchnąć się nie da do krwawej kałuży,
Ani zagrzebać pękającym skałom,
Wierna szlachetnym swoim ideałom!
I tylko z wami i przez was jedynie,
Jak nie zginęła, tak nigdy nie zginie!

Stefan z Opatówka (S. Giller).

Z CYKLU: „CIEŃ“.

O matko moja! wszak ty mi przebaczysz,
żem się tak młodo zerwał od twych kolan?—
Choć w czarze życia mego kipiał haszysz,
każdy kęs chleba łzami był mi polan.,.

Obiegłszy ziemię, marnotrawne dziecię,
z łachmanem życia staję przed twą chatką:
szczęściam nie znalazł na szerokim swiecie,
odkąd od kolan twych odbiegłem, matko!

Śmiałem się wiele i płakałem wiele,
byłem samotny, mimo że kochany,
a pełen życia, a na smierć skazany,
w szczęściu tęskniący i dumny w popiele.

Dzieckiem do lutni wziąłem się i pieśni,
lecz pierwszy akord struny mi rozstroił,
a jam z palcami na zerwanych roił,
i śniąc—zapomniał, że się życie prześni...

XVI.

Nie pragnę życia, ani śmierci wołam,
lecz proszę-ć tylko, pierś mi nastrój, Panie!
na śpiew ostatni,—potem niech się stanie
Twa wola—harfę wyśpiewaną połam!

Rozstrzaskaj harfę, ale daj jej wprzódy
pieśń w świat wyrzucić, co lądami świata
wstrząśnie i w słońce poleci skrzydlata,
wiodąc za sobą przebudzone ludy!

XVII.

Przecz mnie ty, Panie, skazał na to życie?
przecz mi dał duszę wielką a niepłodną,
bezsilnie dziką i wciąż wrażeń głodną,
ciemności pełną, a śniącą o świcie?..

Przecz mi Ty gwiazdy pokazał na niebie
i strącił w otchłań, kędy światła gasną,
i tęsknić kazał za gwiazd marą jasną,
i wiecznie padać, wznosząc się do Ciebie?..

XVIII.

Upadam ciągle—i znowu się wznoszę,
i tak mi straszna ta krzyżowa droga,
iż zapominam, że wiedzie do Boga—
i końca błagam, i spoczynku proszę.

Upadam ciągle i tarzam się w pyle,
i wstaję znowu, pył otrząsam z czoła;
a krzyż mię ciśnie, a Bóg naprzód woła— —
więc idę naprzód, choć gnę się i chylę.

J. Żuławski.

PSIAKREW!

Psiakrew!
Dość, dość, już ckliwych skarg!
Nie z łez się rodzi szczęście!
Psiakrew! Chcesz z losem iść o targ—
Psiakrew! Po chłopsku bierz za kark!
Po chłopsku zakasz pięście!

Psiakrew!
Dość, dość już błędnych kół!
Łzą doli nie wyszlochasz—
Psiakrew... Dziewucha! Pochwyć w pół
I nieś po przepaść! po sam dół!
Niech czuje że ją kochasz!

Psiakrew!
Dość, dość już cichych łkań!
Dość wzlotów po błękicie...
Psiakrew! O swoje piersią stań!
Psiakrew! Po chłopsku chwyć za krtań!
Psiakrew! Bo tak chce życie!

K. Laskowski.

DZIEŃ DZISIEJSZY.

Jakaż nam przyszłość?.. Jakaż nasza droga?..
Zachód krwią spłynął... mrok smutkiem się ścieli...
Ktoś się z rozpaczy zaparł swego Boga
I potępieni są wszyscy anieli...

Szatani serca swe rozpaczą jedzą,
Piekło swe krwawym oplwali urągiem...
Bóg się przeraził swoją własną Wiedzą,
Czołem uderzył przed strachu posągiem...

I Wszechmoc swoją podeptał szalenie,
Wieczność swą cisnął w czarny mrok nicości...
Chrystus w swe własne zwątpił Odkupienie
I nie mógł w sercu swem znaleźć miłości...

Poszedł u ludzi żebrać sił, otuchy— —
Ucznie rzucali sieci na jeziorze,
Lecz go nie chciały poznać dawne druhy,
Szyderstwo jego cisnąwszy pokorze...

Matka Bolesna, w obłędzie zgubiona,
Dla Syna miała twarz kamienną, głuchą,
A Magdalena, rozpuście wrócona,
Poszła frymarczyć pokutą i skruchą.

W gospodzie dzwonią srebrniki na ławie
I pełna wina rozpienia się czasza,
A Jan skroń w niecnej zastygłą niesławie
Miłośnie oparł na piersi Judasza.

I ujrzał Chrystus zaparcie i zdradę,
W niewiarę rzucił swe daremne trudy,
Gorzkiemi łzami zwilżył lica blade
I beznadziejny—poszedł.., zbawiać ludy...

L. Staff.

Z TESTAMENTU.

(Fragment).

W końcu cmentarza stoją dwa drzewa,
Koło parkanu, bo stare,
Tam na nich nigdy słowik nie śpiewa
I omijają je wróble szare,
I jeno księżyc twarzą złowieszczą
Patrzy, gdy w nocy liśćmi szeleszczą.

* * *

Pod owe drzewa, smutne już, stare,
Złóżcie skorupę mej duszy lichą,
Ja będę wdzięczny za tę ofiarę,
I będę leżał spokojnie, cicho,
I gryźć nie będę sercem spętanem...
O! wrzućcie w dół mnie, tam pod parkanem...

* * *

Za moją trumną niech pójdą owi,
Co w śmiesznych pieśniach mych, łzy widzieli,
I łzy dawali jak żebrakowi,
Dobry grosz wdowi—i ona w bieli
W wianku z róż, niechaj, idąc się śmieje
I karawanu koń niech kuleje...

Miron. (A. Michaux).

PRZECZUCIE.

Pytałem serca: czemu dotąd żywe?
Serce odrzekło w roztęsknionej nucie:
— Trwam, bo mi szepcze tajemne przeczucie,
Że jeszcze będę szczęśliwe.

Pytałem myśli: dlaczego nie gasną?
Myśli zajękły, jak cichnąca burza:

— Skryte przeczucie przyszłość nam wywróża,
Zapomnień pełną i jasną.

O, niezgłębione przeznaczeń otchłanie!
Mrokiem zalany labiryncie duszy!
Czyż tego, o co rozum ostrze kruszy,
Instynkt by miał rozwiązanie?

Skąd ten głos? Jestże to senne złudzenie
Duszy, słyszącej, co słyszećby rada?
Czyli też jasność jutrzenkowa, blada,
Na niebie spowitem w cienie?...

W. Gomulicki.

WSPOMNIENIE OCZU.

Błogosławiony smutek w twych źrenicach,
Z których wypiłem, włóczęga niesyty,
Dobroć niezmierną. O, ty, w błyskawicach
Chodząca świetnych, której cudne świty
Anioły czynią ze słońcami w licach,
Z mych słów na czole masz dyadem wity;
Błogosławiona bądź za oczy smutne,
Nędzne, straszliwe, dobre i okrutne.

Za oczy owe, w których oszalała
Dusza się moja wciąż przegląda próżna,
Patrząca, czyli jest z tęsknoty biała.
Oto twym oczom dusza ma jest dłużna
Szaleństwo swoje i szaleństwo ciała.
Spojrzyj, a oto będzie mi jałmużna
Spojrzenie owe jadem trucizn zdradne,
Bo, chory bardzo, śmiercią wtedy padnę.

K. Makuszyński.

INTERMEZZO.

Do fatalnej raz przyszło sprzeczki między nami.
Rozstajem się—rzecz prosta—niema innej rady!
Ja wszerz po saloniku biegam mocno blady,
Ona wzdłuż chodząc po nim. zalewa się łzami!
„O! jakże ja się strasznie zawiod am na tobie!“
„Ha, samaś tego chciała!“—„Tak sądzisz?“—„Tak sądzę,“
Słowem—rozdzielmy zgodnie między strony obie
Wszystko: bieliznę, meble, pościel i pienią-ze
I niechaj każde potem, za wspólną ugodą,
Rusza gdzies w świat szeroki, gd-ie oczy powiodą.

Do dzieła więc. To twoje—prawda?—a to moje.
„Stół tobie, a mnie...“ —„Lampa co stoi na stole.“
„Dywan tobie.“—„Dziękuję, chłodu się nie boję.“
„Weź go jednak, weź proszę.“—„Co innego wolę...
Szafa jedna, no, chyba dzielić jej nie w. rto?“
„Któż winien?“—„Widzisz, jak to źle iż niema drugiej.“
„Bierz ją!...—ja wezmę sofkę.“—“Co, taką obdartą?“
„Już ty się nie troszcz, biorę w przydatku sztalugi“.
Takeśmy zlustrowali, dzieląc j.knajprościej,
Od strychu do piwnicy wszystkie ruchomości.

Wtedy ona, na chwilkę wybiegłszy z pokoju,
Wróciła, niosąc w ręku rodzinne klejnoty:
Kolczyki turkusowe cd wielkiego stroju,
Takąż broszkę, porte-bonheur i zegarek złoty.
„Oto zwracam ci—rzekła—podarunki twoje.
Nic nie chcę mieć twojego, dziś gdy... “Łzy jej mowę
Przerwały i milczący stal:śmy oboje
Długą chwilę. Lecz pierwszy ja podniosłem głowę:
„Kiedy tak, to ja także dłużny ci coś jestem!“
I ślubną mą obrączkę z h.bdankowskim gestem
Rzuciłem na stół między kosztowne błyskotki.

Bolesna była chwila, ciężka do przebycia!
Nie zapomnę spójrzenia wtedy mej pieszczotki
(Której zawdzięczam przecie całe szczęście życia)
I tych jej biednych, drżących nerwowo usteczek,
Z których żadne nie padło słówko rozżalenia...

Czułem że i mnie w oczach stoją łzy. „Bez sprzeczek!“
Krzyknąłem i dotknąwszy lekko jej ramienia:
„Pani—dodałem—trzeba przykrą chwilę skrócić;
Musimy jeszcze sobie... pocałunki zwrócić.“

Słuszne żądanie, prawda: każda własność święta.
Przystała więc westchnąwszy. Tylko właśnie bieda,
Iż taki dług zbyt ściśle obliczyć się nie da.
„Pamięta może pani?“—„A pan czy pamięta?“
„Nie.“—„Liczmy więc: półtora roku—dziennie ile?“
„Dwa razy?“—„Trzy powiedzmy, niech pan nic nie traci.“
„Przeto razem... tysiąc sto, jeśli się nie mylę—
I przystąpmy niezwłocznie do tej likwidacyi...“
Lecz zanim do tej cyfry doszliśmy połowy,
O żadnej separacyi nie było już mowy.

Czesław (C. Jankowski).

LIŚCIE SKRWAWIONE I ZMIĘTE...

Liście skrwawione i zmięte
Gna wicher w szalonym pędzie — —
— Słońca już nigdy nie będzie—
We mgłach umarło—wyklęte...

Chychoczą złamane drzewa
Pijanym obłędnym śmiechem — —
—Wszystko jest winą i grzechem—
Mnich psalmy pokutne śpiewa ..

Nad mroczne skalne krawędzie
Zabrzmiały dzwony pęknięte.,.
—Liście skrwawione i zmięte
Gna wicher w szalonym pędzie...

S. Pruszyńska.

PÓJDZIEMY Z TOBĄ...

Pójdziemy z tobą przez aleje stare,
gdzie wieczór w nocy objęciach już kona,
i cisza skrzydła roztoczyła szare,
i płacze fala jeziorna stękniona;

z szelestem srebrnym cofa się, oddala,
o kamień piany śnieżną piersią bije;
gdy my radośni, czemu łka ta fala
i łzy nam rzuca pod stopy—łzy—czyje?

Tych, co snem letnich czarów upojeni,
marzeń, świetlistych szli drogą promienną,
by tam—u kresu—samotnie—wśród cieni
zbudzić się we łzach, w głuchą noc jesienną?

Powiedz tej fali, powiedz, niech nie płacze,
jej szept złowieszczych skarg dzisiaj bez mocy:
co znaczą żale, smutki i rozpacze
dla tych, co śnili raz sen letniej nocy!

Na ręce moje połóż drogie usta,
niech pocałunków twych noszę stygmaty,
Tak ciemno... cicho...
                                aleja tak pusta...

fala łka... kwitną cudne wonne kwiaty...
Wiatr szemrze... Grożą splątane konary
lip... widma idą... ku nam twarze nagną...
zajrzą nam w serca...

                        Boję się tej czary,
którą podajesz... lecz usta tak pragną...
Kwiat, gdy w jesienne rozwita zawieje
i w cieniu płatki rozchyla kielicha,
tak pragnie słońca...

                        Przez stare aleje
pójdziemy z tobą.
                                Noc letnia,
                                        noc cicha...

S. Szadurska.

WIOSNA.

Pierzcha zima—mówicie—wśród blasków powodzi
pierzchają widma, mroźnym oddechem ziejące,
z poza chmur się wychyla słońce gorejące
i mknie już ku nam wiosna w swej kwiecistej łodzi.

Czym ślepy, czym oszalał, czy mię słuch mój myli?
mówicie o skowronkach - brzęk łańcucha słyszę...
mówicię: tchnienie wiosny—krwi wyziewem dyszę...
kwiaty kwitną?.. dłoń chwyta ciernie i badyle...

Tryumf wiosny się zbliża, patrz: tam krzyż Zbawienia
roztoczył swe ramiona i garnąc ku sobie
tych, których życie całe włokło się w żałobie,
braterstwa i równości blaskiem rozpromienia!—

Krzyż Zbawienia—mówicie?... Z lękiem się wpatruję
w tę wizję wymarzoną we łzach i tęsknicy...
Ten krzyż— to rusztowania krwawej szubienicy...
Mówicie: tryumf wiosny!... gdy ja zgon jej czuję...

B. Koreywo.



FRAGMENT.

...Przeto wejdę odziawszy się szatą jaskrawą,
W dom, gdzie usłyszę straszne po umarłym płacze—
I wzrokiem mym wyszydzę żałosne rozpacze,
I śmiechem mym rozognię tę mękę ich krwawą...

Przeto wejdę, gdzie radość i wesele gości,
Kędy dwoje kochanków śnią w kwietnym zachwycie—
I szatą moją czarną cień rzucę im w życie,
I od chłodu mych oczu zblednie żar miłości...

W chatę matki, co syna w dalekiej krainie
Zostawiła płacząca; wędrowny przechodzień
Wejdę przynosząc kłamstwo: że jej syn—to zbrodzień
Że zawinił potwornie i potwornie ginie...

Później z szalonym śmiechem ujrzą mnie na balu—
Porwawszy gnijącego już trupa w ramiona,
Na pierś przypnę mu barwny order z kotyljona—
Aż zsinieją tancerkom „usteczka z koralu!..“

I dalej pójdę przed się, mrożąc mym oddechem,
Rozsiewając wkrąg rozpacz, szyderstwo i trwogę—
By nie płakali cicho, nie dyszeli śmiechem,
Kiedy ja śmiechu nie znam—a łkać już nie mogę!...

S. Pruszyńska.

FIAT LUX.

Przed lud! Przed lud!
Ze światła jasną smugą,
Ze sz zęścia złotą strugą,
Wy, którym dany cud,
Potęgi, wiedzy, mienia,
Przed lud! Przed lud!

Do chat! do chat!
Gdzie chleb w popiele czarny,
Gdzie pracy pot ofiarny,
Gdzie w bolu zgięty brat
Krzyż dźwiga swój codzienny,
Do chat! do chat!
Tam nieśmy siew promienny,
W ten szary biedny świat!

Przed lud! Przed lud!
Z harf naszych pieśnią brzmiącą,
Z pochodnią światła lśniącą,
By pierzchły: grzech i głód;
By pierś rozegrzać sk-zepłą,
I wieków otrząść brud,
Skrę światła rzućmy ciepłą,
W potęgę przyszłą:
w lud!

A. Neumanowa.

NATCHNIENIE.

Natchnienie nie jest orłem, który z niebios spada;
Nie pirunem, co z góry świetli noce ciemne;
Ono w piersi się rodzi, jak ognie podziemne,—
Stamtąd błyska i stamtąd, myślą, piórem włada!

Ono nie jak Jehowa do proroków gada,
Nie ma głosów rodzących obłędy tajemne,
Jemu nie są kapłany, jak sługi najemne,
Które czynią bezwiednie, co ich pan im nada!

Świadomości nie gubi, lecz ją owszem rodzi,
Świadomością rozdyma pełną pierś człowieka,
I z tej piersi ojcowskiej tęczę-pieśń wywodzi,

Lub się w dźwięki, lub barwy czarowne obleka!
Natchnienie—to głos ducha w myślowej powodzi,
Który mówi: Ja jestem!—i działać przyrzeka.

J. Żuławski.

NA POCZĄTKU.

Na początku nic nie było...
Tylko przestrzeń ciemna, pusta—
Wtem jej czarne błysły oczy
I różowe świeże usta.

Od jej spojrzeń, od rumieńca,
Zajaśniała świateł zorza,
A gdy pierwsze rzekła słowo,
Ziemia wyszła z głębi morza.

Gdy przebiegła ziemię wzrokiem
Śląc jej uśmiech—rój skrzydlaty

Wzleciał ptaków i motyli,
A z pod ziemi wyszły kwiaty.

Lecz nie istniał jeszcze człowiek.
Tylko martwa gliny bryła—
Aż nareszcie swym płomiennym
Pocałunkiem—mnie stworzyła.

I zbudziłem się do życia
W cudowności jasnym kraju...
Lecz mnie również tak jak innych
Wypędzono z tego raju.

A. Asnyk (El...y).



WIECZÓR.

Na rozmodlonych pól obszary
Słońce rzuciło blask czerwony,
Idzie powoli pomrok szary
Wieczorne w dali biją dzwony,

Idzie powoli pomrok szary,
I noc się letnia chyłkiem skrada
Na rozmodlonych pól obszary
Ostatni słońca blask opada.—

Coraz to ciszej w kłosnym łanie,
Czerwone maki sny kołyszą,
Słychać samotnych brzóz szeptanie—
W powietrzu krople rosy wiszą,
I słodkie życia ukochanie
Do duszy mojej płynie z ciszą.

Eler. (L. Radziejowski).



Gwiazdy nieliczne błyszczały na niebie, gdym odbił od brzegu,
Rychło na głębszą toń wód chyża uniosła mnie łódź.
Za mną niknące z przed oczu wybrzeża półkole—przedemną
Głuchy szum morza i zmrok, błyski łamiących się fal.
Nagle oto na ciemną toń wód, na brzegów urwiska,
Srebrny roztoczył się blask: księżyc wypłynął zza chmur.
Ruchem bezwiednym wstrzymały łódź wiosła podniosłszy się szybko—
Ach! wracających fal prąd czemuż nie uniósł jej wstecz!
Czemuż nie uniósł raz jeszcze jej tam gdzie na ciemnem tle nieba,
Gajów zamglonych i gór z czołem wzniesionem nad mgły,
Promień miesiąca wyrzeźbił tej willi samotnej kontury,
Kładąc na białość jej ścian srebrny, łagodny swój blask!...
Białe kolumny portyku stojące w oddali nad wodą
Widzę; w koło ich stóp widzę wijący się bluszcz,
Widzę, jak stopnie terasu podmywa piętrząca się fala,
Trąca, odpływa i wnet szemrząc przybliża się znów.
Rzeźb kapitelów najmniejsze zagięcia odróżniam z daleka:
Fauny, co zdobią ich fryz chwieją się, zda się, i drżą.
Futro puszyste rzucone na schodów marmury tam widzę...
Znam je—z zamorskich gdzieś stron cenny Cezara to dar.
Znam je na miękkiem posłaniu tam siedząc przed chwilą, we dwoje,

Szczęścia roiliśmy sny, łudząc się ona i ja...
Znam je, ach! znam ja tam wszystko... znam nocy tych ciszę uroczą,
Mirtów szelesty i woń sennych, owianych mgłą róż;
Ust jej płomienne uściski i wzroku jej smutną zadumę,
Wszystkie rozkosze i łzy tych niepowrotnych znam chwil.
Przebóg!.. cóż to za światła tam w głębi pod arkad sklepieniem
Zamigotały?... ich blask łuną przepływa wzdłuż ścian.
Po co ci ludzie na teras wychodzą i niosą pochodnie?
Skąd niewolników tych tłum?... Czarni, milczący jak noc.
Nagle w dwa rzędy rozstąpią się zwolna posłuszni skinieniu...
Wyjrzyj księżycu zza chmur, świeć jeszcze chwilę, ach! świeć!
Wielcy bogowie! niech w proch się rozpadnie ta ziemia przeklęta!
Cezar!.. to Cezar! to on!.. Ha, zwyciężyłeś!.. To on!
Idą, on kibić jej wiotką opasał ramieniem lubieżnie—
Bogów błagałem, by szmer ku mnie doleciał ich słów.
Wstrzymał się Cezar i tuląc do piersi kochanki mej skronie
Skinął, i orszak wnet sług w głąb się usunął i znikł...
Chwilo okropna! Nie pomnąc co czynię, porwałem za wiosła...
Czółno zaryło się w brzeg... „Podły—krzyknąłem—puść ją!!"
Cezar się porwał—odtrącił mnie—krzyknął—wnet zgraja siepaczy
Wbiegła, zgiełk wszczął się i gwar—ale nie czułem już nic...

* * *

Słuchaj, młodzieńcze, gdy na świat znów wyjdziesz
z tych lochów więziennych,
Odwiedź kochankę wnet swą, zanieś opowieść
tę jej.
Ciebie ciekawość zawiodła aż między nas podłych
zbrodniarzy:
Widzisz jak zbielał mnie włos?—jeden osre-
brzył go dzień.
Spieszno ci?—Żegnaj—ja także odchodzę—wciąż na
mnie ktoś czeka:
Wczoraj kochanka, a dziś?.. pomsta Cezara i
śmierć.

Czesław (C. Jankowski).



KWIATEK JABŁONI.

Z mleczną buzią, z leciuchnym rumieńcem,
Co się blado, jak jutrzenka, płoni,
Otoczona zieloności wieńcem,
Wyglądała jak kwiatek jabłoni.

Więc młodzieniec nie byłby młodzieńcem,
Gdyby dłoń jej trzymając w swej dłoni,
Wraz nie został zwycięzcą i jeńcem
Tego kwiatka... z loczkami u skroni.

Długo poił się jego zapachem,
Zwąc „aniołem“ najpierw, potem „żoną“.
Aż smak cierpki poczuł raz z przestrachem...

„Co to?“ krzyknął z twarzą zadziwioną,
Nic!—to dojrzał pod mężowskim dachem
Owoc, skryty pod kwiatu koroną.

W. Gomulicki.

Z CYKLU: „SMUTNO MI BOŻE“.

Jeśli zobaczysz na części rozdartą
ziemię, a na niej łzy miast srebrnej rosy—
Jeśli tam każda piędź jest krwawą kartą,
jeśli miast modlitw cichych—jęku głosy
płyną borami—Jeśli ci tam wyzna
każdy głaz rozpacz—to moja ojczyzna.

A gdy zobaczysz oczy obłąkane,
co już nie wiedzą, gdzie wołać pomocy,
i serca ujrzysz, co z zatrutą raną...
Jeśli gdzie duchy napotkasz bez mocy,
jeśli w obłędzie czyja dłoń się zbroi
przeciwko swoim—to są bracia moi.

A jeśli kiedy napotkasz dziecięce
usta pobladłe, co rodzimą mową
nie śmieją modłów słać w rozpaczy męce—
jeśli ociekła dłoń krwią purpurową,
jeśli im w oczach poprzez łzy nie świeci
dziecięca radość—to są moje dzieci...

S. Szadurska.

MODLITWA ZA MNIE.

Kiedy się za mnie będziesz modlić, siostro,
Za mnie, com zawsze kochał cię najwierniej,
Nie proś, by próbę dał mi Bóg mniej ostrą,
Nie proś ty Boga, by mi dał mniej cierni.

Niech wejdzie boleść z sercem mem w zamęźcie,
Niech duch się miota w losowem przekleństwie,
Ja pragnę cierpieć: jest w cierpieniach szczęście!
Ja chcę męczarni: jest rozkosz w męczeństwie!

Lecz gdy się za mnie będziesz modlić, siostro,
Proś, by hart stali miały piersi moje,
A nikłość dni te, które mrok rozpostrą,
A moc budzenia moich natchnień zdroje.

Niechaj mnie bytu męczeństwo uświęci
I pieśni moje—duchów wskrzesicielki,
Bym żył na wieki w potomnych pamięci,
Czysty i dumny, szlachetny i wielki.

Or-Ot (A. Oppman).



MOCARZ.

W kryształowej komnacie, na tygrysich skórach
Leżę odziany w przepych miękkich, wschodnich tkanin,
Ja, bałwoch walca życia, potęgi - poganin—
Król rozkochany w słońcu, kwiatach i marmurach,

Podnoszę do ust czarę w ametyście rżniętą,
Piję na cześć mej mocy, na jej wieczne trwanie!
Jeden mój ruch niedbały, a świat nowy wstanie!
Wezbrane życie święci we mnie wieczne święto!

Niema na świecie rzeczy pragnionej przeze mnie.
Mam wszystko... Pono są gdzieś ludzie, co tajemnie
Trawią się żarem tęsknot... Hej, zwołać ich, raby!

Szczęśliwym stać się musi każdy nędzarz słaby!
Dam im złoto, klejnoty, kosztowne kobierce
I serce moje, wielkie, dobre moje serce!

L. Staff.



N O C.

Wichr z nienawiścią w bramy miasta bije
I śmiechem pjanym chichocze szyderczo—
Jak sny zbrodniarzów—drzew konary sterczą—
Wał chmur piekielnych martwe niebo kryje...

. . . .

..Ręce w mrok rwą się—wątłe, suchotnicze—
Świtem wieść przyjdzie czekana nowina...
Nadzieja w duszy tli się, nić jedyna...
Śmierć trwożna idzie po liczne zdobycze...

Nad miastem wisi noc, okropna, sina...
..Uśpiona w bieli cichego posłania,
Sny jasne roi przesmutna dziewczyna
I liczy chwile tęsknego rozstania...

Burza za oknem marzeń tkań roztrąca
I woła wichru wilgotnemi usty;
„Hej! twój kochanek śni—w domu rozpusty...
Hej!—ulicznica go tuli gorąca..."

A kędyś, straszną nocą obłąkany,
Pieśniarz nad harfą swoją łka rozpacznie—
Chciał pieśnią szczęścia dawne zgłuszyć rany—
Jęknął... Dłoń struny stargała niebacznie...

. . . .

Wichr z nienawiścią w bramy miasta bije
I śmiechem pjanym chichocze szyderczo—
Jak sny zbrodniarzów—drzew konary sterczą—
Wał chmur piekielnych martwe niebo kryje...

S. Pruszyńska.

Z KART ULOTNYCH.

Zburzono dawnych wierzeń mych gontynę,
I dziś mię żadne bóstwa już nie wabią.
Niewolę ducha precz rzuciłem rabią,
Jak wyzwoleniec w świat gdzieś teraz płynę...

Kochałem... ale całunki twe pieką,
Bo dla twych pieszczot serce mam za harde;
Wybrałem życie samotnicze, twarde,
Od błędnych ogni uciekłem daleko.

A jednak czasem duch się jeszcze lęka,
Że twe królestwo w sercu mem się szerzy,
Że czar twój wszelkie pokruszy puklerze,
Że nad mym losem twoja włada ręka.
Lecz już nie jestem wśród twoich rycerzy,
I już przed tobą moja pieśń nie klęka...

Eler. (L. Radziejowski).

ECHA GÓRSKIE.

W noc czarną, pędząc w góry szalony i blady,
Jęknąłem, przeklinając zbiegłe marzeń duchy—
I wzruszyłem mą skargą palącą bór głuchy,
Powtórzyły ją świerków posępne gromady.

I z piersi skał wyrwałem jęk, współczucia ślady,
Zawodziły nademną gór płaczek łańcuchy,
Biadały głucho szczyty, nocne gwiazd pastuchy,
I otchłań mi wtórzyła: bez rady!... bez rady!...

Jęk mój skały wtórzyły! płakały pogłosy
Na noc duszy, dla której świt się nie uśmiecha,
Na mą młodość zwiedzioną, na dolę, na losy...

Wśród ludzi czemuż taka nieznana pociecha?
Za nią... za tą kobietą, głuchą jak niebiosy,
Nie jęczałem, lecz wyłem... a nie było echa...

F. Nowicki.

WIDZENIE MORZA.

Szmat nieba się oderwał z kraju widnokręga
Zadrgał, zalśnił, zamarszczył łusk świetnych tysiące,
Wklęsnął, zamodrzał, ziemię opasał, jak wstęga,
I w głębokie mgły wnurzył obadwa jej końce.

Już na kraniec zachodu i wschodu przesięga,
Rozkrysztala powietrza kopuły wiszące,
Już tchnął, już poszła z niego świeżość jakaś tęga,
Zakołychał się z szumem i odstrzelił słońce.

Już otwarł się w niezmierność ogromną i siną,
Pół globu uczyniwszy lazurów łupiną,
Srebrem orzeźbia brzegi po ciemnej jej korze.

Już porwał oczy. Oczy moje we mgłach giną...
Już myśl porwał. Myśl w otchłań zapada szczeliną
I pierwszą perlą z głębin wybłyska. To morze! –

M. Konopnicka.

PRIMA-BALLERINA.

Tańczy... Sala huczy, wre i klaska.
Jak huragan, niesie ją muzyka.
Miga złota we włosach przepaska,
Sieją ognie sztrassy naszyjnika.

Jak szalona, w piruetach pomyka,
Pieści oko, zmysły drażniąc, głaska;
We mgłach tiulu błyska, to znów znika
Twarz jej, martwo uśmiechnięta maska.

W głębi sceny, w girlandowej bramie
Tłum statystów w kostiumach roccoco
W tęczach ogni bengalskich się łamie.

A wśród tłumu, ukryty głęboko
Dzieciak oczki otwiera szeroko
I przygląda się tańczącej—mamie.

Czesław (C. Jankowski).

Z WIDZIADEŁ.

I.

Znałem je—te przeklęte obłąkania chwile,
Gdy umysł, z okiem wrytem w zadań miljony,
Szukając prawd żywota w piersi swej mogile,
Własne trzewia rozdziera jastrzębiemi szpony:

Gdy Fatum z poza światów gwiaździstej zasłony
Urąga dumie karła, co ufny w swej sile,
Oczyma, przymglonemi w ksiąg zbutwiałych pyle,
Pragnie przejrzeć Wszechmyśli bezmiar nieskończony,

Napróżno duch niesyty tarzał się w tęsknocie
Bez-końca, bez nadziei, z pogardliwym wzrokiem
W grobach wiary, owianych tajemnicy mrokiem!...

Tuż przy nim olbrzymiały innych celów krocie;
Obszar czynu rozścielał pustki swe przed okiem...
Szalony! łaknął wiecznie, jak Midas na złocie.

II.

Strojna w kształty plastyczne uroczego ciała,
Z upajającym, w ogniu i we łzach, spojrzeniem,
Śliczna, rzewna, lękliwem wymowna wzruszeniem,
W objęcia, drżące szczęściem, kobieta zleciała.

I jedno życie drgnęło obu serc westchnieniem;
Pieśń natchnienia z miłośnym szczebiotem się zlała:
Dusza młoda, rozkosznym owiana płomieniem,
Wrzała, w słodycz pieszczoty roztopiana cała.

O, znam was, niezrównane i w grzechu i w cnocie!
I mnie też oczy śliczne dosięgły z padołu—
I pieśń moją zraniły w archanielskim locie...

Drząca padła na ziemię, i z duszą pospołu,
Przylgnęła ku jej piersi, usteczkom i czołu—
I skrzydła promieniste zanurzyła—w błocie.

L. Sowiński.

SATYRA I HUMOR.



I. Krasicki.

KUGLARZE.

Dosyć się to często zdarza,
Bywa kuglarz nad kuglarza.
Jeden z nich, a jest nie mało,
Żwawo i śmiało
Pokazywał, co może:
Zjadał łyżki i noże,
Z gałek ciasta robił grosze,
Karty przemieniał w kokosze,
Co chciał, stawiał, co chciał zmykał,
Usta kłódkami zamykał,
Kuropatwy robił z chleba;
Zgoła był takim, jak trzeba.
Bawił, dziwił od tygodnia.
Wszedł drugi i powiedział, ja się zowię zbrodnia.
Rzekł zatem do pierwszego, kolego i bracie:
Na rzemiośle się nie znacie:
A wy, co mnie widzicie,
Patrzcie, cuda ujrzycie.
Oto zwierciadło,
Co wszystko zgadło.

Zbliżył się szpetny, ujrzał postać miłą:
Przyszedł garbaty, i garbu nie było:
Każdy z pociesznym odszedł zadatkiem,
Kto nie miał zębów znalazł dostatkiem:
Poczerniałe,
Były białe,
Stara baba będąc młodą,
Pocieszyła się urodą.
Wszyscy sprawcę uwielbiali,
Wszyscy razem zawołali:
Oto zwierciadło,
Co wszystko zgadło.

Dał lichwiarzowi w rękę pełen kaszy garnek:
Skoro wziął, tyle groszy było, ile ziarnek:
Glina postać przybrała okutej szkatułki.
Otworzył stratny, znalazł pozew i pigułki:
Rzucił, porwał ją złodziej, i brzęczała złotem,
Ale gdy odbił zamek z niezmiernym łoskotem
Przestraszył go natychmiast widok niespodziany,
Złoto znikło, znalazł się stryczek i kajdany.
Stawił butelek parę szampańskich,
Oto, rzekł, extrakt obietnic pańskich.
Zrazu nic w nich nie było:
Cóż się potem zjawiło?
Oto coś, jak się zaczęło burzyć,
Mieszać, przewracać, pienić, i kurzyć,
Szelest zrobił się wielki,
Pękły obie butelki:
I znowu nic nie było.

Gdy to wszystkich dziwiło,
Jakieś dziwackie jął odprawiać szepty,
Jak grad na stolik leciały recepty.
Wziął jedną zdrowy, czytał, i słabo mu było:
Wziął chory, nic nie znalazł, to go uleczyło,
Spazmatyczna co tam stała,
To na swojej wyczytała:
Chcesz nie być chora?
Strzeż się doktora.

Zmienił modne kornety w worek wypróżniony;
Zrobił pierścień z pszenicy, a kufer z skarbony.
Zadziwili się wszyscy, on rzekł: to jest fraszka.
Dał młodemu trzos złota, została się flaszka.
Postrzegł w ciżbie dworaka, dał mu pęcherz z złotem;
Kazał ścisnąć, natychmiast niespodzianym zwrotem,
Odmieniwszy postawę prostą i obrzydłą,
Wystrzelił, jak z armaty, i wydał kadzidło.

Wziął fascykuł od jurysty,
Dmuchnął, został piasek czysty:
Z piasku owego zaraz bicz ukręcił,
Z bicza zrobił kałamarz; a gdy w nim coś zmęcił,
Ujrzeli w rękach swoich za taką robotą,
Ten co miał sprawę—piasek, co w niej gadał—złoto.

Sędziemu dwa pęcherze dał od zapozwanych,
Obadwa były pełne papierów pisanych.
Pękł, co był ubogiego, skoro go wymienił:
Bogacza w ważny wexel zaraz się przemienił.
A wszyscy zawołali z daleka i zbliska:
Tomito pęcherz, gdy kto na nim zyska.

Chcecie wiedzieć, rzekł: jakto przemysł rzeczy mnoży?
Niech z was każdy w ten worek pieniądze położy.
Stosując się do rozkazu,
Napełnili go dorazu.
On się pokłonił, podskoczył, wykrzyknął,
Brzęknął pieniędzmi, rozśmiał się i zniknął.

I. Krasicki.



PODRÓŻNY I KALEKA.

Nie skarżyłem na ludzi, nie skarżył na losy,
Choć musiałem iść w drogę ubogi i bosy.
Wtem, gdy razu jednego do kościoła wchodzę,
Spostrzegłem, leży żebrak bez nogi na drodze.
Nauczył mnie tem bardziej milczeć ów ubogi:
Lepiej mnie bez obuwia, niż jemu bez nogi.

I. Krasicki.

KRAKOWIAK.

Znałem ci ja znałem
Pewnego szlachcica,
Co się pieczętował
Herbem półkozica;
Jeździł po Paryżach,
Szalał po jarmarkach,
Grzmiał wielmożną pięścią
Po włościańskich karkach.
Ale inne czasy
Nastały do kata!
Panu szlachcicowi
Z rąk wyrwano bata
I krzyczano zewsząd,
By się brał z pochopem
Do pracy... jak gdyby
On szlachcic—był chłopem!!
„Horendum! czy koniec
Już świata się zbliża?“
Wykrzyknął—i machnął
Znowu do Paryża;
Lecz tam już niedługo
Los sprzyjał zdradziecki:
Powrócił golutki,
Jak święty turecki!

Bo ni stąd, ni zawąd
Bez winy—Bóg widzi!—
Wieś niemcy zabrali
Graty wzięli żydzi...
I szlachcic—nieborak
Tem losu zrządzeniem
Został tylko w jednych
Spodniach—z przeproszeniem!
Oprócz spodni—tarcza
Została herbowa,
Na której wyryta
Była kozia głowa.
Zamyślał się szlachcic,
Zapłakał, jak dziecko
—„Ha! trzeba choć godność
Ocalić szlachecką!
Nie godzi się gnuśnieć!
Do pracy!.. do trudu!..“
I mówiąc to—tarczę
Oczyszczać jął z brudu:
Chciał klejnot rodzinny
Bez żadnej mieć zmazy,
Więc czyścił tę tarczę
Codziennie trzy razy.
To cegłą tłuczoną,
To kredą, to piaskiem,
I cieszył się wielce
Słonecznym jej blaskiem;
A potu i trudów
Szafował niemało:
Pucował szorował
Ale cóż się stało?
Tarł póty i z takim
Pracował rwetesem,
Aż rogi kozłowi
Pościerał z kretesem.
Niestety! gorliwość
Go zbytnia uniosła,
Bo w herbie mu kozła
Zmieniła na osła!..

W. Wysocki.

MIĘDZY NAMI NIC NIE BYŁO.

Między nami nic nie było,
Żadnych zwierzeń, wyznań żadnych,
Nic nas z sobą nie łączyło,
Prócz balowych nocy zdradnych.

Prócz tych blasków, szmerów, woni,
Unoszących się po sali,
Prócz jarzących świateł toni
I tanecznych dźwięków fali.

Prócz uśmiechów, spojrzeń, słówek
Lżejszych, płochszych od motyli,
Prócz spacerów i wędrówek
Po salonach w takt kadryli.

Prócz ognistych dwóch mazurów,
Których długo trwa wspomnienie,
Prócz pół setki walca turów,
Słodkich, rzewnych jak marzenie.

Prócz—dość licznych w tej gromadzie
Polek, pełnych animuszu,
Dwóch pośliźnięć w galopadzie
I potrąceń trzech—w Ratuszu.

Prócz urwanych konwersacyi,
Co sie nigdy nie kończyło,
Prócz flirtacyi przy kolacyi
Między nami nic nie było.

I. Baliński.



W LOŻY.

Kiedy się na was z daleka patrzę
Z okna mojego poddasza,
Myślę, że jestem w loży w teatrze,
Lecz sztuka nudzi mnie wasza.

Muszę się dziwić, że scena świata
Takich ma nędznych aktorów,
Że gdzieś przepadły dawne dramata
Tęczowych pełne kolorów.

Widzę, że artyzm w życiu upada,
Że zamiast sztuki klasycznej
Ciągnie się farsa nędzna i blada,
Godna gawiedzi ulicznej.

Pierwszych kochanków niema na scenie,-
Ci są dziś anachronizmem—
Młodość straciła swoje płomienie
I żyje modnym cynizmem.

I niema nawet tragicznej maski,
Niema wyniosłych zbrodniarzy—
Więc trzeba tylko sypać oklaski
Najzręczniejszemu z kuglarzy.

Choć kto przywdzieje klasyczne stroje,
Daremny zachód i praca,
Nic nie pomogą togi lub zbroje,
Znać przebranego pajaca.

Brutus w kawiarni gniewem się pieni
I ostrzy pióra na panów...
Zjadłszy w pałacu kawał pieczeni,
Staje się jednym z baranów.

A utyceński posępny Kato,
Dawnej tradycyi naprzekór,
Chce się ożenić bardzo bogato
I poszukuje synekur.

Koryolan za to broni zażarcie
Konserwatywnych swych zasad,

A pokonany żebrze o wsparcie
W przedsionkach obcych ambasad.

Gracchus na chwilkę nigdy nie spocznie,
W górę zadarty ma nosek,
Wspięty na palcach stawia corocznie
Przerażający swój wniosek:

„By wszyscy mieli wybierać prawo,
Nawet najniżsi z narodu—
Czy chcą na drugich pracować krwawo,
Czy wolą umierać z głodu“.

Inny, przybrawszy Focyona pozę,
Odkrywa duszy swej wnętrze,
Kreśląc przewrotnych dążności grozę,
Co burzą wszystko najświętsze;

Nad rodem ludzkim szaty rozdziera,
Biadając: że cnota ginie!
I śpieszy, gdzie go czeka hetera,
Albo na karty w kasynie.

Tamten przywdziewa zbroję Gotfryda,
Prawym krzyżowcem się mieniąc,
Na niewiernego wyruszył Żyda,
Rosnąc w znaczenie i pieniądz.

I wyzyskuje siew nienawiści
Jako kondotyer-demagog,
Gdyby zaś większe widział korzyści,
Na żołd-by przeszedł synagog.

A bohaterscy Machabeusze,
Gdy ich przypadkiem sąd schwytał...
Bez zalęknienia oddadzą dusze
Za swoje bóstwo—kapitał!

Socyalistyczny trybun Pankracy,
Co w karczmie stały ma pobyt,
Naucza rzesze, że im mniej pracy,
Tem większy będzie dobrobyt.

Sokrates nową etykę stawia
Dla tych, co słuchać go warci,

Wielbi w niej wzniosłą wolność bezprawia,
Jeżeli nikt jej nie skarci.

Wstręt w nim powszednia moralność budzi
I tłum do pracy przykuty...
Więc się wciąż truje w gronie nadludzi
Absyntem, w braku cykuty.

Tyrteusz, wielki, natchniony epik,
Co wiódł Spartanów do boju,
Założył modnych towarów sklepik
W najświeższym guście i kroju.

Kilku Hamletów duma przy flaszce
I nie wie, gdzie się przyłączyć...
Gdyby mózg mieli w swej pustej czaszce.
Tragicznie mogliby skończyć!

Tymczasem świeczka po świeczce gaśnie,
Brzydko rzępoli muzyka,
Publiczność chrapie—a kto nie zaśnie,
Odwraca oczy i syka.

El....y (A. Asnyk).

BÓG WIE—CO NAM TRZEBA.

Pewien żyd mi powiedział: Bóg wie, co nam trzeba,
I dobrze nasz interes reguluje z nieba.
Jest tu u nas, w powiecie pewien szlachcic dumny,
Wielki wilk na pieniądze, chytry i rozumny...
Jak to pięknie Bóg zrobił rozdając dukaty,
Że ten szlachcic od dziecka jest taki bogaty!
Bo gdyby on był biedny, no, to by pewnikiem,
Nie jasnym panem został, ale—rozbójnikiem.

M. Rodoć (M. Biernacki).

BYŁO NAS TROJE...

Było nas troje... Ja, ona
I „Heine“ (w trzeciem wydaniu)...
Dobrany tercet śpiewaków
O serc prawdziwem kochaniu!

Dziewczyna wzdychała czule,
Jam patrzył w oczy pieszczotki,
Poeta szeptał na uszko
Czarownych piosnek swych zwrotki!

Było nam dobrze we troje,
Jak w maju—raju o wiośnie.
W piersiach się słodycz rozlała,
A serca biły radośnie!

Poeta śpiewał bez przerwy,
Dziewczę słuchało z zachwytem;
Miłość świeciła nad nami,
Jak promyk słonka błękitem!

Czułem jej serce przy sercu!
Splot złoty! usta wisienki!
Słodkie „*Das ewig weibliche*“—
Wtórzyło zwrotkom piosenki!

Więc padłem do stóp dziewczyny.
— Kochaj! – prosiłem ją blady...
— Nie mogę—rzekła z westchnieniem—
Pan nie ma dotąd posady!

K. Laskowski.



LALKA.

Niech lalka będzie grzeczna, nie płacze, nie beczy.
Ładnie mi się ukłoni i uszko nachyli,
A ja lalce opowiem wiele pięknych rzeczy,
Jak mi rodzice mówili.
W święto... mama mię w nową sukienkę ubierze,
I różową przepaskę zawiąże u czoła;
Ja wtedy umieć będę francuskie pacierze
I pojedziem do kościoła.

Toż to się dziwić będzie prostaków gromada!
Bo nie przy nich pisane zagraniczne słowa;
Mnie się głośno po polsku modlić nie wypada;
Czy to ja chłopka wioskowa?

Lecz cichutko... po polsku... poproszę w kościele:
Niech mi Bozia da rosnąć i wyładnieć prędzej,
A dla mamy i papy... niech da wiele.. wiele...
Żółtych i białych pieniędzy!...

Oni tak lubią grosze, tak modlą się szczerze,
Dają na mszę dwa złote, całują obrazy,
A Pan Bóg taki dobry—że, co dasz w ofierze,
To, słyszę, odda w sto razy.

Więc oni coraz hojniej Panu Bogu służą,
A Pan Bóg więcej płaci za ich chęć pobożną;
To zbierze się pieniędzy tak dużo... tak dużo...
Że i przeliczyć nie można.

Lalko! jaka ty śmieszna!... nie rozumiesz zgoła:
Pytasz, czy to Bóg przyjdzie we własnej postaci,
Albo przyśle z pieniędzmi swojego anioła,
Co za pobożność zapłaci?

Gdzie tam!—jak mówi mama—z Opatrzności Boskiej
Przyjedzie żyd brodaty, da groszów i dosyć...
Za pieniądze kupimy chłopów cztery wioski,
Co będą nam żąć i kosić.

Ty tylko tego nie wiesz, że my—to panowie,
A jeszcze jest lud inszy, chłopami nazwany.
Którym Pan Bóg z niebiosów przykazał surowie,
By pracowali na pany.

Brudne, brzydkie, pijane—czysto jak nędzarze,
W poszarpanych siermięgach ledwie włóczą ducha,
Lecz sami sobie winni, to Bozia ich karze,
Że chłopstwo papy nie słucha.

Papa kocha swe konie, mama swego szpica,
A chłopów każdy łaje, każdy kijem kropi;
Doprawdy, że aż szkoda... skąd taka różnica?
Niegrzeczni muszą być chłopi!...

Ot i wczoraj... gdy papa zasnął po obiedzie,
Pytam się—czy to pięknie i jaka potrzeba?
Weszli—zbrudzili pokój, krzyczą jak niedźwiedzie:
„Chleba, panoczek! daj chleba!“

Więc kazano ich obić... i słusznie obici;
Już ja kiedy wyrosnę i mieć będę zboże,
Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,
Nigdy się spać nie położę.

Bo proszę, jak to zasnąć, kiedy naród blady
I do drzwi i okien ciśnie się z pokorą?
Nie nakarmić ich chlebem... to przyśnią się dziady
Jeszcze do torby zabiorą.

Lub co gorsza w obrazku Pan Jezus się dowie,
Co dla zgłodniałej rzeszy chleb i rybę łamie...
Lalko! zmówny pacierze o chleb i o zdrowie
Chłopom i papie i mamie.

W. Syrokomla.



ZA PSIE PIENIĄDZE.

I.

Gdy spytał, rzekła: „Z ochotą!“
Lecz wprzód wyliczyć kazała
Drobnostkę: mizerne złoto
Na wągę pięknego ciała.

Gdy spytał, ona mdlejące
Od głodu ciało swe młode
Sprzedała nie za tys ące—
Za kilka groszy w nagrodę.

II.

Pierwsza jest damą dziś znaną,
W wielkim obraca się świecie,
I do kościoła co rano
Każe się wozić w karecie.

Mniej z hańby zyskała swojej
Druga.... ulżyjcie jej męce:
Ta przed kościołem tam stoi
I, żebrząc, wyciąga ręce.

III.

Ja, kiedy widzę je obie:
Tę strojną, tamtą obdartą,
Zadaję pytanie sobie:
Która też więcej jest wartą?

I pytam grzesznemi usty,
Gdzie większy ciężar w przewinie:
Czy, gdzie się pada z rozpusty,
Czy tam, gdzie z głodu jedynie?

IV.

Żebrząc, wciąż dłonie wyciąga
I wzrok spłowiały wyłupia....
— Nie, nie dam ci ni szeląga!
Dla czego byłaś tak głupia?

Świat i przed hańbą się korzy,
Czcią brudne otacza żądze,
Lecz byłoż sprzedać się drożej,
A nie tak za psie pieniądze!

S. Rossowski.



NA POCZĄTKU WSZYSTKO BYŁO.

Na początku wszystko było;
Koncentracje, wiece, tłumy...
Tysiąc głosów w sufit biło:
Kogo mamy słać do Dumy?

Wytykano jednym wady
Innych zasię się chwaliło,
Były rady i narady..
Na początku wszystko było!

Potem jakoś w każdą dobę
Mniej kwapiono się do Dumy,
O poselską się osobę
Mniej troszczyły szersze tłumy!

Wreszcie ci, co w pierwszej chwili,
Rwali się, jak do wrót raju—
Nic nie robić uradzili,
Aż nie będzie... lepiej w kraju.

K. Laskowski.



NIE-KOBIECIARZ.

Dowodził im głęboko a dosadnie,
Jak marną jest zmysłowa rozkosz wszelka,
Jak instynkt nas—(natury mądrość wielka!)—
Podchodzi zdradnie...
Dowodził im: „kobieta jest otchłanią,
Gdzie męska moc i ducha jasność gaśnie...“
Lecz urwał tu... Dziewczyna przeszła właśnie,—
Więc pobiegł za nią!

L. Blumenthal (L. Belmont).

LEGENDA O SZAMPANIE.

Raz—kroć sto tysięcy dyabłów,
W piekle bunt podniósłszy srogi,
Opuściło obowiązki
I na ziemię dalej w nogi...

„Toż będziemy pić i hulać!“
Wrzeszczą dyabły—lecz, niestety,
Wszystkim pić się wściekle chciało,
Żaden nie miał z nich monety...

Dzisiaj nie ma nikt kredytu—
Nawet dyabeł... Źle z dyabłami!
Smutnie drapią się za uszy,
Z złości kręcą ogonami.

A król piekieł—pan Satanas
W kułak się w Hadesie śmieje:
„Niech poznają teraz, durnie,
„jak się tam na świecie dzieje!...“

„Przyjdzie umrzeć nam z pragnienia!“
Biedne dyabły zawołały—
„Któż nas zbawi?... — „Ja, panowie!...“
Wyrwał się Pipifales mały.

„Pić nie macie co?—Nieprawdaż,
„Waszych smutków to przyczyną.
„Czy widzicie tę piwnicę?
„W niej przepyszne macie wino.,.

„Tam się zakwaterujemy,
„Tam wesoło pohulamy!...
„Brak wam grosza? głupi powód!...
„Czyż dlatego pić nie mamy?—

„Drzwi zamknięte?—Bagatela!
„Teologia nas naucza,
„Że najlepiej pono dyabłom
„Dziurką wcisnąć się od klucza!...“

Wszystkie flaszki wypróżnili,
Bo z dyabłami nie przelewki—

Pieje kur... na ziemi leżą
Skuci, niby cztery dziewki...

Wtem Satanas wszedł—za karę
Dyabłów w próżne flaszki schował—
Oblał smołą—szyjki związał
I najszczelniej zakorkował...

Więc—kroć sto tysięcy dyabłów
Na dnie flaszek odpoczywa—
Każda z tych piekielnych flaszek
Dziś szampanem się nazywa...

Kiedy srebrne szyjki błysną,
Każdy kuraż dyabli czuje...
Drut przecięty... korek strzela...
Ha! To dyabeł wylatuje...

B. Czerwieński.



PAN AMBITNICKI.

Aż miło patrzeć na tego pana
Taki systemat chodzący!
Co dzień się myje i goli z rana,
Słowa nie powie niechcący.
Wszyscy się w niego patrzą jak w tęczę
I przed nim chylą swe czoła,
Bo że ma miljon, za to ja ręczę,
I nie zawiodę się zgoła.
W młodości swojej ten człowiek wielki
Był pocholęciem ubogiem
I jako władca jedynej szelki
Zasypiał nie raz pod progiem.
Dziś jednak, gdy się pozbył kłopotów
I już odcina kupony,
Słowo honoru zawsze dać gotów,
Że jest w pałacu zrodzony.

Gdy chodząc do szkół, miał bose pięty
I ręce z zimna ponsowe,
Jakiś filantrop litością zdjęty,
Płacił za niego wpisowe
Dziś w każdej chwili przysiądz jest w stanie
I wszystkich bierze na kawał,
Że ojciec jego na wychowanie
Bajońskie sumy wydawał.

Będąc studentem bez pomieszkania,
Mieszkał w łazience dni wiele,
Była to bardzo siedziba tania,
Bo ciotka miała kąpiele.
Dziś, wspominając życie studenta,
Mówi, że mieszkał wspaniale
I do tej pory jeszcze pamięta
Dawne swe piękne lokale.

Gdy aplikantem został nareszcie!
Aby pokrzepić swe członki,
Mając półrocznie złotych aż dwieście,
Jadał na kredyt u Bronki.
Dziń, gdy wspomina o aplikacji,
Klnie się jak dryndziarz nad ranem,
Że nie szedł nigdy spać bez kolacji
Oblanej suto szampanem.

I tak przy każdej takiej powieści,
Gdzie słów jest więcej niż wątku,
Swe własne uszy piosneczką pieści
O swym rodowym majątku.
Człowiek ten bowiem, co ma miljony,
O których marzą próżniacy,
Nie chce na chwilę być posądzony,
Że wszystko winien swej pracy.

W. Pląskowski.



WYRWAS.

Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!
Zalecał się Grześ Teresce.
A że chłop był od „Kalisa“,
Buty ze psa, czapka z lisa.
Czapka z lisa, łeb kudłaty,
Na gardzielu szalik w kraty.
Żupan na nim na pętlice,
Z „jaźwiem“ futrem rękawice,
Pas włóczkowy, talar w „kiesce“.
Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!

Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!
Zaleca się Grześ Teresce
Ciągle w „uną“ wraża ślepie,
To ją łechtnie, to uszczypie,
To jej łokciem „ziebra“ zmierzy.
A Tereska zęby szczerzy.
Zęby szczerzy, a radaby
Wleźć co rychlej między baby.
Bo i czegóż czekać „jesce?...“
Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!

Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!
Zaleca się Grześ Teresce,
Wieczną miłość jej ślubuje
I co trocha przyśpiewuje:
— Bądźże moją, los ustalisz!
Niema miasta, jak nasz Kalisz!
Boć wszystkiego tu dostanie—
Będziem mieli używanie,
Póki jeszcze talar w „kiesce“!
Rach ciach! ciach ciach! ciach po desce!

K. Laskowski.



W WAGONIE.

Napchało się w wagonach,
A jazda długa będzie—
„Aj, panie konduktorze,
Po sześciu w jednym rzędzie!“

Naprzeciw ksiądz-bernardyn
Swą tuszą Boga chwali,
Tuż przy mnie piąta kurya
Smrodliwy tytoń pali.

Jest i rodzinny obóz,
Pieluszki, dziecko, pypka;
Bąk starszy z palcem w buzi
Wytrzeszcza ku mnie ślipka.

Ale pomimo ścisku,
Wsiąść jeszcze dwoje może—
Przez okna tu wsiąknęli
Z tej nocy, tam, na dworze.

Biletu nie płacili,
Dziwni pasażerowie—
Bo oni niewidzialni,
Coupé ich w mojej głowie.

Co oni wyprawiają,
Zuchwali i szczęśliwi,
Niech myśl im nie odmawia,
Niech pustkę im ożywi!

Kopnęli wszystkie względy,
Podarli wstydu szaty,
Odziali się w pieszczoty,
W płomienne weszli światy...

Ej, moi goście mili,
Zabawa nieostrożna!
Na oczu mych siatkówce
Zobaczyćby was można.

Hej, moi współpodróżni,
Nikt z was się nie oburza?

Kiwają w dół głowami,
Sen oczy im zamruża.

Hej, stacye wy w ciemności!
Hej światła elektryczne!
Ja wiozę kontrabandę,
Zgorszenie—ach! publiczne!

K. Irzykowski.

TO ZUPEŁNIE INNA KWESTYA.

Ci chłopi, to dziwna rasa:
Odwieczny wstręt do oświaty,
Nic a nic w nich nie wygasa.
Propagandy, systematy,
Ankiety, stowarzyszenia...
Wszystko idzie jak z kamienia.

Wczoraj, chcąc obejrzeć studnię,
Idę... stoi chłop przy chacie;
Więc mówię: dobre południe,
Iwanie, cóż tak dumacie?
I gawędząc z nim troszeczkę,
Ofiaruję mu książeczkę.

Kładę w głowę jak łopatą,
Że są ciemni i niedbali,
Że jedyny środek na to,
Żeby książki kupowali.
Że to nie jest żaden zbytek,
A przyjemność i pożytek.

W końcu pytam: Cóż Iwanie?
A on mówi, z kwaśnym giestem,
„To prawda, Wielmożny panie,
„Tylko że ja głodny jestem“.
Głodny! Co za dzika bestya!
To zupełnie inna kwestya!

M. Rodoć. (M. Biernacki).

NIE WYPADA.

Bezskrzydłe sylfy! nimfy z grzywkami!
Ufryzowane cheruby!
Świat róże uciech rzuca przed wami,
Lecz jest też i miejscem próby...
Żeby nie zginąć wśród samołówek,
Jak ptak odbity od stada,
Zgłębiajcie, siostry, mądrość dwóch słówek:
„Wypada“ i—„nie wypada“.

By twarz wciąż miała wyraz wesoły,
Spokojną musi być dusza—
A więc się najpierw, ziemskie anioły,
Strzeżcie wszystkiego, co wzrusza...
Gdy zaś od płaczu źrenice gasną
I cera staje się blada—
Odczuwać boleść cudzą czy własną,
Stanowczo wam—nie wypada!

Bóg ubrał miłość w rajskie ponęty
I zrobił życia koroną;
Człowiek się przez nią staje półświęty,
Pierś niebem ma przepełnioną...
Lecz słowo „kocham“, choć równa z Bogiem,
Na serce jak piorun spada,
Odbiera spokój, nerwów jest wrogiem...
I kochać więc—nie wypada!

Gdy odtrącony przez was szaleniec,
Z Werterów dumnego rodu,
Zapragnie zdobyć męczeński wieniec,
Mszcząc się swych uczuć zawodu,
Chociażby miała pasmo dni jego
Zniweczyć kula lub szpada,
Boleć nad losem zawiedzionego
I cofać go—nie wypada!

Modlitwa, duchów niebiańska rosa,
Jakże uczuciem jest błogiem!
Człowiek otwarte widzi niebiosa,
Gdy na twarz padnie przed Bogiem...

Lecz z głośnym jękiem przed ołtarz śpieszy
Tylko prostaków gromada...
Wam się przyłączać do płaczków rzeszy
I ronić łzy—nie wypada...

Ludzkości róże! tłumów klejnoty!
Anioły ziemskiego nieba!
Wam słodkich wrażeń ciągłej pieszczoty
I szkieł cieplarni potrzeba...
Gdy miękkie serce zdradziecko kruszy
Prawdy życiowej szkarada—
Ludzkie wam czucia posiadać w duszy
I ludźmi być—nie wypada!

W. Gomulicki.

WOLNOŚĆ.

Koń, co od źrebca w pługu
Chodził, tudzież w bronie,
Posłyszał raz, że w stepach
Żyją wolne konie.
Przyszedł więc do dziedzica
I rzekł:—„Mój dziedzicu,
Sprzykrzyło mi się chodzić
W chomącie i w licu.
Daj mi wolność! Gdy nie dasz
Zdobędę ją strajkiem!“

Dziedzic, słysząc to, wyjął
Z cholewy nahajkę
I zawołał:—„Robota
Przykrzy ci się, leniu?
Nic z wolności, póki mam
Siłę w tym rzemieniu.
Twoja wolność, to dla mnie
Ruina, aniele.

Zresztą wolność od robót
W każdą masz Niedzielę.
Wtedy zgodnie z mem dobrem
No—i z boskiem prawem
Od pługa wolny, możesz
Do woli jeść trawę“.
Tu spętał go i pewny,
Że nie umknie nikaj,
Rzekł;—„No, teraz, mój koniu,
Strajkuj tu i brykaj!“—

J. Lemański.



ZASADY.

Oddycha dla ogółu,
Jasno swój sztandar niesie:
Waryacya! waryacya!
Ssie bliźnich bez skrupułu,
I coraz wyżej pnie się:
Racya! racya! racya!

Stracił i zlikwidował,
Został w jednej kapocie:
Winny! winny! winny!
Trzy razy bankrutował,
Ma składy, sklepy, krocie:
Czynny! czynny! czynny!

Uboga, głodna wreszcie,
Skradła bochenek chleba:
Złodziej! złodziej złodziej!
Skradł milion—dał na kweście
Aż tysiąc; wielkie nieba!
Dobrodziej! dobrodziej!

Pisze, lecz piruetów
Przed mitrą nie wyrabia:
Zero! zero! zero!
Autorem trzech pamfletów
Na temat: wiwat hrabia!
Cycero! Cycero!

Chce obmieść pył z kościoła,
Nie wierzy w Boga-kata:
Przeklęty! przeklęty!
Do biednych „pośćcie“, woła,
A sam półmiski zmiata:
Święty! święty! święty!

Pracuje i oszczędza,
Nie poi swe sąsiady:
Sknera! sknera! sknera!
W sercu i w głowie nędza,
Zaprasza na obiady:
Wiwat!...—Et caetera...

M. Biernacki.



ŚLIMAK.

(B a j k a).

Gdy gaduła Skowronek opowiadał dziwy
O przestrzeniach olbrzymich, jakie widać z góry,
Żółw zaś sceptyk podrwiwał—na listku pokrzywy
Siedział ślimak i słuchał. A nie wiedząc której
Stronie wierzyć wypada,
By się nie dał ołgać,
Pomyślał:
— Jedyna rada:

Gdzieś na wyżynę samemu się wczołgać
I sprawdzić osobiście, co tam znów takiego
Widać bardzo ciekawego.
Ślimak—wiadomo—choć się nawet znuży,
Zmęczy okropnie,
Gdy coś postanowi—dopnie.
Więc rzeczywiście, po trzech dniach podróży
Nasz pielgrzym stanął na pagórka szczycie.
Był świt. Z wierzchołków śnieżnych dookoła
Już tuman spływał, a gór sine czoła
Nad noc nizinną ranek wydobywał
I stroił w blaski.—
Ślimak należycie
Wypoczął, podjadł sobie i wystawia rogi.
Patrzy... Tu widzi trawkę, tam znów kwiatek, listek
Ot widok wszystek.
— Nic—rzekł nadzwyczajnego. Szkoda było drogi.

B. Hertz.



TANDECIARZ.

Hej panowie, piękne panie!
Kram otwarty—wstąpić proszę,
Wszystko u mnie piękne, tanie,
Choć zużyte już potrosze.
Każdy z was być pewnym może,
Że usłużę w kilka chwilek—
Wszystko u mnie jest w wyborze,
Od brylantów aż do szpilek!
Czego chcecie,
Dostaniecie
Na tandecie!

Patrzcie! Oto brzeszczot stary,
Zjedzon wpół od rdzy i śniedzi,
Pamiętają go Tatary,
Niemcy, Wołosz, Turcy, Szwedzi.

Dawniej klinga ta błyskała
Sławą po szerokim świecie,
Dziś bez głowni—zardzewiała.
W prochu leży—na tandecie!

Czyż nie piękne te dwa serca,
Z jasnych włosów wyplecione?
Amor strzałą je przewierca,
Z prawej strony—w lewą stronę!
W koło wstęga zwita—na niej
„Suwenir"—wysztychowano...
Jakaś młoda, piękna pani,
Dziś mi to sprzedała rano.
        Serca kupić też możecie
        Na tandecie!

Tydzień temu ze starości
Zmarła pewna jejmość święta,
Płaczą baby po jejmości,
Piszczą pozostałe psięta,
A zaś basem—trzy zakony
Wyśpiewują antyfony
To jej książka do modlenia,
Patrzcie jak oprawna ślicznie!
Dosyć, aby dojść zbawienia,
Modlić na niej się publicznie!
Świętość także, jeśli chcecie,
        Dostaniecie
        Na tandecie!

Dam za bezcen te szpargały,
Bom sam za nie dużo nie dał
Jakiś autor mi zgłodniały
Papier ten na wagę sprzedał.
Kupcie! Proszę!—Dwie rozprawy!
Plik notatek! Trzy dramata!
Tanio można dojść do sławy
I geniuszem stać się świata!
Wszak nie jeden „wielki" przecie
Rozum kupił—na tandecie!

B. Czerwieński.

RONDO-SCHERZOSO.

Z księżycem znam się chyba
Pół kopy lat z okładem,
Znał się z mym ojcem, matką,
Znał nawet z moim dziadem.

Z tych względów nasz stosunek
Jest wielce poufały,—
Nazywam go: „jegomość“,
On do mnie mówi: „mały“.

—„Jegomość taki blady“—
Mówię mu—„wielka szkoda!
„Czy to tak z niewyspania,
„Czy taka już uroda?“

—„Mój mały“—rzecze do mnie—
„To widzisz z innej racyi:
„Patrząc na świat wasz w dole,
„Pobladłem z irytacyi..

„Gdybym się nie odwracał
„I wrażeń nie odmieniał,
„Byłbym już miał żółtaczkę.
„Lub dawno pozieleniał“.

Z księżycem znam się chyba
Pół kopy lat, a przecie
Tak źle jegomość nigdy
Nie mówił mi o świecie!

Coś jest, co mu tak humor
Psuje i chmurzy lica,
Lecz co?.. Skąd ja mam wiedzieć!..
Spytajcie się księżyca.

M. Gawalewicz.



NA WSZECHMOCNE PODARKI U NAS, I ŻE TU W POLSZCZE OMNIA VAENALIA.

„O nierządne królestwo i zginienia blizkie,
Gdzie ani prawa ważą, ani sprawiedliwość
Ma miejsca, ale wszytko złotem kupić trzeba,“ —
Tak o Troi napisał pisorym nasz polski,
A ja tych słów zażyję o królestwie naszym
Gdzież się więcej znajduje i tych co przedają
Prawa, wolności nasze, i tych co kupują?
Coby tu rzekł Jugurta, który raz o Rzymie
Powiedział *O venalem Urbem, si emptorem*
Inveniat! A tu co? swobody, honory,
Dygnitarstwa przedajne, przedajna i cnota,
I wiara i Ojczyzna, i wszystko przedajne.
Nie chcę, tylko *theatrum* sejmowe wziąć przed się,
Nie chcę, tylko dwór pański: idź tam kto nie wierzy,
A uznasz i przyznasz mi, że wszystko przedajne.
To i Polska przedajna i Rzeczpospolita?
Czemu nie, tać najczęściej na targu więc bywa.
Na sejmie rzecze drugi z tych to: Nie Dorotkam,
Nieprzedajna. Aliżci ledwie *per noctata*
Przejdzie, alić Dorotka Dorotką nieboga.
Dała się przedarować. Spuściła z uporu.
Przyjdzieszli na dwór pański, alić dadzą temu
Wakancyą za to złoto dziś; dadzą drugiemu
Też nazajutrz, gdy więcej da czerwonych złotych.
Promocya przedajna. Jeśli z urzędników
Jeden się promowuje, niechże zaś kto drugi
Uda się do drugiego promocyi, a da
Rzęsisto, aliś osechł ty, i z promotorem.
Odmienią wnet przywilej, choć się król podpisze.
Złoto samo promotor prawdziwy, pieniądze
Więcej niż marszałkowie, niźli pieczętarze
Mogą, przez leda babę panu wyliczone.
Co złoto w trybunałach czyni i wszelakich
Sądach, tych tylko spytać, którzy wygrawają,
Gotowa tam wygrana, gdy praktykiem złoto.
To od ciebie niech mówi, a jurysta milczy.
Upewniam, żeś ją wygrał. Inaczej przegrałeś
Chudzino, gdy z próżnemi rękoma przyjedziesz.

Złoto cię wesprze w twoim staraniu o żonę,
Gdy nim naścielesz rękę jednej tam i drugiej
Babie, lub ochmistrzowi, lub spowiednikowi,
Pannomli też służebnym, karłom i karlicom.
Złoto otwiera serca, otwiera fortece
Niezdobyte, tak kiedyś Macedo powiedział.
Lada żyd lepszy z workiem złota tymi czasy,
Niż najstarszy przyjaciel. Ow ma zawsze przystęp,
Ten się musi naczekać czasem do wieczora.
Zgoła za złotem wszystko chodzi, zgoła onym
Każdą rzecz stargujemy i każdą kupiemy,
Lecz jak tak ujdą targi i kupna w drobniejszych
Rzeczach i sprawach. Ale kto Ojczyznę na targ
Puszcza, jakiej jest godzien winy i karania?
Osądź to sam mój Boże, a karz takich synów.

K. Opaliński.



NIE UCIEKAJ.

Nie uciekaj—nie kręć główką—
Nie żamykaj drzwi,
Na dobranoc jedno słówko
Jeszcze powiedz mi—

Boskie słówko!—rajskie dźwięki!
Lecz, na Boga, stój!
Jeszcze tylko mi maleńki
Daj paluszek swój!

Drzwi skrzypnęły—błysnął w szparze...
Śliczny!—cudów—cud!
Czyś maczała go w nektarze,
Że słodki jak miód?

Skiń paluszkiem tym, o droga,
Wskoczę dalibóg,

W ogień, w wodę... lecz na Boga,
Tylko nie za próg—

Usta moje jakaś siła
Przylepiła doń,
Dajże jeszcze—dajże miła
Na dobronoc dłoń!

Wysunęła rączkę swoją—
Całą rączkę mam...
Poco drzwi te tutaj stoją?
Nienawidzę tam.

Chmurka na twem czole gładkiem
I ściągnięte brwi—
Czyżem winien, że przypadkiem
Otworzyłem drzwi?

Ach, przyznaję się do winy,
Lecz przebacz mój błąd,
Całus tylko daj jedyny
I wnet wyjdę stąd—

Jeszcze jeden, mój aniele,
Na dobranoc złóż,
Jeden całus, tak niewiele,
Już wychodzę—już...

Cmok w buziaczek, w oczka—szyję,
W falujący biust
Od słodyczy, którą piję
Nie oderwać ust!

Pocałunkom niema końca
Dobranoc raz w raz...
Ach!.. natrętny promień słońca
Do pokoju wlazł.

Noc nam przeszła jedną chwilką
Miałem z tobą raj...
Już ostatni całus tylko
Na dobrydzień daj!—

W. Wysocki.



W. Pląskowski.

OFIARY IDEI.

W handlu za stołem, siedzieli społem
Zdegumowani faceci,
Jeden był rudy, drugi był chudy,
A grubopłaski był trzeci.

„Nie uwierzycie, jak ciężkie życie!“
Rzekł jeden, wąs kręcąc w palcach;
„Co wieczór muszę, wytrząsać duszę,
W mazurach, polkach i walcach.“

„To nic,—rzekł drugi,—za te usługi,
Pozyskasz kiedyś nagrodę.
Lecz ja bez celu, mój przyjacielu,
Marnuję swe lata młode!

Z bieloną twarzą, służyć mi każą,
Gustom niestalszym od wiatru,
Bom jest aktorem i dyrektorem
Amatorskiego teatru!...“

„O dzieci, dzieci!... Wykrzyknął trzeci,
Czemże są wasze katusze?
Przy tem cierpieniu, przy tem znudzeniu,
Jakie ja znosić wciąż muszę!

Obcy zabawie, codziennie prawie,
Tkwię za zielonym stolikiem,
rżnę bom chrobry, po robrach robry,
Lub się ratuję bezikiem!“

Tak mówią młodzi, i każdy słodzi,
Gorycze życia koniakiem...
Wtem, zerknął stary przez okulary
I wyszedł z orędziem takiem:

„Zacni panicze, z serca wam życzę,
By was minęły kłopoty:
Zrywajcie zatem z okrutnym światem.
I lżejsze bierzcie roboty.

Pierwszy niech chwyta, szewckie kopyta,
Drugi, niech szyje odzienie.
Trzeci zaś może, (pomóż mu Boże),
Tłuc na gościńcu kamienie.

W ten sposób życie, rozweselicie,
Błyśnie wam promyk nadziei...“

. . . .

„Głupiś!—rzekł jeden,—nie dla nas eden,
Myśmy ofiary... idei!“

W. Pląskowski.



RUCH ETYCZNY.

W pewnej gminie
naprawę swego bytu uraiły świnie.

Na wygonie, pod lasem,
stanął wiec.
Za okrasę
cenicny (któż tego nie ceni?)
i za biegłość w mowie,
wieprz Gnojoryj*) na chojaka pień wylazł i basem
zagaił.

—„Szanowna trzodo!
Za łaskawą świniarka i psa jego zgodą,
my, niżej zgromadzeni,
świnie i wieprze,
stanowić mamy o zmianie na lepsze.
Ekonomiści nasi (nie ekonomowie)
tudzież inni uczeni ojcowie nierogacizny
twierdzą że nieszczególne prowadzimy życie.

Spójrzcie w głowizny
wasze... Czy już? Cóż? widzicie?
Niewesoły jadłospis: na plewie
pitraszoną karmimy się strawą,
mieszkamy w chlewie,
słowem, gdzie oczy zwrócić: na lewo czy prawo,
w Kiernozi czy Mińsku—
świnie żyją po świńsku“...

—Brawo! brawo!—
z uznaniem krzyknęli słuchacze.

Tu karmnik Wkorytowlaz, chudszy, choć też spory,
mniemając, że perory
koniec, na drugi pień skacze
z temi słowy.

—„Przedewszystkiem zganię
poprzednika zdanie,
wygłoszone tu z tego... nie—
z tamtego pieńka—

*) Gnojoryje od świni Noego ród wiodą.

Omyłka maleńka... he, he... Otóż,
gdy na pierwszym planie,
według pana Gnojoryja,
postawimy odżywianie,
łatwo, tuszę,
rozwój słoniny zaleje nam dusze.
Również się z istotą mija
doniosłość faktu, że mieszkamy w chlewie.
Wpierw sobie trzeba pytanie etyczne
zadać: czy żyjem cnotliwie?
a postawiwszy wytyczne,
oprzeć żywota koryto
na ideale"...

—„A bodaj cię zabito
na kiełbasy krakowskie jeszcze w tym kwartale!"—
przerywa mu Gnojoryj.—„Niech pan się wytrynia z
pniaka,
głów nam tu nie zawracać!
Cnota ladajaka,
gdy jak pies mieszkasz a żyjesz jak świnia.
Mawiali Grecy: *nie wychowasz lwa na sianie,*
a Rzymianie dodali:
W zdrowem sadle zdrowa świnia"...

Tu się kwik uczynia.
Poglądy za i przeciw krążą, piana kryje
Swarliwe ryje,
Niektóry, co ruchliwszy—dowód kłem popiera.
Zgoła, przywary stare, chociaż nowa era.

Tak gdy rai rzesza,
jakiś stary, cherlawy, z miną apostoła
wieprz się miesza
do sporu. Nie jest on wymowny,
i w sylabach niewielu streszcza się. Odkrycie
zrobiwszy jeszcze w prosięcej
dobie, że najtłustszych świń najwięcej
gnie, postanowił wstrzymać tycie
swej osoby. W tym celu nad dwa-trzy korzenie
nie jadłszy, dużo biegał, myślenie

ćwiczył i spał tylko trocha.
Tak żyjąc, chudy, dożył lat Enocha.
Niech tak wszyscy czynią—
kończył—a ludzie dadzą pokój świniom.

—Precz z nim!—wrzasnęła tłuszcza z rzadką
jednomyślnością.—Także metodę
znalazł! Toć już bodaj z jatką
poznać się lepiej, niż przymierać głodem!—

Zaczem nowy rzecznik wstąpił na kłodę.

Był to wieprzak, z mizeryi do świńskiego cienia
podobniejszy, niż czegokolwiekbądź innego w świecie;
szczecina mu na grzbiecie
rosła na podób grzebienia—
symbolu czystości.
Mówca chrząknął jak gdyby wykrztuszając ości
rybie i zaczął.

—„Pozwolicie, że wlezę
też w ten temat żywotny. Jabym radził ascezę.
Niech świnia z wieprzem będzie, jako siostra z
bratem:
uniknie się zgorszenia, a co za tem
idzie—pomstwa. Jest to sposób jedyny
odzwyczaić człowieka od jadania świniny".

Zaledwie skończył okres, aliści dziewice
i co młodsze matrony, zwlókłszy go z mównice,
wzięły na ryje.

Kiedy tak każdy z mówców dostawał po nosie,
zdawało się,
że już niczyje
się nie ozwie słowo;
lecz przecie dał się słyszeć z teoryą nową
kawał dzikusa, warchoł krnąbrny i przeznaczon
na litewskie szynki.
Ten zalecał prostotę wieśniaczą
wskrzesić. Nie zwłócząc krzynki,
do lasu dać nura
i żyć tam jak przodkowie, jak każe natura.

—„Albo to mi źle w lesie? Żarcia tam, że ino:
żołędzi w bród, buczyny, a grzybów, a trufli!..
Wycieczki w szkodę można, kto pości,
Od czasu do czasu
robić, ziemniakiem wnętrzności
wesprzeć albo i boćwiną,—
swoboda, luz i tyle!... Miedza, góra, rów-li—
skacz, pyskuj, ryj, dokazuj: po skórze nikt nie da!“

—Do lasu, do lasu!—
wrzasnęła czereda,
i powszechnym cwałem
wyraziła uchwałę.

Tu dziejopis rzuca pióro,
by załamać ręce nad słabą naturą
świńską. Jakże niewytrwałe
dusze zlepia
z ciałem przyrodzenie!
Zaledwie pierwsze wpełzły w bór zachodu cienie,
wszystkim jakoś łzawo
patrzały ślepia,
a kiedy zorza ostatnim szkarłatem
bluzgnęła po niebie,
wróciła trzoda do chlewów—do siebie;
wróciła, tęskniąc za psem, za batem,
za zwykłą strawą,
warzoną w saganie,—
wróciła—znowu mistyczne czekanie
oblewać łzami,
zgadując: kto też najprędzej będzie
wędził się w swędzie
jałowca jutro
na polędwicę albo salami?..

J. Lemański.



NA TAMTYM ŚWIECIE.

W poobiedniej godzinie Niemcy w swej Walhali,
Smacznym kuflem się racząc, społem rozprawiali.
Właśnie, spojrzawszy w przyszłość na daleką metę,
O sukcesach germanów perorował Göthe;
Scheling, Fichte i Hegel, patrząc mu w oblicze,
Pokryjomu pod stołem z piasku kręcą bicze!
Kant Emanuel mruczał: „Możesz sobie gadać,
Ale ja to krytycznie wszystko muszę zbadać“;
A zaś Heine, gdy piwa chłopiec mu dolewał,
Krzywił się, myśląc:—„Głupim, żem po szwabsku
śpiewał“.
Wtem słowa mówcy przerwie silny odgłos dzwonka
I pachołek zdyszany przypadł od przedsionka,
Wołając: Ktoś tam przysłał do Walhali pana
Prośbę o „dyplom wiecznej sławy“ dla Hartmanna.
Uprzejmie o tę łaskę prosi więc i o ten
Zaszczyt... Göthe, splunąwszy, przerwał mu:
„*Ausrotten*“.

M. Bohusz.



ZERO.

Twierdziłem niegdyś, wydając lekcyę,
Nie znając jeszcze zwątpienia,
Że cyfra *zero*, sama przez siebie,
Nie ma żadnego znaczenia.
Ale wnikając w sprawy społeczne,
Ja zrozumiałem dopiero,
Że tu.aj właśnie wyższe znaczenie
Najczęściej posiada *zero*.

L. Belmont. (L. Blumenthal).

ŻONA UPARTA.

Teraz tyle samobójstw, że czyhają straże
Nad rzeką. Niech-no człowiek się pokaże,
Co na afisze nie patrzy
I od korzenników bladszy,
Niedbale utrzewiczony
I źle urękawiczniony—
Myślą, że się chce topić; a więc, pełni zgrozy,
Ratują go od śmierci, a wiodą do kozy.

Taki to jakiś po Sekwany brzegu
Biegł przeciw wody. Żandarm zatrzymał go w biegu
I urzędownie pyta o powody
Tego biegu przeciw wody.
„Nieszczęście!—woła biedak -pomocy! ratunku!
Żona mi utonęła, żona, iż tak rzekę,
Wpadła mi w rzekę".

A na to żandarm mu rzecze:
„O, praw hydrauliki nieświadom człowiecze!
Szukasz utopionego ciała w złym kierunku.
Ono z góry w dół płynie wedle praw przyrody,
A ty za żoną biegniesz przeciw wody?"

„Boć to ciało—rzekł szukacz—było w życiu dziwne,
Zawżdy wszystkiemu przeciwne,
I domyślać się mam pewne powody,
Że popłynęło z rzeką przeciw wody".

A. Mickiewicz.



Z CYKLU BALLAD: „ZACNY KRÓL".

I.

Zabawiał się wśród dworskich dam
Raz zacny król staruszek:
On niby był małmazyą sam,
A one stadem muszek.

Co która z nich podbieży doń,
On z lekka: bęc! uderzy.
A ty się strzeż! A ty się chroń!
I śmiano się najszczerzej.

Wnet dworzan tłum, ujrzawszy to,
(Na dworzan jak przystało)
Jął bawić się królewską grą,
Z odmianą tylko małą.

Gwar wnet się wszczął i śmiech i ruch,
Gonitwa wkrąg zawzięta.
Młodzieży tłum był rojem much,
Małmazyą zaś—dziewczęta.

Do nowej gry król rychło sam
Niezmiernie się zapali,
Lecz dworzan tłum za tłumem dam
Gnał dalej wciąż i dalej.

Przez szereg sal gonitwa szła,
W krużgankach się trzepocą.
Skończyła się ucieszna gra
Gdzieś w parku późną nocą.

A zacny król u okna stał
Wytężał wzrok i ucho.
„Małmazyą być—rzekł—tom ja śmiał,
Lecz gdzie mi tam być—muchą!"

II.

Do dworskich dam raz rzecze król:
„Dokucza mi wiek srodze.
Ach, w uszach szum, ach, w krzyżu ból,
Nogami włócząc, chodzę!

Niech przyjdzie paź, niech zagra mi
Wesołą pieśń na lutni—
Choć prawdę rzec: czar młodych dni
Wspominać coraz smutniej...“

Więc pazia tu, więc pazia tam
Szukają dworskie damy.—
Znalazła go wnet każda z dam,
Lecz—ach!.. dla siebie samej.

Zaś król o tron wsparł głowę swą
I, drzemiąc, śnił najmilej:
Że paziem jest i robi to,
Co jego paź w tej chwili.

C. Jankowski (Czesław).

OSIEŁ.

Tak się raz osieł dąsał;
Tak się też z innych natrząsał,
Taki był pyszny, zuchwały,
Że go zwierzęta nie poznały;
Pojąć nie można było,
Co mu się zrobiło;
Nakoniec wszystkim dowodził,
Że się szlachcicem urodził;
Dwie godziny o tem gadał,
Powiadał:

Co to miał przodków, a zwłaszcza jak sławnych,
Jak niezmiernie dawnych,
Jak się ciągnęły jego antenaty,
Jak się wznosiły do góry,
Jakie to były głowy i figury,
Coto były za osły!
A lis mu na to: Jakżeś nierozsądny,
Zawsze twoich chwalisz przodków,
I ty nie jesteś z wyrodków,
I z ciebie osieł porządny!

F. Morawski.

O WYBORZE PŁCI.

Czy być *Monsieur* masz, czy *Madame*?
To przyszły raku osądź sam,
Bo—chcąc na gruncie prawdy stać.
Nie mogę żadnych rad ci dać...

Dawniej to była inna rzecz:
Mężczyzna wówczas dzierżył miecz;
A światem kobiet bywał dom,
Ich działem miły wdzięk a srom;
Więc mogłeś wiedząc, co i jak—
Płci każdej wytknąć losów szlak...

Dziś zapanował inny ład:
(Rzekłbyś, że capką stanął świat!)
Ród. męski na „zdechlaczków“ zszedł;
Kobiety rwą się z domu het;
Szlachty typ „*haec mulier*“ znikł,
Zastąpił go typ *mulier hic*,
Niby (przyrodnik rzekłby gbur)
— Czarnego szczura rudy szczur!...—

Więc gdy płeć męska traci hart,
Słaba na *forum* rwie się w *start*,
Wtedy—powiadam nie na żart:
— Bies czarta, a czart biesa wart!...

W. Zagórski.



LEPSZE CZASY.

Nie sprzeczam się—jest postęp!—Lepsze czasy padły.
Dawniej, pośród przyjaciół psy zająca jadły...
Teraz co krok, to widzę zmian poważnych wiele
I zająca zjadają sami przyjaciele.

K. Gliński.

O-STATECZNOŚĆ.

Szczęście w firanek ażurze;
Szczęście w mebli politurze:
Szczęście w lampy abażurze.

Domek, niby małży koncha.
W domku-konsze małża-żonka
Przylepiona do mał-żonka.

Oto szczęścia abecadło.
Kuchnia, gdzie się warzy jadło,
I jadalka, gdzie je stadło.

Z jadalki, po lewej ręce,
Sypialenka; w sypialence
Pogrzebane sny dziewczęce.

Wspomnień-szkiców pełna ściana.
Żonka, jeszcze jako panna,
Była w sztuce zakochana.

Dziś, w małżeńskim sakramencie,
Owijaczków przewinięcie
Ślad zaciera po talencie.

Statystyka uwidomia,
Że małżeństwo—ekonomia.
Dlategom żonę wziął w dom ja.

Co mi po dusz unisonie,
Gdy mam utracyuszkę w żonie,
Dom pchającą w ruiny tonie?

Miłość?... E—bajki dla dziecka!
Amor z Psyche niech się cecka:
Tu jest nie Arkadya Grecka!

Czyż bo mam przed nałożnicą
We czci upadać na lico?
Drgać w konwulsyach? Bóg wie co?

Trzebaż mi śnień oblubienic
Szukać w głębinie jej źrenic?
Mam ciało, więcej nie chcę nic.

Dała je. Biorę je w ramię,
Zginam je, zduszam i łamię...
Och, gdy się skarży, to kłamie!

Absolutnie domem rządzę
I cokolwiek rozporządzę,
Żona pełni moją żądzę.

Aby smaczny był rosołek,
Aby stał na miejscu stołek...
Żona słucha, jak pachołek.

Nic mej woli nie zamąca.
Nie oporna mi służąca,
Gdy ją skubnę od niechcąca.

Nie dać czuć kobietom siły,
Wnetby stlił je przesąd zgniły:
Kochać tego, kto im miły,

Rządzę domem absolutnie,
I żonie na twórczą lutnię
Nie pozwalam absolutnie.

Ja nie chcę żony poetki:
Niech ceruje mi skarpetki
I niech wdzięk ma... wdzięk subretki.

Burz się, rwij ku wyzwoleniu.
Ja tam, obcy idej wrzeniu,
Zawsze twardo siedzę w trzpieniu.

Z dóbr esencyą mam komunię.
Niech glob pęknie, niech świat runie —
Zawsze będę przy fortunie.

W moim domku, z Bożej łaski,
W gabinecie tkwi brzuch kaski,
W niej—asygnat bohomazki.

W tę to właśnie kaskę-studnię
Dóbr kaskada płynie cudnie,
Nie zamarza w Stycznie, Grudnie.

Przeto w kasce, jak naręczy:
I tęczowe i bez tęczy,
Co szeleści i co dźwięczy.

Płynie fala bezustanku,
Wciąż przelewam ją do banku,
Tak to, panie mój, kochanku!

Jadło, picie, żona, legło...
Urządzone ręką biegłą,
Chcę, by życie moje biegło.

Dzień w dzień, jak krople w fontannie:
Rano. Wanna. A po wannie
Koafiura i śniadanie.

Dziennik biorę, papieroska
Ćmię, dym puszczam z ust i noska:
D o l c e f a r n i e n t e z włoska

Sprawy. (Giełda). Obiad. M e n u
Pomagające trawieniu.
Drzemka o leciuchnem śnieniu.

Wieczór. Teatr. Kordebalet.
Ócz promienność. Gra tualet.
Biusty, nóżki, pełne zalet,

Noc i Sen. A jutro?.. Wanna,
Ceremonia śniadanna,
Obiad... Goście... Wint... h a v a n n a.

Lato. Koncert. Piwko. Kawka.
Bufet. Wstawka. Mód wystawka.
Eufoniczna Warszawka.

Trąb huk. Smyki wiuczą sfornie.
Dudnią kotły. Dmą wytwornie
Sentymentalne waltornie.

— D i t e s d o n c, p r i n c e, czemu w ludzkości
Nędza?—Z braku przezorności
I z leniwej dóbr czynności.

W program zajrzał p r i n c e przezornie.
Puzon grzmi. Flet kwili kornie.
Alp gra echo w alpenhornie.

Pod c o m t e s s ą trzeszczy ławka.

Od brylantów lśni agrafka.
Gors faluje, jak huśtawka.

Forte warknął bęben w złości.
Finał. Wylew taneczności,
Melancholii i żałości.

Dobroczynność w ten cel godzi,
By nam samym było słodziej,
Gdy się biednym krztę wygodzi.

Dla mnie, dla was nawet, sądzę—
Milszy mają dźwięk pieniądze
Gdy ich bliźnie łakną żądze.

Moje dobra, moje schedy
Nabierają ceny wtedy,
Gdym się cudzej dotknął biedy.

Widok nędz mnie nie przestrasza.
Sutereny znam, poddasza.
Łzą się nieraz oko zrasza...

Niech odludne sybaryty
Głaszczą życia aksamity:
Jam społecznie z nędzą zżyty.

Ot—biedaków tłum, biedaczek.
Dał im człek na bułkę znaczek,
Sam na ucztę jazda!.. Smaczek!

Tingel-tangel wre.
Mimiczki, mimy pstre
Inscenizują grę.

Buchnęła orgia nut.
Tancerka – pląsu cud.
Czaruje ruchem ud.

Wśród elektrycznych skrzeń,
Lśni jedwab, miga zeń
Nieskończoności rdzeń.

Tutaj się wiedzy ucz:
Dwie piersi, dwoje ócz
To dualizmu klucz.

Dualizm uszu, warg.
Rąk, nóg dualizm, bark...
A monizm—grzbiet i kark.

Tej filozofii skrót
Już nie jednego wiódł
Do szczęśliwości wrót,

Stroje dam fruwają w pląsie.
Jak powoje, stany gną się.
Ona—On, oboje w ponsie.

Trą się, pachną tiulów zwoje.
Plątają się żądz nastroje.
R o n d! Za „rąsie“ łap dziewoje.

W obertasa z dziarską miną!
Skry z obcasa krzesz seciną!
W koło pasa dzierż jedyną!

Lata płyną, życie zgasa.
Wnet przeminą wdzięk i krasa.
Niech z dziewczyną, kto żyw, hasa!

Niech tanowi się poświęci,
Złowi dziewkę i niech kręci!—
Grzmią balowi dyrygenci,

Żwawi, niby rtęć, i zdrowi,
Chęć i czyny nieść gotowi
Ekscelencyi Molochowi.

Na dwójłożu śpi pan Marek,
Z żoną. Tli się znicz-ogarek.
Na półce tika zegarek.

Tika, tika, niby serce,
Szczęścia, „tik“ na etażerce.
Marek śni przy znicza skierce.

D o r o z k o s z y z a k a m a r k a
D U C H s i ę w k r a d ł, i t i k z e g a r k a
Z e p s u ć c h c e... Dreszcz zbudził Marka.

—Żono? Śpisz? Kto tu?—Duch-M a r a!
—Zepsuć chce mi tik zegara?
Precz! Od mego szczęścia wara!

Znikł sen. Znikło przywidzenie.
Tika zdrowo, odmierzenie
Szpar i trybów skojarzenie.

Tak dzień w dzień najidealniej
Dzwoni zegar, najlegalniej,
Tika... Zniknął duch z sypialni.

J. Lemański.



FAUST.

Blada postać z mgły i głodu—
Był promienny jak anieli,
Jak szatany był ponury.
I był jako wieszcz narodu
W uczuć swoich jasnej bieli
Wrogiem tłumu—i natury.

Na poddaszu swem wysokiem
Siedział z muzą pieśni mglistą,
Jęcząc wstęp do poematu,
Gdy wtem wchodzi lisim krokiem
Chudy, łysy pan Mefisto,
Praktykant od Magistraty.

„Wiedź mię“, rzecze mistrz emfazy,
„Wiedź Mefisto! Ja chcę ludzi!
Ja chcę walki i wawrzynu,
Chcę im wrzasnąć, że są płazy,
Może wieszczy głos ich zbudzi—
Ja ich zbudzę! Czynu, czynu!“

„Przyjacielu“, rzekł Mefisto,
„Wszak stworzeniem jesteś gołem!
Bez pieniędzy wieszczów żądze
Są ironią wiekuistą!
Więc gdy chcesz być apostołem,
Przemień frak swój na pieniądze!“

Zadrgał wieszcz. Boleści zarys
Błysł na twarzy... W dumnej wzgardzie
Przyjął wreszcie propozycyę
I po mieście mknął jak Farys—
Karły z drogi!—i w lombardzie
Skazał frak swój na banicyę...

Uśmiechnięty, lekkim krokiem
Poszedł w półświat dymu—gazu.
Za nim ciągną ludzie marni,
Którym on ma być prorokiem,
Pełnym siły i wyrazu.
Poszedł śmiało do kawiarni.

Gretchen twarzą promienistą
Uśmiechała się tak lubo,
Gdy wieszcz śpiewał przy herbacie.
A zaś imci pan Mefisto
Gruchał czule z Martą grubą
Przy koniaku aromacie.

I do rana deklamował
Prorok nasz w wybrańców mowie,
Wszyscy byli uniesieni!
A gdy ranek świat całował,
Pełno było w wieszcza głowie,
Próżno było zaś w kieszeni!

Śpiąc na wątłem swem posłaniu,
Geniusz śnił o nocnej swadzie,
Śnił o wierszach i koniaku.
Śnił o Gretchen i kochaniu,
I o czarnej ducha zdradzie,
I o czarnym swoim fraku...

W. Stebelski.

FURMANI.

Leźć komu z prawdą w oczy, broń mnie Panie Boże!
Czy ja szalony? wolę bajki prawić!
Za bajkę nikt się rozgniewać nie może,
A tymczasem niewinnie można się zabawić.

Pewnemu panu, jak się zwał nie pomnę,
Ale ma hrabstwa ogromne,
Piękne folwarki we wszystko obfite,
Ma wielbłądy, ma stada koni rozmaite...
Raz mu z dóbr jednych słudzy zaczęli donosić,
Że rodzaj polskich koni na nic stał się warty,
Wszystko chce tylko brykać i roznosić,
        Taki się zrobił uparty.

Trzeba system srogości wprowadzić w rajtszuli,
Bo go dawniejsi rządcy głaskaniem zepsuli.
Pan, co był bardzo w tej chwili zajęty,
        Słał na morza swe okręty.

Gdy sam we wszystko wejrzeć czasu nie ma,
Kazał tam komuś rozpatrzyć rzecz całą,
A ten sobie myśląc mało,
Potwierdził nowe systema.
Tu się zaczęły piękne widowiska:
Smutne rumaków codzień słychać rżenia,
Biją, katują niewinne stworzenia
        Aż krew z nich tryska.

A panu codzień raport posyłają nowy,
Że niczem krnąbrność niepohamowana —
Ustawiczne schadzki, zmowy;
Niedawno chciały zabić źrebięta furmana.
Chodzą koniska chude niby haki,
Oni donoszą: wierzgają rumaki.
„Otóż to, mówią, z dobrodziejstw twych zyski.
„Nie bierz ich pierwej między twe zaprzęgi,
„Póki ich w szkole nie ujeździm tęgiej;
„Na twoje życie robią nawet spiski".—
Pan, który, znany z rozsądku, z nauki,
Miał więcej czasu wolnego w tej dobie,
Sam czytał raport i pomyślał sobie:

Cóż to mnie oni prawią banialuki!
Dał go jednemu z dworzan, co ma olej w głowie,
Ten przeczytawszy także uwagę swą powie:
„Wiadomo, Panie, polski rodzaj koni
„Wiatry wyściga po błoni.
„Nie dzisiejszemi już są znane laty—
„Nie potrzebna im rózeczka:
„Pogłaskać tylko troszeczka,
„To już gotowe lecieć na armaty“.
A więc pan kazał śledzić. Odkryto rzecz ładną:
Jaśnie Wielmożne furmany
Żyją sobie gdyby pany—
A skąd biorą? Obrok kradną,
Raczą siebie winkiem drogiem,
W karty grają, szumią, huczą,
A koników nic nie uczą,
Tylko je biją batogiem.
Teraz ze strachu starszy furman chory
I na twarzach forysi widać coś frasunek;
Lecz go wyleczą tym razem doktory,
Niechaj zda z owsa rachunek.

A. Gorecki.

OŚWIADCZYNY DENTYSTY.

„Oto przysięga moja uroczysta.
—Tak do kochanki mówił raz dentysta:—
„O pani, gwiazdom podobna i kwiatom!
„Gdyby za każdy tej miłości atom,
„Która rozsadza mego serca głębie,
„Po jednym tylko miano rwać mi zębie—
„Ja ci przysięgam, mój promieniu słońca,
„Że nie starczyłoby mi szczęk tysiąca,
„I zęby rwanoby mi lat czterysta!—
—Tak do kochanki mówił raz dentysta.

A. Lange.

O DOLEGLIWOŚCIACH ODZIEDZICZONEJ GOLIZNY.

Ze wszystkich krzyżów świat mi przyzna—
Najcięższym krzyżem jest golizna
I gdy ją odziedziczysz z krwią,
To wtedy już ni „hoc“, ni „wio“,
Przepadłeś tak, jak ruda mysz
I musisz dźwigać Pański krzyż,
Wlokąc z dnia na dzień bez zawieszeń
— Najcięższe z brzemion... pustą kieszeń!...

I—pełne znojów trosk i prób—
Będzie twe życie, jak ów słup,
Co podczas wielkanocnych dni,
Na Mokotowskiem polu tkwi,
Wznoszony, by miał „frajdę“ lud,
Co rzadko miewa cały but...
U szczytu wisi—tylko zdjąć!—
Łakomy kąsek bądź co bądź
Ów „regularny życia tryb“
— Spokojna dola! pewny chleb!—
Do których—ach! twój rwie się duch
— I wiecznie tęskni głodny brzuch!...

„Wszak jesteś, młody, czerstwy, zdrów,
Więc jazda! Zdejmij kąsek ów!...“
— Tak radzą, dobra twego chcąc,
Zarówno lekarz, jak i ksiądz...—
Cóż gdy „psia kość drewniana“—słup,
Tak śliski jest, że—co chcesz rób!
Gdy pomkniesz się na piędź lub dwie,
Szast zjeżdżasz na dół, jak po szkle,
A wokół szydzi z ciebie ludek:
—„Ach cóż za mazgaj!... Co za dudek!...“

W. Zagórski.

NASI ZNAWCY.

Wolno każdemu mieć własne zdanie,
„Biało“ lub „czarno“ mówić, gdy chce,
Lecz trudno, żeby jak w przykazanie
Inny miał wierzyć wnet w słowa te.
Tymczasem mamy tu znawców krocie
(Widziałem takich nieraz ja sam),
Którzy o każdym mówią przedmiocie:
„Już ja się na tem wybornie znam!“

Kiedy się o czem toczy rozmowa,
Znawca otwiera zdań swoich trzos
I nie dopuszcza innych do słowa,
Bo on sam tylko winien mieć głos.
A choćby mówił najmniej do rzeczy,
Powiada, wszystkim zadając kłam:
„Ależ, mój panie... niech pan nie przeczy,
Bo ja się na tem wybornie znam!“

Znawca ma swoje stałe poglądy,
Trwalsze, niżeli warszawski mur.
Z góry o wszystkiem wydaje sądy,
Wie, kto zwycięży: anglik, czy Bur.
Zna się na kartach, winie i śpiewie,
Na dziełach sztuki—od barw do ram,
A zresztą mówi, czy wie, czy nie wie:
„Już ja się na tem wybornie znam!“

Niema dla niego na świecie powag,
Bo sam przybiera powagi ton
I w każdej sprawie—czy tak, czy owak—
Areopagiem najwyższym on.
Czy to fakt jawny, czy tajemniczy.
Wzięty z najbardziej ukrytych jam,
On wie najlepiej i zaraz krzyczy:
„Już ja się na tem wybornie znam!“

Gdy znawca kroczy bujania drogą
I kiedy snuje dowcdzeń nić,
Taką ma minę pewną i srogą,
Jakby niewiernych miał zaraz... bić.

Niejeden przeto z samego strachu
Dostaje białych na twarzy plam,
Gdy znawca krzyczy jak gil na dachu:
„Już ja się na tem wybornie znam!“

Chociaż patentu nie ma na znawcę
I niewiadomo, ktoby mu dał,
Gdyby mniej gadał o każdej sprawce,
Niechby się sobie na wszystkiem znał.
Lecz dziś ten okaz nietowarzyski
Zanudza grona panów lub dam
I człek, doprawdy, rozpaczy blizki,
Słysząc te ciągłe: „Już ja się znam!“

A. Orłowki (Krogulec).



DYPLOMACYA.

...Nie wiem, o co im poszło; o słówko, czy różę?
Dość, że o coś ważnego... W powietrzu czuć burzę
Było, i już przyjazne stosunki zerwano:
On miał minę schmurzoną, ona zadąsaną:
Ona wyszła z salonu, on wybiegł na ganek
I, stanąwszy tragicznie wśród wina firanek,
Wołał, by mu czemprędzej zaprzęgano konie.—
Tu krótkie objaśnienie: on sąsiad w tej stronie,
Dziedzic intratnej wioski, przytem nienaganny
Gospodarz, częstym bywał gościem w domu panny.
Dla rodziców był „dobrym“, a miłym dla córy;
Jednem słowem: formalne były to konkury.
Nagle, jak powiedziałem, poszło im o różę,
Czy coś równie ważnego; w powietrzu czuć burzę
Było, i wnet przyjazne stosunki zerwano:
On miał minę schmurzoną—ona zagniewaną.—
Gdy tak stoi na ganku, czekając na konie,
Przypomniał sobie, że coś zostawił w salonie...
Tak—czapkę (miał ją w ręku)... Więc się
cicho wrócił

I na kominek skrycie za sobą ją rzucił,
Potem, obchodząc meble, widocznie się sili
Znaleźć straconą zgubę. Panna w tejże chwili
Chciała z koszyczka włóczkę zabrać do robótki,
Gdyż weszła i, rzuciwszy wyraz ostry, krótki:
„Jeszcze?“—jęła milcząco badać stół oczyma.
Tutaj nie było włóczek, bo wyrzekła: „niema!“
I szukała gdzieindziej. Tak w przeróżne strony
Chodzili, przeszukując meble i... wazony.
Przy kwiatach się spotkali: bąknął przeproszenie,
Za co wzamian ułowił przelotne spojrzenie...
Chciał ująć rękę—ona, mnąc kwiatek ze złością,
Rzekła: „Pan takie swary nazywasz miłością?!..“
On rzekł coś tam w obronie—i tak zwolna, zwolna
Dyplomatyczna praca trwała wciąż mozolna,
Aby zesnuć na nowo Penelopy tkanki,
Trwałe, jak trwałą zgoda kochanka—kochanki.
Dosyć, że kiedy wózek zadudnił z podwórza,
Kochanków nie dzieliło już słówko ni róża:
Ona miała swój uśmiech, on zaś był spokojny.—
Tak podpisano pakta aż do przyszłej—wojny...

E. Bogdanowicz. (Bożydar).



LOGIKA.

Dworskiego raz poetę pewien krytyk schłostał,
Wnet cały rój dworaków na krytyka powstał
        Za to, że króla obraził.

* * *

Nie gań księży! są bowiem jak te wierszoklety,
Gdy im grzechy wyrzucasz, umniejszasz zalety,
        Krzyczą żeś Boga obraził.

J. Petri.

NAGROBEK OBYWATELOWI.

D. O. M.

Bił chłopów pałką,
Poił gorzałką,
Miał sto chat z górą,
Jadł barszczyk z rurą,
Popijał piwo,
Zbierał grosiwo,
Czasem od święta
Ciął się w karcięta.
Miał arendarza,
Z którym rozważa:
Czy będą wojny?
Czy czas spokojny?
Zjadł na śniadanie
Udo baranie,
I witych w cieście,
Kołdunów dwieście,
Tak z niestrawności
Doszedł wieczności,
I w ciemnym grobie
Spoczywa sobie,
Nim wieki zbiegą,
Tnie chrapickiego.
Aż głos anioła:
—„Wstawaj!—zawoła—
„Bo już gotowa...
„Pieczeń wołowa!“

W. Syrokomla (L. Kondratowicz).

ODA DO GROSZA.

O najcenniejszy upominku boży,
Gwiazdo przewodnia wśród ziemskich bezdroży;
Kotwico szczęścia, porcie pożądany,
Groszu miedziany!

Ciebie, jak Bóstwo, czczą świata narody,
Boś ty aniołem pokoju i zgody.
Lub—milionami karabinów zbrojny—
Tyś bogiem wojny!

U stóp twych leży i pan i gmin podły,
Nieuk i mędrzec śle do ciebie modły,
Młody czy stary, mąż czy białogłowa,
Cześć twoją chowa!

Ty jesteś ojciec, tyś jest matka czuła—
Wszak ojca, matkę zastąpi szkatuła,
Ona zastąpi—utrzymuję śmiało—
Rodzinę całą!

Tyś przyjacielem najszczerszym w niedoli,
Człek wielbi człeka twej miłości gwoli,
Tyś jest magnesem i—co idzie za tem—
Najpierwszym swatem!

Gdzie ty zagościsz, tam i spokój gości,
Ty jesteś stróżem niewieściej miłości,
Zaś w ręku żony twoja moc zwycięża
Każdego męża!

Ty jesteś cnotą i wiedziesz do nieba;
Kto ciebie dzierży, temu kraść nie trzeba;
Gdy zaś kieszenie nawiedzisz posuchą,
To z niebem... krucho!

Kto ciebie nie zna, ten każdego czasu
Błądzi w ciemnościach, jak łódź bez kompasu;
Ślepy i niemy próżno myśli kupi—
Zaginie głupi!

Tyś charakterem, rozumem, szacunkiem,
Tyś dla występków zapomnienia trunkiem,

Wdziękiem, talentem i wawrzynu listkiem—
Ty jesteś wszystkiem!

Ludzkości całej o mocarzu wielki,
Wysłuchaj pienia Muzy wielbicielki
I w dom mój, gdzie się pustki rozgościły,
Zejdź, gościu miły!

F. Konarski.

MAŁPY.

Bajka.

Raz małpy pochwyciły człowieka w niewolę;
Postawiwszy go w swem kole,
Poczną się ciekawie przyglądać jeńcowi,
Zachodzą z tyłu, z boku, dotykają skóry,
Nareszcie któraś mówi:
—Dziwny wybryk natury!
Niby małpa—nie małpa... snać to okaz zwierza
Niższego rzędu,
A to z tego względu,
Że ani szerści na nim ani pierza.
Ale najbardziej tem jestem zgorszona,
Iż mu całkiem brak ogona!
Zresztą z postawy, wzrostu, nawet z ręki
Do nas podobniuteńki!
Jakaż to szkoda, że dla takiej wady
Nie możem go wcielić do naszej gromady!
—To go zmałpić!—któraś zawoła—
—Zmałpić? jakto?—kilka z nich zapyta
—Rzecz prosta zgoła:
Przyszczepić mu ogon i kwita!
Wszak w tak pięknym celu, o siostrzyce,
Każga tu z naszego grona
Poświęci kawał własnego ogona!

Ot, ja najpierwsza... dawajcie nożyce!..
— I ja!.. i jam gotowa!—
Krzyknie jedna i druga w szlachetnym zapale—
I już się zabierały czynem poprzeć słowa,
Gdy najniespodziewaniej wcale
Wśrod nich staje duch Darwina
I tak mówić poczyna:
—Chce się wam atawizmu! lecz przemocą żadną
Nie wstrzymacie rozwoju—zawołał donośnie.
I prędzej Małpom ogony odpadną,
Niż człowiekowi wyrośnie!...

Kiedy patrzę na ludzkość, jak w obecnej dobie
Odarta z ideałów, dziką jest—spodloną,
Jakiś strach mię ogarnia i zadaję sobie
Pytanie: czy ogonów nam nie przyczepiono?..

W. Wysocki.



DUMANIE POETY.

Noc ponura osiadła skał olbrzymie grzbiety,
Na ziemi i na niebie smutno i ponuro;
Tak ponuro i smutno jak w duszy poety,
Co, siedząc przy stoliku, temperował pióro.

On szukał nowych myśli w swej duszy odmęcie,
Myśli, by je uwiecznić nieśmiertelnem pieniem.
Ale myśli, przeczuwszy kąpiel w atramencie,
W ciasnej głowie poety osiadły kamieniem.

On po sklepieniu nieba wieszcze koło toczył,
I pół wieszczego pióra w wieszcze usta włożył,
I w wieszczym kałamarzu wieszczy nos umoczył
I dumał, dumał, dumał, aż spać się położył.

W. Syrokomla (L. Kondratowicz).

ZUZANNA.

Zuzanna obnażyła się
I weszła do kąpieli,
A siwowłosi starcy dwaj
Za pniami drzew stanęli.

I napawali oczy swe
Wdziękami cnej Zuzanny,
Które lubieżnie pieścił nurt,
Nurt przeźroczysty, szklanny.

Zuzannie, gdy ujrzała ich,
Żal zdjął rumieńce z twarzy,
Nurt bowiem przeźroczysty był,
A starcy bardzo starzy.

K. Przerwa-Tetmajer.



ŻARTY MUZYCZNE.

Z notatek starego metra muzyki.

W sercu człowieka są struny
Nader drażliwej natury—
Trudno z nich jednak wydobyć
Prawdziwe molle i dury...

Abyśmy serca i struny
Czystość harmonii zbadali,
Do obu trzeba używać
Probierzy tonów—metali.

Lecz między sercem i struną
Różnica tylko ta oto:
Stal kamertonem jest struny,
Serca probierzem zaś—złoto...

* * *

Zwiedzał raz Anglik Warszawę
I był niezmiernie zdziwony,
Że gdzie się ruszy, to słyszy
Instrumentowe wciąż tony.

A gdy się jeszcze dowiedział,
Że u nas „chórów“ jest tyle,—
O naszej muzykalności
Nie wątpił ani przez chwilę...

Jednakże, figlarz, poprosił
O wyjaśnienie mu faktu:
Skąd u nas brak jest harmonii
I jeszcze więcej... brak taktu?...

* * *

Współczesnych „maestrów“ dzieła
Po klawiaturach wciąż tłuczem—
I oczywiście z nich każdy
Zaczyna utwór swój kluczem.

Lecz między mistrzami tymi
Niejedna firma, choć znana,
Lubi pożyczać... na wieki
Melodyi Liszta, Szumana...

Biorąc ich dzieła do ręki,
Głos tajny szepce a cichy:
—Znać, iż w muzyce prócz kluczy
Są dziś w użyciu... wytrychy.

W. Kośmiński.



NIE JESTEM PRZY APETYCIE!

Garson! proszę o nakrycie!
—Wiem, w osobnym pokoiku...
—Nie jestem przy apetycie...
—Może czystego barszczyku?
Ej! nie, wolę bulion jaki,
A przed tem, jak zwykle—raki.

Ze śmietaną, tak, obficie.
—Słucham pana. A co potem?
—Nie jestem przy apetycie...
—Może kurczątko z kompotem?
—Wolę już pieczeń wołową
Z rożna, wiesz, na wpół surową,

Przerastałą należycie.
—Jest, proszę pana. Co jeszcze?
—Nie jestem przy apetycie...
—Może lin, węgorze, leszcze...
—Rybka ujdzie, byle tłusto,
Więc lin, z duszoną kapustą.

Po rybce—połówkę kaczki.
—Rozumiem. A co na wety?
—Na wety... zwykłe przysmaczki.
Może strasburskie pasztety?
—To, to, to... Ach! nędzne życie!
Nie jestem przy apetycie!

M. Rodoć (M. Biernacki).

NIEWIADOMO CO

czyli romantyczność.

Szło dwóch w nocy, z wielką trwogą,
Aż pies czarny bieży drogą.
Czy to pies?
Czy to bies?

Rzecze jeden do drugiego:
Czy ty widzisz psa czarnego?
Czy to pies?
Czy to bies?

Żaden nic nie odpowiedział,
Żaden bowiem nic nie wiedział,
Czy to pies?
Czy to bies?

Lecz obadwaj tak się zlękli,
Że zeszli w rów i przyklękli,
Czy to pies?
Czy to bies?

Drżą, potnieją, włos się jeży—
A pies bieży, a pies bieży,
Czy to pies?
Czy to bies?

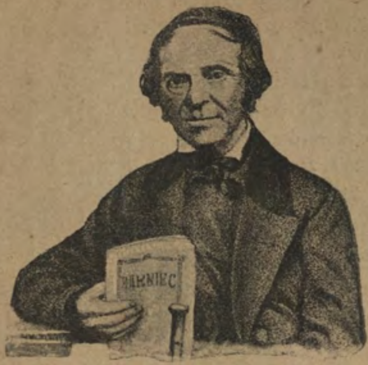
Bieży, bieży—już ich mija,
Podniósł ogon i wywija.
Czy to pies?
Czy to bies?

Już ich minął, pobiegł dalej.
Oni wstali i patrzali!
Czy to pies?
Czy to bies?

Wtem, o! dziwy! w oddaleniu,
Na zakręcie, zniknął w cieniu,
Czy to pies?
Czy to bies?

Długo stali i myśleli,
Lecz się nic nie dowiedzieli,
Czy to pies?
Czy to bies?

A. E. Odyniec.



S. Jachowicz.

KULA I PIGUŁKA.

Kula, co przy pigułce zatrutej leżała,
Rzecze: „Jak między nami różnica jest mała,
Obiedwie człowiekowi wydzieramy życie,
Ja głośno a ty cicho, ja jawnie, ty skrycie,
A chociaż się nie mamy czem wynosić obie,
Lepiej mnie być podobnym, aniżeli tobie.

S. Jachowicz.

BUG I STRUMYK.

Uskarżał się Bug na to, iż gdy w Narew wpadał,
Imię, podobne Stwórcy nazwisku, postradał.
Na to mu rzecze strumyk, który płynął blisko:
„Nie nazwisko nas zdobi, ale my nazwisko".

S. Jachowicz.

CZY SĄSIAD CZASEM CZYTA?

—Czy sąsiad czasem czyta?
—Nic nie czytam i kwita.
Powiedz mi sąsiad poco?
Na djabła mi czytanie!
Tylko łeb panie
Te piśmidła klekocą.
Ja zresztą, z książką w łapie,
W kilka minut już chrapię.

—Tak, nie przeczę, zapewne,
I ja też nieraz ziewnę,
Trudna bo na to rada;
Tylko że dziś te łyki,
Te, te, dzienniki,
Krzyczą: „Szlachta upada!
„Co gdzie szlachcic, to głupi!
„Żadnej książki nie kupi!"

—Niech sobie plotą baśnie;
Nie kupię! aha, właśnie!
A mnie na co bibuły?
Niechaj się morałami
Częstują sami.
Dla szlachty, artykuły:
To baran, okowita,
Sterta pszenicy, żyta...

—No tak, tak, ani słówka,
Ho, ho, z sąsiada główka!
Jednak czasem niekiedy,
Zajrzeć do pisma należy,
Niech sąsiad wierzy.
Możebyśmy od biedy,
Które tam z nich we Lwowie,
Trzymali, po połowie?

Co też bo sąsiad plecie!
Toć i sam mógłbym przecie!
Wszak sąsiad nie posądzi,
Żebym ja nie miał za co.
Lecz pytam na co?

Człowiek dobrze się rządzi,
Co mi książka pomoże?
Zasieje, czy zaorze?

—Nie, lecz tak, dla zabawy,
Człowiek czasem ciekawy
Poznać ludzkie koleje.
Opisują odkrycia,
Wypadki z życia,
Nasze ojczyste dzieje...
Siądziesz, czytasz w gazecie,
Jakbyś jeździł po świecie,

—Co mnie to tam obchodzi,
ak w Ameryce rodzi;
U mnie na polu ładnie.
A czy słońce z zachodu,
Czy też ze wschodu
Idzie, czy gdzie upadnie,
Gwiazdy gasną czy bledną,
To mi to wszystko jedno.

—Tak, zgoda na to, zgoda,
Ale dziś czytać moda.
Mówią, lektura płaci,
Już i na pańskich dworach.
A przy wyborach,
Walor ma też u braci.
Słyszałem to od żony,
Świat kroczy jak szalony.

—A niechże sobie kroczy!
Czytaj sąsiad, trać oczy,
Marnuj zdrowie i siły;
Ale co do wyboru,
Słowo honoru,
Bajki! jak mi Bóg miły!
Mój brat nie czyta całkiem,
A przecież jest marszałkiem!

—No, proszę, nie wiedziałem,
Winszuję sercem całem!

To miłe wiadomości!
O! znałem go przed laty,
        Bardzo bogaty!
Zaraz powiem Jejmości,
Zaraz, za powitaniem.
Niech się schowa z czytaniem.

—Tak, szanowny sąsiedzie,
Na książce się nie jedzie,
Ale na dobrej szkapie.
Te z rozumem konszachty,
        To nie rzecz szlachty;
Mnie na figiel nie złapie
No, chodźmy na kolacyę!
—Tak sąsiedzie, masz racyę.

M. Rodoć (M. Biernacki).



KOT I MYSZ SZTUCZNA.

Płacz koci—rzecz tak dawno w wątpliwość podana
Żem się wielce ucieszył, gdy poznałem Kota,
        Płaczącego jak fontanna.

        I nie dziwota.
Płakał na urządzenie wspólczesnej kultury,
Która dawnych śpiżarni zamknęła alkierze,
W podłogach załatała romantyczne dziury,

        I tem dała prztyczka
    Mysim upodobaniom plenić się w kwaterze.
—„Ach!“—płakał—„żyję, ale mdli mnie już od mleczka,
Dość mnie panna Helena niem codzień napawa!“

Tak płacząc, nagle ujrzy—sen li to czy jawa?—
    Mysz... Tak, to ona w całej mysiej krasie
        Przycupnęła na dywanie,
            Kot skupia się

Do skoku—hyc!!—Tuś mi, kochanie,
Pieszczotko!..“ Ale cóż to za jakoweś dziwy?
Mysz ani drgnie, podobna śpiącej lub nieżywej.
Kot ją łapką. Podbita na odległość pewną,
Mysz sunie, i znów, martwa, leży mu jak drewno.
Ponownie dał Kot susa ku onej maszynie,
Zębem w złości ją drasnął, i nic—krew nie płynie,
I nie masz upragnionej igraszki pazurom.

Tu jęknął jeszcze srożej:—„O, podła kulturo,
Co mądre, lecz bez czucia, płodzisz automaty,
Niech cię!.. O, czemuż nie żyję przed laty,
Kiedy siedzibą Kotom były stare śpichrze,
Gdzie ściany i podłogi może były lichsze
Niż dziś, lecz słodsze z myszami swawole...
O śmierci, weź to życie, które jest mi bolem!“

J. Lemański.

ODA JOWIALNA.

Jak na górach południa, zaledwie śnieg znika,
Wykwita macierzanka i różyczka dzika.
A dzwonek się przy ziemi
Listeczkami uśmiecha fioletowemi;
I amarant się puszcza i wiąz pachnie młody
I czerwienią się w trawie zielonej jagody
A pasterz, pędząc kozy,
Żółtymi jaskry widzi zdobione wąwozy:
Tak, młodzieńcze! i tobie zakwitnie zielono
Dusza i skroń czuć będziesz kwiatem umajoną,
Gdy—o szczęsny poranku!—
Ostatni wypłacony weksel wyjmiesz z banku.

K. Przerwa-Tetmajer.

PANI MŁÓDŹ-ZŁOTA.

Skaczą, piją, pączki jedzą,
Tańce, hulanka, swawola,
Dnia spokojnie nie posiedzą,
Cha! Cha! Chi! Chi! Hejże! Hola!

Karnawał im przewodniczy,
Przystrojony za pierrota.
„Hulaj dusza! hulaj!—krzyczy—
Kto poważny, z tym za wrota!“

Młodzieńcowi, co gra pana,
Dumnie na wszystkich spoziera,
Rzekł: „Kolacya gotowana!“
Już z młodzieńca masz frotera.

Na mężulka, co cichaczem
Do sakiewki ruble chowa,
Zakwilił małżonki płaczem:
Jest dla żony suknia nowa.

Wdowczykowi, co na tany
Chodzi niby zbierać wzorki,
Zajrzał w kieszeń niepytany,
I wyciągnął—trzy faworki.

Wtem, gdy te faworki chrupie,
Coś twardego zębem schwytał.
„Ot spotkanie—myśli—głupie,
Po coś, kumie, tu zawitał?“

Dyablik był ukryty w chróście,
Nie zwyczajna sztuka kusa,
Ale dyablik w innym guście,
Zdjął kapelusz i dał susa.

Z faworka aż na podłogę,
Pada, rośnie na dwa łokcie,
Nos sensata, mędrca nogę,
Filozofa ma paznokcie.

„A! karnawał! witam, bracie!
Uroczyście rzekł do niego—

Cóż to? Czyliż mnie nie znacie?...
Jam Rozsądek... *ich bin, ego.*

„Wszak robiliśmy układy,
Ja cyrograf twój przyjąłem...
Karnawałku! niema rady,
Posypię ci łeb popiołem“.

Karnawał ku drzwiom się kwapił,
Mamrocząc: „Ah! je ne t'aime plus“.
Rozsądek za kark ułapił:
„A gdzie podpis twój na stemplu?“

Co tu począć? Kusa rada,
Trza pod popiół podać głowę!...
Karnawał na koncept wpada
I trudności stawia nowe.

„Rozsądeczku! Chciej w kontrakcie
Warunki przejrzeć ponownie...
Zastrzeżone jest w tym akcie,
Że gdy będziesz mi mózgownię

„Chciał spopielić, ja mam prawo
Raz cię zaprządz do roboty,
A ty rozkaz szybko, żwawo
Musisz spełnić co do joty.

„Nim więc z nami będzie kwita,
Patrzaj: oto jest istota
Niepoślednia, znakomita,
Faworytka ma—Młódź-złota.

„Na zasadzie więc umowy,
Mój Rozsądku dobrodzieju,
Wleź na kwadrans do jej głowy
I wydobądź gran oleju.

„Jeśli twoje wysilenie
Z materyału coś wyciśnie,
To się skłonię uniżenie,
A jak nic—nasz układ pryśnie“.

Rozsądek doń ćwiartkę ucha,
A trzy ćwierci do drzwi zwraca,

Niby patrzy, niby słucha,
Ale myśli: „Próżna praca!“

Gdy mu karnawał dokucza,
Od d zwi, .od okien odpycha,
Czmychnąwszy dziurką od klucza,
Dotąd jak czmycha, tak czmycha.

W. Pląskowski.

SAMOBÓJCY.

Dziś przeżywamy taką porę
W „nowego wieku“ ćwierci,
Gdy ludzkość sobie „con amore“
Urządza sport ze śmierci.
Co numer świeci z szpalt gazety,
Co dzień tam zobaczycie
Ciekawy opis (tak, niestety!)
Jak ktoś swe skrócił życie.

Trafiało się i w dawnej erze,
Że człek wśród życia męki
O słabym wątłym charakterze
Pochwycił broń do ręki.
W rozpaczy biedak w przepaść leci,
Gdy przeżył dni tułacze...
Dziś... sport ten uprawiają „dzieci“,
„Pędraki“ i „smarkacze“.

Co?—Obowiązki! cnota! wiara!
Któż bierze to na seryo?!
Formułka moralistów stara
Jest mrzonką, fanaberyą!

„Ojczyzna!“ „ludzkość“ „społeczeństwo!“
Niech nikt się nie odzywa!
Ważniejsze są niż to błazeństwo
Samobójstw dziś motywa.

Ta sprawa teraz idzie gładko:
Młodzian w szesnastej wiośnie,

Zawrócił sobie łeb dzierlatką
I wzdycha: ach! miłośnie
Lecz Heloiza swe kochanie
Ku innej zwraca stronie...
Gardzisz mną? dobrze, niech się stanie!
Bęc: w serce, albo w skronie.

Studencik z drugiej, trzeciej klasy,
Typ lenia i nieroby,
Dostawał dwójkę w dawne czasy,
Dziś na to ma sposoby.
Dziś? Groźba!.. to są rzeczy znane,
Gimnazyum czy realne:
—Jeżeli „pierwszej" nie dostanę,
To zaraz „w łeb se palnę".

Z natury rzeczy już wynika,
Nie może być tak samo.
Raz nie otrzyma Jaś piernika,
Zastrzeli się przed mamą—
I nie zapadnie jeszcze jeszcze klamka,
Bo wkrótce usłyszycie:
„Nie chciała malcu dać ssać mamka:
Odebrał sobie życie".

Kazet (Z. Kamiński).

Z DOŁU I Z GÓRY.

Mieszkałem wówczas róg „Krakowskiego"
Na pierwszem piętrze—
Lokal frontowy, balkon do tego...
Słowo najświętsze!
Miałem przedpokój, salon, sypialnię,
Wszelkie wygody—
Dwadzieścia rubli płacąc kwartalnie
Z dodatkiem „wody".
A choć me „Lary" stróż zabrać w płachtę
Mógł bez mozołu...
Wierzono wtedy w rodową szlachtę!
Płaciłem... *z dołu!*

Dzisiaj się gnieżdżę w sąsiedztwie wróbli,
Na czwartem piętrze—
Płacę miesięcznie dwadzieścia rubli!
Słowo najświętsze.
Pokoik – klitka... okno w podchmurza...
Ściany z tektury...
A co mię głównie boli, oburza,
Że płacę *z góry!*
Zaledwie „ósmy“ miesiąca dzionek
Zabłyśnie świtem
Już na „dzień dobry“ łomoce dzwonek:
Mam stróża... z kwitem!

A niech się czasem oprę najmicie
W imię godności—
Wtedy wizyta już po wizycie
Przyjemnych gości...
Mam gospodarza... rządcę... woźnego...
Słowo najświętsze!
Lepiej bywało róg „Krakowskiego“
Na pierwszem piętrze.
Lat temu parę – Boże kochany!
Niewielki przedział!—
A takie w ludziach i domach zmiany...
Któżby powiedział!

K. Laskowski.

BIEDA I FILANTROPIA.

Skarżyła się raz bieda gdzieś przed filantropią,
Że ją losy do tego stopnia ciągle kopią,
Iż spać nie może,
Bo i duchu wciąż nie ma i mroźno na dworze.
— Moja droga—odrzecze na to zapytana—
Mnie stokroć gorzej,
Straszna bezsenność morzy,
Ja także spaćbym chciała, a nie sypiam wcale:
Noc w noc tańczę, wydając dobroczynne bale...

J. Waśniewski.

SZYBKI POSEŁ.

Żył na Podlasiu, przed wiekami,
Jako tradycya niesie,
Jeż z jeżów sławnych, nad jeżami
Skórę z ostrymi miał kolcami
I jabłka zbierał w lesie.

Owego jeża raz posłano
Po drożdże na Wielkanoc.
Wielką mu na to flaszkę dano,
I ruszył w drogę bardzo rano,
Gdyż miał porócić na noc.

Dreptał przez łąki, lasy, łany,
Z tem pilnem poleceniem.
Ważności misyi swej oddany,
Wracał z drożdżami zadyszany,
Przed... Bożem Narodzeniem!

Lecz, gdy już stanąć miał przed chatą,
Z kupionych drożdży kwartą—
Potknął się! flaszkę stłukł pękatą
I rzekł, bolejąc nad tą stratą:
„Co nagle—dyabła warto!"

K. Junosza-Szaniawski.

JAKŻE ZDROWIE?

— „Jakże zdrowie?"—pyta dziada, ugrzeczniony dziad,
Myśląc w duchu jednocześnie: żebyś djabła zjadł...
— Jakże zdrowie?" pyta dłużnik grzecznie wierzyciela,
Myśląc: czemuż w niego piorun dotychczas nie strzela.
— „Jakże zdrowie?"—pyta czule, kupiec co ma sklep,
Myśląc—czemuż ci się cegła nie zwali na łeb..
Czemu, nędzny konkurencie wciąż mi życie trujesz,
samym artykułem, co i ja handlujesz...

— „Jakże zdrowie?“ — rzecze malarz do malarza
znów,
Myśląc: żebyś pacykarzu wpadł w otwarty rów!
Płoty tobie wapnem mazać, o marny bazgrało,
Dałeś obraz na wystawę... tego brakowało...

— „Jakże zdrowie?“ cny krytyku, tak literat rzekł...
A pomyślał—żebyś bestjo co prędzej się wściekł.
Ty coś żółte zęby stępił na mych książek grzbiecie,
Że cię jeszcze święta ziemia nie pożarła przecie...

— „Jakże zdrowie?“—Jakże zdrowie?—brzmi rozmo-
wa pań,
Coby chciały swoje serca złożyć komuś w dań...
I całują się, a w duchu jedna drugą pragnie
Utopić jeśli nie w morzu, to choć w plotek bagnie.
— „Jakże zdrowie?—Jakże zdrowie? pyta ten i ów,
Choć go to nic nie obchodzi, czy pytany zdrów?
Czy go jutro z recept mocy i konsyljów skutku,
Zapakują na karawan, wśród rodziny smutku.

— „Jakże zdrowie?“—Jakże zdrowie? Ej panowie dość,
Po co w takiem czułem słowie, wylewać swą złość,
Czyż nie lepiej ot zwyczajnie, grzecznie rzec i cicho:
— No, kiedyż tam pana wreszcie porwie ciężkie
licho?
Albo... słuchaj no jegomość, kiedyż powiesz *pas*?
I przestaniesz swą facjatą dalej trapić nas...
Kiedyż lekarz, twój nadworny, pasport ci podpisze,
Kiedy wreszcie panegiryk po tobie usłyszę?

Tak witając się przyjaźnie, to by była rzecz.
Nie potrzebne ceremonje w kąt by poszły precz.
Lecz... dziś przecie najzawziętsi, zażarci wrogowie
Zapytują się nawzajem:
— Jak szacowne zdrowie?...

W. Prąskowski.

MILUSIŃSCY.

(Z żywego poematu).

Milusińscy?!.. stara szlachta,
Od aniołów gdzieś pochodzi.
W herbie zwykle ma... bociana,
Ani poznasz, kto ich rodzi.

Główki płowe, oczki duże,
Pulchne nóżki i rączęta,
Rozkosz matek, duma ojców,
Milusińscy—niebożęta.

Jakie to tam skapryszone,
Jakie bywa dumne, harde!..
Z nieba idzie prostą drogą,
Więc dla ziemi ma—pogardę,

Z świata sobie nic nie robi,
Często palce w buzi trzyma,
Drwiąc ze wszystkich konwenansów—
Na to nawet rady nie ma.

Jakie to tam bywa śmiałe,
Jakie umie stroić dąsy!
Król nie król—niechby się schylił,
To go zaraz łap za wąsy.

Król nie król—o wielkie dziwa!
Któż-bo o tem nie pamięta,
Że od wieków Milusińscy
Co do nogi—królewięta.

Kiedy taki bobuś mały
Z swej poduszki się wychyla,
Tobyś przysiągł, żeś go widział—
Przy Madonnie gdzieś Murilla...

I spoglądasz trwożnie w niebo,
Jedną prośbą wzbiera łono—
By mu stamtąd zapomnianych
Skrzydeł tylko nie zrzucono...

Gdy to zacznie gwarzyć z tobą:
„Bla-blu, bla-blu“... to rozkosze!

Kiedy wdzięcznie złoży dzióbek,
„Plosę“—mówiąc, zamiast: „proszę“,

Gdy rączkami cię obejmie,
I do ucha bez wytchnienia
W sprawie „lali“ i „pielnika“
Daje już swe polecenia,

Tobyś duszę wyjął z siebic,
Każdej prośbie czyniąc zadość,
Aby tylko Milusińskim
Na chwileczkę sprawić radość.

Gdyby nie ci Milusińscy—
Człekby nieraz skoczył w wodę,
Lub rozdeptał gorzkie życie,
Jak grzyb, albo złą jagodę.

Gdyby nie ci Milusińscy—
Co nam ciernie życia złocą—
Boże, iluż sercom biednym
Pustką byłby świat sierocą!..

M. Gawalewicz.



KRÓL-POETA I PAŹ.

(B a l l a d a).

Na stromej skale zamek stał,
W zamku żył król bogaty...
Natchnienia w sercu dużo miał,
Więc pisał poematy.

Duch go do krajów jasnych wiódł,
Słuchać go też był skory...
Potem na ucztę spraszał lud
I czytał swe utwory.

Był tam i paź przecudnych lic,
Co w sercu miał tęsknotę...
Błądził noc w noc, nie mówił nic
I liczył gwiazdy złote.

Nie mówił nic, lecz serca ból
Mącił mu nocną ciszę—
I myślał wciąż:—„Po co nasz król
Te poematy pisze?

O Muzo! ty mnie z sobą zwiąż,
A ja ci oddam życie!“
Tak myślał paź—i słyszy wciąż,
Jak mu coś szepce skrycie:

„Choćbyś miał łeb jak Deliusz sam,
Poeta Kleopatry,—
Zaprzestań śnić i pióro złam,
I leć na cztery wiatry.

Z wysokich szczytów marzeń złaź
Daj spłonąć twej bibule;
Nie będzie tam poetą paź,
Gdzie wiersze piszą króle!...“

Zawrócił więc, a już był czas—
Do sali wszedł zamkowej.
Poeta-król dziś pierwszy raz
Czytał swój utwór nowy...

Gdy skończył—grzmot oklasków aż
Po zamku zadrżał echem...
Płakały damy, wojsko, straż,
A pazik... parsknął śmiechem...

Wiernych poddanych porwał szał,
Zabrzękło kling bez liku...
—„Twój głupi śmiech co znaczyć miał?
Odpowiedz nam, paziku.“

—„Co znaczyć miał?... O królu, dzierż
W rygorze ten lud ciemny!
On jest tak głupi... jak twój wiersz,
I jak twój wiersz—nikczemny!

O wierz mi, królu, niczem złość,
Gdy się pochlebstwo szerzy...“
Król zawył z gniewu: „Dość, już dość...
Zamknijcie go do wieży!“

* * *

Zamknięty paź za potok słów
Nie wyjdzie na świat Boży...
Król złote pióro ujął znów,
I znów poemat tworzy.

I czyta znów, i krzyczy lud:
„To perły są najczystsze!
To boski twór, to czar, to cud!
Tyś mistrzem jest nad mistrze!“

Z radości król uronił łzę
I rzekł: „Gdzie jest ten Kato?
Sprowadźcie pazia, wiedzieć chcę
Co też on powie na to?“
Wszedł paź... blask oczu dawny zgasł,
Schylona młoda glowa...
Król czyta wiersze jeszcze raz,
I w te się ozwie słowa:

„Wszyscy orzekli, że z mych słów
Perły natchnienia płyną...
A ty, paziku, prawdę mów,
Nic nie trwóż się, dziecino!

Mów prawdę—i rozjaśnij twarz,
Ja nie chcę chwalb motłochu...“
A pazik jęknął;
„Gdzie jest straż?
Prowadźcie mnie do lochu“.

W. Rapacki (syn).



SPIS RZECZY.

Str.

Str.

Str.

Str.

Str.

Str

Str.

Str.

PORTRETY.

Str.